


NIEZNANY ŚWIAT KRÓLESTWA ARABII SAUDYJSKIEJ

QANTA A. AHMED

W KRAJU
NIEWIDZIALNYCH
Kobiet



 WIELKA LITERA

QANTA A. AHMED

**W KRAJU
NIEWIDZIALNYCH
Kobiet**

Z angielskiego przełożyła
Elżbieta Krawczyk



Rodzicom, którzy dali mi mój islam i miłość do słów.

Joan Kirschenbaum Cohn, która pokazuje mi,

jak być lepszą kobietą i lepszą muzułmanką.

ROZDZIAŁ 1

Czuwanie przy Beduince

W poszukiwaniu wytchnienia skierowałam wzrok na świat za oknem. Upał późnego poranka dawał się już porządnie we znaki, mimo że zraszacze rozpraszały wilgotne perełki po spalonej słońcem trawie, a żdźbła kołysały się na szamałowym wietrze^[1], najsilniejszym o tej porze dnia.

Na skrawku cienia rzucanego przez żywoplot jakiś robotnik szukał schronienia przed słońcem. Z niewygodnie podkurczonymi chudymi kończynami Banglijczyk jadł właśnie lunch z plastikowego pojemnika. Tkanina jego szimaghu^[2] zawinięta była w turban, co w niemiłosiernym skwarze przynosiło niewielką ulgę. W oddali rozległ się huk wartego sto tysięcy dolarów mercedesa, który poderwał w górę burzę piasku. Schowana za maseczką chirurgiczną uśmiechnęłam się do swojego odbicia w szybie. Widoczna tam kobieta w białym fartuchu odpowiedziała mi spojrzeniem. Na pozór wciąż byłam tą samą lekarką co w Nowym Jorku, a jednak wszystko się zmieniło.

Wróciłam do Chali al-Utajbi, swojej pierwszej pacjentki w Królestwie. Była to saudyjska Beduinka dobrze po siedemdziesiątce; nie wiadomo, ile dokładnie miała lat (w Arabii Saudyjskiej nie odnotowywano narodzin dziewczynek w czasach, kiedy ona przysłała na świat). Z powodu zapalenia płuc, które z trudem ustępowało, leżała podłączona do respiratora. Pogrążona w śpiączce, nie była świadoma mojego badawczego spojrzenia. Kolega przygotowywał ją do założenia wkłucia centralnego (wkłucia do żyły głębokiej).

W trakcie przygotowań miała odkrytą klatkę piersiową. Inny lekarz odkaził jodyną pasy skóry o brązowym odcieniu. Prozaiczna procedura, którą przeprowadzałam już wielokrotnie, w Arabii Saudyjskiej stanowiła zdumiewający widok. Podniosłam wzrok znad odkazanego miejsca, które nadało ciału Beduinki lazurową poświatę; można było przystąpić do dalszych czynności. Twarz pacjentki wciąż była osłonięta czarną chustą, zupełnie jakby kobieta przemykała w tłumie nagabujących ją mężczyzn na targu. Wprawiło mnie to w osłupienie.

Mizerna zasłona okrywała ją z każdej strony. Spod czarnego nylonu, który znikał w bezzębnych ustach, wystawały plastikowe rurki przesywające jej purdę (zasłonę, która zgodnie z muzułmańskim zwyczajem zakrywa kobiece piękno). Jedna rurka podłączała respirator do płuc, a druga dostarczała pokarm do żołądka. Od czasu do czasu zestaw rurek i zasłona drgały: raz z powodu westchnienia, innym razem - kaszlu. Każde chrypięcie przypominało mi, że pod tą maską leży ciężko chora pacjentka. Przez czarną nylonową tkaninę dostrzegłam ochronną przepaskę na oczy, umieszczoną na zamkniętych powiekach. Pielęgniarka delikatnie uniosła rąbek zasłony, by umożliwić lekarzowi dokończenie odkażania. Zafascynowana zupełnie zapomniałam o procedurach.

Z głębi tego czarnego nylonowego bezwładu wyłoniła się większa karbowana plastikowa rurka. Unosiła się, świszcząc i drgając, z każdym oddechem wykonywanym przez urządzenie. Nie było widać twarzy kobiety; tam, gdzie kończyły się drogi oddechowe, rurki znikwały w otchłani, jakby dostarczały tlen zasłonie. Dowiedziałam się, że nawet w przypadku ciężkiej choroby zakrycie twarzy pacjentki było kwestią najwyższej wagi. Urzeczona zderzeniem technologii i religii obserwowałam zasady, jakimi rządziła się moja religia, a raczej pewna jej wersja. Nagle w pobliżu usłyszałam pełen wzburzenia szum.

Za kotarą kręcił się członek rodziny pacjentki, jej oddany syn. Sporadycznie zaglądał, żeby się nam przyjrzeć. Uznałam, że musi się bardzo denerwować, ponieważ jego szczupłe brązowe palce szybko przesuwały się po różańcu. Prawdopodobnie, jak każdy troskliwy krewny, niepokoił się z powodu zakładania wkłucia centralnego.

Co jakiś czas szybko mówił coś po arabsku, pouczając pielęgniarkę. Zastanawiałam się, o co prosi. Wszystko przebiegało bez zakłóceń; za chwilę wenflon miał zostać umieszczony w żyłę szyjnej. Już prawie skończyliśmy. Co mogło go tak niepokoić?

W końcu znalazłam wyjaśnienie. Za każdym razem, kiedy rękaw lekarza dotykał zasłony pacjentki i materiał się zsuwał, syn wybuchał złością. Miał może dziewiętnaście lat. Żądał, by pielęgniarka zasłaniała twarz jego matki; przez cały czas starał się nie patrzeć na obnażone matczyne piersi, być może pierwsze piersi, jakie miał okazję widzieć.

Każdemu staccato komendy akompaniowało monotonne mamrotanie po arabsku

wydobywające się zza maski lekarza, który prosił pielęgniarkę, by zastosowała się do polecenia i poprawiła zasłonę. Głos lekarza brzmiał obojętnie, ale syn zdawał się zawieszony w dręczącej sieci skrępowania. Chodził wte i wewte, zamartwiając się o zdrowie matki, o jej godność oraz obowiązki, jakie miała wobec Boga. Ciężko chora, z zasłoniętą twarzą i nagimi piersiami obwisłymi z powodu wieku, przedstawiała niewiarygodny widok. Czułam, że jestem równie oszołomiona jak ten saudyjski syn.

To wpatrywałam się w pacjentkę - oprócz tego, że miała zasłoniętą twarz, leżała całkowicie obnażona - to spoglądałam na marnie wyglądającego syna, który jej doglądał (czemu nie córka? - pomyślałam). Kobieta pod wpływem medykamentów znajdowała się w śpiączce; zasłona wyglądała zatrważająco. Bóg z pewnością nie wymagałby zasłaniania twarzy przed lekarzami, którzy zajmowali się ciałem. Czy nieprzytomny, chory muzułmanin ma takie same obowiązki jak przytomny i zdrowy? Chociaż sama jestem muzułmanką, nigdy wcześniej nie zadawałam sobie takich pytań. Wyglądało na to, że tylko ja mam dylemat, a wszyscy wokół wiedzą, co jest ich powinnością. Pacjentka była kobietą i musiała być zakryta. Lekarz instruował filipińską pielęgniarkę, by przez cały czas reagowała na uwagi syna. Filipinka najwyraźniej była przyzwyczajona do takich sytuacji. Syn znał swoje obowiązki wobec matki. Tylko ja miałam mętlik w głowie.

Zaczęłam dokładne badanie pacjentki. Była ułożona na plecach; chude zwiotczałe ramiona leżały wzdłuż ciała, które rozlewało się, bo nie trzymały go słabe mięśnie; wnętrze dłoni było zwrócone ku górze. Kobieta wydawała się bardzo niska - może miała metr czterdzieści. Pośrodku każdej dłoni dostrzegłam niebieskawe znaki. Były to ciemne okrągłe ślady plemiennych tatuaży. Pielęgniarka podniosła zasłonę, żeby dostać się do dróg oddechowych i odessać spienioną ślinę, która nagromadziła się w ciągu ostatniej pół godziny.

Teraz, kiedy wiotki czarny nylon został uniesiony, w końcu mogłam zobaczyć panią Al-Utajbi. Jej ogorzala pobrużdżona twarz była pełna bólu, a spod sklejonnych powiek płynęły łzy. Gdy tylko dostrzegłam, jak ciekłą wąską strużką ku cofniętej szczęce, poleciłam pielęgniarce, żeby podała środki przeciwbólowe. Łzy zbierały się na postarzałej od słońca i wysmaganej przez pustynne wiatry twarzy. Dumne kości policzkowe wystawały wysoko ponad zapadnięcia, w których powinny znajdować się zęby. Podbródek był wyzywająco wysunięty, co nadawało rysom stanowczego, srogiego wyglądu. Ciekawiło mnie, jaką osobą była ta kobieta.

Znaki na jej twarzy wskazywały na to, że miała wysoką pozycję. Dopiero teraz zauważyłam skomplikowane niebieskie tatuaże przypominające krzyżyk. Zbiegały się dokładnie pośrodku policzków i wyglądały tak, jak znaki wskazujące pole napromieniowania u pacjentów chorych na raka, choć były większe. Podobne ślady miała na czole; centralnie nad łysiejącymi brwiami, obydwa idealnie symetryczne. Wszystkie te ozdoby wykonano tylko po to, żeby zostały schowane za zasłoną? Zastanawiałam się, o czym mogły świadczyć te znaki, zapytałam więc arabskich kolegów. Koledzy, znudzeni moją dociekliwością, wyjaśnili, że kobieta należała do starszyny plemienia, a tatuaże na jej twarzy informowały o pozycji, jaką zajmowała. Rzecz jasna, oni widzieli już wiele takich wytatuowanych beduińskich kobiet, więc wygląd pani Al-Utajbi nie był dla nich niczym niezwykłym.

Niewielkie brązowe dłonie leżały teraz zaciśnięte w pięści. Rozwarłam je i spojrzałam na krótkie anemiczne paznokcie o pomarańczowych końcach. Wiedziałam, że taki kolor nadaje henna. Zerknęłam na swoje ręce, którymi obejmowałam dłonie pacjentki; moje błyszczące, pomalowane na ciemny kolor paznokcie kontrastowały z jej pomarańczowymi. Mój zachodni manikiur i jej wschodni były tak różne, a jednak stanowiły oznakę tego samego szaleństwa: zmiany wyglądu.

Uśmiechnęłam się w duchu na myśl o tym pierwszym podobieństwie, które udało mi się znaleźć. Saudyjskie Beduinki często stosowały hennę. Umieszczały ciemnozieloną grudkę tego barwiącego kosmetyku we wnętrzu dłoni, a następnie zaciskały pięść, zatapiając końce paznokci w gęstej farbie. Często tak spały, osłaniając dłonie siatką, żeby obudzić się z pomarańczowymi końcami paznokci. Właśnie to musiała uczynić pani Al-Utajbi kilka tygodni wcześniej, kiedy była jeszcze w formie. Spojrzałam w górę na jej potargane, przepocone włosy i zauważyłam, że na nich także widać pasemka henny, które powoli przegrywały walkę z coraz bujniejszą masą białych odrostów.

Pękaty brzuch kobiety pokrywało kilka niewytłumaczalnych blizn: małych, pomarszczonych i jaśniejszych niż skóra wokół. Były równomiernie rozproszone na prawej górnej ćwiartce brzucha. Znajdowały się w takim miejscu, że nie mogłam ich uznać za ślady po operacji laparoskopowej, ale nie znałam żadnego innego narzędzia, które zostawiłoby takie blizny. Zaintrygowana popatrzyłam pytająco na kolegę.

- Była u szamana, beduińskiego uzdrowiciela. Oni wszyscy tak robią. U naszych pacjentów często widzimy takie ślady na wysokości wątroby - powiedział. - Szaman używa żelaza, którym wypala znak, aby uśmierzyć ból. Po kilku miesiącach chory trafia do nas.

Później sama zaobserwowałam, że wielu pacjentów ma takie znamiona. Szukali sposobu na pozbycie się bólu, który sprawiała im powiększająca się wątroba w stanie zapalnym. Zapalenie wątroby jest chorobą często występującą w Arabii Saudyjskiej, a moje nowe miejsce pracy, Szpital Gwardii Narodowej Króla Fahda w Rijadzie, było ośrodkiem o wybitnych osiągnięciach w jej leczeniu. Przyjmowaliśmy setki pacjentów z niewydolnością wątroby. Ci biedniejsi omijali publiczne ośrodki zdrowia w Królestwie, wybierając uzdrowicieli; zanim trafili do nas, choroba była już często w bardzo zaawansowanym stadium.

I tak oto na własnym terenie - OIOM-ie - w lśniącym czystością szpitalu wyposażonym w najnowocześniejsze zdobyte techniki, gdzie czułam się jak u siebie w domu, zetknęłam się z nieznanym. Byłam zdumiona śladami wciąż żywych, pradawnych praktyk, jakie ujawniło ciało kobiety. Nurtowało mnie pytanie, jaką rolę odgrywał szaman i inni pogańscy uzdrowiciele w świecie wyznawców islamu - religii, która otacza wciąż postęp nauki.

Wciąż myślałam o tym, jak daleko w swoich staraniach posuwał się syn, pilnując zakrywania matki nawet wtedy, kiedy była poważnie chora. Czyżby nie dostrzegał, że teraz, gdy jej życie mogło w każdej chwili zgasnąć, było to dla niej najmniej istotne? Czyż nie wiedział, że Bóg jest miłosierny, tolerancyjny i wyrozumiały i że nigdy nie spierałby się o noszenie zasłony w takich okolicznościach, jeśli w ogóle? Miałam wiele wątpliwości.

Zakładałam, że to syn wymagał, żeby matka miała na sobie zasłonę, ale może i w tym przypadku się myliłam. W Arabii Saudyjskiej czułam się jak ignorantka. Może sama pacjentka byłaby wściekła, gdyby pozostawiono ją odkrytą, kiedy nie mogła się temu sprzeciwić. Nic nie było dla mnie tak oczywiste jak to, że kwestia zasłaniania się nie podlegała dyskusji i nawet w przypadku umierającej kobiety zasłona jest nie do uniknięcia. Tak wyglądał nowy świat, w którym teraz byłam zamknięta. Od tej chwili przez kolejne dwa lata widziałam wiele rzeczy, których nie potrafiłam zrozumieć. Mimo że sama byłam muzulmanką, tutaj, w Królestwie, czułam się zupełnie obco.

^[1] Wiatr szamalowy - gorący i suchy wiatr wiejący najczęściej z kierunku północnego, występujący w rejonie Półwyspu Arabskiego i Zatoki Perskiej. *Szamal* (arab.) - północ (przyp. tłum.).

^[2] *Szimagh* - tradycyjna chusta noszona na głowie przez mężczyzn; inaczej kufijja. W książce zastosowano transkrypcję polską uproszczoną, opracowaną przez Bogusława R. Zagórskiego, i uwzględniono różnice w zapisie wynikające z języka potocznego, żeby jak najlepiej oddać oryginalną wymowę (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 2

Czas, by opuścić Amerykę

Przypomniałam sobie zimną noc w dniu wyjazdu, zaledwie kilka tygodni wcześniej. Deszcz lśnił, rozpluwając się na czarnych ulicach. Przymrużając oczy, wpatrywałam się w czerwoną rzekę światła stopu. Przedemną wiał się rozmazany wąż ruchu ulicznego. Po raz ostatni wjechałam na drogę ekspresową Belt Parkway. Czułam ponury ciężar, który mnie przygniatał i coraz głębiej wciskał w trzeszczące skórzane siedzenie. Czy jeszcze kiedyś przyjdzie mi nazwać ten kraj moim domem? Samolot do Rijadu, stolicy Arabii Saudyjskiej, odlatywał z lotniska Kennedy'ego o dziewiątej. Moja niedawna przeszłość mignęła mi w lusterku wstecznym, odbijającym żal migrantki. Nadszedł czas, by opuścić Amerykę.

Odmówiono mi przedłużenia ważności wizy, więc magiczny urok mojej amerykańskiej emigracji miał stać się wspomnieniem. Gdy nic nie dało odwołanie w sprawie przywrócenia mi wcześniejszego statusu, postanowiłam wykorzystać swoje kwalifikacje medyczne i wyjechać na Bliski Wschód, gdzie amerykańska medycyna jest powszechnie uznawana. Podjąwszy decyzję pod wpływem impulsu, ponownie stałam się wygnanką.

W ciągu tych lat spędzonych w Nowym Jorku odbyłam rezydenturę i zrobiłam specjalizację, uzyskując dyplomy z zakresu chorób wewnętrznych, pulmonologii oraz intensywnej opieki medycznej. Ukończyłam także specjalizację z zakresu leczenia zaburzeń snu; wkrótce miałam uzyskać dyplom. Udało mi się spędzić tu czas pożytecznie i kiedy wiedziałam już, że po upływie kilku kolejnych tygodni nauki nie będę mogła dłużej zostać w Stanach, dostałam propozycję pracy w szpitalu w Arabii Saudyjskiej. Wahałam się, ale ostatecznie przyjąłam tę ofertę, skuszona darmowym zakwaterowaniem i wysokimi zarobkami. Jako muzułmanka uważałam, że dobrze znam obyczaje panujące w muzułmańskim Królestwie, i nie żywiłam żadnych obaw związanych z życiem w Arabii Saudyjskiej. Zlekceważyłam przestrogi przyjaciół zaniepokojonych moją nagłą decyzją i więcej już o tym nie myślałam.

Przypieszyłam jadącym cicho lexusem; wycieraczki wydawały rytmiczny dźwięk,

akompaniując mojemu smutkowi. Zastanawiałam się, kiedy po raz kolejny siądę za kierownicą. Wiedziałam już, że w Arabii Saudyjskiej kobiety nie mogą prowadzić samochodów. W Rijadzie będę przeprowadzała zabiegi u ciężko chorych pacjentów, a mimo to nigdy nie otrzymam pozwolenia na kierowanie pojazdami mechanicznymi. Jedynie mężczyźni mają ten przywilej.

W drodze na lotnisko wsłuchiwałam się w pracę silnika. Już tęskniłam za tym pierwotnym dreszczykiem przyjemności, jaki wywołuje wciskanie pedałów i instynktowne przyspieszanie łączące mnie z maszyną. Wkrótce pożegnam się z kluczykami. Wiatr znad Atlantyku zmierzwił moje gęste włosy, symbol kobiecości. Niedługo zostaną zasłonięte i takie swawolne zabawy z wiatrem będą zakazane. Zgodnie z ustawodawstwem w Królestwie muszę mieć zakrytą głowę. Wszystko będzie inne.

Wracam pamięcią do tamtej deszczowej atmosfery. Gdy dojechałam na lotnisko Kennedy'ego, było puste. Cudowne, na zawsze utracone dni sprzed 11 września. Odprawa zajęła kilka minut. Rzeczy z mojego mieszkania zostały w magazynie w Nowym Jorku, ot, taka decyzja. Po samochód miał natomiast przyjechać znajomy, który obiecał, że go przechowa do mojego powrotu. Intuicyjnie wiedziałam, że wkraczam w nowy etap, w którym nic nie będzie na stałe.

Który mamy rok? - przypominałam sobie swoje myśli, gdy zuchwale podpisywałam kontrakt, przerzuciwszy tylko jego kartki. Zignorowałam fragmenty, które tłustym drukiem, wielkimi literami informowały o karze śmierci. Za sprawą jednego gestu, wykonanego bez głębszego zastanowienia, byłam podporządkowana prawu Arabii Saudyjskiej, z możliwością ścięcia mi głowy włącznie.

Czekałam sama i dzwoniłam z rozładowującej się komórki. Brawurowo opowiadałam żarciki, jednocześnie bacznie obserwując pasażerów, którzy schodzili się na mój lot.

Wcześniej rzadko spotykałam Saudyjczyków. Czasem jakaś grupka czekała na konsultacje w klinice w Cleveland, czasem inna kręciła się przy stoisku Diora w Harrodsie, kiedyś znów napatoczył się jakiś przypadkowy egzotyczny saudyjski podróżny, który przesiadał się na Heathrow. Tego wieczoru były ich dziesiątki. Gdziekolwiek spojrziałam, saudyjscy mężczyźni i kobiety siedzieli osobno, oddzieleni kordonem niewidocznych barier.

Wychwyciłam jakieś szepty po arabsku. Gromadka Saudyjczyków przykuła moją uwagę. Obserwowałam ich.

Saudyjczycy tłumnie skupili się wzdłuż symetrycznych linii tworzących im tylko znany precyzyjny układ geometryczny. Ustawili się w równych rzędach w kierunku pasa startowego, twarzami zwrócenii w stronę pogrążonego w ciemności Atlantyku. Nadszedł czas na modlitwę *al-isza*^[3], ostatnią wieczorną modlitwę, którą muzułmanie odmawiają po zachodzie słońca. Czułam się nieswojo, bo przypominałam sobie o wielu modlitwach, których sama nie odmówiłam, a jednocześnie urzekał mnie ten widok. Wokół mnie, w sali odlotów, wyrósł istny *maszjid* (meczet). Saudyjczycy modlili się przez dwadzieścia minut. Nie mogłam od nich oderwać wzroku. Inni pasażerowie nie wydawali się ani trochę zainteresowani.

Gdy modlący się padali przed Bogiem na twarz, zastanawiałam się, jak to możliwe, że nakrycia głów mężczyzn się nie zsuwają, gdy oni dotykają czołami ziemi. Za każdym razem patrzyłam, czy nie spadną im te chusty w czerwono-białą kratę. Co podtrzymywało materiał od spodu? Kobiety stapały się ze sobą. Na tle nocy za oknami wyglądały jak masa czarnych zawiniątek; nie można było rozróżnić ich sylwetek. Prawie nie zwracałam na nie uwagi. Zapomniałam, że za kilka godzin zasile ich szeregi. Teraz mój wzrok skierowany był ku elegancko ubranym mężczyznom.

To wszystko mnie intrygowało. Żyjąc w Nowym Jorku, nie byłam przyzwyczajona do takich widoków. Wiele razy bywałam na lotniskach w tym mieście, ale dotychczas ci odziani w długie stroje wierni, z pozakrywanymi głowami, pozostawali dla mnie niewidzialni. Czułam się obnażona, widząc ich niezwykłą pobożność, i nerwowo przyglądałam się ubraniu, które włożyłam na drogę. Miałam nadzieję, że jest odpowiednie na podróż do Królestwa. Arabia Saudyjska to królestwo muzułmańskie, w którym obowiązuje muzułmańskie prawo szariatu (święte prawo Boga)^[4]. Jest także otaczana czią jako święta ziemia wszystkich muzułmanów, zwłaszcza dlatego, że strzeże Mekki i jest domem tego duchowego i historycznego epicentrum islamu. Byłam muzułmanką, chciałam więc przestrzegać obyczajów panujących w Królestwie. Z całą pewnością nie było moim zamiarem łamanie prawa.

Zapowiedziano lot. Saudyjczycy, robiąc pewne zamieszanie, ruszyli w stronę wyjścia.

Na pokład oprócz mnie chciało wejść jeszcze kilku zachodnich pasażerów. Bardzo niewiele kobiet było w podobnej sytuacji jak ja, lecąca w pojedynkę; „nie-Saudyjka” - to określenie od tej chwili miało oznaczać moją tożsamość. Gdy zerkalam na otaczające mnie ciężkie zasłony, zaczynałam wątpić, czy wśród kobiet, które z nami leciały, są ulegające wpływom Zachodu muzułmanki o umiarkowanych poglądach, takich jak moje.

Dopiłam zimne resztki ostatniej kawy ze Starbucksa, w oczarowaniu przyglądając się kobietom, czarnym zawiniątkom spływającym kaskadami ku przejściu. Wyłączyłam komórkę. Byłam teraz odcięta od Ameryki, która powoli stawała się częścią mojej przeszłości.

Przy bramce saudyjska stewardesa wskazała, żebym udała się w kierunku wschodnim. Toczek, do którego doczepiona była woalka, częściowo przykrywał jej włosy, ale gładka szyja o kremowym odcieniu pozostawała odsłonięta. Kiedy kobieta zwracała się do pasażerów, słychać było twarde dźwięki przywodzące na myśl języki germańskie. Wkrótce się dowiedziałam, że tak brzmi saudyjska odmiana arabskiego. Każdy urywany, gardłowy dźwięk wydobywał się z głębi krtani.

- Dobry wieczór pani - powiedziała, wyraźnie artykułując słowa. - Leci pani do Rijadu?

Kiwnęłam głową, pełna ambiwalentnych uczuć.

- Lot do Arabii Saudyjskiej - proszę tędy. Życzę pani przyjemnej podróży. - Z wdziękiem zamachała w kierunku przejścia.

Współpasażerowie pomknęli naprzód, spiesząc się na pokład z dziećmi, bagażami i ciągnąc za sobą cały ten rozgardiasz. Moja odwaga gdzieś prysła, ale zebrałam się w sobie i ruszyłam w ślad za innymi.

Rozpoczęła się podróż.

Usadowiłam się wygodnie w fotelu i zapięłam pas, wyregulowawszy go wcześniej, by był odrobinę bardziej napięty. Czekaliśmy na kołowanie, kiedy bezcielesny głos

zaintonował:

Bi-smi-(A)llahi wa-l-hamdu li-(A)llahi subhana-llazi sachchara la-na haza wa-ma kunna la-hu mukrinina wa-inna ila-rabbina la-munkalibun...

„Chwała niech będzie Temu, który nam to podporządkował, albowiem my sami nie moglibyśmy tego osiągnąć. I, zaprawdę, my powrócimy do naszego Pana!”^[5].

Pilot recytował muzułmańską modlitwę dla tych, którzy wyruszają w drogę. Dobitne, melodyjne tony klasycznego arabskiego zaskoczyły mnie. Bezmyślnie gapiłam się w głośniki. Wkrótce uległam tej urokliwej atmosferze. Niewidzialne wersety Koranu utworzyły wokół mnie kokon bezpieczeństwa. Poczułam się odprężona. Teraz była to już inna podróż. Dotychczas takie modlitwy słyszałam jedynie z ust mojego ojca. Islam nabierał innego wymiaru; coś, co do tej pory ograniczało się wyłącznie do sfery prywatnej mojej niewielkiej rodziny, stawało się teraz kwestią bardzo publiczną.

Podczas tej pierwszej podróży do Arabii na każdym kroku przypomniano mi o religii. Wejście na pokład samolotu było równoznaczne z tym, że znalazłam się w kleszczach islamu. W środkowej części kabiny wisiał duży monitor, zazwyczaj służący do wyświetlania filmów w czasie lotu. Zamiast nich pokazywał właśnie nieruchomy kontur samolotu, nałożony na białą strzałkę. Obraz się nie zmieniał; strzałka wskazywała na Mekkę, duchową ostoję wszystkich muzułmanów. Ten kierunek nazywa się kiblą. Zorientowałam się, że już od dłuższego czasu na nią patrzę. Czułam się mizernie.

Odechciało mi się spać. Żeby przełamać monotonię, obserwowałam towarzyszy podróży. Nawet na wysokości 10 500 metrów w przejściu panował zgiełk. Na pokładzie wygospodarowano dużo wolnej przestrzeni dzięki usunięciu części siedzeń. Pojawiające się co dziesięć rzędów prywatne alkowy, nawet w klasie ekonomicznej, pozwalały pasażerom modlić się podczas lotu. Spostrzegłam, że jedynie mężczyźni korzystali z tych na wpół publicznych pomieszczeń, by odmówić modlitwę, podczas gdy ich żony wolały pozostać na swoich miejscach w pozycji pólężącej, recytując skrócone modlitwy dla podróżnych^[6]. Przez całą noc saudyjscy mężczyźni chodzili korytarzem w tę i z powrotem, zmierzając do tych

alków i z nich wracając. Z rąk skapywała im woda, którą wcześniej dokonywali ablucji (wymaganej przed modlitwą), a z wysokich, zaskakująco szerokich ramion swobodnie zwieszały się aksamitne dywaniki modlitewne. Siedziałam tuż przy przejściu i z góry wiedziałam, że mężczyźni się zbliżają; każdy, spacerując niedbałym krokiem, roztaczał wokół siebie ostry, choć przyjemny zapach saudyjskiej wody kolońskiej, świeżo wklepanej w skórę podczas przygotowań w toalecie. (Linie lotnicze świadome tego, że islam zaleca mężczyznom używanie zapachów, zapobiegliwie zapewniały odpowiednie zapasy, z których można było korzystać do woli). W prawej dłoni obracali różańce, równocześnie odmawiając cicho modlitwę. Obserwowałam ich, nie mogąc spać ani nie mając ochoty się modlić.

Od czasu do czasu wyciągałam egzemplarz „Fortune”, który złapałam na chwilę przed wejściem na pokład. W tym miesiącu na okładce był saudyjski miliarder. Lektura w sam raz dla mnie na podróż - pomyślałam. Zaczęłam czytać o księciu Al-Walidzie bin Talalu^[7]. Został sfotografowany w saudyjskich szatach i kiedy rozejrzałam się wokół, nieco rozproszona unosząc się w powietrzu wonią wody kolońskiej, ciągnącą się za przechodzącymi z szelestem Saudyjczykami, nie dostrzegłam żadnej różnicy pomiędzy księciem a pasażerami. Klasyczny strój zdawał się urzeczywistniać przesłanie równości. Pochłonęłam artykuł i próbowałam zapamiętać imię księcia. Chciałam dowiedzieć się jak najwięcej o kraju, który miał się teraz stać moim domem.

Narastający lęk zaczął się we mnie porządnie ukorzeniać. Martwiłam się o wszystko, a najbardziej o wygląd. Na kilka godzin przed przylotem rozpatrywałam własny strój: luźne, obszerne beżowe spodnie, golf i szary rozpinany sweter z długimi rękawami i kapturem. Nie chciałam zwracać na siebie uwagi, od razu więc przywdziałam maskujące barwy pustyni. Potrzebowałam otuchy ze strony stewardesy.

- Jak wyglądam? Czy jestem odpowiednio ubrana? Martwię się, ponieważ nie mam abai^[8]. Wiem, że wszystkie kobiety w Królestwie muszą nosić taki strój. Czy mogę mieć jakieś problemy na lotnisku? - wypytywałam z przejęciem.

- Jest pani doskonale ubrana - odpowiedziała ciepło.

Pewnie kłamie, uznałam. Sweter wydawał mi się za krótki. Jako przykładna muzułmanka powinnam była to przewidzieć. Wiedziałam przecież, że nie zakrywa mi bioder,

co wyraźnie podkreśla kobiece kształty. Żałowałam, że nie miałam niczego, co mogłoby ukryć pograżającą mnie pleć. Żałowałam niemal, że nie jestem mężczyzną.

- Lotnisko Króla Chalida to strefa międzynarodowa - kontynuowała stewardesa, jakby mówiła do wszystkich w zasięgu głosu, nie zważając na moje narastające obawy. - Nie będzie tam pani potrzebowała abai. Kiedy dotrze pani na miejsce, wówczas inne kobiety pomogą w znalezieniu odpowiedniego stroju. - Jej uśmiech stanowczo zakończył rozmowę.

Godzinę po przekroczeniu saudyjskiej przestrzeni powietrznej wylądowaliśmy w Rijadzie. Wyrzałam przez okienko samolotu. Wpatrywałam się w nie, podczas gdy reszta pasażerów zaczęła się budzić i krzątać. Na zewnątrz, późną nocą, rozpościerała się malownicza panorama rozgwieżdżonego piasku. Nevada! - przemknęło mi natychmiast przez myśl. Z każdej strony, kilometrami ciągnął się jałowy, płaski krajobraz. Cały obszar sprawiał wrażenie wymarłego. Nagle poczułam przyływ nieśmiałej ciekawości. To dopiero będzie przygoda!

Opuściwszy samolot krytym korytarzem, przemieściłam się w czasie o dwanaście godzin. Gorące powietrze nocy przedostawało mi się pod mankiety; ubranie niemal uginało się pod jego ciężarem. Mimo że była druga w nocy i późny listopad, czułam, że jest mi za gorąco w lekkiej wełnianej odzieży. Przy końcu ciemnego korytarza rozespani pasażerowie wysypali się na oślepiająco jaskrawe światło świata, który lśnił za sprawą czarnego złota.

Niczym panna młoda podekscytowana zaaranżowanym małżeństwem, drżałam ze strachu i fascynacji, wychwytyjąc dziewicze widoki Arabii Saudyjskiej. W jaskrawym świetle mrużyłam oczy i spoglądałam ku górze. Ogromny zegar Raymond Weil odliczał czas. Najpierw usłyszałam, a chwilę później zobaczyłam pluskające kaskady marmurowych fontann, rozlewające cenną wodę, droższą tutaj niż ropa naftowa. Zapuchnięte ze zmęczenia oczy z wdzięcznością przyjęły widok wewnętrznych ogrodów. Na marmurowej posadzce, na której lśniły geometryczne wzory, rozbrzmiewał stukot moich butów. Z każdym krokiem posadzka z trawertynu falowała delikatnymi odcieniami szarości i bieli, beżu i koloru piasku. Chrom i szkło dzieliły masywną marmurową przestrzeń na szerokie schody, ogromne atria i część z kontrolą paszportową. Marmur działał orzeźwiająco. Nie było widać żadnych nieuśmiechniętych kierowców limuzyn z przyciemnionymi szybami, którzy w dłoniach trzymaliby tabliczki, a w uszach mieli słuchawki. Nie było też haitańskich taksjarzy

naganiających potencjalnych pasażerów. Znajdowałam się szmat drogi od uwięzionego w szaleństwie lotniska Kennedy'ego. Nagle poczułam, że jestem naprawdę bardzo daleko.

Kłótlive dźwięki arabskiego oderwały mnie od tych widoków. Skuliłam się w napięciu. Na chwilę otoczyli mnie saudyjscy żołnierze, uzbrojeni, w czerwonych beretach. Stałam tuż obok, wystarczająco blisko, by widzieć bujny kilkudniowy zarost na ich wyrazistych szczękach. Oni jednak zdawali się mnie nie widzieć. Mieli ciemne oczy i byli przystojni. Mówili coś z naciskiem, podnosząc głos, ale nic nie rozumiałam. Szukali w tłumie jakiejś twarzy. W końcu zabrzmiał okrzyk, który świadczył o tym, że znaleźli, popłynęła lawina melodramatycznych *salam* i ruszyli przed siebie. Należeli do służby chroniącej dygnitarzy, a ci znajdowali się widocznie na pokładzie samolotu, którym przyleciałam. Błyskawicznie zabrali wpływowych gości ubranych w czerwone i białe tkaniny; wraz z nimi oddalała się ożywiona dyskusja.

Zeszłam schodami w kierunku kontroli paszportowej. Przedemną, po lewej i po prawej stronie, ciągnęły się długie kolejki ubogich Banglijczyków, którzy przyjeżdżali tu do najbardziej niewdzięcznej pracy fizycznej. Gapili się na wszystkie kobiety. Byłam na tym lotnisku jedyną kobietą o niebiałej, niezakrytej twarzy, co sprawiało, że natrętnie gapili się także na mnie. Ich natarczywe spojrzenia doprowadzały mnie do szału. Zakryłam głowę kapturem swetra. Atak przeszywających męskich spojrzeń, które zamknęły mnie w potrzasku, został odparty. Jak dziecko uznałam, że skoro ja ich nie widzę, to i oni mnie nie widzą. Czulałam się o wiele lepiej w tej swojej „zasłonie”.

Pozostałe kolejki tworzyły kobiety. Rozpoczęła się segregacja. Spostrzegłam Filipinki, służące albo opiekunki do dzieci, które przyjechały do swoich saudyjskich pracodawców. Wyglądały ubogo, żadna nie miała biżuterii ani make-upu w przeciwieństwie do ich modnie ubranych, wymachujących Guccim rodaczek w Nowym Jorku. Wybrałam najmniej przerażającą kolejkę: tę, w której stało najwięcej kobiet z Zachodu.

Zobaczyłam, że nie ja jedna się zasłaniałam. Inne kobiety miały już na sobie zmięte, poprzekrzywiane abaje, w pośpiechu wyszarpięte z bagażu podręcznego, spod których wystawały niechlujne buty Nike. Te kobiety były oczywiście wcześniej w Królestwie, prawdopodobnie wracały z urlopów. Nie tylko pasażerki z Zachodu pospiesznie ubierały się przed wyjściem, ale także Saudyjki szczerzej się zakrywały. Jedna z nich, nieprzygotowana,

cierpliwie czekała w kolejce schowana pod kocem wziętym z samolotu, który zarzuciła na siebie niczym czador, osłaniając pięknie ufarbowane włosy oraz śpiącego jak aniołek synka.

Przyglądałam się kobietom, które stały ze mną w kolejce. Wiele z nich to były pielęgniarki z innych szpitali: Irlandki, Angielki, białe Południowoafrykanki. Zupełnie się nie przejmowały, że je obserwuję, uspokajała mnie ich swoboda; sprawiały wrażenie weteranek. Zazdrościłam im pewności siebie; przysunęłam się do nich ciut bliżej.

W końcu nadeszła moja kolej. Nienagannie uczesany żołnierz saudyjski przejrzał mój paszport. Popatrzyłam wokół, żeby zobaczyć, czy pojawił się ktoś ze szpitala. Wiedziałam, że jako niezamężna kobieta nie mogę wjechać do Arabii Saudyjskiej bez „sponsora” (przedstawiciela pracodawcy), który miał mnie odebrać i zająć się moimi dokumentami przy kontroli paszportowej. Jeśliby nikt nie przyjechał, musiałabym zostać na lotnisku.

Zastanawiając się, kto został po mnie wysłany, spojrzałam na te setki malezyjskich muzułmanek, które w milczeniu kucaly na marmurowej posadzce obok nieruchomego taśmociągu bagażowego. Wszystkie były całkowicie zakryte, zagrzebane wręcz w materiale, od każdej biła rezygnacja, poczucie porażki. Siedziały zbite w grupki, ze spuszczonym wzrokiem, w ciszy oczekując na swoich pracodawców. Nie słyszałam żadnych śmiechów, szeptów, pogaduszek. Stłoczone jak te nieodebrane bagaże wokół, milczały bez ruchu. To było coś więcej niż tylko uderzające zmęczenie po długiej podróży samolotem; te kobiety były odarte z nadziei.

Nawet moje kwalifikacje zawodowe nie zmieniały faktu, że niezależnie od tego, czy kobieta jest lekarką, czy służącą, muzułmanką czy niemuzułmanką, jeśli nie jest mężatką, nie może sama wjechać do Arabii Saudyjskiej. Bez sponsora, męża lub ojca, syna albo brata, czekałabym tak samo jak służąca, niczym ładunek, aż ktoś mnie odbierze. Kobiety nie mogą funkcjonować w Królestwie jako niezależne jednostki. Moja autonomia została właśnie ograniczona.

Skinieniem dłoni przywołano mnie za linię kontroli paszportowej do okienka z pleksiglasu. Żołnierz podczas sprawdzania nie zaoferował nawet cienia uśmiechu. Nie powitał mnie w swoim kraju. Nie pozdrowił jako muzułmanki, chociaż moje nazwisko wyraźnie o tym świadczyło. W ogóle mnie nie pozdrowił. Wyniosły zajął się przeglądaniem

dokumentów. Idąc za jego przykładem, nie zaczęłam towarzyskiej pogawędki. Nie nawiązaliśmy nawet kontaktu wzrokowego. Intuicyjnie wiedziałam, że zachowuje się zgodnie z obyczajami panującymi w Królestwie. Lekceważącym gestem dał mi znak, że mam odejść, przerzucając mój paszport do oddalonego okienka. Złote insygnia Korony Jej Królewskiej Mości znalazły się na stercie pomiętych notatek zapisanych arabskim pismem. Poczulałam nagły przyływ nostalgii za moim angielskim dzieciństwem. Z przyzwyczajenia podeszłam, by sięgnąć po paszport, ale jakaś wielka postać wprawnym ruchem zgarnęła mi go sprzed nosa.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam potężnego mężczyznę. Z widocznym niesmakiem odwrócił ode mnie wzrok. To był Umajr, mój „sponsor”. Pod jego męską opieką mogłam teraz opuścić punkt kontroli paszportowej i przekroczyć granicę Królestwa. Odbierał mnie z lotniska jako przedstawiciel pracodawcy. Onieśmielona czułam, jak się kurczę w jego męskim cieniu. Umajr, zwalisty wysoki Saudyjczyk, ubrany był w białą saubę^[9] upstrzoną powtarzającymi się filigranami płam tytoniu; batik ze śliny. Stare sandały, wykonane chyba z wielbłądziej skóry (wydawały się takie grube), dopełniały całości, eksponując popękane pięty. Na głowie miał chustę w czerwono-białą kratę (*szimagh*), która pilnie wymagała rozprasowania zagnieciań. Choć był ubrany w identyczny strój narodowy jak Saudyjczyk na okładce „Fortune”, nie wyglądał tak wytwornie.

Umajr przyjechał odebrać mnie z lotniska (a dokładniej - odebrać mój paszport), ale się nie przywitał. Porozumiewaliśmy się na migi, ponieważ on nie mówił po angielsku, a mój arabski składał się jedynie z modlitw. Idiotycznie wykonywałam jakieś gesty, starając się odzyskać paszport. Daremnie; mężczyzna mocno ścisnął go w drapieżnej dłoni. Poirytowany niedbale skinął na mnie żółtymi od nikotyny palcami i pokazał, żebym zabrała ciężki bagaż, podczas gdy sam oparł okazałe cielsko o barierkę. Z trudem zmusił się, by wsunąć grubą dłoń do kieszeni i wyciągnął z niej mocno zgniecioną paczkę marlboro. Nawet się nie ruszył, żeby mi pomóc. Wolał stać i patrzeć, bezgranicznie znużony, od czasu do czasu drapiąc się po brzuchu.

Walizki wciąż krążyły na taśmociągu i nikt nie spieszył się z ich odbiorem. Malezyjskie służące stały bez ruchu, wpatrując się w wolno przesuwający się pas. Sama zdjęłam z niego swoje olbrzymie bagaże, otoczona gapiami płci męskiej. Żaden mężczyzna nie przyszedł mi z pomocą: ani bagażowy, ani nikt z pasażerów.

Gdy już wreszcie odebrałam bagaże i je prześwietliłam, udowadniając, że nie wwożę do Królestwa niczego niezgodnego z prawem, mogłam opuścić terminal. Odetchnęłam z ulgą. Ta szczególna kontrola na lotnisku sprawiła, że czułam się zażenowana i pragnęłam opuścić to miejsce jak najszybciej. Wyszłam prosto w listopadową noc. Lekki pustynny wiatr z zachodu czule omiótł mi twarz. Nie mając na sobie wymaganej czarnej abai, czułam się nieswojo. Od razu spostrzegłam, że w Rijadzie nosi się więcej czerni niż w Nowym Jorku.

Wsiadłam pospiesznie do szpitalnej furgonetki. W oknach były przyciemnione szyby; schodziła z nich tandetna folia. Ta jej część, która jeszcze się nie odkleiła, zatrzymywała pęcherzyki powietrza i mnie za fioletową mgłą. Pojazdy, którymi miałam się od tej chwili poruszać, same w sobie stanowiły już zasłonę; siedząc w nich, zawsze zadawałam sobie pytanie o prawdziwe barwy świata, który znajdował się na zewnątrz.

Umajr załadował bagaż do samochodu i ruszył do mojego nowego domu. Znakomita droga, którą wyjeżdżało się z lotniska, ciągnęła się przez kilka kilometrów. Była idealnie prosta; żadnych szalonych zakrętów ani ciasnych węzłów Londynu czy Nowego Jorku. Ruch był zaskakująco duży jak na tak późną porę. Wszyscy jechali bardzo szybko, jakby pędzili na spotkanie z wiszącą w powietrzu śmiercią. Po obu stronach szarłaty i pustynne krzewy opadały na bezkresny piasek; naziemne morze spokoju na tle nocnego krajobrazu księżycowego. Jedyny ślad ruchu, zmarszczki utworzone na piasku przez bryzę, wkrótce zatarł się pod wpływem pędu powietrza wywołanego absurdalną prędkością, z jaką się poruszaliśmy.

Autostradą wjechaliśmy do miasta. Globalizacja dotarła nawet tutaj. W ciągu kilku minut dostrzegłam pierwsze oznaki tego, że amerykańska popkultura jest na sprzedaż także w Rijadzie. Przez chwilę podekscytowana, że mój arabski z dzieciństwa jest tak dobry, że mogę sama czytać, zaczęłam wymawiać kolejne nazwy. Dziesięć metrów nad ziemią jaskrawy fluorescencyjny szyld krzychał po arabsku „Taco Bell”. Saudyjczycy jedzą *fajitas* i *tacos*! Z vana widziałam rodziny, które wysiadały z sedanów i wchodziły do punktów z fast foodem. Byłam rozczarowana. Pod amerykańskimi sztandarami konsumpcji ten nowy świat na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie przygnębiająco zunifikowanego. Saudyjski krajobraz ukazywał Amerykę z arabskimi napisami, gdzie mężczyźni i kobiety jedzą burgery i piją coca-cola. McDonalds, Pepsi, a w końcu i KFC podkreślały monotonię i w zaskakujący

sposób wypierały poczucie swojskości. Nie zobaczyłam niczego, co mogłabym określić jako autentycznie arabskie. Główna autostrada, którą jechaliśmy, usiana była wyłącznie punktami z fast foodem i przedstawicielstwami handlowymi, sprzedającymi GMC Suburbans albo porsche.

Obok nas przemykały samochody - wypchane po brzegi cadillaki, pękające w szwach od saudyjskich kobiet i ich dzieci; za kierownicą zawsze siedział mężczyzna. Zastanawiałam się, dokąd oni jadą tak późno w nocy. Tylna szyba samochodu zawsze była albo przyciemniona, albo zasłonięta plisowanymi zasłonkami. Po drodze widziałam więcej cadillaców niż na Park Avenue, ale wewnątrz lśniących samochodów ludzie byli zdecydowanie tutejsi. Pozwoliłam sobie na pierwszy niewidoczny uśmiech.

Obowiązkowe czarne lub stalowoszare mercedesy klasy S mijaly telepiące się cadillaki, ścigając się z nimi na autostradzie. Spojrzałam w lewo i mój wzrok padł na wielbłąda uwiązanego w zdezelowanym suzuki pikapie, co w irytujący sposób przypomniało mi, że nie jestem już w Nowym Jorku. Gaz do dechy i opony oznaczyły jezdnię szerokimi kaligraficznymi pociągnięciami *naschi*^[10]. Nowe Królestwo niemieckich sedanów ścierało się ze starym Królestwem przeżuwających wielbłądów; oba światy toczyły ze sobą pojedynek na Mecca Highway.

Patrzyłam na kierowców. Wewnątrz tych opastych wielbłądów w kształcie cadillaców i mercedesów za kierownicą siedzieli rozwaleni w fotelach mężczyźni o sokolich oczach; każdy nieodmiennie ubrany w kraciasty szimagh i zwiewną białą saubę. Każdy trzymał komórkę, która stanowiła niemal dodatek do nakrycia głowy. Prowadzili nonszalancko, trzymając kierownicę jedną ręką, w pozycji półleżącej. Kalifowie się znaleźli! Oczywiście nie było ani jednej kobiety prowadzącej samochód. To absurdalne hałaśliwe zderzenie współczesności i średniowiecza - mercedesów i Beduinów, cadillaców i wielbłądów - miałam obserwować przez cały pobyt w Królestwie. Nigdy nie przestało mnie szokować.

Pierwsze chwile sprawiły, że byłam wszystkim urzeczona o wiele bardziej, niż to sobie uświadamiałam.

[3] Muzułmanie modlą się pięć razy w ciągu doby, a nazwy modlitw odpowiadają

poszczególnym porom dnia: *as-subh* - poranna, *az-zuhr* - południowa, *al-asr* - popołudniowa, *al-maghrif* - o zachodzie słońca, *al-isza* - wieczorna (przyp. tłum.).

^[4] Prawo szariatu pierwotnie wywodziło się z wielu szkół myśli prawnej interpretujących prawo boskie, początkowo skodyfikowane w Koranie. W kilku pierwszych wiekach islamu istniało ponad trzydzieści szkół myśli prawnej i szariat był różnorodny i pluralistyczny. Wraz z upływem czasu utracono część tej bogatej różnorodności, zwłaszcza współcześnie, w dobie odradzającej się ortodoksji. Szariat oznacza dosłownie „ścieżkę” i odnosi się do głównej części muzułmańskiego prawa skodyfikowanego przez Koran i nauki zwane hadisami oraz sunną, które opisują odpowiednio powiedzenia oraz czyny Proroka. Khaled Abou El Fadl, *The Great Theft*, Introduction: Islam Torn between Extremism and Moderation, s. 23 (przyp. aut.).

^[5] *Koran*, sura XLIII („Ozdoby”), w. 13-14, przeł. Józef Bielawski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986, s. 586 (przyp. tłum.).

^[6] Islam uznaje, że podróż stanowi trudną sytuację dla muzułmanów, dlatego pięć obowiązkowych modlitw w ciągu dnia trwa krócej, by złagodzić uciążliwości, jakie odczuwają podróżujący wierni (przyp. aut.).

^[7] Bratanek obecnego monarchy, króla Arabii Saudyjskiej Abd Allaha, i wnuk założyciela Arabii Saudyjskiej, króla Abd al-Aziza Al Sauda, książę Al-Walid, zwany często Walidem, jest znany jako postępowy zwolennik reform, działający zwłaszcza na rzecz praw kobiet w Królestwie (przyp. aut.).

^[8] *Abaja* - zasłona. Zgodnie z prawem każda kobieta, niezależnie od tego, skąd pochodzi i czy jest muzułmanką, w miejscu publicznym jest zobowiązana do zakładania na ubranie abai. Ta część garderoby (nazwa odnosi się także do chusty zasłaniającej włosy) sięga do ziemi. W Arabii Saudyjskiej jest niemal zawsze koloru czarnego (przyp. aut.).

^[9] *Sauba* - luźny strój do kostek, z długimi rękawami, noszony przez saudyjskich mężczyzn. Zazwyczaj jest biały, z wyjątkiem zimy, kiedy może być uszyty z ciemniejszego materiału (brązowego, czarnego lub granatowego). Letnie białe sauby są wykonane z cienkiej bawełny. Rękawy mogą być wykończone mankietami lub po prostu luźne. Wycięcie przy

dekolcie może kończyć się kołnierzykiem - wówczas będzie on zapięty pod szyję - albo jest zaokrąglone, bez zapięcia (przyp. aut).

^[10] *Naschi* - jeden z kaligraficznych stylów, jakim zapisuje się pismo arabskie (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 3

Mój nowy dom - kompleks wojskowy

Znajdowaliśmy się teraz w części miasta najbardziej wysuniętej na wschód. Staliśmy na światłach; w powietrzu unosił się kurz, a ciszę przerywał tylko pisk opon na gładkich pustych ulicach. Z sąsiedniego samochodu wypuszczającego kłęby spalin dobiegały trzaski arabskiej muzyki. Czułam zapach benzyny. Ruszyliśmy; opustoszała droga prowadziła do położonego w oddali zamkniętego kompleksu. Wkrótce nie było już widać żadnych świateł. Gdzieś blisko rozciągała się ogromna pustynia.

Nagle światła reflektorów wyłowiły z ciemności bramę. Jaskrawe szlabany, błyszcząca wartownia - tak wyglądał wjazd do mojego nowego życia. Życia w Arabii Saudyjskiej. Będę pracowała w Szpitalu Gwardii Narodowej Króla Fahda, lecznicy dla wojskowych czuwających nad bezpieczeństwem saudyjskiej rodziny królewskiej. Zostałam zatrudniona przez jednostkę medyczną Gwardii Narodowej Arabii Saudyjskiej i dlatego miałam zamieszkać w zmilitaryzowanym kompleksie. Elegancy żołnierze, z odsłoniętymi włosami starannie ułożonymi i nawoskowanymi nawet o tak późnej porze, nie zadawali żadnych pytań, tylko pokazali nam, że mamy wjechać. Siedziałam w szpitalnym pojeździe z eskortą, którą znali.

Po kilku zakrętach na terenie przypominającym kampus uniwersytecki podjechaliśmy do jednego z wielu budynków. Rzędy prostopadłościanów o płaskich dachach, pokryte jaskrawą farbą w kolorze terakoty, ciągnęły się w nieskończoność. Na elewacjach wisiały zewnętrzne jednostki klimatyzatorów niczym pąkle przyczepione do skóry wieloryba. Jak żyć bez klimatyzacji, kiedy latem jest ponad 50 stopni Celsjusza? Pomyślałam o piekielnym upale, który czekał mnie najbliższego lata, bo nawet w nocnym powietrzu wyczuwało się wszechobecny kurz. Oblizalam spierzchnięte wargi, żeby pozbyć się kredowego posmaku.

Biały minivan zatrzymał się leniwie, jakby naśladował swojego kierowcę. Spojrzałam na zniszczoną dwujęzyczną tablicę: Budynek 40. Nawet po ciemku było widać, że jest w kiepskim stanie, co jaskrawo kontrastowało z olśniewającym lotniskiem. Ostrożnie

weszłam do środka, podążając za Umajrem. Ze zdumieniem obserwowałam, z jaką wprawą podwinął poły sauby. Zupełnie jak kobieta zręcznym ruchem uniósł jej rąbek, żeby się nie potknąć, wnosząc po schodach moje walizki. Przez chwilę podziwiałam ten osobliwy widok - kołyszącą się zwalistą sylwetkę mężczyzny, który wykonuje wybitnie kobiece gesty.

Weszliśmy do dusznego mieszkania, wdychając kłęby kurzu. Za nami zatrzasnęły się tandetne drzwi ze sklejki. Umajr niezdarnie klepnął we włącznik światła. Poczułam zapach gorącego kurzu, który przypalał się na gołych żarówkach. Wcześniej przez pewien czas mieszkanie stało puste. Umajr wyraźnie się ożywił, jakby upajał się rolą pośrednika nieruchomości. Z zapalem prezentował mi sprzęty, otwierał kolejno wszystkie szafki, pokazał nawet komplet sztućców dla dziesięciu osób. Wyjaśniał, jak włączyć telewizję satelitarną, i uśmiechał się, przerzucając kanały stacji nadających z Zachodu, który był teraz równie odległy jak Jowisz. Z uwagą śledził moje reakcje. Najwyraźniej gdzieś między kontrolą paszportową a mieszkaniem patrzenie na mnie przestało być niestosowne. Pokazał mi jeszcze powitalny poczęstunek i wyszedł, a właściwie wycofał się z mieszkania. Ciężko schodził po betonowych schodach, bez wątpienia trzymając w dłoni niebezpiecznie zwisający rąbek sauby. Choć to głupie, od razu za nim zatęskniłam.

Kilka godzin później obudziłam się z ciężką głową, zdezorientowana. Powoli dochodziłam do siebie. Zachryłam, a moje gardło przypominało papier ścierny. Łóżko zwrócone było w niewłaściwą stronę. Gdy otrząsnęłam się z resztek snu, uświadomiłam sobie, że całe moje życie było teraz zwrócone w nowym, niewłaściwym wschodnim kierunku. Rozsunęłam ciężkie zaciemniające zasłony, mrugając powiekami w ostrym zimowym słońcu. Otworzyłam okna - światło wlało się do wnętrza, wypierając resztki ciemności. Bezkresne spłowiełe niebo nade mną miało wkrótce sprawić, że wzdychałam do szarych chmur Anglii. Widok z okna wskazywał na to, że znalazłam się w biednym kraju, mimo że podjechałam pod dom eleganckim mercedesem. Dopiero miałam się dowiedzieć, że dla różnych ludzi Arabia Saudyjska oznacza co innego: dla zamożnych - bezgraniczne bogactwo, dla biednych - więzienie skrajnej nędzy, a dla ekspatów, pracowników zagranicznych - ani to pierwsze, ani to drugie, tylko miejsce pełne kontrastów i labirynt sprzeczności podlegający nieustannym zmianom. Zaczęłam przygotowywać się do swojego pierwszego dnia w Królestwie.

Ubierając się, zauważyłam, że w mieszkaniu znajduje się mnóstwo wydrukowanych notatek. Były to szczegółowe instrukcje od ordynatora. Kiedy przyjechałam do Królestwa, on

musiał akurat wyjechać z Rijadu, ale zostawił mi cenne wskazówki. Spragniona wszelkich informacji czytałam z zainteresowaniem.

Rozłożyłam błyszczącą kolorową mapę i patrzyłam na nią jak dziecko. Czułam się tak, jakbym została przesiedlona. W mojej ocenie znalazłam się na skraju pustyni wdzierającej się do miasta. Wyrzałam przez okno - widok z niego zdawał się potwierdzać, że tak jest. Wróciłam do mapy, a moją uwagę przykuł brak szczegółów. Rijad nie wyglądał na niej na bardzo duży ani też wyjątkowo skomplikowany pod względem układu komunikacyjnego, czego można było się spodziewać po mieście liczącym 4,2 miliona mieszkańców^[11].

Zastanawiałam się nad swoim nowym położeniem.

Qanta, pomyśl, że jesteś w czymś prywatnym ogrodzie. Gościsz w jego kryjówce, w miejscu zupełnie innym niż te, w jakich dotychczas przyszło ci mieszkać. Lubię nazywać je Królestwem Magii - przypominałam sobie słowa ordynatora. Ciekawe, co miał na myśli.

Zostawił mi jeszcze przewodnik po etykiecie muzułmańskiej. Zaczęłam go przeglądać. Był pełen diagramów, którym towarzyszyły krótkie dwuwierszowe teksty; przypominał książeczkę dla dzieci. Bez specjalnego zainteresowania przerzuciłam kilka kartek. Te proste rysunki miały przekazać niemuzułmanom złożone kulturowe subtelności? Czy ordynator zdawał sobie sprawę, że zatrudnił muzułmankę? Wizerunki zasłoniętych kobiet i ubranych w sauby mężczyzn prezentowały normy zachowań, z którymi, jak wówczas uważałam, byłam zaznajomiona. Mężczyzna witający się z mężczyzną (uściskiem dłoni), mężczyzna witający się z kobietą (bez uścisku dłoni i zawsze w obecności męskiego członka jej rodziny), dozwolone i zabronione artykuły konsumpcyjne (alkohol, wieprzowina, zakazane używki), rodzaje i pory modlitwy (pięć razy dziennie, w tym czasie sklepy zawsze zostają zamknięte). Gdy przejrzałam te „dziecinne kwestie” (a przynajmniej kwestie znane mi od dzieciństwa), zarzuciłam lekturę. W minionych tygodniach brałam pod uwagę, że po przyjeździe do Królestwa doznam szoku kulturowego, zlekceważyłam to jednak i ostatecznie uznałam za niemożliwe. Założyłam, że skoro jestem muzułmanką, natychmiast w naturalny sposób zyskam w Arabii Saudyjskiej zrozumienie i akceptację.

Nie martwiłam się, że nie znam tutejszych obyczajów i kultury. Jako muzułmanka

uważałam się za członkinię tego klubu. Moja pewność siebie była naiwnością. W nowej rzeczywistości, w jakiej się znalazłam, zaczęły dochodzić do głosu wątpliwości. To, z czego nie zdawałam sobie sprawy, beztrąsko odrzucając drętwe przewodniki, to usankcjonowane prawem zwyczaje ortodoksyjnego islamu. Znając jedynie podstawowe zasady wiary, nie zaszłam daleko - co jakiś czas dokonywałam bolesnych odkryć, wpadając z jednej pułapki kulturowej w drugą. Potrzebowałam zupełnie innego przewodnika po tym „Królestwie Obcych”.

Wróciłam do notatek. Jedna z nich zawierała radę, żebym jak najszybciej zadzwoniła do Maurag, mojej sekretarki. Wybrałam numer i rozmawiałam przez pachnącą kurzem słuchawkę. Maurag obiecała, że za chwilę przyjedzie i zabierze mnie na lunch, podczas którego pomówimy o moim pierwszym, niezbędnym w Arabii Saudyjskiej nabytku. Dzisiejszego wieczoru miałyśmy kupić abaję.

^[11] Według danych z lutego 2005 roku populacja Rijadu wynosi 4,26 miliona i wzrosła o 4,2 procent w ciągu ośmiu wcześniejszych lat. Spośród tej liczby 34 procent (1,46 miliona) stanowili pracownicy zagraniczni, a resztę - obywatele saudyjscy (2,46 miliona). Podczas gdy populacja stale się powiększa, tempo wzrostu maleje, ponieważ w ostatnich latach nastąpił spadek migracji wewnętrznej do Rijadu. <http://www.saudiembassy.net/2005News/News/NewsDetail.asp?cIndex=5111> (przyp. aut.).

ROZDZIAŁ 4

Kupując abaję

Zanim zaplanowałam przeprowadzkę do Królestwa, nie słyszałam słowa *abaja*. Po wyjaśnieniach Maurag uświadomiłam sobie, że *abaja* jest tym samym co burka - okryciem zakładanym przez kobiety, kiedy wychodzą na zewnątrz. Tak ubrane po raz pierwszy widziałam w Pakistanie w czasie wakacji, które spędzałam tam w dzieciństwie. Moja matka zakładała burkę w kolorze kości słoniowej, kiedy w Karaczi wychodziła po zakupy. Uważałam, że wygląda w niej jak panna młoda. W Anglii zamieniała ten strój na osobliwy brytyjski zestaw składający się z płaszcza przeciwdeszczowego i chusty, którą zawsze się okrywała zgodnie z muzułmańską zasadą przyzwoitości.

Chociaż całe życie byłam muzułmanką, w mojej szafie próżno by szukać burki, czadoru czy innego rodzaju zasłony. Rodzina, a zwłaszcza rodzice, wymagali tylko, żebym ubierała się skromnie. Byłam bardzo przywiązana do zachodnich ubrań - spodniemu czy skromnych spódnic. Włosy zakrywałam jedynie na czas modlitwy. Najbliżsi pozwalali zarówno mnie, jak i innym kobietom w naszej rodzinie samodzielnie podejmować decyzje, czy się zakrywać. Szybko zauważyłam, że Rijad był w tej kwestii o wiele mniej tolerancyjny i o wiele bardziej wymagający niż moi bliscy.

Burka albo (jak się ją nazywa w Arabii Saudyjskiej) abaja to cienka powłóczysta szata, która zakrywa ciało od stóp do głów. Zapina się ją pod szyją i w połowie klatki piersiowej, a jej części zachodzą na siebie, żeby nie było widać ubrania znajdującego się pod spodem. Abai towarzyszy szal, często tworzący z nią komplet, nazywany także hidżabem, który zakrywa głowę, a więc i włosy, pozostawiając twarz odkrytą. Niektóre kobiety dodatkowo noszą materiał zwany nikabem, który zasłania dół twarzy od grzbietu nosa.

W Arabii Saudyjskiej kobiety zasłaniają się w wyniku narzuconej przez człowieka postępującej ortodoksji, rywalizując ze sobą w surowości przestrzeganych zasad. Jedne eksponują zadbane brwi, inne ich nie pielęgnują, dając tym samym wyraz swojemu konserwatyzmowi i demonstrując, że wystrzegają się zmieniania ich naturalnego kształtu,

a do tego zasłaniają całe czoło i twarz poniżej grzbietu nosa. Te, którym widać brwi, mogą okazywać emocje: zaskoczenie, zaniepokojenie czy - rzadziej - w pośpiechu poskramianą radość. Inne decydują się nigdy brwi nie odsłaniać. Zawijają czarny materiał niżej, tak że muska środek górnych powiek, ledwie odsłaniając niepomalowane rzęsy.

Jeszcze bardziej skrajne są ortodoksyjne wahhabitki^[12], których zasłony nie przypominają niczego, co kiedykolwiek widziałam, nawet gdy jako dziecko podróżowałam do Afganistanu, Iranu czy północnego Pakistanu^[13]. Po wielu latach, gdy w zapomnianym afgańskim piekle widziałam udręczone zawiniątka z niebieską siatką na oczach, przypominałam sobie każdą wahhabitkę w Rijadzie.

W Arabii Saudyjskiej ortodoksyjne wahhabitki decydują się na najbardziej ekstremalną formę okrycia, które zasłania całą postać. Każda część ciała, także głowa łącznie z oczami i uszami, jest szczelnie przykryta nieprzejrystym czarnym całunem. Zabroniona jest nawet szydełkowa siatka na twarz, wymagana przez talibów. Dłonie w rękawiczkach z cienkiej czarnej bawełny, palce u stóp również zakryte - nie widać ani skrawka skóry, każda cząstka kobiecości jest stłumiona poliestrową czernią. Wiele z tych hiperortodoksyjnych kobiet taki pełny strój nosi nie tylko na zewnątrz, ale nawet w towarzystwie samych kobiet przy każdej okazji - narodzin, ślubów czy pogrzebów - akcentując z dumą, że oto one wykazują się większą żarliwością niż pozostałe^[14]. Kobiety stanowią pozbawione twarzy i głosu elementy chorej wahhabickiej wyobraźni. Łatwo o nich zapomnieć.

Nienawidziłam zakrywania się. Nawet mimo głębokiego zrozumienia dla islamu nie mogłam sobie wyobrazić, że mumifikacja jest tym, czego mądry, miłosierny Bóg mógł kiedykolwiek pragnąć dla połowy stworzonych przez siebie istot. Zakryte, zakneblowane kobiety milczały; ta przejmująca cisza była jak nieme oplakiwanie martwych wolności. Narzucone z góry więzienie kobiecości stanowi formę żeńskiego dzieciobójstwa. W całym Królestwie można było zobaczyć małe, drobne dziewczynki, które jeszcze nie wkroczyły w okres dojrzewania, a już potykały się o swoje abaje. O wiele wcześniej niż islam wymaga chroniły kobiecą skromność. Zasłony ukrywają kobiety, ale jednocześnie eksponują męską opresję, która jest jak strażnik więzienny. Poliestrowe przymusowe więzienie jest niehumanitarne, choć (podobnie jak sam materiał) wymyślone przez człowieka.

Niezależnie od tego, czy twarz jest zakryta, czy też nie, w Arabii Saudyjskiej kobieta

nie może pojawić się w miejscu publicznym, nie założywszy abai, która przykrywa przynajmniej jej ciało i włosy. W Rijadzie abaje są niemal zawsze czarne mimo niezwykle gorącego klimatu. Moja nie mogła być wyjątkiem.

Takie są zasady prawa szariatu. Królestwo to jedyne państwo arabskie, które uznaje muzułmańskie prawo (właśnie szariat) za fundament systemu prawnego. Nie ma uzasadnienia dla faktu, że saudyjscy duchowni zmuszają do zakrywania się także kobiety, które nie są muzułmankami, choć w Koranie nie znajdziemy sankcjonującego to zapisu. Dla wprowadzających go w życie to nieistotny szczegół. Zdaniem kleru kobieta nie może mieć wyboru w kwestii zasłaniania się czy jakiegokolwiek innej; zakrywanie włosów i noszenie abai to w jego wersji prawa szariatu obowiązek bez względu na osobiste przekonania, w tym tak fundamentalne jak wyznawanie objawionych religii.

Prawo szariatu jest w Arabii Saudyjskiej sformułowane tak, jak nakazują wahhabicki klerikalni prawodawcy, zwolennicy najbardziej skrajnej odmiany islamu. Wahhabizm to ruch założony przez Muhammada bin Abd al-Wahhaba (zmarłego w 1792 roku), współczesny fenomen, który zniekształca wiele z muzułmańskich nauk przez krótkowzroczne, ciasne interpretacje wspaniałej religii. W jej miejsce tworzy sztywny ruch, który zaprzepaszcza wieki przemyślanego, pluralistycznego muzułmańskiego dyskursu i głębokich interpretacji, otwarcie oskarżając ich osiągnięcia naukowe o to, że są „innovacyjne” i zniekształcają boskie zalecenia.

Z biegiem czasu wahhabickie stanowisko wobec innowacji (które często wyraża się w postaci histerycznego przeciwdziałania dostrzeganemu „zakażeniu” zachodnimi ideologiami i zwyczajami) rozwinęło się w liczne prawa stworzone po to, by podporządkować i gnębić kobiety. Powołując się na szariat, kler zakazał im prowadzenia samochodów, zabronił kupowania nagrań muzycznych, sprawił, że nie mogą same zarezerwować pokoju w hotelu i usiłował (choć to się nie udało) wyperswadować pasażerkom zapinanie pasów na przednich siedzeniach samochodów z obawy o to, że będzie się odznaczał rowek między zasłoniętymi piersiami. Wcześniej wahhabici ciężko pracowali, by nie dopuścić do wprowadzenia w Królestwie telefonu, ponieważ obawiali się, że mógłby być wykorzystywany jako narzędzie szatana zachęcające do damsko-męskich kontaktów, i przez jakiś czas udało im się powstrzymać uruchomienie telewizji (haniebnych wrót złych, niemuzułmańskich wpływów), telewizji satelitarnej (międzynarodowej inwazji sił

szatańskich), a nawet Internetu (niepodważalnego zewnętrznego wroga dostępnego via dial-up, a teraz nawet gorzej - szerokopasmowego). Nowe dylematy zadręczające kler to między innymi potajemne kontakty obu płci za pośrednictwem bluetootha, kamerek w telefonach komórkowych i wiadomości tekstowych.

Współczesne siły wahhabickie w Królestwie są bardzo czujne, a interpretacje inne niż uznawane za właściwe, zgodnie z surowymi zasadami wahhabickimi, są haram; inaczej mówiąc - stanowią herezję. Kler skutecznie stłumił społeczną różnorodność i wypaczył muzułmańską myśl prawną, zmieniając ją w okrutny uprawomocniony apartheid - odseparowanie mężczyzn od kobiet, Saudyjczyków od nie-Saudyjczyków, wahhabitów od niewahhabitów.

Żyjąc w Królestwie, miałam się przekonać, jak daleko narzuconej przez państwo teokracji do prawdziwego islamu, a także jak rozdarci byli Saudyjczycy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Państwo nie reprezentowało już ich osobistych przekonań. Byli w takim samym stopniu ofiarami opresji jak każdy gość, który przyjeżdżał do ich kraju. Pewnie to samo można by powiedzieć także o tej części rodziny królewskiej, która w tak trudnych okolicznościach dzielnie tworzyła zręby postępowych reform.

Tak oto, mimo że islam twardo stoi na stanowisku, że w kwestiach wiary nie może być przymusu, z powodu wahhabickiego prawa szariatu musiałam przyjąć narzucony zwyczaj zasłaniania się. Dotknęła mnie opresja. Jej początkiem była zgoda na pracę w państwie policyjnym, następnie przejście przez Umajra kontroli nad moim paszportem, a potem moje podporządkowanie się w kwestii założenia abai oraz przygotowanie do przyjęcia ustanowionej prawem wyższości mężczyzn. Koniec końców tchórzliwie skapitulowałam, wykończona własnym sprzeciwem. Skuliłam się i wyciszyłam pod wpływem wszechobecnego widma obowiązującego wahhabizmu.

Teraz zastanawiałam się tylko, ile będzie kosztowała *abaja*. Postanowiłam nie traktować jej jak większej przeszkody niż ta, którą stanowił biały lekarski fartuch, noszony przeze mnie w pracy. Maurag obiecała, że pożyczy mi swoją starą abaję, żebym mogła bezpiecznie (jak to subtelnie ujęła, choć obie doskonale wiedziałyśmy, że miała na myśli „legalnie”) wyjść poza zamknięty kompleks i pojechać do centrum handlowego. Kiedy skończy się wieczorna modlitwa *al-isza* i sklepy znów zostaną otwarte po obowiązkowej

przerwie, miałyśmy kupić abaję.

^[12] Podczas gdy Saudyjczycy nigdy nie nazywają siebie wahhabitami, ja używam tego terminu na określenie wyjątkowo ortodoksyjnego, surowego i uwsteczniającego oblicza islamu. „Wahhabita” oznacza zwolennika wahhabizmu i jest powszechnie używanym terminem, który może mieć wiele znaczeń. Wahhabizm odnosi się do polemicznych nauk Abd al-Wahhaba z XVIII wieku (zostały one opublikowane w 1730 roku w jego dziele *Kitab at-Tauhid*, co tłumaczy się jako „Księgę monoteizmu”). Abd al-Wahhab był samozwańczym „reformatorem” muzułmańskim opowiadającym się za regresywną wersją islamu. Uznawał wszelkie interpretacje czy innowacje za niemuzułmańskie, co jest sprzeczne z poglądami muzułmanów należących do wielu odłamów głównego nurtu islamu, i propagował archaiczną surowość zasad, doprowadzoną do absurdałnej skrajności.

Podczas gdy termin „wahhabizm” został po raz pierwszy przypisany do tego regionu przez zachodnią dyplomację w XIX wieku (pojawił się w 1803 roku), obecnie stał się w zachodniej literaturze nierozdzielnie związany z radykalnymi manifestami narzucanej, przymusowej indoktrynacji uznawanej przez niektórych za islam.

Saudyjczycy nigdy nie nazywają siebie wahhabitami ani też nigdy w ten sposób mi się nie przedstawiali w czasie tych sześciu lat, kiedy przyjeżdżałam do Królestwa i w nim mieszkalam. W rzeczywistości uważają to pojęcie za obraźliwe ze względu na sugestię, że podąża się za Abd al-Wahhabem, a muzułmanom nie wolno czcić jakichkolwiek pośredników pomiędzy człowiekiem a Bogiem.

Znane jest wystąpienie jednego z cieszących się autorytetem książąt, Salmana bin Abd al-Aziza, gubernatora Rijadu, który w 1998 roku pogardliwie odniósł się do zewnętrznych komentatorów jako do „tych, którzy nazywają nas wahhabitami”, sugerując im tym samym fundamentalne niezrozumienie saudyjskiego islamu. Zamiast tego saudyjscy muzułmanie chętniej mówią o sobie, że są salafitami, *salafijjun*, co oznacza zwolenników „przodków” (arab. *salaf*), pierwotnych uczniów proroka Muhammada (Pokój z Nim), lub *muwahhidun*, co oznacza monoteistów.

W swojej książce zdecydowałam się na używanie terminu „wahhabizm” na określenie

wyjątkowo ortodoksyjnego, surowego i uwsteczniającego oblicza islamu, które stanowi znaczący element życia w Królestwie; i o ile nie jest on reprezentatywny dla wszystkich Saudyjczyków (a może nawet nie dla większości), jest terminem, który można przypisać usankcjonowanemu przez państwo i prawu nadzorowaniu przez duchowieństwo religii w Królestwie.

Dla głębszego zrozumienia tego zagadnienia odsyłam czytelników do źródeł akademickich wymienionych w bibliografii, w szczególności do znakomitej pracy Pascala Ménoreta *The Saudi Enigma*.

^[13] Mai Yamani, *Some Observations on Women in Saudi Arabia*, w: *Feminism and Islam, Legal and Literary Perspectives*, pod red. Mai Yamani, Ithaca Press, Reading 1996, s. 279.

^[14] Tamże.

ROZDZIAŁ 5

Niewidzialna i bezpieczna

Do centrum miasta dojechałyśmy taksówką. Po drodze Maurag tłumaczyła mi, żebym nigdy nie wsiadała do taksówki na postoju, tylko polegała na usługach transportowych, jakie oferował szpital. W Rijadzie nie trzeba było mieć licencji na taksówkę. Samotna kobieta z Zachodu narażała się na niebezpieczeństwo, bo jak odróżnić prawdziwego taksówkarza od takiego, który się pod niego podszywa? Moja ciemna azjatycka karnacja stanowiła dodatkowy problem. Zakryta mogłam uchodzić za Saudyjkę, a samotna saudyjska kobieta w taksówce sama prosi się o kłopoty. Dokąd mogła udawać się bezwstydną, pozbawioną honoru Saudyjką bez opieki? Tak prawdopodobnie zostałyby to odebrane.

Jazda po Rijadzie to koszmar. Testosteron z turbodoładowaniem, pozbawiony twórczego albo seksualnego ujścia, przekładał się na przyspieszenie. Droga była ponoć sześciopasmową autostradą prowadzącą do miasta, ale pasy pojawiały się i zanikały.

Ktoś minął nas utwardzonym poboczem z prędkością co najmniej stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Z niepokojem obserwowałam licznik, którym nasz nieprzypięty pasami kierowca nie wykazywał żadnego zainteresowania. Starym południowoafrykańskim zardzewiałym rzęchem jechaliśmy już sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Byłam wściekła. Idiotycznie kurczowo trzymałam się cienkiego szala, który okrywał mi włosy. Słowo *szwej* (wolniej) trafiało w próżnię. Czułam, że nie mam daru przekonywania i byłam coraz bardziej bezsilna.

W końcu dotarliśmy do centrum handlowego. Z zewnątrz była to elegancka konstrukcja ze szkła i marmuru, z błyszczącymi chromowanymi poręczami schodów. Wyglądała nowocześnie i znajomo, bo była utrzymana w zachodnim stylu. Centrum handlowe Al-Akarijja zachęcało do wejścia, mieniąc się neonami i fluorescencyjnymi barwami. Wewnątrz saudyjscy mężczyźni i kobiety przemierzali się, szeleszcząc strojami, skupieni na czwartkowych wieczornych zakupach. Tu niedostatek kolorów był uderzający; oprócz czarnych abai i białych saub nie było widać żadnych innych barw. Przysadziste

postaci wyraźnie odcinały się od lśniącego marmurowego tła; czarne zakryte sylwetki kobiet podążały za odzianymi na biało pulchnymi mężczyznami - mężami, ojcami lub synami. Byłam urzeczona tym widokiem.

Dzieci wyglądały jak mniejsze wersje rodziców; małe dziewczynki, nie więcej niż sześćioletnie, szły w skróconych zasłonach, a brzegi ich abai co chwilę wplątywały się w jaskrawe sandałki odkrywające palce. Kiedy się tak potykały, uświadamiałam sobie, że wewnątrz tych nieprzejrzystych sarkofagów zamknięte jest dzieciństwo. Mali umorusani chłopcy powłóczyli nogami, także potykając się o swoje krótkie białe szaty i spiesząc, by nadążyć za tatusiami. Zawsze kroczyli przed siostrami, wykorzystując dziecięcą wyższość swojej płci.

Widziałam przede wszystkim rodziny wielodzietne, co najmniej trójka lub czwórka dzieci przypadała na każdą zasłonę, której kształt i kolor sugerowały, że to matka. Dzieciaki w amoku biegły daleko przed rodzicami. Kobiety rozpaczliwie próbowały za nimi nadążyć, a toporne buty i kłębiące się pod nogami abaje utrudniały im posuwanie się naprzód. Pod spływającymi nierówno szatami można było dostrzec tenisówki na gumowych platformach - Rijad najwyraźniej był ich królestwem. Obserwowałam, jak w tych pokracznych butach wte i wewte płynęły po marmurowej alejce żaglówki zasłoniętych kobiet. Nie uświadczyło się tu torebek od Diora i obuwia Fendi, co widywałam u Saudyjek w Londynie. Na porządku dziennym był przede wszystkim kicz.

Na obrzeżach centrum handlowego, przy wejściach, zbijali się w grupki saudyjscy kawalerowie, którym nie wolno było wchodzić do środka w czasie przeznaczonym dla rodzin, kiedy to mogły robić zakupy tylko pary małżeńskie i samotne kobiety. Ochroniarze w asyście policjantów gromadnie obstawiali centrum. Funkcjonariusze mieli wojskowe mundury i czerwone berety, co było miłym dla oka urozmaicheniem kolorystycznym tej monotonnej scenarii.

Kobiety bez rodzin, takie jak my, trzymały się w grupkach po dwie lub trzy. Było tu wiele kobiet z Zachodu. Wyglądało na to, że Al-Akarijja jest ulubionym centrum handlowym cudzoziemców. Białe twarze wychylały się spod czarnych obowiązkowych abai; kobiety swobodnie rozmawiały, dziwnie rozluźnione często się uśmiechały, a ich niebieskie oczy patrzyły ciekawie spod wahhabickiego stroju. Tu i ówdzie jakiś kosmyk blond włosów

podstępnie wymykał się spod osłaniającej czerni. Od czasu do czasu szwedzki akcent wkradał się pomiędzy inne dźwięki, brzmiąc absurdalnie obco.

Tego wieczoru w centrum handlowym było także wiele innych kobiet. Krążyły tam młode Saudyjki z pokolenia Y; zza hidżabów widać było ich anemiczną bladość. Niektóre bez przerwy rozmawiały przez komórki, z zapalem lustrując wzrokiem towary. Nastolatki z zamożnych rodzin pod ciasno związanymi warstwami zasłony miały przymocowane płaskie mikrofony, prowokacyjnie umieszczone tuż przed niewidoczną pełnią ust ukrytych pod materiałem. Gdziekolwiek spojrzałam, spod chust wystawały takie słuchawki z mikrofonami; muzułmańskie madonny były pochłonięte sekretnym flirtowaniem ze swoimi bluetoothowymi chłopakami.

Przyglądałam się im uważnie. Dziewczęta często chichotały, ale zawsze cicho; żadnych rechotów na całe gardło. Były skrupowane; musiały powstrzymywać nawet tę ukradkową wesołość, mając stale na uwadze to, że mogą zostać przyłapane. Lata praktyki sprawiły, że bardzo się kontrolowały i zawsze ukrywały skradzione okrucy szczęścia. Najwyraźniej te kobiety były niezamężne. Nie towarzyszyły im dzieci, niewygodni nowo poślubieni mężowie, nie widać było u nich brzuszków ciążowych, które odznaczają się fałdami na abai. Były przebojowymi saudyjskimi singielkami, należały do najmodniejszej elity Rijadu. Zastanawiałam się, czy na swój sposób dobrze się bawią.

Przeszliśmy przez część restauracyjną. Przyglądałam się, jak ludzie z niecierpliwością przepychają się do przodu, żeby złożyć zamówienie na kebaby, lody i soki. Niesforne dzieci czekając, hałasowały i rozpychały się wśród dorosłych; tworzyły niewielkie skupiska chaosu. Nie było wyraźnej kolejki; każdy stał niejako w swojej kolejce - dosłownie. Zaniepokojone bezsilne kobiety z boku cierpliwie czekały na jedzenie, jak zwykle zdane na kogoś. Nie udało mi się znaleźć żadnej mieszanej grupy. Segregacja była wszechogarniająca: oddzielano Saudyjczyków od nie-Saudyjczyków, muzułmanów od niemuzułmanów, mężczyzn od kobiet, małżeństwa od singli. W Arabii Saudyjskiej podziały to podstawa - nawet wśród Saudyjczyków.

Ruszyliśmy w kierunku sklepów położonych na tyłach centrum handlowego. Znajdowały się tu rzędy butików, a każdy z nich dostarczał poliestrowe więzienia. Zaglądałam do środka przez okna wystawowe. Widać było na pozór identyczne czarne

peleryny. Podążając za Maurag, skręciłam do jednego ze sklepów. Wchodząc do środka, musiałyśmy się schylić pod niską belką. Podłoga była zarzucona krwistoczerwonymi, niezwykle oryginalnymi kilimami, choć efekt psuły plamy nieprzyjemnego zimnego światła rzucanego przez jaskrawe świetlówki. Duszna atmosfera wywołana przez ciepłą wełnę i zakurzone abaje spowodowała, że już sam zapach mnie zatykał. Wokół stali ekspedienci, bacznie się nam przyglądając.

Byli to sami mężczyźni, Saudyjczycy. Ustawili się na rogach kilimów, dlatego wyglądali jak wartownicy. W owym czasie kobiety w Królestwie nie mogły pracować w sklepach jako ekspedientki; nawet teraz wolno im obsługiwać klientki jedynie w tych centrach handlowych, w których obowiązuje segregacja płciowa - w ostatnich latach kilka takich przybyło. Właśnie dlatego, choć wydawało mi się to dziwne, wyłącznie mężczyźni mogli sprzedawać abaje. Mieszanina woni ich wód kolońskich osiągnęła punkt kulminacyjny mdlącej słodyczy. Wszyscy mieli po dwadzieścia kilka lat, ubrani byli w białe sauby, a ich brody wyglądały tak, jakby ktoś namalował je maskarą; starannie wypielęgnowane oznaki wyraźnej próżności.

Kupowanie abai było jak wypożyczanie togi na rozdanie dyplomów - koszmarnie nudne. Stojak za stojakiem pełne czarnych peleryn i pasujących do nich szali, które zwisały z wieszaków, porozciągane w każdą stronę. Może z pomocą przyjdą chociaż metki. Zaczęłam przyglądać się cenom i ze zdumieniem odkryłam, że niektóre abaje kosztują 1800 riali saudyjskich (ponad 500 dolarów). Wiele było ozdobionych misternym rękodziełem, cekinami, szkiełkami, a nawet kryształami Swarovskiego. Ceny znacznie przekraczały moje możliwości.

Od Maurag, która była Australijką, dowiedziałam się w tym sklepie więcej na temat muzułmańskich okryć niż od jakiegokolwiek kobiety ze swojej rodziny. Dla zabicia czasu powtarzała mi na przykład plotki na temat tego, że w bardziej liberalnej Dżuddzie nosi się publicznie niebieskie abaje, co tutaj, w Rijadzie, było nie do pomyślenia. Nie mogłam uwierzyć, że kobiety wciąż entuzjazmowały się perspektywą reform, które miałyby polegać na złagodzeniu zapisów w kwestii ustalonego prawem koloru. Kilka lat później wyrażanie własnego „ja” w Rijadzie polegało na noszeniu abai wykończonej wzorem w kratę Burberry czy, dla bardziej odważnych, z wyhaftowanymi zwierzętami, kwiatami, znanymi postaciami, a nawet sloganami na rękawach lub z tyłu.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wybrać coś dla siebie. Pobieźnie przejrzawszy abaje, sięgnęłam po jedną z nich i przymierzyłam we wnęce za kotarą. Miała trzy frędzle - z przodu i przy każdym z rękawów. Była jedną z najtańszych w tym sklepie. Obserwowałam, jak martwa abaja nabiera życia. Była moja.

Miała brzydki dekolt wycięty w łódkę i zapinany na tandetne zatrzaski. Wewnętrzne wiązanie na wysokości talii, wykonane z przezroczystej taśmy, przytrzymywało abaję na miejscu, a gładki czarny szal ze śliskiego poliestru uzupełniał mój nowy zestaw do chodzenia po mieście. Powinnam była przed zakupem zrobić test dźwiękowy; stereofoniczny szelest doprowadzał mnie później niemal do szaleństwa.

Zapięłam abaję przed lustrem w prowizorycznej przymierzalni i przyjrzałam się przemianie. Wkrótce całkowicie zanurzyłam się w czerni. Po kobiecej sylwetce nie pozostał żaden ślad. Doppełniła się moja androginia.

Spojrzałam na odbicie swojej twarzy w lustrze; ciemne oczy oceniały nową postać na użytek publiczny, a gęste włosy, przygniecione, zniknęły z pola widzenia. Jaka mała główka, pomyślałam, zaskoczona własną próżnością. Głowa wydawała się nieproporcjonalna - kiepski maszt dla zasłony. Przyjrzałam się sobie uważniej. Zasłona była osobliwie kuszącym więzieniem. Mogę uchodzić za Saudyjkę, uznałam naiwnie. Mając na sobie abaję, jestem jedną z tłumu, pomyślałam, nagle podekscytowana. Mogłam poruszać się w tym społeczeństwie niezauważona. Kto wie, co zobaczę i czego się dowiem dzięki swoim niewidocznym oczom.

Zapłaciłam 270 riali saudyjskich (70 dolarów) za abaję, rzucając ekspedientowi jaskrawe banknoty. Chciałam wyjść w niej ze sklepu, sprzedawca zapakował więc do pudełka starą abaję Maurag (którą właśnie porzuciłam na rzecz nowego nabytku); obchodził się z nią tak ostrożnie, jakby to była suknia od Balenciagi. Wydawało mi się idiotyczne, żeby taką czcią otaczać kawałek czarnej szmaty. Mężczyzna wręczył pudełko Maurag, która wyglądała na nieporuszoną moją transformacją; nie raz widziała już podobne metamorfozy. Zlekceważyłam jej brak entuzjazmu i wyszłam ze sklepu, by wypróbować swój pancerz.

Natychmiast poczułam się bezpieczniej. Zasłona odpierała natrętne męskie spojrzenia.

Byłam osłonięta, nie do zdobycia i co najważniejsze - zupełnie niewidoczna. *Abaja* nie ograniczała swobody ruchów. Ta, na którą się zdecydowałam, była bardzo lekka (wybrałam ją, mając na względzie nadchodzące upalne lato) i mogłam iść w niej szybko - w takim tempie, w jakim zwykle poruszałam się na Zachodzie.

Byłam zafascynowana swoim „unicestwieniem”. W pewien sposób moja kobiecość nie mogła się doczekać tego dziwnego odrodzenia, które się z nim wiązało. Dzięki niemu też mogłam mieszkać i pracować w Królestwie. W abai czułam się zaskakująco wolna. To był początek mojego społecznego samobójstwa.

Odkrywałam to, co wiele saudyjskich kobiet już wiedziało - że jedynym sposobem, by wkroczyć do sfery publicznej i uczestniczyć w życiu społecznym Królestwa, jest znalezienie się pod osłoną abai. Pod pewnymi względami zasłona była potężnym narzędziem kobiecego wyzwolenia spod klerykalnej męskiej mizoginii. Przypominałam sobie o abai jako sztandarze feminizmu za każdym razem, gdy miałam do czynienia z niezwykle saudyjskimi kobietami, które ze mną pracowały. Mimo to wielokrotnie czułam ogromną niechęć wobec przymusu, jakim było to uwięzienie. Dopiero później zaczęło do mnie docierać znaczenie niepisanego paktu, jaki zawarłam ze światem wahhabizmu. Chociaż zasłona była lekka, to dla mnie i dla wielu innych kobiet zarówno z Zachodu, jak i dla Saudyjek, miała stać się jednym z najcięższych brzemion, jakie przyszło nam nosić w Arabii Saudyjskiej. W moim przypadku jedynie obowiązki związane z kobiecością były cięższe.

Gdy wychodziłyśmy ze sklepu, Maurag bezwstydnie pozwoliła, by chusta zsunęła się jej z głowy. Wcale się tym nie przejęła. Idąc kilka kroków za nią, widziałam, że tu wyglądało to niczym scena z filmu dozwolonego od lat osiemnastu. Intensywnie rude włosy i wyraźny brzuszek ciężowy widać było w całej okazałości. Biorąc pod uwagę surowe prawa obowiązujące w zakrytym Królestwie, to czysta pornografia.

Chociaż w tej części centrum handlowego było dosyć pusto, czułam się coraz bardziej niekomfortowo. Poliestrowa zasłona, tworząca swego rodzaju ochronny klosz, skrywała mnie przed otoczeniem, ale pod nią czaił się niepokój. Z czego wynikał? Maurag była moją jedyną przewodniczką i to z nią miałam wracać do kompleksu wojskowego. Jeśli coś jej się stanie, co będzie ze mną? Czułam się zdumiewająco bezsilna.

I wtedy właśnie go zobaczyłam. Urzeczywistniły się moje najgorsze obawy. *Mutawwa* (przedstawiciel policji religijnej)^[15], napawając się niedozwolonym widokiem, zbliżał się do swojej ofiary. Pojawił się niepostrzeżenie, mimo że wokół było niewielu ludzi.

Wszyscy *mutawwa'in* zapuszczali bujne brody różnej długości, ponieważ tego wymagała religia. Tak było również w tym przypadku. Przepisowa broda była nieprzystrzyżona - nie wolno jej skrócić, dopóki mężczyzna nie może chwycić tworzących ją włosów w garść. *Mutawwa* nosił taką samą białą saubę jak przeciętny Saudyjczyk, ale krótszą, więc widać było owłosione nieumięśnione golenie. Na wierzchu miał ciemnobrązowy płaszcz zwany bisztem, wykonany z półprzezroczystego muślinu i wykończony misternym złotym haftem. Delikatny materiał ostro kontrastował z odrażającym cielskiem. Byłam skonsternowana. Raziła mnie zwłaszcza ta złota nić, zbyt bogata, jak na ponoć ascetycznego świętego męża, i przywodząca na myśl strój królewski - znak rozpoznawczy saudyjskich monarchów (oni także nosili biszty) - tak jakby obydwie płaszcze zostały uszyte z tego samego materiału.

Na czubku głowy *mutawwa* miał białe nakrycie, które zwisało aż do wydatnego brzucha. Tkanina trzymała się bez żadnego widocznego mocowania, jeśli pominąć tradycyjną czarną obręcz noszoną przez saudyjskich mężczyzn jako uzupełnienie nakrycia głowy, i nachodziła na twarz, przysłaniając część czoła i tworząc niewielki daszek. Ograniczała mu widzenie wokół, co było doskonałą metaforą wąskich horyzontów i nieelastycznych zasad.

Mutawwa podpierał się laską. Szedł wąską alejką, jakby balansował na cienkiej linii ekstremizmu. W prawej dłoni trzymał drewniany różaniec. Wyglądało na to, że różaniec pomagał mu się uspokoić; kręcił nim coraz szybciej i szybciej wraz z rosnącym rozdrażnieniem, jakie wywołało wykroczenie, którego dopuściła się Maurag. *Mutawwa*, apodyktyczny i arogancki, zażądał stanowczym tonem:

- Zakryć włosy!

Zaniepokojone kobiety szybko przemknęły obok nas, znikając z pola widzenia w obawie, że zostaną wciągnięte w konflikt. Miałam wielką ochotę do nich dołączyć. Przyglądałam się tej scenie, stojąc z boku, kilka kroków na lewo od Maurag. *Mutawwa* nie był sam; towarzyszył mu znudzony chudy policjant, który niemal zniknął za otyłą sylwetką,

będącą symbolem nietolerancji. Maurag wysunęła szczękę, dając do zrozumienia, że jest przekonana o swojej racji. Szykowała się do riposty.

- Nie zamierzam zasłaniać włosów! Mój mąż tego nie wymaga! Pozwala, żebym chodziła niezasłonięta! - mówiła ze złością. Poluzowało się wiązanie abai i wystawał jej ciężowy brzuch. Mimo że była wściekła, rozmawiając z mutawwą, powoływała się na autorytet mężczyzny, zamiast użyć swojego.

- Musi je pani zakryć! - żądał *mutawwa*. - Natychmiast zakryć włosy! - powtórzył i zwrócił się po arabsku do stojącego obok znudzonego policjanta.

Może skończył mu się zasób angielskich słów, pomyślałam.

Policjant wciąż milczał.

To był pierwszy *mutawwa*, jakiego widziałam. Oczywiście mężczyzna. Szybko przyzwyczałam się do zmory, jaką były patrole powołanej przez państwo policji religijnej. Równocześnie czułam odrazę i byłam zafascynowana. Chciałam się im bardzo dokładnie przyjrzeć, ale śmiałe spojrzenie było zakazane.

Mutawwa był wysoki i, ze względu na swoje cielsko oraz wiążącą się z tym siłę, wyglądał przerażająco. Jednak, co wydawało mi się niezrozumiałe, Maurag w najmniejszym stopniu nie wyglądała na przestraszoną; miałam nawet wrażenie, że zrobiła bezczelną minę. Byłam zaskoczona, a właściwie zmartwiona jej niemądrą odwagą. Nie mogłam uwierzyć, że zafundowała nam takie przedstawienie, i to podczas mojego pierwszego w Arabii Saudyjskiej pobytu w miejscu publicznym. Myślałam, że jest rozsądniejsza.

Cóż, tak właśnie wyglądały moje pierwsze nieśmiałe kroki w nowiutkiej abai. Stałyśmy rzut beretem od sklepu, w którym ją kupiłam, a Maurag już zdążyła sprowokować *mutawwę*. Zamiast czuć złość na niego, ze zdziwieniem stwierdziłam, że jestem zła na nią.

Złorzecząc, Maurag narzuciła zmięty szal na rude włosy. Kipiała ze złości. *Mutawwa* powoli wycofywał się z powrotem do kryjówki, w której wcześniej się czał. Westchnęłam z ulgą pod zasłoną, którą trzymałam kurczowo przy twarzy podczas całego zajścia.

Mutawwa zniknął. Wciąż jeszcze przestraszona poprawiłam szal, mocno zawiązując go pod brodą na podwójny supel niczym bandaż na zranionej głowie. Nieważne, że pewnie brzydko wyglądał; w ten sposób się trzymał. Przywołałyśmy taksówkę.

Jedno krótkie wyjście poza kompleks, w którym mieszkałam, wystarczyło, żebym się przekonała, że jeśli chodzi o nietolerancję, to mój nowy dom znajduje się w samym środku gniazda os - w Rijadzie, siedzibie wahhabickiego kleru. Nadżd, kraina geograficzna, której stolicą jest Rijad, to jednocześnie geograficzne centrum Arabii Saudyjskiej i ośrodek władzy klerykalnej. W Rijadzie wahhabickie szkoły podtrzymywały uciążliwe status quo w trójkącie: plebs (do którego teraz należałam), władcy - saudyjska monarchia, i kler. To podsycane napięcie pomiędzy proletariatem, księżętami i ziejącym nietolerancją duchowieństwem pozwalało Królestwu jakoś funkcjonować. Podczas pobytu w Rijadzie byłam zamknięta w poliestrze, unikając konfrontacji ze swoim dotychczasowym stylem życia. Na szczęście niezależnie od tego, czy nazwiemy to społecznym samobójstwem, czy nie, nigdy nie mogłabym się do tego przyzwyczaić.

^[15] Zazwyczaj termin „*mutawwa*” jest używany w odniesieniu do świętych mężów, stanowiących źródło nauk religijnych w lokalnych społecznościach, lub nauczycieli religii, jednak nawet sami Saudyjczycy często używają go, kiedy mówią o policji religijnej (przyp. aut.).

ROZDZIAŁ 6

Saudyjki, które tańczą same

Moje zainteresowanie Królestwem rosło, a wraz z nim poszerzały się obserwacje dotyczące świata zewnętrznego. Początkowo samotność urozmaicali jedynie pacjenci i osoby, z którymi pracowałam. Brakowało mi przyjaciół i miałam już dość tego dotkliwego odosobnienia. Pewnego późnego popołudnia, kiedy szłam na OIOM, minęłam otwarte drzwi szpitalnej biblioteki, za którymi zauważyłam zakryte zasłonami i szimaghami głowy uczących się pilnie lub wpatrujących w monitory komputerów. Kusiło mnie, żeby wejść, ale byłam spóźniona. Już miałam się odwrócić, gdy spojrzałam przed siebie i rozpoznałam Zubajdę, specjalistkę od żywienia z OIOM-u, która wychodziła właśnie z biblioteki i szła w moją stronę, najwyraźniej żeby ze mną porozmawiać.

Miała na sobie biały fartuch lekarski do kolan, zapięty aż po szyję, i starannie zawiązany szal w przepisowej czerni (a jakżeby inaczej). Spod fartucha spływały szarosrebrne fałdy szyfonowej spódnicy opadającej na niemożliwie białe stopy w pobłyskujących finezyjnie pantoflach z odkrytymi palcami. Miała nieopilowane paznokcie u stóp, podobnie zresztą jak u rąk, co spostrzegłam, gdy wyciągnęła dłoń na powitanie. Rękaw uniósł się wówczas odrobinę, odsłaniając na nadgarstku charakterystyczną tarczę szwajcarskiego zegarka z diamentami. Na serdecznym palcu prawej dłoni błyszczał pojedynczy kosztowny, wysadzany kamieniami pierścionelek, który wskazywał, że Zubajda, tak jak ja, była niezamężna.

- *As-salamu alejkum, doktora Ahmed* - przywitała mnie z uśmiechem. - Jak się pani podoba Rijad? - Jej aksamitny głos z akcentem łączącym na wpół kontynentalny jordański i francusko-szwajcarski charakteryzowała śpiewna intonacja, przydająca uroku niedoskonałej gramatyce angielskiej. Wyglądała na szczerze zainteresowaną odpowiedzią, a jej spokojny szczyry uśmiech był pełen cierpliwości.

Zastanawiałam się nad dyplomatyczną odpowiedzią. Jak miałam powiedzieć tej uroczej kobiecie, że na razie jej kraj wywarł na mnie wrażenie mniej niż zachęcające?

Ciekawe, jak jej się podoba Rijad? - pomyślałam ironicznie. Uznałam, że lepiej będzie, jeśli w ogóle nie odpowiem.

- Mów mi po imieniu, proszę. Jestem Qanta. Od jakiegoś czasu noszę się z zamiarem zaproszenia cię na kawę. Wspaniale byłoby porozmawiać, jeśli tylko znajdziesz czas. Dam ci mój numer. - Zaczęłam gryzmolić na kartce niemożliwie długi numer telefonu, wspólny dla wszystkich mieszkańców kompleksu; po nim wybierało się jeszcze numer wewnętrzny. Zubajda podała mi swój numer telefonu, co pozwoliło stwierdzić, że jej dom znajdował się poza kompleksem, i dodatkowo numer komórki. Wówczas, pod koniec lat dziewięćdziesiątych, telefon komórkowy był rzadkim udogodnieniem. Zubajda była osobą dobrze sytuowaną.

Nawet podczas tego pierwszego przelotnego spotkania, które trwało zaledwie kilka minut, nie mogłam nie zauważyć eleganckiego stylu Zubajdy pomimo obowiązkowego zakrycia, a może z tego właśnie powodu nawet bardziej rzucającego się w oczy. Odpowiednio zawinięty na włosach hidżab eksponował jej wyjątkową twarz. Miała pozbawioną zmarszczek nieskazitelną cerę w odcieniu kremowego alabastru. Z jej twarzy emanowało światło, którego ponura czerń chusty nie była w stanie stłumić. Pozdrowiła mnie ze szczerym entuzjazmem, który wyrażał się przyjacielsko uniesionymi brwiami w kolorze miodu, wieńczącymi szarobrazowe oczy. Zubajda była wyjątkowo piękną kobietą. Gdy przyglądałam się jej spojrzeniu, uznałam, że najprawdopodobniej jest mnie równie ciekawa, jak ja jej.

Chciałam porozmawiać z tą Saudyjką już od kilku tygodni, ale dotychczas wymiana zdań dotyczyła jedynie zapotrzebowania energetycznego pacjentów. Zubajda była przykładem saudyjskiego profesjonalizmu; nie tylko zakrywała ciało, ale, jak przystało na prawdziwą muzułmankę, dbała także o stosowne zachowanie na mieszanym pod względem płci OIOM-ie. Zwróciłam uwagę, że nigdy nie nawiązywała bezpośredniego kontaktu wzrokowego z żadnym ze współpracujących ze mną kolegów, zawsze czekała, aż zostanie poproszona o wydanie fachowej opinii, a w miejscach publicznych zachowywała powściągliwość. Przez pomyłkę wzięłam tę jej zdystansowaną postawę za nieśmiałość. Teraz zaskoczyła mnie odwzajemnioną ciekawością. Zastanawiałam się, czego jeszcze się o niej dowiem.

Tak rozpoczęła się moja przyjaźń z Saudyjką, przyjaźń, która zaprowadziła mnie do

kolejnych. Zubajda otworzyła mi drzwi do Królestwa. Była moją przewodniczką po życiu innych ludzi wewnątrz tego szklanego klosza.

Parę tygodni po naszym pierwszym spotkaniu wspomniała, że robi imprezę z okazji rozpoczynającego się ramadanu, w przeddzień najświętszego miesiąca w muzułmańskim kalendarzu. Zaprosiła mnie. Słyszałam, że w czasie ramadanu policja religijna szczególnie gorliwie egzekwuje przestrzeganie trudnych muzułmańskich rytuałów związanych z całodniowym postem. Obawiałam się tego miesiąca, a teraz, gdy nawet Zubajda powiedziała, że podczas ramadanu będzie w Rijadzie ciężko, poczułam jeszcze większy niepokój. Wyglądało na to, że moi znajomi ekspaci, weterani życia w Arabii Saudyjskiej, słusznie ostrzegali mnie przed świętym miesiącem w Królestwie. Zanim jednak miały się zacząć dni ascezy, postu i modlitw, Zubajda wydawała przyjęcie w ramach ostatnich przygotowań i świętowania. Impreza miała się odbyć u niej w domu, a ja miałam tam być po raz pierwszy. Zaproszenie bardzo mi schlebiało, więc uszczęśliwiona natychmiast je przyjąłam.

W dniu imprezy zaczęłam martwić się o strój. Co mogłam na siebie włożyć, żeby wyglądać odpowiednio? Chciałam, żeby pierwsze kroki, jakie stawiałam w tej prawdziwej Arabii Saudyjskiej, należały do udanych i, co najważniejsze, nie były ostatnimi. Pospieszyłam więc do domu, żeby zrobić przegląd mojej skromnej garderoby.

Późnym popołudniem przejrzałam szafę. Weselsze i odważniejsze kreacje zostały w Nowym Jorku i czekały, aż wrócę do „zachodniego życia”. Tutaj, do Rijadu, przywiozłam tylko to, co można było uznać za odpowiednią konserwatywną garderobę: spodnie z szerokimi nogawkami we wszystkich możliwych ciemnych kolorach, niezliczone białe golfy i koszule z długimi rękawami, kilka długich, sięgających do kostek spódnic i buty do kolan. Podsumowując, była to wahhabicka garderoba w pigułce. Po przejrzaniu ubrań, jakimi dysponowałam, wciągnęłam na siebie beżowe spodnie i biały golf. Uzupełniłam ten niezbyt efektowny strój świecącym paskiem, jakąś biżuterią i użyłam szminki w żywym rubinowym kolorze. Tak jest dobrze, pomyślałam; nikt nie będzie czuł się urażony gołą skórą czy krótką sukienką. Dodatkowo w grudniu było już chłodno, więc skoro impreza rozpoczynała się o dziewiątej, w drodze powrotnej mógł wiać chłodny wiatr od pustyni.

Cały strój przykryłam abają, niwecząc tym samym mizerne wysiłki, by wyglądać

stylowo. Starannie zawiązałam na głowie chustę i byłam gotowa na pierwszy wieczorny wypad. Gdy na odchodnym spojrzałam na swoje odbicie w lustrze umieszczonym w przedpokoju, jedynym znajomym elementem mojego „ubranego ja” była szminka, czerwona jak światło sygnalizatora. W trakcie tych zaledwie kilku tygodni wszystko zdążyło się we mnie zmienić nie do poznania. Wyszłam z budynku i czekałam; ze wszystkich stron otaczała mnie cisza. Wieczorny wiatr smagał delikatnie policzki. Poprzedzona światłem reflektorów zatrzymała się taksówka, do której gestem zaprosiły mnie dwie dziewczyny, także wybierające się na tę imprezę. Miałam podwózkę.

Wskoczyłam do środka, uważając, by nie przytrzasnąć drzwiami abai oraz szala, i odwróciłam się, żeby przywitać się ze współpasażerkami. Te kobiety także mieszkały w kompleksie i pracowały razem z Zubajdą w sekcji zajmującej się żywieniem; były dietetyczkami. Jedna z nich to śliczna blondynka, Irlandka, druga - wysoka, z olśniewającymi rudymi włosami Christine, Kanadyjka. Christine mieszkała w Królestwie już od jakiegoś czasu i dobrze znała Zubajdę. Po drodze ucięłyśmy sobie pogawędkę o domu (który zawsze gdzieś był, niezależnie od tego, jak długo ktoś mieszkał w Królestwie). Wymieniłyśmy podobne refleksje o przystosowywaniu się do tutejszego życia. Wspomniałam Christine, że ogromnie tęsknię za kołdrą wypełnioną kaczym puchem, którą zostawiłam w Nowym Jorku. Zatkąło mnie z radości, kiedy dziewczyny powiedziały, że mogę sobie kupić nową w IKEA! W Rijadzie? Był tu rynek na skandynawskie meble? Jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić Saudyjczyka, który zabiera się do samodzielnego montażu regału.

Po drodze dowiedziałam się, że Christine służyła w kanadyjskiej armii i zanim została tu dietetyczką, brała udział w ONZ-owskiej operacji wsparcia pokoju, patrolując Wzgórza Golan. Różnorodność doświadczeń ekspatów była uderzająca. Ich losy kryły o wiele więcej tajemnic, niż mogłoby się wydawać; niejednokrotnie okazywało się, że mieszkali przedtem w kilku krajach i wykonywali w swoim życiu więcej niż jeden zawód.

Kierowca jechał na zachód, wzdłuż ulicy Al-Churajs, jak zwykle zresztą. Nasz kompleks znajdował się na wysuniętym najdalej na wschód obszarze nadającym się do zamieszkania, dalej wszystko pochłaniała pustynia. Dziś wieczorem jechaliśmy w stronę miasta i wkrótce utknęliśmy w szybko powiększającym się korku. Dom Zubajdy był położony na skraju mieszkalno-handlowej dzielnicy Al-Ulajja. Stał w pobliżu ulicy Sittin, stanowiącej modny adres na zakupy i często odwiedzanej przez miejscowych. Zubajda mieszkała

w samym sercu Rijadu.

Dzisiejszy wieczór, tuż przed rozpoczęciem ramadanu, był ostatnim wytchnieniem dla wszystkich mieszkańców tego czteromilionowego miasta. Panowała atmosfera oczekiwania na skondensowane przyjemności. Ludzie zamierzali zaszaleć, choćby w zaciszu domowym, zanim nastanie czas całomiesięcznego postu. Był powód, by świętować; nadchodził miesiąc pełen radości i satysfakcji dla pobożnych muzułmanów. Stłumione podniecenie mieszało się z pełnym niepokoju wyczekiwaniem, wytwarzając nowe pokłady energii w zazwyczaj dość odrętwiałym i smutnym Rijadzie. Napięcie wisiało w powietrzu.

Gdy mknęliśmy ulicą Al-Churajs, sześciopasmówką, po obu stronach z niebezpieczną prędkością ścigały się samochody, pozostawiając nas daleko w tyle. Jechaliśmy sto pięć kilometrów na godzinę środkowym pasem, ponoć wolniejszym, tak zwanym pasem dla ekspatów. Zapięłam pas bezpieczeństwa i starałam się skoncentrować bardziej na budynkach niż na samochodach; na cokolwiek, co odwracałoby uwagę od wybryków kierowców prowadzących z zawrotną prędkością auta, które niemal się o nas ocierały.

Wyteżałam wzrok, żeby lepiej widzieć przez tandetne przyciemnione nakładki przyłączone do szyb taksówki. Minęliśmy lśniący budynek Lucentu opuszczony już przez pracowników, następnie Zahid Tractors z rzędami błyszczących ciężarówek w kolorze słoneczników. Po prawej mignął kompleks Astra, także należący do Gwardii Narodowej, gdzie mieszkali nasi saudyjscy współpracownicy, oddzieleni od nas, pracowników zagranicznych. Po przeciwnej stronie ulicy ciągnęły się przedstawicielstwa handlowe firm samochodowych - Toyota, Cadillac, Porsche; auta osobowe i ciężarówki pobłyskiwały w wieczornym świetle, czekając na chętnego, swojego pierwszego właściciela płci męskiej.

W ciągu piętnastu minut dojechaliśmy do centrum. Jasno oświetlona przestrzeń publiczna przechodziła w centra handlowe i targowiska, zalane tego wieczoru przez tłumy Saudyjczyków niosących ogromne zakupy w przepelnionych plastikowych koszach i skrzyniach. Nocne niebo podświetlały neony punktów z fast foodem. Bezsensowna urbanistyka zdominowana przez niekończące się drogi szybkiego ruchu, obudowane siedzibami komercyjnych firm, przypominała typowo amerykański krajobraz. Zagospodarowanie przestrzenne polegało tu chyba tylko na ustawieniu bloków w rzędach, co tworzyło dziwny kostropaty obraz; nowoczesne budynki komercyjne i mnóstwo pustych,

które stały tuż obok siebie, stosy rozgrzebanej jałowej ziemi; irytująca pozostałość po tym, co się tu musiało dziać zaledwie kilka lat wcześniej. Przez całą drogę nie było widać trawy, żadnych parków miejskich ani drzew, które dawałyby cień. Rijad był zbudowany z betonu, szkła i piasku zabezpieczonego smolistą zaprawą; powstał dzięki ropie i taniej zagranicznej sile roboczej. W tym całkowicie stworzonym przez człowieka mieście jedynym ożywczym elementem były śmieci, które fruwały poruszane pędem powietrza przemieszczającego się na skutek potwornego ruchu samochodowego.

Mimo że zmierzch zapadł trzy godziny wcześniej, nad naszymi głowami wciąż nie było ciemno. Niebieskometaliczne nocne niebo, którego bezkres podkreślały przysadziste budynki, miało odcień najciemniejszego szafiru, ale nigdy nie było czarne. Oświetlało je silne światło księżyca, nie bez znaczenia był też efekt zanieczyszczenia świetlnego. Bezchmurne niebo nie mogło wchłonąć księżycowej poświaty. Filigranowy zarys meczetu w ażurowe wzory nieznacznie odcinał się na tle aksamitnej nocy. Brak parków i różnego rodzaju usług rekompensowały domy modlitwy. Niemal każdy budynek, w którym niczego nie sprzedawano, oferował Boga.

Niezliczone okrągłe kopuły i szkieletowe minarety przenosiły mnie w nową rzeczywistość, nie pozostawiając wątpliwości, że to Arabia. Żadne pylony, fast foody czy amerykańskie samochody nie były w stanie odwrócić od tego uwagi. Gdy podziwiałam meczety na pozór ciągnące się w każdą stronę, ze zdumieniem odkryłam, że czuję niespodziewaną tęsknotę za utraconymi kościołami Nowego Jorku. Brakowało mi kościoła z sąsiedztwa, który znajdował się dwa kroki od mojego pierwszego mieszkania. Brakowało mi zapraszającej ciszy kościoła Świętego Patryka, która dawała wytchnienie we wściekłym centrum miasta. Uśmiechnęłam się, gdy przypomniałam sobie mój ulubiony hymn *Ślubuję Tobie, Ojczyzno* z wczesnego dzieciństwa, ze szkoły prowadzonej przez Kościół anglikański. Nigdy nie zabrzmiał na tych równinach. W duchu zaczęłam sprawdzać samą siebie. Mimo upływu lat wciąż byłam w stanie wyrecytować *Modlitwę Pańską*. Moja znajomość islamu opierała się na wiedzy zaczerpniętej z książek autorów różnych wyznań, przede wszystkim chrześcijaństwa. Mój islam nie narodził się w monolitycznej próżni, z jaką miało się do czynienia tutaj. W Rijadzie istniał jeden smak dla wszystkich, jeden jedyny. Wszystkie inne były wykluczone. Nawet tutejszy islam oficjalnie należał do jednej odmiany. Wpatrywałam się w mnogość meczetów, jednocześnie uderzająco pięknych i osobliwie złowieszczych.

Taksówka zwolniła i skręciła w prawo z ulicy Sittin. Tocząc się boczną ulicą, zbliżaliśmy się do meczetu, z którego wylewali się wierni. Właśnie zakończyła się *al-isza* (wieczorna modlitwa). Fluorescencyjna poświata rzucana przez jaskrawe światło z minaretu skąpała ulicę w krzykliwej zieleni. Niskie odziane w sauby postaci rozpierzchły się przed maską samochodu; to chłopcy, którzy bawili się na ulicy. Jeden z nich, kopiąc zakurzoną piłkę futbolową, szedł na czele chmary pozostałych, którzy z zapalem dreptali w zapiaszczonych sandałach. Skręciliśmy w lewo naprzeciwko kolejnego meczetu i tam się zatrzymaliśmy. Staliśmy przed domem Zubajdy.

Wygramoliłyśmy się z samochodu i rozprostowałyśmy abaje; rozejrzałam się wokół. Nie było chodnika. Pod stopami leżała gruba warstwa pyłu, który przykrywał czarny niegdyś asfalt. W pyłe stały niewielkie kałuże ropy. W zasięgu wzroku jak zwykle nie było żadnego drzewa. Okolica nie wyglądała zachęcająco, nie sprawiała też wrażenia bogatej. Gdy zbliżyliśmy się do bramy, dostrzegłam jednak zaparkowane przed domem samochody: jaguara, dwa mercedesy, kilka innych niemieckich aut. Musiała to więc być bogata dzielnica, a chłopcy w zapiaszczonych, znoszonych sandałach nie mieszkali w tych domach; tyle już wiedziałam.

Christine nacisnęła zakurzony dzwonek, dotykając pękniętej osłonki. Skomplikowana brama górująca nad naszymi zakrytymi głowami - stalowa biała konstrukcja wspierana przez metalowe płyty w kolorze błękitnym - po chwili otworzyła się z jękiem. Dom był otoczony murem o wysokości ponad sześciu metrów niczym barykadą.

Przeszłam przez bramę, wkraczając w życie innych osób. Po obu stronach zadbane trawniki były obstawione pojemnikami z terakoty, z których wylewały się piękne purpurowe pelargonie. Te same mury, które z zewnątrz wyglądały tak złowieszczo, widziane od wewnątrz dawały poczucie bezpieczeństwa. Cieszyłam się, że jestem już w środku, schowana w prywatnym zaciszu, i natychmiast poczułam, jak się rozluźniam. Na szczycie niewielkich schodów znajdował się taras, na który wychodziły podwójne przeszklone drzwi w białych ramach. Niezależnie od tego, jak często odwiedzałam później dom Zubajdy, nigdy nie przyzwyczaiałam się do tego wejścia przez taras. Zawsze miałam wrażenie, że po kryjomu przemykam się tylnymi drzwiami.

Otworzyła filipińska służąca i bez słowa wprowadziła nas do środka. Przyglądałam się

figurkom Dauma i ogromnemu stolikowi kawowemu Lalique w ekstrawaganckim wnętrzu w stylu Liberace'a, aż pojawiła się Zubajda. Witając nas, mieniła się wszystkimi kolorami na tle swojego domu z białego marmuru. Wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle, inaczej też się poruszała, nawet inaczej modulowała głos. Mogłam teraz zobaczyć, że jej włosy były koloru złotobrazowego; swawolnie wywinięte do góry tworzyły wyjątkowo eleganckie delikatne fale. Spojrzałam na nią, jakbym widziała ją pierwszy raz. Nie mogłam wprost oderwać wzroku i właśnie wtedy dotarło do mnie, jaką moc ma zasłona. Włosy odmieniają kobietę. Byłam podekscytowana, a zaraz potem zawstydzona, że patrzyłam na Zubajdę w sposób, w jaki zapewne patrzyłby na nią mężczyzna. Na chwilę sparaliżował mnie widok jej odsłoniętych włosów i zachwycająca uroda.

To, co zakazane, staje się o wiele bardziej kuszące niż to, co zawsze pozostaje na widoku. Byłam zdumiona, że Zubajda w nowej odsłonie wywarła na mnie takie wrażenie. Przez chwilę poczułam nawet zazdrość, że zamyka swoją urodę w klatce, że dzieląc się nią tylko z nielicznymi wybrańcami. Zaczęłam też trochę żałować, że sama nie traktuję swojego wizerunku z taką powagą i wyczuciem, lecz na co dzień podaję siebie na tacy, tak rozrzutnie, bezkrytycznie. Przyzwyczajawszy się do rozpraszałającej uwagę urody Zubajdy, ujrzałam jej ciepły, zaraźliwy, szczery uśmiech, gdy witała się z każdą z nas po kolei, oraz szarobrazowe oczy błyszczące z ożywieniem. Mówiła szybko, wyrafinowaną angielszczyzną, mieszając akcenty charakterystyczne dla Lozanny i Ammanu, ponieważ przez całe życie spędzała lato w domach swojej francusko-szwajcarskiej i jordańskiej rodziny.

Każdą z nas przywitała krótkim, ale serdecznym uściskiem, a my odpowiedziałyśmy lawiną salamów i dobrych wieczorów. Jednogłośnie zachwycaliśmy się jej stylowym, bogato wyszywanym bordowym kaftanem. Zdecydowała się włożyć tradycyjną suknię preferowaną przez wiele palestyńskich emigrantek w Rijadzie. Dowiadywałam się nowych faktów: Zubajda urodziła się i wychowała w Rijadzie i była obywatelką Arabii Saudyjskiej, ale jej ojciec opuścił Palestynę w 1948 roku. Była saudyjską Palestynką.

Szybko uwolniwszy się z abai, wręczyłyśmy jej milczącej służącej i ruszyłyśmy za Zubajdą do wnętrza urządzonego z przepychem domu. Białymi marmurowymi schodami gospodyni poprowadziła nas w dół do odnowionej sutereny - kolejne drobnomieszczańskie amerykańskie marzenie, z tą różnicą, że tu suterena była wykończona marmurem, wyłożona pięknymi perskimi dywanami i wyposażona w liczne siedziska. Nigdzie nie było widać

mężczyzny. Pokój pełen był natomiast niesamowicie wyglądających kobiet. Z każdą chwilą mój nieciekawo strój, podobnie jak ja sama, stawał się coraz bardziej szkaradny. Zubajda była w centrum uwagi - ożywiona, ciut zarumieniona i tryskająca energią. Poruszała się z gracją, włączając się do rozmów prowadzonych w różnych językach, przez cały czas sprawnie zmieniając muzykę i przedstawiając sobie gości. Kobiety usadowione w przeciwległym końcu pokoju chłodnym wzrokiem oceniały nas, nowo przybyłe. Byłyśmy tam jedynymi kobietami z Zachodu, a ja byłam jedyną niebiałą muzułmanką z Zachodu; naprawdę dziwny okaz. Szczególnie przyciągałam badawcze spojrzenia.

Usadowiłam się na głębokiej granatowej sofie, która za sprawą obfitego wypełnienia nie dawała jakiegokolwiek możliwości, aby przysiąść na niej prosto. Coraz bardziej doskwierało mi przekonanie, że wyglądam nieelegancko wśród tych wytwornych saudyjskich kobiet, a wraz z nim narastało upokorzenie.

Naprzeciwko mnie na krześle bez podłokietników siedziała samotnie jakaś Saudyjka, mająca niewiele ponad trzydziestkę, ubrana w krótką, obcisłą szarą wełnianą sukienkę ozdobioną na dole frędzlami, eksponującą ładnie toczony kolana. Paliła marlboro, wydychając dym ku górze, a jej lśniąca głowa leniwie opierała się o ścianę. Pełna nonszalancja. Na gładkich, wydepilowanych woskiem nogach miała długie czarne zamszowe kozaki na wysokich obcasach. Skrzyżowała nogi od niechcenia i bujała nimi, ilekroć zaciągała się papierosem. Utkwiła we mnie nieruchome spojrzenie i usiłowała rozgryźć, dlaczego mam na sobie taki nieciekawo strój. Kiedy ospale wypuszczała dym, zauważyłam, że trzyma papierosa w nienagannie wypielęgnowanych smukłych palcach. Wszystkie obecne tam Saudyjki, poza Zubajdą, także paliły. Spojrzałam na szykowną trzydziestkę raz jeszcze. A więc tak ubierają się kobiety w Arabii Saudyjskiej: zupełnie jak na Manhattanie. Nawet lakier do paznokci jest taki sam!

Pomyślałam o setkach abai, które przemknęły obok mnie; być może wiele z nich skrywało szykowne i modne stroje, niepoddane mojemu krytycznemu spojrzeniu, a raczej - czyjemukolwiek spojrzeniu.

- Cudowna sukienka! - powiedziałam. - Kozaki rewelacyjne! Gdzie robisz zakupy? - zapytałam z autentycznym zachwytem.

- We własnym butik w Al-Ulajji - odpowiedziała jak gdyby nigdy nic, wypuszczając ustami kółko z dymu. Po chwili mówiła dalej: - To wszystko z mojego sklepu. Powinnaś go odwiedzić. Może znajdziesz coś dla siebie. - Jedyne błysk w oku zdradzał dumę, która ją rozpierała.

Miała twardszy akcent niż Zubajda, ciemniejszą skórę, bardziej zbliżoną kolorystycznie do mojej, mówiła doskonałą angielszczyzną. Tak poznałam Hudę, urodzoną i wychowaną w Rijadzie, w saudyjskiej rodzinie, rodzinie, która pozwalała, by córka prowadziła własny biznes! W Rijadzie!

Natychmiast zaczęłam się zastanawiać, czy jest mężatką, ale instynktownie czułam, że nie. Wydawała się zbyt niezależna. Ucieszyłam się, bo dostrzegłam w niej część siebie.

W Królestwie kobiety od jakiegoś czasu domagały się niezależności ekonomicznej. Byłam zaszokowana, gdy odkryłam, że wiele kobiet obecnych na imprezie jest właścicielkami firm, butików z odzieżą, salonów fryzjerskich, a nawet, jak Zubajda, właścicielkami eleganckich sklepów, które sprowadzały trudne do zdobycia europejskie towary w rodzaju ręcznie formowanych wyrobów ze szkła czy porcelany. Szacuje się, że 40 procent prywatnego majątku w Arabii Saudyjskiej należy do Saudyjek i mimo że kobiety nie mogą same prowadzić interesów, wiele robi to przy pomocy swoich męskich reprezentantów, często członków rodziny. Ponad 15 tysięcy firm jest w posiadaniu kobiet i funkcjonuje w ten sposób, a ich właścicielki mogą być wybierane do stowarzyszeń biznesowych oraz izb handlowych w Rijadzie, Dżuddzie i Az-Zahranie^[16].

W rogu sutereny pojawiła się młoda smukła dziewczyna, która wniosła zestaw dość szpetnych wazonów, pobrzękując nimi. Nie było w nich kwiatów. A więc nie wszystko jeszcze gotowe na przyjęcie, pomyślałam. Podeszłam i zaoferowałam pomoc. Sprawnie, z kocią zręcznością młoda Saudyjka, Sara, szybko złożyła zestaw cylindrów z grubego szkła w okrągłą podstawę. Z jednego z nich (umieszczonego najwyżej) wychyliła się gruba elastyczna rurka z fioletowego jedwabiu. Na końcu tej rurki znajdowała się wyrzeźbiona w drewnie fajka owinięta czerwonym materiałem i zakończona mosiężnym ustnikiem. Okazało się, że ten „wazon” wcale nie jest wazonem. Byłam coraz bardziej zaniepokojona. Narkotyki! Gandzia! W Arabii Saudyjskiej! Czy one nie słyszały o karze śmierci? Czy naprawdę wydaje im się, że są bezpieczne w swoich domach, tutaj, w tym państwie

policyjnym? Trochę histeryzowałam, ale naprawdę czułam się zagrożona, nawet tu, w zaciszu prywatnego domu.

Sara kontynuowała przygotowania, nieświadoma moich obaw. Wyciągnęła niewielką paczuszkę z zakurzonymi szarymi klockami - każda sztuka była mniejsza od talii kart - odwinęła kolorowy papier, w który były zawinięte, i ostrożnie umieściła je po jednej stronie na metalowej tacy, układając w stos przypominający niską pękatą wieżę. Następnie zataszczyła naczynie zbudowane z tych wazonów - było teraz niemal tej samej wysokości co ona - do głębokiego zlewu, gdzie podstawę cylindra napełniła wodą z kranu. Całość wyglądała jak gigantyczny czajnik; to była fajka wodna, inaczej nargile. Tej nocy fajkę paliły kobiety!

Przyjrzałam się Sarze uważnie. Miała nie więcej niż dwadzieścia sześć lat, ważyła mniej niż czterdzieści pięć kilogramów, a jej cera kolorem przypominała moją, nie była tak jasna jak Zubajdy. Ładnie się umalowała; zadbana skóra zdradzała ślady niedawnego trądziku młodzieńczego, starannie przykryte maskującym make-upem. Sara miała rysy bardziej hinduskie niż arabskie, a przez jej żywy temperament przebijał pewien chłód. Mimo młodego wieku już знаła siłę swojej urody. Długie łukowate brwi i szeroko rozstawione ciemne oczy nadawały jej kociego wyglądu spotęgowanego przez pełne gracji, sprawne ruchy. Ona także była ubrana w stylowy zestaw: spódniczkę przed kolana, której towarzyszył dopasowany sweterek bez rękawów. Stukające obcasy dodawały jej szyku, a opinające ciało ubrania ukazywały smukłą kobiecą sylwetkę godną pozazdroszczenia.

Sara, jak wszystkie kobiety poza Zubajdą, miała na sobie zachodni strój. W Nowym Jorku mogłaby się czuć jak u siebie. Jak zatem wyglądał narodowy strój Saudyjek? Te kobiety zupełnie nie przypominały mojej pacjentki, pani Al-Utajbi, ani jej krewnych. Właściwie z moich dotychczasowych obserwacji wynikało, że o ile saudyjscy mężczyźni byli bardzo przywiązani do średniowiecznych, majestatycznych szat, niezmiennych od wieków, o tyle współczesnym Saudyjkom o wiele bliżej było do Neimana Marcusa^[17] niż do Nadżdzu.

Gdy przyglądałam się Sarze krytycznym okiem, przemknęła pośród salw śmiechu i postawiła fajkę wodną na podłodze obok przepastnej miękkiej sofy. Widać było, że miała w tym wielką wprawę. Metalowa taca z klockami węgla drzewnego znajdowała się teraz na szczycie szklanej wieży, a pod spód za pomocą zapalek podłożono ogień. Wkrótce woda

zabulgotała i klocki zaczęły się żarzyć, wypełniając powietrze różanym zapachem. Kobiety paliły fajkę i kolejno przekazywały ten sam ustnik dalej, uprzednio starannie go wycierając. Siedziałam między irlandzką pielęgniarką i Kanadyjką z sił pokojowych, aż wreszcie fajka dotarła i do mnie. Byłam zaskoczona, że trzymam w dłoniach długą fioletową, pokrytą jedwabiem rurkę. Mimo że jestem specjalistką od chorób płuc, nie znalazłam żadnej wymówki; nie chciałam sprawić przykrości goszczącym mnie kobietom, więc głęboko się zaciągnęłam. Któraś nawet pstryknęła zdjęcie, żeby udokumentować moje wysiłki. To było zaskakująco przyjemne doświadczenie. Miałam wrażenie, że nikotyna działa bardzo szybko, natomiast w ustach pozostaje delikatny posmak owocu dzikiej róży. Tak oto dałam się skusić na palenie - w islamie będące czynem *makruh* (niewskazany, ale nie zakazany). Te kobiety nie były ani odrobinę sztywne, a tego się spodziewałam. Właściwie to za ich sprawą musiałam przesuwać własne granice.

Przekazałam fajkę dalej, zadowolona, że jestem uczestniczką, a nie tylko obserwatorką. Usadowiłam się wygodnie, by móc patrzeć, jak kobiety paliły, chichotały, gadały, i w ogóle świetnie się bawiły. Wkrótce rozmowa zaczęła się toczyć po arabsku, ale nasza gospodyni ani na chwilę nie zapomniała, by włączyć nas do konwersacji po angielsku, gdy tylko było to możliwe. Wszystkie obecne tam kobiety świetnie mówiły po angielsku, a wiele z nich znało także doskonale francuski. W końcu, kiedy już dawno zdążyłam zapomnieć o głodzie, gdzieś około jedenastej wieczorem podano jedzenie elegancko wyeksponowane na srebrnych tacach i porcelanowych półmiskach. Zubajda osobiście przyrządziła wiele dań: *hummus*, *tabbule*^[18], *kibbe*^[19], ryż, *mutabbal (baba ghanudż)*^[20], kebaby, sosy jogurtowe; wybór był naprawdę ogromny. W przeważającej mierze były to potrawy libańskie, śródziemnomorskie i jordańskie.

Gdy zaczęłyśmy jeść, pojawiła się matka Zubajdy. Weszła lekkim krokiem, nie przeszkadzała, ale natychmiast wywołała poruszenie. Była elegancką kobietą, miała krótkiego, stylowego, ładnie wycieniowanego boba, włosy ufarbowane na gustowny kasztanowy kolor. Paląc papierosa, oparła leniwie jedną rękę na biodrze i przywitała nas łagodnymi, płynnymi salamami. Była osobowością i miała znakomite wyczucie stylu. Tej nocy ubrana była w szykowny strój z naturalnej wełny i jedwabiu; wysoką postać spowijały delikatnie plisowane spodnie, jedwabna bluzka i ciepły szal zwisający swobodnie z niewymuszoną elegancją. Pokoleniowy kontrast mnie zaintrygował. Zastanawiałam się, dlaczego Zubajda zdecydowała się na tradycyjny palestyński strój, podczas gdy jej matce

bliżej było do MaxMary.

Matka Zubajdy mówiła po francusku z większą swobodą niż po angielsku, choć płynnie przechodziła od jednego języka do drugiego. Nie mogła się doczekać, by mnie przywitać, musiała już o mnie słyszeć - jako pierwszy lekarz płci żeńskiej na OIOM-ie najwyraźniej robiłam wrażenie. Wypytywała mnie o rodziców i natychmiast zapytała, jak mogłam zostawić ich tak daleko. Zaczynałam przyzwyczajać się do tego, że mój rodowód stanowił pierwszy temat każdej rozmowy w Rijadzie. Ludzie chcieli wiedzieć, skąd jestem i, co ważniejsze, do kogo należę. Bez rodziny byłam niezakotwiczona, stanowiłam pewnego rodzaju zagadkę. Matka Zubajdy szybko i jakby mimochodem opowiedziała mi o swoich wrażeniach z Rijadu z czasów, kiedy *mutawwa'in* nie byli jeszcze tak potężni.

- W Rijadzie nie zawsze było tak ciężko, Qanta - zaczęła spokojnym głosem, nieco zachrypniętym od palenia tytoniu. - Kiedy byłam świeżo po ślubie, w latach pięćdziesiątych, nigdy się nie zakrywałyśmy! Nie było żadnych abai, szali. Mogłam wyjść z domu sama, bez męża. - Zaśmiała się chrapliwie. To był gorzki śmiech. - *Chalas*^[21], te czasy są już za nami - kontynuowała z przygnębieniem. - *Mutawwa'in* wszystko zniszczyli. Teraz jest naprawdę źle, Qanta. Naprawdę źle. - Przyglądała mi się, żeby wy badać, jakie wrażenie robią na mnie jej słowa. - Nienawidzimy ich! - Nagle stała się arogancka. - Cały czas ich nienawidzę. Nigdy nie przyzwyczaiałam się do noszenia zaslony. Moja matka nigdy się nie zakrywała. Nie jesteśmy częścią tego ortodoksyjnego islamu. Nie jesteśmy wahhabitami!

Zdumiało mnie, gdy usłyszałam, że zanim pojawiło się zagrożenie w postaci *mutawwa'in* i mandat monolitycznej religii, panowały tu inne porządki.

- Wszystko zaczęło się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym - wyjaśniła. - Według kalendarza muzułmańskiego był to rok tysiąc trzysta dziewięćdziesiąty dziewiąty, a więc początek nowego stulecia; radykałowie wierzyli, że będzie to wiek islamu. W tym samym czasie, jak pamiętasz, Chomejni przejmował władzę w Iranie. Rewolucja trwała w najlepsze. - Przerwała na chwilę, żeby porządnie odkrztusić zalegającą w oskrzelach flegmę.

Zaciągnąwszy się francuskim papierosem, by uspokoić spastyczny kaszel, zaczęła szczegółowo tłumaczyć ówczesną sytuację, poczynając od zabójstwa króla Fajsala w 1975

roku^[22]. Mówiła, że wkrótce potem w Medynie podejrzewano nowy spisek wymierzony w rodzinę królewską, bezpośrednio zagrażający monarchii. Niebezpieczeństwo zdawało się nadchodzić ze strony wahhabickiego kleru. Szukano odpowiedniego przywódcy, który stanąłby do walki o sprawę. Matka Zubajdy prychała z niesmakiem w różnych momentach opowieści. Byłam zaskoczona; moja rozmówczyni była bardzo lojalna wobec rodziny królewskiej.

Kontynuowała wyjaśnienia, wspominając o Dżuhajmanie bin Muhammadzie al-Utajbim, który służył w Gwardii Narodowej Arabii Saudyjskiej przez blisko osiemnaście lat. Razem z rektorem uniwersytetu w Medynie (mężczyznę nazywanym Ibn Baz) utworzył grupę zwaną Al-Ichwan (co oznacza „duchowi bracia”), ale nie miała ona nic wspólnego z ichwanami zaangażowanymi w tworzenie Królestwa na wcześniejszym etapie historii Arabii Saudyjskiej^[23].

Słuchałam jej opowieści w skupieniu. Dopiero teraz zauważyłam, że jeszcze kilka kobiet zebrało się, by posłuchać, jak matka Zubajdy mówi o najnowszej historii, która stała się współczesnym folklorem. Miała jeszcze wiele do powiedzenia.

Al-Utajbi był radykalnym krytykiem rodziny królewskiej^[24]. Wierzył, że wahhabicka doktryna może stać się programem politycznym, który pozwoli uniknąć zarówno republiki, jak i monarchii. Zależało mu na sztywnych archaicznych naukach; to one tworzyłyby filozoficzny fundament, na którym mógłby oprzeć Królestwo. Wkrótce ogłosił się Mahdim^[25], wysłannikiem Proroka wyznaczonym na koniec świata, i u progu nowego wieku zaczął nawoływać do obalenia monarchii. Tamtego listopada ponad tysiąc osób z Al-Ichwan wmieszało się w tłum irańskich pielgrzymów, którzy podczas hadżdżu^[26] świętowali zwycięstwo rewolucji i odsunięcie szacha od władzy. Mogli wówczas odmówić specjalne modlitwy dziękczynne. Na dzień przed zakończeniem pielgrzymki, rankiem 20 listopada 1979 roku, Al-Ichwan (którzy byli porządnie uzbrojeni) tłumnie otoczyli Al-Kabę i wkroczyli do meczetu Al-Haram. Wielu z nich należało do Gwardii Narodowej, byli przyjaciółmi i sojusznikami Al-Utajbiego.

Matka Zubajdy zamilkła, zagłuszona przez okrzyki: *Astaghfiru (Allah* (Boże, przebac mi), które dobiegały z ust kobiet siedzących wokół nas. Po chwili kontynuowała:

- Dasz wiarę, że ci ludzie okupowali najświętsze miejsce islamu, i to z bronią? Rosyjską bronią! Oblężenie trwało prawie dwa tygodnie. To był okropny czas. Wielu ludzi zginęło, setki żołnierzy, pielgrzymów i kleryków, a jeszcze więcej, ponad pięćset osób, zostało rannych.

Zaczynałam rozumieć, że w tamtym czasie zarówno monarchia, jak i kler byli bezradni. Jedni i drudzy potrzebowali siebie, by przetrwać, dlatego kryzys wzmocnił właściwie ten pasożytniczy układ. Monarchia potrzebowała kleru do kontrolowania ludności, zezwalała więc na pewne bardzo opresyjne prawa. Jedna z kobiet wtrąciła:

- Dlatego tak właśnie wygląda dziś nasza sytuacja w Rijadzie - kontrolowanie abai, zakaz prowadzenia samochodu i brak zgody na podróżowanie bez mężczyzny. Straciłyśmy naszą wolność, podczas gdy monarchia i *mutawwa'in* utrzymali się przy władzy.

Matka Zubajdy przytaknęła. Głęboko westchnęła, odrzuciła głowę, potrząsając włosami, i wypuściła kółko z dymu; zaaplikowała sobie tytoń jako lekarstwo na frustrację. Odłożywszy rozżarzony węgielek do popielniczki Baccarat, kontynuowała:

- Tymczasem rodzina królewska poczuła się bezpieczniej, ale dopiero wówczas, gdy powołała dodatkową jednostkę do operacji specjalnych w łonie Gwardii Narodowej. Wiesz, nagradzali armię, która ich chroniła; taki rodzaj haraczu. To porozumienie jakoś działa, z korzyścią dla *mutawwa'in* i dla monarchii. Tylko ludzie mają tego dość! - Z uśmiechem wstała, by zabawić pozostałych gości. - To przygnębiający temat, nie najlepszy na imprezę, ale przynajmniej teraz już wiesz. Po tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym zdecydowano, że kobiety zawsze muszą nosić abaje, ponieważ *mutawwa'in* zyskali więcej swobody w kwestii narzucania swoich zwyczajów, a prawo szariatu było wszystkim. Na szczęście wiele z nas wciąż pamięta Rijad z czasów, kiedy *mutawwa'in* nie byli jeszcze tak potężni. Kiedyś w Rijadzie czułam się wolna, chodząc po mieście tak jak teraz - powiedziała, przeczesując włosy zadbanymi dłońmi. - Dasz wiarę, Qanta, że sama spacerowałam po Rijadzie, bez mężczyzny, służącej, tak swobodnie jak po Paryżu? Teraz wszystko się skończyło, ot, po prostu. Dlatego właśnie tak trudno żyć w Rijadzie, prawda, Qanta? Z tego powodu co roku wyjeżdżamy do Ammanu i Lozanny. Wytrzymujemy w Rijadzie trzy miesiące. - Spojrzała na mnie, oczekując zrozumienia. - Jesteś już przygotowana na ramadan, Qanta? Będzie ciężko. Musisz się do tego przyzwyczaić. W przyszłym roku będzie lepiej, *in*

sza Allah. - Przerwała raptownie, zmieniając pełen napięcia wyraz twarzy w uroczy uśmiech.

Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, że będę tutaj dłużej niż rok. Nie potrafiłam nawet spojrzeć dalej niż kolejnych trzydzieści dni.

Widząc moją poważną minę, nagle odezwała się Zubajda:

- Ja się zakrywam dlatego, że sama się na to zdecydowałam! - Jej wyzywające szarozielone oczy błyszczały. - Moi rodzice nigdy tego ode mnie nie wymagali, ale ja zawsze chciałam. Tego wymaga ode mnie Allah. Nie jestem jeszcze wystarczająco silna, by nosić pełen *nikab*, całkowicie się zakrywać, ale robię, co mogę. To daje mi szczęście, Qanta. Nie jest tak, że nienawidzę zakrywania się. Nie tak jak moja matka! - Uśmiechnęła się zaczepnie do zrezygnowanej matki.

Ta spojrzała na Zubajdę z niepokojem.

Gdy patrzyłam w błyszczące oczy Zubajdy, które promieniały idealizmem i duchowym oświeceniem, wierzyłam jej. Nie miałam wątpliwości, że entuzjazm dla zakrywania się był autentyczny, a żarliwe przekonania nie fanatyczne, tylko ugruntowane w głębi duszy. Zastanawiałam się, czy ten blask, który w sobie miała, a którego jej matce, przepełnionej goryczą i rezygnacją, tak brakowało, nie był darem od Boga, a nie zwykłą oznaką młodości.

Głowiłam się nad tym, jak to możliwe, że tak radykalnie odmienne poglądy mogą występować w tej samej rodzinie i środowisku. Zastanawiałam się, na ile entuzjazm Zubajdy był ślepym podporządkowaniem się dominującym normom, naśladowaniem rówieśników, a na ile poważnym wyborem życiowym. W końcu, w przeciwieństwie do swojej wytwornej, rozżalonej matki, Zubajda nie znała życia sprzed nastania mutawwy, więc jak mógł to być jej wybór, skoro chusta na głowie była ustanowiona przez prawo?

Gdy rozglądałam się po marmurowym pokoju, liczba odsłoniętych głów była uderzająca. W krótkim czasie coś, co nigdy wcześniej nie zwróciłoby mojej uwagi, teraz stało się frapujące. Na zewnątrz odsłonięte głowy były w Rijadzie rzadkim widokiem; wszyscy mężczyźni nosili nakrycia głowy, a kobiety były zasłonięte; nawet pacjentki. Tutaj, pośród

tych wszystkich wyeksponowanych grzyw, spostrzegłam, że jestem jedyną kobietą z nieufarbowanymi czarnymi włosami; wszystkie pozostałe miały ambicje zostania rudymi lub były właśnie w trakcie przemiany w blondynki. Jak Królestwo długie i szerokie, kobiece włosy miały kolor oscylujący pomiędzy tymi dwoma. Na tle zebranych wypadałam blado, byłam zupełnie pozbawiona wyrazu.

Włosy nie były dla mnie nigdy jakimś szczególnym powodem do zmartwienia. Musiały dać się szybko i łatwo ułożyć, a co najważniejsze, nie mogły sterczeć, gdy budziłam się w środku nocy na wezwanie do moich pacjentów. Tutaj, gdzie włosy były zakryte, niewidoczne przez większość czasu, wkładano olbrzymią energię i pieniądze w to, by uczynić je atrakcyjnymi. Dla kogo cały ten wysiłek? Podejrzewałam, że kobiety robiły to dla siebie. Bo ilu mężczyzn z rodziny tak naprawdę się tym interesowało? A skoro żaden mężczyzna spoza rodziny nie mógł zobaczyć tych włosów, to jakaż przyjemność w ciągłym upiększaniu swojego osamotnionego odbicia w lustrze? Podchodząc do zagadnienia z praktycznej strony, zastanawiałam się, gdzie one sobie te włosy robiły. Zdawałam sobie sprawę, że muszę poszukać kogoś, kto zastąpi Gerarda, który od lat zajmował się moimi włosami. Z pewnością nie znajdę tu nikogo z podobnym talentem, ale czyż te wszystkie kobiety nie wyglądały wspaniale pomimo braku dostępu do Fekkai, Licari, Zouary czy Désange?

Rozmyślałam o tym, gdy nagle rozległ się oszałamiający krzyk. Odwróciłam się i zobaczyłam wysoką, wyjątkowo piękną kobietę, która wchodziła właśnie do pokoju. Jednocześnie dostojna i figlarna, natychmiast przyciągnęła moją uwagę. Wskazałam, by usiadła obok mnie. To była Ghada, kolejna koleżanka Zubajdy, dietetyczka. Miała głęboko osadzone, błyszczące brązowe oczy wielkie jak spodki, zwieńczone brwiami jak u faraona i nieskazitelną mleczną cerę. Te pełne ekspresji niesamowite oczy dominowały na jej twarzy. Tryskała radością. Była spektakularnie piękna; niczym impala. Jej uroda stanowiła punkt odniesienia dla wszystkich obecnych tu kobiet; to z nią się porównywały, choć w tej rywalizacji wypadały słabo. Szyję Ghady, nadgarstki, smukłe palce i uszy przyozdabiała biżuteria z białego złota, która odbijała się od rozświetlonej skóry i pobłyskiwała z każdym ruchem właścicielki. Lewą rękę zdobiła obrączka ślubna wysadzana brylantami, a nieco wyżej znajdował się niezawodny zegarek Geneva. Głęboki gardłowy śmiech przerywał co jakiś czas jej słowa; był zaraźliwy. Śmiała się na cały głos, odrzucając głowę i szeroko rozciągając usta, które odsłaniały nierówne zęby. Ta niedoskonałość przydawała jej tylko autentyczności.

Była ubrana w proste spodnie z szerokimi nogawkami i luźną koszulę Etro. W głęboką przerwę między poduszkami sofy niedbale rzuciła dużą torbę od Diora i usiadła. Smukła i zgrabna, skrzyżowała nogi i wyciągnęła ramię na oparciu. Emanowała pewnością siebie i nieposkromionym seksapilem. Obuwie od Chanel było dopełnieniem jej spokojnej elegancji. Miała jedwabiste czarne włosy, poprzątkane subtelnymi rubinowymi pasemkami, które nadawały jej przejrzystej skórze różowej poświaty, delikatnej niczym wewnątrz gładkiej, wypolerowanej muszli.

Jak się okazało, Ghada była moją sąsiadką; mieszkała w jednej z willi, które stały rzędem na wprost okien mojego mieszkania. Ona też dopiero co przeprowadziła się do Rijadu po kilku latach spędzonych w Toronto, gdzie towarzyszyła mężowi, który kształcił się tam, by zostać torakochirurgiem. Hajdar, jej mąż, był zdolnym lekarzem; poznałam go już w pracy, gdzie mieliśmy wspólnych pacjentów pooperacyjnych. Ghada była matką dwojga dzieci i, wychowując je, dążyła do tego, by więcej pracować poza domem. Zdecydowała się ukończyć kursy z zakresu dietetyki i zdobyła w Kanadzie dyplom. Na pierwszy rzut oka miała wszystko: męża, dzieci i karierę. Rijad był jej domem; saudyjska córka saudyjskiego ojca. Wraz z mężem należeli do elity współczesnych profesjonalistów, wracających do Rijadu pod koniec lat dziewięćdziesiątych Nowych Saudyjczyków. Hajdar i Ghada byli zaangażowani w rozwój swojego kraju.

Ghada zaprosiła mnie do swojego domu na dłuższą pogawędkę i od razu wymieniliśmy się numerami telefonów. Byłam zachwycona: to wspaniała okazja, żeby się z nią zaprzyjaźnić. Może choć część jej wdzięku spłynie i na mnie? Już wtedy jakaś część mnie chciała upodobnić się do tych błyskotliwych, wyjątkowych kobiet.

Po kolacji zadudniła muzyka; rozbrzmiewała głośno w wyłożonej marmurami suterenie. Była to mieszanka nowatorskiego bejruckiego house'u i tradycyjnych melodii arabskich. Zastanawiałam się, gdzie w tym hałaśliwym domu mógł się ukryć ojciec Zubajdy. Po uprzątnięciu przestrzeni na środku pokoju kobiety zaczęły tańczyć. Zawiązały szale nisko wokół bioder, co podkreślało ich ruchy; szale na biodrach tworzyły linię, która falowała w rytm muzyki. Zdawało się, że im szersze biodra, tym lepiej. W przeciwieństwie do świata mody na Zachodzie, gdzie królowała androginia, tutaj podziwiano bujne kobiece kształty. W pokoju nadal było jasno, nie zgaszono świateł. Każda z kobiet po kolei obejmowała

przewodnictwo, tańcząc jak szalona, bez żadnych zahamowań, z taką pewnością siebie, że nawet światło nie stanowiło przeszkody.

Żadna z nich nie była pijana, ponieważ w domu Zubajdy, zgodnie z muzułmańską wiarą, nigdy nie podawano alkoholu. W Królestwie na czarnym rynku alkohol był łatwo dostępny, chociaż było to nielegalne i karalne, ale te kobiety nie potrzebowały go, by fantastycznie spędzać czas.

Żadna z tych trzeźwych Saudyjek nie tańczyła z inną kobietą; one tańczyły bardziej dla innych kobiet. Tańcząca znajdowała się w środku, otoczona przez pozostałe, które klaskały, śmiały się i radośnie pokrzykiwały. Była niczym artystka, która zabawiała resztę. Również klaskałam w rytm muzyki i usiłowałam zebrać myśli.

W ciągu kilku godzin powoli zaczynałam nieco rozumieć Arabię Saudyjską i jej mieszkanki. Im więcej dowiadywałam się na ich temat, tym bardziej te kobiety stawały się trójwymiarowe, nie były już zakapturzonymi płaskimi postaciami. Były kobietami z krwi i kości i dzięki mojej uprzywilejowanej pozycji - dzieliłam przecież z nimi kobiecość - nabierały coraz większej wyrazistości. Ukryte pod warstwami zasłon i abai tańczące stopy i wirujące, apetycznie zaokrąglone biodra przemieszczały się po całym Rijadzie. Za dnia były zasłonięte, odrętwiałe; tak właśnie wyglądała maska purytanizmu: bezbarwna fasada dla niewtajemniczonych, prywatnie odsłaniająca skrzętnie skrywaną energię, która tym bardziej ekscytowała, im bardziej wcześniej była niedostrzegalna. Te kobiety były silne i pełne życia za sprawą opresji, z jaką stykały się na co dzień w świecie zewnętrznym. Miały swoje upodobania, głębokie przekonania, swoje tajemnice. Za pośrednictwem Zubajdy zostałam wprowadzona do tego wielowymiarowego, złożonego i odizolowanego świata. Pod niewzruszoną, nieprzystępną powierzchnią widać było, że Arabii Saudyjskiej niezwykle daleko do monolitu.

Gdy razem z Christine przytupywałyśmy w rytm muzyki i przyglądałyśmy się widowisku, same nie będąc w stanie w pełnym świetle dołączyć do tego disco derwiszy, zapewne z powodu zachodnich zahamowań, zapytałam o jej relacje z saudyjskimi koleżankami dietetyczkami. Pracowała z nimi od kilku lat. Byłam ciekawa, co myśli.

- Jak się dogadujesz z tymi Saudyjkami? - rzuciłam i dodałam, że nie mam żadnych

koleżanek na moim oddziale.

- Saudyjki są niewiarygodnymi manipulantkami - odpowiedziała cicho, ale stanowczo.

Przyglądała się tańczącym kobietom nieruchomym, zamglonym wzrokiem.

Spojrzałam na nią zdziwiona krytycyzmem, zwłaszcza że korzystała z ich gościnności. Co wiedziała o tych kobietach? Czego się o nich nauczyła w ciągu tych kilku lat, które tu spędziła?

- Muszą być manipulantkami - kontynuowała. - Swoje cele, a także pozycję, jaką mają w miejscu pracy, osiągają jedynie dzięki manipulacjom oraz wpływom mężów, ojców, braci czy synów. Bez tego nigdy nie byłyby w stanie wyrazić siebie. - Wyglądała na znudzoną. Ewidentnie już wcześniej musiała snuć teorie na ten temat.

Słuchałam jej zdumiona ile jadu było w tych uwagach wypowiedzianych z przekonaniem o ich słuszności. Christine wyjaśniła, że Saudyjki nie są w stanie samodzielnie realizować swoich potrzeb w sposób, w jaki robią to kobiety na Zachodzie. Ambitna Saudyjka potrafi zatem umiejętnie wywierać wpływ na mężczyzn w rodzinie, stosując manipulację, kalkulując, wykorzystując swoją elokwencję i inteligencję. Ja już zdążyłam się zorientować, że kobiety obecne na tej imprezie, Saudyjki, które pracowały ze mną w szpitalu, były niesamowite i stanowiły rzadkie wyjątki w Królestwie. Były jednymi z pierwszych kobiet na rynku pracy w Arabii Saudyjskiej. Szpital, w którym byłam zatrudniona, zachęcał Saudyjki do podejmowania pracy, ponieważ miał liberalnego, promującego kobiety dyrektora naczelnego, doktora Fahada Abd al-Dzabbara. Nie było jeszcze okazji, żebym poznała go osobiście, ale wśród Saudyjek pracujących w Szpitalu Gwardii Narodowej cieszył się szacunkiem.

Te kobiety musiały pokonać olbrzymie bariery tradycji, która normalnie zachęcała je do pozostania w domu ojca, dopóki nie nadszedł czas przeprowadzki do męża. W tej warstwie saudyjskiego społeczeństwa rodziny były zamożne i kobiety nie odczuwały przymusu ekonomicznego, nie musiały zarabiać. Nigdy nie spotkałam się z tym, żeby stawiały sobie za cel przeprowadzkę do własnego mieszkania. Chociaż pragnęły wolności, którą ja mogłam się cieszyć - chciały prowadzić samochód, chodzić po ulicy z krótkimi włosami, bez szala,

samodzielnie podróżować, robić karierę z takim samym entuzjazmem jak mężczyźni - nie było takiej siły, która popychałaby je do opuszczenia rodziny i niezależności w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Te kobiety czuły głód wiedzy i pragnęły autonomii w miejscu pracy; potrzebowały celu, czegoś więcej niż ich matki.

Jakiegokolwiek były ich metody, czy to kłótnia, dyskusja, czy nękanie - sposoby, jakimi tylko ukochana córka może wymusić coś na swoim pobłażliwym ojcu - te kobiety były naprawdę niezwykle silne. Nie byłam pewna, czy określenie „manipulantki” najlepiej oddawało ich determinację, i zastanawiałam się, na ile obserwacje Christine były odbiciem jej frustracji. Przekonałam się, że sprawy, które dotychczas uważałam za oczywiste - edukacja, wolność, podróżowanie, niezależność - stanowiły z trudem wywalczone nagrody, nawet dla tych uprzywilejowanych, zamożnych kobiet. Kiedy zdobywały dostęp do miejsc pracy, musiały być twarde tak jak ja, rywalizować nie tylko z mężczyznami, lecz także z ustanowioną prawem wyższością mężczyzn, którzy uważają, że obowiązkiem kobiety jest dbanie o ognisko domowe, że ich miejsce jest w domu, a nie w szpitalu na sali operacyjnej, w jakiejś centrali czy biurze. Mierzenie się z tymi problemami to wyczyn. Po dłuższym pobycie w Arabii Saudyjskiej widziałam, ile samozaparcia wymagano od kobiet w pracy. Uczyłam się od nich i obserwowałam je w akcji. Saudyjki były realną siłą, z którą należało się liczyć.

Było już po pierwszej w nocy. Musiałam pojawić się rano w pracy, a czekała nas jeszcze długa droga do kompleksu oddalonego od pulsującego centrum Al-Ulajji. Christine dała znak, że nadszedł czas, żebyśmy się zbierały, więc zaczęłyśmy się żegnać i dziękować za gościnę. Ghada, już jako moja dobra sąsiadka, zaproponowała, że nas odwiezie. Gdy stalowa brama zamknęła się za nami w ten wyjątkowy wieczór, wgramoliłyśmy się do zielonego minivana Ghady, który stał przed domem i czekał na nas z włączonym silnikiem.

Za kółkiem siedział zgarbiony żylasty Banglijczyk. Ulica mieniła się w świetle aksamitnej nocy. Miasto wciąż tętniło życiem, mimo że było już późno. Samochody zakorkowały trasę szybkiego ruchu, małe uliczki także były zatłoczone. Tej nocy, w przeddzień ramadanu, wszyscy ruszyli na miasto. Założyłyśmy zasłony jak należy, zakrywając włosy, mimo że okna miały mocno przyciemnione szyby. Zasłona Ghady była najładniejsza, z ciemną bordiurą z wyszytymi fioletowymi i srebrnymi kwiatami. Ghada zawinęła na głowie chustę, tworząc doskonałą oprawę twarzy, dzięki której uwydatniła

kształtną szczękę. Takiej urody nie dało się ukryć. Piękno Ghady promieniowało, było nie do przysłonięcia. Żadna abaja nie była w stanie pokonać tej silnej, urodziwej kobiety.

Gdy tak siedziałam spowita w swoją niezgrabną zasłonę, uśmiechnęłam się: tej nocy naprawdę dobrze się bawiłam. Zyskać wstęp do tego matriksu, jakim była Arabia Saudyjska, to coś wyjątkowego. Bez tych abai, w prywatnych domach kobiety śmiały się, tańczyły, żartowały i paliły. Pozbawione zasłon ukazywałyśmy to, co nas łączyło: kobiecość. Saudyjki nie były już dla mnie kosmitkami. Za dnia w miejscach publicznych kobiety nie tylko zasłaniały swoją urodę i ubrania, nosząc czarne abaje, ale zasłaniały także swój nastrój, duszę, radość życia.

Byłam w szoku, gdy uświadomiłam sobie, że pierwszy raz w Królestwie słyszałam, jak ktoś głośno się śmieje. W ciągu kilku tygodni od mojego przyjazdu publiczne oblicze Arabii Saudyjskiej zdążyło już się stać dla mnie wszechogarniająco opresyjne jak spaliny, nic nie mogło się wymknąć ich duszącemu dotykowi. Niewidzialne macki kontroli zdążyły mnie osaczyć i zmusić do podporządkowania. Ale pod tą zasłoną z miazmatów, w odległych marmurowych zakątkach saudyjskich domów, w zakamarkach prywatnej Arabii Saudyjskiej wszystko wydawało się już ponętne, odurzające i pełne sprzeczności. Chciałam wiedzieć więcej.

Moja radosna zaduma została przerwana kilka minut później. W tym niezdiscyplinowanym ruchu ulicznym napotkaliśmy przeszkodę i byliśmy zmuszeni do gwałtownego hamowania na środku autostrady. Stojący suv (James's) i podejrzenie poruszające się land cruisery zatarasowały nam drogę. Grająca na cały regulator muzyka wprawiała w drgania szyby odbijające basowe dźwięki głośników i osaczyła naszego niewielkiego minivana. Pułapka była niespodziewana. Basowe brzmienia bardziej pasowały do alei Cross Bronx niż ulicy Al-Churajs; po raz kolejny prostacko-kulturowy kawałek Ameryki w samym sercu Arabii.

Gdy spojrzałam przez zaciemnioną szybę, mój wzrok padł na Saudyjczyka, który patrzył za siebie; okno było opuszczone, jego *szimagh* falował na nocnym wietrze. Przez przednią szybę widziałam kierowcę; ramię wystawione przez okno, styl gangsta. Pochylał się nad kierownicą. Wszyscy kierowcy siedzieli za kółkiem w pozycji półleżącej; daleko im było do majestatu kalifów, przypominali bardziej chłopaków z getta. Samochód krążył

w poszukiwaniu ciż i wyglądało na to, że to my jesteśmy tymi ciziami. Ghada krzyczała do swojego przygłuchego kierowcy, żeby jechał dalej, ale nie mógł; samochody przed nami stały stłoczone. W zaimprovizowanym korku faceci korzystali z okazji, by podrywać kobiety.

Na lewo od naszego minivana sunął groźnie kolejny samochód z kołyszącymi się w środku młodymi mężczyznami. Przyczepili się do nas, ponieważ zobaczyli, że jedzie sześć kobiet, więc szanse są duże. Ghada wyglądała na coraz bardziej przestraszoną.

- Dziewczyny! Proszę! Zakryjcie się! Proszę, zakryjcie twarze! - I natychmiast zarzuciła koniec swojego szala na twarz. Nadal krzyczała do kierowcy, wydając mu polecenia zza skłębionego szyfonu; wyglądała jak szalony, choć jednocześnie bardzo majestatyczny mapet.

Czułam się idiotycznie. Starłam się zobaczyć coś przez nieprzezroczyste warstwy poliestru i przyciemnionego szkła. Ghada zareagowała zbyt gwałtownie, ale jej strach wyglądał na prawdziwy. Nie mogłam powiedzieć, żeby się uspokoiła. Mężczyźni z pewnością nie widzieli nas przez przydymione szyby, może ewentualnie nasze kontury. Przeobrażyliśmy się w sześć zasłon. Mając szczelnie zasłonięte oczy, uznałam, że mogę gapić się do woli. Zasłona na twarzy sprawiła, że przewrotnie poczułam się wyzwolona.

Chwilę potem wystrzelono pociski. Przez otwarte okno od strony kierowcy wpadł do środka kawałek zmiętego papieru, rzucony z czarnego land cruisera. Po rozwinięciu okazało się, że był na nim zapisany numer telefonu. Niektóre zasłony się zaśmiały, ale nie wszystkie to rozbawiło. Nie można było stwierdzić, który z mężczyzn rzucił papier i dla której z kobiet był przeznaczony. Ghada kipiała ze złości.

- Tak się właśnie zachowują, Qanta - powiedziała zirytowana; jej oczy ciskały błyskawice. - Usiłują nas wyrwać!

Wszystko wskazywało na to, że w ten sposób saudyjscy mężczyźni poznawali dziewczyny, a przynajmniej próbowali je poznać. Czasami wrzucali zgniecioną kartkę papieru. Innym razem papier był owinięty wokół pustej kasety, żeby nadać listowi-pociskowi większą aerodynamikę. Gdy zerknęłam na twarze tych mężczyzn o pożądlivych oczach, nie miałam wątpliwości, że tak wyglądają wygłodniałe, świdrujące spojrzenia tchórzliwych

facetów, którzy polują w stadzie. Żałowałam, że szyba nie jest jednak ciemniejsza i że nie jestem jeszcze bardziej zasłonięta. Chciałam już znaleźć się w domu.

Gdy się nad tym zastanowić, wszystko staje się jasne. W każdym samochodzie musiałyby jeździć funkcjonariusze policji religijnej, żeby powstrzymywać mężczyzn przed takimi zachowaniami; w obecnej sytuacji nie było możliwości egzekwowania prawa. Dlatego gdy w korku, na małej przestrzeni, znajdowało się tak wielu mężczyzn i tyle kobiet, było całkiem naturalne, że z powodu tej bliskości mury segregacji stawały się zagrożone. Zaiste, potrzeba jest matką wynalazków. Przypomniałam sobie ostatnią wycieczkę do Miami. To, co właśnie przeżywałyśmy, było właściwie zniekształconą wersją krążenia w sobotnią noc po South Beach w poszukiwaniu partnera.

Przesadna, histeryczna reakcja Ghady wydała mi się jeszcze bardziej zadziwiająca. Planowała wcześniej, że zanim dotrzemy do kompleksu, wysadzi swoją siostrę, która jechała z nami, przed jej domem, ale z uwagi na śledzące nas suvy zrezygnowała z tego pomysłu. Zadzwoiła z komórki do ojca po radę. Po nerwowej dyskusji w arabskim staccato ustalono, że siostra Ghady natychmiast przyjedzie do domu ojca. U siebie nie będzie bezpieczna, ponieważ jej mąż wyjechał w delegację, a land cruiser najwyraźniej celowo za nami jechał. Ghada postanowiła, że najpierw wszystkie pojedziemy do domu jej ojca, a dopiero później ruszymy z powrotem w stronę kompleksu.

Nieważne, jak bardzo siostra protestowała, najpierw wyklócając się z Ghadą, a następnie z ojcem; nie było dyskusji. Nie mogła pojechać do swojego domu. W obliczu decyzji ojca była bezsilna. Tej nocy obejdzie się bez swojego łóżka - u ojca jest wszystko, co potrzeba, by przenocować. Iluzja naszej siły w mgnieniu oka rozplynęła się w powietrzu.

Jechaliśmy dalej, a droga przed nami była teraz szersza. Land cruiser wciąż nas ścigał. Nagle znalazł się tuż obok; z otwartych okien wyglądali mężczyźni o chytrych spojrzeniach i krzyczeli coś po arabsku. Byłyśmy ich ofiarami. Muzyka ryczała coraz głośniejsze. Naszą ochronę stanowił tylko ten niedożywiony cichy Banglijczyk. Gdzie była teraz *mutawwa*, kiedy akurat mogłaby zrobić coś pożytecznego i nas ochronić?

Wjechaliśmy w głąb miasta, oddalając się od naszego kompleksu. W końcu dotarliśmy do domu ojca Ghady; land cruiser stanął u wylotu uliczki. Instynktownie trzymał się na

uboczu; rura wydechowa wydawała groźny warkot, gdy silnik pracował na jałowym biegu. Auto zatarasowało jedyne wyjście na niewielką uliczkę prowadzącą do domu. Ghada znowu zadzwoniła do ojca. Była już druga w nocy. Powiedziała, że nie odblokuje drzwi samochodu, dopóki jej ojciec, siwiutki starszy pan, nie wyjdzie na ulicę, żeby przejąć córkę. Wraz z pojawieniem się siedemdziesięciolatka oślepiające reflektory omiotły nas, oświetlając tę scenę. Męski autorytet został uznany. Land cruiser wycofał się, podwójnie podświetlona rura wydechowa wydała niski pomruk. Chwilę później widać było tylko mignięcie świateł stopu, które w oddali wtopiły się w czerwony strumień ruchu ulicznego. Byłyśmy bezpieczne.

Gdy odprowadziłyśmy siostrę Ghady, w milczeniu wsiadłyśmy do samochodu, który ruszył w stronę domu. Nasz nastrój można było określić jako ulgę z nutą przygnębienia. Przypomniałam sobie pytanie, jakie zadałam podczas spotkania orientacyjnego: „Co powinniśmy zrobić, gdyby ktoś za nami szedł?”, i lekceważenie, z jakim zostało przyjęte. Wywołało tylko poirytowanie; niepotrzebnie panikuję. Byłam oburzona i znów całkiem bezradna. Stłumieni, pełni zahamowań mężczyźni szukali zdobyczy tak jak mężczyźni w innych krajach, ale smycze, na których byli uwiązani, napięły się do granic wytrzymałości. Niezglobioną zagadką wciąż pozostawał dla mnie fakt, co ich zachęciło, by jechać za nami tak daleko. Przecież było tyle innych pojazdów, w których siedziało mnóstwo kobiet.

Swoją drogą, jaka kobieta odpowiedziałaby na takie podchody? Pod koniec lat dziewięćdziesiątych listy-pociski były powszechne, ale w ciągu kilku lat te komicznie desperackie wysiłki samotnych mężczyzn podlegających, jak wszyscy, segregacji zostały wyparte przez bezprzewodowe ataki za pośrednictwem bluetootha, urządzeń śledzących, które wypatrywały okazji, by nawiązać elektroniczne połączenie ze znudzonymi, samotnymi kobietami, marzącymi o bluetoothowych chłopakach^[27]. Teraz kobiety w Rijadzie i Dżuddzie mogą włączyć telefon komórkowy czy BlackBerry, aktywować ikonkę bluetootha i po prostu poczekać, aż pojawią się wiadomości. Bardzo szybko zaczynają wyskakiwać na ekranie, całymi tuzinami. Użytkownicy, którzy wypatrują cyberrandki, często mają bardzo kokieteryjne nicki. Ci wcale nie tak nieśmiali cyberzalotnicy, ukryci w wirtualnym świecie, znajdują się w promieniu zaledwie kilku metrów, flirtując w zasięgu sygnału bluetootha.

Spojrzałam na Ghadę; jej twarz była odsłonięta, choć kobieta jak zwykle miała chustę; w milczeniu wpatrywała się w drogę przed nami. Wciąż wyglądała na wściekłą. Wyrazista szczęka, jasne oczy o zimnym jak stal spojrzeniu i te niekończące się brwi sprawiały, że była

naprawdę urzekająca. W świetle księżyca jej jasna skóra delikatnie się mieniła. Zaczynałam rozumieć, jak ogromną cenę płaciła za swoją urodę; to był ciężar, brzemień, dokuczliwa odpowiedzialność. Prawdopodobnie to profil Ghady spowodował cały ten pościg. Gdy ją przycisnęłam, przyznała, że często się jej to przytrafia. Wykrzykiwane do kierowcy polecenia były wynikiem nie tyle lęku, ile złości. Ghada była nieustannie ofiarą własnej urody. Choć może wydaje się to atrakcyjne - być zdobywaną w pościgu - nawet teraz, gdy opisuję tę sytuację, powraca to, co czuła wtedy każda z nas; czułyśmy się obnażone, bezsilne, a przede wszystkim bezbronne.

Z ciemności wyłoniła się stróżówka i zamachał do nas wojskowy wartownik, który nas rozpoznał. Zamknęła się za nami brama. Po raz pierwszy się ucieszyłam, widząc kompleks otoczony murami. Poczułam ulgę, że jestem bezpieczna dzięki wojskowemu patrolowi. To wówczas zrozumiałam coś, co pozostało aktualne przez cały pobyt w Arabii Saudyjskiej; moje bezpieczeństwo w Rijadzie opierało się na uzbrojonej ochronie. Mogłam się rozluźnić jedynie w przestrzeni prywatnej, w otoczonym wysokim murem domu. Wszystko stawało się jasne: Arabia Saudyjska, która była teraz moim domem, była jednocześnie więzieniem.

^[16] Pascal Ménoret, *The Saudi Enigma: A History*, Zed Books - World Book Publishing - David Philip, London - New York - Beirut - Kenilworth 2005, s. 183 oraz Mai Yamani, *Changed Identities: The Challenge of the New Generation in Saudi Arabia*, The Royal Institute of International Affairs, London 2000, s. 106.

^[17] Neiman Marcus - luksusowy amerykański dom handlowy z główną siedzibą w Dallas w Teksasie (przyp. tłum.).

^[18] *Tabbule* - aromatyczna sałatka ze świeżych pomidorów, bulguru, cebuli, natki pietruszki i ogórka, przyprawiona sokiem z cytryny i świeżą miętą (przyp. tłum.).

^[19] *Kibbe* - smażone kotleciki, najczęściej w kształcie łzy, przygotowane z mięsa, bulguru i cebuli (przyp. tłum.).

^[20] *Mutabbal* (zwany także baba ghanudż) - tradycyjna przekąska arabska

przygotowana z purée z bakłażanów, pomidorów i cebuli przyprawionych czosnkiem i oliwą (przyp. tłum.).

^[21] *Chalas* - koniec, dość z tym (przyp. tłum.).

^[22] Reinhard Schulze, *A Modern History of the Islamic World*, przeł. z niem. Azizeh Azodi, I.B. Tauris & Co Ltd, London - New York 2000, s. 226-229

^[23] Byli to członkowie ruchu religijno-politycznego, który wyrósł z wahhabizmu, a ich celem było polityczne zjednoczenie Arabii, która miała wówczas bardzo silne struktury plemienne (przyp. tłum.).

^[24] Tamże.

^[25] Według niektórych źródeł Dżuhajman al-Utajbi ogłosił Mahdim swojego szwagra, Muhammada Abd Allaha al-Kahtaniego (przyp. tłum.).

^[26] *Hadżdż* - pielgrzymka do Mekki (przyp. tłum.).

^[27] Kevin Sullivan, *Saudi Youth Use Cellphone Savvy To Outwit the Sentries of Romance*, „The Washington Post”, 6 sierpnia 2006.

ROZDZIAŁ 7

Zasłonięte lekarki

Mimo że środowisko medyczne w Królestwie było jednym z tych, w których oficjalnie zniesiono segregację płciową, a więc zatrudniano zarówno mężczyzn, jak i kobiety, i choć współpracowali oni na niwie zawodowej, faktycznie segregacja płciowa wciąż istniała i miała się dobrze. Obchód był wydarzeniem zdominowanym przez mężczyzn. Często byłam jedyną kobietą w zespole. Jeśli w obchodzie uczestniczyły jednak inne kobiety, pełniły wyłącznie funkcję pomocniczą; stały na końcu i przyglądały się w milczeniu. Powoli uświadamiałam sobie, że szowinizm i seksizm w równym stopniu towarzyszył wielu spotkaniom zarówno zachodnich, jak saudyjskich i pozostałych arabskich lekarzy; zupełnie jakby klimat tego miejsca pracy sprzyjał poczuciu męskiej wyższości.

Z czasem zrozumiałam, dlaczego tak jest. Wahhabizm ustanowiony prawem przez państwo forsował męską wyższość w całym Królestwie, we wszystkich aspektach życia; słabym mężczyznom z różnych zakątków świata ta usankcjonowana przewaga uderzała do głowy. Nieodporni na jej trujące właściwości zaskakująco chętnie uznawali ją za oczywistą i sami wkrótce stawali się opresyjni. Trzeba było naprawdę wyjątkowej siły, trzeźwego spojrzenia i stabilnej psychiki, żeby oprzeć się tej upajającej przewadze i korzyściom, jakie płynęły z faktu bycia mężczyzną w Królestwie.

Zdarzało się, że lekarze płci męskiej, wezwani na konsultacje do moich pacjentów, przychodzili do nich, kiedy akurat też tam byłam, i bezceremonialnie mnie mijali. Byłam dla nich niewidzialna. W medycynie jest przyjęte przedstawianie swojej opinii na temat choroby pacjenta przy kolegach, nawet jeśli ta opinia różni się od ich zdania na ten temat. Taka burza mózgów jest niezbędna, żeby postawić trafną diagnozę i wdrożyć odpowiednie leczenie. W Arabii Saudyjskiej jeśli nie poparłam wątpliwej diagnozy kolegi albo, co gorsza, przedstawiłam alternatywną, zgromadzeni Saudyjczycy posuwali się nawet do personalnych afrontów. Początkowo nie dostrzegałam subtelnych oznak głębokiego niezadowolenia skrywanego w milczących wydętych wargach, którego najwyraźniej byłam przyczyną, czułam się więc niezmiernie zdziwiona i nie wiedziałam, co myśleć o urazie, z jaką się do

mnie odnosili. W końcu zdałam sobie sprawę, że różnica zdań była często odbierana jak osobista zniewaga. Żadne Harvardy czy kliniki w Cleveland nie były w stanie stłumić plemiennej dumy zranionego saudyjskiego mężczyzny. To, że bezkompromisowo wdawałam się w rzeczowe spory, szalenie kolegów irytowało i było prawdziwym przekleństwem. Otwarcie mi powiedziano, że o ile moja merytoryczna przenikliwość jest wysoko ceniona, o tyle panuje opinia, że jestem „nie do zniesienia”. Zaskoczyło mnie, że poczułam się tym tak dotknięta. Wiele czasu zajęło mi wypracowanie bardziej dyplomatycznych zachowań. Kiedy stawiałam pierwsze kroki w tym świecie, byłam zbyt rozdrażniona, by się ku temu skłonić.

Mój niemal niedostrzegalnie utrwalający się status niewidzialnej coraz bardziej mnie absorbował. Jako kobieta lekarka, chociaż nie zasłaniałam się w pracy, zawsze nosiłam długie spodnie i okrywałam się białym fartuchem. Czułam się tak, jakbym w najlepszym razie stanowiła przeszkodę, którą należy ominąć szerokim łukiem jak jakiś niezgrabny mebel, w dodatku bezczelny, bo pozbawiony kółek. W typowo kobiecy sposób zaczęłam doszukiwać się w tym własnej winy. Może ten brak uznania jest wynikiem błędów, jakie popełniam? W końcu jestem tutaj, w Królestwie, gościem. Dlaczego nie mogę komunikować się w bardziej dyplomatyczny sposób, jak na przykład moi koledzy (płci męskiej), spokojni Polacy, którzy zawsze się uśmiechają i są niesamowicie uprzejmi nawet w stosunku do najbardziej aroganckich Saudyjczyków? Kiedy poznałam ich bliżej, okazało się, że rozładowują stres, wyrzucając z siebie szeptem stek polskich przekleństw i odpalając jednego papierosa od drugiego. Pół żartem, pół serio porównywali życie w Królestwie do tego, co działo się u nich w czasach komunizmu.

Wróciłam myślami do moich saudyjskich koleżanek po fachu. Wiedziałam, że stanowią wyjątek w tym społeczeństwie i że musiały pokonać wiele przeszkód, żeby zostać lekarkami. Statystyki zadziwiały, a te kobiety były godne podziwu zarówno ze względu na swoje doświadczenia, jak i kompetencje. Bardzo niewiele Saudyjek mogło robić to, czym one się zajmowały.

W tamtym okresie Arabia Saudyjska nie była samowystarczalna, jeśli chodzi o lekarzy; naprawdę bardzo ich potrzebowała. Zaledwie 20 procent wszystkich lekarzy w Królestwie stanowili Saudyjczycy; pozostałe 80 procent to byli cudzoziemcy. W Stanach Zjednoczonych te proporcje wyglądały odwrotnie - od 20 do 25 procent wszystkich lekarzy stanowili imigranci, a reszta to byli obywatele amerykańscy. Wśród tych 20 procent

saudyjskich lekarzy w Królestwie było niewiele kobiet. To znajdowało odzwierciedlenie także w moim otoczeniu. Nie miałam prawie żadnych koleżanek na równorzędnych stanowiskach.

Obecność kobiet w miejscu pracy nie była powszechną praktyką. Kobiety, które ze mną pracowały, zawdzięczały to wyjątkowo postępowym poglądom naszego feministycznie nastawionego saudyjskiego dyrektora naczelnego, *doktora* Fahada Abd al-Dżabbara. Niektórzy mufti (wyżsi rangą duchowni uczeni) mieli swoje wizje szpitali tworzonych wyłącznie dla kobiet; takie rozwiązanie uważali za antidotum na zło, jakim było zatrudnianie kobiet w sferze publicznej. W ostatnim czasie szajch Abd al-Aziz Al Asz-Szajch, Wielki Mufti Arabii Saudyjskiej, zaproponował podobne rozwiązanie podczas sympozjum w Rijadzie, poświęconego przestrzeganiu nakazów religii w kwestiach medycznych. Obecność osób obu płci w szpitalach nazwał „katastrofą”, która podaje w wątpliwość wrodzone poczucie przyzwoitości muzułmańskich społeczeństw. Wielki Mufti posunął się nawet do sugestii, że lekarze mogą zajmować się pacjentami przeciwnej płci jedynie w uzasadnionych medycznie skrajnych przypadkach.

Odnotowano, że same Saudyjki miały do tego bardzo różny stosunek. Niektóre ortodoksyjne kobiety z bardzo konserwatywnych rodzin dopiero od niedawna zaczęły rozważać wybór medycyny (uznawanej nawet przez najbardziej zaciekłych muftich za „ludzką” profesję) jako ewentualnej ścieżki zawodowej, jeśli miałyby gwarancję zatrudnienia w wyłącznie kobiecym środowisku, na przykład w szpitalu ginekologiczno-położniczym. Jednak wiele kobiet w Królestwie uważało, że ograniczanie wykształconym kobietom możliwości zawodowych to po prostu kolejny sposób marginalizacji. Gazeta „Arab News” zrelacjonowała zarzuty wobec pomysłu szpitali dla jednej płci słowami jednej z kobiet.

„Nie uważam, żeby był to dobry pomysł. Wszyscy żyjemy na jednej planecie i nie powinniśmy pozwalać na segregację płciową. Skoro Święty Meczet w Mekce, który jest najświętszym miejscem na Ziemi, nie oddziela kobiet, to czemu Ministerstwo Zdrowia miało to robić?” - powiedziała Maha an-Nuwajsir, lat dwadzieścia sześć.

Mówiła także o sprzeciwie wobec selekcji lekarzy dokonywanej jedynie na podstawie płci, a nie kompetencji.

„Wolę lekarzy, którzy w profesjonalny sposób zbadają moją sytuację i rozwiążą problem, i nie ma dla mnie znaczenia, czy będą to mężczyźni, czy kobiety. Nie umiem sobie wyobrazić szpitala dla mężczyzn, w którym nie byłoby kobiet pielęgniarek i lekarek, jak również nie mogę sobie wyobrazić takiego szpitala dla kobiet, w którym mężczyźni nie odgrywaliby żadnej roli”^[28].

Mimo że i ja, i kobiety w moim otoczeniu miałyśmy takie samo zdanie na ten temat, wiedziałyśmy, że tutaj nie ma rzeczy niemożliwych i dlatego nie byłyśmy zaskoczone, gdy przeczytałyśmy pismo, jakie przyszło z Ministerstwa Zdrowia w odpowiedzi na propozycję Wielkiego Muftiego. Doktor Chalid Mirghalani, oficjalny rzecznik Ministerstwa Zdrowia, przyznał, że ministerstwo rozważa utworzenie szpitali dla jednej płci, ale dodał, że nie ma to związku z rekomendacjami muftiego.

Na razie znajdowałam się w środowisku mieszanym, gdzie kobieta lekarka była rzadkością, niezależnie od tego, czy była pracownicą zagraniczną, czy obywatelką saudyjską. Liczyłam na wsparcie i wskazówki ze strony tych kilku koleżanek z pracy. Może obserwując je, nauczę się radzić sobie w nowym otoczeniu.

Wszystkie saudyjskie rezydentki były całkowicie zasłonięte. Dołączały do obchodu zakryte od stóp do głów czarnymi abajami, na nie zakładały jeszcze karykaturalnie długie białe fartuchy szyte na miarę, które zawsze zapinały na wszystkie guziki aż pod szyję; fartuchy te były często wykończone półkolistą stójką, a nie standardowym wycięciem jak w żakietach. Saudyjskie rezydentki miały na głowach czarne nylonowe hidżaby, które zwieszały się do połowy pleców, opierając na sztywnych białych fartuchach. Zarówno rysy twarzy, jak też zarys sylwetki były niewidoczne; nie sposób było nawet domyślić się wagi kobiety. Nie dało się odróżnić jednej od drugiej. Często na korytarzu witała mnie jakaś rezydentka, którą uczyłam na OIOM-ie, ale nie mogłam jej rozpoznać z powodu tego anonimowego przebrania, jakiego wymagano od kobiet w Rijadzie.

W czasie obchodu kobiety zawsze stały z tyłu grupy, zawsze po jednej stronie; wyglądały niczym pojedynczy organizm. Często starałam się łagodnym, ale stanowczym gestem, dotykając ich zasłoniętych łokci czy ramion, zachęcić je do wysuwania się na pierwszy plan. Jak falanga przesuwały się tylko w zwartym szyku, bały się stać w pojedynkę; wzajemnie chroniły się w cieniu swojej nieprzezroczystości. W trakcie zajadłej wymiany

zdań pozostawały milczące i pełne szacunku, zagadkowe, schowane za hidżabami, rzadko wyrażały swoją opinię, a już na pewno nigdy nie podawały w wątpliwość tego, co zostało powiedziane. Przyglądałam się, jak tkwią w tej dziwnej sieci wahhabizmu, kobiecości i zachodniej medycyny. Ciężko powłóczyły nogami w butach na gumowych podszewkach, ubrane w duszne okrycia - zmodyfikowane białe fartuchy i hełmy-hidżaby. Jakże musiało im być w tym gorąco nawet na klimatyzowanym oddziale.

Od czasu do czasu polecałam im, żeby porozmawiały z pacjentem albo wykonały badanie pod kątem jakiegoś konkretnego objawu. Patrzyłam, jak wtykały gumowe słuchawki stetoskopu w zakryte hidżabem uszy, jak wciskały je głęboko do przewodu słuchowego przez czarny materiał. Wiedziałam, że nie jest możliwe, żeby przez ten ogłuszający (a teraz akustycznie wyolbrzymiony) szelest oblepiającego poliestru usłyszały cichy szmer rozkurczowy.

Kiedy robiliśmy obchód u pacjentów z oparzeniami, którzy byli leczeni w ścisłej izolacji, widziałam, że te pełne stoickiego spokoju kobiety czują się jeszcze mniej komfortowo; na tradycyjną zasłonę i fartuch zakładały dodatkowo sterylne, jaskrawożółty strój ochronny, a na zasłaniającą twarz hidżab - różnego rodzaju maseczki ochronne. Czasami na całkowicie zakrytych zasłoną twarzach dziwnie sterczały okulary w metalowych oprawkach; ten widok przywodził na myśl kukielki w okularach. Zakrywanie się nawet podczas uczestnictwa w procedurach wykonywanych w zaciszu izolatek było zadziwiające. Kobiety musiały wykazywać się pełnym poświęceniem i czasami znosić te uciążliwe warunki całymi godzinami. Były twarde i z niesamowitym spokojem wytrzymywały to, co wydawało się nie do wytrzymania.

Z czasem byłam coraz bardziej pełna podziwu dla tych tajemniczych kobiet; fascynowały mnie, a jednocześnie ogromnie im współczułam. Sądząc po nieszczęsnych obchodach, które razem odbywałyśmy, ich podejście do medycyny naśladowało ich podejście do islamu; milczące i ślepe posłuszeństwo, wszystko pod dyktando mężczyzny. Ponieważ rzadko rozmawiałyśmy w trakcie obchodów, dopiero dużo później, kiedy zaprzyjaźniłam się z większością Saudyjek, mogłam skorygować ten nazbyt uproszczony obraz. Do tego czasu sama wyciągałam wnioski i zastanawiałam się, jak długo byłabym w stanie wytrzymać tę wrogą atmosferę i poczucie niższości, gdybym była na ich miejscu.

Obchody dawały mi możliwość obserwowania Saudyjczyków w pracy. Od czasu do czasu zdarzało się, że inny specjalista odwiedzał naszych pacjentów, kiedy się nimi akurat zajmowaliśmy. Pewnego dnia przedstawiałam przypadek jednego z pacjentów z myślą o Walidzie, młodym saudyjskim rezydencie, i towarzyszących mu chirurgach. Poświęciłam na to dużo czasu. Zwróciłam ich uwagę na jakiś istotny objaw fizyczny i wyjaśniałam historię choroby oraz metody, jakimi staramy się osiągnąć oczekiwane wyniki. Długie wąsy Walida opadające po obu stronach ust nadawały jego twarzy wyraz beznadziejnego znużenia skrzyżowanego z pobłażliwością i lekceważeniem. Tym bardziej starałam się go rozruszać. Kiedy zastanawiałam się, jak odblokować jego medyczną wyobraźnię, usłyszałam narastający szelest gniecionej bawełny. W trakcie osłuchiwania pacjenta wokół mnie zaczęły rozbrzmiewać powitania po arabsku, po których nastąpiła cała seria szczególnie denerwujących charakterystycznych odgłosów cmokania! Zdekoncentrowana podniosłam wzrok. Stetoskop wyslizgnął mi się z ręki i z głośnym brzękiem uderzył o barierkę łóżka.

Koteria chirurgów, mężczyzn z pogotowia naczyniowego; właśnie wyszli z sali operacyjnej i witali się z Walidem i pozostałymi rezydentami płci męskiej. Niektórzy wciąż jeszcze mieli maseczki chirurgiczne zawadiacko wiszące wokół szyi z kilkudniowym zarostem. Zielone grupki saudyjskich mężczyzn w fartuchach chirurgicznych od czasu do czasu rozdzielały się na pojedyncze zielone jednostki. Powoli, metodycznie mężczyźni całowali jeden drugiego w oba policzki: każdy policzek dwa, trzy, cztery razy, a nawet więcej - straciłam rachubę. Jednocześnie ściskali sobie dłonie i po dwóch obejmowali się w niekończących się kombinacjach - dziwna zsynchronizowana geometria pocałunków.

Nic nie można było zrobić, dopóki każdy saudyjski fartuch chirurgiczny nie przywitał się z każdym innym saudyjskim fartuchem chirurgicznym. Rzecz jasna, wszystkie kobiety były z tej procedury wyłączone. Zasłonięta fałanga stała bez słowa jak zwykle po jednej stronie. Tym razem dołączyłam do nich, także nic nie mówiąc. Byłam zła, że mi przerwali, i skonsternowana, że tak jawnie lekceważą i mój czas, i pacjentów, którzy leżą w połowie badania odkryci. Brzęczące monitory i wyposażona w czujniki aparatura zeszyły na dalszy plan. Patrząc na tę scenę, zgubiłam wątek.

Ich powitania były powolne, długie i zupełnie spokojne, jakbyśmy mieli mnóstwo czasu. Może nie wiedzieli, że są ciężko chorzy pacjenci, których musimy jeszcze odwiedzić? Co za kontrast w stosunku do Nowego Jorku, pomyślałam, przypominając sobie wszystkich

pełnokrwistych mężczyzn w fartuchach z monogramami na rękawach, którzy ze mną tam pracowali. Przelotne klepięcie kolegi po plecach, szybkie mycie rąk środkiem dezynfekującym i natychmiastowy powrót do pracy. Nic nie mogło mnie bardziej zdziwić niż ten tutejszy pokaz. Chciałam krzyknąć: „U mnie na obchodzie nie będzie żadnego całowania!”, ale oczywiście jak zwykle ugryzłam się w język i przeczekałam, aż każdy mężczyzna przywitał się z każdym ze swoich rodaków.

Prawdę mówiąc, gdy głębiej się nad tym zastanowiłam, patrzenie na tych całujących się facetów mnie denerwowało. Po raz pierwszy w Królestwie zetknęłam się z publicznym okazywaniem sobie sympatii. Być może podświadomie przypuszczałam, że Saudyjczycy się nie całują. Kto by pomyślał, że usta Saudyjczyków są w stanie wydawać odgłosy czułości? W końcu aż do tego momentu nie widziałam nikogo, kto by się tu całował, trzymał kogoś za rękę albo obejmował. Kontakt fizyczny wydawał się w tym wahhabickim państwie czymś nie do pomyślenia.

Obserwując całujących się chirurgów, nie mogłam powstrzymać się od skojarzenia, że oto przez pomyłkę trafiłam na imprezę Halloween w West Village, gdzie nowojorscy geje udawali szejków i witali się ze sobą po dziewczynsku, dając pokaz niewieściego sposobu wyrażania sympatii. Odniesienie do homoseksualizmu samo się nasuwało. Niemniej jednak wyraźne było tu poczucie rzeczywistego związku; poufałość i fizyczna zażyłość, z jaką ci mężczyźni się witali, były zdumiewające. Nie tylko ściskali sobie dłonie, ale po wymianie wstępnych uprzejmości i pozdrowień przez dłuższy czas trzymali się za ręce, niemal tęsknie splatając ze sobą długie smukłe palce.

Pocałunek jako taki był właściwie tylko gestem; różowe pełne usta rzadko stykały się ze skórą, ale wydawały charakterystyczny cichy dźwięk. Pocałunek Saudyjczyka był pieścizną; cieplejszy niż plastikowe grymasy na Park Avenue, bardziej finezyjny od niezdarnych pocałunków składanych na policzkach. Ten na pozór intymny akt był zniewieściałym, wyraźnie zaaranżowanym i wyćwiczonym manewrem: mężczyzna przymykał oczy, pieściząc powietrze obok policzka lub ramienia towarzysza. Drobnym, spokojnym gest bliskości, zwyczaj sięgający wiele stuleci wstecz; elegancja, która była nie z mojego świata, daleka Zachodowi i tym czasom. Uderzająca dychotomia: surowa męska wyższość i instynktowna mizoginia w zestawieniu z intensywnie czułymi relacjami pomiędzy samymi mężczyznami, jakby bezpieczne okazywanie wrażliwości było możliwe tylko

w przypadku tak daleko posuniętej segregacji płciowej.

Trochę czasu minęło, zanim przyzwyczałam się nie tylko do tych publicznych uprzejmości wymienianych przez Saudyjczyków, ale także do o wiele bardziej irytującego uczucia, jakie często temu towarzyszyło. Szczególnie niepokoiło mnie to, że wśród tych mężczyzn może znajdować się jakiś gej zmuszony do ukrywania się, któremu grozi ścięcie. Czy wśród nich homoseksualny mężczyzna mógł czuć się swobodnie? Czy mężczyźni w swoim gronie w ogóle przyznawali się do tego?

Mój niepokój nie miał homofobicznego podłoża, wynikał raczej z tego, że trudno było mi zrozumieć to, czego tu doświadczałam. Ta nieprzezroczystość była przytłaczająca i nieznośna; widziałam coś i jednocześnie tego nie widziałam. Czasami miałam wrażenie, że muszę dosłownie wybałuszać oczy, jakbym potrzebowała więcej światła, by odszyfrować nieczytelne obrazy. Czy niewidoczny gej mógł się wtopić w społeczność, czy mógł się dobrze ukryć, czy był chroniony i jaką miał pozycję w tym zdominowanym przez mężczyzn, surowo podzielonym społeczeństwie? Nie umiałam rozróżnić mężczyzn; homogeniczność była wyjątkowo silna. W Królestwie nigdy nie opuściło mnie poczucie, że niczego nie mogę być pewna i że nic (jak zwykle) nie jest tym, czym się zdaje.

Po raz kolejny nawet znajome salamy, które ci mężczyźni wymieniali między sobą, chyba pierwsze arabskie słowa, jakich nauczyłam się jeszcze jako dziecko, brzmiały obco z powodu towarzyszących im społecznych płasów. Po ich zakończeniu Walid i pozostali rezydenci z ociąganiem wrócili do obchodu i chcąc nie chcąc, znów skupili na mnie uwagę. Nawet nie zauważyli, że czekam na nich milcząca jak kamień. Ich twarze całe w wilgotnych uśmiechach zmieniły się w beznamiętne maski powagi i znużenia. Ciepło i uprzejmość gdzieś się rozplynęły. Wróciliśmy do pacjenta. Kontynuowałam gładko od momentu, w którym mi przerwano, nawet słowem nie wspominając o tym, że mężczyźni z sali operacyjnej wtargnęli na obchód. Widzialna czy niewidzialna, miałam pracę do wykonania.

[28] Lulwa Shalhoub, *Women-Only Hospitals: Who Will Rule the Roost, Idealists or Pragmatists?*, „Arab News”, 1 lutego 2008.

ROZDZIAŁ 8

Straceni chłopcy Królestwa

Spieszyłam się na szpitalny oddział ratunkowy. Na miejscu natychmiast zostałam wessana w wir pracy - to była sytuacja kryzysowa. Na stalowych stołach na kółkach leżały trzy ciała; ci ludzie nie żyli już w momencie przywiezienia na oddział. Sanitariusz przykrył ciała prześcieradłami. Na czwartym stole znajdowało się mniejsze zawiniątko, też osłonięte całunem; jednym ze zmarłych było dwuletnie dziecko. Prześcieradła, którymi je owinięto, przesiąkły krwią. W oddalonej części sali na ostatnim stole leżało bezwładnie zakrwawione ciało, wokół którego uwijało się grono lekarzy. To był mężczyzna, do którego zostałam wezwana.

Przecisnęłam się przez grupę zatroskanych ludzi, którzy otaczali łóżko. Mężczyzna miał otwartą ranę głowy - rozcięta skóra sprawiała, że głowa wyglądała jak rozłupany krwawy kokos. Z lepkiej rany wydobywał się intensywny zapach alkoholu. Mężczyzna musiał sobie wypić, prawdopodobnie Jacka Danielsa, najwyraźniej doprawiając go fińską wódką, zgadywałam zorientowana już w kwestii wybieranych w Królestwie trunków-trucizn. Zapuchnięte oczy, fioletowe jak figi, i strużka gęstej krwi spływająca z lewego ucha potwierdzały moje podejrzenia: pęknięcie podstawy czaszki.

Bujne długie rzęsy ujawniały, że był to młody człowiek. Pieprzyk na prawym policzku nadawał młodziutkiej twarzy arystokratycznego wyglądu. Starannie wypielęgnowana broda świadczyła o próżności, ale też o polocie.

Niegdyś orli nos teraz się zapadł; ten rodzaj pęknięcia wskazywał na mocne uderzenie. Twarz otaczała zdumiewająco bujna grzywa dredów. Wymyślna fryzura była wyrazem buntu. Drogi oddechowe mężczyzny zostały już zabezpieczone rurką tracheotomijną, która z każdym drgnieniem wydawała chrapliwe dźwięki z powodu sączenia się krwawej wydzieliny. Klatka piersiowa była poważnie zraniona. Wyczuwałam przykrą elastyczność połamanych żeber, które pękały tak łatwo jak mostek pieczonego kurczaka. Obojczyk się przemieścił. Kontynuowałam badanie już przekonana o tym, że mężczyzna nie był przypięty pasami. Jego

brzuch był niepokojąco powiększony, a na zimnych bokach tworzyły się siniaki. Jedną nogę miał obróconą na zewnątrz pod kątem przyprawiającym o mdłości, a ze spuchniętego uda płynęła krew. Miał też strzaskane przynajmniej jedno biodro, a być może także miednicę.

Sprawdziłam puls. Palce mężczyzny były lodowate. Na dłoniach zaczynały pokazywać się brzydkie plamy. Stracił dużo krwi. Tak szybko jak tylko mogłam podłączyłam kroplówkę, żeby dostarczyć mu dożylnie solidną dawkę płynów. Udało mi się wkuć w lewą pachwinę. Nawet tętnica udowa, normalnie z bardzo wyraźnym tętnem, teraz pulsowała nierówno. Przerazony konający wróbel, pomyślałam.

W trakcie podłączania kroplówki zauważyłam na lewej ręce mężczyzny mieniący się zegarek. Diamentowa otoczka szafirowej tarczy była poplamiona krwią, a literę „P” w napisie „Piaget” przesłaniał skrzep. Rozpięłam gruby pasek zegarka z krokodylej skóry i podałam cenny przedmiot pielęgniarce. Jeszcze spinki do mankietów od Vuittona. Wyżej, w miejscu, gdzie kurtka od Gucciego była rozerwana, wewnętrzna część przedramienia ukazywała świeże ślady świadczące o uzależnieniu od narkotyków. Pacjent był osobą dobrze sytuowaną, uzależnioną od alkoholu, heroiny i, jak podejrzewałam, jeszcze kilku innych substancji.

Po intensywnej pracy całego zespołu, kiedy udało nam się ustabilizować ciśnienie krwi, mogliśmy bezpiecznie przetransportować mężczyznę na tomografię komputerową. Towarzyszyłam mu, ponieważ był w trakcie transfuzji. Dopilnowałam wszystkiego i spokojna, że jest zabezpieczony, wróciłam na oddział ratunkowy, żeby dokończyć pracę.

Filipińska salowa umyła zakrwawioną podłogę, rozmazując lepkie nieczystości po białym linoleum. Ciała dorosłych zostały przewiezione do szpitalnej kostnicy i tam czekały na identyfikację. Nad najmniejszym nieruchomym ciałkiem modlili się sparaliżowani rozpaczą rodzice. Jaskrawe fluorescencyjne światło odzierało z wszelkiej intymności. Pielęgniarka szeptem przekazała mi informacje dotyczące zmarłego dziecka, gdy sporządzałam notatki przy swoim stanowisku.

Dziecko było ósmym, najmłodszym synem. Zabił je mercedes, którym czterech mężczyzn wracało z szalonego weekendu w Bahrajnie. Ci rodzice zaledwie rok wcześniej stracili dziecko w wypadku motocyklowym. Słuchałam nieporuszona. Kilka miesięcy pracy na oddziale pourazowym w Rijadzie, gdzie opiekowałam się pacjentami w stanie krytycznym,

sprawiło, że zdążyłam się uodpornić. Każdego dnia ginęły dzieci. Patrzyłam na zalewających się łzami rodziców i pozwalałam sobie nic nie czuć. Okrutny, niesmaczny dowcip popularny wśród ekspatów znajdował odbicie w faktach:

- Jak się nazywa saudyjska poduszka powietrzna?

- Pięciolatek.

Czarny humor.

Ojcowie, którzy prowadzą samochód, trzymając na kolanach syna, to codzienny widok. W czasie wypadku często się zdarza, że dziecko wybija głową przednią szybę i ginie, a ojciec uchodzi z życiem. Wiele starań wkładano w propagowanie pasów bezpieczeństwa i fotelików dla dzieci, przodował w tym Szpital Gwardii Narodowej, ale nadal w Rijadzie bezpieczeństwo dzieci nie stanowiło takiej obsesji, z jaką mamy do czynienia na Zachodzie. Często można było zobaczyć, że właściwie to dzieci prowadziły samochód; ich nosy ledwie wystawały nad kierownicę amerykańskich SUV-ów. Dwunastoletni kierowcy nie byli w Rijadzie zaskakującym widokiem.

Skończyłam pisać i spojrzałam na młodego Saudyjczyka, który chodził w tę i z powrotem po korytarzu, nie mogąc usiedzieć na krześle, które mu przyniesiono. Jego *sauba* była we krwi. Widocznie próbował pomóc współpasażerom, zanim nadjechała pomoc. W lewej ręce ścisnął pilota do stacyjki monstrualnie wielkiego, zmiażdżonego teraz mercedesa. Uświadomiłam sobie, że jest jedynym pasażerem, który wyszedł z tej szaleńczej jazdy bez szwanku. Musiał wiedzieć, co się stało.

Zanim zdążyłam do niego podejść, sam do mnie podbiegł. Obserwował, jak zajmowałam się jego bratem.

- *Doktora, doktora, czy Tahir przeżyje?* Proszę, muszę to wiedzieć. Boże, nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. - Zbliżył się do mnie i wybuchł płaczem. Zrozpaczony wykonał taki gest, jakby chciał chwycić mnie za rękę, ale w ostatniej chwili cofnął się skrupowany tradycją. Woń perfum Creed za sto osiemdziesiąt pięć dolarów unosiła się z jego sauby marki Dunhill pomimo zniszczenia, jakiemu uległ strój. Poczekalam, aż mężczyzna się uspokoi.

Przepełniony bólem otarł łzy delikatnymi, zadbanymi dłońmi. Zaskoczyła mnie wyraźna woń absyntu, wyczuwalna w jego oddechu. Wyglądało na to, że i on pił. Kiedy w końcu się odezwał, mówił powoli, z brytyjskim akcentem wyuczonym w Eaton, głosem palacza. Brzmiał zupełnie jak Jeremy Irons.

Jasir, bo tak miał na imię brat rannego mężczyzny, opisał mi tę noc tak, jak ją sobie wyobrażałam. Wracali z weekendu pełnego alkoholu, kokainy i heroiny. Tahir dopiero co został właścicielem monstrualnego krążownika szos - Mercedesa McLaren z silnikiem 5,4 litra. Chcieli sprawdzić, jakie możliwości ma auto - silnik pracował na pełnych obrotach. Wyciągnął niemal dwieście kilometrów na godzinę. Tahir pił przez kilka godzin, potem usiłował „otrzeźwić się” kreskami kokainy. Brat nie zdołał go przekonać, żeby nie siadał za kółkiem, i tak zaczęła się ta śmiertelna jazda.

Na końcu zupełnie prostego odcinka autostrady do Ad-Dammamu Tahir zobaczył suzuki pikapa i stado kóz. Samochód stał na środku, w poprzek drogi. Nie było czasu do namysłu. Tahir, mimo szybkości, z jaką jechał, gwałtownie skręcił. Przerażliwe meczenie kóz, odgłosy wyginającej się stali, pisk gumy i było po wszystkim.

Kiedy hałas ucichł, Tahir tkwił pomiędzy kierownicą a deską rozdzielczą, z głową rozbitą o przednią szybę. Proszek wypełniający poduszki powietrzne zmieszał się z sierścią kóz i krwią. Z suzuki dobiegał płacz - beduińska matka szlochała nad dzieckiem.

Jasir zamilkł i próbował jeszcze coś sobie przypomnieć. Wyciągając papierosa, przez chwilę ocierał płynące łzy. W końcu zgniótł filtr w ortodontycznie wyprostowanych zębach.

- Od jak dawna Tahir bierze narkotyki? Jak to się stało, że jest alkoholikiem? - zapytałam.

Jasir był zaskoczony, że ujawniłam uzależnienia pacjenta, ale westchnął głęboko i zaczął snuć elegię o swoim bracie i wielu innych zamożnych mężczyznach w Arabii Saudyjskiej.

Bracia byli najmłodszymi synami bogatego saudyjskiego handlarza, urodzonymi przez jego czwartą żonę. Ojciec miał już siedemdziesiąt dwa lata, kiedy Tahir przyszedł na świat.

Też był nałogowym alkoholikiem, znikał czasem na całe tygodnie, szukając schronienia u pozostałych żon, z dala od najmłodszych dzieci.

Pomimo alkoholizmu, a może właśnie za jego sprawą, ojciec chciał, żeby Tahir odebrał jak najlepsze wykształcenie. Kiedy syn miał jedenaście lat, został wysłany do szkoły z internatem najpierw do Szwajcarii, a następnie, gdy wyrzucono go stamtąd za wykroczenia, do angielskiej szkoły w Norfolk. Z dala od matki czuł się bardzo samotny.

Chodził na wagary. Mając trzynaście lat, zaczął pić. W wieku czternastu lat trafił na oddział ratunkowy z powodu zatrucia alkoholem. Jako szesnastolatek po raz kolejny został wyrzucony ze szkoły i wrócił do Królestwa. Jego rodzina zauważyła, że się zmienił. Był zamknięty w sobie, w ciągu dnia godzinami spał.

To w tym czasie Tahir zaczął regularnie zażywać kokainę. Dzięki pieniądзом, jakimi dysponowała jego rodzina, a także znajomościom, narkotyki i alkohol były łatwo dostępne. Tahir wciągał kreski kokainy w prywatnych domach i dobrych hotelach. Wkrótce spędzał czas z towarzystwem z Bahrajnu, a później z elitą znanych i bogatych z Dubaju. Trzy ostatnie lata jego życia to była seria narkotykowych i alkoholowych balang. Jeden weekend - Amman, drugi - Mediolan, powrót do Dubaju, a następnie wyjazd do Paryża na Tydzień Mody. Przemieszczał się, imprezując, dopóki się nie zalał. Nigdzie nie czuł się u siebie, dlatego wolał żyć na walizkach w Lanesborough w Londynie albo w Hôtel de Crillon w Paryżu.

Tahir, produkt zrujnowanej poligamicznej rodziny zniszczonej przez alkoholizm i zazdrość, nie mógł nigdzie zapuścić korzeni. Usiłował nawet prowadzić życie zwyczajnego Saudyjczyka, skoro tego oczekiwano; wstąpił w endogamiczny związek małżeński, ale jego żona, jak wiele dobrze sytuowanych, trzymany pod kloszem saudyjskich kobiet, była przygotowana jedynie do roli panny młodej, a nie żony.

Tahir wracał po całym dniu spędzonym w biurze ojca do pustego domu, bo żona się nudziła, więc przesiadywała u swoich rodziców. Doszedł do wniosku, że poślubi dziecko, które wciąż było związane pępowiną z matką. Wkrótce znów zaczął pić.

Historię zakończyła dzisiejsza masakra. Jasir spojrzał na mnie bezradnie.

Wróciłam na OIOM i czekałam na wynik tomografii. Opowieść o tragicznym życiu Tahira przepełniła mnie smutkiem, chociaż nie była to pierwsza historia tego typu, z jaką się spotkałam.

Nazywałam ich „straconymi chłopcami Rijadu”. Rozbijali się po mieście sportowymi samochodami z niskim zawieszeniem, w kontestatorskich T-shirtach i czarnych dżinsach z paskami nabijanymi ćwiekami - tacy rijadzcy raperzy. Od czasu do czasu uwagę przykuwało jakieś prześmiewcze, dowcipne hasło na T-shirtcie albo napis na plecach „Made in England”, który wywoływał mój uśmiech. Kiedy widziałam skulone ramiona, wstydliwie pochylone głowy, zagubienie, było mi przykro. Ci mężczyźni byli przegrani.

Często widziałam, jak kłębili się na oddziale ratunkowym po całonocnej ostrej libacji. Innym razem obserwowałam, jak niczym ruszający na łowy jeźdźcy ferrari testarossa wydawali z siebie gwizdy w Al-Ulajji. Intrygowało mnie ich zachowanie - groźne, a zarazem tchórzliwe. Wyzywająca linia szczęki zawsze świadczyła o brawurze, a nie o odwadze. Wypielęgnowane brody zdradzały próżność jak u pawia, a zaczerwienione nozdrza, z których zawsze ciekło, sygnalizowały nienasycony apetyt na kokę.

Luksusowe akcesoria i kosztowne miejsca zabaw były jedynie odzwierciedleniem pustki, jaką ci mężczyźni mieli w sobie. Czuli się porzuceni, straceni, bezwartościowi. Dorastali bez ojców, bo splotzili ich ci, którzy mogliby być ich dziadkami. Ci, którzy nie przejawiali już zainteresowania dziećmi, nawet płci męskiej. „Straceni chłopcy” wyrastali na mężczyzn pozbawionych celu i przyszłości. Uprzywilejowana pozycja windowała ich do wyższych sfer w zachodnich społeczeństwach i pobudzała apetyty, brakowało im jednak ostoji, solidnego zakotwiczenia w rodzinie, kulturze i religii. Byli wyrzutkami we własnych rodzinach, nie umieli pokonać przepaści pokoleniowej między starzejącymi się poligamicznymi ojcami a sobą - współczesnymi kawalerami. Nie mieli poczucia przynależności. Byli Nowymi Nomadami. W przeciwieństwie do przodków jednak, w bolesnej i bardzo samotnej tułaczce nie widzieli celu. Błądzili, szukając ucieczki od samych siebie. Znajdowali ją często w przynoszących zapomnienie narkotykach. W ten sposób Królestwu ubywały całe pokolenia „straconych chłopców”. Stawali się obcy w rodzinnym kraju.

ROZDZIAŁ 9

Rozpacz ojca

Kilka dni porządnego snu dodało mi sił. Byłam gotowa na wszystko, co mogło mnie spotkać na dyżurze. Sącząc pierwszą z wielu kaw, rozmawiałam z przełożoną pielęgniarek na OIOM-ie.

- Tylko mi nie mów, Floriana, że pacjent z łóżka szesnaście wciąż nie poszedł na operację.

Floriana potakująco kiwnęła głową.

Sympatyczny chirurg, Saudyjczyk Hiszam, był dość nieśmiały. Podejrzewałam, że w głębi duszy obawia się operowania. Przez chwilę spoglądałyśmy z Florianą na pacjenta.

- Od jakiegoś czasu sączy się z jego śledziony, Floriana. Miejmy nadzieję, że ten bagnisty zakrzep wytrzyma. Śledziona może pęknąć w każdej chwili.

Popatrzyłyśmy na siebie z niepokojem.

- Może powinnam wezwać Hiszama, żeby ponownie na to spojrział? Jak uważasz, Floriana?

- Och, *doktora*, nie słyszała pani najnowszych wieści? - Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. - Wieści na temat jego syna?

Teraz to ja spjrzałam na nią w osłupieniu; jej głos był pełen niepokoju.

- Syn Hiszama zginął w czwartek. Miał zaledwie sześć lat. Nie znamy szczegółów; przekazano nam tę informację na spotkaniu dla personelu. Wypadek. Zmarł wkrótce po przywiezieniu do szpitala.

Zamilkła, myśląc o własnych dzieciach, które mieszkały tysiące kilometrów od niej, w Manili. Jako jedyna żywicielka rodziny wysyłała im co miesiąc pieniądze. Sama będąc matką, głęboko przeżywała śmierć każdego dziecka. Kilka lat później byliśmy zdruzgotani, kiedy to Floriana zginęła w wypadku samochodowym na kilka tygodni przed tym, jak na dobre miała się przeprowadzić do Manili. Rijad był znany z wypadków komunikacyjnych.

Natychmiast pożałowałam swojego protekcyjnego stosunku do biednego Hiszama. Zostawiłam Florianę i wyszłam na zewnątrz, żeby pospacerować po trawniku przed OIOM-em. Było już po zmroku. Wróble ćwierkały swoje ostatnie ptasie śpiewy przed wschodem księżyca. Było mi ogromnie żal tego mamroczącego chirurga, zwłaszcza gdy przypominałam sobie, że zachowywał się wobec mnie bardzo przyjacielsko.

- Gdyby czegokolwiek pani potrzebowała w Rijadzie, *doktora* Qanta, czegokolwiek, proszę dać mi znać - nalegał kiedyś późnym wieczorem, opierając silne ręce o stalowe drzwi OIOM-u po tym, jak postawiłam na nogi jednego z jego pacjentów. Pamiętam, że spojrzałam wtedy na tego Saudyjczyka z nadwagą, a on przesłał mi zaskakująco przyjacielski uśmiech. Zastanawiałam się, co miał na myśli, mówiąc: „Gdyby czegokolwiek pani potrzebowała...”. Nie byłam przyzwyczajona do życzliwości ze strony saudyjskich kolegów, więc taki przyjazny gest, szczególnie gdy wykonywał go mężczyzna, traktowałam podejrzliwie. Tamtej nocy zbyłam Hiszama szybkim skinieniem głowy, a lekceważenie ukryłam za maseczką chirurgiczną.

Teraz wspomnienie życzliwości, jaką mi okazywał, zabolalo. Chociaż znałam go tylko z opieki nad wspólnymi pacjentami urazowymi, wiedziałam, że miał najlepsze intencje. To człowiek, który starał się robić wszystko, co w jego mocy, chociaż nie miał dużych możliwości. Wykazywał się jednocześnie odwagą i wytrwałością.

Nagle poczułam, że chcę odwiedzić Hiszama w domu i złożyć mu kondolencje. To był jedyny sposób na odpokutowanie haniebnego protekcyjnego traktowania go w minionych miesiącach. Może skoro dostrzegłam swoje aroganckie zachowanie, nabiorę trochę nieodzownej pokory. W Rijadzie naprawdę było mi bardzo ciężko. Nosłam w sobie jakieś ostrze, które raniło wszystkich wokół. Nie lubiłam tej złej, agresywnej kobiety, którą się stawałam. Chciałam się zmienić. Miałam zacząć od właściwej reakcji na tragedię Hiszama.

Następnego dnia rano, gdy wypisałam swoich pacjentów, poszłam porozmawiać o Hiszami z Farisem (ordynatorem OIOM-u). Faris, Saudyjczyk z Hidżazu, zanim jeszcze zaczął praktykować jako lekarz, był muzułmańskim uczonym (należał do mutawwy) i doskonale orientował się w zwyczajach związanych z islamem i obowiązujących w Arabii Saudyjskiej. Na pewno wiedział, w jaki sposób mogłabym zaaranżować wizytę w tak delikatnych okolicznościach, jakie stanowiła śmierć dziecka.

- Doktorze Farisie, wiem, że to pewnie niekonwencjonalny pomysł, ale chciałabym złożyć wizytę Hiszamowi. Dotarła do mnie ta potworna wiadomość. Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Kiedy będzie pogrzeb? Chciałabym się zobaczyć z Hiszmem, złożyć mu kondolencje.

- Pogrzeb był wczoraj. W naszej tradycji, Qanta, jedynie mężczyźni mogą uczestniczyć w tej uroczystości, więc i tak nie mogłabyś pójść. Byłem tam z liczną grupą naszych kolegów. To okropnie smutne. Allah zaleca, by przez trzy dni od pogrzebu składać wizyty pograżonej w smutku rodzinie zmarłego i przekazywać słowa ubolewania, ale później nie powinno się już zakłócać jej spokoju. Rodzina ma czterdzieści dni na prywatne przeżywanie żałoby. Allah chce, by zmierzyła się ze stratą i z niej otrząsnęła. Nie powinniśmy najbliższym tego utrudniać, składając wizyty poza ustalonym okresem.

- A co z jutrem, doktorze Farisie? Może moglibyśmy odwiedzić Hiszama jako grupa kolegów z OIOM-u? Wie pan, że nie mogę pójść tam sama. Nigdy nie poznałam jego żony. Gdyby wybrało się więcej osób, wówczas może i ja mogłabym uczestniczyć w spotkaniu?

Na twarzy Farisa pojawił się szeroki uśmiech. Ordynator był znany ze społecznikowskiego zacięcia - zawsze chętnie odwiedzał chorych, pograżonych w żałobie i pomagał potrzebującym. Był bardzo towarzyskim Hidżazyjczykiem. Niedawno się rozwiódł, pomyślałam więc, że może też czuje się samotny. Zorganizowanie wyjścia, nawet w takich okolicznościach, z pewnością by go zajęło; zawsze to popołudnie spędzone inaczej niż w pojedynkę.

- Wspaniały pomysł, *doktora* Qanta. Myślę, że w towarzystwie pozostałych kolegów nie będzie w tym nic niestosownego. - Byłam zaskoczona jego aprobatą. - Porozmawiam

z Hiszama i zobaczę, co da się zrobić. Może poprosimy Imrana i Imtijaza, żeby do nas dołączyli? Wiem, że się przyjaźnią.

Faris wyciągnął komórkę z przepastnej kieszeni sauby i, zanim jeszcze opuściłam pokój, już wybierał jakiś numer.

- Powiem reszcie - rzuciłam i pospieszyłam do domu, żeby zacząć telefonowanie.

Kiedy Imran i Mobin (moi koledzy z OIOM-u, którzy także kształcili się w Nowym Jorku) usłyszeli o tym planie, od razu okazali zrozumienie. Zgodzili się wybrać do Hiszama. Obiecali, że zaproszą też Imtijaza, naszego pakistańskiego kolegę, który tak jak my studiował w Nowym Jorku.

Następnego popołudnia mieliśmy spotkać się przed bogato zdobionym wejściem dla VIP-ów. O umówionej godzinie biegłam przez brązowożłote marmurowe atrium, które witało wpływowych Saudyjczyków, czasem członków rodziny królewskiej, przybywających do naszego szpitala na leczenie. Popołudniowe światło oślepiało, oczy mnie piekły, mimo że miałam na nosie okulary przeciwsłoneczne. Pod portykiem, chodząc z komórką tam i z powrotem, czekał Faris, który miał nam towarzyszyć. W białej saubie, tuż obok swojego białego cadillaca, robił świetne wrażenie. Zanim wyszłam mu na spotkanie, przez chwilę obserwowałam go z ukrycia i podziwiałam jego zaskakującą elegancję.

Faris miał prawdopodobnie jakiś metr dziewięćdziesiąt. W ostatnich latach przybrał na wadze, co dodało jego niemal okrągłej twarzy powagi i ciepła. Okalała ją dyskretna, zadbana broda. Jego oczy zawsze wyglądały tak, jakby właśnie opowiadał jakiś żart, i rzeczywiście sływał z poczucia humoru. Był wesołkiem i zaprzeczeniem stereotypu potężnie zbudowanego mężczyzny w Królestwie.

Dzisiaj zamast białego fartucha i źle dopasowanego stroju chirurgicznego miał na sobie tradycyjną garderobę. Białe nakrycie głowy trzepotało na porywistym popołudniowym wietrze. Gdy rozmawiał przez telefon, przyciskając czarną komórkę do odsłoniętego ucha, wysunięta antenka odcinała się na tle klasycznego nakrycia głowy. Spoglądał w zamyśleniu przed siebie. Od czasu do czasu wiatr wyszarpywał jego biały *szimagh*, odsłaniając ogoloną, wyperfumowaną szyję i pulchne policzki pozbawione zmarszczek, jak cała twarz. Faris miał

ciemnobrązową skórę, niemal taką jak Hindusi; jej barwa kontrastowała z rzucającym się w oczy kremowym zestawem, który miał na sobie. Byłam pod wrażeniem stroju i tego, jak atrakcyjnie w nim wyglądał, a fakt, że nie był świadomy swojego uroku, potęgował efekt.

Ruszył w stronę swojego białego cadillaca, równie nieskazitelny jak jego właściciel. Dostrzegłszy mnie, dał znak, żebym się pospieszyła. Imran i Imtijaz siedzieli już w samochodzie, czekając, aż zajmę miejsce na przednim siedzeniu, gdzie jako jedyna kobieta będę miała przestrzeń osobistą. Faris wsiadł ostrożnie, żeby nie naruszyć nakrycia głowy. Gdy już usadowił się na siedzeniu kierowcy, spojrzął w lusterko wsteczne i poprawił chustę zupełnie jak farmer, który poprawia swój kowbojski kapelusz. Wskazał, żebym usiadła obok. Zamarłam i pozostałam na zewnątrz.

Z moich obserwacji poczynionych w Królestwie wynikało, że przednie siedzenie jest zarezerwowane wyłącznie dla żon. Gdybym tam usiadła, przez szeroką przednią szybę widzieliby mnie *mutawwa'in* i mogliby poprosić o dokumenty. Byłam niezamężną kobietą i nie miałam pewności, czy nawet Faris, stojący na czele prestiżowego oddziału intensywnej opieki medycznej w Szpitalu Gwardii Narodowej, dałby radę mnie wybronić. Co gorsza, obawiałam się, że gdybym usiadła z przodu, mogłoby to podsycać fantazje na temat ewentualnego zajęcia przeze mnie miejsca jego partnerki. Wszyscy wiedzieli o niedawnym rozwodzie Farisa, był to temat szeroko dyskutowany w szpitalu. Nie chciałam w najmniejszym nawet stopniu przyciągać uwagi. Moja paranoja była paralizująca i nieproporcjonalna do zagadnienia. Coś, co na Zachodzie nigdy nie skłoniłoby mnie do zastanowienia, w Rijadzie urastało do rangi problemu.

Pomimo protestów jeden z mężczyzn zwolnił w końcu tylne siedzenie i usadowił się obok Farisa, a ja zajęłam jego miejsce. Szyby z tyłu były mocno przyciemnione, by chronić przewożone kobiety przed natarczywymi spojrzzeniami. W tamtym czasie była to powszechna praktyka w Królestwie, potem we wszystkich pojazdach zaprzestano używania tych kulturowych przesłon, żeby ułatwić poszukiwanie potencjalnych terrorystów. Ale to były jeszcze czasy przed 11 września. Tamtego dnia cieszyła mnie możliwość ukrycia się za ciemną szybą. Po kilku miesiącach mieszkania w Królestwie nie mogłam znieść uczucia bezbronności zarówno fizycznej, jak i społecznej, jakie wiązało się z jazdą na przednim siedzeniu.

Faris wrzucił bieg i rozpoczął naszą wyprawę do domu Hiszama. Gdy zmieniał biegi dźwignią, która, jak na amerykański samochód przystało, była przy kierownicy, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, bo przypomniiał mi się ojciec *Seinfelda*^[29]. Faris był jego saudyjskim odpowiednikiem, a samochód, w którym siedzieliśmy wyglądał jak żywcem przeniesiony z Florydy. Wpadłam w głębokie, twarde siedzenie. W pozycji na wznak leżącej niemal płynęliśmy po drodze. Wkrótce na myśl o smutnej wizycie, która nas czekała, zapanowała cisza. Rijad był raczej pusty. Spokojne, wtorkowe popołudnie. Większość ludzi siedziała w pracy albo ucieła sobie zwyczajową drzemkę. Pieszycy i tak niemal nigdy nie było widać; ulice z reguły nie miały chodników. W Rijadzie, mieście, które powstało z zawrotną prędkością i w którym wybudowano ulice bez chodników, mieszkańcy za jednym zamachem przeskoczyli od wielbłądów do pikapów, SUV-ów i sportowych samochodów. Tutaj wszyscy poruszali się samochodami, zarówno Saudyjczycy, jak i ekspaci. Nawet najbiedniejsi z najbiedniejszych zagraniczni robotnicy jeździli rozklekotanymi rowerami, choć o tej porze niewiele można było spotkać. Obserwowałam widoki, które migały za oknem: martwe wyludnione ulice.

Minęliśmy centrum handlowe, które rozpoznałam, i skręciliśmy z głównej ulicy w labirynt na wznak wykończonych ulic. Kilku chłopców czaiło się przy pobliskim sklepiku, obserwując przejeżdżające samochody i kopiąc zakurzoną piłkę. Zjechaliśmy w końcu z ruchliwej dwupasmowej ulicy, wzdłuż której po obu stronach stały niewielkie sklepy.

Faris skręcił w wąską uliczkę i jechał powoli, żeby znaleźć dom Hiszama. Żaden z budynków nie był oznaczony numerem, ale Faris był tu już wcześniej. W końcu poznał dom po palmie, która z dziedzińca zwieszała się na ulicę. Wykonawszy niemal niemożliwy zakręt, zatrzymał się na wąskim podjeździe. Skrzydła stalowej bramy się rozsunęły. Oczekiwano nas.

Gdy zgasł silnik, zdaliśmy sobie sprawę z panującej ciszy. Tylko dźwięk powoli stykającego się metalu zamykanej bramy zakłócał atmosferę smutku, która emanowała z tego domu. Zaparkowaliśmy na niewielkim podjeździe wyłożonym płytami o nieregularnych kształtach, na którym mieścił się akurat jeden samochód. To był typowy dom niższej klasy średniej. Jak wielu saudyjskich pracowników szpitala, Hiszam zdecydował się zamieszkać w prywatnym mieszkaniu w mieście, a nie w kwaterach kompleksu wojskowego, gdzie za darmo, na obszarze podzielonym na zamknięte działki, mieszkało wielu saudyjskich i niesaudyjskich pracowników.

Starannie opielone kwiaty zdradzały zamiłowanie Hiszama do pedantycznego dbania o porządek w domu i wokół niego, choć wyobrażałam sobie, że to raczej biedny banglijski ogrodnik trudził się nad tymi rabatkami. Wiatr poruszył różany żywopłot. Dobiegające z oddali odgłosy bawiących się w berka chłopców wyolbrzymiały panujące w domu poczucie straty. Faris zniżył głos do szeptu i poprowadził nas do domu. Zanim zdążyliśmy wspiąć się po schodach z lastryko, Hiszam otworzył drzwi. Przywitał nas słabym, choć szczerym uśmiechem, i z rozdzierającą serce pokorą zaprosił do środka.

- *Inna li-(A)llahi wa-inna ilajhi radzi 'un* („Zaprawdę, do Boga, i zaprawdę, do Niego powrócimy!”^[30]). - Słowa odbijały się echem, gdy serdecznie się witaliśmy. Próbowaliśmy ukoić go mantrą modlitwy za zmarłych.

Hiszam odpowiadał tą samą modlitwą. Z całych sił starał się wierzyć, że jego syn naprawdę powrócił do swego Stwórcy. Nasz gospodarz był w stroju domowym. Głowę miał odkrytą, nie założył oficjalnego nakrycia głowy jak Faris, chociaż był ubrany w podobną białą saubę. Nie zapiął jej pod szyję w przeciwieństwie do Farisa, który swój bardziej formalny spiczasty kołnierzyk dopiął na ostatni guzik. Łysa głowa Hiszama błyszczała, a niebieskawy siniak na środku czoła wyraźnie mówił o oddaniu, z jakim mężczyzna regularnie odmawiał modlitwy. Miał starannie przyczesane wąsy, a resztę twarzy gładko ogoloną i dopiero co przetartą wodą kolońską. Przez kilka dni kiedy go nie widziałam, jego cherubinowe rumieńce zbladły, a okrągła rubensowska twarz wychudła pod wpływem ciężaru niedawnych przeżyć. Stał zgarbiony i opierał się o drzwi wejściowe.

- *As-salamu alejkum, as-salamu alejkum!* (Pokój niech będzie z wami, pokój niech będzie z wami!) - witał ciepło każdego z nas.

Mężczyźni ściskali mu dłoń i saudyjskim zwyczajem kilkakrotnie całowali w policzek. Faris zatrzymał się przy nim dłużej; pocieszał go po arabsku, z ręką na jego dłoni. Chwilę później szybkim ruchem otarł łzy; z jego twarzy emanowała empatia i głęboki smutek.

- *As-salamu alejkum, doktora Qanta* - zwrócił się do mnie Hiszam. - Witam w swoim domu. Bardzo się cieszę, że mogę panią gościć. - Nawet przepełniony smutkiem był bardzo

uprzejmy. - Muszę panią przeprosić; moja żona wciąż nie wróciła. Po stracie Ra'ifa zatrzymaliśmy się u jej rodziców w Rijadzie. Przepraszam więc, że nie ma w domu żadnych kobiet, które mogłyby panią przywitać. - Zamilkł, a gdy się upewnił, że wszyscy już usadowili się w salonie, zniknął, zapewniając, że zaraz wróci.

Spojrzeliliśmy po sobie, skrępowani nowo odkrytą zażyłością, jaka powstała przy okazji tej przygniatającej żałoby. Zajęliśmy jedną z trzech sof. Ja przysiadłam na jej odległym krańcu tak, żeby żaden mężczyzna nie czuł się speszony bliskością kobiety. W pokoju panowała cisza. Dywany wyglądały na świeżo odkurzone. W powietrzu unosił się zapach podgrzanego kurzu. Na niskim stoliku stał arabski serwis do kawy i talerze pełne daktyli. Owoce dopiero co ktoś pokroił w plasterki. Talerzyki, sztucce i serwetki zostały starannie rozłożone już w naszej obecności. Na stojącym w pobliżu kredensie paliło się kadzidło. Dom był ładnie urządzony. Dekoracyjne mosiężne tabliczki wisiały w rzędzie na ścianie. Samotna roślina w doniczce z terakoty stanowiła jedyną oznakę życia. Rolety w wysokich oknach były opuszczone. Promienie słoneczne odbijały się od nich, kąpiąc nas w przygaszonym białym świetle. Nikt nic nie mówił.

Wrócił Hiszam z ciężką tacą z kawą. Pokój wypełnił się aromatem kardamonu. Kiedy kawa była już gotowa, gospodarz przelał ją do niemieckiego błyszczącego stalowego termosu Alfi, eleganckiego modelu, który w tamtym czasie był w Królestwie bardzo popularny. Gdy zajął się opróżnianiem tacy, a wcześniej wręczaniem każdemu z nas niewielkich filiżanek do kawy przypominających kieliszki do jajek, zdałam sobie sprawę, że przygotował to wszystko sam. W domu nie było żadnej pomocy, żadnej kucharki ani służącej (w domach saudyjskich lekarzy jest służba). Wszystkim pracownikom dano czas, by przeżyli żałobę, podczas gdy rodzina udała się do willi dziadków. Służący byli bardzo przywiązani do najmłodszego dziecka.

- Dzisiaj jest mój pierwszy dzień w domu od czasu pogrzebu - zaczął Hiszam, starając się zachować spokój.

Cisza stawała się nie do zniesienia. Musiałam ją przerwać.

- Dziękujemy, Hiszanie, że nas przyjąłeś. Masz bardzo ładny dom. Nie powinieneś jednak nas obsługiwać w tej sytuacji. Czy mogę ci pomóc? - Wydawało mi się nie do

przyjęcia, żeby pogrążony w żałobie ojciec musiał tak się nami zajmować.

- Absolutnie nie. Jesteś moim gościem. Siedź, proszę.

Tymi słowami mnie powstrzymał, bo już chciałam wstać z sofy. Poczułam ulgę. Wciąż miałam na sobie abaję i istniało duże prawdopodobieństwo, że gdybym rzeczywiście miała zająć się obsługiwaniem mężczyzn, przewróciłabym się z gorącą kawą, stąpając na wysokich obcasach.

- Hiszanie, przyszliśmy tu dziś do ciebie, ponieważ jest nam niewymownie przykro z powodu śmierci twojego syna. Chcieliśmy się z tobą zobaczyć, żeby ci to powiedzieć i wyrazić nasze współczucie. Czy jest coś, co moglibyśmy dla ciebie zrobić?

Mówiłam w imieniu nas wszystkich. Mężczyźni kręcili się na swoich miejscach; słychać było głośne i krępujące skrzywienie skózanego obicia. Gdy Hiszam nalał ostatnią filiżankę kawy, usiadł na sofie po mojej prawej stronie. Faris zajął miejsce w fotelu naprzeciwko i spuścił oczy. Imran i Imtijaz siedzieli na lewo ode mnie, już poza zasięgiem mojego wzroku. Gdy mówiłam o naszych odczuciach, wiedziałam, że są mi wdzięczni.

- Dziękuję, Qanta. To miło z waszej strony, że mnie odwiedziliście. Spotkanie z przyjaciółmi bardzo pomaga...

Faris przerwał mu nagle:

- To był pomysł Qanty. Bardzo ucieszyło nas, że pomyślała o tym. - Po czym równie nagle zamilkł.

- Hiszanie - zagadnęłam. - Czy możesz rozmawiać o tym, co się stało?

Odwrócił się do mnie, chowając pulchną kostkę za potężną łydką. Jego *sauba* uniosła się na brzuchu, odsłaniając obszycie sirwalu, spodni, jakie saudyjscy mężczyźni noszą pod saubami. Spojrzał bezpośrednio na mnie, wyciągając potężne ramię na oparciu sofy. Zaczął opowiadać o śmierci swojego dziecka. Miałam wrażenie, że słyszałam tę historię wielokrotnie. Mówił pełnym rezygnacji cichym głosem:

- W ubiegły czwartek zaczynałem urlop. Miałem problem z zamknięciem ostatniego pacjenta, a do tego nieustannie dzwoniła moja komórka. W końcu odebrała ją instrumentariuszka. Telefonowała żona. Powiedziała, że nasz syn jest ranny. Natychmiast przerwałem szycie, a moje miejsce zajął rezydent. Wydaje mi się, że kontynuował doktor An-Na'imi, chociaż nie jestem pewien. Pielęgniarki na sali operacyjnej wszystkim się zajęły. Pobiegnę do samochodu i ruszyłem w stronę domu. Nie wiedziałem, gdzie jest żona i syn. Jechałem właśnie główną ulicą, tą znajdującą się tuż obok, nim skręci się w naszą uliczkę, kiedy żona dodzwoniła się do mnie ponownie.

- Jesteśmy w Szpitalu Sił Bezpieczeństwa - zaczęła. - Hiszam, nasze dziecko zostało potrącone przez samochód! - krzyczała histerycznie. Reszty nie zrozumiałem.

Kilku mężczyzn zapłakało. Każdy z nich był ojcem przynajmniej jednego syna. Faris miał syna w tym samym wieku co nieżyjący Ra'if.

Hiszam ciągnął:

- Jechałem jak wariat, przejeżdżałem na czerwonych światłach. Nie mam pojęcia, jak udało mi się dotrzeć na miejsce. Miałem mętlik w głowie. Podjechałem do głównego wejścia i zostawiłem samochód z włączonym silnikiem i kluczykami w stacyjce. Jak szalenciec pobiegłem na szpitalny oddział ratunkowy. Pamiętałem, gdzie jest, bo asystowałem tam kiedyś przy jakichś operacjach. Ale było już po wszystkim, Qanta. Wszedłem na salę, kiedy właśnie umarł. - Przerwał i długo łkał.

Słuchałam, ale mimo żalu nie byłam w stanie przekroczyć granicy między płciami. Ogarnięta współczuciem chciałam dotknąć jego ramienia, ale czułam się sparaliżowana normami saudyjskiej kultury. W pokoju nikt się nie poruszył. Faris wyraził nasz smutek, wypowiadając kilka wersetów z Koranu delikatnym smutnym głosem. W ten sposób wypełnił straszną pustkę.

Po jakimś czasie Hiszam kontynuował:

- Mój mały synek, mój mały chłopiec leżał na stalowych noszach. Nawet lekarz

dyżurny płakał. Ra'if miał koszarne obrażenia. Dostrzegłem na noszach fragmenty substancji mózgowej. Myślę, że miał też złamany kręgosłup szyjny. Moja żona runęła na podłogę. Całą abaję miała we krwi Ra'ifa. Dotarła do niego przede mną. Lekarz powiedział mi w końcu, że Ra'if zatrzymał się, zanim do nich przyjechał, i zespołowi nie udało się przywrócić akcji serca. Moja biedna żona czekała sama na zewnątrz przez trzydzieści minut. Nie mogę w to uwierzyć... Nie mogę w to uwierzyć.

Nie byliśmy w stanie powiedzieć niczego, co uśmierzyłoby jego ból. Znow zapadł się w sobie. Białe rękawy jego sauby były już wilgotne od łez. Przejechał dłońmi w jedną i drugą stronę po łysinie, szarpiąc kilka ostatnich kosmyków włosów.

- Jak doszło do tego wypadku? - spytałam łagodnie. - Jesteś w stanie nam to powiedzieć?

Podniósł wzrok, wycierając nos wierzchem dłoni. Podałam mu pudełko chusteczek. Z zaczerwienionymi oczami uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością. Opowiadanie od nowa tej upiornej historii w pewien sposób pomagało. Wzięłam haust kawy i głośno przełknęłam. Miałam gardło ściśnięte smutkiem, który w ogromnym stężeniu wypełniał to niewielkie pomieszczenie. Koledzy natychmiast poszli za moim przykładem. Słysząc było tylko brzęknięcia filiżanek z kawą o szklany blat stołu. Ktoś przeżuwał ziarenko kardamonu. Czekaliśmy.

Hiszam nabrał powietrza i mówił dalej:

- Ra'if był wyjątkowym dzieckiem, Qanta. Był bardzo dobrym chłopcem. Bardzo posłusznym. Bardzo wierzącym. Ani razu mnie nie rozgniewał. Martwiliśmy się o niego, ponieważ był ogromnie ufny; taki mały przyjacielski aniołek. Był inny od rówieśników. Zawsze powtarzałem dzieciom, żeby bawiły się na dziedzińcu, nie na zewnątrz. Widzieliście, jaki tu panuje ruch. A nasza uliczka jest tak wąska, że chłopcy nie mogą tam grać ze względu na przejeżdżające samochody i na te, które tam parkują. Dlatego zawsze chcą bawić się w pobliżu sklepów, gdzie są miejsca parkingowe. Wiem, że nasz dziedziniec jest mały, ale znajduje się na nim niewielki trawnik, na którym mogą się bawić, a kiedy wychodzę do pracy, to podjazd zostaje pusty; mają wówczas zgodę na grę w piłkę przy zamkniętej bramie. Kiedy nie stoi tam samochód, jest wystarczająco dużo miejsca. To wciąż niewiele, nie jestem

w końcu bogatym człowiekiem, ale wystarczająco, *al-hamdu li-(A)llah* (dzięki Bogu). Od lat codziennie powtarzam dzieciom, żeby bawiły się w środku, a nie na ulicy. I zawsze słuchały. Moje dzieci zawsze mnie słuchają. Nigdy nie muszę podnosić na nie głosu. To ich matka jest zwolenniczką surowej dyscypliny. - Rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na pozostałych mężczyzn siedzących w pokoju, pozwolił sobie na zdławiony chichot przez łzy.

Coraz bardziej napięta atmosfera odrobinę się rozluźniła. Mężczyźni zgodzili się co do uniwersalnych prawd dotyczących małżeństwa i delikatne zmarszczki uśmiechów przemknęły po ich twarzach, po czym niemal natychmiast zniknęły.

- Ra'if był bardzo podekscytowany tego dnia. Wiedział, że przez najbliższe dwa tygodnie będzie na urlopie. Planowaliśmy wycieczkę nad morze do Bahrajnu. To wyjątkowa frajda dla całej rodziny. - Hiszam zamilkł i nagle rozejrzał się po pokoju, jakby z niedowierzaniem przyglądał się nowej rzeczywistości, w jakiej się znalazł. - W dniu tego wypadku bawił się z Wisamem i Muradem, swoimi kuzynami. Bardzo ich kochał. Chciał być taki jak oni. Sami rozumiecie, byli starsi, wspinali się na drzewa, grali w piłkę nożną. Ra'if po prostu ich uwielbiał. Nie mógł się doczekać, aż dorośnie. Moja żona była w domu i doglądała przyrządzania obiadu. Tutu, nasza malezyjska służąca, miała pewne trudności z przygotowaniem *umali*^[31] (mojego ulubionego deseru), który żona podawała zawsze pierwszego dnia urlopu. Dlatego żona... - opowiadanie zaczęło się rwać pod wpływem nowej fali smutku -...matka Ra'ifa... dlatego była na tyłach domu i nie zwróciła uwagi, że na dziedzińcu zrobiło się cicho. Kiedy zawołała Ra'ifa, żeby umył ręce i przyprowadził pozostałych na przekąskę, zdała sobie sprawę, że nikogo nie ma, a brama jest otwarta. Wyszła na ulicę, ale nie dostrzegła chłopców. W pobliżu znajdowały się sklepiki, w których sprzedawano słodycze i pepsa. Przypomniała sobie też, że chłopcy chcieli nową piłkę futbolową, ponieważ z tej, którą grali, zeszło powietrze. Zauważyła ją, sflaczała, w rogu ogrodu. Wtedy zrozumiała, że chłopcy poszli kupić nową piłkę za kieszonkowe. Zaczęła biec i zobaczyła po drugiej stronie ulicy Murada i Wisama. Wchodzili do sklepu, wyglądało, jakby się śmiali. Ra'if, nie mogąc dotrzymać im kroku, biegł za nimi. Nagle żona zobaczyła go na ulicy, jak stał między pasami ruchu. Kuzyni powiedzieli mu, żeby został, że wrócą za minutę, ale Ra'if wyglądał na zdezorientowanego. Zobaczył matkę i w tym samym momencie Hajat, moja żona, zauważyła, że czarny GMC Suburban pędzi w stronę naszego syna. Myślę, oboje tak myślimy, że Ra'if tak się go przestraszył, że nie był w stanie się ruszyć. Pojazd był duży, kierowca nie widział dziecka do momentu, aż prawie na nie wjechał. Ra'if został uderzony

ślizgiem i wpadł na przednią szybę. To było straszne. Kierowca natychmiast się zatrzymał, rozpacział. To dobry człowiek. Od razu zawołał moją żonę, wsadził oboje do samochodu i zawiózł do sił bezpieczeństwa. Kiedy tam dotarłem, jego suburban, cały we krwi mojego syna stał przed wejściem na oddział ratunkowy. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy... No cóż, wiecie, co było potem. - Hiszam nie mógł się uspokoić, jednak nawet pomimo olbrzymiego smutku jego płacz był cichy i w pewien sposób kontrolowany. Mężczyzna siedział uwięziony w przesywającej ciszy, wstrząsany niemym szlochem.

W końcu pełnym emocji głosem odezwał się Faris:

- A jak czuje się matka Ra'ifa?

- Farisie - odrzekł Hiszam. - Jest w fatalnym stanie. Nic nie jadła od czwartku. Nie może przestać płakać. To takie przygnębiające. Ona jest bardzo silną kobietą, ale mam poczucie, jakbym i ją stracił. Modłę się do Allaha, żeby zesłał nam ukojenie. To bardzo wielki ból dla rodziców. - Nagle Hiszam zwrócił się do mnie: - *Doktora Qanta*, musimy być bardzo cierpliwi. Wszystko, co mamy, to zasługa szczodrości Allaha, Jego łaski. Bez Jego dobroci nie mielibyśmy nic. Jest wszechpotężny i musimy pamiętać, że cokolwiek nam ofiaruje, może to w dowolnym momencie zabrać. Wszystko pochodzi od Niego i wszystko do Niego wróci. Jako rodzice musimy być przygotowani na to, by zwrócić Mu nasze dzieci, jeśli o nie prosi. Powtarzam mojej żonie, że Ra'if był tak drogi Allahowi, że On chciał naszego synka jak najszybciej z powrotem. - Hiszam przerwał na chwilę, żeby złapać oddech.

Faris w końcu podźwignął się z pełnego współczucia smutku i stanął na wysokości zadania. Postanowił podzielić się z nami swoją ogromną wiedzą dotyczącą islamu. Często między obchodami na OIOM-ie zaskakiwał nas ciekawostkami z dziedziny filozofii muzułmańskiej. Zwróciwszy się do mnie, zaczął wyjaśniać:

- Hiszam i Hajat są właśnie poddawani najtrudniejszej z możliwych prób. Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Śmierć dziecka to wyjątkowa udręka dla rodziców. W islamie istnieją trzy fundamentalne przekonania dotyczące śmierci dziecka, dzięki nim Allah uczy nas czynić cierpienie nieco lżejszym do zniesienia. - Spojrzał na Hiszama, który przytaknął, zachęcając go, by kontynuował.

Słuchaliśmy w nabożnym skupieniu, jak objaśniał z muzułmańskiego punktu widzenia sposób odbierania bolesnej straty, jaką jest śmierć dziecka. Mówił powoli, z namysłem, czasami przerywał, żeby przypomnieć sobie jakiś szczegół. Hiszam co jakiś czas wzdychał głęboko, a jego oczy napęłniały się łzami. W pewnej chwili poczuł się w obowiązku, by wtrącić coś od siebie:

- Czy słyszałaś o istnieniu takiego przekonania, że matka, która straciła dziecko, zostanie przez nie jedną ręką wciągnięta do nieba, a matka, która straciła dwoje dzieci, zostanie przez nie przyjęta do nieba? Każde z nich weźmie ją za rękę i poprowadzi przez bramę. Nawet już teraz Ra'if przyciąga matkę do nieba. Powtarzam jej to, żeby poczuła się lepiej.

- Hiszam przywołuje właśnie ideę wstawiennictwa - włączył się Faris. - Allah chce, żebyśmy nauczyli się cierpliwości. Śmierć dziecka jest być może najtrudniejszym egzaminem, który ma nas do tego przygotować, Qanta. Cierpliwość to potężna cnota w islamie, ponieważ Allah chce, żebyśmy radzili sobie w trudnych sytuacjach, zawsze podejmowali wyzwania i je akceptowali. - Faris wyjaśnił, co podkreślał sam prorok Muhammad (Pokój z Nim), że człowiek, który służy Bogu zarówno w dobrych, jak i złych chwilach, jest prawdziwie wierzący i najbardziej wart Bożej łaski. - Śmierć Ra'ifa jest potwornie bolesna dla jego rodziców, ale dostali oni wyjątkową możliwość zbliżenia się do Allaha - dodał.

Gdy go słuchałam, przypominałam sobie niezwykłą tolerancję pacjentów, z którymi miałam do czynienia w tym kraju. Zasady, o których mówił Faris, wyjaśniały też prawdopodobnie, dlaczego moi pacjenci, niezależnie od tego, jak bardzo chorzy, byli w większości otoczeni przez wystrzegających się ocen, pogodzonych z losem krewnych, którzy wydawali się zadowoleni z moich starań i uspokojeni bez względu na wynik. Krewni pacjentów w Arabii Saudyjskiej nie mieli tendencji do rzucania oskarżeń pomimo postępów choroby, niespodziewanej, nagłej śmierci czy skomplikowanego przebiegu leczenia, z jakim często musieli zmierzyć się ich ciężko chorzy bliscy. Zazwyczaj tłumaczyłam to sobie tym, że w Królestwie nie ma pieniądza ani niczego takiego jak procesy w sprawie nadużyć medycznych, ale teraz, dzięki szczegółowym wyjaśnieniom, jakich udzielił Faris, zrozumiałam, że przekonanie o tym, że w obliczu strasznych udręk i zgryzot należy pozostać cierpliwym, było najwyraźniej bardzo rozpowszechnione wśród wszystkich Saudyjczyków.

Faris ciągnął:

- Dziecko, które odeszło z tego świata zgodnie z wolą Bożą, może się wstawić za swoimi rodzicami. Serce Boga jest pobłażliwe w stosunku do tych młodych niewinnych duszyczek. Zawsze powtarzajcie to cierpiącym rodzicom, ponieważ ukoji to ich ból. Allah pozwala zmarłemu dziecku wstawiać się za nimi. Ra'if będzie się wstawiał za swoimi rodzicami, co oznacza, że będzie błagał Allaha o miłosierdzie przy ich osądzaniu w życiu pozagrobowym i prosił Go, by wybaczył im wszelkie błędy. Zazwyczaj jedynie wyjątkowe dusze mogą apelować do Allaha w czasie Sądu, prosząc Go, by w swojej ocenie był miłosierny. W imieniu jakiejś duszy może mówić na przykład prorok Muhammad (Pokój z Nim) albo święci mężowie. Ale dusza dziecka także może wypowiadać się na rzecz rodziców. - Faris postanowił jeszcze coś dodać: - Prorok Muhammad (Pokój z Nim) nauczał, że dziecko, które umiera, niezależnie od tego czy to chłopiec, czy dziewczynka, zawsze wstawia się za rodzicami. Nie tylko za matką - tu spojrział znacząco na Hiszama - ale także za ojcem. Allah będzie spoglądał z ogromnym współczuciem na tych rodziców, którzy przez całe życie cierpieli z powodu straty. Oczywiście dziecko zawsze zostaje przyjęte do nieba. Czeka na nie *dżanna*. - Faris użył arabskiego słowa, by wzmocnić emfazę. - Dzieje się tak, ponieważ dzieci są czyste, bez grzechu i umierają niewinne, tak jak Ra'if. A najważniejsze, by zapamiętać, że mówi się, że dziecko nie zniesie rozłąki z rodzicami w niebie i dlatego kiedy Allah wzywa je do raju, odmawia ono przestąpienia bramy niebios, dopóki nie zostaną przyjęci jego ukochana matka i ojciec. W taki oto sposób bierze każde z rodziców za rękę i prowadzi w niebie w kierunku Allaha. I Bóg lituje się nad nimi^[32].

- To piękne - powiedziałam nie mogąc się powstrzymać.

Hiszam przytaknął.

- Ra'if trzyma nas za ręce. Wiem, że tak jest - wyszeptał. - Może staniemy przed Allahem, gdy będzie nas osądzał, i może Ra'if będzie błagał o przebaczenie nam grzechów. I wiedz, Qanta, Bóg może jedną ręką coś zabrać, a drugą dać. *In sha Allah*, dał nam wiele, i da nam jeszcze ponownie.

Spojrzałam na niego zaintrygowana, zastanawiając się, czy miał na myśli zastąpienie

Ra'ifa nowym dzieckiem. Nie śmiałam zadać mu tak delikatnego pytania. Rana pogrążonego w smutku ojca była zbyt świeża. Gdy Faris zdał sobie sprawę, że jestem zmieszana, znów przyszedł mi z pomocą i wyjaśnił jeszcze inne przekonanie: że śmierć dziecka jest drogą do pewnego zastępstwa, ale my, będąc ludźmi, nie potrafimy zrozumieć mądrości Allaha. Niektórzy rodzice uważają, że jedno dziecko zostaje zabrane, więc mogą otrzymać kolejne, które będzie jeszcze pobożniejsze. Albo że Allah chciał śmierci niewinnego, bezgrzesznego dziecka, żeby mogło wstawić się za niedoskonałymi rodzicami w dniu Sądu Ostatecznego.

Hiszam był teraz bardzo wyciszony; w końcu osiągał spokój.

- Wiesz, Qanta - zaczął - moja żona zawsze uważała, że Ra'if jest wyjątkowy. *Ma sha Allah*^[33], ja też tak sędzę. Czasami martwiło ją, że on tak bardzo wielbił Allaha. Każdej nocy przed pójściem spać nalegał: „Mamusiu, proszę, poczytaj mi Koran”. I kiedy żona próbowała czytać mu opowiadania dla dzieci czy bajki, był niepokieszony. Martwiła się jego pobożnością. Zdawało się, że był o wiele dojrzalszy, niż wskazywałby na to jego wiek; miał zaledwie sześć lat. Najbardziej lubił opowieści o Proroku i bardzo lubił wyobrażać sobie Allaha. Żadne z naszych pozostałych dzieci takie nie jest. On był bardzo czysty, Qanta. Dlatego właśnie naprawdę wierzyliśmy, że jest jak anioł. Myślę, że to z tego powodu tak szybko musiał wrócić. Wiesz, Qanta, że sam prorok Muhammad (Pokój z Nim) został osierocony. Pamiętasz zapewne, że bardzo wczesnie stracił rodziców, a także ukochanego wuja i dziadka. Umarli, kiedy był jeszcze dzieckiem. Jego życie było naznaczone stratą, Qanta. Będąc ojcem, sam stracił wszystkich synów i wiele córek. Zawsze przytaczamy pewną historię, która ma przybliżyć muzułmanom to, czym jest żal po śmierci dziecka. Opowiada ona o tym, jak Prorok chował swojego syna Ibrahima, który zmarł we wczesnym dzieciństwie. Znasz ją?

Szybko przyznałam się do swojej niewiedzy. Imran po cichu włączył lampkę. Intijaz nalał sobie kawy. Na zewnątrz w alejce jakiś dziki kot zamiauczał do swojego kumpla. Przez rolety zobaczyłam, że robi się już ciemno. W ciszy słuchaliśmy opowieści. Wyjaśnienia Farisa dotyczące muzułmańskich nauk były fascynujące. Zupełnie zatopiliśmy się w tym pięknie islamu, które przed nami odsłaniał.

Teraz zaczął opowiadać historię o tym, jak prorok Muhammad (PzN^[34]) chował swojego syna.

- Z relacji wynika, że kiedy zmarł syn proroka Muhammada, ten po raz ostatni trzymał go w ramionach i przyciskał jego ciało do piersi. Świadkowie widzieli, że twarz Proroka była mokra od łez, gdy rzekł do malutkiego ciała: „Synu mój, nie byłeś moją własnością. Należałeś do Boga i wracasz teraz do Niego... Gdyby nie prawdziwe i pewne przyrzeczenie Allaha, że my także do ciebie dołączymy, płakałbym bardziej i głębiej pogrążył się w smutku z powodu rozstania z tobą”.

Hiszam znów zaczął cicho płakać, wyobrażając sobie smutek, jakiego doświadczał Prorok. Faris pociągał nieznacznie nosem, powstrzymując łzy. Kontynuował:

- Gdy zwłoki dziecka zostały obmyte zgodnie z zaleceniami Proroka (czynność ta musi być wykonana przez członka rodziny tej samej płci), udali się na miejsce pochówku. - Hiszam zdawał się zatapiać we wspomnieniach z pogrzebu własnego syna, który odbył się zaledwie dwa dni wcześniej. - Zebrani mężczyźni - a właściwie także kobiety, ponieważ kobiety z rodziny Proroka również tam były - zobaczyli, że Prorok płakał, i sami też pogrążyli się w smutku. Mimo to nawet w tym cierpieniu Prorok wciąż dawał dobry przykład i udzielił nagany hałaśliwym żałobnikom, mówiąc łagodnie (tu Faris ponownie przeszedł na klasyczny koraniczny arabski, szybko mi wszystko tłumacząc): „Otrzyjcie łzy z oczu i rozpaczajcie w głębi serca, ale nie lamentujcie i nie zawodźcie!”.

Zamilkł. Jedyne, co można było usłyszeć, to sporadyczne pociąganie nosem i ciche pochlipywanie rozpaczającego ojca. Ja też miałam już oczy mokre od łez. Grzebałam w torebce w poszukiwaniu chusteczek i wyciągnęłam jakieś zgniecione kleenexy.

- Nie powinniśmy wstydić się łez - zabrzmiał nagle głos Farisa, nieco głośniejszy i bardziej żarliwy. Mężczyzna nie próbował ukryć łez, które spływały mu po brodzie. - Prorok zawsze powtarzał, że płacz świadczy o tym, że człowiek ma subtelne i uduchowione serce. Płacz jest łaską daną przez Boga, którą zsyła jedynie wybranym. Okazuje łaskę tylko tym, którzy są miłośnikami wobec innych. To oznaka wrażliwości, która sprawia Allahowi wielką radość.

Podczas tych wyjątkowych chwil, kiedy zostałam włączona w przeżywanie smutku przez saudyjskiego ojca, uczyłam się tego, co było mi najbardziej potrzebne - pokory. Ci

saudyjscy mężczyźni zgromadzeni wokół, jeden świeżo rozwiedziony, a drugi pogrążony w żalobie młody ojciec, niezdarnie, choć w delikatny sposób, pokazywali mi, jak być lepszą muzułmanką, a może nawet lepszą kobietą.

Hiszam zaproponował mi dolewkę kawy. Ta prosta uprzejmość tak mnie wzruszyła, że niemal rozpadłam się na kawałki; szybko przystałam na propozycję, by odwrócić uwagę od swojego drżącego podbródka. Nagle rozległ się *azan*, który oznajmił, że nadszedł czas na wieczorną modlitwę.

- Zasiadzieliśmy się u ciebie, Hiszanie. - Faris nagle się podniósł, wypełniając pokój nowymi pokładami serdeczności.

Mężczyźni zaczęli uprzejme pożegnalne procedury, raz za razem powtarzając *salam*. Złamałam konwenanse i podałam Hiszamowi rękę. Ciepło przyjął mój gest.

- Przekaż, proszę, swojej żonie pozdrowienia ode mnie - powiedziałam.

- Oczywiście, przekażę - odparł niemal z ekscytacją. - Hajat wie o twoich odwiedzinach. Było jej bardzo miło z tego powodu, *doktora* Qanta. Będziecie się musiały poznać, gdy już wróci do domu. Kiedy będzie silniejsza.

- *In sha Allah* - odrzekłam. - Z wielką przyjemnością.

Zostawiliśmy Hiszama stojącego w drzwiach; opuszczonego, na zawsze już ukształtowanego przez stratę, której doświadczył. Atmosfera samotności, jaka go otaczała, była przejmująca. Faris odpalił silnik, przez moment wstrzymując się przed wrzuceniem biegu w *cadillacu*, i wyjechał z podjazdu. Widać było, że niechętnie opuszczał Hiszama, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że żadne z nas nie jest w stanie ulżyć mu w tej sytuacji. Wiedzieliśmy, że Hiszam nie może uciec od smutku i zaznać spokoju niezależnie od tego, czy jest w towarzystwie innych osób, czy sam.

Otulająca nas w *cadillacu* cisza po raz kolejny sprawiła, że każdy oddał się swoim myślom. Białe znaki na drodze znikwały pod ciężkimi amerykańskimi oponami, które wiozły nas anonimowymi ulicami. Tymi samymi, które tyle razy wiodły mnie podczas licznych

dziwnych podróży po tym Królestwie Straty i tymi samymi, które w tak nieznośny sposób skróciły jasną podróż małego Ra'ifa.

^[29] Postać z amerykańskiego sitcomu *Kroniki Seinfelda (Seinfeld)*, emitowanego na antenie NBC w latach 1989-1998 (przyp. tłum.).

^[30] *Koran*, sura II („Krowa”), w. 156, dz. cyt., s. 31 (przyp. tłum.).

^[31] *Umali* (umm Ali - dosł. matka Alego) - deser przyrządzany z cieniutkiego ciasta filo albo ciasta ptysiowego, mleka i orzechów (przyp. tłum.).

^[32] Kamyar Hedayat, *When the Spirit Leaves: Childhood Death, Grieving, and Bereavement in Islam*, „Journal of Palliative Medicine”, t. 9: 2006, nr 6, s. 1282-1291.

^[33] *Ma sha Allah* (dosł. „jak Bóg chciał”) - sformułowanie często wypowiedane przez muzułmanów w celu wyrażenia zachwyty lub podziwu (przyp. tłum.).

^[34] PzN - skrót od słów „Pokój z Nim”. Jest to sformułowanie często wypowiedane przez muzułmanów, gdy wspominają imię proroka Mahometa (arab. Muhammada), co ma na celu wyrażenie głębokiego szacunku, jakim go darzą; w zapisie przyjęło się stosowanie skrótów (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 10

Zaproszenie do Boga

W Królestwie zbliżał się czas hadźżu. Narastająca atmosfera bliska narodowemu szaleństwu szybko zamazywała posępne tygodnie ramadanu, który właśnie dobiegał końca. Każdego roku hadźż przyciąga miliony muzułmanów z całego świata, a Mekka staje się istnym pandemonium praktyk religijnych. W Rijadzie, kilkaset kilometrów na północ od Mekki, także pojawiły się pierwsze znaki zwiastujące hadźż. Zastanawiałam się, czy uda mi się cokolwiek zrozumieć z tej niezwyklej masowej migracji ludzi, którzy zalewają Królestwo.

Pewnego dnia wczesnym rankiem weszłam do gabinetu lekarskiego na OIOM-ie i trafiłam akurat na ustalanie dyżurów. Bez szczególnego zainteresowania przysłuchiwałam się, jak koledzy negocjowali wolne na czas hadźżu. Większość wybierała się na pielgrzymkę i zdążyła już dla swoich rodzin zarezerwować miejsca w biurach organizujących hadźż. Poczulałam kielkującą powoli ciekawość, zanim jednak zdążyłam pomyśleć, nagły wypadek przerwał spotkanie.



Czterdzieści pięć minut później Imtijaz i ja spojrzeliśmy na siebie z ogromną ulgą; to dobrze znane lekarzom uczucie, które przychodzi po ekstremalnym napięciu. Właśnie udało nam się odratować Halimę (szesnastolatkę, naszą najmłodszą pacjentkę na OIOM-ie), która znajdowała się na krawędzi życia i śmierci. Na szczęście następnego dnia doszła do siebie. Razem z Mobinem, lekarzem, który także był na dyżurze, poszliśmy do kiosku South Indian po herbatę. Gdy wychodziłam z OIOM-u, Mobin odciągnął mnie na bok i zatrzymał w przejściu między stalowymi drzwiami.

- Qanta, muszę z tobą porozmawiać o hadżdżu.

Stałam zaskoczona jego ekscytacją. Wcześniej prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, jeśli nie brać pod uwagę omawiania spraw związanych z opieką nad pacjentami. Oparłam się o zimną ścianę. Kropelki potu powoli parowały mi spomiędzy łopatek. Z kratki klimatyzacji znajdującej się bezpośrednio nad moją głową, dochodził warkot, który pomagał mi zapomnieć o resztkach buzującej adrenaliny. Słuchałam w skupieniu, wciąż zdenerwowana niedawną kryzysową sytuacją.

- Qanta, musisz pojechać na hadżdż. Po prostu musisz.

Byłam zdumiona. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby wybrać się na pielgrzymkę. Spokojny głos Mobina nieoczekiwanie stał się pełen żarliwości. Po chwili wyczekiwania mężczyzna zaczął mnie zachęcać konspiracyjnym szeptem:

- To jest prawo każdego muzułmanina. To jest twoje prawo, Qanta. Nikt nie może cię powstrzymać od wyjazdu tylko z powodu grafiku dyżurów. Może się okazać, że to jedyny rok, jaki spędzisz w Królestwie. Kto wie, kiedy znów będziesz miała okazję uczestniczyć w hadżdżu? Musisz wykorzystać tę szansę. Jesteś muzułmanką, a to jest muzułmańskie Królestwo. Nikt nie może odrzucić twojej prośby, jeśli postanowisz wziąć udział w pielgrzymce.

Odszedł, sprawiając wrażenie zadowolonego, że tak jasno przedstawił swoje stanowisko. Byłam poruszona. Oto zwykłego dnia, wypełnionego rutynowymi czynnościami na oddziale intensywnej opieki medycznej, przypadkiem odkryłam swoją niję (intencję). Przytuliłam w myślach tę muzułmankę, która we mnie była, i rozpoczęłam podróż; miała mnie ona zaprowadzić do serca najświętszego miejsca islamu.

Mekka jest takim miejscem na ziemi, gdzie muzułmanin może za życia spotkać swego Stwórcę. Dotychczas zasięg oddziaływania Stwórcy mnie nie obejmował, ale od czasu, gdy przeprowadziłam się do Królestwa, zaczynałam odczuwać Jego magnetyzm. Obecnie, mając przed sobą hadżdż, zdałam sobie sprawę, że nigdy nie byłam tak źle zorganizowana i tak spontaniczna jak teraz. Euforia mieszała się z obawami, gdy zaczynałam odkrywać ogrom swojej niewiedzy.

Pospieszyłam załatwić sobie wolne; potem musiałam znaleźć sposób, jak dostać się na hadżdż. Mobin miał rację. Kiedy powiedziałam szefowi o swoim pomysle, był zaskoczony, ale ze spokojem przyjął prośbę wystosowaną nie w porę. Nie mógł odmówić muzułmance odwiedzenia Mekki. OIOM będzie musiał poradzić sobie beze mnie. Teraz trzeba było znaleźć przewoźnika, który zabrałby mnie na hadżdż - jakieś biuro pośredniczące w organizacji pielgrzymki. Wkrótce przekonałam się, że większość osób poczyniła przygotowania już kilka miesięcy wcześniej. Pomocni koledzy doradzili mi jednak, żebym porozmawiała w szpitalnym biurze organizującym wyjazdy. Udałam się tam tak szybko, jak tylko mogłam, i zarezerwowałam pielgrzymkowy pakiet *last minute*.

Tego samego popołudnia zaparzyłam sobie dużo herbaty, włączyłam komputer i serfowałam po Internecie w poszukiwaniu informacji na temat tego, jak wygląda hadżdż. Stojąc u progu najbardziej fundamentalnego wydarzenia, które jest jednym z filarów islamu, czułam się jak oszustka. Nie miałam w Królestwie nawet egzemplarza Koranu, nie mówiąc już o jakiegokolwiek książce na temat pielgrzymki.

W końcu wyszperałam schemat wyjaśniający poszczególne etapy podróży. Przygotowany z myślą o dzieciach, stanowił jedno z nielicznych opracowań po angielsku, jakie znalazłam. Pozbierałam wszystkie strony, które wyszły z drukarki. Grube strzałki przedstawiały kroki, jakie wkrótce miałam wykonać. Czytałam, spragniona wszelkich informacji.

Na początku powinnam wyrazić intencję, by odbyć hadżdż. Wymagany stan rytualnej czystości, *ihram*, osiągnę, gdy dokonam ablucji i pomodłę się przed wyruszeniem na lotnisko. W czasie podróży pozdrowię Święte Miejsca, Medynę i Mekkę, kiedy będziemy nad nimi przelatywać (pilot poinformuje nas o tym we właściwym momencie). Po przybyciu do Mekki wykonam pierwszy *tawaf*, siedmiokrotne okrążenie Al-Kaby^[35] w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, zanim wyruszę na hadżdż właściwy^[36].

Tyle tego było do zapamiętania, że zaczynałam wpadać w panikę. Powróciwszy do mapy, czytałam dalej.

Wieczorem zakończę pierwszy *tawaf*. Następnego dnia dotrę do Miny, gdzie wraz

z kilkoma milionami wiernych spędzę trzy dni na zadumie pełnej próśb kierowanych do Boga. Stamtąd udam się na równinę Arafat. Będę stała w miejscu, w którym stał przed Bogiem Abraham, i modliła się całą noc. To najważniejsza część hadżdżu, jego sedno. „Arafat to hadżdż” - te słowa powtarzały się we wszystkich opisach, które czytałam.

Późnym wieczorem przeniosę się z równiny Arafat na równinę Al-Muzdalifa, gdzie spędzę noc pod gołym niebem. Na zakończenie powrócę do Dżamarat, miejsca w pobliżu Miny. Tam rzucę siedem kamieni w trzy kolumny, które symbolizują Iblisa, szatana; w ten sposób okażę mu pogardę. To będzie koniec pielgrzymki, a ja utnę sobie kosmyk włosów i porzucę go na znak oczyszczenia. Jeśli Bóg przyjmie mój hadżdż, odrodzę się bez grzechu.

Po zakończeniu pielgrzymki muszę poświęcić barana i rozdzielić go między ubogich. Jak ja to zrobię? Wszystko było już wystarczająco skomplikowane, a do tego jeszcze ten baran! Dopiero wówczas, gdy przejdę wszystkie etapy, będę mogła świętować *Id*^[37] - koniec hadżdżu. W gorączkowym biegu to w jedną, to w drugą stronę, dla upamiętnienia tego, jak Hagar poszukiwała wody na pustyni (rytuał zwany *saj*), wykonam ostatni *tawaf*, po raz ostatni też spojrzę na Al-Kabę i pomodłę się do Boga, by pozwolił mi za życia jeszcze wrócić do Al-Kaby. Chwilę później opuszczę granice miasta. W ten oto sposób stanę się hadżdżą (to oficjalny tytuł nadawany muzułmance, która dopełniła hadżdżu).

Patrzyłam na uproszczony schemat pielgrzymki - wydawał się jasny i na szczęście, jak na osiem dni, krótki. Schowałam mapę do torebki i wpisałam kolejne etapy do kalendarza. Fatamorgana zaczynała zmieniać się w mój hadżdż. Podeszłam do telefonu, żeby obdzwonić saudyjskich przyjaciół i powiedzieć im, że wybieram się na pielgrzymkę. Liczyłam na to, że wiedzą, w co powinnam się ubrać i czego jeszcze mogę potrzebować. Chciałam, żeby wprowadzili mnie w szczegóły.

- Zaraz ją poproszę do telefonu, proszę pani - powiedziała Tutu, malezyjska służąca, która odebrała telefon w domu Zubajdy.

W tle usłyszałam stukot markowych szpilek odbijający się echem od chłodnej marmurowej posadzki. Ledwie dałam Zubajdzie czas na powitanie i już wyrzuciłam z siebie najnowsze wieści.

- *Ma sha Allah*, to wspaniale, Qanta, to naprawdę wspaniale! - Niski miły głos był pełen radości. Czułam, że delikatny uśmiech Zubajdy staje się coraz szerszy. - Ogromnie się cieszę! Jak to się stało, że tak nagle się zdecydowałaś? Opowiadaj!

Zaczęłam wyjaśniać. Gdy powiedziałam o dziwnych wydarzeniach minionych dni, zaskoczyła mnie jej żywiołowa reakcja. Zubajda była wyraźnie podekscytowana podjętą przeze mnie decyzją.

- No cóż, Qanta, to niesamowite! Ja nie odbyłam hadżdżu. Wciąż nie wydaje mi się, żeby to był właściwy moment; nie czuję się gotowa na odpowiedzialność, jaka się z tym wiąże. Jestem za słaba. Chciałabym być silniejsza tak jak ty. Może, *in sha Allah*, jeśli kiedyś wyjdę za mąż, wybiorę się na pielgrzymkę, *in sha Allah*, *in sha Allah*.

Zastanawiałam się, czy rzeczywiście posmutniała, na co wskazywał jej głos. Zanim zdążyłam zapytać, Zubajda powróciła do dobrego tonu.

- *Wa-(A)llahi*^[38], Qanta, pozwól, że powiem ci coś fascynującego: do Mekki można pojechać tylko wówczas, gdy otrzyma się zaproszenie od Allaha.

Słuchałam w nabożnym skupieniu, jeszcze mocniej przyciskając słuchawkę do ucha.

- Qanta, nadeszło twoje zaproszenie. Sam Allah zaprosił cię do Mekki. Zostałaś zaproszona na spotkanie z Bogiem! Nie da się inaczej wytłumaczyć, dlaczego stało się to tak nagle. Jedynie On wie, kiedy jest odpowiedni czas. Dla mnie zaproszenie jeszcze nie nadeszło, ale dla ciebie - tak!

Zadzwoiłam do rodziców w Anglii. Byli zdumieni. Mama zachowała dystans, a nawet sprawiała wrażenie zdeprymowanej, ale w głosie ojca wyczuwałam podniecenie. Rozesłałam e-maile do rodziny, przyjaciół, znajomych, mentorów. Chciałam, żeby wszyscy dowiedzieli się o mojej decyzji! Sporządziłam listę przyjaciół, o których mam pamiętać w Mekce. Spisałam na kartce imiona tych, których kochałam, starannie porządkując ich w pary i grupy: mężowie i żony, rodzice i dzieci, rodziny, przyjaciele, krewni. Nie chciałam w swoich modlitwach o nikim zapomnieć.

Następny poranek w szpitalu był bardzo pracowity. Mimo to udało mi się swobodnie porozmawiać z Nadirem, chirurgiem, który przez miesiąc był przydzielonym mi rezydentem. Nadir był Saudyjczykiem z Hidżazu, oficerem Gwardii Narodowej; niedawno się rozwiódł, miał małą córeczkę. Patrzyłam, jak zakładał ostatnie szwy pacjentowi, którym się zajmowaliśmy.

- Nadirze, jeszcze ci nie mówiłam; wybieram się w sobotę na hadżdż!

Na jego twarzy z bujnym zarostem - starannie utrzymana broda miała długość zgodną z wymaganiami religii - pojawił się szeroki uśmiech.

- *Ma sha Allah, doktora!* To wspaniała wiadomość!

Zaskoczyła mnie jego reakcja. Ledwie mnie znał, a mimo to sprawiał wrażenie szczerze uradowanego. Saudyjczycy potrafią być spontaniczni i ciepli, ale nigdy nie wiedziałam, kiedy tego doświadczę.

- Martwię się moim hadżdżem, Nadirze. Skąd będę wiedziała, co robić? To wszystko wydaje się takie skomplikowane, a ja jadę sama; nie będę miała kogo poprosić o radę.

Nadir odrzucił głowę i zaśmiał się głośno, co w Rijadzie było dość szokujące. Jak zdążyłam zauważyć, publiczne okazywanie radości zdarzało się tu rzadko. Potem zdjął czepek chirurgiczny i przygładził lśniące czarne włosy.

Dobrze, że staliśmy za szklanymi drzwiami. Choć było nas widać z sali, w której leżeli pacjenci, to przynajmniej zza dźwiękoszczelnych szyb nie dochodził śmiech. Saudyjscy krewni pacjentów i tak krzywo na nas patrzyli, zastanawiając się nad poufałością łączącą saudyjskiego mężczyznę i kobietę z Zachodu.

- Proszę się nie martwić, *doktora* - powiedział Nadir. - Niemal każdy, kto wybiera się na hadżdż, jedzie tam po raz pierwszy. Żaden pielgrzym nie wie, co należy robić. Każdy bierze ze sobą książeczki, w których znajdują się modlitwy i instrukcje. - Jego twarz się rozjaśniła. - Przyniosę je pani! - Zadowolony z pomysłu odwrócił się na pięcie i wyszedł szybkim krokiem. Po korytarzu niosło się skrzypienie jego birkenstocksów.

Rzeczywiście następnego dnia przyszedł z trzema książkami po angielsku i arabsku. Zapewnił mnie, że znajdę w nich wszystkie wyjaśnienia. Byłam zdumiona jego wspaniałomyślnością. Po pracy musiał pójść po zakupy, żeby zdobyć książki specjalnie dla mnie. Widać było, że są nowe - na okładkach miały jeszcze nalepki z ceną z księgarni Dżarir.

Nie mogłam trafić na lepszego doradcę. Podczas pielgrzymki wielokrotnie wspominałam proste, życzliwe wskazówki Nadira, kiedy prosiłam innych o pomoc, pytałam o drogę czy po prostu przyglądałam się, co robią, żeby ich naśladować. To „Królestwo Obcych” wydawało mi się coraz bardziej niezrozumiałe. Saudyjski chirurg z Hidżazu, wojskowy Gwardii Narodowej Arabii Saudyjskiej i ortodoksyjny wahhabita nie był w stanie udzielić mi wystarczającej pomocy w kwestii mojego hadźżu!

Zadzwoiłam do Zubajdy po więcej wskazówek. Właśnie piła na werandzie swoją zwyczajową miętową herbatkę.

- Zubajda, w co powinnam się ubrać na hadźż?

- Wystarczy, że twoje codzienne ubrania będą przykryte abają zawsze, gdy znajdziesz się w miejscu publicznym - poradziła. - *Wa-(A)llahi*, Qanta, wiesz, Dżudda leży nad Morzem Czerwonym, a do Mekki jedzie się z niej czterdzieści minut. Jest tam wyjątkowo wilgotno, nawet w marcu; po prostu nie do zniesienia. Ale proszę, bo to bardzo istotne, Qanta - kontynuowała - zawsze chowaj włosy pod zasłoną; żaden kosmyk nie może się wymknąć. To naprawdę ważne! Ale nie martw się. Pomogę ci znaleźć odpowiedni szal na hadźż; taki, który nie będzie się zsuwał. Możemy spotkać się dzisiaj po modlitwie *al-isza*?

O umówionej porze bordowy mercedes sedan Zubajdy zatrzymał się przed moim domem, żeby zabrać mnie do niej. Po drodze rozmawiałam z Rahimem (jej pakistańskim kierowcą) w urdu. Gdy dotarliśmy na miejsce, Zubajda wyszła z bramy nieprawdopodobnie elegancka, w wieczorowej abai wyszywanej skrzącymi się koralikami. Wyglądała zjawiskowo.

Kiedy sadowiła się w samochodzie, poczułam zmysłową woń perfum Chanel. Zubajda skryła błyszczące szare oczy za ciemnymi okularami od Gucciego, mimo że było już dobrze

po zmroku. Zakończyła rozmowę telefoniczną ze swoją siostrą z Ammanu i pochyliła się, żeby przywitać mnie zwyczajowym siedmiokrotnym pocałunkiem w oba policzki. Podzwaniała biżuteria zdobiąca jej telefon, a szwajcarski zegarek świecił w ciemności. Byłam olśniona jej kobiecością. Zanotowałam w myślach, by nauczyć się od niej zmysłowości. Zubajda z werwą (choć nigdy nie było to niegrzeczne) wydała Rahimowi polecenie po arabsku - w języku, którym także biegle się posługiwał. Przez całą drogę rozmawialiśmy.

- Qanta, jestem tak podekscytowana twoim hadżdżem! *Ma sha Allah, ma sha Allah, ma sha Allah!* - wykrzykiwała.

Światło księżyca ślizgało się po jej uroczych dołeczkach w porcelanowych policzkach, otoczonych cienką niczym pajęczyna zasłoną z szyfonu. Ilekroć widziałam Zubajdę, była coraz piękniejsza.

Rahim wysadził nas przed wejściem do centrum handlowego As-Sahara przeznaczonym dla kobiet. Szybko wybrałyśmy zasłonę z cienkiej jedwabnej żorżety. Następnie Zubajda zaprowadziła mnie do sklepiku, w którym sprzedawano akcesoria do włosów. Zapłaciłam za zakupy, dołożyłam do wcześniejszego nabytku stalowe wsuwki i niemal biegiem wróciłyśmy do warczącego mercedesa.

- Zubajda, dlaczego my, kobiety, musimy zakrywać włosy? Jak sądzisz, dlaczego w islamie jest to tak ważne? - drążyłam temat, który nie dawał mi spokoju.

- A ty jak sądzisz? - odpowiedziała pytaniem, jakby rzuciła mi wyzwanie.

- Wiem tylko tyle, ile mi mówiono, kiedy dorastałam. Zawsze słyszałam: „muzułmańska córka nie może tego”, „muzułmańska córka nie może tamtego”.

- Cóż, Qanta, włosy są kwintesencją kobiecego piękna. Sama doskonale widzisz różnicę. Z zasłoniętymi włosami wszystkie wyglądamy nijak. A zasłaniamy je, żeby zachować to piękno tylko dla tych, którzy mają prawo na nie patrzeć. Ono nie jest dla wszystkich, a jedynie dla naszych rodzin i mężów. Podczas hadżdżu jest to szczególnie ważne. Ukrywasz swoją urodę, żeby cię szanowano. Absolutnie nie możesz prowokować żadnego z mężczyzn, którzy pokonują trudy pielgrzymki. To byłoby niewłaściwe;

sprawiałyby im dodatkową trudność. Kiedy podczas hadżdżu będziesz otoczona tłumem mężczyzn i poczujesz się niekomfortowo, możesz użyć końca szala i zakryć twarz. Ale oprócz takich sytuacji zakrywanie twarzy podczas hadżdżu wewnątrz Świętego Meczetu jest zabronione nawet tym kobietom, które robią to na co dzień. Czyń to więc tylko wówczas, gdy naprawdę poczujesz się niekomfortowo, napotkasz czyjeś natarczywe spojrzenie lub będziesz miała jakieś obawy. W przeciwnym razie wystarczy, jeśli przykryjesz włosy szalem i przypniesz go spinkami. - Spojrzała na moje zmarszczone brwi i zrozumiała, że jestem zaniepokojona. - Nie martw się, Qanta, zapewniam - twoja *nijja* jest czysta.

Gdy przyjechałyśmy do mojego mieszkania, Zubajda z uwagą przypatrywała się, jak układałam włosy przed lustrem. Założyłyśmy jedwabną zasłonę na paskudne rusztowanie ze spinek i opasek na głowę. Zubajda owinęła materiał ściśle wokół mojej twarzy z ekspercką zręcznością, której nabrała dzięki wieloletniej praktyce. Kilka razy mignęła rękami zdobnymi w bransoletki i miałam zakryte włosy.

Spojrzałam na swoje nowe odbicie w lustrze.

Moje spojrzenie odwzajemniła przyszła hadżdża.



Tydzień minął w mgnieniu oka. Był piątek rano, dzień przed hadżdżem. Mimo to o godzinie dziewiątej wciąż nie miałam biletu ani żadnych informacji dotyczących grupy, do której zostałam przypisana. W końcu zniecierpliwiona zadzwoniłam do biura organizującego pielgrzymkę.

- Czekam na człowieka, który ma przynieść bilety, *doktora* - powiedziała kobieta. - Obiecał mi, że dzisiaj przyjedzie. - Zamilkła; sama sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Zdobyła się jednak na wyjaśnienie: - Nie mogę nawet wykonać żadnych telefonów, ponieważ biura są teraz zamknięte na modlitwę *az-zuhr*. Spróbuję zadzwonić po czwartej, kiedy

ponownie je otworzą. - Rozłączyła się.

Nie mogłam w to uwierzyć. Miałam lecieć o 9.30 następnego ranka! Można się było wściec - zawsze wszystko zamykano na czas modlitwy, ale szczególnie w takim momencie trudno to było przyjąć spokojnie. Przybita odłożyłam słuchawkę i zamyśliłam się nad swoją prawdziwą intencją. Może chciałam pojechać na hadżdż tylko po to, żeby poczuć się bardziej zintegrowana z ludźmi? Może moja nijja wcale nie była czysta albo jeszcze gorzej, może zaproszenie wcale nie przyszło? Wszystko wskazywało na to, że nadeszła dla mnie pora upokorzenia. Skuliłam się w długim cieniu swojego wstydu, wiedząc, że nie zasłużyłam, by pojechać na hadżdż. Uświadomiłam sobie, jak bardzo w swoim dotychczasowym życiu zaniedbywałam islam.

Następnego ranka, w dniu stojącego pod znakiem zapytania wyjazdu, zadzwoniła Lejla, kobieta z biura podróży, i poinformowała mnie, że ktoś z biura dostarczy mój bilet lotniczy do jego siedziby o godzinie 8.30. Miałam stawić się tam, żeby go odebrać, a ktoś stamtąd miał zawieźć mnie na lotnisko Króla Chalida, żebym zdążyła na 9.30 na samolot do Dżuddy. Powiedziała, że muszę się pospieszyć. Pełna niedowierzania, że wciąż jest szansa na wyjazd, zaczęłam dokonywać ablucji, żeby wejść w stan *ihram*. Mój hadżdż najwyraźniej właśnie się zaczynał.

Jeszcze tylko pożegnalny buziak dla skołowanej kotki Suhy i ruszyłam w drogę. Wyszłam na jaskrawe światło poranka, przemknęłam w dół po betonowych schodach, wkładając okulary przeciwsłoneczne, po czym spieszenie ruszyłam w stronę biura, które mieściło się w centralnej części kompleksu.

Było pusto. Wszyscy zdążyli już wyjechać na wolne dni związane z hadżdżem. Niesamowita cisza sprawiła, że moje kroki odbijały się echem. Za chwilę powinnam jechać na lotnisko. Byłam coraz bardziej zdenerwowana. Nagle ciszę przerwał odgłos opon na żwirze. Z chmury kurzu wyłonił się spocony mężczyzna. Szedł szybkim krokiem z wyciągniętymi w moją stronę dwoma kawałkami papieru. Miałam swój bilet do Boga!

Wręczając mi go, wskazał oczekujący samochód. W środku siedziała już kobieta, afroamerykańska pielęgniarka z Newark, która także leciała na hadżdż. Miała na imię Qudsja. Kierowca spieszył się, żebyśmy na czas dojechały na międzynarodowe lotnisko Króla

Chalida. Tym razem byłam wdzięczna, gdy nasz mały samochód pędził jak szalony przez Rijad.

Weszliśmy na teren portu lotniczego. Terminal wyglądał jak ze sceny biblijnej; żadne ujęcie filmowe nie oddałoby tego. Magiczna siła przyciągała nas ku Mekce. Masa ludzi jej uległa. Czułam tę Boską siłę oddziaływania.

Cały terminal wypełniali pielgrzymi, którzy wyładowywali bagaże, nieśli dzieci, wieźli na wózkach osoby z niepełnosprawnością, liczyli pieniądze, modlili się, obracali w dłoniach różańce i przez ten czas na głos wypowiadali swoje intencje. Te specjalne charakterystyczne modlitwy pielgrzymów, labbajki^[39], łączyły się w jeden potężny głos. Przypomniłam mi się ulubiony film z dzieciństwa - *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*. Zjednoczone w modlitwie głosy brzmiały jak nie z tej planety. Sam Spielberg nie wymyśliłby takiej sceny.

Wręczyliśmy kierowcy pieniądze, ale ich nie przyjął; czuł się w obowiązku pomóc dwóm samotnym kobietom wybierającym się na pielgrzymkę. Chwilę później wmieszałyśmy się w bezkresny tłum wiernych. Natknęłyśmy się na morze bieli, ponieważ wszyscy mężczyźni byli odziani w specjalne stroje z białego materiału bez szwów. Wiele kobiet także przywdziało zasłony we wszechobecnej bieli preferowanej przez pielgrzymujących muzułmanów. Od razu wtopiłyśmy się w ten tłum, a nasze głosy dołączyły do niskiego szmeru głosów chmary ludzi. Rozejrzałam się; wokół panował chaos. Pielgrzymi nieśli ogromne kosze i wielkie torby (niektóre takich rozmiarów, że zmieściłby się w nich człowiek). Każdy miał ze sobą jakąś pościel.

Po błyskawicznej odprawie nadszedł czas, by uwierzyć, że mój hadżdż naprawdę dojdzie do skutku. Głęboko poruszona, że pielgrzymka zaczyna się urzeczywistniać, udałam się do samolotu.

Wdychając znajomy zapach benzyny i gorącego asfaltu, od którego zaczynają się wszystkie podróże, wspierałam się po schodach. Ciepły, szumiący szamalowy wiatr owiewał mnie i ponaglał; mój jedyny świadek. Ostatni raz rzuciłam okiem na Rijad i weszłam na pokład samolotu, który miał mnie zabrać do Al-Kaby, Domu Boga. Byłam ciekawa, czego nauczę się od milionów muzułmanów, którzy wkrótce mnie otoczą, a jeszcze bardziej

interesowało mnie, czego dowiem się o tej muzułmance, która była we mnie.

Zaczęła się moja przemiana.

^[35] Al-Kaba - święte miejsce kultu w islamie. Prostopadłościan osłonięty czarnym jedwabnym materiałem z wyhaftowanymi złotymi nićmi wersetami z Koranu, w którym umieszczony jest Czarny Kamień składający się z trzech kawałków meteorytu scalonych srebrną obręczą. Kamień ten był czczony jeszcze w czasach przedmuzułmańskich, a jego symbolika jest związana ze zmywaniem grzechów pielgrzymów.

^[36] Są dwa rodzaje pielgrzymki: pielgrzymka właściwa to hadżdż (i to ona stanowi jeden z pięciu filarów islamu), a pielgrzymka mniejsza to *umra*. Podczas umry odbywa się część rytuałów hadżdżu, ale w przeciwieństwie do pielgrzymki właściwej można ją zrealizować w dowolnej porze roku; ma ona także mniejsze znaczenie - zmazuje tylko grzechy z ostatniego roku (przyp. tłum.).

^[37] *Id* - święto. Tu w znaczeniu *Id al-Adha* - Święto Ofiary; najważniejsze święto islamu przypadające na dziesiąty dzień miesiąca zu al-hidżdża, w którym odbywa się pielgrzymka (przyp. tłum.).

^[38] *Wa-(A)llahi!* - Na Boga! O Boże! (przyp. tłum.)

^[39] Są to słowa wypowiedane przez muzułmanów, które służą podkreśleniu ich oddania Bogu. Brzmiały one: „Oto jestem, Boże, przed Tobą, oto jestem” (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 11

Epicentrum islamu

Krótki lot szybko minął. Pojawił się sygnał do zapięcia pasów i 350 pielgrzymów przygotowało się do lądowania. Zbierałam się w sobie. Za kilka minut miałam znaleźć się pod opieką tłumu. Usłyszałam pisk gumy na pasie do lądowania - byliśmy w Dżuddzie. Kilka minut później otworzyły się drzwi samolotu i do kabiny pasażerskiej wlały się głosy miliona ludzi.

To był *hadżdż*.

Opuściliśmy samolot w hałaśliwym tłumie, wychodząc wprost na gorącą ścianę wilgotnego skwaru. Wilgotność od Morza Czerwonego była oszałamiająca. Niczym jakaś żywa bestia podstępnie zakradła się pod moją abaję, wślizgując się od strony nadgarstków, wijąc po całym ciele i pozostawiając lepkie ślady potu. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Qudsji. Zauważyłam ją kilka kroków za sobą, poczekałam i ramię w ramię szłyśmy w stronę terminalu.

Pielgrzymi z naszego samolotu zniknęli w parnej ciemności; spieszyli się, żeby odebrać bagaże. Przyspieszyliśmy i my, żeby za nimi nadążyć, i wkrótce zorientowałyśmy się, że wszystkie napisy są po arabsku, w języku, którego żadna z nas nie rozumiała. Musiałyśmy trzymać się współpasażerów, żeby dotrzeć do odpowiedniego taśmociągu bagażowego. Wrzawie warczących nad głowami klimatyzatorów i asynchronicznym modlitwom wtórowały ogłoszenia wypowiedziane w gardłowym, dobitnym saudyjskim arabskim.

Pielgrzymujący mężczyźni po mistrzowsku radzili sobie ze swoimi szatami i bagażami, przez cały czas poruszając się w szybkim tempie. Widać było ich niecierpliwość, której u siebie nie zauważyłam. Raczej obawiałam się, że się zgubię, niż martwiłam, że nie zdążę do Mekki. Ci mężczyźni zaś pragnęli jak najszybciej doświadczyć radości ze spotkania swojego Stwórcy. Nawet niewygodne stroje na *hadżdż* nie były w stanie im przeszkodzić. Ja

szłam w nierównym tempie; to ruszałam do przodu, to gwałtownie się zatrzymywałam, bo przydeptywałam sobie rąbek abai, co znacznie spowalniało marsz. Cieszyłam się, że przynajmniej mam mokasyny na niskim obcasie. Czekają mnie dużo chodzenia, a już teraz, choć to dopiero późny ranek, asfalt mocno grzał w stopy.

Terminal na lotnisku Króla Abd al-Aziza był zaskakująco mały jak na 50 tysięcy pielgrzymów, którzy przybywali tu każdego dnia w ciągu kilku tygodni poprzedzających hadżdż. Wielu z nich przylatywało z Azji Południowo-Wschodniej - każdego dnia było 450 lotów z Indonezji, a z Pakistanu kolejnych 376^[40]. Ale dzisiaj dotarłam tu wraz z ostatnią turą pielgrzymów, którzy podróżowali z Królestwa.

Na rok przed moim przyjazdem do Królestwa władze saudyjskie ustanowiły limity, żeby zmniejszyć napływ ludzi podczas hadżdżu. Teraz obywatele saudyjscy są zobowiązani do występowania o zgodę na hadżdż do lokalnych komisji pielgrzymkowych. Zgodę dostają tylko ci, którzy nie odbyli hadżdżu w ciągu ostatnich pięciu lat. To powstrzymuje mieszkańców Arabii Saudyjskiej przed corocznym pielgrzymowaniem do Mekki. Choć decyzja władz wzbudzała kontrowersje, okazała się skuteczna i zredukowała liczbę pielgrzymów z Królestwa z 50 procent wszystkich pielgrzymów do poniżej 30 procent, a dzięki zastosowaniu ograniczenia wobec osób, które w ciągu pięciu lat były na hadżdżu, większość z tych niemal 30 procent obecnie podróżujących z Królestwa na hadżdż stanowili niesaudyjscy ekspatrianci^[41].

O dziwo nasze bagaże już czekały na przesuwającej się taśmie, na którą wyładowano też torby z kolejnego samolotu. Odwróciłam się i ujrzałam jeszcze większą grupę pielgrzymów niż nasza, wysiadających z kolejnego samolotu.

Przez okno znajdujące się na końcu terminalu zobaczyłam mnóstwo ustawionych w rzędzie samolotów, które czekały, by wypuścić pasażerów. Hadżdż to była operacja na wyjątkową skalę, wymagająca niezwykle sprawnej organizacji. Wyszłam na zewnątrz, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach.

Ogłuszył nas warkot tysięcy silników Diesla. Jak okiem sięgnąć, lotnisko wypełniały gigantyczne autobusy. Stały jeden za drugim aż po horyzont. Razem z Qudsją usiłowałyśmy znaleźć nasz transport. Krążyłyśmy w gąszczu trzeszczących diesli, oczy nas szczypały od

kurzu i spalin; było ciężko i gorąco w tym wilgotnym skwarze. Pojazdy zaparkowane zderzak w zderzak utrudniały poruszanie się pasażerom.

Po około trzydziestu minutach wypatrzyłyśmy znak, który wyglądał jak ten przypisany do naszej grupy. Przyspieszyłyśmy, żeby dołączyć do pasażerów, którzy właśnie wsiadali do autobusu. Utworzyli zgrabną kolejkę. Jakiś łysy pielgrzym z gęstą brodą, która sięgała mu do połowy klatki piersiowej, odhaczał nazwiska pasażerów w swoim notatniku. To był imam, który przewodził naszej pielgrzymce. Miał prowadzić nasz hadżdż, zabierać nas we właściwe miejsca o właściwej porze i na czele grupy intonować modlitwy.

- *As-salamu alejkum* - odezwałam się, przeciągając słowa w swoim arabskim z naleciałościami urdu.

- *Wa-alejkum as-salam!* - odkrzyknął przewodnik w wyrazistym nadźdyjskim arabskim. Spojrzał w naszą stronę, ani razu nie nawiązując kontaktu wzrokowego, a my pokazałyśmy mu ulotki, które potwierdzały, że mamy miejsca w jego autobusie. Zamaszyście przerzuciwszy sobie przez lewe ramię białą płachtę materiału, zaczął bazgrolić coś w notatniku. Po chwili odhaczył nasze nazwiska i, choć nie mogliśmy w to uwierzyć, odsunął się, żebyśmy wsiadły do autobusu. Odnalazłyśmy się w tym chaosie.

Weszłyśmy do środka po wysokich schodach, moich pierwszych schodach do hadżdżu. Nie było tam ani jednej kobiety, mimo że prosiłam, by przydzielono mnie do grupy samotnych kobiet. Większość miejsc w autobusie była już zajęta. Gdy przesuwałam się na tył autobusu, mój wzrok padł na ostatnie okna zakryte pomarańczowymi plisowanymi zasłonkami. A więc to było miejsce przeznaczone dla pielgrzymujących w tej grupie kobiet. Wspięłam się po stromych stalowych schodach.

Usadowiłam się na siedzeniu i przesunęłam nieco pomarańczową zasłonkę na jedną stronę, by wyrzec przez okno. Byliśmy otoczeni niekończącymi się rzędami autobusów oraz pielgrzymami, którzy w pośpiechu do nich wsiadali. Jakaś rodzina starała się nie rozłączyć w tym tłumie i stworzyła dziwną formację, łańcuch ludzi połączony rękami ściskającymi rozciągniętą cienką linkę. Szły kobiety z dziećmi na rękach, starsze dzieci podążały za swoimi matkami, ludzie jechali na wózkach inwalidzkich, pchani przez młodszych pielgrzymów.

Nie wszystkie autobusy wyglądały okazale. Gromady jaskrawożółtych busów (zupełnie jak amerykańskie autobusy szkolne) przewoziły pielgrzymów (samiych mężczyzn) na dachach. Jechali w zwartych szeregach, niektórzy w kucki, inni ze skrzyżowanymi nogami, a wszyscy z odkrytymi głowami w tym niesłabnącym słońcu. W środku busów siedziały szczelnie zakryte kobiety i, tak samo jak ja, wyglądały zza prowizorycznych zasłonek. Nie każdy pielgrzym mógł sobie pozwolić na przejazd klimatyzowanym mercedesem jak ten, który miał mnie dowieźć na hadżdż.

Minuty przeszły w godziny, godziny mijały jedna za drugą, aż zrobiło się popołudnie. Nie wzięłam ze sobą nic do picia ani do jedzenia. Nie byłam przygotowana na trudy hadżdżu. Wszyscy w autobusie byli pochłonięci monotonną modlitwą; przez pewien czas przewodnik pielgrzymki intonował różne modlitwy, które wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, podchwytywali, by czas szybciej upłynął. Jednocześnie na jałowym biegu pracował silnik, żeby działała klimatyzacja. Od stojących w oddali rzędów autobusów pojazdy odrywały się jeden za drugim i ruszały w wolnym tempie hadżdżu. W końcu, tuż przed drugą, i nasz autobus ze skrzypnięciem zjechał z krawężnika. Posuwając się niczym zmęczony stary człowiek, kołysał się ociężale. Ruszyliśmy na pierwszy etap hadżdżu. Za zastępem poprzedzających nas autobusów czekała Mekka, a w jej sercu - Al-Kaba.

Następny przystanek: Dom Boga.



Dotarcie do Mekki zajęło nam dobre pół dnia, choć normalnie podróż z Dżuddy trwa czterdzieści pięć minut. Poruszaliśmy się w żółwym tempie, krajobraz prawie się nie zmieniał, ką, pod jakim świeciło słońce, zmniejszał się niepostrzeżenie, a wokół nas huczała kakofonia dźwięków wydawanych przez autobusy, ciężarówki i furgonetki; niekończące się warczenie silników, którego nie było w stanie stłumić nawet grube szkło okien. Dzień się kończył, ale w autobusie nie robiło się ani odrobinę chłodniej. Moim współpasażerom czas upływał na modlitwie, niektórzy pograżyli się w lekturze Koranu, inni wtórowali głośnym modlitwom

imama przewodzącego naszej grupie. W końcu dostrzegłam łańcuch górski otaczający Mekkę: w monotonicznych brązach, spalony przez ostre słońce, odległy i obojętny na olbrzymi ruch, który powoli go omijał.

Zbliżaliśmy się do tunelu wydrążonego w skale. Gdy tam wjechaliśmy, natychmiast dał się nam we znaki narastający hałas mnóstwa silników. Odsunąwszy zasłonkę, zobaczyłam, że znaleźliśmy się w ciemności. Arabskie litery na tablicy rejestracyjnej samochodu przed nami to było wszystko, co mogłam dostrzec. Reflektory rzucały słaby snop światła w gęstym smogu, który można było niemal kroić. Kolejne pojazdy siedziały poprzecznie na ogonie, tworząc coś, co przypominało gigantyczną przegubową gaśnicę; nasz autobus stanowił niewielki segment ogromnego mechanicznego parecznika, wciskającego się do centrum Mekki.

Straciłam poczucie czasu. Gdy zbliżałam się do swojego Stwórcy, wszystko zdawało się wyolbrzymione. Jego bezkres zaczynał usuwać w cień stworzone przez człowieka ramy rzeczywistości. Wkraczałam do nowego wszechświata, w którym ludzkie punkty orientacyjne niezależnie od tego, czy to związane z czasem, czy z przestrzenią, unieważniała wirująca siła, która znajdowała się zaledwie kilka kilometrów dalej. Byliśmy w centralnym miejscu, z którego rozrywał się prąd gwałtownie przyspieszający do Al-Kaby. Czułam tę falę, która popychała nas naprzód.

Nasz kierowca, już bardzo zmęczony, pocił się w milczeniu, a imam przewodzący naszej grupie przez cały czas stał obok i modlił się, żeby Allah otworzył przed nami drogę. Wjechaliśmy na ośmiopasmowy przejazd dołem i wciąż posuwaliśmy się naprzód. Kilku pielgrzymów podeszło do kierowcy i po krótkiej dyskusji autobus zatrzymał się w tunelu przy krawężniku. W pobliżu dostrzegłam cztery wejścia na ruchome schody, które wsysały pielgrzymów do środka. Wszystkie schody jechały w górę, żadne nie zjeżdżały. Trochę dalej zobaczyłam inne wejścia na ruchome schody: przy każdym z nich były statyczne grupki odzianych na biało hadźdżich otaczających swoje kobiety. Wydawało się, że w tym miejscu nie sposób się zatrzymać, trochę jak w Midtown Tunnel w godzinach szczytu. Odwróciłam się do kobiety siedzącej obok mnie, Randy, żeby poprosić ją o wyjaśnienie.

- Oni chcieli się tu zatrzymać, żeby natychmiast pójść do Al-Kaby. Nie mogą się już doczekać. Nie chcą najpierw jechać do hotelu i wracać tu później; chcą iść od razu. Te

ruchome schody prowadzą bezpośrednio do Al-Masdzid al-Haram (Świętego Meczetu), który znajduje się dokładnie nad nami. Przejeżdżamy właśnie pod Domem Boga! - Przerwała nagle, uśmiechając się do mnie. - Jesteśmy pod spodem hadżdżu!

Patrzyłam, jak mężczyźni opuszczają nasz autobus i znikają wciągnięci w wir praktyk religijnych. Wkrótce straciłam ich z oczu. Ruszyliśmy do hotelu, gdzie mieliśmy spędzić noc. Zatraciwszy poczucie czasu i przestrzeni, nie zdawałam sobie sprawy, że znajduję się już w epicentrum islamu. Przyglądałam się, jak ruchome schody pochłaniały coraz więcej i więcej pielgrzymów, zupełnie jak jakiś organizm o nienasyconym apetycie; masa ludzi, którzy, jak się wydawało, nagle znikali, wprawiała mnie w osłupienie. Wszystko znajdowało się w ruchu.

Staliśmy na skraju wiru.

Kilka godzin później zatrzymaliśmy się przed budynkiem w centrum Mekki. Szybko opuściliśmy pojazd, żeby się czegoś napić i mieć chwilę wytchnienia. Mężczyźni i kobiety weszli do oddzielnych pomieszczeń. To nie był hotel, jakiego się spodziewałam, lecz najwyraźniej sala weselna otwarta dla pielgrzymów w okresie hadżdżu. Na podłodze leżały zwoje pościeli i małe walcowate poduszki. Kobiety szybko zajęły miejsca.

Najbardziej chciałam teraz pobyć sama - te pielgrzymkowe tłumy zdążyły mnie już zmęczyć - ale nie było takiej możliwości. Nie mogłam liczyć na prywatność. Postawiłam walizkę, usiadłam i oparłam się o nią. Część samic alfa, pielgrzymujących Beduinek, zebrała się na podium i opierała o samotny weselny tron, na którym nie było teraz panny młodej ani pana młodego. Pozostałe zajęły miejsca na podłodze. Randa zamachała do mnie, żebym przysunęła się bliżej. Podawano jedzenie. Hidżazyjskie kobiety (ich ciemna skóra wskazywała na sudańskie pochodzenie) przemieszczały się między nami, wręczając tace z jedzeniem i zimnymi napojami. Nie widziałam ich w naszym autobusie, musiały być więc z Mekki i zostały przydzielone do obsługi kobiet w naszej grupie. Jedna z pomocnic przysunęła w moją stronę tacę ze stali nierdzewnej. Podziękowałam jej po arabsku:

- *Szukran.*

- Nie ma za co - odpowiedziała, uśmiechając się promiennie, dumna ze swojego

angielskiego. To była Raszida, która nadzorowała pracę pozostałych pomocnic. Poznała, że nie jestem Saudyjką. Może słyszała, jak rozmawialiśmy wcześniej z Randą po angielsku. Raszida miała błyszczące brązowe oczy, wyraźnie rozszerzone z radości, a jej szal otulał wydatny podwójny podbródek. Od razu ją polubiłam. Chociaż była duża, poruszała się szybko i niestrudzenie, schylając się, by postawić jedzenie na podłodze, gdzie siedzieliśmy (w sali nie było mebli), i ponownie podnosząc, by obsłużyć kolejne osoby. Później wróciła z przenośną lodówką pełną napojów - sama ją przytасzczyła. Spojrzałam na swoją coca-cole. Autentyk dotarł nawet do Mekki.

Byłam zmęczona i nie miałam apetytu. Sięgnęłam po małą porcję ryżu, nie mogąc się zmusić do zjedzenia mięsa. Do zakończenia hadżdżu miałam stracić 10 procent wagi ciała. Randa zdążyła już skończyć posiłek. Przyszła do mnie z zaproszeniem.

- Qanta, razem z moim mężem Szarifem wybieramy się, żeby zrobić *tawafy* wokół Al-Kaby. Może chciałabyś nam towarzyszyć? Jeśli się pospieszymy, dotrzemy tam na modlitwę *al-isza*.

Postanowiłam spędzić ten wieczór z Randą, zerwałam się więc na równe nogi. Wybierałyśmy się do Al-Kaby!

^[40] Robert R. Bianchi, *Guests of God: Pilgrimage and Politics in the Islamic World*, Oxford University Press, New York 2004.

^[41] Tamże.

Rozdział 12

Ku światłu

Randa i Szarif pospiesznie przemierzali ulice Mekki, prowadząc mnie do Al-Kaby. Podążałam tuż za nimi. Przemykaliśmy wśród tłumu, który kłębił się w wąskich uliczkach. Staraliśmy się patrzeć przed siebie, idąc w głębokim cieniu rzucanym przez wykusze budynków wznoszące się nad naszymi głowami. Budynki nie były do siebie podobne; każdy stanowił bezładną masę dobudówek niebezpiecznie do siebie nachylonych, które niemal przesłaniały niebo. Niektóre wciąż były w trakcie budowy, choć mieszkali już w nich ludzie - senny koszmar urbanisty. Gdziekolwiek spojrzałam, wszędzie byli pielgrzymi w charakterystycznych szatach: za kierownicami samochodów, na siedłkach motocykli i rowerów, wysoko na bagażnikach na dachach pojazdów. Większość jednak poruszała się pieszo - pozostawili swoje pojazdy hen daleko, a może dotarli na miejsce drogą morską. Przypomniał mi się pewien znany werset z Koranu, w którym jest mowa o hadżdżu:

(...) oni przyjdą do ciebie pieszo

lub na wszelkiego rodzaju wysmukłych wierzchowcach;

oni przybędą z każdego głębokiego jaru...^[42].

Szarif cierpliwie prowadził nas w stronę wzbierającego nurtu wiernych. Spieszyliśmy się. Chcieliśmy dotrzeć do Al-Masdzid al-Haram na wieczorną modlitwę *al-isza*.

Wyszliśmy na zaokrąglony plac, dołączając do stutysięcznego tłumu. Dotarliśmy do Al-Masdzid al-Haram. Fala utworzona przez ludzi rozbiła się, skręcając najpierw na marmurowy plac przed wejściem, a następnie ruszając gwałtownie niczym przypyływ przez niezliczone bramy do jego wnętrza. Zapadał zmrok, niebo nad nami było czyste, całodniowy

skwar w końcu zelżał, a łagodna bryza szarpała delikatnie końce mojego szala. Randa i Szarif parli do przodu, wrywając mnie z odrętwienia. Gdy przeszliśmy przez ostatnią ulicę, która dzieliła nas od marmurowego placu przed wejściem do ogromnego owalnego meczetu Al-Haram w centrum hadżdżu, rozległ się *azan*. Wszelki ruch zaczął spowalniać. Mieliśmy odpowiedzieć na wezwanie do modlitwy.

Randa nagle się odwróciła.

- Pomódlmy się tutaj - powiedziała i stanęła.

Obok zatrzymał się Szarif, a ja zajęłam miejsce u jej drugiego boku. Zdjęliśmy buty, włożyliśmy je do plastikowych toreb i położyliśmy obok siebie. Spojrzałam na swoje stopy. Staliśmy przy krawężniku. Mieliśmy modlić się na asfalcie; był czysty, nie leżał na nim żaden paperek ani inny śmieć. Symbolicznie zaczęliśmy poklepywać piaszczystą ziemię, wykonując poszczególne ruchy przypisane ablucji. Używaliśmy piasku, bo to jest dozwolone muzułmanom podczas podróży, gdy nie mają przed modlitwą dostępu do wody.

Wokół nas stutysięczny tłum w ciszy robił to samo. Teraz stanowił spokojną, cierpliwą grupę wiernych. Jak okiem sięgnąć, pielgrzymi ustawili się idealnie w szeregach. Rozejrzałam się dookoła; byłam częścią potężnego tłumu uformowanego w okrąg. Pielgrzymi stali ramię w ramię, ich ustawione trochę na zewnątrz stopy wzajemnie się dotykały. Tłum wiernych był jednością niczym magiczny organizm.

W rytm dobrze znanej modlitwy pochyłaliśmy głowy, klękaliśmy i w końcu kładliśmy się zwróceniem twarzami ku ziemi. Święta Ziemia promieniowała ciepłem. Tu było życie. W trakcie pokłonów ocierałam zasłoniętą głowę o kilkucentymetrowy betonowy krawężnik. Zapach węgla, benzyny i rozgrzanego pyłu docierał do moich nozdrzy, ale wciąż pozostawałam czysta. Ukończywszy oba rakaty (w muzułmańskiej modlitwie każdy *rakat* składa się z dwóch pokłonów) skróconej modlitwy przeznaczonej dla pielgrzymów, spodziewałam się, że to wszystko, ale niewidoczny *muezzin* wciąż nawoływał. Wyglądało na to, że czekają nas dalsze modlitwy. Nie były mi znane, a ich szczególna choreografia nie znajdowała się w moim repertuarze. Ciągłe mieszanie mi się kolejność, co obnażało fakt, że nie byłam doświadczoną muzułmanką. Bardzo starałam się naśladować zgromadzonych wokół mnie wiernych weteranów. Gdy modlitwy dobiegły końca i ludzie zaczęli się rozchodzić,

zwróciłam się do Randy:

- Co to za modlitwy, te końcowe? Wszystkie źle odmówiłam.

- To była modlitwa pogrzebowa, Qanta. Każdą modlitwę w Mekce podczas hadżdżu kończy *al-dżanaza*, modlitwa za zmarłych. Mamy pamiętać o wszystkich pielgrzymach, którzy zmarli od czasu ostatniej modlitwy. Ludzie ciągle tu umierają. Musimy się za nich modlić. Zobaczysz, przez cały czas trwania pielgrzymki za każdym razem będą odmawiane modlitwy za zmarłych.

A więc dlatego jej nie rozpoznałam. Modliłam się tylko na jednym pogrzebie, kiedy miałam dwanaście lat. Wówczas naśladowałam innych, podobnie jak teraz. Śmierć krążyła wokół, a wraz z nią zmieniało się poczucie czasu i przestrzeni. W trakcie hadżdżu niektórzy zakończą duchowe istnienie, podczas gdy inni, jak ja, dopiero się duchowo narodzą. Wielu ludzi przybywa do Mekki u schyłku życia i część z nich tu umiera; nie w wyniku jakiegoś urazu czy choroby, ale dlatego że śmierć podczas hadżdżu była ich przeznaczeniem. Niektórzy wręcz marzą o śmierci w czasie hadżdżu i o zbawieniu, które na nich czeka, wiedzą bowiem, że prorok Muhammad (PzN) powiedział, że jeśli pielgrzym umrze podczas hadżdżu, zostanie wynagrodzony tak jak ten, który swój hadżdż szczęśliwie zakończył. Zostaną mu odpuszczone wszystkie grzechy popełnione od dnia, w którym się narodził, i do dnia Sądu Ostatecznego będzie wiódł życie pozagrobowe w niebie. Z tego powodu wielu wiernych zachowuje szaty z pielgrzymki, by po ich śmierci zostały wykorzystane jako całun. Gdy w dniu Sądu Ostatecznego zostaną wskrzeszeni (muzułmanie wierzą, że wszystkie dusze staną wówczas przed Stwórcą), ponownie będą mogli pojawić się w tym samym białym stroju symbolizującym stan *ihram*. Zdałam sobie sprawę, że znalazłam się w kręgu śmiertelności i boskości.

Poszliśmy przed siebie, prosto do marmurowej bramy, jednej ze 129. znajdujących się w murach owalnego meczetu. Teraz, gdy tłum przed bramą zgęstniał, poczułam ogromną ulgę, że nie znalazłam się na tych ruchomych schodach w swojej długiej abai, bo to groziło śmiercią. Jeden niepewny krok i mój upadek mógłby spowodować potknięcie się innych, co wywołałoby panikę. W zbitej grupie powoli posuwaliśmy się do przodu - Randa, Szarif i ja - czasem gęsiego, czasem zwinnie ustawiając się obok siebie, w zależności od tego, co akurat działo się wokół nas. Zawsze jednak razem, trzymając się za ręce.

U progu bramy, pod strzelistym łukiem, niczym wartowniczkami stały saudyjskie kobiety ubrane na czarno, które kontrolowały tsunami napływających ludzi. To była jakby żeńska formacja *mutawwa'in*. Nigdy nie widziałam ich w Rijadzie. Nie tyle powołało je państwo, ile należały do grupy samozwańczych arbitrow ortodoksji. Całkowicie zakryta niska czarna zjawka skinęła na mnie, chcąc przeszukać moją plastikową torbę. Okulary w złotych oprawkach, pozbawiające ją oczu, mocno trzymały się zasłoniętej głowy, niemal odrysowując kontur także zasłoniętego nosa. Gdy pozwoliła mi przejść, anonimowe dłonie w czarnych rękawiczkach przerzucały zawartość torebki Randy. Członkinie tej formacji szybko i po cichu przeszukiwały każdą torbę, jaką miały ze sobą pielgrzymujące kobiety. Mężczyźni przeszukiwali wahhabicczy duchowni ubrani tak jak *mutawwa'in*, którzy patrolują Rijad. Może te kobiety były ich żonami, zastanawiałam się, a może siostrami. Wartowniczkami, jakiegokolwiek były ich koligacje, szukały broni i innych podejrzanych przedmiotów, by chronić Domu Boga i Jego gości. Nikt nie chciał powtórki z 1979 roku^[43]. Weszliśmy do Świątyni.

Al-Masdzid al-Haram („haram” znaczy dosłownie „święty”) historycznie został wytyczony jako strefa wolna od rozlewu krwi. Nie można tam polować na żadne stworzenia, zabijać zwierząt, zabroniona jest jakakolwiek przemoc, by nie bezcześcić tego świętego miejsca. Było ono i jest otoczone najwyższą czcią.

Przed islamem Al-Kaba była ośrodkiem kultu i pogańskich rytuałów. Walczące ze sobą beduińskie plemiona przed wiekami zawarły rozejm ze swoimi wrogami podczas spełniania religijnych rytuałów i od tego momentu zapanował pokój.

W pewnym sensie sam hadźż także chroni muzułmanów przed konfliktami. Hadźż jest przykładem tego, jak muzułmańskie ideały koegzystencji i tolerancji powinny się przekładać na funkcjonowanie społeczeństwa. Islam zakazuje wszelkiego unicestwiania życia podczas hadźżu; nie wolno również polować w Mekce ani na otaczającym ją obszarze.

Milczące wartowniczkami, które nas przeszukiwały, strzegły zatem istoty hadźżu i istoty samej Mekki. Naprawdę znajdowaliśmy się wewnątrz Świątyni. Gdy weszłam do Al-Masdzid al-Haram, znalazłam się w miejscu, w którym odprawiano rytuały na długo przed nastaniem islamu. Niezliczone miliony ludzi podróżowały do Mekki przede mną.

Al-Kaba w Mekce była miejscem corocznych religijnych zgromadzeń wieki przed tym, jak islam został objawiony Prorokowi. Sama Al-Kaba znajdująca się w centrum Al-Masdzid al-Haram została zbudowana przez Abrahama na podstawie planu, który wedle tradycji objawił mu archanioł Gabriel. Z biegiem czasu jednak, w okresie poprzedzającym pojawienie się proroka Muhammada (PzN), a po rozpoczęciu budowy przez Abrahama, duchowa dewiacja niemal wyparła monoteizm z regionu. Te święte miejsca zostały owładnięte pogańskimi rytuałami politeistycznymi, co (aż do nadejścia Muhammada [PzN]) zerwało jedyną jednoczącą wszystkich więź w tym głęboko podzielonym i objętym walkami regionie. Przedmuzułmański hadżdż zapewniał możliwość lukratywnego handlu, stając się jednocześnie silnym czynnikiem politycznym. Dzięki temu wyrósł na potężną siłę gospodarczą, pobudzając procesy migracyjne, co ostatecznie wyjaśnia rasową heterogeniczność dzisiejszego Hidżazu w Królestwie (jaskrawo kontrastującą z monolitycznym Nadżdem).

Prorok Muhammad (PzN) był nowoczesnym reformatorem hadżdżu, a jego wysiłki położyły kres haniebnym przedmuzułmańskim związkom z bałwochwalstwem. Przywrócił Al-Kabę jako Dom Boga i oczyścił ją ze statuetek i symboli pogańskiego kultu, które były czasem przechowywane także w jej centralnym zagłębieniu. Wprowadził do Mekki monoteizm, stawiając hadżdż na szczycie muzułmańskich praktyk religijnych, jak to określa Koran. Abraham, twórca wiary monoteistycznej, szczerze miłował Boga oraz darzył Go niezachwianą czcią. Te uczucia stały się muzułmańskimi ideałami, które znalazły się w głównej części przesłania, jakie prorok Muhammad (PzN) otrzymał od Boga.

Dzisiaj ten ważki monumentalny rytuał jest kontrolowany przez saudyjską monarchię dynastyczną i jej wahhabicką teokrację, która samozwańczo zwie się Strażnikami Dwóch Świętych Miejsc. Ma ona niesamowitą władzę nad tym, kto i jak często może udać się na hadżdż. Poważnie traktuje swoje obowiązki i wywiązuje się z nich z niezwykłą starannością i dbałością o szczegóły, wydając setki miliardów dolarów, by każdego roku zapewnić milionom muzułmanów bezpieczny i udany hadżdż. To wyjątkowe samozwańcze zwierzchnictwo jest tym, czego niesaudyjski świat muzułmański szczególnie zazdrości. O ile ja brałam udział w hadżdżu niczym nieskrępowana i na dokładnie takich samych zasadach jak wszyscy mężczyźni, nie wiadomo, czy w przyszłości kobiety będą mogły robić to w taki sam sposób. Kilka lat później te same władze miały bowiem wydać przerażające zarządzenia, które ujawniły ich rzeczywisty autorytaryzm.

W sierpniu 2006 roku Agencja Reutera doniosła o nowych ograniczeniach, jakie saudyjscy duchowni chcieli narzucić kobietom, które modlą się w meczecie Al-Haram. Co ciekawe, Al-Masdzid al-Haram jest jednym z niewielu miejsc, gdzie mężczyźni i kobiety mogą się mieszać. (Zazwyczaj w meczetach panuje segregacja i są wydzielone odrębne części dla mężczyzn i kobiet). Duchowni chcieli usunąć kobiety z bezpośredniego sąsiedztwa Al-Kaby.

Nawet w samym konserwatywnym Królestwie ta sugestia ze strony władz religijnych wzbudziła ogromny gniew, szczególnie wśród saudyjskich aktywistek. Oskarżają one teokratyczne władze o mizoginiczną dyskryminację. Obecnie kobiety mogą modlić się bezpośrednio przy Al-Kabie, przed jej wejściem, w jej cieniu, mogą nawet dotykać jej ścian. Ale ortodoksyjne teokratyczne siły, składające się wyłącznie z mężczyzn, które kontrolują komitety do spraw hadżdżu i zajmują się właśnie takimi kwestiami, otwarcie zasugerowały, że kobietom powinno się zakazać wstępu do centralnej części świątyni i że planują wyznaczyć dla nich oddzielną przestrzeń w oddali, skąd będą miały dobry widok na Al-Kabę, ale nie będą mogły się do niej zbliżyć.

Co gorsza, zasugerowano, że jest to ukłon w stronę kobiet, ma bowiem na celu ich ochronę. Pod płaszczykiem protekcyjnej uprzejmości ukrywano dyskryminujące posunięcie mężczyzn. W rzeczywistości liczone na to, że uda się usunąć kobiety z widoku we wszystkich świętych miejscach, podobnie jak się to udało w przypadku życia publicznego w Królestwie. Agencja Reutera zacytowała jednego z doradców komitetu:

„Ta przestrzeń jest bardzo niewielka i ogromnie zatłoczona. Dlatego też zdecydowaliśmy, żeby przenieść kobiety z sahanu (okolice Al-Kaby) do lepszego miejsca, z którego mogłyby widzieć Al-Kabę i mieć większą przestrzeń - powiedział Usama al-Bar, dyrektor Instytutu Badań nad Hadżdżem. - Część kobiet uważa, że to niedobre rozwiązanie, ale z naszego punktu widzenia tak będzie dla nich lepiej... Możemy z nimi usiąść i wyjaśnić, skąd wzięła się ta decyzja - dodał. - Decyzja nie jest ostateczna i wciąż może zostać zmieniona”.

Miałam szczęście, że znalazłam się na hadżdżu w tak młodym wieku, będąc samotną kobietą, której nikt nie towarzyszył. Nie zdawałam sobie sprawy, że pewnego dnia mogę

zostać pozbawiona możliwości zbliżenia się do Al-Kaby w wyniku działań niewidocznych i pokrętnych sił, które zawsze trzymały w Królestwie rękę na pulsie.

Teraz patrzyłam znacznie dalej niż na przedstawicieli strażników Świątyni, poszukując swojego Stwórcy. Kiedy nasze osobiste poszukiwania dopełniłyśmy pozbawiającymi głosu zasłonami, zaczęłam rozumieć; w Mekce, u progu Al-Kaby, wkraczałam do nieskazitelnego Boskiego ogrodu, gdzie wszystkie stworzenia mogły czuć się jak u siebie niezależnie od tego, co męskie komitety mułłów o tym myślały. Tutaj każde życie ceniono na równi, tak było od ponad tysiąclecia. Spacerowałam śladami proroka Muhammada (PzN) do Domu Boga. Szłam w stronę światła.

Nie mogło już być odwrotu^[44].

^[42] *Koran*, sura XXII („Pielgrzymka”), w. 27, dz. cyt., s. 400 (przyp. tłum.).

^[43] Mowa o oblężeniu Mekki, zbrojnym ataku i zajęciu przez radykalnych muzułmanów Świętego Meczetu w Mekce 20 listopada 1979 roku. Oblężenie trwało dwa tygodnie, do 4 grudnia; zginęło wówczas około 250 osób, a ponad 550 zostało rannych (przyp. tłum.).

^[44] Tamże.

ROZDZIAŁ 13

Dziecko Boga

Przestąpiliśmy przez próg i weszliśmy do rzęsście oświetlonego marmurowego meczetu, wkraczając w błyszczącą aleję. Latarnie zwieszające się z sufitu wysoko ponad naszymi głowami (każda tak duża, że mogłaby pomieścić człowieka) rzucały rozproszone światło, kąpiąc morze pielgrzymów w białym blasku. Oślepiające promienie pozostawiały zapadającą noc na progu. Fale pielgrzymów unosiły nas naprzód niczym rozbitków. Ludzie posuwali się nie więcej niż ćwierć kroku naraz, poruszając się ostrożnie, jakby znajdowali się na skraju przepaści. Dźwięk każdego mojego kroku zniknął w zbiorowym odgłosie stąpania.

Znajdowaliśmy się na parterze trzykondygnacyjnego meczetu, który mógł pomieścić 750 tysięcy osób. Meczet o owalnym kształcie od lat 50. XX wieku był kilkakrotnie rozbudowywany. Saudyjczycy przeznaczyli ponad 25 miliardów dolarów na samą tylko renowację i modernizację miejsc związanych z hadżdżem^[45].

Ostrożnie posuwałam się naprzód, z uwagą odmierzając kroki. Podłoga była chłodna i działała orzeźwiająco; wspaniałe dzieło inżynierii wód podziemnych. Sieć rur doprowadzała pod marmurem zimną wodę, niezbędną, gdy hadżdż wypadał w gorętszym sezonie^[46] i temperatura powietrza przekraczała nawet 54°C.

Po obu stronach alei wyłożone dywanami przestrzenie wypełniali pielgrzymi na różnych etapach próśb kierowanych do Boga. Wielu z nich siedziało, czytając po prostu Koran, albo zatrzymywało się, by wziąć kilka łyków lodowatej wody ze źródła Zamzam^[47], przechowywanej w pomarańczowych termosach z plastiku rozstawionych w całym meczecie. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z pragnienia pomimo wilgotnej nocy. Ludzie pili świętą wodę, tę samą, która pojawiła się, gdy Hagar desperacko poszukiwała jej na pustyni, przerażona, że umrze jej syn. Dobrze pamiętam tę historię.

Dziecko zostało na piaszczystej pustynnej ziemi, a zrozpaczona Hagar biegła to w jedną, to w drugą stronę. Kiedy pięta płaczącego Isma'ila uderzyła o jałową ziemię, po raz

pierwszy wypłynęła woda z Zamzamu, dokładnie spod stopy chłopczyka. Zamzam do dziś płynie głęboko w ziemi pod meczetem; przez wieki źródło nigdy nie wyschło. Podczas każdego hadżdżu pielgrzymi wypijają i zabierają w pojemnikach do domów dla przyjaciół i rodzin około 141 milionów litrów wody z Zamzamu.

Kiedyś w Rijadzie niebieskooki beduiński ojciec poprosił, żebym zgodziła się, by namaścił wodą z Zamzamu swojego szesnastoletniego syna, który leżał na OIOM-ie i umierał na chłoniaka. Patrzyłam, jak sękatymi palcami nakładał cenne krople, rozsmarowując je niczym drogie francuskie perfumy. Jego artretyczne szorstkie palce, mokre od wody, przesuwały się po krwawiącej, pokrytej bąblami skórze syna. Święta woda mieszała się z krwią w ranach, które nie chciały się zagoić. Chłopiec zmarł kilka godzin później, ale rodzina wciąż mi dziękowała, przyjmując jego śmierć za „zgodną z wolą Bożą”. Zamzam ma właściwości lecznicze, a biedny ojciec chwycił się resztki nadziei.

Spojrzałam na rzędy pomarańczowych naczyń, które otaczały wiernych wokół mnie (w meczecie znajdowało się ponad 6 tysięcy ludzi), i od razu skojarzyłam, że tamten ojciec stąd musiał przywieźć wodę. Dzięki Zamzamowi krzepił się nadzieją do chwili, gdy choroba ją zniweczyła. Nawet Zamzam nie jest w stanie zmienić woli Boga.

Na skraju alei rzędy drewnianych wnęk nie wyższych niż pół metra skrywały buty pielgrzymów. Muzułmanie zdejmują buty z szacunku dla czystości każdego miejsca kultu. Większość została zawinięta w niewielkie torebki i schowana starannie w białych drewnianych przegródkach, gdzie czekały na właścicieli. Ja trzymałam buty przy sobie w plastikowej torbie, wiedząc, że nie będę w stanie odnaleźć ich później w tym potężnym meczecie.

Gdy zesliśmy po kolejnych schodach, pielgrzymi przed nami nagle się zatrzymali. Dołączyliśmy do nich i usiłowałam dojrzeć, dlaczego stanęli. Naraz wszystkie głosy umilkły. Tysiące ludzi zniknęły mi z pola widzenia. Poczułam, jakbym sama stała przed bramą Boga.

Wpatrywałam się w Al-Kabę, a oczy rozszerzały mi się ze zdumienia. Niczym nieprzesłonięty widok rozmył się w słonawych nieoczekiwanych łzach. Byłam oszołomiona. Stałam ze ściśniętym gardłem, ale po chwili się rozluźniłam i poddałam niepowstrzymanemu, cichemu wzruszeniu. Łzy swobodnie płynęły mi po twarzy,

zwilżając zasłonę, która ją okalała. Nie wstydziłam się, pozwoliłam sobie na intensywne przeżywanie emocji, jakich dostarczała Boska energia.

Wciąż patrzyłam przed siebie. Nie byłam w stanie oderwać wzroku od mojego Stwórcy. On tu był. Był wszędzie. Przytulił mnie. Wybaczył. Wyprostowałam ramiona, uwolniona od ciężkiego brzemienia. Uniosłam głowę, pozbawiona ciężaru nieustannego wstydu. Serce mnie bolało niczym otwarta rana, wyrrywając się z piersi, i nagle przepełniła je ulga. Jakaś siła wewnątrz mnie odpędziła wszelkie złe myśli z ciemnych zakamarków duszy. Nie mogłam niczego przed Nim ukryć, ale stwierdziłam, że już się nie boję. Stwórca poznał wszystkie moje szaleństwa i głupstwa, a mimo to wciąż mnie kochał.

Na kilka krótkich, tak osobistych chwil zapomniałam o ciężarze mojego niespokojnego życia i wyzbyłam się wstydu. Kroczyłam naprzód oświecona, wolna, rozgrzeszona. Pośród tysięcy ludzi, w tej chwili ekstazy przywitał mnie mój Stwórca. Jak powiedział Prorok: „Jeśli wykonasz krok w stronę Boga, On wykona dziesięć w twoją stronę”. Czułam, jak się do mnie zbliżał: olbrzymi, pełen radości Ojciec. Stałam przed Nim, nareszcie, jako Jego dziecko.

Kilka dobrych minut zajął mi powrót do rzeczywistości. Inni pielgrzymi byli w podobnym stanie ekstazy. Nikt nie uświadamiał sobie obecności pozostałych osób. Pomyślałam o psychologii tłumu, ale i tak nie mogłam racjonalnie wytłumaczyć tego, co czułam. Wpatrywałam się w ten prostopadłościan i wpatrywałam, oszołomiona energią, jaka emanowała z jego udrapowanych czernią ścian, które wabiły mnie, żebym podeszła bliżej. Promieniował światłem, którego nawet czerń jak sadza nie była w stanie stłumić. Nie mogło tu być żadnego cienia, sama jasność.

Wyteżałam wzrok, by zobaczyć cokolwiek, co pomogłoby wyjaśnić ten fenomen. Z czarnego budynku emanowała zwierzęca witalność, jakby pod czarną kiswą^[48] biło w nim serce albo poruszała się dusza. Al-Kaba zdawała się cała drżeć. Zmysły wprowadzały mnie w błąd. Chociaż nie mogłam niczego dostrzec, czułam namacalną boskość, nadchodzącą łaskę. Bóg był bardzo blisko.

Zanim islam został objawiony prorokowi Muhammadowi (PzN), kiedy ten miał około trzydziestu pięciu lat, Al-Kaba popadła w kompletną ruinę. Straciła dach, a bogate plemię

Kurajszytów zaczęło przekształcać wcześniejszy Dom Boga w miejsce pełne symboli swoich pogańskich wierzeń^[49]. Ich wysiłki zostały jednak udaremnione. Jak wieść niesie, w murach Al-Kaby skrył się wąż. Pewnego dnia szybujący w powietrzu orzeł zniżył lot i usiłował schwycić przerażającego gada, który miał w zwyczaju wypełzać na słońce. W ten sposób orzeł odstraszył Kurajszytów, którzy chcieli odbudować sanktuarium dla swoich idoli^[50].

W tym czasie czterech najpotężniejszych przywódców plemiennych centralnej Arabii sprzeczało się o to, który z nich powinien mieć prawo do umieszczenia otaczanego szacunkiem Czarnego Kamienia we właściwym wschodnim rogu Al-Kaby po tym, jak ją odnowiono. Każdy z nich uważał, że to on najbardziej wart jest dostąpienia tego rzadkiego zaszczytu. Mimo że ich pogańskie wierzenia budziły w Proroku odrazę, wciąż z godnością i życzliwością mediował jako zaproszony arbiter. Muhammad (PzN), który do tego czasu zdobył przydomek Al-Amin (Najbardziej Zaufany), dowiódł swoich słynnych umiejętności dyplomatycznych, upamiętnionych w znanej przypowieści.

Zamiast wybrać jednego przywódcę i mieć wiecznych wrogów w pozostałych, postarał się zadowolić wszystkich. Poprosił, by każdy z nich chwycił za róg czworokątnej szaty, a sam umieścił na niej Czarny Kamień. Następnie przywódcy zanieśli kamień w tym prowizorycznym hamaku do właściwej części budynku. Wówczas Prorok podniósł go i postawił w miejscu, w którym pozostaje do dziś. Przywódcy zaakceptowali takie rozwiązanie ze względu na idealną równość. Tak oto kamień znalazł się w rogu Al-Kaby. Niektórzy wierzą, że przez wieki pociemniał z powodu odpuszczania ludzkich grzechów.

Spojrzałam na pielgrzymów całujących Czarny Kamień. Byłam poruszona pogańskimi obrzędami. Wiedziałam jednak, że jest to pradawny rytuał całkowicie różniący się od tego sprzed wieków.

Dla muzułmanów to oczywiste, że jedynie Bóg jest godzien, by oddawać mu cześć. Kamieniowi oddaje się honory jedynie dlatego, że Muhammad (PzN) okazywał mu szacunek, całując go, choć nigdy go nie czcił; czcił wyłącznie swojego Stwórcę. Drugi kalif muzułmański Umar Ibn al-Chattab (580-644^[51]) przybył, by ucałować kamień, i po raz kolejny dokonał decydującego rozstrzygnięcia.

„Nie ma wątpliwości, wiem, że jesteś kamieniem i ani nie możesz wyrządzić nikomu

krzywdy, ani nikomu przynieść korzyści. Gdybym nie widział, jak Wysłannik Allaha całował ciebie, ja także bym ciebie nie pocałował”.

Nawet z tego odległego miejsca, setki metrów dalej, widziałam, jak pielgrzymi usiłovali dotknąć Czarnego Kamienia, naśladując to okazywanie mu szacunku sprzed wieków^[52]. Niektórzy szczęśliwcy, gdy w coraz mniejszych kręgach okrążali Al-Kabę, byli tak blisko, że mogli go pocałować. Inni w ferworze napierali na otaczających ludzi, usiłując dosięgnąć kamienia, który leży pokryty srebrną osłoną na wysokości około półtora metra od ziemi.

Jeszcze wielokrotnie w kolejnych dniach przekonywałam się, że w tych najświętszych muzułmańskich obrzędach zachowały się pogańskie rytuały, których nie wyparł nawet islam.

Tłumy przed nami tak się przeredziły, że zobaczyliśmy, że tłok jest zbyt duży, byśmy mogli zrobić okrążenia na niższych poziomach. Skierowaliśmy się ku ogromnemu dachowi, żeby rozpocząć *tawaf*.

Musieliśmy znaleźć wytyczoną na posadzce zieloną marmurową granicę określającą położenie Czarnego Kamienia głęboko pod nami i wyznaczającą początek każdego z siedmiu okrążeń przeciwnych do ruchu wskazówek zegara, które mieliśmy wykonać. Czyniąc to, podążaliśmy śladami proroka Muhammada (PzN), który w taki sam sposób okrążył Al-Kabę.

Spojrzałam w górę. Nad nami, w niebie, anioły podobnie okrążały Al-Bajt al-Mamur, niebiański dom Tronu Boga, który znajduje się dokładnie nad Al-Kabą. Gdy odszukaliśmy nasz punkt wyjścia, wykonaliśmy *takbir*. Unosząc w górę prawe ręce ku Al-Kabie, z dłońmi w jej kierunku, wykrzykiwaliśmy: *Allahu akbar! Allahu akbar!*^[53].

Randa i Szarif szli żwawym krokiem, odliczając pierwszy *tawaf*.

Minęły godziny, zanim mogliśmy skończyć. Zaczęła się moja właściwa pielgrzymka.

^[45] W 2007 roku rozpoczęto czwartą rozbudowę meczetu, którego pojemność ma zostać zwiększona o 35 procent, a koniec prac przewiduje się na rok 2020 (przyp. tłum.).

[46] Kalendarz muzułmański jest kalendarzem księżycowym, więc daty świąt są ruchome (przyp. tłum.).

[47] Nazwa źródła wywodzi się od słów *zomē zomē*, które znaczą „przestań płynąć”. Tak brzmiała komenda powtarzana przez Hagar, która usiłowała zapobiec wylewaniu się znalezionej przez siebie wody źródlanej. Za: Saudi Geological Survey ZamZam Research and Studies Center (przyp. aut.).

[48] *Kiswa* - materiał, którym przykryta jest Al-Kaba, wykonany z czarnego jedwabiu ozdobionego kaligrafią wyhaftowaną złotą nicią (przyp. tłum.).

[49] Mai Yamani, *Some Observations on Women in Saudi Arabia*, w: *Feminism and Islam, Legal and Literary Perspectives*, pod red. Mai Yamani, Ithaca Press, Reading 1996, s. 279.

[50] Stephen Schwartz, *The Two Faces of Islam: Saudi Fundamentalism and Its Role in Terrorism*, Anchor Books, New York 2003, s. 10.

[51] Istnieją znaczne rozbieżności w kwestii daty urodzin kalifa Umara Ibn al-Chattaba - od 580 roku n.e. do roku 592; panował w latach 634-644 (przyp. tłum.).

[52] Wieki wcześniej stare plemiona strzegły Czarnego Kamienia czczonego jako magiczny talizman, a nawet jako przedmiot kultu. Przechowywano go wewnątrz Al-Kaby. Mówi się, że kamień spadł w to miejsce z nieba w czasach Adama i Ewy. Niemuzułmańscy uczeni sugerują, że mógł to być meteoryt. Kult kamieni był wówczas w przedmuzułmańskiej Arabii szeroko rozpowszechniony. Inni wierzą, że został wręczony Abrahamowi przez samego archanioła Gabriela lub że Abraham znalazł kamień, rozpoznał jego wyjątkową wartość i użył go jako kamienia węgielnego pod fundamenty Al-Kaby (przyp. aut.).

[53] *Allahu akbar!* - *Bóg jest największy!* (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 14

Krąg miliona ludzi

Podczas pierwszego tawafu wraz z milionem pozostałych wiernych okrążyliśmy Al-Kabę, co zajęło nam czterdzieści minut i obejmowało trzy czwarte kilometra. Mój wzrok niezmiennie przyciągał czarny sześcian znajdujący się w centrum miliona błagalnych prośb. Każdy pielgrzym krążył, zwrócony twarzą ku Al-Kabie. Jej magnetyzm był niemal namacalny. Tutaj, na dachu, był znakomity punkt obserwacyjny. Nad Al-Kabą ptaki trzepotały skrzydłami, także ustawione w okrąg, zupełnie jakby wykonywały własny *tawaf*. Ogarniające mnie poczucie ulgi zastąpiła teraz radość. Gdy liczyłam okrążenia, zauważyłam, że nieświadomie usta często układają mi się w uśmiechu.

Poniżej krąg miliona ludzi kontynuował okrążenia. Kiedy przypatrywałam się tym niewiarygodnym tłumom, powróciło wspomnienie wypełnionego po brzegi Stadionu Shea. Przypomniałam sobie falę ludzi w hali. Zakapturzona postać powoli, z mozołem przedzierała się przez masy fanów. Mała falanga posuwała się naprzód przez gigantyczne zarośla wymachujących ramion, aż w końcu na scenę niczym bokser wkroczył Bono. W jednej chwili zrozumiałam, co to znaczy być gwiazdą - 50 tysięcy osób skoncentrowanych na jednej. Niewielka postać była blisko każdego fana i tej nocy za sprawą muzyki dotknęliśmy sławy.

Spoglądając teraz w dół na 500 tysięcy osób znajdujących się pode mną i 300 tysięcy krążących wokół, zrozumiałam, co to znaczy boskość. Obserwowałam niekończące się rzesze pielgrzymów i docierało do mnie, co oznacza pojęcie czci. Wspominając to ostatnie zgromadzenie na koncercie, w jakim uczestniczyłam, uznałam, że żaden człowiek nie byłby w stanie poruszyć innych do tego stopnia; żadna siła nie mogłaby prowadzić wiernych, jak tylko święta.

Byliśmy w trakcie trzeciego okrążenia, kiedy ponownie sopranowy głos muezzina ogłosił, że pora na modlitwę al-isza. Mieliśmy wnieść ją tutaj, wokół Al-Kaby. Krąg wiernych się zatrzymał. Ustawiliśmy się w rzędach, gotowi na rozpoczęcie modlitwy. Wygładziwszy ubrania, staliśmy ramię w ramię w oczekiwaniu.

Azan był magiczny. (*Azan* znaczy „powiadamiać” albo „ogłaszać” i jest powtarzany pięć razy dziennie w godzinach wyznaczonych dla obowiązkowej modlitwy). Krystaliczny głos muezzina odezwał się do nas jakby z samego nieba; głośniki na dziewięciu minaretach, które górowały nad całym kompleksem meczetu, odbijały dźwięk azanu w całej Mekce. Najwyższe minarety znajdujące się nad ogromną bramą Fahda wynosiły ten dźwięk poza łańcuchy górskie otaczające miasto. W całej Mekce podczas hadżdżu, gdy słyhać azan, każdy pielgrzym przerywa indywidualną modlitwę i szykuje się do odmówienia wspólnej. Gdzieś w meczecie muezzin stał przy mikrofonie, niewidoczny, i gdy przytknął kciuki do swoich małżowin usznych i skierował wewnętrzną stronę dłoni naprzód (symboliczny gest odcięcia się od tego co ziemskie i rozpraszające uwagę), wzywał do modlitwy wszystkich i wszędzie, dosłownie, by się zbrali zarówno ze Wschodu, jak i z Zachodu.

Ja także uniosłam dłonie do uszu, choć wciąż niełatwo mi było skoncentrować myśli na modlitwie. Przede mną i ciut poniżej Al-Kaba przyciągała magnetyzmem. Bardzo trudno było schylić głowę przed moim Stwórcą, kiedy nieustannie pragnęłam spotkać Jego nieziemskie spojrzenie. Gdziekolwiek się obróciłam, moje oczy Go wypatrywały.

Z uśmiechem spoglądałam na swoje niepolakierowane paznokcie u stóp. Podczas hadżdżu muzułmanki nie mogą mieć żadnych ozdób, włączając w to lakier do paznokci, perfumy czy biżuterię, na znak oczyszczenia.

Otaczała mnie ogromna różnorodność. Dwa rzędy za mną silny amerykański akcent zdradzał muzułmanów pochodzących z Południa. Po mojej prawej stronie modlił się szarooki mężczyzna z Kosowa. Przede mną Ghańczycy, których hebanowe twarze błyszcząły na tle ich białych pielgrzymkowych szat, odpowiadali na wezwanie muezzina pięknym arabskim z afrykańskim akcentem. Wszędzie widać było Malezyjki z perkatymi nosami, które rozpoznawałam po flagach poprzyszywanych z tyłu nakryć głowy.

Po mojej lewej stronie stała pół Angielka, pół Egipcjanka Randa. W pobliżu nerwowe Saudyjki wyróżniały się zakryciami twarzy, z których tak trudno było im zrezygnować, szczególnie w gęstym tłumie. Słyszałam jakąś pakistańską matkę, która uspokajała swoje dziecko w urdu, i jeszcze parę pielgrzymów tak głośno rozmawiających w prostackim pendżabi, aż w końcu ludzie stojący obok ich uciszeli.

Spojrzałam w górę, zlustrowałam wielobarwny krąg ludzi ozdabiający Al-Kabę niczym gigantyczny bogaty naszyjnik z pielgrzymów-perł i poczułam, że się wśród nich odnalazłam. W końcu także i ja tworzyłam tę różnorodność. Islam miał wiele twarzy i ja po prostu byłam jedną z nich. Nasza różnorodność przesłoniła nadźdyjski wahhabizm, z wyjątkiem tych kilku wartowniczek na uboczu czy osobliwego patrolującego duchownego, mutawwy, zbyt złowrogiego, by któryś z pielgrzymów chciał się do niego zbliżyć. To był islam: hadźż! Nie *mutawwa'in* z policyjnymi pałkami i swoim nihilizmem. Równość w oczach naszego Stwórcy była wszystkim, co się liczyło, niezależnie od tego, czy jesteśmy mężczyznami, czy kobietami, czy jesteśmy bogaci, czy biedni, zdrowi czy chorzy, czarni czy biali. Rozszalałe zamordystyczne zwierzchnictwo wahhabizmu zostało najzwyczajniej zmyte strumieniem prawdy: wielorasowym, duchowo synkretycznym potokiem muzułmanów, którzy zalewali właśnie Mekkę.

Gdy zakończyły się modlitwy, po zwyczajowej pogrzebowej modlitwie za zmarłych wznowiliśmy *tawafy*. Z łatwością utrzymywaliśmy energiczne tempo, ponieważ tłum na poziomie dachu zaczął się przerzedzać; poniżej wir ludzi jeszcze bardziej się wzburzył. Na marmurowej posadzce stopy nieprzyzwyczajone do chodzenia bez butów zaczęły mnie boleć inaczej niż zazwyczaj. Byłam zdumiona, widząc wokół taką czystość. Moje stopy nie były nawet zakurzone. Przy takich tłumach ludzi meczet pozostawał jakimś cudem nieskazitelnie czysty. Pod nami dostrzegłam szafirowe kombinezony wykonujące niemal baletowe układy.

Zespoły bosych sprzątaczy, składające się wyłącznie z mężczyzn z Azji Południowo-Wschodniej (najczęściej Banglijczyków), harowały na każdym piętrze meczetu. W idealnie zsynchronizowanym układzie choreograficznym czyścili i polerowali, prawie w ogóle nie przeszkadzając nieustannie przemierzającym się pielgrzymom. Podążałam wzrokiem za tymi jasnoniebieskimi postaciami i ich ruchami w morzu bieli. Na przedzie jeden z mężczyzn wylał wiadro wody na pasy białej marmurowej posadzki w przeciwną stronę niż obracający się wir ludzi. Silna grupa natychmiast rozproszona szerokimi pociągnięciami najeżonych szczotek, machając nimi prostopadle do strumienia wody.

Mężczyźni pracowali szybko i równocześnie. Byli szczupli i, co dość powszechne, wielu miało niedowagę. Głęboko pochyleni podbiegali do strumienia wody, ich szczotki nabierały prędkości, gdy wpadali w poślizg, a szybkie tempo niemal unosiło na tych kijach

ich sprężyste ciała w powietrze. Z nadmuchanymi nocną bryzą nogawkami spodni i rękawami płynęli przed siebie niczym niebieskie żaglówki. Za nimi podążała trzecia załoga, wycierając do sucha każdy ślad wody mopami z irchy. Radośni tancerze posuwali się naprzód, pozostawiając za sobą pachnącą powierzchnię ciepłego suchego marmuru. Nie gubiąc rytmu, kręgi pielgrzymów podążały śladami Muhammada (PzN) i Abrahama, najczęściej zupełnie nieświadome, że podłoga pod ich stopami została świeżo wymyta.

Al-Kaba stawiała się tajemnicza, dopiero gdy wieczór przechodził w noc. Czarna *kiswa*, zasłona spowijająca sześcian ze wszystkich stron, zdawała się wydymać na nocnym wietrze. Wiedziałam, że poruszanie się tego materiału, który ważył więcej niż tonę, było raczej wytworem mojej wyobraźni. Jak wszystko zatem, co odnosiło się do hadżdżu, i to było cudem - monumentalnej konstrukcji. Na samym dole Al-Kaby *kiswa* została nieznacznie uniesiona niczym rąbek u spódnicy i zebrana, by uniknąć zetknięcia z rosnącym przyplływem wiernych wokół. Al-Kaba ma około 15 metrów kwadratowych. Jej ściany wydawały się górować nad nami.

Wyglądała surrealistycznie z każdej strony i za każdym razem, gdy na nią spoglądałam, było tak, jakbym widziała ją po raz pierwszy. Nieustannie mnie fascynowała, choć jednocześnie czułam się nieswojo z powodu wrażenia, jakie ten budynek na mnie wywierał. Jako muzułmanka czczę jedynie Boga, nie Jego Dom, ale ta budowla przyciągała mnie swoją wyjątkowością.

Okrażanie Al-Kaby, chociaż stanowiło ogromną przyjemność, było jednocześnie niepokojące. Nawet bez rozumienia symboliki kryjącej się za wykonywanymi przeze mnie gestami, jakaś pierwotna siła, która mnie z nią łączyła, pchała do środka, żebym zagłębiła się w islam.

W nocnym świetle złote napisy wykonane kaligraficznym arabskim pismem *suls* mieniły się na kiswie, a ich świetność potęgowała aksamitna czerń jedwabiu. Byłam oczarowana jej pięknem. Według wypaczonego wahhabickiego ekstremizmu upiększanie przedmiotów jest przestępstwem, co skutkuje tym, że nie ma w Królestwie bogato zdobionych dekoracji innych niż powtarzalne wzory geometryczne, które pokrywają publiczne mury, a nawet podziemne przejazdy na autostradach. Wszystko inne wahhabici uważają za próżność, ale przynajmniej nie zniszczyli tego, co wydawało się ostatnim

dowodem muzułmańskiego kunsztu, który przetrwał: niespotykanej kaligrafii. Po raz pierwszy w Królestwie doceniłam saudyjskie mistrzostwo w tej dziedzinie.

Jakieś pięć godzin od chwili, gdy zaczęliśmy, udało nam się ukończyć nasz siódmy *tawaf*. Po nim na koniec odmówiliśmy dwurakową modlitwę dziękczynną i wróciliśmy do sali weselnej. Nie mogłam się doczekać jutra, kiedy moja pielgrzymia wędrówka rozpocznie się na dobre. Rozłożyłam posłanie wśród chrapiącej orkiestry saudyjskich kobiet i zapadłam w głęboki sen.

Rozdział 15

Czyn haram

Pakowaliśmy rzeczy osobiste, zostawiając pościel, bo przenosiliśmy się do obozu dla pielgrzymów w Minie, stacji oddalonej o kilka kilometrów od Mekki. Tam mieliśmy spędzić dzień na błagalnych modlitwach do Boga, żeby przygotować się do dalszej drogi na równinę Arafat, co stanowiło kluczowy dzień hadźdzu. To w tej samej dolinie, gdzie Abraham stał przed Bogiem wieki wcześniej, prorok Muhammad (PzN) wygłosił ostatnie kazanie.

Pielgrzymi zebrani podczas hadźdzu na równinie Arafat symbolizują zgromadzenie muzułmanów, którzy słuchali ostatniego kazania Proroka, jakie wygłosił kilka miesięcy przed śmiercią, kiedy zostały mu objawione końcowe wersety Koranu podczas jego Pielgrzymki Pożegnalnej. Dwa i pół miliona ludzi zbierze się na tej równinie i będzie stało od południa do zachodu słońca. Wielu tłoczyć się będzie wokół Góry Miłosierdzia, skąd przemawiał Prorok. Część osób nawet się na nią wespnie, wierząc, że modlitwy tam odmawiane są najbliższe Bogu. Słowa „Arafat to hadźdz” powtarzano wielokrotnie, ponieważ Dzień Stania był najważniejszym dniem hadźdzu.

Z trudem się podnosząc, wykonałam recytację modlitwy *al-fadžr* (porannej), dozgonnie wdzięczna, że jest tak krótka^[54]. W pośpiechu przygotowywaliśmy się do wyprawy do Miny, gdzie mieliśmy zatrzymać się wraz z milionami pozostałych pielgrzymów w miasteczku namiotowym. Po kilku godzinach stania w korkach i chaosie autobus w końcu wjechał do miasteczka składającego się z setek tysięcy namiotów i gromadzącego w czasie hadźdzu dwa i pół miliona osób. (Za tydzień miasteczko się wyludni i będzie stało puste przez pozostałą część roku). Sprawdziłam ulotkę informacyjną i zobaczyłam, że zatrzymamy się w namiocie numer 50 007. Była wydrukowana po arabsku, zapamiętałam ten numer; to będzie mój dom do końca pielgrzymki.

Patrząc przez brudną szybę na miasteczko, zorientowałam się, że łatwo się tu zgubić. Autobus z trudem pokonywał wąskie wyasfaltowane alejki pomiędzy rzędami namiotów. Niczym polujące zwierzę ogromny pojazd krążył wśród hektarów włókna szklanego i płótna.

W końcu znaleźliśmy naszą sekcję.

Kiedy weszłam do przestronnego i widnego namiotu, zmierzyło mnie wzrokiem 60 par świdrujących oczu. Nikt nie uśmiechnął się na powitanie. Zignorowałam chłodne badawcze spojrzenia, do których zdążyłam się przyzwyczaić po miesiącach mieszkania w Królestwie, gdzie zawsze byłam obserwowana zarówno przez mężczyzn, jak i przez kobiety. Szybko ruszyłam przed siebie, żeby znaleźć wolne miejsce, gdzie mogłabym się rozpakować. Godziny spędzone w ciasnocie od chwili opuszczenia Rijadu sprawiły, że byłam spragniona przestrzeni.

Zaczęłam się rozbierać. Poczulałam ulgę, gdy oswobodziłam się z głośno szeleszczącego więzienia abai. Znajome uczucie wolności wciąż do mnie powracało, gdy uwalniałam się z tej plątaniny materiału. Noszenie abai przez cały czas od chwili opuszczenia Rijadu, co stanowiło najdłuższy okres zasłaniania się, jakiego dotychczas doświadczyłam, wciąż nie sprawiło, że było mi łatwiej się do tego przyzwyczaić. Gdy potrząsnęłam głową bez zasłony, zorientowałam się, że znów słyszę.

Spojrzałam na kobiety wokół mnie. Niektóre wciąż miały na sobie zapięte abaje i, pozostawiając na miejscu znaczną część okryć głowy, zarzuciły na górę zasłonę z twarzy, przytrzymując ją z tyłu gumką zaczepianą pod brodą albo po prostu zawijając materiał. Podczas gdy ich twarze były odsłonięte, włosy pozostawały w pełni zakryte, co przypominało mi Holbeinowskie portrety kobiet, które nosiły czepki. Te saudyjskie kobiety zakrywały włosy, choć znajdowały się w zamkniętych pomieszczeniach i w towarzystwie innych kobiet. Zupełnie jak za Tudorów w XVI wieku. Średniowieczny klimat wahhabickiego islamu wciąż się nasilał. Były też takie kobiety, które zdecydowały się zupełnie zdjąć nakrycia głowy. Pod długą ścianą namiotu rzędem siedziały na podłodze kobiety, które opierały się o nią, wgniatając mięsiste plecy w załamania płótna. Pozbawione manikiuru palce przeczesywały długie pukle włosów; kobiety wyglądały jak rząd dziwnych syren, które niespodziewanie zostały wyrzucone na brzeg.

Cieszyłam się z tego, że jestem odkryta, nawet jeśli było to tylko za kulisami. Zastanawiałam się, dlaczego wszystkie kobiety natychmiast nie pozdejmowały z siebie całej wierzchniej odzieży. Z pewnością musiało im być równie gorąco jak mnie i musiały być tak samo zmęczone długą podróżą. Mimo wszystko wciąż czuły się w obowiązku, by stawiać tę

nieprzekraczalną granicę, nawet w towarzystwie kobiet. Chciały wyróżniać się jako ultraortodoksyjne. Nad naszymi głowami z aluminiowych belek nośnych zwieszały się olbrzymie klimatyzatory wpuszczające lodowate powietrze. Po raz pierwszy od lądowania w Dżuddzie było naprawdę chłodno.

W innym miejscu namiotu dostrzegłam rząd kobiet w codziennych strojach; nie miały już na sobie wierzchniej odzieży i siedziały razem, każda odpoczywając na swój sposób. Jedna z nich masowała stopę; obrzęk kostki zdradzał chorobę serca. Obok niej siedziała biała kobieta z krótkimi falowanymi rudawymi włosami, która rozmasowywała sobie kark, żeby pozbyć się pełnego napięcia bólu. Te kobiety nie były ortodoksyjnymi Saudyjkami; powiedziałabym, że wyglądały na Libanki albo Jordanki.

Zaczęłam wypakowywać kilka najpotrzebniejszych rzeczy. Podniosłam wzrok i napotkałam surowe spojrzenie. Jakaś kobieta, może czterdziestopięcioletnia, bacznie mi się przyglądała.

Siedziała po przeciwnej stronie. Szczupła córka skuliła się tuż za jej lewym ramieniem, nie chcąc wzbudzać czyjegokolwiek zainteresowania. Matka zmierzyła wzrokiem mój ubiór i zwróciła uwagę, że abaja leży zmięta na podłodze. Mój obcisły T-shirt Guess ujawniał amerykańskie pochodzenie, a spodnie Calvina Kleina, podtrzymywane w talii błyszczącym włoskim paskiem, podkreślały nogi, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, że jestem kobietą z Zachodu.

Skrzywiła się. Uraziłam ją swoim wyglądem. Usiłowałam zlekceważyć jawną dezaprobatę, zastanawiając się, czy popełniłam faux pas. Gdy sięgałam po coś do torby, wyciągając tułów i ramiona obnażone przez krótkie rękawy, spojrzałam na nią i uśmiechnęłam się mimochodem, starając się być przyjacielska.

- Hej - powiedziałam, wciąż grzebiąc w torbie.

- Mówisz do mnie „hej”? „Hej”? - odwarknęła natychmiast, jakby przygotowała tę gniewną odpowiedź. Mówiła dobitnie po angielsku. Jej twarz płonęła. Z pewnością była Saudyjką, prawdopodobnie także Nadżdijką, może nawet z Rijadu, ale sądząc po jej angielszczyźnie, studiowała za granicą. - Jesteś muzułmanką na hadżdżu i witasz inną

muzułmankę, mówiąc do niej „hej”? - ciągnęła z wściekłością.

Spojrzałam na nią kompletnie zaskoczona. W jej gniewie było tyle energii.

- Powinnaś powiedzieć do mnie: *As-salamu alejkum*, jak przystało na porządną muzulmankę! - syknęła zirytowana, wypuszczając powietrze.

Zarzuciłam przetrząsanie torby i gapiłam się na tę kobietę, która, choć miała całkowitą słuszność, była zaskakująco rozgniewana jak na kogoś, kto sam odbywa hadżdż. Postanowiłam, że będę trzymać język za zębami częściowo dlatego, że taka była moja rola jako pielgrzymka, a częściowo dlatego, że uznałam jej rację. Powinnam była ją przywitać jak należy. Jej piorunującym spojrzeniu przeciwstawiłam swoje spokojne i wytrzymałam jej wzrok, bo choć miałam wyrzuty sumienia nawet z powodu tego nieposłuszeństwa, to doprowadziła mnie do szału. Jej milcząca nastoletnia córka wciąż chowała się za matką, pozbawiona głosu, niezaangażowana w spór.

Nadeszła pora posiłku. Pojawiła się Raszida wraz z ekipą pomocnic, które wniosły do namiotu tace z jedzeniem. Gdy te młode kobiety nieśmiało proponowały ryż z jagnięciną, ledwo patrzyły mi w oczy. Niektóre przyglądały się nieufnie, chichocząc zza końców szali, które przykrywały im usta, co tłumilo obraźliwy wydźwięk śmiechów.

Dobry humor krzątającej się Raszidy rozładował napięcie, które narastało z powodu rozłoszczonej kobiety z naprzeciwka. Raszida nie sprawiała wrażenia urażonej moim wyglądem nawet teraz, kiedy widziała zachodnie ubrania. W głębi duszy byłam jej ogromnie wdzięczna za akceptację. Poczułam się pewniej. Podziękowałam za tacę z jedzeniem:

- *Szukran*, Raszida.

- *Afwan*, Qanta, *malisz*. (Proszę, Qanta, nie ma za co) - odpowiedziała, śmiejąc się tubalnie i pokazując idealne, mocne białe zęby. Chociaż wychowała się w Mekce, przez całe życie się zakrywała, nigdy nie podróżowała i wyszła za mąż w młodym wieku, miała niezłomny charakter, była pewna siebie, wręcz bezczelna!

Nie tknęłam dania głównego, obrałam sobie tylko pomarańczę i ją zjadłam. Traciłam

apetyt; pod koniec tygodnia już na nic nie miałam ochoty. Późny lunch zakończył się wraz z nadejściem pory na modlitwę *al-asr* (późnopołudniową). Kobiety zaczęły przygotowywać się do jej odmawiania. Postanowiłam pójść do toalety. Zanim wyszłam na zewnątrz, musiałam znowu założyć abaję. Hanifa i Raszida czekały na mnie cierpliwie. Do plastikowej torebki włożyłam przybory toaletowe i niewielki ręcznik. Raszida opuściła zasłonę na twarz, niczym przyłbicę, wyjrzała przez płócienne drzwi i dała znak, żebyśmy za nią szły. Wkroczyłam w niewiarygodny upał hidżazyjskiego popołudnia.

Niemal natychmiast zaczęłam się pocić, zwłaszcza że Raszida utrzymywała zaskakująco żwawe tempo. Poruszała się prędko, a jej zasłona nabierała powietrza jak peleryna. Hanifa szła za mną niczym chudy kłębek nerwów. Przechodziłyśmy między rzędami namiotów, wielokrotnie skręcając. Czułam się całkowicie zdezorientowana, ponieważ z każdym skretem asfaltowe alejki usiane namiotami powtarzały się bez końca w kalejdoskopowej symetrii.

Pospiesznie wykonałam ablucje i znowu się zakryłam. Szybkim krokiem skierowałyśmy się z powrotem do namiotu na modlitwę. Raszida kroczyła w takim tempie, jakby była wyposażonym w silnik robotem. Rety, ruszać to się ona potrafiła! Potykałam się, usiłując ze wszystkich sił nadążyć. Myślałam tylko o tym, żeby zdjąć z siebie tę okropną zasłonę.

Gwałtownie otworzyłyśmy płócienne drzwi i weszłyśmy z powrotem do namiotu numer 50 007. Większość kobiet odpoczywała już po modlitwie, niektóre składały dywaniki modlitewne, dopiero co skończywszy. Poszłam na swoje miejsce, zdjęłam buty i w pośpiechu ułożyłam swój dywanik w kierunku Mekki, podpatrując, w którą stronę modlą się kobiety wokół mnie. Zdjęłam abaję, ale pozostawiłam nakrycie głowy, i zaczęłam krótką popołudniową modlitwę.

Allahu akbar - recytowałam łagodnie, wymawiając słowa pod nosem. Pochyliłam głowę, skrzyżowałam ramiona i usiłowałam wyłączyć się z rozbrzmiewających rozmów, zaskoczona, że kobiety nie miały szacunku dla tych pozostałych, które jeszcze odmawiały modlitwę. Naprawdę głośno rozmawiały.

Pochyliłam biodra do przodu, tuż przed tym, jak zaczęłam zniżać się do bicia

pierwszego pokłonu. Klęczałam, ziemia pod cienką makatką była twarda i kamienista. Było zdecydowanie niewygodnie. Gdy usiadłam pod koniec pierwszego rakatu i zbierałam się, żeby się podnieść i wykonać drugi, usłyszałam za sobą jakieś gdakanie, dźwięk wydany przez zaciśnięte wargi burczące coś z dezaprobatą.

Zmarszczyłam brwi, usiłując się skoncentrować i napominając siebie, że oto stoję przed Bogiem w trakcie modlitwy, ale mimo to, nawet na tej świętej ziemi, wciąż czułam się jakaś nieobecna. Ponownie pochyliłam najpierw biodra, a następnie zniżyłam się do drugiej serii pokłonów. Gdy opierałam czoło na ziemi z dłońmi rozłożonymi po obu stronach twarzy, podtrzymując swój ciężar, i klęczałam tak przed Stwórcą, usłyszałam coraz głośniejsze okrzyki:

- Haram! Haram!

- *Wa-(A)llahi*^[55], haram! Haram!

Byłam coraz bardziej zaniepokojona. W islamie „haram” sygnalizuje najbardziej haniebne, zabronione muzułmanom substancje i zachowania: alkohol, wieprzowinę, grzeszne czyny, takie jak morderstwo, bluźnierstwo, samobójstwo czy wiele innych. Co takiego mogło się tam za mną dziać? Ogromnym wysiłkiem powstrzymałam się, by się nie odwrócić i nie sprawdzić, co rozgrywało się w namiocie. Musiało to być coś potwornego, skoro wywołało takie oburzenie. Nie mogłam sobie tego wyobrazić. W pośpiechu odmawiałam pozostałą część modlitwy, a następnie, wciąż pozostając na miejscu, wyrzucałam z siebie wymaganych sto recytacji będących kombinacją słów: *Allahu akbar* (Bóg jest największy), *subhana (A)llah* (Chwała niech będzie Bogu) oraz *al-hamdu li-(A)llah* (Dzięki niech będą Bogu). Zginałam palce, odhaczając każdą wypowiedzianą formułkę, a od pochylania głowy zaczynało mi brakować tchu, ale chciałam jak najszybciej dowiedzieć się, o co chodziło. „Haram” słyhać było bardzo blisko.

Wreszcie skończyłam. Zanim mogłam całkiem się wyprostować, podeszła do mnie jakaś Saudyjka. Jej holbeinowskie nakrycie głowy oparowało rozwścieczoną twarz. Cofnęłam się.

- Haram! - powiedziała, dotykając mojego odsłoniętego ucha, które wystawało spod

chusty. - Haram! - powtórzyła gniewnie z uniesioną brodą, rozglądając się po namiocie, jakby sprawdzała, czy jest ktoś, kogo jeszcze nie przekonała o moim skandalicznym zachowaniu.

Zaczerwieniłam się ze wstydu, choć jedynie purpurowe końce moich haram uszu mogły na to wskazywać. Celowo zawiązałam chustę za świeżo umyтыми uszami zaraz po wejściu do namiotu. Odsłonięte uszy pozwalały mi słyszeć wyraźniej i tworzyły pomocne zakotwiczenie dla zsuwającego się szala, który dzięki temu ściśle przylegał i zabezpieczał całość podczas różnych ruchów wykonywanych w trakcie modlitwy. Ponieważ otaczały mnie jedynie kobiety, byłam pewna, że to dopuszczalne.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Ona nie mówiła po angielsku, a ja nie mówiłam po arabsku, ale moja duma wzięła górę i zdobyłam się na pewien sprzeciw.

- *Ma-fi* haram! (To nie haram!) - powiedziałam, z resztek wstydu krzesząc oburzenie.

- *Ma-fi* haram? - przedrzeźniła mnie prowokacyjnie. - *Ma-fi* haram? - I tupnęła, mrużąc coś do siebie, jakby miała powiedzieć: „To się jeszcze okaże”.

Wokół mnie w hałaśliwym namiocie zapadła niezręczna cisza. Randa z Palestynkami i Jordankami o umiarkowanych poglądach nie ruszyła do boju. Nikt nie chciał złościć innych pielgrzymów, nawet jeśli byli niesprawiedliwi w komentarzach czy zachowaniach. Nikt nie chciał zbecześcić swojego ani czyjś hadżdzu, choć ja już głęboko uraziłam dwie z tych kobiet; one zdawały się nie mieć żadnych zahamowań, by skalać mój hadżdż.

Coraz głębiej rozgoryczona zamknęłam się w sobie. Wszystko, na czym mogłam polegać, to była znajomość islamu, jaką przekazali mi rodzice. Nie kształciłam się formalnie w żadnej szkole muzułmańskiej. W mojej rodzinie dzieci uczono w domu. Te kobiety pouczały mnie w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam - były surowe, stanowcze, krytyczne. W ich wskazówkach nie było za grosz łagodności. Czułam się rozczarowana sobą, ale także nimi. Zdawało się, że duch jedności pielgrzymów został w Mekce.

Po godzinie podeszła do mnie kolejna Saudyjka, wymachując gałązką oliwną. Uśmiechnęła się.

- *As-salamu alejkum* - odezwała się przyjacielskim tonem.

- *Wa-alejkum as-salam* - odpowiedziałam, zastanawiając się, czy mogę być dobrej myśli.

Zamilkła na chwilę, uśmiechając się do mnie promiennie, jakby starała się dobrać słowa. Zaryzykowała ostrożnie skonstruowanym po angielsku pytaniem:

- Kiedy przeszedłeś na islam, *ma sha Allah*?

Była wyraźnie podekscytowana swoją odwagą.

Oślupiałam.

- Od zawsze jestem muzułmanką - zaczęłam, niepewna, czy rozumie, co mam na myśli.

Wciąż się uśmiechała, ukazując nierówne przebarwione zęby.

- A twoi rodzice? - zapytała. - Oni też konwertyci?

Zaśmiałam się, co ją zaskoczyło. Gdyby tylko moi rodzice to słyszeli!

- Nie, *al-hamdu li-(A)llah*, wszyscy jesteśmy muzułmanami. - Uśmiechnęłam się, widząc jej zakłopotanie.

Z uzyskanymi odpowiedziami wycofała się do grupki saudyjskich kobiet i przetłumaczyła im naszą rozmowę na arabski. Wyglądało na to, że była ich rzeczniczką. Przetrawiły informacje i zaczęły rozmawiać na mój temat, a potem pograżyły się w milczeniu. Nieusatysfakcjonowane moją odpowiedzią śledziły wzrokiem każdy mój ruch.

Nie przekonałam ich. Naprawdę uważały, że jestem nowicjuską w islamie - tak obco wyglądałam, ubierałam się i tak oczywiste były moje pomyłki. Stanowiłam dla nich taką samą

zagadkę jak one dla mnie. Niczym nieufne drapieżniki w lesie chodziłyśmy wokół siebie, oceniając drugą stronę zza zarośli ogromnej dżungli islamu, w której się znajdowałyśmy. Musiałam przyznać, że ich obserwacje dotyczące mojej nieporadności w odmawianiu modlitw były odzwierciedleniem moich wątpliwych praktyk religijnych. Chociaż byłam muzułmanką z urodzenia, źródło mojej wiary dopiero zaczynało bić. Dobrze wiedziałam, że te obce kobiety miały rację: konwersja właściwie dopiero się zaczęła.

Dzień minął pod znakiem regularnych modlitw, posiłków i osobistych prośb. Spędziłam czas zagrzebana w przewodnikach dla pielgrzymów, które podarował mi Nadir. Byłam mu ogromnie wdzięczna za okazaną pomoc. Chciałam dowiedzieć się więcej o kobietach z grupy, ale wcześniejsze potknięcia pohamowały moją ciekawość.

Zapadła noc, ogarnęła mnie senność i tak szybko jak tylko mogłam po modlitwie, rozwinęłam posłanie i się na nim rozciągnęłam. W pomieszczeniu panował półmrok, chociaż zewnętrzne oświetlenie przenikało nawet przez gęste płótno, rzucając upiorną poświatę na przechodzące postaci. Jakimś cudem pielgrzymujące Saudyjki były teraz bardziej ożywione niż w ciągu dnia, podczas gdy reszta padała ze zmęczenia. Pomimo toczących się rozmów i podjadania zapadłam w głęboki sen.

Zadrzała ziemia, a później jakby namiot. Odzyskawszy świadomość, poczułam, że jakaś silna ręka potrząsa mną, żebym się obudziła.

- *Doktora! Doktora!* - wzywał mnie głos.

Z przyzwyczajenia od razu oprzytomniałam. Przetarłam oczy, powracając do rzeczywistości. Namiot drżał i rozbrzmiewał kakofonią chrapania. Może nadeszła pora dodatkowej modlitwy, której byłam nieświadoma? Spojrzałam na zegarek: była druga w nocy. Wymacałam swoje okulary i przed oczami ukazała mi się pełna niepokoju twarz.

- *Doktora! Doktora!* - Saudyjka wyglądała na bardzo zatroskaną, może była chora.

- *Fi wadża?* (Czy jest ból?) - zapytałam, podejmując próbę porozumienia się łamanym arabskim i używając zwrotu, którego nauczyłam się na OIOM-ie od mówiących w afrikaans pielęgniarek z Południowej Afryki.

- *La, barra, barra* (Nie, na zewnątrz, na zewnątrz) - odpowiedziała. Dawała mi znaki, żebym wstała, nie miałam więc innego wyjścia, jak tylko za nią podążyć.

Raszida pojawiła się z tyłu. Wyglądała na zaniepokojoną. Coś musiało być nie tak.

- W innym namiocie jest kobieta, *doktora* Qanta, która potrzebuje zastrzyku. Proszę, chcemy, żebyś to zrobiła. Chodź.

Nie miałam czasu, żeby się zastanowić, skąd wiedziały, że jestem lekarką, ani w jaki sposób wieść o czyimś cierpieniu przedostawała się z namiotu do namiotu, kiedy telefony komórkowe wciąż stanowiły w Królestwie rzadkość. Wsunęłam nogi w buty i zarzuciłam abaję. Wyszłam z namiotu w ciemną noc, krocząc za Raszidą i drugą Saudyjką. Wcześniej nawet na myśl mi nie przyszło, że będę miała pacjentów podczas hadźdzu. Żałowałam, że przyjechałam nieprzygotowana. Nie zabrałam ze sobą nawet plastrów z opatrunkiem.

Noc była łagodna ze wspaniałą morską bryzą. Panowały nieprzeniknione ciemności. Towarzyszył nam jedynie wąski snop światła rzucony przez latarkę, którą trzymała Raszida. W pośpiechu przebijała aksamitną noc postrzępioną ścieżką światła, a my jak górniczy wydrążaliśmy drogę. Przechodziłyśmy obok tych samych alejek, którymi szłyśmy w ciągu dnia. Zaczęłam rozpoznawać niektóre zakręty, ale tym razem opuszczaliśmy sekcję, w której stał nasz namiot.

W końcu po piętnastu minutach szybkiego marszu dotarliśmy na obrzeża naszej enklawy namiotów. Zorientowałam się, że nasza sekcja była otoczona stalowymi zakratowanymi bramami. O dziwo, były zamknięte. Nie rozumiałam dlaczego, skoro wszyscy na hadźdzu byli muzułmanami pochłoniętymi bez reszty praktykami religijnymi. Gdy zbliżyłyśmy się do bramy, Raszida wyciągnęła klucze i ją otworzyła. Brama głośno zaskrzypiała.

Znajdowałyśmy się teraz na jakiejś głównej drodze, która biegła przez miasteczko namiotowe. Po obu stronach stały samochody, pozostawiając przejazd dla jednego pojazdu. Cały kompleks pogrążony był we śnie. Gdy oczy przywykły do ciemności, zaczęłam zauważać szczegóły. Wiele z tych samochodów to były pikapy albo ciężarówki. Trochę dalej

przechodziłyśmy obok autobusów podobnych do tego, jakim same przyjechałyśmy.

Cisza była zdumiewająca. Na tak zatłoczonej przestrzeni, na której drzemało teraz dwa i pół miliona ludzi w przeddzień Arafatu, najważniejszego dnia hadżdżu, nie było niemal żadnego śladu ludzkiej aktywności. Błyszczące gwiazdy oświetlały lamowane dachy miasteczka namiotowego. W przeciwieństwie do Mekki zanieczyszczenie świetlne było minimalne. Nocne niebo w Minie, otoczonej niskimi górami, pozbawione sztucznego oświetlenia musiało wyglądać bardzo podobnie jak w czasach Proroka. Cieszyłam się, że zostałam obudzona.

Raszida zatrzymała się, niecierpliwie czekając, żebym ją dogoniła. Szłam za nią dalej, aż nagle poczułam jakiś ruch. Stałam na chwilę, żeby zlokalizować jego źródło. Kątem oka dostrzegłam coś, co mnie zaniepokoiło. Gdy wyteżyłam wzrok, zauważyłam pierwszą postać, później dziesiątki, a w końcu setki postaci, które otaczały nas po obu stronach drogi. Teraz, gdy już je dostrzegłam, zdałam sobie sprawę, że to tysiące stojących lub kucających czarnych cieni kołysze się niepostrzeżenie wokół. Tworzyły jednakowe rzędy, które ciągnęły się setkami metrów, aż w końcu pochłaniała je noc. Każdy cień przestępował z jednej zmęczonej nogi na drugą. Sporadycznie jakaś zjawa poprawiała czarny szal albo nakrycie głowy. Siedziały skulone pod ciężarówkami, między pojazdami, opierały się o opony albo zza nich wyglądały. Inne widma miały tyle szczęścia, że opierały się o bramy albo podpierały na błotnikach. Wszędzie kłębił się nieprzebrany tłum, który zdawał się kołysać miarowo. W niemożliwej ciemności ci ludzie byli ledwie widoczni.

- Raszida, kim oni są? Co tu robią tak późno w nocy? Czemu nie idą do swoich namiotów, żeby się przespać?

- *Doktora*, to pielgrzymi, oni śpią. Nie mają namiotów. Są biedni - wyjaśniła, nie zważając na to, że jestem zaszokowana.

Podczas gdy ja rozcierałam sobie obolałe kolano albo rozciągałam napięty kręgosłup, gdy użalałam się, że klimatyzacja słabo działała, czy narzekałam na ubicację, ci ludzie nie mieli żadnego schronienia. Spędzali noc na poboczu drogi, zbyt stłoczeni, żeby mogli się położyć. Zastępy zasłoniętych pielgrzymów siedziały poupychane pod podwoziami pojazdów, śpiąc przy kołysance tykających silników i rur wydechowych, które w końcu się

ochładzały, gdy całodzienny skwar opuszczał zmęczone turbiny. Nie było ani metra kwadratowego asfaltu, który pozostałby pusty.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie były tysiące pielgrzymów. Za tymi cieniami mogły się nawet kryć ich setki tysięcy. Mimo niedogodności ci ludzie byli cierpliwi, milczący i nie wyczuwało się z ich strony ani odrobiny urazy. Patrzyli na mnie, nie osądzając. Ich oczy pobłyskujące w ciemności nie były przepełnione krytycyzmem w przeciwieństwie do surowych spojrzeń nieustępliwych kobiet, które uraziłam w swoim namiocie. Akceptując trudne warunki, siedzieli w kucki godzinami, czekając na świt i nie okazując niezadowolenia ani o nic nie pytając.

Taki był hadżdż.

Moje serce napełniło się miłością. W głębokiej ciemności nocy w końcu otrzymałam przesłanie, którego szczególnie potrzebowałam. Ich rozpaczliwe ubóstwo miało w sobie ogromną łaskę, łaskę, której pomimo mojego uprzywilejowania, a może właśnie z tego powodu, tak bardzo mi brakowało. Po raz kolejny spokorniałam. Musiałam się jeszcze wiele nauczyć, a moje lekcje płynęły nieprzerwanym strumieniem.

^[54] Modlitwa poranna jest najkrótsza i składa się jedynie z dwóch rakatów (przyp. tłum.).

^[55] *Wa-(A)llahi!* - Na Boga! (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 16

Wezwanie doktory

Raszida zniknęła za rogiem. Zaczęłam biec, żeby ją dogonić, pełna obawy, że zgubię się w labiryncie miasteczka namiotowego. W końcu zatrzymała się przed namiotem, który wyglądał identycznie jak nasz. Weszliśmy do środka i zaciągnęliśmy płócienną zasłonę. Nawet tak późno w nocy namioty były otwarte i każdy mógł wejść. Nie można ich było zamknąć i wszyscy pielgrzymi ufali, że podczas hadżdżu wśród milionów innych pielgrzymów będą bezpieczni.

Wewnątrz było 40 czy 50 kobiet pogrążonych w głębokim śnie; ich usta poruszały się od pochrapywania, niektóre pojękiwały przy zmianie pozycji, przez sen odczuwając ból. Ostrożnie, na palcach podążaliśmy za strumieniem światła. Prawie nie było gdzie postawić stopy. Raszida doprowadziła nas do jednej z kobiet, która nie spała. W ciemności dostrzegłam, że związała się z bólu, a cierpienie wykrzywiało jej twarz.

Po czarnej abai, którą wciąż miała na sobie, wywnioskowałam, że jest Saudyjką, chociaż z twarzy wyglądała na Palestynkę. Była grubo po pięćdziesiątce albo tuż po sześćdziesiątce, chociaż mogła postarzać ją otyłość. Gdy przyklękłam obok, usiłując nie potknąć się o swoją abaję, kobieta spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem. Jej przerażone oczy od razu zmieniły naszą relację. Teraz ja byłam lekarką, a ona pacjentką.

Zwróciłam się do Raszidy z prośbą, by tłumaczyła, gdybym potrzebowała pomocy. Kiwnęła głową na znak zgody.

- *Ana doktora* (Jestem lekarką) - powiedziałam i zwróciłam się do kobiety z muzułmańskim powitaniem: - *As-salamu alejkum, Chala*^[56].

- *Wa-alejkum as-salam, doktora* - odpowiedziała, usiłując się uśmiechnąć, po czym skrzywiła się z powodu ataku przejmującego bólu.

Zauważyłam, że dotknęła ręką pleców. Poczułam ulgę, że nie wskazała na bok, ponieważ obawiałam się, że to kolka nerkowa. W takim przypadku należałoby ją przetransportować do szpitala, a ktoś by teraz wiedział, jak to zorganizować.

- *Fi wadża hina?* (Czy tutaj boli?) - zapytałam, kładąc delikatnie dłoń na jej ręce. Supelkowate stawy były zniekształcone w sposób charakterystyczny dla zapalenia kostno-stawowego. Pulchna alabastrowa dłoń była ciepła i sucha, co wskazywało na to, że kobieta nie gorączkuje. Uspokoiliłam się. Nie miałam odpowiedniego sprzętu, żeby ocenić podstawowe parametry życiowe.

Przesunęła moją dłoń niżej, w kierunku kręgosłupa lędźwiowego. Dotykałam ją przez cienkie ubranie. Czulałam, że po obu stronach kręgosłupa mięśnie są napięte. Często tak jest po kilku godzinach bólu pleców. Gdyby wcześniej dostała środki przeciwbólowe, zapobiegłyby dotkliwym skurczom. Zmiany na dłoniach wskazywały na to, że kobieta może cierpieć także na zapalenie stawów kręgosłupa. W tej sytuacji twarde kamieniste podłoże bez wątpienia było prawdziwym utrapieniem.

Raszida porozmawiała z nią i przekazała mi, że kobieta od lat choruje na artretyzm. Miała ze sobą lekarstwa, jednym z nich był środek przeciwbólowy i przeciwzapalny w zastrzykach. Zaskoczona uniosłam brwi. Były lepsze sposoby przyjmowania takiego leku. Zastrzyki domięśniowe ordynuje się zazwyczaj pacjentom, którzy nie są w stanie połknąć tabletki oraz pacjentom hospitalizowanym z powodu poważniejszych chorób. Kobieta wyjaśniła, że zastrzyki robiła jej córka, ale tutaj, na hadżdżu, jest z nią tylko mąż, który nawet gdyby mógł wejść do namiotu, i tak by nie wiedział, jak zaaplikować lekarstwo. Pytała w namiocie, ale żadna z kobiet nie umiała zrobić zastrzyku. Chodziły natomiast słuchy, że w grupie kobiet z Rijadu jest lekarka, więc zostałam wezwana. Nie mogłam wyjść z podziwu. Cóż za system informacji - na hadżdżu, jak i wszędzie na co dzień, kobiety rozmawiają i szukają rozwiązań swoich problemów za pośrednictwem sieci kontaktów! Gdybym tylko umiała mówić po arabsku, pomyślałam.

Pacjentka z trudem się podniosła i zaczęła przeszukiwać swoją torbę. W końcu z błyskiem tryumfu w orzechowych oczach wyciągnęła zestaw szklanych fiolek wciąż zamkniętych w plastikowym opakowaniu. Wydobyła też strzykawkę, na szczęście także sterylnie zapakowaną, a następnie paczkę wacików do odkażania, nasączonych alkoholem.

Uśmiechnęłam się; była doskonale przygotowana. Spojrzałam na fiolkę; tak jak myślałam - duża dawka niesteroidowego leku przeciwzapalnego. Etykieta lekarstwa i ulotka były po angielsku. Sprawdziłam datę ważności. Wszystko było w porządku, chociaż i tak musiałabym podać lek, nawet gdyby był przeterminowany. Ciężko pozbyć się starych nawyków.

Nie mając możliwości umycia rąk tuż przed zabiegiem, ostrożnie owinęłam maleńki czubek szklanej fiolki końcem szala od abai i ułamałam szyjkę ze znajomym dźwiękiem pęknięcia cienkiego szkła. Strzepnęłam z szala maleńkie odłamki na zakurzoną makatkę, na której pobłyskiwały w ciemności. Poprosiłam Raszidę, żebytrzymała otwartą fiolkę i nie uрониła ani kropelki cennego płynu. Asystowała mi z powagą, a ja tymczasem przygotowałam strzykawkę. Zanim wciągnęłam do niej płyn, poprosiłam pacjentkę, żeby przygotowała się do zastrzyku. Ponieważ dawka była duża, najlepiej było się wkluć w mięsień pośladkowy wielki. Pacjentka miała duże doświadczenie w tej roli i już była gotowa.

Kiedy spojrzałam w górę, zobaczyłam, że pomimo trudności uniosła się na spuchniętych stopach i odwróciła do mnie tyłem. Jej pomarszczony prawy pośladek był już wyeksponowany i świecił bielą w ciemności; czekała cierpliwie na zastrzyk. W prawej dłoni trzymała zebraną abaję i spódnicę, unosząc je wysoko, podczas gdy lewą ręką chwyciła się za dół pleców. Nie miała bielizny. Może zdjęła ją na noc, a może w takie upały w czasie hadżdzu nie nosiło się bielizny. W Rijadzie zajmowałam się tylko ciężko chorymi pacjentami. Przywożono ich pogruchotanych, wydobytych z wraków samochodów, albo byli tak poważnie chorzy, że znajdowali się pod osłoną specjalistycznej aparatury uniemożliwiającej zobaczenie ubrania. Nie znałam więc tych szczegółów. Postanowiłam, że po powrocie do Rijadu zapytam znajome pielęgniarki o zwyczaje starszych mieszkanek Królestwa związane z noszeniem bielizny. Teraz wciągnęłam lekarstwo do strzykawki i żeby się upewnić, że nie wstrzyknę pacjentce powietrza, nacisnęłam tłoczek; z igły wytrysnęła niewielka ilość leku. Jego krople błyszcząły w świetle latarki.

- *Bi-smi-(A)llahi-r-rahmani-r-rahim! Bi-smi-(A)llahi-r-rahmani-r-rahim!* (W imię Boga Miłosiernego, Litościwego!) - wyrecytowała pacjentka tak głośno, że obie z Raszidą to usłyszałyśmy.

Lewą ręką ścisnęłam pośladek, unosząc mięsistą fałdę ciała. Zastrzyk miał być domięśniowy, nie podskórny, dlatego musiałam przebić się przez warstwę tłuszczu, żeby

dostać się do tkanki mięśniowej. Zadowolona, że w końcu dobrałam się do mięśnia, bezzwłocznie wbiłam stalową igłę w fałd skóry. Pacjentka skrzywiła się, ale na szczęście nie poruszyła. Przechyliłam strzykawkę na moment, żeby sprawdzić, czy nie ma krwi, i wstrzyknęłam lekarstwo. Wyjęłam igłę i przemyłam maleńki ślad po ukłuciu wacikiem nasączonym alkoholem, który podała mi Raszida. Nie miałyśmy plastra z opatrunkiem, więc gdy po kilku sekundach miejsce przyschło, dotknęłam ręki pacjentki, a ona pozwoliła opaść przytrzymywanemu strojowi. Obróciła się. Jej twarz wyglądała na zmęczoną, ale już widać było ulgę. Przytuliła mnie mocno i podziękowała:

- *Al-hamdu li-(A)llah! Al-hamdu li-(A)llah! Szukran, doktora! Szukran!* (Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Dziękuję, pani doktor! Dziękuję!).

Usiłowałam wydostać się z jej uścisku. Zawstydzwały mnie te wylewne podziękowania i błogosławieństwa, które Raszida z podnieceniem tłumaczyła. Całe napięcie natychmiast ustąpiło, zapanowała euforia.

Wzięcie odpowiedzialności za kobietę, która nie była moją pacjentką, podanie lekarstwa, którego sama nie zaordynowałam, zawierzenie pacjentce w kwestii formy podania leku - to wszystko było dla mnie nowe i przerażające. Ale i tak cieszyłam się, że mogłam być pomocna podczas hadżdżu, bo dotychczas czułam się rozpaczliwie nieudolna.

Pożegnałyśmy się z kobietą, która już zdążyła z powrotem wsunąć się do śpiwora, powoli szykując się do upragnionego snu po wielu niespokojnych godzinach. Wracaliśmy tą samą drogą, którą przyszłyśmy. Kiwałam głową do śpiącej armii pielgrzymów, którzy w ścisku obsiedli drogę i przykucnięci wciąż się kołysali.

Nie wiedziałam, jak długo nas nie było. W namiocie kobiety spały nieporuszone. Raszida, zabierając ze sobą latarkę, cofnęła się do swojego namiotu, w którym spała z pomocnicami. Saudyjka, która prowadziła nas do pacjentki, wróciła do śpiwora w pobliskim narożniku namiotu, a ja poszłam na swoje miejsce i padłam na posłanie. Przykryłam się rozpinanym swetrem z angory (jedyną ciepłą rzeczą, jaką ze sobą zabrałam) i zapadłam w głęboki sen. Zegarek pokazywał godzinę 3.45. Wkrótce miałam wstać na *al-fadžr* (modlitwę o świcie).



- *Salat! Salat!*

Otworzyłam ciężkie powieki; czułam zmęczenie. To była ta sama kobieta, która krzyczała wcześniej „haram”. Teraz bacznie mi się przyglądała, pochylając się z trudem, żeby sprawdzić, czy się obudziłam. Dzisiaj w jej oczach nie było wcześniejszej wrogości. Wyczuwałam niemal sympatię. Zastanawiałam się dlaczego. Gdy zobaczyła, że nie śpię, powoli się wyprostowała. Zanim odeszła, szorstko mnie powitała. Pierwszy raz! Szybko wstałam, zarzuciłam na siebie abaję i poszłam dokonać ablucji.

Wróciłam do namiotu i zaczęłam modlitwę; tym razem (idąc za przykładem otaczających mnie kobiet) przykryłam uszy. Nie było już żadnych okrzyków „haram”. Cieszyło mnie to. Uczylałam się, jak być lepszą muzułmanką, i może dzięki moim staraniom, by się poprawić, starali się też inni. Gdy siedziałam i odliczałam kolejne *al-hamdu li-(A)llah, Allahu akbar i subhana (A)llah*, pewna Saudyjka przechodząca obok poprawiła mnie, dając znak, żebym odliczała na prawej dłoni, nie na lewej, o czym zapomniałam. Ale nie była zagniewana. Poprawianie innych i rozwijanie ich umiejętności związanych z praktykami religijnymi stanowiło część hadżdżu. Zakończyłam modlitwę i przyszykowałam się do śniadania, które już trwało.

Zauważyłam Randę wracającą z porannych ablucji. Szła, susząc włosy ręcznikiem; jej wilgotne rude loki były w nieładzie. Wróciła na swoje miejsce w namiocie i przyjacielsko pomachała mi na dzień dobry. Odwzajemniłam pozdrowienie.

Nie mogłam nie zauważyć, że wszystkie oczy skierowane były na mnie. Rząd nastoletnich Saudyjek śledził wzrokiem każdy mój ruch. Siedziały cicho, wciąż zawinięte w długie szale, w których modliły się wcześniej tego poranka, a wyglądały w nich jak mumie, i wodziły za mną ciemnymi oczami. Uśmiechały się do mnie nieśmiało. Jedna z nich, dziewczyna w okularach, zawołała nawet: *As-salamu alejkum*, Qanta! Odpowiedziałam jej,

nie mając pojęcia, skąd zna moje imię. Saudyjskie matrony kiwały głowami z uznaniem, okazując mi tym samym prawdziwą aprobatę. Z dnia na dzień coś spowodowało zmianę frontu.

- *Salam, doktora Qanta!* - śpiewnym głosem zawołała Raszida, uśmiechając się jeszcze bardziej promiennie niż zazwyczaj.

- Wszystkie słyszałyśmy o twoim nocnym obchodzie, Qanta! - krzyknęła Randa, szczerząc zęby w uśmiechu. - Raszida nam powiedziała. Od wczesnego ranka wszyscy o tym mówią! Wieści szybko się rozchodzą. Kobiety są pod wrażeniem, że jesteś lekarką!

- Kiedy skończysz śniadanie, *doktora*, jest kilka kobiet, które cię potrzebują. Czekają na twoją pomoc. Jesteś taka uprzejma. Powiedziałam, że z pewnością będziesz wiedziała, co poradzić na ich dolegliwości. - Raszida wskazała na rząd Saudyjek, które cierpliwie czekały, aż skończę jeść.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na myśl o uznaniu, jakim od zarania dziejów cieszył się zawód lekarza. Ortodoksyjne Saudyjki, z którymi dzieliłam namiot, doceniły kobietę lekarkę i chciały skorzystać z możliwości zasięgnięcia porady. Moje pomyłki jako muzulmanki, osoby, która według ich opinii nie radziła sobie nawet z odmawianiem modlitw, zostały nawet więcej niż zrekompensowane wiedzą na temat leczenia chorych.

Islam kładzie duży nacisk na umiejętność przynoszenia ulgi w cierpieniu i docenia rolę lekarza. Najlepiej oddaje to cytat z Koranu:

(...) A ten, kto przywraca do życia człowieka,

Czyni tak,

Jakby przywracał do życia wszystkich ludzi¹⁵⁷¹.

Wyjaśnia on, jak wysoko muzułmanie cenią swoich lekarzy. Być może te kobiety nie miały możliwości skonsultowania się z kobietami lekarkami. W przeciwieństwie do babek i matek personelu wojskowego Gwardii Narodowej Arabii Saudyjskiej, które pojawiały się w naszym szpitalu w Rijadzie, większość tych kobiet musiała polegać na lokalnej opiece medycznej, a tam mniej było lekarzy pochodzących z Zachodu, a pewnie jeszcze mniej lekarzy kobiet. Wiedziałam, że brak lekarek powstrzymywał Saudyjki od szukania porady medycznej, podobnie jak ma to miejsce w Pakistanie czy Afganistanie. Nic dziwnego, że były tak podekscytowane faktem, że dzielą namiot z lekarką.

Randa miała jednak inne wytłumaczenie tej sytuacji:

- Kobiety są pod wrażeniem, Qanta, ponieważ jesteś lekarką. Zanim się o tym dowiedziały wczorajszej nocy, myślały, że jesteś pakistańską służącą. - Po czym dodała z jeszcze większą szczerością: - Widziały twoją ciemną karnację, ciemną jak u Hinduski, i zwróciły uwagę na sympatię, jaką okazujesz Raszidzie i Hanifie, hidżazyjskim służącym, założyły więc, że tak jak te czarne dziewczyny, ty także jesteś służącą. Prawdopodobnie myślały, że pracujesz dla jakiejś rodziny w Rijadzie. Patrzyły na ciebie z góry z powodu twojego domniemanego pakistańskiego pochodzenia i faktu, że jako służąca nie powinnaś według nich być w tym namiocie. Nie martw się, Szarif, mój mąż, też nieustannie się z tym spotyka. Ma ciemną karnację i wszyscy go biorą za Pakistańczyka lub Hindusa. Chociaż kiedy dowiadują się, że jest Egipcjaninem, wcale nie jest lepiej.

- Wiesz, że Saudyjczycy najbardziej nienawidzą Egipcjan i vice versa - ciągnęła. - Ma to związek z ekonomicznymi nierównościami, jakie są między naszymi państwami. Większość Egipcjan przyjeżdża pracować do krajów nad Zatoką, między innymi do Królestwa, z przyczyn finansowych, dlatego Saudyjczycy uważają ich za biedaków. A zarazem Saudyjczycy lubią spędzać urlop w Egipcie, gdzie nie cieszą się dobrą reputacją, bo posądza się ich o to, że uganiają się za kobietami i piją alkohol, więc Egipcjanie patrzą na nich z góry; to chore^[58]. Ale w twoim przypadku nie pomogło też przebywanie z Qudsją. Mam na myśli to, że jest czarna. Sądzę, że większość kobiet tutaj nie wie, że ona jest pielęgniarką, a poza tym trudno się z nią porozumieć.

- Ostatniej nocy, kiedy usłyszały o twojej wyprawie do innego namiotu - mówiła dalej Randa - były zaszokowane, że jesteś lekarką. Ale teraz ogromnie się z tego cieszą! Zaraz się

przekonasz, że wszystkie będą chciały z tobą porozmawiać! Twoje pochodzenie już ich nie razi! - Zaśmiała się i powróciła do nakładania bezzapachowego balsamu na wysuszoną skórę kończyn.

Byłam zdumiona. Naprawdę czułam się fatalnie, patrząc na Raszidę i jej pomocnice, które niczym służące czekały na nas w namiocie, żeby odnieść sztuce, podać jedzenie, sprzątnąć, roznieść napoje czy przygotowywać nasze posłania, co nikogo oprócz mnie nie wprawiało w zakłopotanie. Staralam się być pomocna, jak tylko było to możliwe, nie byłam bowiem przyzwyczajona do tego, żeby mnie obsługiwano. Po jedzeniu zawsze sama odnosiłam talerz i sztuce do pojemnika, do którego wkładano wszystko, co było przeznaczone do mycia, sama też przynosiłam sobie zimne napoje z przenośnej lodówki ustawionej w kącie namiotu. Zauważyłam natomiast, że Saudyjki rzucały na wół opróżnione, zgniecione puszki na podłogę, by służące to posprzątały. Albo, co gorsza, lekceważącym, pełnym pogardy machnięciem ręki sygnalizowały im, żeby przyniosły kolejny napój; nie odzywały się przy tym ani słowem, nie wspominając już o zwykłej uprzejmości w rodzaju „proszę” albo „dziękuję”.

To ich aroganckie zachowanie sprawiało mi przykrość. Wydawało mi się wyjątkowo niestosowne, szczególnie że pielgrzymujące kobiety odnosiły się w ten sposób do innych muzułmanek, które starały się im ulżyć podczas hadżdżu. Zastanawiałam się, dlaczego nikt inny w naszym namiocie nie wykazywał chęci pomocy przepracowanym kobietom, choćby sprzątając po swoim posiłku. Teraz już rozumiałam: to było poniżej godności pielgrzymujących, które zapłaciły parę dolarów więcej za swój „VIP-owski hadżdż”.

Dla mnie „VIP-owski hadżdż” oznaczał tylko, że mogłam podróżować autobusami z jednego świętego miejsca do drugiego i zatrzymać się w klimatyzowanym namiocie w Minie. Dla tych saudyjskich kobiet był równoznaczny z tym, że ciągle ktoś będzie koło nich skakał i że będą mogły cieszyć się poczuciem wyższości w stosunku do tych ciemnoskórych służących z Mekki, biednych kobiet, które musiały pracować na chleb i dorabiały sobie kilka dodatkowych rijali w czasie hadżdżu. Czułam niesmak. Idea hadżdżu polega na tym, by przypominać muzułmanom o ich równym statusie w oczach Boga i o tym, że tylko Bóg może ocenić, czy jeden muzułmanin ma przewagę nad drugim pod względem czystości serca. Hadżdż to nie jest lekcja dominacji nad słabszymi tylko dlatego, że ma się pewną przewagę ekonomiczną. Zresztą, w przeciwieństwie do każdej z obsługujących nas

służących, niewiele pozostałych kobiet w tym namiocie dysponowało pieniędzmi zdobytymi dzięki własnym zasługom. Co gorsza, kobiety z mojego namiotu miały poczucie przewagi rasowej nad służącymi, a pewnie także nade mną.

Właściwie nie powinnam być zaskoczona. Podczas pobytu w Królestwie zdążyłam już dostrzec przejawy rasizmu. Wiedziałam, że Randa pewnie ma rację. Kolor skóry, coś, nad czym nigdy wcześniej się nie zastanawiałam, mieszkając w Stanach Zjednoczonych czy Anglii, już wcześniej w Rijadzie wprowadził mnie w zakłopotanie. Kiedy pracowałam wśród wahhabitów, po raz pierwszy zauważyłam, że niektórzy Saudyjczycy dyskryminują innych - w pierwszej kolejności osoby we własnym gronie, ale także ekspatriantów. Dyskryminacją właściwie jest już to, w jaki sposób Saudyjczycy postrzegają samych siebie. W Arabii Saudyjskiej wszystko kręci się wokół płci, rasy, plemina, lenna. Opierając się na własnych obserwacjach, ukułam sobie teorię wyjaśniającą wahhabicko-saudyjski ekosystem, który istniał w Rijadzie. Być może tak samo było i tutaj, w namiocie wypełnionym saudyjskimi ortodoksyjnymi wahhabitkami z Rijadu.

Najwyższą pozycję w rasowym łańcuchu pokarmowym Królestwa zajmowali „czyści” Saudyjczycy, którzy pochodzili z Nadżd, centralnego regionu, prowincji, której pierwszym miastem (i co za tym idzie - stolicą państwa) był Rijad. Nadżd był także historycznym, geograficznym i politycznym węzłem obecnego zaplecza politycznego: zaciekle ortodoksyjnego wahhabickiego duchowieństwa. Używam słowa „czyści”, tak jak czynią to „czyści” Saudyjczycy. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś określał się mianem czystego Anglika, czystego Francuza, czystego Nigeryjczyka albo czystego Hindusa. „Czysty Amerykanin” to rzecz jasna oksymoron, coś niemożliwego, co tak bardzo ujmowało mnie w Ameryce. Sformułowanie „czysty Saudyjczyk” słyszałam jednak wielokrotnie; po raz pierwszy, kiedy natknęłam się na zachwycającą Saudyjkę podczas rekonesansu w salonie piękności i „potajemnej” luksusowej siłowni pod nazwą Al-Multaka w Rijadzie.

Stałam w kolejce i obserwowałam wyjątkowo piękną kobietę obsługiwaną przy kontuarze. Jej kremowa skóra, wielkie oczy, królewska postura i szczupła umięśniona sylwetka tworzyły zapierającą dech w piersiach kombinację; niesamowity widok nawet dla innej kobiety. Przypuszczałam, że jest palestyńskiego pochodzenia. Mieszkając w Rijadzie, zdążyłam już zauważyć, że Palestyńczycy mają piękną fizjonomię. Nie mogłam się doczekać, żeby jej to powiedzieć i z tryumfem potwierdzić jej pochodzenie, co świadczyłoby o tym, że

robię postępy i coraz lepiej poznaję ten niezwykły świat.

Kobieta podpisała rachunek, elegancko przechylając szczupły nadgarstek uginający się pod ciężarem zegarka Chopard „Happy Diamonds”, obowiązkowego u wytwornej saudyjskiej damy. Włożyła błyszczący czerwony telefon komórkowy, lśniący jak lakier na jej paznokciach, do ogromnej torebki Fendi i zaczęła zapinać elegancką, szytą na miarę abaję. Na nos włożyła okulary Dolce & Gabbana. Idealnie wymanikiurowanymi palcami szybko zapięła wysadzany kamieniami pasek na kosztownej abai. Dopelnieniem zestawu były eleganckie buty na wysokich obcasach, prawdopodobnie Balenciagi. Byłam oczarowana tą piękną istotą. Nigdy nie widziałam nikogo bardziej szykownego. Pamiętam, że mi się wyrwało tak po prostu:

- Czy jest pani Palestynką? Jest pani taka piękna.

Uśmiechnęła się powściągliwie, powoli uchylając usta, które ukazały nieskazitelne zęby doprowadzone do doskonałości dzięki kosztownej ortodoncji z zachodniego Londynu. Miała olśniewający uśmiech. Najwyraźniej komplementy na temat jej urody były na porządku dziennym, nawet tutaj, w Królestwie pełnym zasłon. Odpowiedziała chłodno:

- Nie, jestem czystą Saudyjką. Nie jestem Palestynką.

Minęła mnie szybko i wyszła, a ja stałam zdumiona.

Patrzyłam przez chwilę za bogatą kobietą otoczoną obłokiem perfum, ale nie zastanawiałam się wówczas nad tym zbyt długo. Tak niewiele się to różniło od tego, co można było zaobserwować w wielu zachodnich społeczeństwach, pomyślałam, przypominając sobie lodowate anorektyczne zwłoki biegające wte i wewte z pieskami po Madison Avenue. A więc w Arabii Saudyjskiej istniała podobna kultura lodowatego zamknięcia, przekonania o swej wyższości opartego na sytuacji ekonomicznej i plemiennym pochodzeniu. Czystość, o której wspomniała ta tajemnicza kobieta, była w rzeczywistości przejawem przynależności do saudyjskiej arystokracji.

Dopiero później zdałam sobie sprawę, że wtedy po raz pierwszy zetknęłam się z saudyjskim postrzeganiem czystości. Czystość (i jednocześnie oziębłość, która zazwyczaj

jej towarzyszyła) w ciągu kilku miesięcy stała się często powracającym motywem w czasie mojego pobytu w Królestwie: albo ktoś był czysty, albo nie był. Dowiedziałam się nawet, że jest to problem saudyjskich mężczyzn, którzy wiecznie byli postrzegani jako przedstawiciele rasy mieszanej, wiecznie skazani na bycie imigrantami z powodu swoich babek z innych zakątków świata arabskiego. Trzy pokolenia urodzone w tym kraju nadal oznaczały „bycie za burtą”. To ograniczało możliwości pięcia się w górę. Ci mężczyźni, choć byli z urodzenia obywatelami saudyjskimi, mieli „nieczystą” krew, byli mieszanego pochodzenia, co zamykało im dostęp do najwyższych, wpływowych pozycji. „Och, tak, ale on jest irackim Saudyjczykiem” - słycać było częste narzekania.

Odkryłam, że moje spostrzeżenia nie są odosobnione. Ziauddin Sardar dokonał podobnych obserwacji w kwestii hierarchii rasowej w saudyjskiej kulturze filantropijnej. Przedstawił je, pisząc o „saudyjskiej kanapce” w 2006 roku^[59]. Zauważył głęboko zakorzenione preferencje także oparte na pochodzeniu. Zdałam sobie sprawę, że algorytm rasizmu, z którym zetknęłam się w Rijadzie, zakłóca nawet hadźdz.

Tutaj, na hadźdzu, doświadczałam smaku tej samej trucizny. Chociaż kobiety z mojego namiotu nie były ani w części tak bogate czy wytworne jak tamta urzekająca kobieta w Al-Multace, wpisywały się w ten sam klimat. Z góry uznały (na podstawie koloru skóry i tożsamości etnicznej), że z pewnością muszę być służącą lub, w najlepszym razie, nianią w jakiejś biedniejszej rodzinie saudyjskiej, której nie stać na o wiele lepszą filipińską pomoc, tylko na pakistańską albo jeszcze gorszą - banglijską. Przypomniałam sobie pewną Saudyjkę w namiocie, która zapytała mnie, czy pochodzę z Bangladeszu.

Wciąż nie byłam w stanie połączyć tej rasowej czystości z życzliwością bezzębnych, pokrytych zmarszczkami Beduinek, które okazywały mi w szpitalu tyle sympatii. Pomyślałam o moich beduińskich pacjentach, którymi zajmowałam się w Rijadzie, i o tym, czego nauczyli mnie o akceptacji. Z całą pewnością te Beduinki były najczystszyimi Saudyjkami ze wszystkich. Były Córkami Arabii, wywodzącymi się od plemiennych przodków, którzy przemierzali ją, dopóki rozlew naftowego bogactwa nie zdławił ich kultury, zmywając tych ludzi niczym półżywe mewy do nowych miejskich metropolii współczesnej Arabii Saudyjskiej. Uznałam, że tę jaskrawą różnicę czyniło bogactwo. Jedyne, co mi pozostało, to powrócić myślami do tych „prawdziwych” Saudyjek, które spotkałam w Rijadzie, tak innych od kobiet dzielących ze mną namiot.

^[56] *Chala* - ciocia; tu: zwrot grzecznościowy w stosunku do starszej obcej kobiety (przyp. tłum.).

^[57] *Koran*, sura V („Stół zastawiony”), w. 32, dz. cyt., s. 133 (przyp. tłum.).

^[58] L.L. Wynn, *Pyramids & Nightclubs: A Travel Ethnography of Arab and Western Imaginations of Egypt, from King Tut and a colony of Atlantis to Rumors of Sex Orgies, Urban Legends about a Marauding Prince and Blond Belly Dancers*, University of Texas Press, Austin 2007.

^[59] Sardar Ziauddin, *Islam: Enter a new, improved Saudi philanthropist*, „New Statesman”, 24 lipca 2006.

ROZDZIAŁ 17

Córki pustyni

To właśnie wyjątkowe ciepło, z jakim spotkałam się ze strony beduińskich kobiet, sprawiało, że tak mnie do nich ciągnęło. Już w pierwszych kilku tygodniach pobytu w Królestwie szukałam okazji, żeby się nimi zajmować.

Arabia Saudyjska jest najbardziej zurbanizowanym państwem w całym świecie arabskim; zaledwie 7 procent populacji Królestwa stanowią koczownicy. Jednak do Szpitala Króla Fahda przyjmowaliśmy wielu Beduinów. Chciałam poznać więcej takich osób jak moja pierwsza pacjentka, pani Al-Utajbi. Krewni chorych także mnie fascynowali. Nieliczni byli Beduinami z prawdziwego zdarzenia - nomadami; zazwyczaj należeli do pokolenia, które niedawno osiedliło się w Rijadzie. Kiedy starsi bliscy zaczęli chorować, synowie i wnukowie przyprowadzali ich na leczenie. Często przy chorych czuwały całe rodziny. Zdarzało się, że krewni rozbijali namioty przed kompleksem medycznym i tam oczekiwali na powrót najbliższych do zdrowia. Darzyli szacunkiem i sympatią wszystkich, którzy opiekowali się ich krewnym.

Szybko stwierdziłam, że beduińskie rodziny zawsze były wdzięczne i uległe. Żaden członek rodziny pacjenta, a co więcej, żaden saudyjski pacjent ani pacjentka nigdy się nie sprzeciwili temu, żebym ja - kobieta - przeprowadziła badanie. Nie przejawiali nawet tych fundamentalnych dyskryminujących zachowań, które zdawały się nierozzerwalnie związane z życiem w Królestwie. Beduińskie rodziny z otwartymi ramionami przyjmowały lekarki. Nawet członkowie najbardziej ortodoksyjnych, szlachetnych starych rodów nie mieli żadnego „ale”, kiedy zajmowałam się ich synami, ojcami, mężami, braćmi czy dziadkami. W ciągu dwóch lat ani jedna beduińska rodzina nie poprosiła o to, by zastąpił mnie lekarz mężczyzna. Żaden z Beduinów nie sprzeciwił się także temu, że chodzę bez zasłony.

W przeciwieństwie do zamożnych kobiet, z którymi odbywałam hadżdż, akceptowali mnie. Zawsze byłam zdziwiona i uradowana, kiedy liczne rodziny pacjentów otwarcie aprobowały to, że jestem kobietą. Swoje odczucia manifestowali szerokimi uśmiechami,

głębokimi, pełnymi wzruszenia spojrzeniami obwiedzionych kulem^[60] oczu lub po prostu niezręcznym muśnięciem aromatycznym attarem (arabskim olejkim eterycznym). Zacerwieniłam się, kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, zdumiona, że saudyjski Beduin miał śmiałość sięgnąć po moją dłoń, dłoń niemężatki, w miejscu publicznym. Starszy syn pacjenta chwycił mnie za rękę szorstkimi, spalonymi słońcem palcami i roztarł na jej wierzchu *attar*. Serdeczność Beduinów nie budziła żadnych wątpliwości i przenosiła mnie do Arabii, która tak zauroczyła Lawrence'a.

Rodziny czuwały albo przy łóżku krewnego na OIOM-ie, albo - w czasie gdy był poddawany jakimś zabiegom - na korytarzu, w miejscu, gdzie odwiedzający chorych na oddziale odmawiali modlitwy. Wszystkie kobiety (jeśli otrzymały od swoich męskich krewnych pozwolenie na odwiedziny) zbierały się zazwyczaj w jednym rogu pokoju i niestrudzenie całymi godzinami siedziały w kucki, tworząc wzdłuż ściany rząd czarnych zawiniątek. Z powodu opieki, jaką otaczane są kobiety, większość rodzin nie zgadza się, aby ich członkinie odwiedzały ciężko chorych krewnych, nawet jeśli jest to syn lub mąż. Nie chcą obciążać kobiet (nie powinny widzieć stopnia zaawansowania choroby), wolą, by przychodziły z wizytą wówczas, gdy stan chorego się ustabilizuje. Oczywiście oznacza to czasem, że kobiety odwiedzają krewnego dopiero wówczas, gdy jest już w agonii. Zdarza się, że mdleją wtedy przy jego łóżku. Jest to jednak wyraźny gest kulturowy, który ma na celu ochronę słabszych, delikatniejszych kobiet. Zawsze postrzegałam to jako przejaw miłości mężczyzn do kobiet ze swoich rodzin, a nie jako opresję.

Mężczyźni odwiedzający chorych nigdy nie mogą usiedzieć na miejscu i przemierzają OIOM, witając pozostałych członków rodziny. Kiedyś, ogarnięta współczuciem dla pewnej rodziny kobiet, których patriarcha był śmiertelnie chory, zaczęłam przynosić krzesła z gabinetu pielęgniarek, żeby przynajmniej kilka z nich usiadło. Zdziwiony saudyjski kolega zapytał mnie, co robię, więc mu wyjaśniłam.

- Proszę, nie martw się o nich, Qanta. To Beduini. Oni wolą siedzieć na podłodze, uwierz mi.

Wątpiłam dopóty, dopóki nie zobaczyłam, jak te kobiece tobołki wspinają się na krzesła, które ku ich zaskoczeniu stały na niepewnych kółkach. Przyglądałam się ich staraniom z rosnącym niepokojem. Na tych obracających się meblach czuły się wyraźnie

nieswojo i w końcu rzeczywiście okazało się, że wolą siedzieć na podłodze. Tak bardzo chciałam móc z nimi szczerze porozmawiać, żeby lepiej je rozumieć.

Gdy powróciły z krzeseł na podłogę, wodziły za mną podkreślonymi kulem oczami, a gdy stawałam, w milczeniu zawieszały na mnie wzrok. Ciekawa byłam, co o mnie myślą, tak mnie taksując. Co mówią im: mój biały fartuch, zachodnie ubrania, krótkie niezakryte włosy, jaskrawoczerwona szminka i moje muzułmańskie nazwisko, które widniało na identyfikatorze wiszącym na szyi? Wtedy uświadomiłam sobie, że nie znają angielskiego, więc prawdopodobnie w ogóle nie wiedzą, że noszę muzułmańskie nazwisko.

W końcu zaczęły się do mnie odzywać. To Beduinki przejmowały inicjatywę. Te kobiety były nawet bardziej zaciekawione niż ja!

Zazwyczaj rozmowy przebiegały mniej więcej w ten sam sposób. Zawstydzone kobiety zaczynały zawsze od pytania o to, skąd pochodzę, najczęściej robiąc dyskretne podchody, gdy kończyłam coś zapisywać albo odkładałam na bok zdjęcia rentgenowskie. Zadawały te nieśmiałe pytania, gdy byłam jeszcze zajęta, co pozwalało nam unikać kontaktu wzrokowego, którego wielu Beduinów, także kobiet, sobie nie życzyło. Brana z zaskoczenia wyjaśniałam, że jestem z Ameryki; w końcu to stamtąd się przeprowadziłam. (Dokładne wyjaśnianie mojego pochodzenia - urodzona w Wielkiej Brytanii muzułmanka pakistańskiego pochodzenia, której rodzice zostali tam przesiedleni po podziale Indii i która sama, będąc dorosłą osobą, wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, okazywało się zbyt zawile).

- Z Ameryki - odpowiadałam więc, i czekałam na ich reakcję.

- *Amrika!* - wykrzykiwały, nie wiedzieć czemu zachwycone.

Powtarzały „*Amrika!*”, jakby potwierdzając, że udało im się zrozumieć. Przez jakiś czas szemrały między sobą.

- *Amrika?* - upewniały się

- *Na'am, Amrika.* (Tak, Ameryka) - przytakiwałam.

- *Umma wa-buj?* (A mama i tata?) - Ośmielone, nieuchronnie zadawały kolejne pytania. Zadawały je, ponieważ plemienna genealogia jest ogromnie ważna dla kobiety, szczególnie dla kobiety pozbawionej opieki w obcym kraju. Chciały wiedzieć wszystko o moim pochodzeniu.

- Pakistan - mówiłam.

- *Bakistan* - powtarzały, szeroko się uśmiechając. Nie były w stanie wymówić głoski „p” (w języku arabskim nie ma litery „p”).

Podekscytowane zbierały się na odwagę i pytały w końcu, czy jestem muzułmanką. To oczywiście był cel całego przesłuchania. Potwierdzałam więc, a ich zakryte zasłonami twarze natychmiast się rozpromieniały.

- *Ma sza Allah!* (Chwała Panu!) - wykrzykiwały i pozwalały mi wrócić do pracy, wyraźnie uszczęśliwione. - *Ma sza Allah, ma sza Allah, ma sza Allah!* - rozbrzmiewało wśród zawiniątek. - *Muslima, muslima* (muzułmanka) - mówiły jedna do drugiej, zachwycone, że wyznają tę samą wiarę.

Ich ciekawość została zaspokojona. Nie zadawały mi już więcej pytań, usatysfakcjonowane, zadowolone; może nawet czuły ulgę. Ich ciemne oczy podążały za mną z nowym zainteresowaniem i dumą, ponieważ wiedziały, że ta lekarka, która zajmuje się członkiem ich rodziny, także jest muzułmanką. Uznawały, że ich niedomagający krewny znajduje się w dobrych rękach. Fakt, że jestem muzułmanką, sprawiał, że nawiązywały ze mną pewną więź. Wyglądało na to, że przechodziły do porządku dziennego nad tym, że jestem cudzoziemką, z dużo większą łatwością, niż się spodziewałam. Zapamiętałam serdeczność tych Beduinek.

Z tego rodzaju wyrazami aprobaty spotykałam się bardzo często. Wiele kobiet, które mnie podziwiała, prawdopodobnie nie umiało czytać i pisać, a mimo to patrzyło na mnie z nieopisaną dumą. Starsze wydawały się najbardziej oczarowane odkryciem, że jestem muzułmanką. Zawsze bardzo mnie poruszało, choć jednocześnie dziwiło, skąd w tych Beduinkach tyle sympatii dla Ameryki. Jak to możliwe, skoro niewiele z nich mogło tam być, a z całą pewnością żadna nie znała ani jednego Amerykanina osobiście? Co wprawiało je

w taki podziw dla mojego pochodzenia z Amriki, którą szanowały niemal na równi z muzułmańskim rodowodem lekarki?

^[60] *Kuhl* - proszek antymonowy, kosmetyk tradycyjnie używany przez bliskowschodnie kobiety do malowania oczu (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 18

Następna stacja: rozgrzeszenie

Kiedy się obudziłam, życie w namiocie toczyło się w najlepsze. Dzisiaj, po intensywnym dniu spędzonym na równinie Arafat na modlitwach i błagalnych prośbach, mieliśmy przenocować pod gołym niebem na równinie Al-Muzdalifa. To kulminacyjny punkt hadżdżu: Arafat - Dzień Stania. Stojąc, wszyscy pielgrzymi będą oddawać cześć Bogu.

Wkrótce namiot opustoszał, powyłączano klimatyzatory, opróżniono i odłączono lodówkę. Jedna za drugą wyszliśmy do autobusu, lawirując pomiędzy 50 tysiącami namiotów. Miasteczko wyglądało już na wyludnione, tysiące pielgrzymów zdążyło wyruszyć pieszo w stronę Arafatu, gdzie dzisiaj 2,5 miliona ludzi stanie przed Bogiem.

Od 50 do 100 tysięcy pojazdów utknęło w ogromnym korku. Pielgrzymi, którzy ruszyli pieszo, posuwali się znacznie szybciej. Niektórzy szli energicznie, przemierzając zakorkowane ulice w marszowym tempie.

Nawet osoby z niepełnosprawnością szły szybciej, kuśtykając - taka była determinacja, by kontynuować praktyki religijne. Młodzi pchali wózki po wyboistym asfalcie, a siedzący na nich pielgrzymi, osłabieni dotychczasowym wysiłkiem, modlili się na głos. Widziałam, jak ich usta poruszały się do tej samej labbajki, którą i ja recytowałam: „Oto jestem, Boże, przed Tobą, oto jestem!”. To muzułmańska odpowiedź na zaproszenie do odbycia pielgrzymki.

Żyłaste ręce kurczowo trzymały Korany tak ciężkie, że mogły złamać nadgarstki przeżarte osteoporozą. Mimo że szyba wyciszała ten wspólny labbajkowy hymn, wiedziałam, że śpiewamy unisono. Jakiś samotny Afrykańczyk bez nogi szedł zwawo, utykając i podpierając się na kulach domowej roboty, związanych liną i spiętych elastyczną gumą. Świetnie dawał sobie radę z powłóczęstą szatą na hadżdż i wyprzedzał wielu sprawnych pielgrzymów, którzy z trudem podążali za nim. Dynamika hadżdżu była zdumiewająca. Nikt nie stał spokojnie. Wyglądało to tak, jakby cały glob znajdował się w ruchu.

Przyglądałam się tysiącom stóp, które przemykały obok naszego autobusu. Wiele było w trampkach, często nike! Nie mogłam sobie wyobrazić lepszej reklamy dla tej firmy niż *Just do hadżdż!*^[61]. Amerykańskie trampki tworzyły wyjątkowy kontrast w świecie islamu, przypominając o tym, że choć rytuał hadżdżu ma 1400 lat, współcześnie dysponujemy pewnymi udogodnieniami, by był łatwiejszy. Wielu filipińskich pielgrzymów wybrało tenisówki, wypatrzyłam też sporo birkenstocksów. Większość piechurów musiała się zadowolić gumowymi klapkami. Nastoletnie dziewczyny z mojego namiotu wykazywały upodobanie do kosztownie kiczowatych gumowych trampek na platformach, które tej zimy podbiły serca rijadzkich faszjonistek. Może dlatego, że olbrzymie obcasy ułatwiały poruszanie się w abai i jednocześnie były jedynym przejawem indywidualizmu, na jaki młode dziewczyny w Rijadzie, szczerze pozakrywane, mogły sobie w tym czasie pozwolić w miejscach publicznych. Zabrały więc ze sobą tę nową modę na hadżdż.

W końcu, tuż przed południem, dotarliśmy do Arafatu. Upał był już niewiarygodny, powietrze gorące i wilgotne bez śladu bryzy, która przyniosłaby ulgę. Znajdowaliśmy się na ogromnej równinie, nie było nawet skrawka cienia, a słońce stało w zenicie. Znowu przydzielono nam namiot, w którym miałyśmy odpoczywać i się modlić.

Stara gwardia zatrzymała się przy podtrzymujących namiot masztach; zmęczone kobiety oparły się o nie. To były niepiśmienne Saudyjki starszego pokolenia. Recytowały modlitwy; niczego nie czytały. Edukacja była w Królestwie czymś nowym dla kobiet, które nie cieszyły się wysoką pozycją społeczną. Pozostałe, które nie były analfabatkami, intensywnie studiowały książki.

W pełni zakryta wyjrzałam z namiotu, ale zobaczyłam jedynie morze włókna szklanego. Albo wszyscy poszli stać na równinie Arafat w południowym słońcu, albo właśnie wspinali się na Górę Miłosierdzia, gdzie prorok Muhammad (PzN) wygłosił swoje ostatnie kazanie. Większość pielgrzymujących mężczyzn będzie stać przez cały dzień aż do zachodu słońca; niewiarygodnie uciążliwe zadanie. Większość kobiet natomiast, tak jak my, zatopi się w żarliwych modlitwach i prośbach, schowana w cieniu, jaki dają namioty.

Usiadłam obok rudowłosej kobiety, która ponownie sprawdzała sobie ciśnienie krwi. Nawet tu, do Arafatu, przywiozła ze sobą ciśnieniomierz. Spojrzałam na wynik pomiaru -

190/100. Nie wyglądała na zaniepokojoną.

- *Salam* - zaczęłam, zastanawiając się, czy mówi po angielsku.

- *Wa-alejkum as-salam*, Qanta.

Znała moje imię. Teraz już nie byłam tym zaskoczona. Przeszła na poprawną angielszczyznę wyszlifowaną dzięki kolonialnemu wychowaniu w Kairze.

- Jestem zmęczona i mam wysokie ciśnienie. To z powodu napięcia, zawsze tak mam podczas hadżdżu - powiedziała z uśmiechem.

Próbowałam zgadnąć, ile ma lat. Jakieś 50, 65, szacowałam, oceniając po siwiejących włosach na skroniach i kurzych łapkach po obu stronach głęboko osadzonych niebieskich oczu, które intensywnie błyszczały w morzu piegów.

- Mam na imię Jahija. Większość mówi do mnie profesor Jahija, ale możesz się do mnie zwracać po imieniu. - Wsunęła do ust jakąś tabletkę i popiła wodą z plastikowej butelki, którą ścisnęła w dłoni. Po kilku minutach zaczęła ponownie mierzyć ciśnienie.

- Gdzie pani uczy, profesor Jahija? I w czym się pani specjalizuje? - zapytałam, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej. Może tak jak ja była lekarzem medycyny.

- Uczę w Rijadzie. Wykładam literaturę arabską saudyjskim studentom na tutejszym Uniwersytecie Króla Abd al-Aziza. Ale co pół roku wracam do domu, do Kairu, gdzie wciąż prowadzę swoje ulubione zajęcia z dziewiętnastowiecznej literatury angielskiej. Wykładam na uniwersytecie w Kairze.

Byłam zdumiona.

- Literatura angielska to był mój ulubiony przedmiot w szkole, profesor Jahija - wyrzuciłam z siebie. - Chciałam dalej studiować, może nawet na uniwersytecie - paplałam, nie mogąc przestać. - Czego pani uczy, to znaczy jakich autorów omawia pani podczas zajęć?

- Między innymi Henry'ego Jamesa. Dogłębnie studiowałam jego dzieła, jednej z jego prac poświęciłam *doktorat*. - Czekala na moją reakcję.

Nic o nim nie wiedziałam.

- Nigdy nie czytałam Henry'ego Jamesa. Proszę powiedzieć mi coś więcej.

I wówczas, w otoczeniu ortodoksyjnych saudyjskich wahhabitek z naszego namiotu, na równinie położonej około 13 kilometrów od Myny, profesor Jahija zaznajomiła mnie z ciekawszymi faktami dotyczącymi Henry'ego Jamesa. Musiałyśmy rozmawiać przynajmniej przez godzinę, a może i dłużej; jej bujna wyobraźnia i perfekcyjna angielszczyzna poprowadziły mnie w fascynującą podróż. Nie mogłam uwierzyć, że pośród tego pielgrzymkowego zamieszania miałam szczęście spotkać tak wspaniałą kobietę. Gdy rozmawiałyśmy, wszystko wokół przestało istnieć. Byłam oczarowana. Nie miałam pewności, czy rozmowa o tym, jaki wkład wniósł James do zbiorowej świadomości i moralności, jest podczas hadżdżu czymś właściwym, ale żywiłam przekonanie, że za sprawą wielu godzin modlitwy zasłużyłam na ułaskawienie.

Po pewnym czasie trudno było mi się skupić.

- Była pani już wcześniej na hadżdżu? - W końcu przypomniałam sobie, żeby ją o to zapytać w przerwie tego zorganizowanego na poczekaniu seminarium z literatury XIX wieku.

- Zgadza się - odpowiedziała. - *Al-hamdu li-(A)llah*, wiele razy. - Nie zdradziła jednak ile.

Postanowiłam się tego dowiedzieć.

- Ile razy odbyła pani hadżdż, profesor Jahija? Dlaczego wciąż pani tu przyjeżdża?

- Muzułmanin nie powinien rozgłaszać, ile razy był na hadżdżu, więc nie mogę odpowiedzieć. Ale, ma sza Allah, byłam wielokrotnie. Zazwyczaj przyjeżdżam tak jak teraz, w grupie, ponieważ jestem sama. Mam jednego syna, który został w Egipcie, a mój mąż nie żyje już od wielu lat, ale wciąż udaje mi się tu dotrzeć. Tak jak ty przyjeżdżam bez

mężczyzny! - Odrzuciła głowę i się zaśmiała.

Kilka ortodoksyjnych Saudyjek siedzących wokół spojrzało na nas, surowo mrużąc oczy na dźwięk bluźnierczego śmiechu, ale nie interweniowało.

- *In sha Allah*, będę tu przyjeżdżać, dopóki będę w stanie chodzić, dopóki starczy mi sił i dopóki Bóg będzie mnie zapraszał. - Masując opuchniętą kostkę, rzuciła mi czarujący uśmiech ukazujący zęby, starte i nierówne, na których odcisnęły ślad lata bruksizmu (niekontrolowanego zgrzytania zębami). - Musisz mnie odwiedzić w Rijadzie, Qanta! Zapraszam cię! Zjemy razem kolację! - Tym postanowieniem zakończyła rozmowę.

Szybko zanotowałam w pamięci, żeby wziąć od niej namiary, kiedy wrócimy do Miny. Nie miałam ze sobą w Arafacie ani długopisu, ani żadnej kartki. Nie chciałam stracić z oczu tej wspaniałej muzułmanki, więc pozostałam w jej towarzystwie i wróciłam do lektury modlitw. Ucisnęłam przedtem jej chłodną piegowatą dłoń, dając w ten sposób wyraz radości z naszego spotkania. Cóż to była za podróż!

^[61] *Just do hadżdż!* - „Po prostu zrób hadżdż!”, nawiązanie do słynnego sloganu firmy z 1988 roku: *Just do it!* - „Po prostu zrób to!” (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 19

Modlitwa pod gwiazdami

Obudziłam się pod gołym niebem, słysząc dźwięki suahili. Wokół mnie na matach z juty spały kobiety, z którymi pielgrzymowałam. Po drugiej stronie na podobnych matach drzemali mężczyźni z naszej grupy. Oddzielał nas jedynie prowizoryczny, usypany z ziemi wał.

Na równinę Al-Muzdalifa (gdzie mieliśmy spędzić noc na modlitwie i odpocząć pod rozgwieżdżonym niebem) wciąż napływali spóźnialscy, godziny po tym, jak dotarliśmy na miejsce autobusem. Wielu pielgrzymów wykończonych prawie dwudziestoczwierogodzinną pieszą wędrówką szukało teraz miejsca, by odpocząć, i rozglądało się w poszukiwaniu wody do picia. Wśród spóźnialskich byli także wysocy Afrykanie. Ich uśmiechy przebijały się śnieżną bielą przez mrok aksamitnej nocy.

Obserwowałam, jak jeden z nich pochylił się nad samowarem umieszczonym pośrodku naszej pogrążonej we śnie grupy i zrogowaciałymi palcami ostrożnie nalewał do kubków wodę z Zamzamu. Starając się nie porozlewać, przekazywał dalej cenną ciecz cierpliwym Afrykanom. Stali w rzędzie znikającym w ciemnościach nocy. Oczekujący w kolejce przypominali parecznika, kiedy tak wyciągali przed siebie muskularne prawe ręce, żeby otrzymać orzeźwiający płyn. Było tam co najmniej 300 mężczyzn. Cicho, żeby nie przeszkadzać reszcie, przesuwali się w stronę zbiornika z wodą, chcąc zaspokoić pragnienie. Leżałam spokojnie zafascynowana tą niesamowitą sceną. Mój zegarek wskazywał godzinę 1.30. Dzielilo nas zaledwie kilka godzin od wody, a w końcu, gdy wrócimy do Miny, będziemy mogli się napić schłodzonej pepsi. Miałam nadzieję, że w namiocie wystarczy wody dla wszystkich.

Zwróciłam uwagę na to, że afrykańscy pielgrzymi bardzo różnili się od Saudyjczyków, z którymi podróżowałam. Po pierwsze, nie towarzyszyły im kobiety, a saudyjscy mężowie zabrali ze sobą na hadżdż żony (prawie wszystkie kobiety z mojego namiotu były mężatkami). Ci mężczyźni z krótkim, rzadkim zarostem byli chudsi niż

mężczyźni z naszej grupy. Większość miała zapadnięte klatki piersiowe, chuderlawe z powodu wiecznego głodu, a podczas hadżdżu jeszcze tracili na wadze. Wyglądali na zdecydowanie biedniejszych, nie mieli błyszczących zegarków czy okularów w stalowych oprawkach. Prawdę mówiąc, w całej kolejce nie dostrzegłam ani jednego zegarka na rękę. Tu i ówdzie ktoś miał na stopach zakurzone sandały, ale wielu stało w zniszczonych klapkach, a niemało w ogóle było boso.

Owinęłam ciasno wokół szyi swój rozpinany sweter, żeby odgradzić się od chłodnego nocnego powietrza. Gdy z powrotem się umościłam, żeby zasnąć, uświadomiłam sobie, że ci afrykańscy pielgrzymi nie mieli nawet ze sobą takiego ubrania, którym mogliby się okryć; byli skazani tylko na cienką znoszoną odzież na hadżdż. Wielu miało na sobie po prostu wytarte prześcieradła, a nie ciężki materiał frotté sprzedawany w całym Królestwie w postaci gotowego stroju.

Magiczna woda z Zamzamu przywracała tłum do życia i zgodnie ze swoim przeznaczeniem sprawiała, że zmęczeni Afrykanie byli jak nowo narodzeni. Zaczynali się śmiać, a pełne ekscytacji dźwięki suahili mieszały się z tymi wybuchami radości. Co jakiś czas wrzawę przerywał pojedynczy mokry kaszel.

Nagle obudził się imam przewodzący naszej grupie, usiadł sztywno, a kiedy zobaczył, co się dzieje, jego broda niemal stanęła na sztorc.

Niczym Yosemite Sam^[62] przeskakujący z jednej poobcieranej nogi na drugą, zdesperowany imam zaczął gwałtownie odbierać spragnionym Afrykanom kubki z wodą i przekazywać je zaspanym mężczyznom z naszej grupy. Ci podrywali się zroszeni wodą z Zamzamu, gdy wzburzony imam przez nieuwagę porozlewał wokół cenny święty płyn.

Rząd 300 Afrykanów stał cierpliwie w kolejce, ze spokojem przyjmując, że widocznie pragnienie innych jest ważniejsze. Zobaczyłam, że kolejka jeszcze się wydłużyła i ustawiało się w niej coraz więcej osób. Prawdopodobnie te samowary były jedynym źródłem wody pitnej na przestrzeni kilku kilometrów. Imam, doprowadzony przez Afrykanów do pasji, uciekł się do bardziej drastycznych środków. Ze złością przywołał dwójkę młodszych pielgrzymów i zarządził, by dla bezpieczeństwa przenieśli samowary gdzie indziej.

Saudyjscy pielgrzymi posłusznie wykonali polecenie. Zmagając się z ciężarem, zabrali olbrzymie zbiorniki z przejścia, przeciągnęli dalej i umieścili na środku, między matami, na których spali mężczyźni. Teraz przez resztę nocy mężczyźni mogli strzec wody i nie dopuścić, by pił ją ktoś spoza naszej grupy. Biedni Afrykanie zrozumieli w końcu, co się stało, i bez protestu zaczęli się wycofywać, pogrążając się w ciemności Al-Muzdalify. Niczym spragnieni Masajowie na pustyni nie robili scen; woleli zachować siły na dalsze poszukiwania wody. Pożegnali nawet ciepło imama i zniknęli w mroku.

Byłam oburzona. Na hadżdżu byliśmy ponoć równi i Bóg obserwował każdy nasz czyn, a mimo to imam odmówił podzielenia się wodą ze spragnionymi pielgrzymami. Rozglądając się po otaczających mnie ludziach, wątpiłam w to, że kogokolwiek męczy pragnienie. Nic by się nie stało, nawet gdybyśmy aż do Miny, gdzie mieliśmy dotrzeć o poranku, nie dostali kolejnej porcji wody. Mimo to nikt z nas nie interweniował. Rozhisteryzowany imam dostał przyzwolenie na to, co zrobił, a my zawiedliśmy naszych braci w wierze, gdy podczas hadżdżu znaleźli się w potrzebie. Wstydziłam się za swoją grupę i wstydziłam się za siebie, że nie zajęłam w tej sprawie żadnego stanowiska. Randa i Szarif ze spokojem usprawiedliwiali tę sytuację.

- Qanta, oni nie mogli pić naszej wody. Były ich setki. Musimy zachować ją dla siebie. Każda grupa musi być samowystarczalna w kwestii zaopatrzenia. Sama wiesz. Nie martw się tym tak bardzo. - Randa patrzyła na mnie uważnie, jakby szukała potwierdzenia.

- A poza tym Afrykanie są znani ze złej organizacji podczas każdego hadżdżu! - dodał pielgrzym siedzący obok Szarifa, zirytowany, że przerwano mu sen.

Randa i Szarif zamilkli. Zastanawiałam się, czy ten pielgrzym zdawał sobie sprawę z tego, jak rasistowsko zabrzmiały jego słowa. Przewróciłam się na drugi bok, nieco odsuwając się od Randy, i usiłowałam zasnąć, ale zajęło mi to trochę czasu, bo ciągle męczyły mnie wyrzuty sumienia w stosunku do spragnionych Afrykanów. Gdy tak leżałam, myśląc o tym, słyszałam odgłos chrapania rozzłoszczonego imama. Najwyraźniej jemu całe wydarzenie nie spędzało snu z powiek.

Nie mogłam nie zauważyć, jak różne narodowości nawet tutaj, na hadżdżu, inaczej się zachowywały. Pełen przekrój postaw: cierpliwi, a mimo to pełni niepohamowanej radości

Afrykanie; wyniośli, krytyczni Saudyjczycy pewni swojej samozwańczej wyższości; bezpretensjonalni Pakistańczycy ze wschodniego Londynu pięknie recytujący wersety Koranu wyraźną londyńską gwarą; gadatliwi i kulturalni Egipcjanie; przyjaźni i towarzyscy Amerykanie, którzy, gdy tylko mieli okazję, wymieniali się wizytówkami w meczecie Al-Haram (tak skuteczni byli w nawiązywaniu kontaktów) i w końcu hałaśliwi, pokasłujący Banglijczycy. Spośród wszystkich narodowości jednak zdecydowanie wyróżniali się Malezyjczycy.

W swojej książce *Guests of God* („Goście Boga”) Robert Bianchi wyjaśnia, że kobiety od dawna dominowały na malezyjskich pielgrzymkach, zawsze ich liczba przekraczała 53 procent wszystkich pielgrzymów z Malezji. Były wyraźnie młodsze od innych, wiele z nich to trzydziesto-, czterdziesto i pięćdziesięciolatki, a tylko mniej niż 10 procent miało powyżej siedemdziesiątego roku życia. Większość tych kobiet to gospodynie domowe, ale wiele z nich de facto zarabiało poza domem, choć jednocześnie określały się mianem gospodyń domowych. Stanowiły antytezę większości muzułmanek na świecie, które nigdy nie będą miały możliwości odbyć hadżdżu ze względu na trudne warunki ekonomiczne lub męską opresję, a najczęściej z obu tych powodów.

Zwróciłam uwagę na Malezyjki już pierwszej nocy hadżdżu, gdy zobaczyłam, jak gwałtownie ruszały do przodu, niczym rakiety, trzymając się blisko siebie, krążąc w tłumie wokół Al-Kaby i z największą sprawnością wykonując obroty wokół Domu Boga. Całe grupy Malezyjczyków zdawały się składać wyłącznie z kobiet, wyjąwszy pojedynczych imamów, którzy stali na ich czele, trzymając Koran i megafon. Wszystkie kobiety były takiej samej budowy ciała, dobrze umięśnione, i żadna nie miała więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. Razem formowały masywny, zwarty organizm, który wykonywał poszczególne rytuały niezależnie od reszty, w nieskrępowany niemal sposób, pomimo ogromnego tłumu. Każdy etap przemierzały niczym Hadżdż Express, ramię w ramię, z determinacją, w skupieniu, z głowami nieznacznie pochylonymi do przodu, jakby poszukiwały właściwej aerodynamicznej przeciwwagi dla fikcyjnego wiatru.

Te malezyjskie „rakiety” odprawiające praktyki religijne były ubrane identycznie co do najdrobniejszego szczegółu. Gdy maszerowały przede mną, zauważyłam, że z tyłu wszystkie miały takie same malezyjskie flagi, starannie poprzyszywane do zasłon na głowach. Te kobiety tworzyły olbrzymią ruchomą strukturę wywołującą zazdrość i podziw w każdym

pielgrzymie, z którym rozmawiałam. Kiedy się modliły, natychmiast ustawiały się w idealnym, precyzyjnym układzie geometrycznym, podczas gdy wszyscy inni jeszcze się grzebali, usiłując położyć kres panującemu chaosowi. Po modlitwie ponownie się ustawiały, odtwarzając swoją pielgrzymią siłę, i kontynuowały marsz w zawrotnym tempie, któremu nie można było dotrzymać kroku. Natomiast gdy kończyły swoje rytuały, siadały w równych rzędach niczym przygotowane do gry kręgle. Były identyczne w każdym geście.

Nie musiałam nawet otwierać oczu, żeby wiedzieć, że spluwanie i pokasływanie nie dobiegało od malezyjskich pielgrzymów. Po prostu oni nie zachowywali się tak swobodnie podczas hadźdzu. Mieli misję i wypełniali ją z wojskową dokładnością, rok w rok, wywołując jak najmniej zamieszania. Całą energię przeznaczali wyłącznie na praktyki religijne. Nawet spluwanie, żarty czy kaszel wydawały się Malezyjczykom zbyteczne podczas pielgrzymki; tak byli zdyscyplinowani.

O ile wielu muzułmanów traktuje hadźdz jako pożegnalny i ostatni muzułmański obowiązek, którego należy dopełnić pod koniec życia, o tyle malezyjskie kobiety zdążyły już odkryć to, co właśnie stawało się prawdą i dla mnie: hadźdz, choć jest pięknym zwieńczeniem życia i bramą do kolejnego, może być także progiem nowego życia na tym świecie. Cieszyłam się, że doświadczam hadźdzu, mając niespełna 31 lat. Nie mogłam sobie wyobrazić, że musiałabym czekać jeszcze 40, by dostąpić tego przywileju.

^[62] Yosemite Sam - postać z kreskówki; kowboj w charakterystycznym kapeluszu, z długimi wąsami, którego wrogami są Królik Bugs i Kaczor Daffy (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 20

Między szatanem a Morzem Czerwonym

Nadszedł poranek i wróciliśmy do Miny. Zaczęliśmy się przygotowywać do ostatnich rytuałów związanych z hadżdżem. Właśnie zaserwowano nam drobny poczęstunek. Hanifa, najbardziej nieśmiała ze wszystkich pomocnic, stała z boku, skrępowana, że znalazła się w centrum zainteresowania.

- Wie pani, *doktora* - zaczęła podekscytowana Raszida. - Hanifa to *hafiza!* *Hafiza al-Kuran!*

Byłam zdumiona. *Hafiz* lub *hafiza* to tytuł nadawany osobom, które doskonale opanowały Koran; nauczyły się całej księgi na pamięć. W taki zresztą sposób tekst przekazywano z pokolenia na pokolenie od zarania islamu. Nauka na pamięć była jedynym sposobem, by objawione słowo Boże zachowało się w niezmienionej formie, zanim skrybowie zaczęli wszystko dokładnie spisywać. Dzięki temu przetrwało po dziś dzień - ponad 1400 lat.

- Ile masz lat, Hanifa? - zapytałam, zgadując, że nie może mieć więcej niż 20.

Raszida tłumaczyła, kiedy ze sobą rozmawialiśmy.

- Mam piętnaście lat, *doktora* Qanta, w przyszłym miesiącu skończę szesnaście, *in sha Allah* - odpowiedziała.

- Powiedz w takim razie, w jaki sposób udało ci się zostać hafizą w tak młodym wieku? - Byłam zdumiona. Jedynym hafizem, jakiego znałam, był mój dziewięćdziesięcioletni dziadek, chociaż nie wiem, ile miał lat, kiedy opanował świętą księgę.

- Uczyłam się tutaj, w Mekce, w madrasie (muzułmańskiej szkole). Mój ojciec jest tam imamem; to on nauczył mnie czytać. Nauka przychodziła mi z łatwością, *al-hamdu*

li-(A)llah, i dzięki łasce Bożej zostałam hafizą w ubiegłym roku! - Nie potrafiła ukryć radości z powodu swojego dość zdumiewającego osiągnięcia.

- Udowodnij mi to, Hanifa. - Dość niegrzecznie rzuciłam jej wyzwanie, nie wierząc w to, co słyszę.

Zamiast Hanify odezwała się Raszida:

- Proszę, *doktora*, proszę wziąć Koran i przeczytać dowolny fragment. Hanifa wyrecytuje ciąg dalszy, nie zaglądając do tekstu. Ciągle to robimy, żeby sprawdzić, czy popełni błąd, ale nie popełnia! Jest niesamowita!

Z niedowierzaniem otworzyłam Koran na przypadkowej stronie i wybrałam werszet, który przynajmniej mnie nie był znany (takich akurat jest sporo). Zaczęłam czytać z nadzieją, że mój arabski nie zdradza braku wykształcenia w tej dziedzinie.

- *Ma sza Allah*, dobrze czytasz po arabsku. - Raszida wspaniałomyślnie dodała mi otuchy.

Wiedziałam już, że moje czytanie brzmi okropnie, ale słowa same w sobie były piękne. W pół zdania bez ostrzeżenia zamilkłam i spojrzałam znad tekstu na dziewczynę.

Hanifa słuchała z uwagą, równocześnie ze mną wymawiając po cichu słowa, które ja czytałam. Kiedy przerwałam, ona przejęła pałeczkę i zaczęła głośno recytować. Wodziłam palcami po tekście Koranu. Hanifa miała teraz zamknięte oczy, żeby się skoncentrować, ale nawet gdyby były otwarte, nie mogła widzieć najmniejszego fragmentu tekstu, który czytałam. Wiedziałam, że recytuje z pamięci. Strona po stronie płynął tekst Koranu w najdrobniejszych szczegółach - każde słowo, akcent, pauza, emfaza, przestankowanie. Pozwoliłam, by kontynuowała przez następne piętnaście minut. Nie mogłam uwierzyć.

- *Ma sza Allah, ma sza Allah*, Hanifa, przestań już, proszę. Naprawdę jesteś hafizą. Nie powinnam była cię sprawdzać. - Zaczęłam ją przepraszać. - To fantastyczne - ciągnęłam. - Jesteś taka wykształcona, taka mądra. Co zamierzasz zrobić z tą wiedzą?

- Być lepszą muzułmanką, *doktora* Qanta - odpowiedziała bez wahania.

- I wyjść za mąż za bardzo dobrego mężczyznę, *doktora*! - zagrzmiała Raszida ze śmiechem.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

- W dobrym tonie jest poślubić kobietę, która zna na pamięć Koran. To pomoże Hanifie w starciu z konkurentkami - wyjaśniła.

Hanifa, przyciskająca podbródek do klatki piersiowej i kryjąca oczy, wyglądała na coraz bardziej zakłopotaną.

- *Doktora*, wie pani, że my wszystkie jesteśmy bardzo biednymi kobietami. Nie możemy być tak niezależne jak pani, zarabiać pieniędzy, same decydować o swoim losie. Naprawdę podziwiamy panią, *doktora*, ale to nie jest nasze przeznaczenie; Allah tego dla nas nie wybrał - tłumaczyła Raszida bez cienia uzalania się nad sobą.

Hanifa i ja byłyśmy z zupełnie innych światów; ona w Arabii Saudyjskiej nie zasługiwała na to, co ja uznawałam za prawo przysługujące z urodzenia - na wolność w zdobywaniu wykształcenia. Zaskakująco wiele dowiadywałam się na temat Królestwa dzięki pobytowi na hadżdżu. Kobiety, z którymi pracowałam w Rijadzie, najwyraźniej cieszyły się wysoką pozycją społeczną i były majątne. Te kobiety w Mekce były raczej przedstawicielkami niższej klasy w Królestwie, ubogiej warstwy społecznej, którą bogactwo powstałe dzięki ropie naftowej omijało szerokim łukiem. W społeczeństwie, w którym znajomości i pochodzenie są wszystkim, nic nigdy nie byłoby w stanie zmienić ich obecnego położenia.

Po południu miałam się znaleźć całkiem dosłownie pomiędzy szatanem a Morzem Czerwonym. Dzisiaj czekał mnie najbardziej niebezpieczny z rytuałów hadżdżu. Zbliżała się pora obrzucenia kamieniami trzech kolumn Dżamarat. Muzułmanie wierzą w dobro i zło i uznają, że szatan to Iblis, upadły anioł, który był zbyt arogancki, by pochylić się przed Adamem w uznaniu przyrodzonej ludziom zdolności odróżniania dobra od zła. Swoją arogancją doprowadził do tego, że wyrzucono go z nieba i skazano na wieczną pogardę, co

tylko podsycalo jego nikczemność. Muzułmanie muszą pilnie baczyć na pokusy, na jakie może wystawiać ich szatan usiłujący zniweczyć szczerze zamiary poświęcenia życia na dobre uczynki i oddawanie czci Stwórcy. Rytuał kamienowania w Dżamrat al-Akaba (gdzie pielgrzymi symbolicznie rzucają niewielkimi kamykami w trzy kolumny symbolizujące szatana) daje możliwość odegrania żywej nienawiści do szatana, którą wszyscy muzulmanie muszą przeganiać w swoim codziennym dżihadzie mającym na celu samodoskonalenie^[63].

Zbliżałam się do kolumn olbrzymią aleją, która rozdzielała się na dwupoziomową drogę dźwigającą po milionie ludzi na każdym z poziomów. Pod stopami miałam rzekę ludzkich włosów pozostawionych przez świeżo ostrzyżonych hadźdżich, którzy dokonali tego rytuału wcześniej po południu. Przypomnę - *hadździ* to zaszczytny tytuł przyznawany człowiekowi, który ukończył hadźdż; może używać go przez resztę życia. Kobiety, które ukończą hadźdż, są nazywane hadźdzami. Wzdłuż alei przykucali fryzjerzy golący mężczyznom głowy, co symbolizowało duchowe odrodzenie każdego muzulmanina, który ukończył hadźdż.

Ścisnęłam w dłoni niewielkie kamyki, które zebrałam w Minie. Tłum był straszny, wszyscy skoncentrowani na gigantycznych kolumnach; ludzie stojący za mną napierali z niesamowitą siłą. Uniosłam ramię, żeby rzucić kamieniem. Tuż obok nagle schylił się niski afgański pielgrzym, chwycił swój but i odchylając się niebezpiecznie, cisnął nim z całej siły przed siebie. Wykonując ten manewr, uderzył mnie łokciem w czoło. Byłam nieco ogłuszona. Pełen pogardy dla szatana mężczyzna usiłował zdjąć drugi but, by też nim rzucić, przez cały czas wykrzykując z wściekłością *Allahu akbar!* Wyglądało na to, że skończyły mu się kamienie, pozbył się butów, ale nie wyzbył się jeszcze całej pogardy. Stał przez chwilę poruszony, po czym się odwrócił. Nieco przygnębiony precisnął się obok, przelotnie spojrzawszy na mnie olśniewająco zielonymi oczami.

Spróbowałam ponownie rzucić kamieniami. Tym razem niewielkiej postury Indonezyjka, wrzeszcząc na cały głos, mocno stuknęła w moje okulary przeciwsłoneczne, gdy cofała rękę po wykonaniu rzutu. Chwyciłam się za nos, z którego właśnie zaczęła kapać krew. Zastanawiałam się, czy krwawienie nie naruszyło mojego stanu *ihram*, ponieważ jednak był to wypadek, miałam nadzieję, że nie. Przytrzymując jedną ręką okulary, a w drugiej ściskając kamyki, powróciłam do rytuału. Wykonywane przeze mnie rzuty były najpewniej jedynie gestami; żaden z kamieni nie dotarł do poobijanej kamiennej kolumny, co świadczyło

o moich mizernych umiejętnościach - nigdy nie grałam dobrze w baseball. Gdy odliczałam kolejne rzuty, wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co się wokół mnie działo. Chciałam jak najszybciej wydostać się stamtąd.

Kolumna wyglądała tak, jakby była mokra od deszczu. Patrzyłam uważnie. W ostrym słońcu widać było przetaczające się buldożery, które usuwały jakieś ruiny. Nie było śladu deszczu, ale gdy spoglądałam na kolumnę, wyglądała jak pokryta kropelkami gęstej mżawki. Góra kolumny znikwała w czarnej chmurze drobnego gradu. W końcu zdałam sobie sprawę z tego, że to grad kamieni! Kamyki wciąż spadały, a kolejne 10 tysięcy pielgrzymów tłoczyło się, podobnie jak my, usiłując dokończyć rytuał. Sporadycznie wraz z potokiem kamieni spadały też czyjeś buty.

Przysunęłam się bliżej sięgającego talii muru, który okalał kolumnę i chronił pielgrzymów przed wpadnięciem do środka. Poniżej narastała ogromna góra kamyków, sięgająca niemal brzegu muru. Gdybym była tak nierozsądna, by się schylić, mogłabym wziąć stamtąd garść kamieni. Leżały wokół podstawy kolumny i rozlewały się w basenie o lejkowatym kształcie, z którego wybierały je ciężkie maszyny. Gdy przesunęliśmy się nieco, żeby podejść do kolejnych dwóch kolumn, zobaczyłam jeszcze więcej buldożerów spychających kamyki i usypujących z nich gigantyczne hałdy. Miliony kamyków (każdy nie większy od dużego ziarnka grochu) rzucane przez pielgrzymów utworzyły oszałamiającą kolekcję.

Wypełniliśmy rytuał i z tryumfem wróciliśmy do namiotu. Zaczęła mi się udzielać euforia panująca z powodu ukończenia hadżdżu. W drodze powrotnej z Raszidą i Hanifą, które towarzyszyły mi dla bezpieczeństwa, dyskutowaliśmy z Randą, która którejś obetnie kosmyk włosów. Kiedy weszłam do namiotu, Rula (najmłodsza saudyjska nastolatka z naszej grupy) ogłosiła pozostałym mój powrót.

- *Hadżdża Qanta, mabruk!*(Gratulacje!) - Była pierwszą osobą, która przyznała mi zaszczytny tytuł hadżdży.

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem, a saudyjskie matrony pokiwały głowami na znak aprobaty. Randa ruszyła w moją stronę, uniosła zasłonę z mojej głowy i ostrożnie chwyciła w palce bardzo krótkie włosy na szyi. Krawieckimi nożycami z Sheffield obcięła mi pukiel

włosów, powtarzając: *mabruk!* Teraz mogliśmy zacząć celebrować *Id al-Adha*, najważniejsze święto w muzułmańskim kalendarzu, które obchodzi się na zakończenie hadżdżu. Nadszedł czas zakupu barana!

W Minie trwał właśnie ubój ponad miliona sztuk bydła: wielbłądów, owiec i kóz, dla upamiętnienia tego, że Abraham poświęcił barana. Dokonuje się tego w gigantycznych rzeźniach wybudowanych specjalnie w tym celu. Olbrzymie ilości mięsa natychmiast się zamraża i ładuje do setek odrzutowców czekających na pasie startowym w Dżuddzie, skąd wysyła się je w różne zakątki świata, by obdzielić najuboższych muzułmanów. Raszida z pewnością będzie dziś przyrządzała koźlinę lub jagnięcinę.

Rula wręczyła mi kawałek papieru ze stosu, z którego rozdawała kartki kobietom w namiocie. Przeczytałam uważnie i zorientowałam się, że było to zaświadczenie o poświęceniu barana w moim imieniu. Poświęcenie musiało zostać dokonane z upoważnienia, ponieważ jedynie muzułmańscy mężczyźni mogą składać ofiarę ze zwierząt; kobiety są zwolnione z tego skomplikowanego zadania. Większość muzułmanów podczas hadżdżu, ze względu na jego ogromną skalę, musi zrzec się tej czynności na rzecz setek profesjonalnych saudyjskich rzeźników, którzy specjalnie przylatują z całego Królestwa na ostatnie dni pielgrzymki.

Dziesiątki lat wcześniej muzułmanie przyjeżdżali z transportami zwierząt, które później poświęcali, ale obecność zwierząt w tak gęstym tłumie stwarzała ogromne zagrożenie, dlatego zaprzestano tych praktyk. W ich miejsce dokonuje się zaaranżowanego ofiarnego uboju w czystych, wyposażonych w chłodnie rzeźniach. To właśnie w nich muzułmańscy rzeźnicy kładą na boku zwierzęta płci męskiej i z wielką precyzją jednym ruchem poświęcają je, podrażniając im gardła i wymawiając jednocześnie słowa: *Allahu akbar!* Cała krew musi natychmiast wypłynąć ze zwierzęcia, żeby mięso mogło być uznane za *halal*.

Przyjrzałam się zaświadczeniu. Było na nim moje nazwisko oraz data hadżdżu. Mięso z całego barana zostanie przekazane komuś, kto potrzebował takiej pomocy. Prawdopodobnie moje 100 dolarów pozwoli nakarmić wiele rodzin. Ostrożnie umieściłam zaświadczenie w torebce; później przez wiele miesięcy wisiało na domowej tablicy ogłoszeń, a ja byłam z niego dumna bardziej niż z jakiegokolwiek innego dokumentu.

Teraz, kiedy hadżdż dobiegł końca, mogłam wziąć prysznic, na co czekałam już od kilku dni. Zebrałam swoje rzeczy i opuściwszy uśmiechnięte towarzyszki, poszłam prosto do łazienki, żeby się odświeżyć; wewnątrz już czułam się jak nowo narodzona!

Później tego samego wieczoru, po raz ostatni przed opuszczeniem Mekki, odwiedziłam Al-Kabę. Po ukończeniu przedostatniego rytuału hadżdżu, saju, który wiązał się z siedmiokrotnym biegiem pomiędzy wzgórzami As-Safa i Al-Marwa, symbolizującym desperackie poszukiwanie wody przez Hagar, nadszedł czas na wykonanie *tawafów*. Odrywając się od tych ostatnich modlitw w Al-Masdzid al-Haram, chłonełam widok tajemniczej Al-Kaby i prosiłam o szybki powrót do domu.

Niesamowicie trudno było odwrócić się plecami do Domu Boga i opuścić miejsce, w którym czułam się taka szczęśliwa. Ale bez tego powrót nie byłby możliwy; musiałam bezzwłocznie opuścić Mekkę. Zaleca się, aby pielgrzymi wracali do domów natychmiast po ostatnim pożegnaniu Al-Kaby. Czułam się oczyszczona i uduchowiona, co przekładało się na ogromne pokłady nowych nadziei.

Opuściłam kompleks pielgrzymkowy i ruszyłam w stronę czekającego na nas autobusu, który pomrukiwał tuż przed wejściem na teren, gdzie stał meczet. Zdążyłam jeszcze złapać kilka dywaników modlitewnych, które chciałam po powrocie podarować przyjaciółom i rodzinie. W Mekce są słynne bazy, ale nie miałam szansy ich zobaczyć. Musiałam szybko wyjechać z miasta.

Podbiegłam do Qudsji, pielęgniarki z mojego szpitala, która podróżowała w tej samej grupie. Pałaszowała właśnie zawartość kubelka z Kentucky Fried Chicken, na którą składało się osiem kawałków kurczaka. A więc pułkownik Sanders dotarł i do Mekki. Popiła kurczaka napojem gazowanym z ogromnego kubka z Dunkin' Donuts, który miał wielu wielbicieli wśród Mekkańczyków. Poprowadziłam ją do autobusu, który miał nas zawieźć na lotnisko Króla Abd al-Aziza w Dżuddzie, skąd leciałyśmy prosto do domu. Reszta pielgrzymów pogrzyła się w chaosie serdecznych uścisków i notowania w pośpiechu adresów oraz numerów telefonów. Błyskawicznie znalazłam się na pokładzie samolotu saudyjskich linii lotniczych i wylądowałam w Rijadzie. W ciągu tych zaledwie kilku dni miasto jakby się zmieniło. Po raz pierwszy poczułam się tu jak w domu.

Otworzyłam drzwi do mieszkania i natychmiast przywitała mnie moja zdumiona kotka, która pewnie się zastanawiała, czy jeszcze kiedyś do niej wróć. Głaskałam ją, aż się uspokoiła, i po długim gorącym prysznicu we własnej łazience przebrałam się w piżamę. Gdy dotarłam do kuszącego łóżka, założyłam ciepłe, miękkie bawełniane skarpetki i wczółgałam się pod kołdrę wypełnioną kaczym puchem. Klimatyzacja nawiewała już chłodne powietrze. Otoczona wygodami własnego domu, do którego powróciłam z prawdziwą przyjemnością, zapadłam w rozkoszny głęboki sen.

Czułam się czysta.

^[63] Rytuał ten jest uznawany za jeden z najbardziej niebezpiecznych i był przyczyną wielu tragedii, zwłaszcza w 1998 i 2000 roku. W 1998 roku 118 pielgrzymów zostało stratowanych na śmierć właśnie wokół kolumn Dżamarat. Jeden uraz może wywołać lawinę kolejnych, zanim władze zdążą powstrzymać spanikowany tłum ludzi, którzy nie wiedzą, co się dzieje przed nimi. Wybitni inżynierowie zajmujący się konstrukcjami w miejscach odwiedzanych podczas hadżdżu dostrzegli, że gęsty tłum najłatwiej rozprasza się dzięki elipsowatym kształtom, dlatego barierki wokół kolumn (i same kolumny) zostały przebudowane tak, żeby było więcej miejsca do kamienowania. Pozwala to uniknąć tłoku na bardzo małej powierzchni (przyp. aut.).

ROZDZIAŁ 21

Mutawwa'in: faceci w brązie

Obudziłam się z powodu ataku kaszlu, tak silnego, że skończył się torsjami. Dzień wcześniej wróciłam z hadżdżu i leżałam w pokoju lekarskim, usiłując wyrwać kilka godzin snu. Czułam się fizycznie wykończona. Rozumiałam teraz, dlaczego hadżdż jest zalecany wyłącznie silnym i sprawnym. Rano zostałam na oddziale, żeby przejrzeć nowe prześwietlenia płuc wraz z lekarzami, którzy właśnie przyszli na dyżur. Mobin i Imtijaz, świeżo upieczeni hadżdżiowie, dopiero wrócili z Mekki, podobnie jak ja. Zakłopotani swoją łysiną zakryli pozacinaną skórę głowy beludżystańskimi czapeczkami, które Imtijaz przywiózł z Pakistanu specjalnie w tym celu.

Ja nie zakryłam się po hadżdżu, chociaż wiele osób uważa, że po odbyciu pielgrzymki kobieta zawsze powinna być zakryta, gdy znajduje się w miejscu publicznym. Nie miałam takiego zamiaru, czułam natomiast potrzebę zajęcia się kilkoma bardziej fundamentalnymi kwestiami dotyczącymi spełniania się jako muzułmanka, o wiele ważniejszymi w moim odczuciu niż to, kto będzie oglądał moje włosy. W rezultacie wróciłam na OIOM właściwie tak, jak go opuściłam, tyle że nękana przez męczący kaszel i zdecydowanie szczuplejsza.

- As-salamu alejkum wa-rahmatu (A)llahi wa-barakatu!

Raz za razem rozbrzmiewało w teatralny sposób formalne muzułmańskie powitanie w precyzyjnym nadżdżyjskim arabskim; najpierw było skierowane do Mobina, a następnie do Imtijaza. Pozdrowiał ich Wadid, chirurg i przerażająco surowy *mutawwa* w jednym.

W szpitalu pracowało wielu różnych duchownych-lekarzy. Z jednej strony był wśród nich Faris, przyjacielski, wyrozumiały saudyjski pulmonolog wykształcony w Kanadzie, który według krążących plotek był *mutawwą*, zanim związał swoje plany z medycyną, z drugiej zaś był pochłonięty przez ortodoksję Wadid.

Wybitnie sprawny chirurg znany był z ciasnych poglądów, w których zdecydowanie

nie mieściło się przyzwolenie na szatańskie pokusy w postaci obecności w miejscu pracy kobiet pozbawionych opieki (co było przedmiotem wygłaszanych przez niego w szpitalu przemówień w obecności saudyjskich koleżanek lekarek, nawet jeśli zdobyły wykształcenie w Ameryce i ukończyły kilka specjalizacji).

Z tego też powodu Wadid przyjął w stosunku do mnie dość specyficzną, instynktowną postawę pełną urazy. Wzdrygał się na samą myśl o hańbie, jaką przynosił mój status niezamężnej zachodniej muzułmanki, który dopełniały krótkie niezastłonięte włosy. Nie znosiliśmy się wzajemnie. Ponieważ w Mekce spotkałam wspaniałych muzułmanów (szczególnie mam tu na myśli Hanifę), więc Wadid wydawał mi się dzisiaj wyjątkowo odpychający.

Kiedy patrzyło się na jego profil, widać było policzki zapadające się poniżej wylupiastych obsydianowych oczu, które nie wyrażały żadnych emocji. Wyglądał na dość niemrawego mężczyznę. Jak zwykle pojawił się na OIOM-ie w swoim klasztornym stroju. Był ubrany zupełnie jak faceci w brązie (tak ich zwykłam nazywać); identycznie jak *mutawwa'in*, którzy nękają kobiety w centrach handlowych albo patrolują 129 bram wejściowych do Świętego Meczetu.

Nosił brązowy muzułmański płaszcz wykończony wąskim paskiem wyszytym złotą nicią. Pod nim była biała sauba, która sięgała powyżej gołych łydek. Na stopach miał obowiązkowe sandały. Zazwyczaj Wadid nie wkładał białego fartucha lekarskiego. Był fanatycznym wahhabitą i chciał być tak postrzegany nawet (a może przede wszystkim) przez pacjentów, którzy prawdopodobnie bali się go tak samo jak czasami ja.

Naturalnie Wadid nawet nie starał się udawać, że mnie wita, nie wspominając już o przywitaniu mnie jako muzułmanki. Właściwie chyba nie uznawał mnie za muzułmankę. Bez wątplenia byłam dla niego heretyczką z Zachodu. By pozbyć się rozdzwiewku między rzeczywistością a własnym zniekształconym jej postrzeganiem, przyjął wygodną strategię - po prostu udawał, że mnie nie widzi. Nie istniałam dla niego.

- *Mabruk* z okazji waszego hadždżu! - zaczął, dając wyraz jakiemuś odległemu wspomnieniu radości.

Jak większość hiperortodoksyjnych wahhabitów on także wyrażał tylko dwa rodzaje emocji: powściągliwość i ziejącą ogniem nietolerancję. Nie było niczego pomiędzy. Oczy niczym u gada niepostrzeżenie mu się rozszerzyły, gdy dostrzegł niepohamowaną radość Mobina i Imtijaza; wywołała jego niesmak. Okazywanie dobrego nastroju i samozadowolenia postrzegał jako bluźniercze i niepotrzebne.

Nieświadomi, że ich brak powściągliwości jest obraźliwy dla wahhabity, który czuje się coraz bardziej skrępowany, Mobin i Imtijaz podziękowali mu, przyjmując uprzejmie powinszowanie. Twarz Wadida przybrała z powrotem kamienny wyraz; cień radości został stłumiony w zarodku. Zapadła wymowna cisza. Moich kolegów, jak zawsze bardzo taktownych, zabolął fakt, że zostałam publicznie zlekceważona, dlatego poczuli się w obowiązku odezwać.

- Qanta także odbyła hadżdż, *ma sha Allah* - rzucili, wyraźnie podekscytowani moim osiągnięciem.

Wadid ani się nie poruszył, ani nie spojrzął w moją stronę. Co więcej, nie zdobył się nawet na to, by wycedzić przez zaciśnięte z nienawiści usta choćby konwencjonalne *mabruk*. Podjąwszy decyzję, że nie odezwie się słowem, zaczął przeglądać prześwietlenia pacjenta, którego przyjechałam kilka godzin wcześniej. Mobin i Imtijaz wierzili się nerwowo, spoglądając na mnie, pełni obaw, że jak zwykle zareaguję złością.

Przełknęłam gorycz i zignorowałam zniewagę. Zabrałam się natomiast do tego, co najbardziej bolało mizoginicznego wahhabitę: do swoich obowiązków. Wrogim głosem przedstawiłam historię choroby pacjenta, przez cały czas z wściekłością usiłując nawiązać kontakt wzrokowy z Wadidem, ale on siedział wyniosły, z na wpół przymkniętymi powiekami - nie był w stanie znieść widoku mojej odrażającej osoby.

Specjalnie obeszłam Mobina i stanęłam tuż obok Wadida. Tydzień spędzony na hadżdżu pozwolił mi zapomnieć o obrzydliwych zwyczajach panujących w wahhabickim Królestwie. W obliczu jawnego lekceważenia zapomniałam także o swoich ćwiczeniach z cierpliwości i samokontroli; teraz te postanowienia mnie nie obchodziły. Krew we mnie wrzała. Jakikolwiek poczucie przynależności do reszty muzułmanów wyparowało w ciągu dwóch minut od spotkania z tą kreaturą. W dość brutalny sposób przypomniano mi, że

w Rijadzie w oczach mężczyzn pokroju Wadida jestem nihilistką, której status napawa ich odrazą.

Gdy zreferowałam problemy mojego pacjenta, przeprosiłam i wyszłam ostentacyjnie. Jak dziecko postanowiłam: wet za wet, nie będę zauważać Wadida. Tupnęłam nogą; but głośno stuknął o podłogę, co stanowiło kolejne „nie wolno” dla kobiet w Rijadzie, ponieważ odgłos ich kroków uważa się za prowokowanie pożądania. Magia Mekki przestała działać w obliczu zbyt dobrze mi znanego starcia z mężczyzną z gatunku wahhabitów. Wadid bez pardonu przypomniał mi o realiach codziennego życia w Rijadzie i o facetach w brązie.

Po raz pierwszy zetknęłam się z mutawwą, gdy kupowałam abaję z Maurag, moją asystentką. Od tego czasu spotykałam tych religijnych policjantów w lśniących centrach handlowych Rijadu lub gdy przemykałam po zakamarkach targu z biżuterią w Ad-Dirze, a raz nawet na bazarze na otwartym powietrzu, kiedy robiłam zakupy, bezpiecznie siedząc w samochodzie.

Na moją prośbę kierowca zatrzymał się w pobliżu skrzyż z cukiniami. Uważnie przyglądałam się im przez szybę, żeby ocenić świeżość, i nie zwróciłam uwagi na to, że szal zsunął mi się naramiona. Nagle drewniana pałka policyjna stuknęła w okno samochodu; wystraszyłam się. „Zakryć włosy!” - usta mężczyzny poruszały się bezgłośnie za przyciemnioną szybą.

Faceci w brązie pojawiali się znienacka. Byłam już nieco śmielsza i sama robiłam zakupy w centrum handlowym, gdy pewnego dnia, oglądając kryształ Orrefors w jednym z butików w Al-Fajsalijja Mall, po raz kolejny nie zorientowałam się, że zasłona zsunęła mi się z głowy (ryzyko związane z noszeniem tandetnego poliestru). *Mutawwa* pojawił się po cichu, wyrastając jak spod ziemi tuż za mną. Spanikowana omal nie upuściłam kosztownego kielicha.

Ich wszechobecność w saudyjskim życiu jest uciążliwa zarówno z fizycznego, jak i psychologicznego punktu widzenia. *Mutawwa* stanowi część Komitetu Krzewienia Cnót i Zapobiegania Złu. Podlega saudyjskiemu królowi. Gdy towarzyszy jej saudyjska policja, z którą często wspólnie chodzą na patrole, dysponuje uprawnieniem aresztowania lub zatrzymania^[64]. Oficjalnie nie ma oczywiście żeńskich formacji *mutawwa'in*; jedynie

mężczyźni mają tę władzę. Zdobywają ją dzięki specjalnym szkoleniom w wahhabickiej szkole kierowanej przez duchownych, której centrum mieści się w rejonie Ad-Diry w Rijadzie, gdzie ścierają się ze sobą klienci sklepów z biżuterią i dżihadyści.

Odkryłam, że Rijad to prawdziwa wylęgarnia *mutawwa'in*. Obserwowałam facetów w brązie, gdy całymi eskadrami patrolowali swój teren i wyganiali klientów sklepów do meczetu w Ad-Dirze w porze modlitwy. Modlitwa, *salat*, była obowiązkowa! Wałąc kijami w balustrady i witryny, wlewali się tłumnie do sklepów, centrów handlowych i w labirynty uliczek na targu z biżuterią, żeby upewnić się, czy na czas modlitwy handel został wstrzymany. Nie było takiego miejsca, którego nie obejmowałyby ich resocjalizacyjna działalność.

W obawie przed wszędobylskimi *mutawwa'in* sklepikarze pod presją uwijali się ze swoimi praktykami religijnymi, zostawiwszy ogromne ilości złotej biżuterii bez zabezpieczenia. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś włączał alarm antywłamaniowy przed pozostawieniem bez opieki błyszczących gablot z kosztownościami. W państwie, w którym kradzież może zostać ukarana amputacją kończyny, naszyjniki i bransolety migotały w bezpiecznej ciszy, ponieważ nikt nie ośmieliłby się ich ukraść.

W ciągu kilku minut, jeszcze zanim zakończył się *azan*, sklepy pustoszały. Wszyscy znikali z pola widzenia, mężczyźni zostawiali buty i wchodzili do meczetu, a kobiety pędziły, by pomodlić się w dyskretnych miejscach wyznaczonych wyłącznie dla nich (zazwyczaj były to wnęki pod schodami). Część kobiet siedziała na niskich murkach otaczających centrum handlowe, zwolniona z modlitwy z powodu menstruacji.

Całe szczęście, że *mutawwa'in* nigdy nie żądali dowodów na to, że trwa miesiączka, ale i tak kobiety siedziały zbite w grupki, zdenerwowane i wystawione na widok publiczny, mając nadzieję, że czas modlitwy przebiegnie bez zakłóceń. Zakłopotane czekały niecierpliwie, aż skończy się ta żenująca sytuacja. Chrześcijanki kuliły się razem z nimi, licząc na to, że *mutawwa* da im spokój. Mający krzewić cnoty i zapobiegać złu *mutawwa'in* poruszali się bardzo szybko. W terenie rozpraszali się na mniejsze grupy egzekutorów. Większość polowała na sprawców wykroczeń w pojedynkę, jeśli nie brać pod uwagę towarzyszącego im oficera saudyjskiej policji, który miał upoważnienie, by zatrzymać każdego, kto sprzeciwiał się *mutawwie*. Dla tych mężczyzn nie istniały żadne granice;

w restauracjach wchodzili nawet do sektorów, które były wyznaczone tylko dla kobiet. Wiedziałam już, że ich wtargnięcie budzi trwogę. Szczególnie utkwiła mi w pamięci jedna sytuacja.

Wybrałyśmy się z Zubajdą na zakupy do centrum handlowego As-Sahara, które znajdowało się w sercu Rijadu. Głodne usadowiłyśmy się w części bufetowej jednej z restauracji. Torby z zakupami postawiłyśmy obok siebie na pustych krzesłach. Siedzące wokół nas kobiety, niemal same ortodoksyjne Saudyjki, już jadły. Większość z nich umiała to robić, nie zdejmując nawet zasłony z twarzy, a tylko unosząc po prostu materiał i uważnie wsuwając jedzenie do ust. Patrzyłam, jak kilka kobiet z zakrytymi twarzami siorbało w szybkim tempie mleczne koktajle.

Zubajda była w hidżabie, mogła więc jeść bez zastanawiania się, co zrobić z chustą. Pozwoliła sobie na poluzowanie fałd materiału, odsłaniając tym samym część miodowo-łnianych włosów. W specjalnie wydzielonej części restauracji takie dyskretne odprężenie w postaci przyzwolenia na zsuniecie się z włosów materiału (co można porównać do poluzowania krawata przez mężczyznę) jest zawsze odczuwane jako rozluźnienie pętli, jaką stanowi publiczne życie w Rijadzie. W tym miejscu ja także pozwoliłam sobie na to, by moja poliestrowa chusta opadła, ukazując włosy. Miałam już powyżej uszu obowiązku jej noszenia nawet podczas krótkich wypadów do centrum handlowego. Zamówiłyśmy jedzenie przez parawan, za którym znajdowała się sylwetka mężczyzny. Być może nawet ten sam mężczyzna błyskawicznie postawił przed nami na stole zamówione dania. Jadłam z apetytem. Zubajda sączyła ulubioną herbatę z miętą. Głośny szelest, gruźliczy kaszel, a następnie pospieszne szuranie krzeseł spowodowały, że nagle cała restauracja zamarła. Wszyscy goście zamilkli.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak dwóch przedstawicieli mutawwy wkracza do naszego sektora, który był przeznaczony wyłącznie dla płci żeńskiej. Kobiety szybko ponarzucały nakrycia głowy. Odwróciłam się do Zubajdy z pytającym wyrazem twarzy, ale ona także zdążyła już zniknąć za zasłoną, która przykrywała teraz całą jej twarz. Ponieważ wciąż naśladowanie tego, co robią inni, dawało mi poczucie bezpieczeństwa, w pośpiechu zaczęłam także się zasłaniać, choć ze strachu moje palce stały się niezdarne. Jeden *mutawwa* podszedł bliżej i ku mojemu przerażeniu zatrzymał się tuż przy naszym stole. Przeczesał wzrokiem całe pomieszczenie niczym złowieszczy Dalek^[65], obracając się dookoła. Obrzucił

gości restauracji krótkowzrocznym spojrzeniem, przekonany o naszych licznych niegodziwościach. Zorientowałam się, że wstrzymuję oddech.

Po chwili poczułam niepokojący ostry ból pod lewą łopatką. Chciałam odetchnąć, a jednocześnie bardzo się bałam wydać jakikolwiek dźwięk. Mężczyzna znajdował się niebezpiecznie blisko. Ze swojego miejsca mogłam dostrzec włosy w jego nosie i początki recesji dziąseł. Podążałam wzrokiem za grubymi palcami, którymi w pośpiechu przesuwiał po prostym różańcu, licząc w szale drewniane paciorki. A może liczył przekleństwa? Zwróciłam uwagę na jego paznokcie. Były spłaszczone w charakterystyczny łyżeczkowaty sposób, co sugerowało anemię. Mimo tuszy był źle odżywiony. Miał ziemistą cerę, przywodzącą na myśl połączenie żółtaczki ze skutkami nadmiernego wystawiania się na słońce. Oczy o żółtawych białkach przeczesywały pomieszczenie nieprzeniknionym spojrzeniem. Wyraźnie widać było niesmak, jaki wywoływał w nim widok takiej liczby kobiet pozbawionych męskiej opieki, które oddawały się bluźnierczej publicznej przyjemności. Hańba, jaką okrywały się niezależne ekonomicznie kobiety wystawiające się na spojrzenia poprzez jedzenie w restauracji (zamiast w swoich bezpiecznych domach za wysokimi murami), sprawiała mu ból.

Ku naszemu przerażeniu, uczyniwszy ze stołu, przy którym siedziałyśmy, mównicę, stanął na szeroko rozstawionych stopach odzianych w sandały i wygłosił płomienne przemówienie. Całe pomieszczenie wypełniło się pogrozkami, których Zubajda nie była w stanie na bieżąco tłumaczyć z powodu wyjątkowej bliskości, w jakiej się znajdował. Mógł nieprzerwanie wygłaszać swoją diatrybę; nikt nie śmiał mu się postawić ani zakwestionować jego prawa do przebywania w części dla kobiet, sektorze podlegającym całkowitej segregacji płci. Minuty przechodziły w godziny; goście zamienili się w kamienie. Czułam, że się pochylam, jakbym szukała schronienia przed wybuchem jego nienawiści. Utkwiłam wzrok na wysokości jego pasa i czekałam, aż skończy.

Spojrzałam w lewo i zobaczyłam rząd dygoczących banglijskich kelnerów schowanych za parawanem. Niczym figury z terakoty zastygłe w grymasie, błagalnym wzrokiem wyrażali pragnienie, by despotyczny *mutawwa* już wyszedł. Menedżer restauracji nawet się nie pojawił, nie poprosił go o opuszczenie lokalu, doskonale zdając sobie sprawę, jak wyglądałyby dalsze losy tego biznesu - byłby poddany niekończącym się kontrolom, a sam menedżer otrzymywałby reprimendy. Wszyscy byliśmy bezsilni w obliczu władzy

jednego agresywnego mężczyzny. Tym razem nie towarzyszył mu oficer saudyjskiej policji, przedstawiciel *mutawwy* zuchwale wykorzystywał swoją pozycję, nawet pozbawiony wsparcia ze strony państwa.

Po wygłoszeniu płomiennej tyrady i jednoczesnym zapluciu naszego stolika śliną zniesmaczony odwrócił się na pięcie i wyszedł, omiatając miażdżącym spojrzeniem zachodnie rozpasanie saudyjskiej publiczności, która szlajała się po restauracjach. Pozostawił po sobie lęk przed wahhabitami. Wpatrywałam się w spienioną ślinę, która skapnęła w pobliżu mojej podkładki na stole. Minęło kilka chwil, zanim ktokolwiek śmiał ponownie tknąć jedzenie. Ja straciłam apetyt.

Zubajda odsłoniła twarz. Jej olśniewająca cera poczerwieniała z wściekłości, a pociemniałe oczy, żarzące się węgielki, błyszczwały.

- Qanta, on nie miał żadnego prawa, by tutaj wejść! Żadnego prawa! Te kobiety, które tu siedzą, tak jak my, nie muszą się modlić. Jesteśmy usprawiedliwione z powodu pory miesiąca. Jestem taka wkurzona! Jak bardzo chciałabym być w Ammanie albo Bejrucie! To o wiele bardziej cywilizowany świat. Nienawidzę tych ludzi z *mutawwa'in*; to z ich powodu nie cierpię Rijadu. Oni rujnują mój dom - wyrzuciła z siebie, milknąc na chwilę, bo zaczęła się krztusić z wściekłości.

- Co on mówił, Zubajda?

- Mówił, że nie powinnyśmy jeść, tylko się modlić. - Na zewnątrz rozbrzmiewał już *azan* ogłaszający wieczorną modlitwę. - *Salat, salat!* Tylko tyle był w stanie powiedzieć, a później zaczął rozprawiać o szkodliwych skutkach obecności kobiet w przestrzeni publicznej. Powinnyśmy być zamknięte w domach, odizolowane! W miejscach publicznych, jak mówił, stanowimy wyłącznie niebezpieczeństwo, zachęcając mężczyzn do popełniania grzechów. Co za prymityw! To takie niemuzułmańskie!

Zubajda chwilami mówiła bez ładu i składu. Milczałam, nie znalazłszy słów, które mogłyby ją uspokoić. Miała rację. Paskudnie było tak żyć, a w Rijadzie była to wyjątkowa udręka. Cieszyło mnie, że czuła to samo co ja. Wiedziałam, że nie była jedyną Saudyjką o takich poglądach. Bezzwłocznie zapłąciłyśmy rachunek i wyszłyśmy.

Przy innych okazjach widywałyśmy *mutawwa'in* w akcji z pewnej odległości. Wieczorami i w weekendy przepatrywali centra handlowe w poszukiwaniu podejrzanych samotnych mężczyzn, którzy najzwyczajniej mogli nagabywać kobiety czy uganiać się (daremnie i nielegalnie) za nimi. O wyznaczonych porach w centrach handlowych mogły przebywać jedynie rodziny oraz samotne kobiety, ale tabuny znudzonych kawalerów, którzy nie mieli się gdzie podziać, z uporem maniaka starały się zostać w środku wbrew tym regulacjom.

Mutawwa'in wykształcili u siebie bardzo wyostrzone widzenie, które pozwalało im dostrzegać jedynie dewiacje. Szybko pozbywali się kawalerów, przepędzając ich reprimendami i pogrózkami. Przerażeni młodzi mężczyźni wycofywali się niczym szczeniaki spłoszone przez sforę psów.

Tak przejawiająca się zniewieściałość saudyjskich mężczyzn była publiczną tajemnicą. Mimo dumnego chodu i popisowywania się męskością, co polegało na pożeraniu kobiet wzrokiem, a nawet na ich napastowaniu, grupy korpulentnych krótkowzrocznych duchownych doskonale umiały ich upokorzyć. Młodzi mężczyźni czerwienili się ze wstydu, gdy zostali namierzeni i wyrzuceni za szklane rozsuwane drzwi lśniących sklepów, które okrażali niczym rekiny wyczuwające zapach kobiecej krwi. Co jakiś czas patrzyli na zasłonięte piękności, które przekraczały automatycznie otwierające się szklane drzwi, pozostawiając za sobą nuty zapachów. Chwilę później ocierali się nosami o chłód stalowo-szklanych drzwi, które szybko zamykały się za kobietami.

Na zewnątrz ci najodważniejsi chłopcy krążyli w swoich ferrari w kolorze czerwonej szminki albo w żółtych lamborghini, których barwy zdumiewały na tle czerni współczesnej Arabii Saudyjskiej. Z piskiem opon okrażali centra handlowe; silniki pracowały na wysokich obrotach, muzyka ryczała, a oni wrzeszczeli w stronę tłumu, na przemian hałaśliwie się śmiejąc i pogwizdując. Zapach benzyny i palonej gumy wypełniał powietrze energią i zapomnianą ekscytacją, która bardziej pasowała do South Beach niż do Arabii Saudyjskiej.

Pewnego wieczoru przyglądałam się czerwonemu ferrari dudniącemu po Al-Ulajji. Auto wypełnione było potężnie zbudowanymi saudyjskimi sportowcami w obcisłych białych podkoszulkach, które odsłaniały ich muskularne, wyrzeźbione sylwetki. W samochodzie

rozbrzmiewał gangsterski hip-hop. Ci dwudziestokilkulatkowie doskonale się bawili, kręcąc pojazdami bączki i gwałtownie hamując. Robili kaligraficzne zawijasy i palili gumy w rytm dudnienia tłumika.

Jeden z mężczyzn szczególnie zwrócił moją uwagę. Jego pierś ozdabiało logo Guess, świadczące o sympatii do Zachodu. Na głowie miał zawadiacką czerwoną czapkę baseballową, która współgrała ze szkarłatem samochodu. Świeżo przystrzyżona broda, perfekcyjnie i modnie wyrzeźbiona z kilkudniowego zarostu, wyznaczała linię ładnej szczęki. Stopy w butach od Gucciego za 600 dolarów spoczywały na karmelowym fotelu anatomicznym obitym skórą Connolly. Swobodnie siedział na pałaku wzmacniającym dach, a gdy podrasowany samochód brał gwałtowne zakręty, wychylał się niebezpiecznie i prężył muskuły; zachwycający żeglarz na katamaranie z doładowaniem.

W statecznym Rijadzie wyróżniał się szykowną męskością. Przyglądałam mu się przez jakiś czas. Dobrze się poruszał i najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że jego ciało jest niezwykle atrakcyjne. Rozejrzałam się i wyczułam satysfakcję wielu obserwatorek. Nocna bryza niosła kobiece szepty pełne podziwu, a może i pożądania. Podobnie jak ja patrzyły niespeszone i w znacznym stopniu niewidoczne z powodu zwiewnych więzień; zauroczyło je uderzające do głowy połączenie testosteronu i testarossy.

Mutawwa 'in natomiast, co do jednego, byli korpulentni i wrogo nastawieni. Głównym środkiem perswazji tych prymitywnych mężczyzn było zastraszanie. Nie mieli ogłady, choć byli ponoć wykształceni w dziedzinie islamu. Coś w tej indoktrynacji, której byli poddawani, sprawiało, że stawali się profesjonalnymi, ziejącymi ogniem fanatykami. Całe bataliony tych facetów w brązie kończyły każdego roku specjalną szkołę dla duchownych w Rijadzie, która mieściła się w Ad-Dirze (jak na ironię dokładnie po przeciwnej stronie osławionego Chop Chop Square, placu Ciach Ciach, gdzie w południe w piątki wykonywano egzekucje na przestępcach). Surowe szkolenie zakorzeniało głęboko w ich sercach nietolerancję. Byli uważani za świętych, ale ja odbierałam ich raczej jako surowych i wyniosłych; w założeniu światli, byli pogrążeni w nieprzeniknionej ciemności ignorancji. Twierdzili, że są muzułmanami, a nie tolerowali większości aspektów islamu uznawanych przez liberalnych muzułmanów za niepodważalne prawdy. Nie mogli już bardziej odstawać od swoich saudyjskich bliźnich, co stanowiło świetny przykład ilustrujący schizofrenię Królestwa, którą powoli odkrywałam.

Mutawwa'in, gdziekolwiek się pojawiali, uderzali w czułą strunę, wywołując lęk zarówno wśród muzułmanów, jak i niemuzułmanów, tak mężczyzn, jak i kobiet. Saudyjczycy także się ich bali. Nigdy nie było pewności, czy uda się uchronić przed ich machinacjami albo - jeszcze gorzej - uwięzieniem. Patrowali Rijad nawet prywatnymi samochodami, przeczesując miasto w poszukiwaniu każdego, kto ośmielił się zachowywać wbrew przyjętym normom wahhabizmu.

Dopóki nie zamieszka się w Królestwie, trudno nawet pojąć, jaką siłą dysponują *mutawwa'in*. Poza Rijadem zatrzymywali kierowców, żeby sprawdzić, czy z ich samochodowych zestawów audio nie płynie muzyka. Mężczyźni szybko nauczyli się wyłączać muzykę, którą *mutawwa'in* uznawali za haram. Nawet Saudyjczycy byli pozbawieni tej drobnej przyjemności, ponieważ słuchanie muzyki mogło doprowadzić do stanu *chmajr* (oddzielenia muzułmanina od jego Stwórcy poprzez zatracenie się w transie). Niezależnie od tego, czy *chmajr* był spowodowany muzyką, narkotykami czy alkoholem, był on fatalnym w skutkach błędem, który należało naprawić, a przede wszystkim - ukarać.

W Rijadzie duchowni nie mogli narzucać takich ograniczeń, może dlatego, że miasto było tak duże, a drogi, głównie autostrady, zbyt szybkie, by tropić przestępców słuchających muzyki. *Mutawwa'in* w mieście zadowalali się zabranianiem kobietom nabywania płyt. Kilka sklepów, które w ogóle sprzedawały muzykę w Rijadzie, nie zezwalało kobietom na wchodzenie do środka. Stały więc na zewnątrz, kołyszając się nerwowo w swoich zasłonach i czekając, aż brat czy mąż wróci z płytą CD w ręku. Obłęd *mutawwa'in* nie znał żadnych granic. Nie było takiej zasady, która byłaby zbyt błaha, by ją wprowadzić w życie. Jako kobieta natychmiast ich zniecierliwałam i często się ich bałam, choć nigdy nie aż tak, jak wtedy, gdy doświadczyłam nalotu *mutawwy*. Ale wówczas, po powrocie z hadżdżu, jeszcze nie wiedziałam, że kilka miesięcy później to nastąpi.

^[64] Dzięki wprowadzanym reformom kompetencje policji religijnej w Arabii Saudyjskiej od kilku lat sukcesywnie się kurczą; od 2006 roku nie może ona przesłuchiwać ani aresztować, od 2007 ma zakaz noszenia pałek policyjnych, a od 2012 roku może udzielać jedynie upomnień (przyp. tłum.).

^[65] Dalek - typ robota z brytyjskiego serialu science fiction *Doktor Who*; cechuje go nietolerancja i nienawiść rasowa, przekonanie o własnej wyższości oraz brak jakichkolwiek uczuć wyższych (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 22

Saudyjski singiel

Zgromadziliśmy się w pokoju konferencyjnym sąsiadującym z OIOM-em na cotygodniowe zebranie, na którym omawialiśmy poszczególne przypadki naszych chorych. Tego poranka musiało tam być z dziesięć osób. Jak na obrazie O’Keeffe, gdzie jakby spłowiełe światło rozlewało się od podłogi ku oknom w suficie. Usiedliśmy jak zwykle półkolem, a ja, również jak zwykle, na jednym z jego końców. Saraway, mój wierny przyjaciel (i farmaceuta na OIOM-ie), usiadł obok mnie. Czekaliśmy, aż Imad da znak do rozpoczęcia spotkania.

Już od miesięcy prowadził te cotygodniowe zebrania, a jednak dopiero teraz wpadł mi w oko. Gdy mówił, mój wzrok przykuła jego wysoka sylwetka; był dobrze zbudowany. Zwróciłam także uwagę na drogie spodnie, które skrywały długie umięśnione nogi. Włoskie półbuty z sztywnymi zelówkami zdradzały dobry gust. Od czasu do czasu kosztowna skóra skrzypiała na podłodze wyłożonej linoleum, wyraźnie odróżniając się od popiskujących tenisówek i birkenstocksów pozostałych osób. Miał zapięty pod szyję biały fartuch, a lewą pierś na amerykańską modłę ozdabiały wyhaftowane kursywą: imię, nazwisko i tytuły, co przemawiało za tym, że zdobył wykształcenie poza Rijadem. Szykowny kolorowy krawat wyróżniał Imada spośród otaczających go kolegów - atrakcyjny mężczyzna z Zachodu na pustyni pełnej Saudyjczyków.

Wsluchiwałam się w jego głos, ukołyszana spokojnym, harmonijnym brzmieniem, nie wychwytyjąc słów: stonowanych, kulturalnych, wyraźnie północnoamerykańskich. Zastanawiałam się, czy nie jest Kanadyjczykiem.

Imad przewodził spotkaniu sprawnie i bez zadęcia. Jego niski głos w naturalny sposób zachęcał do słuchania. Nachylaliśmy się, żeby wychwycić łagodne komentarze. Srebrnoszare gęste włosy, bardzo krótko ostrzyżone, wieńczyły szerokie gładkie czoło bez jednej zmarszczki. Ciemniejsze brwi tworzyły łuk nad spokojnymi ciemnoniebieskimi oczami, stanowiąc jedyny element wyrażający emocje. Przyprószone siwizną kilkudniowy zarost był

najkrótszy z możliwych, jaki spełniał jeszcze wymagania stawiane w tej kwestii muzułmańskiemu mężczyźnie, który przestrzega zasad religijnych. Zarost potęgował uderzająco jasny odcień jego białej skóry. Światło słoneczne pobłyskiwało, odbijając się w okularach bez oprawek, a niebieskawe szkła przesłaniały część twarzy. Uśmiechał się rzadko, a mimo to wydawał się sympatyczny. Natychmiast go polubiłam.

Usiłowałam rozgryźć tego mężczyznę. Imię Imad wskazywało na to, że był muzułmaninem; nazwisko nic mi nie mówiło i brzmiało zdecydowanie niesaudyjsko. Nie potrafiłam odgadnąć jego tożsamości etnicznej. Jeśli chodzi o wiek, miał gdzieś między trzydziestką a czterdziestką. Jego zachodni strój, biała skóra i akcent sprawiały, że odrzucałam możliwość, by był narodowości saudyjskiej; wyglądał o wiele bardziej na człowieka Zachodu niż mężczyźni, którzy go otaczali. Zastanawiałam się, czy nie był przypadkiem moim męskim odpowiednikiem. Z całą pewnością sprawiał wrażenie wykształconego za granicą. Szybki rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że nie ma na palcu srebrnej obrączki, co zgodnie z tradycją wskazywało na to, że nie był w związku małżeńskim. To się stało tak po prostu; wśród fluorescencyjnych świateł pokoju konferencyjnego o ścianach w morskim kolorze, 15 tysięcy kilometrów od Nowego Jorku. Zorientowałam się, że moje zainteresowanie Imadem rośnie. Po raz pierwszy w Rijadzie cieszyłam się, że jestem jedyną kobietą na spotkaniu. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy w Królestwie cieszyłam się, że w ogóle jestem kobietą!

Przedstawialiśmy Imadowi przypadki swoich pacjentów, omawiając zróżnicowane diagnozy i informując go o istotnych wynikach badań. Od czasu do czasu naradzał się z pozostałymi osobami i prosił o dodatkowe informacje, zawsze okazując szacunek i odzywając się hipnotyzującym niskim głosem. Po przeanalizowaniu szczegółowych danych udzielał wskazówek. Czasem niemal słyszałam westchnienie ulgi, kiedy podejmował decyzje. Wszystkim wokół potrafił udzielić wsparcia. W końcu nadeszła kolej, by zająć się moimi pacjentami.

Spojrzałam na niego, gdy słuchał z uwagą. Nogi miał skrzyżowane, a ręce złożone na kolanach; wyglądał na absolutnie odprężonego. Siedział bez ruchu. Gdy mówiłam, nawiązywał ze mną kontakt wzrokowy i odwzajemniał moje spojrzenie. Dla tego mężczyzny nie byłam niewidzialna. Uprzejmie przychylił się do moich sugestii dotyczących pacjenta, co pokazało, że jest mężczyzną, który szanuje kobiety, a nawet więcej - szanuje po prostu

medyczne umiejętności. Zaczęłam przyglądać mu się jeszcze uważniej.

Jego alabastrowa skóra była niczym czyste płótno, które pasowało do wszystkich kultur. Przejrzyste oczy (najbardziej niebieskie, z jakimi zetknęłam się w Rijadzie) były niczym sejf pełen sekretów, a ja chciałam znać szyfr. Musiałam się dowiedzieć, co się kryje w tej głębi.

Mógł być Kanadyjczykiem albo Amerykaninem, a może Libańczykiem albo Jordańczykiem. Gdy spotkanie się zakończyło, miałam mętlik w głowie.

Saraway pracował jeszcze w pokoju pielęgniarek na OIOM-ie, uzupełniając dokumentację. Dołączyłam do niego; bujałam się na krześle obrotowym przy stanowisku sąsiadującym z tym, przy którym siedział. Zobaczyłam, jak Imad opuszcza OIOM; szedł sam, wyprostowany, z głową nieznacznie pochyloną. Prawie nikogo nie pozdrowił i ani razu się nie zatrzymał, by zamienić z kimś choć słówko. Wyglądał na człowieka, który wie, czego chce. Zrobił kilka szybkich kroków i już go nie było; automatyczne drzwi na OIOM zatrzasnęły się za nim ze szczękiem. Natychmiast musiałam się dowiedzieć czegoś więcej o tym mężczyźnie. Saraway pracował z nim od lat. Co za szczęście, pomyślałam. Saraway był moim przyjacielem. Teraz miał zostać także informatorem.

- Saraway, kim właściwie jest ten gość? To Kanadyjczyk? Widywałam go już wcześniej. Jest kierownikiem farmacji?

Saraway zachichotał, po czym przerwał pracę, by odebrać wiadomość na pagerze. Uświadomiłam sobie, że siedzę jak na szpilkach.

- Mówi jak Kanadyjczyk - kontynuowałam.

- Nie, nie, Qanta, choć wszystkim tak się wydaje. - Patrzył na ekran pagera. - Imad jest Saudyjczykiem. Wydaje mi się, że kształcił się w Kanadzie. Ale z całą pewnością urodził się i wychował w Arabii Saudyjskiej. Na bank. I nie jest z farmacji - zaśmiał się głośno z mojej nedorzecznej sugestii. - To dyrektor wykonawczy jednostki zajmującej się zapewnieniem jakości oraz kierownik działu do spraw naukowo-dydaktycznych. Jest bardzo wpływowym człowiekiem, Qanta.

Wprawilo mnie to w oslupienie. Saudyjczyk, ktory wygladal jak nie-Saudyjczyk? Saudyjczyk, ktory mial na sobie Gucciego zamiast szimaghu? Saudyjczyk, ktoremu blizej do Brioniego niz Beduinow? Saudyjczyk, ktory jest biały, i co najbardziej zaskakujace, Saudyjczyk, muzułmanin, ktory jest bardzo powsciagliwy, a mimo to seksowny? Kręcilo mi się od tego wszystkiego w glowie. Naciskalam Sarawaya, zeby mowil dalej.

- Saraway, czy on ma rodzinę? Czy jest zonaty?

- Nie, Qanta, Imad jest singlem. Z cala pewnoscia to kawaler. - Po czym Saraway znów zachichotal, odmawiajac udzielania dalszych odpowiedzi.

Obiekt pozadania byl wiec rowniez wolny. Jakiego pretekstu uzyc, by miec do niego latwiejszy dostep? Jak dowiedziec się czegos wiecej na temat tego mężczyzny w kraju, gdzie umawianie się na randki jest nielegalne, a spotkanie z osobami przeciwnej płci - karalne? Dla kobiety moglo się skonczyc domowym aresztem, a dla umawiajacego się mężczyzny - deportacją albo więzieniem. Doprawdy musialabym miec wiele fantazji. Zaczęlam kreślić w glowie plan, ktory mial przyblizyc mi ten nowy gatunek: saudyjskiego singla. Moze przy okazji zaprowadzi mnie do jego tajemniczego serca?

ROZDZIAŁ 23

Cisza przed burzą

Spędziliśmy dzień z międzynarodową kadrą wykładowców, którzy brali udział w sympozjum naukowym odbywającym się w Królestwie. Powierzono mi rolę prelegentki, wygłosiłam więc wykład. Wieczorem miała się odbyć kolacja w saudyjskiej restauracji w Rijadzie. Ja także zostałam zaproszona.

Kiedy nadeszła pora, wraz z pozostałymi uczestnikami zostałam odebrana z kompleksu szpitalnego. Organizator sympozjum, Imad, był gospodarzem kolacji. Ucieszyłam się, że poprosił, bym wzięła w niej udział. Miałam nadzieję, że umożliwi mi to bliższe poznanie tego intrygującego mężczyzny.

Europejscy i amerykańscy wykładowcy, którzy przyjechali między innymi z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa i Uniwersytetu Genewskiego, zostali przetransportowani autokarami z hotelu Intercontinental, gdzie zakwaterowano ich na czas tej krótkiej wizyty.

Wysiadłam ze szpitalnego autobusu, który lawirując, dotarł w końcu do nieznanej mi dzielnicy Rijadu. Jak zwykle, gdy zjeżdżałam ze znajomej trasy, czułam się w tym mieście zdezorientowana. Poszłam za pozostałymi osobami wąską wybetonowaną ścieżką w dół, rozmyślając nad tym, jak łatwo można się tutaj zgubić. *Abaja* ciągnęła się za mną we wszechobecnym pyłe, pozostawiając pełne zawijasów wzory. Dzisiejszego wieczoru miałam na nogach przyprawiające o zawrót głowy szpilki Badgley Mischka, łup z Bergdorfu, które w ostatniej chwili wrzuciłam do walizki, gdy opuszczałam Nowy Jork. Musiałam przyznać, że te piękne pantofle przemieniły wstrętą zasłonę i abaję w powłóczystą szaloną kreację. Czułam się niemal kobieco.

Właściciel restauracji osobiście witał zagranicznych gości. Szeroko uśmiechnięty pozdrawiał białych mężczyzn, którzy z nami przybyli. Amerykańskie wykładowczynie miały na sobie pożyczone abaje. Niezgrabne zasłony zwisały bezwładnie z ich szerokich masywnych barków będących wynikiem amerykańskich wakacji spędzonych na pływaniu.

Obserwując ich grupowy przemarsz, przypominałam sobie swój proces adaptacji do tego stroju, który teraz był już dla mnie elementem codzienności.

Weszliśmy do wyłożonego dywanem pokoju. Ściany były pokryte wyschniętą gliną. Na podłodze w rzędach leżały rdzawoczerwone i pomarańczowe maty i walcowate kolorowe poduszki wykonane z bawełny o supełkowej fakturze. Tak wyglądała nasza sala jadalna. Niczym Rzymianie, mieliśmy jeść w pozycji półleżącej, wsparci na poduszkach. To było prywatne pomieszczenie, w którym mężczyźni i kobiety mogli spożywać posiłek wspólnie. Drewniane rzeźbione drzwi zamknęły się za nami. Metalowe lampiony rzucały rozproszone wielobarwne światło, tworząc atmosferę jak w beduińskim namiocie.

Rozsiedliśmy się na podłodze. Poluźniłam abaję i w końcu ją zdjęłam. Pod spodem miałam czarny spodniom, który kupiłam w niewiarygodnie odległym Dallas. Poprawiłam wykończone tasiemką spodnie, ostrożnie skrzyżowałam nogi, żeby nie zagnieść kantów, i rozpięłam guzik jednorzędowej marynarki. Wpięta w klapę broszka z brylantem stanowiła jedyną ozdobę. W końcu w Rijadzie mogłam poczuć się szykownie. Przez jakiś czas miałam na nogach buty na niewiarygodnie wysokich obcasach, ale idąc za przykładem innych, w końcu je zdjęłam i odstawiłam, żeby nie przeszkadzały nikomu w części jadalnej.

Po mojej lewej ręce usiadł Hamid, jeden z najbardziej lubianych przeze mnie kolegów z pracy. Pozdrowiłam go, a on odpowiedział swoim charakterystycznym szerokim i pełnym uroku uśmiechem, ukazując białe zęby. Był jednym z pierwszych, których poznałam w szpitalu i nauczyłam się odróżniać od reszty, mimo że nosił identyczną jak wszyscy mężczyźni saubę i czerwono-białą ghutrę w kratę. Niczym się one od siebie nie różniły i co więcej, nie różniły się także od pozostałych z jego garderoby. Każdego dnia ubierał się tak samo. W przyćmionym świetle jego uśmiech był odrobinę bardziej promienny niż zazwyczaj. Elegancka i bardzo krótka siwiejąca broda, która pokrywała znaczną część przystojnej twarzy, podkreślała idealne zęby. Z orzechowych oczu biło ciepło. Hamid zawsze był bardzo spokojny. Miał głos niczym aksamit i wermut - jednocześnie miękki i pełen głębi. Był atrakcyjny w niezwykle kuszący sposób, typowy dla mężczyzn, którzy nie zdają sobie sprawy z własnego uroku.

Pozostałe osoby były pochłonięte rozmowami z amerykańskimi gośćmi. Imad prowadził pewne badania na Bliskim Wschodzie, które okazały się przełomowe. Z tego co

słyszałam, wyniki jego prac były już znane w Stanach. Dziwiło mnie, że wcześniej nie dowiedziałam się tego od saudyjskich kolegów. Usłyszałam o jego osiągnięciach dopiero od naszych gości, co pewnie należało tłumaczyć zawiścią pracujących z nami lekarzy.

Obserwowałam, jak brylował w tym błyskotliwym międzynarodowym towarzystwie. Mimo że miał dopiero trzydzieści parę lat i był bez wątpienia najmłodszym pracownikiem naukowo-dydaktycznym na tym spotkaniu, jego wpływy albo (po arabsku) *wasta*^[66] miały najwyraźniej spory zasięg. Kilka miesięcy zajęło mu przygotowanie i zorganizowanie tego pierwszego sympozjum naukowego w regionie. Zazwyczaj spokojny, dzisiaj wyglądał na zestresowanego i zmęczonego, chyba że ściągnięte brwi świadczyły o emocjach bliskich szczęściu.

Był ubrany w markowe spodnie w kolorze khaki i niebieską koszulę w kratę od Ralph Laurena: saudyjski człowiek Zachodu. Wystawał mu biały podkoszulek, a rozpięty pod szyją guzik miał (w bardzo subtelny sposób) świadczyć o tym, że Imad jest wyluzowanym światowym człowiekiem. Za rozchylnym kołnierzykiem kryła się gładko ogolona, wyperfumowana wodą kolońską szyja. Ślady czarnego zarostu przebijały nieco przez jasną skórę opinającą wydatne, choć mięsiste jabłko Adama, które wystawało ponad kołnierzyk. Ukradkowe spojrzenie na jego szyję okazało się zaskakująco seksualnym doznaniem. Oczy rozszerzyły mi się z zainteresowania, tym większego, że w tym sterylnym świecie jakakolwiek seksualność była nieustannie skrywana. Pospiesznie spuściłam wzrok, by nie zdradzić pożądania.

Ciężki, przykuwający uwagę rolex wystawał, pobłyskując, spod lewego mankietu koszuli. Prawdopodobnie był to wodoszczelny zegarek do nurkowania na głębokość 100 metrów. Mimo to wątpiłam, czy Imad umie pływać; nie wyglądał na człowieka, który lubi aktywnie spędzać czas. Alabastrowe dłonie z zaskakującą delikatnością obracały drogi telefon komórkowy Motoroli. Czarna komórka i stalowy zegarek odbijały światło i rzucały je na pokryty wyschniętą gliną sufit. Imad odruchowo wyciągał i chował antenkę telefonu. Od czasu do czasu gdzieś dzwonił, jednocześnie spoglądając niebieskimi oczyma dookoła.

Nigdy nie widziałam go bez telefonu; znany był z tego, że nieustannie, co kilka tygodni, zamieniał go na nowszy model. Mimo że był dobrze wykształcony i zajmował wysoką pozycję społeczną, miał te same pragnienia co niespokojni nastolatkwie w Rijadzie.

Potrzebował najnowszych zabawek, by czuć się au courant. Chociaż teraz przybrał pozę osoby zrelaksowanej, jakby znajdował się w nadmorskim kurorcie, coś w jego zachowaniu zdradzało, że jest spięty, czujny, a przede wszystkim zdenerwowany. Przyglądałam mu się z uwagą, ale nie byłam w stanie stwierdzić, co go tak stresowało.

- Qanta, musisz tego spróbować - odezwał się Hamid.

Zobaczyłam, że na matach rozłożono obrusy. Pojawiło się jedzenie. Nie było żadnych przystawek czy aperitifów. Zaserwowano prawdziwą ucztę. Saudyjczycy w uroczystych strojach czekali ustawieni po jednej stronie, gdy pozostali wnosili półmiski z ryżem, koźliną, chlebem, oliwkami, serami i innymi delicjami. Hamid podsunął mi półmisek z ryżem. Nałożyłam sobie na talerz.

- Gdzie dorastałeś, Hamidzie? - zapytałam, uświadomiłam sobie bowiem, że bardzo niewiele wiem o moich kolegach, mimo że pracujemy ze sobą już od kilku miesięcy.

- Urodziłem się w niewielkiej wiosce pod Dżuddą. Jesteśmy Hidżazyjczykami! - Rzucił mi kpiący uśmiezek. - Mój ojciec był rybakiem, Qanta. Wypływał swoją malutką łodzią rybacką na Morze Czerwone i łowił jedzenie dla nas wszystkich. To, czego nie potrzebowaliśmy, sprzedawał. Pomagałem mu wyciągać sieci, a czasem także je naprawiać.

Przyjrzałam się jego wykrochmalonym mankietom i idealnie wyprasowanemu kołnierzykowi przy saubie, która była zapięta pod szyję. Trudno było sobie wyobrazić ręce syna rybaka, gdy patrzyłam na te zadbane dłonie, bardziej przyzwyczajone do stetoskopu niż sieci rybackich. Niebieska skuwka srebrnego pióra Waterman połyskiwała w kieszonce na piersi. Bez wątplenia przodkowie Hamida byli niepiśmienni. Na nadgarstku błyszczał prosty szwajcarski zegarek otoczony delikatnymi czarnymi włosami. Ojciec Hamida zapewne mierzył czas według wschodu słońca i pory odpływu, może nawet modlił się, dryfując na morzu. Ta rodzina przeskoczyła od rybaków do lekarzy na przestrzeni zaledwie połowy pokolenia.

- Ojciec nadal łowi ryby, chociaż oczywiście nie musi tego robić. Po prostu sprawia mu to przyjemność. Ma już siedemdziesiąt lat, kupiliśmy mu lepszą łódź, *ma sha Allah*; on wciąż kocha morze. Chciał, żebyśmy zdobył wykształcenie, to było dla niego bardzo ważne.

Ojciec nie umiał czytać.

Dobrze zgadłam. Mimo to Hamid studiował za granicą. Jak wielu lekarzy w Szpitalu Króla Fahda, był absolwentem Hamiltona (Ontario), a następnie uniwersytetu w Toronto. Miał kilka specjalizacji i, jak sama zauważyłam, był bardzo kompetentny.

- Kiedy Gwardia Narodowa ogłosiła, że chce sponsorować lekarzom wyjazd na Zachód, by zdobyli wykształcenie (tylko pod tym warunkiem, że po zakończeniu programu wrócą do kraju), ojciec namawiał mnie, żebym się na to zdecydował. Byłem pierwszą osobą w rodzinie, która wyjechała z kraju. Jak wiesz, Hidżazyjczycy w dużej mierze wywodzą się od migrujących pielgrzymów, którzy dekady wcześniej przyjeżdżali, aby odbyć hadżdż, i potem nigdy nie opuścili już kraju. Mieszkańcy Hidżazu są znani z zaradności i mieszanej krwi w przeciwieństwie do Nadżdyczyków tu, w Rijadzie. W każdym razie uczęszczałem do szkoły medycznej w Kanadzie dzięki rządowemu stypendium ufundowanemu przez Gwardię Narodową Arabii Saudyjskiej. Sponsorowano mi rezydenturę oraz podspecjalizację. Powróciłem jako jeden z pierwszych obywateli saudyjskich, którzy zdobyli takie kwalifikacje, i oczywiście zaproponowano mi pracę.

Dumny Hamid odchylił się i uśmiechnął na myśl o swoim osiągnięciu. Byłam ciekawa, czy jako obywatel saudyjski (który naturalnie zostałby mianowany na lepsze, wyższe stanowisko niż ktoś o takich samych kwalifikacjach wywodzący się z Zachodu) dostrzegął, że to bardziej przesłanki rasowe, a nie faktyczne osiągnięcia merytoryczne stanowiły główną siłę napędową jego szybkiej kariery na stanowisku administracyjnym. Nie zdobyłam się jednak na większą dociekliwość. Nie chciałam urazić tego przemiłego, szczodrego mężczyzny.

Kelner zaproponował mi danie mięsne, które dopiero co zostało przyniesione. Ostry zapach nie zachęcał do jedzenia. Niepewna, czy to woń mięsa, czy też pozbawionych butów stóp Hamida, choć nie miałam na to danie ochoty, przyjąłem talerz, nie chcąc obrazić saudyjskich gospodarzy. Przykry zapach drażnił moje nozdrza, więc zaczęłam szukać jego źródła; ostatecznie przypisałam tę woń potrawie. Zmusiłam się, by zjeść odrobinę łykowego mięsa polanego obficie jakimś gęstym sosem. Smakowało jeszcze gorzej, niż pachniało. Hamid spojrzał na mnie bardzo rozbawiony.

- I jak ci smakuje mięso wielbłąda, Qanta?

Natychmiast przestałam przeżuwać i, by odruch wymiotny nie wprawił mnie w zakłopotanie, z trudem przełknęłam trzymane w ustach kęsy, nie chcąc robić zamieszania. Czym prędzej ugryzłam chlebek pita, żeby zabić ostry smak. Przypomnieli mi się przepoceni sprzedawcy wielbłądów, którzy przychodzili czasem na OIOM, szukając rannych przyjaciół. Po ich wizycie na oddziale taki zapach utrzymywał się przez kilka godzin. Starając się nie dać po sobie nic poznać, spojrzałam na Hamida i zaczęłam formułować dowcipną odpowiedź. Widząc moje zakłopotanie, a zwłaszcza to, że z powodu odrażającego zapachu łzawią mi oczy, odchylił głowę i zaczął się głośno śmiać. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko pójść w jego ślady. Naprawdę dobrze się bawiłam.

Nagle, usłyszawszy niepokojące odgłosy, wszyscy zamilkliśmy. W jednej chwili zapomniałam o rybakach i sprzedawcach wielbłądów. Spojrzałam na Hamida - jego oczy wyrażały przerażenie. Docierały do nas gniewne okrzyki i głośne walenie w drzwi. Mimo że znajdowaliśmy się w prywatnym pomieszczeniu dyskretnej restauracji, zostaliśmy namierzeni.

To byli *mutawwa'in*.

^[66] *Wasta* - forma ochrony lub opieki związana między innymi z klanową strukturą społeczną oraz siecią nieformalnych powiązań funkcjonujących w kulturze arabskiej (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 24

Wahhabicki gniew

Wszyscy przestali jeść. W pomieszczeniu zapanował strach. Naprzeciwko mnie siedział pobladły nagle Alon, profesor z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa; cała krew odpłynęła mu z twarzy. Drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich złowrogi *mutawwa*. Byliśmy pełni najgorszych przeczuc.

Mutawwa z tryumfem wszedł do środka, przestępując przez skrzyżowane nogi gości. Stanął na środku mat z jedzeniem; obute w sandały stopy dotykały tac z sałatkami. Jego pochyłona szczupła sylwetka górowała nad nami, siedzącymi. Czuło się, że jest to podły człowiek o surowym charakterze. Zmrużone oczy błyszczały z radości, że udało się nas przyłapać: ponad tuzin mężczyzn i kobiet siedzących razem przy kolacji, a w dodatku kobiety były bez zasłon. Jego *biszt*, materiał z cienkiego brązowego muślinu, założony na białą szatę, drżał wraz z nim z emocji. *Mutawwa* zbierał się, by dać upust wściekłości. Zwilżył pełne purpurowe wargi grubym różowym językiem. Na twarzy z szorstkim zarostem pojawił się grymas gniewu. Czuliśmy się kompletnie bezsilni. Siedzieliśmy wręcz skuleni. Emanowało od niego zło.

Za drzwiami sali restauracyjnej słychać było, jak jego koledzy zatrzymują restauratora, kilku kelnerów i jedną kobietę (miała pecha, bo wracała z toalety, gdy zaczął się nalot). Dopiero teraz zauważyłam, że z pokoju jest tylko jedno wyjście, teraz zablokowane przez wahhabickiego *mutawwę*. Popatrzyłam na swoje szpilki, bezużyteczne w razie ucieczki. Znaleźliśmy się w pułapce. Nagle rozległ się krzyk. Wśród zgromadzonych dało się wyczuć niepokój. Naprawdę byliśmy w niebezpieczeństwie.

- Puszczaj mnie! To boli! Ała! - To był głos Diany bardziej oburzonej niż przestraszonej. - Nie masz prawa mnie dotykać! Jak śmiesz podnosić na mnie rękę? Na muzułmankę? Zobaczysz, mój mąż złoży skargę! Jestem zamężną muzułmańską kobietą. Jeszcze tego pożałujesz!

Diana prowokowała *mutawwa'in*. Była Amerykanką, mieszkała w Królestwie już ponad dziesięć lat, wyszła za Saudyjczyka i miała z nim dwoje dzieci. Towarzyszyła nam podczas kolacji, ponieważ pełniła funkcję organizatorki imprez. Blond włosy i biała skóra nie pozwalały się domyślać, że przeszła na islam, co zawsze było zaskoczeniem dla większości osób, które ją poznawały. Nawet dziesięć lat życia w Królestwie nie osłabiło jej lwiej, a może głupiej, odwagi. Nie znosiła policji religijnej.

W odpowiedzi na jej protesty padały niewybredne riposty w gardłowym arabskim. *Mutawwa* był coraz bardziej rozżłoszczony. Moje obawy zaczęły narastać. Kiedy *mutawwa*, jeden z wartowników, odwrócił się plecami, dałam sygnał Samiemu (egipskiemu toksykologowi, który siedział po przekątnej), żeby podał mi buty. Wysunęłam spod siebie bose stopy i zaczęłam wkładać mieniające się szpilki. Zdenerwowana, robiłam to bardzo niezdarnie.

Przyjaciele ostrzegali mnie przed gestapowskimi nalotami *mutawwa'in*. Tuż przed moim przyjazdem sekretarka ordynatora OIOM-u, kobieta z Zachodu, została wydalona z Królestwa za związek z mężczyzną z Zachodu, gdy przyłapano ich w restauracji w Rijadzie na wspólnej kolacji. Jego natychmiast deportowano, a ją umieszczono w areszcie domowym. Ostatecznie ludzie z konsulatu (australijskiego) doradzili jej powrót do Sydney jako najlepsze rozwiązanie.

Ostrzeżenia nie ograniczały się wyłącznie do expatriantów. Saudyjczycy także obawiali się policji religijnej, zarówno z powodu bezkrytycznego stosowania przez nią przemocy (pobicia dokonywane w jej areszcie były dobrze udokumentowane), jak przesłuchań i aresztowań, które kładły się cieniem na reputacji takiej osoby. Krążące patrole *mutawwy* stanowiły jeden z powodów, dla których nawet niewinny romans w Królestwie był czymś niedozwolonym i utrzymywanym w tajemnicy. Mężowie i żony w Rijadzie nigdy nie wychodzili z domów bez świadectwa ślubu. *Mutawwa'in* mogli w każdej chwili zażądać oficjalnego potwierdzenia stanu cywilnego tak od Saudyjczyków, jak i od nie-Saudyjczyków.

Żadne miejsce w Królestwie nie było bezpieczne. Nawet prywatne domy były narażone na naloty, jeśli podejrzewano, że odbywają się w nich jakieś zgromadzenia. Było to oczywiście teraz coraz trudniejsze, bo wiele domów należało do potężnych agencji, które zatrudniały expatriantów, co wyjaśniało też fakt, dlaczego na terenie Szpitala Gwardii

Narodowej nigdy nie było *mutawwy*. Saudyjska Gwardia Narodowa miała zbyt duże wpływy dzięki królewskiemu patronatowi. Została zresztą utworzona właśnie po to, by przeciwdziałać zagrożeniu monarchii ze strony *mutawwa'in*.

Uważa się, że inne bezpieczne schronienia w Rijadzie (wolne od ich „monitoringu”) to bardzo drogie posiadłości należące do słynnego bohaterskiego „wolnego księcia” znanego jako Al-Walid. Do tych szykownych knajpek, w których spotykali się potężni książęta i ludzie z otoczenia króla, zatrudniani przez państwo *mutawwa'in* nie mieli odwagi wkraczać, nie mówiąc już o aresztowaniu czy dręczeniu wpływowych gości. Zdenerwowanie wpływowego księcia mogłoby popsuć delikatne symbiotyczne relacje pomiędzy duchowieństwem a monarchią. Ale wpływy księcia Al-Walida, bratanka króla i piątego najbogatszego człowieka na świecie, bogactwo, które zdobył dzięki własnej roztropności, a nie wyprawdzaniu pieniędzy pochodzących z ropy naftowej, były na to zbyt potężne. W tym kontekście nie szokowało, że dzisiejszego wieczoru, w prywatnej restauracji w jakiejś nieznanej dzielnicy w centrum Rijadu, znaleźliśmy się na łasce *mutawwa'in*. Zastanawiałam się, jak, jeśli w ogóle, wrócimy do domu.

Mutawwa zażądał, żebyśmy po kolei podawali swoją narodowość.

- Egipska.

- Amerykańska.

- Kanadyjska.

- Bahrajńska.

- Jemeńska.

- Omańska.

Zatrzymał się na Imadzie, robiąc przerwę.

- Katarska - skłamał wyraźnie zakłopotany Imad.

Żaden z Saudyjczyków nie chciał przyznać się do swojej narodowości, nawet nasz gospodarz. I Hamid, sól tej ziemi, hidżazyjski Saudyjczyk, też się nie przyznał; udawał obywatela Kuwejtu. Byłam zniecierpliwiona. Ci mężczyźni naprawdę się bali. Po kilku minutach sytuacja jeszcze się pogorszyła.

Mutawwa zaczął przepytować Manal, która niedawno wróciła z UCLA^[67], gdzie zrobiła podspecjalizację. Oboje mówili po arabsku coraz bardziej podniesionym głosem. Manal miała podwójne obywatelstwo, zarówno amerykańskie, jak i saudyjskie. W przeciwieństwie do mężczyzn była arogancka, co wyprowadziło z równowagi tępych *mutawwa'in*. Wstrzymałam oddech, obawiając się najgorszego.

Przeprowadzka z UCLA do Rijadu była wyjątkowo trudna dla tak inteligentnej i pewnej siebie saudyjskiej kobiety jak Manal. Często wymieniałyśmy się spostrzeżeniami na temat problemów, z jakimi przychodzi nam się zmierzyć w Królestwie jako lekarkom. Czasami jej saudyjski mąż był jeszcze bardziej zbulwersowany niż my same. Manal, która miała wyzwolonego saudyjskiego ojca oraz bardzo nowoczesnego i wspierającego saudyjskiego męża, była niezmiernie dumna z tego, jaki wpływ na jej życie wywarli ci mężczyźni. Przypomniałam sobie, jak zaledwie kilka dni wcześniej opowiadała:

- Och, Qanta, mój ojciec jest niesamowity! Szczególną przyjemność sprawia mu sprowadzanie na ziemię aroganckich facetów. Uwielbia słuchać, jak rozprawiają o niższej pozycji kobiet, by później zawstydzić ich słowami: „*Ma sha Allah, moje córki, jedna - pediatra, a druga - kardiolożka, są o wiele bardziej błyskotliwe niż mężczyźni w naszej rodzinie. Geny odpowiedzialne za inteligencję odziedziczyły po matce!*”. To zazwyczaj ich ucisza. - Zaśmiała się głośno. - Ojciec mówi o sobie „feministyczny despota”. Jest tak irracjonalnie i fanatycznie prokobiecy!

Po powrocie do Rijadu Manal zetknęła się z antytezą filozofii ojca. Chociaż minęło zaledwie kilka tygodni, *mutawwa'in* już wydawali się jej nieznośnie ordynarni. Nawet ja zdążyłam się przyzwyczaić i przyjmowałam ich działania z większą powściągliwością, ona natomiast zawsze wchodziła z nimi w otwarty konflikt. Będzie się musiała od nowa nauczyć zasad obowiązujących podczas spotkań. Mówiła podniesionym głosem, co świadczyło o jawnej złości. Poprosiłam Samiego, żeby tłumaczył.

- Ona mówi, że *mutawwa* przynosi Królestwu wstyd - wyszeptał. - Że wprawia w zakłopotanie wszystkich zagranicznych delegatów, którzy odwiedzają naszą instytucję. Mówi, że nie mają podstaw, żeby przeprowadzać taką kontrolę. Że *mutawwa* upokarza saudyjskich gospodarzy, którzy usiłują pokazać światu postępy, jakie poczyniła nasza nauka i medycyna. Pyta, czy on zdaje sobie sprawę z tego, że wśród nas są chrześcijanie, dla których jest to pierwszy kontakt z islamem?

Poczułam się zażenowana. Czy Manal mogła powiedzieć coś, co by jeszcze bardziej rozsierdziło *mutawwę*? Sami tłumaczył dalej:

- Wy, policja religijna, pokazujecie rzeczywistość Rijadu. Wciąż bardzo zacofane i prymitywne społeczeństwo, w którym rządzi jedynie wahhabicki islam! - Przerwał tłumaczenie, ponieważ wściekłość zarówno Manal, jak i *mutawwy* osiągnęła apogeum.

Mutawwa nachylał się właśnie nad Manal, poczerwieniały ze złości. Manal miała twardego charakter. Jej gniew był zatrważający. Kremowe policzki pokrył rumieniec, czarne jak węgielki oczy niebezpiecznie płonęły. Oboje niemal stykali się podbródkami w czasie tego starcia; jej podbródek z dołączkiem, jego cofnięty. Wahhabicki duchowny i saudyjska pracownica naukowo-dydaktyczna byli równie zaciekli. Trudno ocenić, które z nich było bardziej dogmatyczne. Hiperortodoksyjny klimat Rijadu potrafił zmienić w fanatyków nawet osoby o umiarkowanych poglądach. Nie było żadnych szans na znalezienie płaszczyzny porozumienia.

- Manal, przestań, proszę. Już wystarczy. Pogarszasz tylko sytuację - dał się słyszeć spokojny głos Imada, gdy duchowny i lekarka znaleźli się w impasie. - Proszę, Manal, nie ma sensu się z nim kłócić. Jeszcze bardziej go tylko rozjuszasz.

Spojrzałam na Imada - był blady ze zdenerwowania; przebiegowi wydarzeń towarzyszyło ogromne napięcie. Spocone czoło pobłyskiwało w świetle lampki. Pomimo tej ciężkiej próby wciąż udawało mu się jednak zachować spokój. Był mistrzem samokontroli.

Manal została poniżona tą publiczną reprimendą ze strony wyższego rangą kolegi po fachu. Co więcej, Imad zwracając jej uwagę po angielsku, sprawił, że wszyscy goście

rozumieli, o co mu chodzi. Wybuchowy temperament Manal działał na naszą niekorzyść i jeszcze bardziej nas pogrążał. Właśnie się zastanawiałam, czy *mutawwa* też zrozumiał, co powiedział Imad, kiedy zauważyłam, że skierował się prosto do mnie. Byłam sparaliżowana jego zimnym spojrzeniem. Wszystkie oczy zwróciły się w moją stronę.

Odezwał się do mnie w niezrozumiałym arabskim. Patrzyłam skonsternowana, gdy wyrzucał z siebie jadowite słowa. Wyczuwając zagrożenie, chwyciłam torebkę i przysunęłam bliżej, ostrożnie zasuwając zamek. W środku znajdował się mój paszport (z powodu przygotowań do zbliżającej się podróży). Nie chciałam, żeby *mutawwa* zobaczył charakterystyczne brytyjskie insygnia wybite na rdzawoczerwonej skórzanej okładce. Nawet analfabeta rozpoznałby, że to paszport brytyjski. Możliwe, że *mutawwa* żywił wyjątkową niechęć do muzułmanów żyjących na obczyźnie, którzy mieszały się z ludźmi z Zachodu. Nieoczekiwanie zamilkł i patrzył na mnie wyczekująco. Najwidoczniej zadał mi jakieś pytanie. Nikt nie pospieszył z tłumaczeniem, więc odpowiedziałam:

- Nie mówię po arabsku. - Uciekając się do kolonialnych korzeni moich przodków, wypowiedziałam te słowa wytworną angielszczyzną, z akcentem, który miałam zarezerwowany na szczególne okazje. Wydobywający się z mojego ściśniętego gardła głos zaskoczył mnie samą; brzmiał o kilka oktaw wyżej niż zazwyczaj.

- Nie mówisz po arabsku? - zadrwił, przedrzeźniając mnie.

Byłam zaszokowana, że w ogóle potrafi powiedzieć cokolwiek po angielsku. Prawdopodobnie zrozumiał wszystko, co Imad mówił do Manal. Nasz strach sprawiał mu wyraźną satysfakcję, a teraz w dodatku nie mogliśmy się nawet bezpiecznie porozumiewać między sobą po angielsku. Nachylił się jeszcze bliżej.

- Jestem Brytyjką! - odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby, z trudem powstrzymując złość.

- Och, a więc jest pani Brytyjką? - szydził. - Proszę pokazać swój paszport! Gdzie on jest? Proszę mi pokazać!

Wszyscy siedzieli cicho. Byłam w kropce. Jeśli wyjmę paszport, istnieje realne

niebezpieczeństwo, że on go skonfiskuje, a ja wyląduję w areszcie na łasce *mutawwa'in*. Jeśli jednak odmówię, możliwe, że zostanę ukarana jak Saudyjka. Nie byłam pewna, co jest gorsze. Rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiejś rady ze strony kolegów, ale oni siedzieli sparaliżowani strachem. Z zapartym tchem czekali na moją odpowiedź. Nawet Sami przestał się uśmiechać, co było wyjątkowo niepokojące. Imad, który zwykle miał twarz pokerzysty, teraz zbladł jeszcze bardziej. Zerknęłam na niego, ale tylko beznamiętnie odwzajemnił moje spojrzenie niczym saudyjski sfinks; zdążyłam się już zorientować, że miał to opanowane do perfekcji. Kierownicze stanowiska w Królestwie wymagały nieprawdopodobnej umiejętności skrywania emocji. Może dlatego udało mu się zająć tak wysoko i w tak młodym wieku zostać gwiazdą.

- Proszę pokazać swój paszport! - nalegał *mutawwa*.

Zastanawiałam się, czy dostrzegł koronę Jej Królewskiej Mości, wystającą z kieszonki mojej torebki, gdzie wcześniej tego samego wieczoru mimochodem wsunęłam paszport. Postanowiłam, że będę szczerą. W końcu odzyskałam równowagę i zdałam sobie sprawę, że *mutawwa* działa bez wsparcia oficera saudyjskiej policji. Zgodnie z moją wiedzą, jeśli nie towarzyszył mu policjant, nie miał prawa tak nas dręczyć.

- Nie wydaje mi się, że powinnam pokazywać paszport. - Staralam się być stanowcza.

- Nie wydaje ci się, że powinnaś pokazać paszport? - przedrzeźniał mnie złośliwie.

Gdyby nie to, że byliśmy tak przerażeni, sytuacja zmierzała w stronę dziwacznej komedii w stylu Monty Pythona. Z nerwów poczułam gwałtowną potrzebę śmiechu.

- Tak. Nie wydaje mi się - powtórzyłam niemal wyniośle. Wracała mi pewność siebie.

Przepychanki na zewnątrz rozpraszają *mutawwę*. Nagle szybko się odwrócił, zawirowawszy bisztem i saubą, i opuścił pomieszczenie.

Z przedsionka dochodziły pełne niepokoju protesty Banglijczyków. Głosy stopniowo cichły. Usłyszeliśmy, że przed restauracją zatrzymał się jakiś samochód i po chwili odjechał. Kelnerzy zostali zatrzymani, ponieważ obsługiwali mieszane towarzystwo; zabrano ich do

aresztu *mutawwa'in*. Restaurator wciąż był przesłuchiwany. Gdy *mutawwa* wyszedł, zwróciliśmy się do Imada, by jakoś ratował sytuację. Alon wyglądał tak, jakby było mu niedobrze. Poluzowywał krawat i lnianą serwetką ocierał pot z czoła. Nie przestawał się pocić.

- Imad! Musisz coś zrobić! - zażądała Manal, zła na *mutawwę* za uwięzienie nas na miejscu i na Imada, który dał jej ostrą reprimendę.

- Uspokój się, Manal - odpowiedział, panując nad nerwami. - Wykonałem już kilka telefonów. Gwardia Narodowa wkrótce tu przybędzie, żeby odwieźć panie z powrotem do kompleksu, mężczyźni także zostaną uwolnieni.

Patrzyliśmy na niego w osłupieniu. Niechętnie zaczął wyjaśniać:

- Gdy tylko usłyszałem, że wchodzi, zadzwoniłem do dyrektora.

Nowy dyrektor generalny musi być zatem wpływową osobą, domyśliłam się. Nie znałam zasięgu jego wasty (wpływow).

- Zadzwoniłem do *doktora* Fahada - ciągnął Imad - który był wcześniej naszym dyrektorem generalnym, a teraz jest wysoko postawionym doradcą następcy tronu. - Wyjaśniał to tym, którzy jeszcze tego nie wiedzieli. - On uruchomił biuro następcy tronu. Stamtąd zadzwonili do samego następcy tronu w pałacu, a ten zalecił, by gubernator Rijadu odwołał *mutawwa'in*. To tylko kwestia czasu.

Wpatrywaliśmy się w niego z niedowierzaniem. Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, wymagała interwencji na szczycie saudyjskiej monarchii.

- Nie martwcie się - pocieszał nas Imad. - Zachowajcie spokój. Wkrótce się stąd wydostaniemy - zakończył.

A więc jego nieustanne rozmowy telefoniczne były częścią negocjacji, które miały nam pomóc się stąd wydostać. Nawet pod tak ogromną presją stanął na wysokości zadania.

Przyglądałam mu się badawczo. Czułam ulgę, że miał dojście do najwyższych władz saudyjskich, ale płąsy, jakie musiał wykonać, żeby nas uwolnić, bardzo osłabiały jego pozycję. Nie mógł tak po prostu wyprowadzić całej naszej grupy; żeby zapewnić nam bezpieczeństwo podczas opuszczania lokalu, musiał się odwołać do całej sieci wpływów książąt i dworzan. Choć było oczywiste, że miał wastę (w końcu znał wszystkie potrzebne telefony), a wasta jest wysoko ceniona w arabskiej, a szczególnie saudyjskiej kulturze, brak osobistych wpływów, dowiedziony potrzebą polegania na wście innych osób, był bolesnym udokumentowaniem jego bezsilności zarówno jako mężczyzny, jak i lidera. Ani jako jednostka, ani nawet członek ścisłej kadry zarządzającej, znajdujący się na szczycie saudyjskiego systemu opieki medycznej, nie miał wystarczających wpływów, by samodzielnie oddalić *mutawwa'in*.

Patrzyłam, jak w napięciu poprawia kołnierzyk koszuli. Wyglądał na bardzo wpływowego, a jednocześnie bardzo słabego człowieka. Jego władza była tylko mirażem; męskość manifestowana za pośrednictwem telefonu komórkowego. Tak jak dobrze sytuowani chłopcy, którzy ścigali się swoimi ferrari w kolorze czerwonej szminki, tak i on został przez *mutawwa'in* publicznie pozbawiony męskości. Zdałam sobie sprawę, że to nie był pierwszy raz. Jego wasta nigdy nie wykroczy poza kolekcję numerów telefonów. W świecie rządzonym przez monstrualnych rozmiarów monarchię i potwornych *mutawwa'in* Imad był tylko sługusem.

Zapadła niezręczna cisza. Wystygły ryż i stwardniały chleb przypominały nam o żalnym niepowodzeniu wieczornego spotkania. Imad, bardziej niż ktokolwiek, został upokorzony tym nalotem. Jako gospodarz naraził nas na niebezpieczeństwo.

Mutawwa wrócił do pomieszczenia, ale coś się zmieniło. Cały entuzjazm zniknął z jego wściegłego oblicza. Patrzył po kolei na każdego z nas i obdarzywszy mnie szczególnie paskudnym spojrzeniem, odwrócił się w stronę wyjścia na szeroko rozstawionych nogach. Niczym czarnoksiężnik zniknął pod osłoną swojej płaczącej się brązowej peleryny.

Kilka minut później kierowca Gwardii Narodowej wszedł do pomieszczenia, informując nas, że autobus czeka już na zewnątrz, by bezpiecznie odwieźć kobiety. Szybko wstałyśmy i szczelnie okryłyśmy się abajami. Manal wyprowadziła nas z lokalu. Miała zwyczajowy hidżab, zasłoniła jeszcze twarz, ale nawet dodatkowe fałdy materiału nie były

w stanie ukryć jej emocji. Ja zakryłam jedynie włosy i dołączyłam do czterech kobiet, które szły gęsiego przede mną. Zastanawialiśmy się nad dalszym losem mężczyzn, których zostawialiśmy w restauracji, a oni obserwowali nas w milczeniu. Wyglądali na skrępowanych i zmartwionych. Wśród nich stał Imad: mieszanka poniżenia i ulgi. Przynajmniej kobiety z jego przyjęcia dotrą bezpiecznie do domów.

W przedśionku lokalu otoczyli nas faceci w brązach. Z każdej strony tuzin. Zdumiewające, że wysłano aż tylu *mutawwa'in*, by rozwiązać to nasze rozpustne wieczorne spotkanie. Na czele grupy stał złośliwy *mutawwa*, który przez ponad godzinę przetrzymywał nas jak zakładników. Razem wyglądali jeszcze bardziej przerażająco, ale powstrzymywał ich autorytet następcy tronu i gubernatora Rijadu - nałożono im kagańce niczym dzikim psom.

Cofając się z niesmakiem, pozwolili nam przejść. Cali płonęli, niemal ziali pogardą. W pośpiechu wyszliśmy na ulicę, która, ku naszemu zdziwieniu, była wciąż tak samo wyludniona jak w chwili, gdy przyjechaliśmy na miejsce. To była ślepa uliczka, żadnego większego ruchu, prowadziła jedynie do dyskretnego bocznego wejścia restauracji. Aż do chwili gdy znalazłyśmy się bezpieczne za zamkniętymi drzwiami autobusu i kierowca ruszył, żadna z nas nie śmiała się odezwać. W końcu Diana wybuchła:

- Ci *mutawwa'in* są niewiarygodni. Niech no tylko mój mąż o tym usłyszy!

Nieustannie mnie zadziwiała, że kobiety zawsze powoływały się na męski autorytet, szukały w nim oparcia.

- Szarpał mnie za ramię, chwycił mnie! Nie mogę w to uwierzyć. Dlatego właśnie krzyknęłam. Pamiętajcie, jak krzyknęłam „ała”? - relacjonowała z przejęciem. - Prawdę mówiąc, zrobiłam to tylko po to, żeby go przestraszyć. Mógłby wpakować się w niezłe tarapaty za maltretowanie kobiety! I przestraszył się, tchórz jeden. Nic mi przecież nie zrobił. - Po czym, śmiejąc się na cały głos, podciągnęła rękaw abai, odsłaniając pulchne kremowe ramię. Z wyraźną satysfakcją wskazała palcem na złote bransoletki. - Widzicie, nie ma żadnych siniaków! - Zaśmiała się kokieteryjnie.

Nie wiedziałam, co myśleć. Byłam na nią zła. Ewidentnie bawiła ją ta sytuacja, jakby to była gra. Czyżby nie rozumiała, że sprawy mogły przyjąć o wiele gorszy obrót, gdyby

mutawwa'in inaczej zareagowali na jej zaaranżowaną histerię? Ponieważ organizowała czas naszym zagranicznym gościom, byłam oburzona. Jej błazeństwa dodatkowo uprzykrzyły nam te trudne chwile. Nie wykazała ani odrobiny troski o nasze bezpieczeństwo.

Inne kobiety (z których dwie należały do amerykańskiej kadry) milczały jak głazy i z ulgą przyjęły fakt, że jesteśmy bezpieczne. Jedna z nich w końcu się odezwała:

- Fatalnie się czułam z powodu Alona. Widziałyście, jak zbladł, gdy pojawił się *mutawwa*? Jego żona bardzo się martwiła, kiedy się okazało, że w ogóle przyjął zaproszenie na to sympozjum. Zadzwoiła do mnie, żebym odwiodła go od tego pomysłu. Obawiała się, że ktoś odkryje, jakiego Alon jest wyznania, a wtedy znajdzie się on w niebezpieczeństwie. Była wściekła, że zdecydował się jednak na przyjazd.

Czułam się w obowiązku odezwać:

- Masz na myśli to, że Alon jest Żydem? I udało mu się wjechać do Królestwa?

- Oczywiście - odpowiedziała Amerykanka, także przedstawicielka Hopkinsa. - Imad go zaprosił. Wiedział, że Alon jest Żydem. Wszyscy tutaj o tym wiedzą. W dokumentach wizowych zaznaczył, że jest chrześcijaninem, rzecz jasna. Ale Imad gwarantował mu bezpieczeństwo pod warunkiem, że przez cały czas będzie się trzymał z grupą uczestników sympozjum. Możesz sobie wyobrazić, jaki koszmar przeżywał dzisiaj wieczoru. Gdyby *mutawwa'in* odkryli, że jest wśród nas Żyd, kto wie, jak by się to wszystko skończyło.

Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym. Kto wie, co mogło się wydarzyć w Rijadzie, gdzie wahhabici, upoważnieni przez państwo, byli u władzy?

- Co za dureń - powiedziałam. - Jak on mógł się zgodzić na ten przyjazd? Powinien zdawać sobie sprawę z tego, jaka atmosfera panuje tutaj obecnie. Jego egoistyczna decyzja, by się pojawić wbrew zdrowemu rozsądkowi i ostrzeżeniom żony, była najzwyczajniej głupia. Dzisiejszy wieczór mógł się skończyć o wiele gorzej! Czy on nie wie, że Żydów nigdy nie wpuszcza się do Królestwa? Imad z całą pewnością ma wysoką pozycję, ale nie jest aż tak wpływowy. - Przynajmniej mi się wydawało, że ma wysoką pozycję, ale sądząc po jego zależności od dostępu do strefy wpływów za pośrednictwem telefonu komórkowego, było

jasne, że stał na szarym końcu saudyjskiego biurokratycznego łańcucha pokarmowego. Nie był w stanie zagwarantować Alonowi bezpieczeństwa w większym stopniu niż ja. Zapadła przytłaczająca cisza.

Słyszałam wcześniej pogłoski o żydowskich społecznościach w Królestwie, które żyły w niewielkich grupkach pod opieką prominentnych rodzin królewskich. Jedna z zasłyszanych opowieści mówiła o wybitnych żydowskich lekarzach zatrudnionych specjalnie, by opiekować się członkami rodziny królewskiej. Ci Żydzi otrzymali ochronę i wraz z rodzinami prowadzili hermetyczne życie w Rijadzie. Nie wiedziałam, ile w tym prawdy, ale pamiętałam relacje żydowskich dzieci, które uczyły się w międzynarodowej szkole, w której przez lata pracowała moja koleżanka Katherine. Ich rodzice byli specjalistami, wszyscy pracowali w Królestwie. Część z nich przyjechała tu na kilka miesięcy, ponieważ ich kompetencje zostały zauważone i docenione przez pewnego ważnego członka rodziny królewskiej. Inni przyjeżdżali tylko z krótkimi wizytami, by wydać opinie na temat stanu zdrowia członków rodziny królewskiej. To byłam w stanie potwierdzić na podstawie własnych doświadczeń.

Przynajmniej jeden bardzo doświadczony pulmonolog, wybitny amerykański lekarz żydowskiego pochodzenia z kliniki w Cleveland, został wysłany do Rijadu z uwagi na swoje uznane na całym świecie kompetencje. Został poproszony o przyjazd do bardzo ważnego księcia. W szpitalnej stołówce w Stanach podczas lunchu zrelacjonował mi swój pobyt.

Księżę nabawił się ciężkiego zapalenia płuc i jego stan się nie poprawiał. Lekarz miał wyrobić sobie opinię po endoskopowym badaniu dróg oddechowych - bronchoskopii - pod działaniem środków uspokajających. W Królestwie jednak, kiedy profesor wyjaśnił, na czym polega ten zabieg, księżę nie przyjął do wiadomości, że z badaniem wiąże się minimalne ryzyko śmierci, czym unieważnił swoją wcześniejszą zgodę. Zażądał gwarancji, że przeżyje zabieg niezależnie od okoliczności. Lekarz, nie mając wyboru, wykonał badanie, które zgodnie z przewidywaniami przebiegło bez powikłań. Dzień czy dwa dni później wrócił do kliniki. Nawet w stołówce wzdrygnął się na myśl o konsekwencjach, jakie mogłyby go spotkać, gdyby księżę zmarł w trakcie zabiegu. W czasie pobytu w Królestwie lekarz mieszkał w eleganckiej zamkniętej dzielnicy, nie miał dostępu do żadnego szpitala ani nie widział samego miasta. Niezbędną aparaturę medyczną zapewniono mu w pałacu.

Inni opowiadali mi historie o żydowskich rabinach, którzy przyjeżdżali do Królestwa

w czasie wojny w Zatoce. Szczególnie zapamiętałam jedno wydarzenie, o którym mówił znajomy z Kanady, chirurg szczękowo-twarzowy ze szpitala.

- Pod koniec lata i na początku jesieni 1990 roku, gdy trwały przygotowania do ataku na Irak, miał miejsce ogromny napływ amerykańskiego personelu wojskowego do Królestwa. Nasz szpital został wyznaczony do przyjmowania przypadków urazów ortopedycznych i oparzeń (według przewidywań miało to być wiele setek pacjentów, a ostatecznie było kilkudziesięciu). Dwie wojskowe rezerwowe jednostki medyczne (z Georgii i Pensylwanii) przybyły do szpitala i zostały wcielone do zespołu. Składały się z różnych specjalistów, włączając w to chirurgów, pielęgniarzy i farmaceutów. Oczywiście byli to ludzie różnych religii, w tym wielu wyznań chrześcijańskich, a także amerykańscy Żydzi. - David zamyślił się przez chwilę. - Teraz, jak o tym myślę, przypominam sobie nawet jedną pielęgniarkę, która była amerykańską muzułmanką. W każdym razie jeden z Amerykanów został moim partnerem do gry w tenisa. Był Żydem. Powiedział mi, że w Stanach nakazano mu pozbyć się religijnego tytułu z identyfikatora. Armia przyjechała z duchownymi różnych wyznań, ponieważ w Rijadzie i całej Arabii Saudyjskiej znajdowały się tysiące wojskowych. Wśród duchownych byli więc katolicy księża, protestancy pastorzy i rabini. Wszyscy oficjalnie figurowali jako „oficerowie wychowawczy”, tak by Saudyjczycy nie poczuli się urażeni.

Wiedziałam, że nawet armia amerykańska nie mogła sobie pozwolić na to, by dowiedziano się, że Żydzi wjeżdżają do Królestwa. Sytuacja Alona jako gościa, który przyjeżdża bez osobistego upoważnienia królewskiego patrona, była o wiele bardziej kłopotliwa niż oficera wychowawczego, za którym stała potęga armii amerykańskiej. Znałam kilku wybitnych naukowców, amerykańskich Żydów, którzy z obawy o własne bezpieczeństwo nie przyjęli zaproszenia i nie wygłosili wykładu na sympozjum w Królestwie. Zagrożenie z całą pewnością nie było pozorne. Ze strony zacieklej *mutawwa'in* było jak najbardziej realne.

Autobus wjechał na teren kompleksu wojskowego. Widok żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy machali, dając pozwolenie na wjazd, i opuszczali za nami szlaban, odcinając tym samym drogę *mutawwa'in*, przyniósł ulgę. Poczułam się bezpieczna. Uświadomiłam sobie, że bardzo uwierają mnie buty, tak jakby wróciło mi wreszcie czucie. Byłam wykończona tym wieczorem. Wygramoliłam się z autobusu i dotarłam do swojego mieszkania. Odłożyłam klucze na kredens i wybrałam numer do Imada. Natychmiast odebrał.

- Imad, czy wszystko w porządku? Gdzie jesteś? - zapytałam.

- Jestem już w domu, w willi. Wszyscy mamy się dobrze. *Mutawwa* odeszli zaraz po tym, jak opuściliście restaurację. Zapłaciłem rachunek i odwoziłem pozostałych gości do hotelu. Alon był trochę roztrzęsiony, ale nic się nie stało. Martwiłem się o Dianę. Co z nią?

- Wszystko w porządku! - odpowiedziałam poirytowana. - Ona tylko udawała, że coś jej się stało, żeby przestraszyć *mutawwa'in*. Głupia baba.

Imad milczał, czym jeszcze bardziej mnie wkurzył.

- To było straszne. Słyszałam o nalotach policji religijnej, ale nigdy nie podejrzewałam, że kiedykolwiek tego doświadczę. Dasz wiarę, że on myślał, że jestem Saudyjką, kiedy usiłował rozmawiać ze mną po arabsku?

- Wiem - odpowiedział bez przekonania - ale to, co najbardziej nie daje mi spokoju, Qanta, to pytanie, skąd oni wiedzieli, że tam jesteśmy? Mam na myśli to, że nikt nie wiedział o tym spotkaniu, z wyjątkiem organizatorów sympozjum. Rozumiesz, co mam na myśli? Ktoś nasłał na nas *mutawwa'in*.

Powoli docierało do mnie, co mówił, i oczy zaczęły mi się rozszerzać ze zdumienia.

- To ty masz takich wrogów, Imadzie? - zripostowałam. - Ludzie związani ze Szpitalem Gwardii Narodowej mogliby chcieć publicznie cię zranić? Kto według ciebie mógłby to zrobić?

- Mam wielu wrogów, Qanta, dobrze o tym wiesz. - Zachichotał, wyraźnie usatysfakcjonowany swoją złą sławą.

Rozmawialiśmy już o tym wcześniej. Błyskotliwe sukcesy naukowe oraz zawodowe Imada spotykały się w szpitalu z szaloną zazdrością. Mimo pewnych ograniczeń, jakie wiązały się z tym, że jestem kobietą i nie mówię po arabsku, dostrzegałam wrogość, która nieustannie go prześladowała.

- Uważam, że mógł to być Qasim. Zawsze podejrzewałem, że mnie nie lubi.

- Qasim? Ale on jest przecież podrzędnym pracownikiem; rezerwuje miejsca, organizuje transport.

- Tak, Qanta - przerwał mi Imad. - Ale to jedyna osoba poza Maleą, moją sekretarką, która wiedziała, dokąd się wybieramy dzisiejszego wieczoru. A przecież Malea nigdy by tego nie zrobiła.

Zgadzałam się z tym. Malea, Filipinka, była bardzo lojalna i zachowywała się wręcz opiekuńczo w stosunku do swojego przepracowanego szefa. Na pewno nigdy by mu czegoś takiego nie zrobiła.

- I zapewniam cię, Qanta, że osobiście sprawdziłem tę lokalizację w ubiegłym tygodniu. Z rozwągałem wybrałem to miejsce, ponieważ *mutawwa'in* zazwyczaj się w nim nie pojawiają i jest bardzo dyskretne. Znajduje się na uboczu. Zauważyłaś boczne wejście? Nie można dostrzec tego, kto wchodzi od tej strony. Jedynie informator mógł doprowadzić tam policję religijną. Ten nalot został zaplanowany. Qasim prawdopodobnie był opłacony. Ale przez kogo, nie mam pojęcia.

Ja również tego nie wiedziałam. Imad był jedną z nielicznych osób w szpitalu, które mogły zorganizować międzynarodowe spotkanie. To, że ktoś chciał skrzywdzić go w taki sposób i sprowadzić zagrożenie na gości, było nie do pomyślenia.

- Kto wiedział, że Alon jest Żydem?

- Och, Qanta, ty też o tym słyszałaś? - Był zaskoczony. - Alon powiedział mi, kiedy byliśmy na spotkaniu w Stanach. On naprawdę chciał przyjechać i, rzecz jasna, ja chciałem, żeby zobaczył naszą pracę. Omówiłem to z dyrektorem generalnym. Zagwarantował mi bezpieczeństwo. Ale Alonowi nigdy nie wolno było odłączyć się od grupy i pójść samemu do miasta. Ostrzegałem go, że nie będę w stanie zapewnić mu ochrony poza miejscami, w których będziemy razem, a tymczasem dzisiejszego wieczoru ledwie mi się to udało.

- Czy ktoś jeszcze wiedział, że on jest Żydem, Imad? Dobrze się zastanów.

Imad się zamyślił.

- Nie, Qanta, nawet tobie o tym nie powiedziałem. - Zawahał się, po czym dodał: - A przecież ostatnio o wszystkim rozmawiamy.

To stwierdzenie odnosiło się do naszej nieśmiałej przyjaźni, która w ostatnim czasie rozkwitała. Pozwoliłam sobie na pierwszy uśmiech.

- Celowo nikomu o tym nie wspominałem, żeby ta informacja się nie rozeszła. Nie sądzę nawet, żeby amerykańscy koledzy wiedzieli, chyba że Alon sam się im przyznał. Jestem jednak pewien, że jego żona ze strachu wymogła na nim dyskrecję. Nawet zadzwoniła do mnie w tej sprawie.

- No dobrze, a jakie są plany na jutrzejszy dzień? Gdzie zaprosicie gości na kolację? Skąd pewność, że dotarcie tam całą grupą wraz z tym informatorem, kimkolwiek jest, będzie bezpieczne?

- To żaden problem, Qanta; organizujemy kolację w kasynie oficerskim w bazie wojskowej Gwardii Narodowej. *Mutawwa'in* nie mogą tam wejść. Będziemy bezpieczni. Przyjdiesz, prawda? Na miejscu będzie syn następcy tronu, książę Salman. Koniecznie musisz go poznać.

Życzyliśmy sobie dobrej nocy, po czym odłożyłam słuchawkę i pogрузyłam się w myślach. Mój ostatni kontakt z *mutawwa'in* był najbardziej nieprzyjemny. Wszystko, przed czym przestrzegali mnie moi przyjaciele i znajomi, a co dotyczyło policji religijnej, okazało się tak przykre, jak mówili. Nie było żadnej przesady w stwierdzeniu, że *mutawwa'in* dysponowali przerażającą władzą. Jedyne ludzie sprawujący wyższe funkcje, związani z monarchią, byli w stanie zapewnić ochronę uprzywilejowanym czy mającym jakieś powiązania jednostkom. Gdyby nie to, my, kobiety, tkwiłybyśmy zamknięte w areszcie domowym, a mężczyźni występowałiby we własnej sprawie w garnizonie *mutawwa'in*, negocjując za pośrednictwem ambasad bezpieczną deportację. Los Alona byłby trudny do przewidzenia, szczególnie w tym gorącym okresie antyzachodnich nastrojów.

Mutawwa'in stanowili część saudyjskiej kultury; byli otoczeni złą sławą i mieli opinię dość tępych. Po Rijadzie stale krążyły plotki, że współcześni *mutawwa'in* to byli więźniowie, którzy wyszli na wolność dzięki temu, że nauczyli się na pamięć Koranu i poddali wahhabickiej indoktrynacji. Prawdopodobnie zatem byli więźniowie stali się ziejącymi ogniem kaznodziejami. Wśród expatriantów to przekonanie było bardzo rozpowszechnione, ale nie usłyszałam żadnego potwierdzenia z ust znajomych Saudyjczyków. Nie wyobrażałam sobie, jakiego rodzaju przestępstwa mogłyby zostać uchylone przy tak surowej interpretacji prawa szariatu, jaką praktykowano w Rijadzie. Bez wątplenia jednak za *mutawwa'in* stała burzliwa historia skomplikowanych i sprzecznych interesów. W końcu zrozumiałam, dlaczego tak bardzo się ich obawiam.

Faceci w brązie, którzy sterroryzowali nas dzisiejszego wieczoru, należeli do Komisji do spraw Szerzenia Cnoty i Zapobiegania Występkowi (*Hajat al-amr bi-l-maruf wa-n-nahi an al-minkar*), organizacji powszechnie znanej właśnie jako *mutawwa'in*^[68]. Została ona powołana na początku XX wieku przez samego króla Abd al-Aziza, władcę-założyciela Królestwa, by kontrolować fanatyzm ichwanów (braci), którzy byli zbrojnym ramieniem religijnie zindoktrynowanych radykałów beduińskiego pochodzenia, siłą, wraz z którą rodzina Saudów podbiła ogromne terytorium wymarłej Arabii. Za sprawą ichwanów Saudowie byli w stanie zyskać plemienną i militarną przewagę na rozległych obszarach Półwyspu Arabskiego. Jak na ironię ułatwiło im to osiągnięcie celu, jakim była władza absolutna; przy pomocy grup beduińskiego pochodzenia zwalczyli beduiński styl życia, który funkcjonował aż do momentu, gdy wcielili w życie swoje ambicje.

Wówczas radykalizm religijny ichwanów był wygodnym pretekstem do tego, by przekonać zasadniczo odmienne klany do zjednoczenia się w celu „oczyszczenia” i zwalczania „niewiedzy”, zwanej także po arabsku dżahilijją (słowo oznaczające niewiedzę jest właściwie równoznaczne z „duchowymi ciemnościami”). Wysiłki ichwanów miały na celu zastąpienie prymitywnej kultury radykalnym islamem. Strategia militarna była zatem realizowana pod przykrywką słusznych idei.

W taki oto sposób Saudowie za pośrednictwem ichwanów uzyskali wpływy na całym półwyspie, w miejsce pierwotnie punktowych obszarów należących obecnie do Królestwa tworząc osady społeczności dowodzonych przez ichwanów, inaczej hidżry. Ostatecznie osady

te szybko się rozrosły i sprzymierzyły, tworząc szkielet przyszłych konurbacji współczesnej Arabii Saudyjskiej. W tych hidżrach za pośrednictwem żarliwych kazań oraz przy użyciu brutalnej, budzącej grozę siły lokalne społeczności nomadów zostały podporządkowane i zachęcane do tego, by podążać ścieżką Proroka, nawet jeśli rekomendowano im to pod przymusem! Fanatyzm religijny stał się zatem tkanką spajającą rozdrobnione lenno we wspólne Królestwo.

Do 1929 roku ichwani pod przywództwem Abd al-Aziza założyli 120 osad. Tym sposobem ogromne społeczności koczowniczych Beduinów z saudyjskich stepów przekształcili w ludność osiadłą. Byli przerażająco brutalni - siejąc postrach, splamili ziemię krwią. W tym samym czasie część półwyspu znajdowała się pod protektorem brytyjskim i kiedy brytyjski rezydent w Dżuddzie zagroził w 1918 roku, że sprzeciwi się nadchodzącym ichwanom, Abd al-Aziz ograniczył ich wpływy, by utrzymać korzystne sojusze z Brytyjczykami. Ichwani stawali się zbyt potężni, niebezpiecznie niezależni.

Te stosunki pomiędzy siłami duchowieństwa a bezsilną monarchią, oscylujące między miłością i nienawiścią, były wzorem odtwarzanym co jakiś czas we współczesnej Arabii Saudyjskiej. Poważnie ograniczeni przez swojego władcę ichwani poczuli się głęboko urażeni, zwłaszcza że uważali się za Armię Boga. To nagłe odtrącenie spowodowało, że zaczęli podawać w wątpliwość swoją niezachwianą lojalność wobec króla. W ten sposób pojawił się pierwszy kryzys w relacjach pomiędzy duchowieństwem a królem.

W końcu doszło do otwartej konfrontacji pomiędzy królem a armią i w 1929 roku dzięki brytyjskiemu wsparciu zbrojnemu król zyskał ochronę. Zdradzieccy przywódcy ichwanów zostali ostatecznie umieszczeni w Rijadzie, a to szybko doprowadziło do utworzenia Komisji do spraw Szerzenia Cnoty i Zapobiegania Występkowi stanowiącej kluczowy element służący do okiełznania potwora, pierwotnie stworzonego, by zrealizować ambitne cele króla związane z podbojem Arabii.

Mutawwa'in, którzy zastraszyli nas dzisiaj wieczoru, byli bezsilnymi spadkobiercami swoich nienasyconych przodków, ponieważ są zaprzęgni w kosztowną uprzęż saudyjskiej monarchii. Początkowo *mutawwa'in* nie służyli zatem jako antyzachodnie narzędzie, byli raczej środkiem nadzoru państwa i zapewniali bezpieczeństwo niepewnej monarchii, która ich podbiła.

To irańska rewolucja z 1979 roku zaraziła *mutawwa'in* zapałem do islamizacji i spowodowała nową obsesję napastowania ludzi Zachodu. Nie było zaskoczeniem, że potrzebowaliśmy interwencji monarchii, aby uratować się tego wieczoru, ponieważ - z czego zaczęłam sobie zdawać sprawę - monarchia była po tej samej stronie co my^[69].

Niektórzy byli zdania, że to jedynie kwestia czasu, nim wahhabickie duchowieństwo tak się rozzuchwali, że przejmie władzę w Królestwie. Wielu spośród *mutawwa'in* z wielkim entuzjazmem obserwowało dojście ajatollaha do władzy. Wiem, co myśleli: że woleliby koronę w postaci turbanu od tej ozdobionej klejnotami.

^[67] UCLA (ang. University of California, Los Angeles) - Uniwersytet Kalifornijski, kampus Los Angeles (przyp. tłum.).

^[68] Pascal Ménoret, *The Saudi Enigma...* dz. cyt., rozdz. 3.

^[69] Reinhard Schulze, *A Modern History of the Islamic World*, dz. cyt.

ROZDZIAŁ 25

Doktor Żywago Arabii

Minęło kilka miesięcy od mojego niespodziewanego zauroczenia Imadem. Ponieważ on był Saudyjczykiem, a ja muzułmańską expatriantką, niemożliwe było otwarte dążenie do czegokolwiek, co mogłoby przypominać typową randkę na Zachodzie. Moja powściągliwość i brak umiejętności rozszyfrowywania zwyczajów panujących w Królestwie sprawiały, że utknęłam w martwym punkcie, jeśli chodzi o zbliżenie się do swojego obiektu pożądania.

W tej sytuacji postanowiłam zintensyfikować nasze kontakty zawodowe, licząc na to, że w ten sposób lepiej go poznam. Zaproponowałam, żebyśmy razem coś napisali. W końcu miał się przydać mój szpitalny e-mail. Chociaż większość pracowników miała dostęp do wewnętrznego systemu poczty elektronicznej, ten notorycznie zawodził; serwery zawieszały się na kilka dni, więc wiele osób szybko założyło konta pocztowe w sieci.

Pewnego dnia znalazłam adres Imada. W krótkiej wiadomości poprosiłam go o współpracę przy napisaniu artykułu, który miałam opublikować z innym kolegą. Po kilku godzinach połknął przynętę, dając wyraz radości, jaką sprawiło mu to zaproszenie. Teraz miałam już powód, by się z nim kontaktować. Byłam zdumiona swoją przebiegłością. Przynajmniej jedna kobieca cecha mnie nie zawiodła.

„Chciałabym zobaczyć twój życiorys, Imadzie - napisałam w e-mailu. - Interesuje mnie, co opublikowałeś”.

Przesłane dokumenty ujawniły jego wiek - 34 lata, i stan cywilny - wolny. Ucieszyłam się, gdy poznałam datę jego urodzin. Jutro kończył 35 lat. Urodził się w Mekce. A więc był w stu procentach obywatelem saudyjskim, mimo że jego wygląd był tak bardzo północnoamerykański. Zaczęłam przeglądać listę publikacji. Życiorys ciągnął się na dziesiątkach stron. Kwalifikacje Imada były zdumiewające. Reprezentował sobą znacznie więcej, niż można się było spodziewać. Cieszył się międzynarodowym uznaniem w swojej dziedzinie, i to w tak młodym wieku. Był niewiarygodnie pracowity. Zżerała mnie ciekawość;

chciałam dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego przystojnego, inteligentnego mężczyzny. Następnego dnia zadzwoniłam.

- Halo? - odebrał telefon.

- Na początek wszystkiego najlepszego, Imadzie! - powiedziałam śmiało.

- Skąd wiesz, że mam dzisiaj urodziny? - zapytał zaniepokojony.

- Ponieważ wysłałeś mi swój życiorys! Zwróciłam uwagę na datę urodzin. W jaki sposób zamierzasz to uczcić? Może jakiś wypad na zakupy do miasta, do Al-Ulajji albo może jakieś ciastko?

- Och, nie, nic z tych rzeczy. - Był wyraźnie zawstydzony. Zapadało krępujące milczenie.

- Szkoda. Powinieneś rozerwać się w dniu urodzin. - Zachichotałam, żeby ukryć zmieszanie.

Zorientowałam się, że ten temat jest zakończony (zwłaszcza że obchodzenie urodzin przez dorosłych było w Królestwie uznawane za pogański zachodni zwyczaj zatruwający półwysep), zdecydowałam się więc wyjawić prawdziwy powód mojego telefonu: chciałam, żebyśmy się spotkali. Słuchał mnie uprzejmie. Umówiliśmy się, że pomyśli i da mi odpowiedź.

Po wymianie e-maili zgodził się napisać ze mną artykuł. Kilka dni później ze stosem źródeł pomaszerowałam do jego biura, gdzie mieliśmy się spotkać.

Internet dotarł do Królestwa dopiero w 1998 roku, a do Szpitala Gwardii Narodowej w 1999. Gdyby nie ta zdobycz techniki, skontaktowanie się z saudyjskim singlem nie byłoby możliwe. Dzięki Bogu za sieć!

W drodze do biura Imada czułam motylki w brzuchu i zapomniane już podekscytowanie, co przeniosło mnie z powrotem do czasów młodości. Już dawno nie

przeżywałam takiego zadurzenia. Byłam uradowana tym cudownym zapomnianym dreszczykiem emocji. Przyspieszyłam kroku.

Słońce grzało moje włosy, a nieustanna rijadzka bryza mierzwiła je. Za każdym razem było cudownie tak wyjść na zewnątrz, a w dodatku tutaj, w kompleksie medycznym, mogłam chodzić bez abai czy zasłony. Byłam odprężona, chociaż bez wątpienia obserwowano mnie wiele par oczu. Gdziekolwiek się znalazłam, zawsze budziłam zaskoczenie. Saraway, przyjaciel, farmaceuta, powiedział mi zresztą o tym, dobitnie potwierdzając moje przypuszczenia, że stale jestem bacznie obserwowana.

- Wiesz, Qanta, kiedy na początku zapraszałaś mnie na lunch w stołówce, czułam się naprawdę dziwnie. Nie byłem pewien, czy powinienem chodzić tam z tobą. To niesłychane, żeby kobieta jadła razem ze swoim kolegą z pracy.

Byłam zaskoczona, przypomniawszy sobie, jak naturalnie przyszło mi poproszenie Saraway, żeby ze mną zjadł, gdy skończyliśmy nasz pierwszy wspólny obchód. Był Amerykaninem, więc natychmiast się zaprzyjaźniliśmy. Nie zdawałam sobie sprawy, że wywołam takie rozterki u etiopsko-amerykańskiego koptyjskiego chrześcijanina. Słuchałam uważnie.

- Nie masz pojęcia, jak zdumiewające było twoje przybycie na OIOM, Qanta. Nigdy wcześniej nie mieliśmy na oddziale kobiety. Nawet dla mnie, Amerykanina, było to trudne, ponieważ po pięciu latach spędzonych w Rijadzie można się przyzwyczaić do segregacji.

- I co takiego zauważyłeś, Saraway? - zapytałam go z czystej ciekawości. Czułam się tak przytłoczona koniecznością dostosowywania się do tego dziwnego społeczeństwa, że nie zdawałam sobie sprawy, że sama mogę wywoływać konsternację.

- Cóż, pewnego dnia omawiałaś jakieś wyniki tomografii komputerowej z grupą lekarzy, w której byli sami mężczyźni. Obserwowałem cię z pewnej odległości, a mimo to zauważyłem, że twój język ciała jest inny. Opierałaś się o monitor, trzymając jedną rękę w kieszeni spodni, zupełnie jak facet.

Saraway zatrzymał się, żeby to zademonstrować. Uchwycił jedną z moich ulubionych

póz, którą przyjmuję, gdy jestem głęboko zamyślona. Jak większość kobiet lubię spodnie, które mają kieszenie.

- Po prostu sposób, w jaki stałaś tak swobodnie w kółku składającym się z samych mężczyzn, zupełnie nieświadoma podziałów związanych z płcią, cóż, to naprawdę było szokujące - ciągnął Saraway. - Pielęgniarki zawsze pracowały z lekarzami mężczyznami, ale z racji swojej pozycji mężczyźni nigdy nie uważali ich za równe sobie i zawsze trzymali się w swoim gronie. Żadna z kobiet nie mogłaby stanąć z nimi tak, jak ty to zrobiłaś. Na początku za każdym razem, gdy wracałem z lunchu z tobą, inni farmaceuci mówili: „I jak tam, znowu byłeś na lunchu ze swoją przyjaciółką?” - Saraway się zaśmiał, ale był wyraźnie skrepowany nawet samym wspomnieniem.

Byłam zaskoczona.

- Snuli jakieś domysły na nasz temat, Saraway?

- No cóż, koledzy trochę mi dokuczali z twojego powodu, sugerując, że jesteśmy zaangażowani w coś niedozwolonego.

- Romans? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Tak - odparł otwarcie.

Wprawilo mnie to w osłupienie. Byłam zdumiona, że nie wyczułam tego zaszokowania, jakie najwyraźniej wywoływała sama moja obecność. Gdy przyjechałam do Rijadu, praca w świecie mężczyzn (a środowisko medyczne jest właśnie takie) była moim sposobem na życie już od ponad dekady. Nie zdawałam sobie sprawy, że wchłonęłam jakieś męskie cechy, które Saraway zidentyfikował jako budzące sensację w oczach miejscowych: pewność siebie, stanowczość, swobodę w kontaktach z mężczyznami, a przede wszystkim samodzielność nieskrepowaną domysłami i spekulacjami społeczeństwa, w którym żyłam. Najwyraźniej byłam dla moich saudyjskich i arabskich kolegów jakąś chimerą. Mężczyzną w ciele kobiety, osobą z Zachodu, która nosi muzułmańskie imię. Nie można mnie było nigdzie przyporządkować.

W końcu znalazłam biuro Imada. Gdy tylko skręciłam w niewielki korytarz, który do niego prowadził, natrafiłam na rzędy obuwia, które wysypywało się do przedpokoju. Okazało się, że biuro Imada znajdowało się tuż obok prywatnego meczetu, w którym modlili się administratorzy. Byłam zaskoczona, że u progu mojego obiektu zainteresowania napotkałam meczet. Pospiesznie go minęłam, rzucając okiem na samotnego saudyjskiego mężczyznę, który modlił się, leżąc twarzą do ziemi. Poczułam się winna z powodu emocji, jakie mnie tu przywiodły.

Z nadzieją, że nie mam na zębach śladów szminki, zapukałam do drzwi. Usłyszałam miły głos Imada: „Proszę”.

Zawahałam się. Przez myśl przemknęło mi pytanie, w jaki sposób dotarłam do tego punktu. Byłam bardzo onieśmielona. Imad siedział za usianym stosami papierów ogromnym biurkiem, które niemal się wokół niego owijało. Spoglądał to na ekran komputera, to na laptopa. Gdy weszłam, wstał i przywitał mnie formalnym uściskiem dłoni. Jego ręce były delikatne i chłodne. Tym jednym gestem dał wyraz temu, że akceptuje mnie jako osobę z Zachodu i uznaje za równą sobie. Po raz pierwszy saudyjski mężczyzna podał mi rękę. Byłam poruszona i od razu na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

Spojrzałam na Imada i dostrzegłam niemal nieuchwytny łuk, w jaki wygięły się jego pełne różowe usta. Pod starannie wypielęgnowanymi wąsami pobłyskiwały idealne zęby. Wskazał mi miejsce. Posłusznie usiadłam, pozostawiając uchylone drzwi. Nie wiedziałam, jakie zasady obowiązują, kiedy kobieta przebywa sam na sam w takim miejscu z saudyjskim mężczyzną. Za drzwiami słyszałam filipińską sekretarkę, Maleę, piszącą sprawnie na klawiaturze komputera. Czułam się bardzo skrępowana i winna. Zastanawiałam się, czy głupkowaty uśmiech zdradza moje skrywane pożądanie. Byłam wdzięczna Imadowi, że stara się tego nie zauważać. Szklą jego okularów bez oprawek rzucały niebieskawe cienie na twarz i przysłaniały oczy. Nasze spojrzenia od czasu do czasu przypadkiem się spotykały, ale nic nie mogłam wyczytać z jego oczu.

Usiadłam na niskiej czarnej skórzanej kanapie w stylu Le Corbusiera. Biuro w suterenie miało zdecydowanie męski charakter. Dzięki skórzanym i chromowanym meblom w pokoju panowała szczególna atmosfera - jak u Hugh Heffnera. Powściągnęłam uśmiech. Zza okna, przez które widać było chodnik, dobiegał odgłos stóp w sandałach. Znajdowaliśmy

się w bardzo dyskretnym miejscu.

Gdy właśnie się rozluźniłam i odpowiadałam na wstępne uprzejmości Imada, który dopytywał się o wyniki pacjentów z OIOM-u, rozległ się *azan*. Nadeszła pora popołudniowej modlitwy. Przerwałam w pół zdania, niepewna, co powinnam zrobić. Nie miałam w zwyczaju odmawiać modlitwy w środku dnia pracy, wolałam skondensować swoje praktyki religijne wczesnym rankiem i przed snem. Spojrzałam na Imada, oczekując, że pospieszy do meczetu. On jednak siedział nieruchomo, skoncentrowany na tym, co miałam do powiedzenia.

- Chcesz pójść się pomodlić, Imadzie? - zapytałam nieśmiało, zastanawiając się, czy moje pytanie go nie zawstydzi. - Nie zdawałam sobie sprawy, że twoje biuro mieści się tuż przy meczecie - dodałam, usiłując wnieść odrobinę bez troski do atmosfery rosnącego napięcia seksualnego.

- Nie, Qanta - uciął krótko. - Porozmawiajmy teraz o artykule.

Wstał zza biurka i usiadł obok mnie w fotelu po lewej stronie. Byłam zaskoczona. Ten łagodny i silny saudyjski mężczyzna nie myślał o tym, że ktoś może zauważyć jego nieobecność wśród modlących się kolegów. Ciekawe, czy w ogóle odmawiał modlitwy.

Usadowił się wygodnie. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć. Z bliska wydawał się nawet wyższy. Czułam się onieśmielona jego męskością. Założył nogę na nogę i rozluźnił się w oczekiwaniu na długą rozmowę. Na biurku migały przełączone telefony; teraz odbierała je Malea. Faks wyrzucał niekończące się wiadomości, a e-mailowy system powiadomiania pobrzękiwał od czasu do czasu. Imad nie reagował na żaden z tych sygnałów; siedział, utkwivszy we mnie życzliwe, rozbajające spojrzenie.

Unikając jego oczu, zwróciłam uwagę na wytworny jedwabny krawat na wykrochmalonej, wyprasowanej koszuli. Biały fartuch był jak zwykle zapięty pod szyję i miał idealnie wyprasowane klapy. Siedziałam tak blisko, że mogłam przeczytać imię i nazwisko wyhaftowane na kieszonce. Na ścianie wisiały liczne oprawione dyplomy, zorientowałam się więc, że środkowy inicjał jest początkiem tego samego imienia, jakie nosił mój ojciec. Zdziwiłam się, jak chętnie chłonę te wszystkie szczegóły. Imad mnie oczarował. Z bliska wydawał się jeszcze atrakcyjniejszy.

Miał nieprawdopodobnie jasną karnację, a niebieskie oczy zadziwiały głębią, przybierając odcień niemal granatowioletowy; czasem wyglądały, jakby były czarne, czasem - jasnoniebieskie. Starannie ostrzyżone gęste siwe włosy układały się w fale. Przyprószona siwizną wypielęgowana broda od jakiegoś czasu stawała się coraz bielsza. Pohamowałam nagłą chęć, by zmierzwić mu włosy.

Po krótkiej rozmowie, w której nakreśliłam zarys artykułu, zapadła niezręczna cisza. Nie mogłam wykrztusić słowa, co nie było do mnie podobne. Próbowałam powiedzieć coś zabawnego, gdy zaskoczył mnie niespodziewany dźwięk przypominający ten wydawany przez bardzo głośnego świerszcza. Podskoczyłam na kanapie, przekonana, że w pokoju jest jakiś owad. Imad ryknął śmiechem, mrużąc oczy; cała twarz mu się zmarszczyła.

- Qanta, nie przejmuj się, niczego tutaj nie ma, to tylko wygaszacz ekranu!

Oboje zaśmialiśmy się nerwowo i to rozładowało atmosferę. Przez jakiś czas Imad siedział odchylony na fotelu i uśmiechał się do mnie. Jego błyszczące oczy świadczyły o szczerym rozbawieniu. W końcu przełamaliśmy lody. Ten Saudyjczyk miał poczucie humoru. Zaczęliśmy rozmawiać na temat pisania i medycyny. Poczułam znajomy grunt pod nogami. Imad bardzo się zaangażował. Wyglądało na to, że ma mi dużo do powiedzenia. Ja zadawałam pytania, on odpowiadał.

- Rezydenturę i specjalizację zrobiłem na uczelni medycznej w Waszyngtonie. Bardzo mi się tam podobało. Mieszkałem z matką, ojcem i siostrą. Przez wiele lat mój ojciec prowadził interesy w Stanach. Łącznie spędziłem w Waszyngtonie dziesięć lat. Po rezydenturze zrobiłem jeszcze dwie podspecjalizacje.

- Masz więc trzy specjalizacje?

- Tak - potwierdził bez cienia przechwałki w głosie. Wydawał się skromnym człowiekiem. - Miałem wspaniałych mentorów, Qanta. Niesamowicie wspominam swoją tamtejszą rezydenturę. I pokochałem Stany; wciąż je kocham.

- Dlaczego więc tu wróciłeś?

- Minęło już jakieś dziesięć lat od powrotu. Moją edukację sponsorowała Gwardia Narodowa Arabii Saudyjskiej, musiałem więc wrócić, żeby odpracować koszt studiów. Kiedy przyjechałem, natychmiast zaoferowano mi kierownicze stanowisko. Zostałem szefem oddziału składającego się z jednej osoby - ze mnie! - Zachichotał.

Był wyjątkowo atrakcyjny, gdy się śmiał. Mówił dalej:

- Od tego czasu zatrudniłem tych wszystkich ludzi, których już poznałaś. Teraz oddział składa się z siedmiu osób i, rzecz jasna, fantastycznego zespołu pielęgniarek. Naprawdę są wobec mnie lojalni.

- A co z pisaniem, Imadzie? Jak ci się udało tak szybko zgromadzić na swoim koncie tyle publikacji?

- Zawsze sprawiało mi to przyjemność. Miałem wspianego mentora w Georgetown. Dużo razem napisaliśmy. Rozwinął we mnie nawyk prowadzenia obserwacji i publikowania, co wyszło mi na dobre. Utworzyłem tutaj pierwszą bazę danych badawczych i to oczywiście stanowi duże ułatwienie podczas przygotowywania publikacji. Reszta przychodzi sama.

- Ale wygląda na to, że ty sam bardzo dużo piszesz. Nie masz rezydentów, którzy chcieliby ci pomagać?

- Nie, Qanta, nie mamy jeszcze takich programów, ale, *in sha Allah*, uda mi się taki stworzyć. - Zamilkł, wybiegając myślami w przyszłość.

Skupiliśmy się na pracy nad kilkoma dokumentami, które przyniosłam. Imad nachylił się w moją stronę, gdy przedzieraliśmy się przez szczególnie zawiły akapit. Jego udo znajdowało się kilka milimetrów od mojego. Był ładnie umięśniony. Podążałam wzrokiem ku górze po idealnie zaprasowanym kancie spodni, aż do miejsca, w którym zniknął pod fałdą białego fartucha. Czułam, że między mną a Imadem jest chemia. Zapanowała cisza; żadne z nas nie śmiało podnieść wzroku znad papierów w obawie, że nasze spojrzenia mogłyby coś zdradzić.

Przyglądałam się nadgarstkowi Imada, gdy wskazywał na jakiś fragment dokumentu. Spod wykrochmalonego mankietu koszuli widać było delikatną skórę, przez którą prześwitywały niebieskie żyły. Wyobraziłam sobie, że całuję tę kuszącą skórę. Jego ciało robiło wrażenie nietkniętego ani przez słońce, ani przez seks.

Nie byłam w stanie skupić się na uwagach Imada na temat artykułu. Nawet stukanie w klawiaturę przez Maleę nikło gdzieś w tle. Imad i ja siedzieliśmy zamknięci w emocjonalnej bańce. Gdy pochylał głowę nad kartkami, jego siwe twarde włosy z cichym szelestem muskały kołnierzyk koszuli. Raz po raz przeciągał palcami po brodzie, głęboko zamyślony. Byłam zupełnie nieobecna, nie mogłam sformułować nawet jednej spójnej myśli. Na szczęście Imad był zajęty głośnym czytaniem rękopisu, który leżał na jego muskularnych udach. Nie wyglądało na to, by oczekiwał ode mnie jakiegokolwiek reakcji. Wystarczyło, że słuchałam.

Byłam wdzięczna naturze za moją karnację, dzięki której rzadko można dostrzec oblewające mnie aż do nasady włosów rumieńce. Zaczęły piec mnie uszy. Przerazona intensywnością pożądania poczułam, że muszę wyjść. Gwałtownie wstałam, zaskakując tym i siebie, i Imada. Z trudem powstrzymałam się, by nie wybiec. Imad wyglądał na zawiedzionego. Wygaszacz ekranu ponownie zadźwięczał niczym świerszcz.

Imad odezwał się, spokojnie cedząc słowa:

- Musisz już iść, Qanta?

Przez dłuższą chwilę w milczeniu wpatrywał się we mnie nieruchomym spojrzeniem.

Nie mogłam dłużej uciekać przed jego wzrokiem. Pozwoliłam sobie na to, by spojrzeć mu w oczy. Zobaczyłam w nich płomień; grzały niczym mocny koniak w zimowy dzień. W ich błękitach rozpoznałam *Doktora Żywago Arabii*.

- Tak, niestety - skłamałam. - Było mi bardzo miło, Imadzie. Myślę, że będzie nam się dobrze razem pracowało przy tym projekcie - dodałam nieprzekonująco, niepewna, jak powinnam zakończyć rozmowę.

- Owszem, będzie - odpowiedział i odchylił się w fotelu. Skrzyżował w kostkach długie smukłe nogi.

Życzył mi udanego dnia, a jego twarz złagodniała i pojawił się na niej uśmiech. Zapewniliśmy się wzajemnie, że pozostaniemy w kontakcie e-mailowym. Z własnej inicjatywy Imad wręczył mi swoją wizytówkę z kilkoma numerami telefonów. Na odwrocie pismem pełnym zawijasów naskrobał prywatny numer telefonu komórkowego. Wyniosłam ją niczym trofeum.

Przed wyjściem, odwracając się już do drzwi, pomachałam mu na pożegnanie. Spojrzał na mnie jak sfinks. Wszelkie emocje zniknęły z jego twarzy. Przybrał oficjalną pozę. Zadałam sobie pytanie, co spowodowało tę zmianę. Jakąkolwiek maskę przywdział, patrzył teraz na mnie zza swojej zasłony, jaką było biuro.

Za późno. Mężczyzna, który ukrywał prawdziwą twarz pod maską, zdążył złapać mnie w swoje sidła.

ROZDZIAŁ 26

Miłość w Królestwie

Mijały tygodnie, moje kontakty z Imadem stały się częstsze, ale dręczyły mnie rozterki. Imad nigdy nie zaproponował mi wspólnego lunchu czy kolacji. Idąc za jego przykładem, ja także tego nie robiłam. Nie mógł dopuścić do tego, by widziano go ze mną w szpitalu na lunchu, a gdyby zaprosił mnie do domu, jako singiel mieszkający w Astrze (sąsiednim kompleksie mieszkaniowym dla saudyjskich pracowników naszego szpitala) wywołałby skandal, ponieważ nasza znajomość stałaby się sprawą publiczną. Znajdował się przecież pod czujnym okiem kolegów, którzy razem z nami mieszkali i pracowali na terenie należącym do Gwardii Narodowej. Nigdy nie brałam pod uwagę możliwości zaproszenia go do swojego mieszkania, mimo że miałam stół, który pomieściłby 10 osób. Po prostu wiedziałam, że gdyby nawet zgodził się przyjechać, nie czułby się komfortowo. I tak w Królestwie cały czas odnosiło się wrażenie, że jest się obserwowanym, a mężczyzna, który nawiązywał jakikolwiek kontakt z kobietą, zawsze skupiał na sobie uwagę. W rezultacie nie mieliśmy innej możliwości, jak tylko kontynuować znajomość za pośrednictwem e-maili i połączeń telefonicznych. Mogliśmy się spotykać jedynie w świecie wirtualnym.

Po kilku tygodniach wymiany e-maili, co najmniej kilkudziesięciu dziennie, Imad poinformował mnie, że ma konto na MSN Messengerze. Wraz z AOL^[70] i Yahoo! Messengerem stanowiły mój łącznik ze światem, który zostawiłam za sobą. Z przyzwyczajenia pierwsze, co robiłam po powrocie do domu, było połączenie się z Internetem i otwarcie tych kont. Koniec mojego dnia w Arabii Saudyjskiej był początkiem nowego dnia na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, dzięki czemu znajomi mogli „odwiedzać mnie” dość często. To było trochę jak pozostawienie otwartych drzwi do domu. Czułam się mniej osamotniona, kiedy na ekranie wyskakiwały wiadomości - dosłownie - i miałam z kim porozmawiać.

Imad wciąż wysyłał codzienną porcję e-maili, w których pisał o swojej rodzinie, przyjaźniach, pracy i podróżach. Przyzwyczaiałam się już do tych naszych „rozmów”, które uzupełnialiśmy częstymi pogaduszkami przez telefon. Przeważnie to on dzwonił po moim

powrocie do domu i zdarzało się nam rozmawiać przez kilka godzin. Czasami przerywaliśmy połączenie, żeby przygotować sobie coś do zjedzenia, każde u siebie i dla siebie, a potem wracaliśmy do rozmowy. Byliśmy podłączeni do sieci wewnętrznej, dzięki czemu nie płaciliśmy rachunków za telefon, ale nie miałam pewności, czy rozmowy nie są kontrolowane. Co ciekawe, po godzinie rozmowy były automatycznie rozłączane. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego tak się dzieje, i nikt nie potrafił mi tego sensownie wytłumaczyć. Prawdopodobnie linie naziemne w Królestwie miały ograniczoną przepustowość i taka procedura miała na celu umożliwienie połączenia się innym. Jeśli nie o to chodziło, może ktoś faktycznie nagrywał rozmowy i, jak często żartowaliśmy, musiał zmienić taśmę. Nigdy nie analizowaliśmy tego w obawie, że moglibyśmy dowiedzieć się prawdy.

W naszych rozmowach poruszaliśmy mnóstwo tematów, z wyjątkiem okoliczności naszego rozwijającego się uczucia, uczucia, którego byłam coraz bardziej pewna. Wymienialiśmy spostrzeżenia na temat wspólnych pacjentów, dzieliliśmy się osobistymi historiami, wydarzeniami rodzinnymi i uwagami o życiu w Królestwie oraz rzeczywistości poza nim, którą oboje znaliśmy. Kiedy spotykaliśmy się online, spędzaliśmy po kilka godzin na korespondencji. Początek był taki, że pewnego razu siedziałam akurat przed ekranem, paplając z koleżanką z San Francisco, kiedy nagle wyskoczyła wiadomość od Indiany Jonesa.

„Cześć, to ja”.

„Kto?” - wystukałam ostrożnie, gotowa natychmiast wykasować nowy kontakt.

„Ja, Qanta. Imad”.

Byłam zaskoczona, że ten rozważny, introspektywny Saudyjczyk wybrał sobie taki ekstrawagancki nick. Charakteryzował go jako akademika (ale i uwodziciela); fikcyjnego bohatera filmowego! To był mężczyzna bez poczucia własnego „ja”, w pewien sposób infantylny. Zachowałam te obserwacje dla siebie. Z czasem odkryłam, że choć Imad jest inteligentny, jego angielski w piśmie wypada słabo. Z przyjemnością zapoznawałam go z nowymi słowami, aż pewnego razu ustawił mnie do pionu:

- Qanta, czuję się jak na lekcji angielskiego! - rzucił, po czym z głośnika zabrzmiał jego śmiech. Dzięki tym godzinom spędzonym w Internecie Imad zaczął powoli wychodzić

ze swojej skorupy.

Nie zdawałam sobie sprawy, że ulegamy nowej niedozwolonej modzie, która rozprzestrzeniała się w Królestwie - randkowaniu online. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że to, co uznawałam za normalne, czyli kontaktowanie się z przyjaciółmi na całym świecie, w Rijadzie groziło poważnymi konsekwencjami.

Dla Saudyjczyków i Saudyjek w Królestwie Internet stanowił jedyny sposób kontaktu i rozwijania uczucia. Dopiero kilka lat później zrozumiałam, czym dla Imada był ten wirtualny związek. Stanowił podwaliny prawdziwego współczesnego saudyjskiego romansu. Tylko tak Imad mógł się dowiedzieć czegoś więcej na mój temat. Dla mnie z kolei był to sposób na poznanie mężczyzny, który wydawał mi się atrakcyjny, a nie mógł bezpiecznie zbliżyć się do mnie na żadnym innym forum, a także forma spędzania wolnego czasu - coś, w co angażowałam się zarówno z przyjaciółmi, jak i z osobami, które mogły stać się dla mnie ważne.

Niewątpliwie w Królestwie matriks randkowania online stanowił mieszankę wybuchową seksualnego ucisku, segregacji i zagrożeń związanych z gwałtownie postępującą wirtualną pseudointymnością. Internet pozwalał społecznie skrępowanym, zamkniętym w sobie mężczyznom jakoś się komunikować z równie jak oni wycofanymi kobietami. Ta namiastka poufałości wystarczała, by obu stronom wydawało się, że to początek miłości.

Mężczyźni, którzy nigdy nie poznali żadnej kobiety spoza rodziny, ani nie umieli tego zrobić, ani nie mieli takiej możliwości. Każda kobieta, która okazała im wyraźne zainteresowanie, była urzekająca i w Królestwie, gdzie związki niemal zawsze kończyły się zawarciem małżeństwa, postrzegana jako potencjalna żona.

Nie wiem, czym dla Imada były nasze rozmowy, wiem natomiast, co one dawały mi. Dowiedziałam się wiele o niezwykle atrakcyjnym i na pozór wolnym saudyjskim mężczyźnie. Wciąż mnie intrygował. Być może to właśnie jego niedostępność sprawiała, że wydawał mi się jeszcze bardziej interesujący. Trudno powiedzieć.

Zaczęłam sobie budować pełniejszy obraz Imada. Miał niezamężną młodszą siostrę,

która kształciła się, aby zostać chirurgiem plastycznym, oraz brata, który był chirurgiem proktologiem. Jego ojciec, niegdyś znany i bogaty przedsiębiorca, teraz na emeryturze, cierpiał na bezsenność i łatwo wpadał w irytację. O swojej matce mówił niewiele, poza tym, że trudno ją było zadowolić. Robił jednak wszystko, by usatysfakcjonować rodziców; jeździł do nich w większość wolnych weekendów.

Chociaż dowiadywałam się coraz więcej, wciąż czułam niedosyt i chciałam spędzać z Imadem czas, ale nie w świecie wirtualnym. Nie nadarzała się jednak żadna okazja. Realna perspektywa aresztu domowego i uwięzienia przez *mutawwa'in* powstrzymywały mnie przed wcieleniem w życie zuchwałego planu randkowania z tym mężczyzną tak, jak robiło to wiele osób z Zachodu - pozwalały sobie na ukradkowe spotkania i kradzione chwile szczęścia w hotelach na obrzeżach miasta. Wiedziałam, że to nie dla nas: ani tu, ani nigdzie indziej. Byliśmy na to zbyt poważni, może także zbyt uczciwi wobec siebie, ale co ważniejsze, oboje bardzo przesiąknięci muzułmańskimi wartościami.

Mniej rozważnym Rijad oferował urozmaicone, choć bardzo sekretne nocne życie. Pospieszny seks w pokojach hotelowych wynajmowanych pod fałszywym nazwiskiem lub niezwykle ryzykowne spotkania w przychylnych temu miejscach w mieście (jak hotel Intercontinental, którego lobby i restauracje wypełniają ekspaci) to jedyne możliwości schadzek, jakie pary miały do wyboru. W owym czasie pokoje w hotelach rezerwowali wyłącznie mężczyźni. Żadna kobieta nie mogła dokonać rezerwacji, ponieważ z góry zakładano, że zatrzymałaby się wówczas w hotelu bez zgody i opieki swojego męskiego krewnego. Przypomniałam sobie Dodiego i Abd al-Aziza, młodych mutardżimów (tłumaczy)^[71], którzy potwierdzili wszystkie moje spostrzeżenia.

- Może pani być spokojna, *doktora*, to jest czteromilionowe miasto. Można tu dostać wszystko, absolutnie wszystko! Jeśli ktoś ma dziewczynę i chce się z nią spotkać, wystarczy, że wynajmie mieszkanie. Mamy dostęp do alkoholu, narkotyków, kobiet - trzeba tylko znać odpowiednich ludzi. - Dodi obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Być może kryło się za nim coś w rodzaju zaproszenia.

Nie śmiałam zadać ani jednego pytania więcej.

Na tle już wspomnianych inne możliwości spotykania się wypadały dość blado.

Niektórzy kochankowie nie ustawali w wysiłkach i rozwijali swoje związki, szukając schronienia u wyrozumiałych przyjaciół. Sfrustrowani spotykali się albo w kompleksach dla zachodnich pracowników, na których teren, tak jak w przypadku naszego kompleksu, ochroniarze nie wpuszczali bez wyraźnego zezwolenia obywateli saudyjskich, albo podczas na wpół publicznych imprez dla zachodnich ekspatów. Te ostatnie zaś to albo wypad na pustynię, w którym brały udział liczne pary małżeńskie, albo nieciekawa inscenizacja sztuki Noëla Cowarda, wystawiona na prywatnej scenie wybudowanej wewnątrz jednego z bardziej ekskluzywnych kompleksów.

W takich miejscach nie było szans na prywatność, więc jedynie wspañalomyślność przyjaciół, którzy mogli udostępnić swoją willę, umożliwiała parze pobycie ze sobą przez tych kilka skradzionych godzin. Zauważyłam, że starsi kochankowie z Zachodu byli najbardziej śmiali. Często robili razem zakupy w centrach handlowych. Kobiety eskortowane przez siwowłosych towarzyszy eksponowały swoje siwe włosy, okazując w ten sposób nieposłuszeństwo i ujawniając wiek. *Mutawwa'in* chyba mieli szacunek dla starszych, ponieważ rzadko ich zatrzymywali.



W przeddzień walentynek pary ogarniało gorączkowe podniecenie wywołane przez naloty *mutawwa'in* na kwaciarnie, w których konfiskowane były wszystkie czerwone róże, czerwone opakowania i misie. Robiąc na przekór, wiele z nas zakładało czerwoną bieliznę na znak protestu przeciwko traktowaniu walentynek jako „niemoralnego dnia”. Zaradniejsze pary wyrażały swoje uczucia za pomocą lawiny prezentów przekazywanych za pośrednictwem współpracujących sekretarek, służących czy kierowców^[72]. Niektórzy kupowali róże kilka dni wcześniej, prosząc, by dostarczono je w środku nocy, aby uniknąć interwencji siejących postrach *mutawwa'in*^[73].

Dla zamożnych kochanków alternatywę stanowił weekendowy wyjazd z Ad-Dammamu przez most do Bahrajnu, krótki lot do Dubaju czy też skradzione chwile

w Ammanie albo Bejrucie. Dla mężczyzn było to proste rozwiązanie, ponieważ mogli sami przekroczyć granicę czy zarezerwować lot. Dla saudyjskich kobiet podróż wiązała się z koniecznością otrzymania zgody od męskiego członka rodziny lub, w przypadku samotnej ekspatki jaką byłam ja, zgody pracodawcy. Większość Saudyjek nie miała żadnych szans, by otrzymać taką zgodę od swoich męskich krewnych.

Dla mnie czy innych ekspatów wjazd do Królestwa oraz opuszczenie wymagały zarówno wizej wyjazdowej, jak i wizej wielokrotnego wjazdu. Bardzo trudno było je dostać, w dodatku nie miałam pieniędzy, by to załatwić. Zamknięta w Królestwie, bez wpływów, jakie miał Imad, nie mogłam nawet zjeść z nim kolacji. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek nadarzy się okazja, by spotkać się za granicą.

Ci, którzy byli tak zuchwali, by kontynuować swoje znajomości w realu, nieustannie żyli w strachu, że zostaną nakryci, i groziły im poważne konsekwencje. Nigdy nie widziano, by ktokolwiek oficjalnie randkował z Saudyjczykiem w Rijadzie. Nie zauważyłam żadnych związków międzykulturowych, czy to wśród znajomych, czy też wśród pacjentów, którymi się zajmowałam, i członków ich rodzin. Raz na jakiś czas zdarzało mi się na spotkaniu towarzyskim poznać jakąś Amerykankę, która wyszła za mąż za Saudyjczyka, ale zawsze się okazywało, że spotkali się i zaangażowali w związek poza Królestwem. Nie wracali, dopóki nie podpisali aktu ślubu, który sankcjonował ich związek i dzięki któremu stawali się legalnymi partnerami. Randkowanie w Królestwie było sprawą poważną i zakazaną.

Okazało się, że dobrze zapamiętałam słowa Amandy. Ostrzeżenie angielskiej pielęgniarki, którą wielu mężczyzn uważało za wyjątkowo atrakcyjną, było jednoznaczne.

- Tylko nie zakochaj się w Saudyjczyku, Qanta. To błąd. Wykorzystuj ich do seksu, i tyle. Nie przywiązuj się. Oni nigdy nie zostawią swoich rodzin, matek, swojej kultury. - W jej słowach można było wyczuć gorycz.

Opowiedziała mi o swoim płomiennym romansie z dwudziestopięcioletnim Saudyjczykiem; był od niej młodszy o jakieś dziesięć lat. Poznali się podczas szpitalnej imprezy ma as-salama (pożegnalnej) zorganizowanej w kompleksie. Był pracownikiem niższego szczebla, pełnił podrzędną funkcję administracyjną. Wpadł w jej ramiona świeżo po ślubie, był rozbrajający, uroczy i po szczeniacku w nią wpatrzony.

Spotykali się w ciągu dnia w jej willi w kompleksie, kiedy współlokatorki (także brytyjskie pielęgniarki) były w pracy. Amanda zgłaszała się na ochotnika na nocne zmiany, żeby w ciągu dnia widywać się z ukochanym. On z kolei opuszczał niepostrzeżenie biuro i jechał do niej. Nikt nigdy go nie zatrzymał. Miał szpitalny identyfikator i znajdował się na terenie należącym do szpitala. Za zasłoniętymi oknami sypialni na tyłach willi, na nierównym łóżku, mając ze sobą de facto niewiele wspólnego, w pośpiechu oddawali się dzikiemu seksowi, który w pewien sposób oboje satysfakcjonował. Amanda nawet nie umiała wiele powiedzieć o tym mężczyźnie. Wiedziała, że był żonaty i mieszkał w Al-Malaz, dzielnicy znajdującej się w pobliżu szpitala, i, jak na ironię, w pobliżu centralnego więzienia w Rijadzie, w którym przetrzymywano osoby „godzące w cnotę”.

Zachariasz, mój kierowca, pokazał mi kiedyś ten ponury budynek przy drodze do stajni, gdzie jeździłam konno na prywatnym wybiegu. Dopiero kilka lat później przeczytałam w *”Arab News”*^[74], co działo się wewnątrz.

W labiryncie betonowych komórek *mutawwa'in* „przepytywali” zatrzymanych pod baczynym okiem duchownych ukrytych za lustrem weneckim. Po brutalnych przesłuchaniach winowajcy byli zmuszani do poświadczania odciskami palców wcześniej przygotowanych zeznań, w których przyznawali się do bliżej nieokreślonych przestępstw; całą procedurę nadzorował szajch. To właśnie spotkałoby kochanka Amandy, gdyby został przyłapany. Karą za cudzołóstwo dla żonatego mężczyzny w Królestwie była śmierć, a dla niezamężnej kobiety - co najmniej chłosta. Amanda, mężatka, której mąż został w kraju, ryzykowała życie. Zastanawiałam się, czy miała tego świadomość.

W islamie oskarżenie o cudzołóstwo musi być poparte złożonymi pod przysięgą zeznaniami czterech świadków. Mimo wszystko uważałam, że Amanda była niewiarygodnie lekkomyślna, opowiadając na prawo i lewo na huczącym od plotek OIOM-ie o czymś, co było przestępstwem zagrożonym karą śmierci. Jej kochanek, który był już ojcem dwuletniego syna, spodziewał się późnym latem kolejnego dziecka. Nie miał zamiaru porzucać żony, która w przeciwieństwie do niego nie mówiła po angielsku i ledwie pisała po arabsku. Czuł się w obowiązku trwać w tym małżeństwie, ponieważ żona została wybrana przez jego rodziców. Rozwód był dla niego nie do pomyślenia, a zobowiązania finansowe, które miałby w stosunku do rozwiedzionej żony, byłyby prawdopodobnie zbyt wysokie jak na jego skromne zarobki.

Znajdował się w potrzasku.

Amanda też miała zobowiązania. Była w separacji z mężem mieszkającym w Londynie, ale od kilku tygodni podczas pełnych napięcia rozmów telefonicznych omawiała z nim możliwość zejścia się ponownie. Nie była zainteresowana wspólną przyszłością z kochankiem.

- Ten romans to tylko przelotne szaleństwo, Qanta - powiedziała nonszalancko. - On nic dla mnie nie znaczy. Po prostu dobrze się bawię.

Pochyliła głowę i zajęła się notatkami przypiętymi do podkładki z klipsem. Zaczzerwieniła się aż po cebulki włosów na wspomnienie seksu, jaki przeżyła wcześniej tego dnia, a mimo to gdy mówiła o swoim romansie, jej głos brzmiał lodowato. Rozejrzałam się wokół, żeby sprawdzić, czy ktoś na OIOM-ie mógł nas słyszeć, ale nikogo nie było w pobliżu.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co mi to daje. On po prostu zaspokaja moje potrzeby, Qanta. Widzisz, byłam wierna mężowi od ślubu, ale kiedy przyjechałam do Rijadu, żeby odłożyć pieniądze na dom, który chcemy kupić w Islington, on przyznał się, że sypiał z naszą wspólną znajomą. Pomyślałam więc, a niech tam. Pieprzyć to! Ja też będę korzystała z życia.

Zaciągnięcie młodego Saudyjczyka do łóżka przyszło Amandzie bez trudu. Na imprezie pożegnalnej wypił trochę za dużo *siddiqui* (nazwa pochodzi od arabskiego słowa oznaczającego „kumpla”, jest to nielegalnie pędzone w domu piwo, które leje się strumieniami w kompleksie). Nabral pijackiej odwagi i odpowiedział na jej zaloty.

- Cóż, nie był specjalnie doświadczony, Qanta. Musiałam mu pokazać to i owo. - Zamilkła, chichocząc i pozostawiając resztę mojej wyobraźni.

Zadrzałam na myśl o tym, jak naiwny młody Saudyjczyk radził sobie z hałaśliwą pielęgniarką wychowaną na piwnej diecie w rozpasanym Londynie. Chociaż nie było w tym związku miłości, z pewnością oboje dużo dzięki niemu zyskali.

Uważałam, że Imad i ja powinniśmy spotykać się poza szpitalem. Powód tych spotkań był inny niż ten, o którym mówiła Amanda w odniesieniu do schadzek ze swoim kochankiem. Chciałam się przekonać, czy daję się ponieść fantazji, czy też uczucie, jakim darzę tego uroczego saudyjskiego mężczyznę, jest prawdziwe i odwzajemnione. Codziennie namawiałam mojego przyjaciela Sarawaya, farmaceutę z OIOM-u, żeby został mediatorem, a może nawet wspomniał Imadowi o mojej ogromnej sympatii, ale Saraway był zawstydzony tą propozycją.

- Qanta, przecież to śmieszne. Pracuję z nim i dla niego od pięciu lat, ale nie ma takiej możliwości, żebym z nim o tym pogadał. Zapewniam cię, że to absolutnie nie na miejscu. Zawstydzisz tylko nas obu i gwarantuję ci, że Imad ucieknie gdzie pieprz rośnie. To formalista. Z tego, co wiem, nigdy nie miał dziewczyny. Odpowiedź brzmi - nie!

Nawet namawianie żony Sarawaya, by wpłynęła na jego decyzję, spełzło na niczym.

- Nie, Qanta, Saraway tego nie robi, chociaż szkoda. Imad wydaje się bardzo sympatyczny i słyszałam, że dobrze się ze sobą dogadujecie. Nic nie wiemy o tym, żeby kogoś miał, ale przecież nasza znajomość ogranicza się tylko do spraw zawodowych. Nie utrzymujemy z nim kontaktów towarzyskich, podobnie zresztą jak z innymi Saudyjczykami. Wiesz, jak wygląda tu sytuacja ekspatów. Nie potrafimy połączyć naszych równoległych światów.

Osoby niepozostające w związku małżeńskim były w Królestwie podejrzane i dotyczyło to zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Mnie Saudyjczycy prosto z mostu pytali, czy jestem rozwódką. Ale żeby trzydziestokilkuletni mężczyzna wciąż był nieżonaty, to nie do pomyslenia. Na Imada, który był już dobrze po trzydziestce, patrzono więc podejrzliwie, a ponieważ był cichym, ceniącym prywatność człowiekiem, bardzo niewiele osób naprawdę dobrze go znało.

Mężczyzna singiel w Królestwie zwracał uwagę, choć nie tak, jak kobieta singielka. Nieżonaci mężczyźni musieli nieustannie manifestować swoją męskość. Homoseksualność w Królestwie była grzechem podlegającym karze śmierci. Zatem wszyscy najbardziej się obawiali posądzenia o to, że są homoseksualistami. I ja, i Saraway mieliśmy kilku kolegów z Zachodu, którzy bez wątpienia byli gejami.

Heath był znanym ekstrawagantem. Miał zniewieściałe przegięcie, między innymi taką modulację głosu, że dla wszystkich było jasne (przynajmniej dla wszystkich z Zachodu), że jest osobą homoseksualną. Często widywano go w towarzystwie Imada; uczestniczyli razem w różnego rodzaju posiedzeniach komisji, jadali razem lunch w części wyznaczonej dla mężczyzn w stołówce dla lekarzy. Byli w stosunku do siebie bardzo przyjacielscy i zachowywali się swobodnie, ale nie mogło się z tego zrodzić nic ponad to, co łączyło ich dotychczas - koleżeństwo trwające od dekady. Niektórzy prawdopodobnie to potępiali i byli bardziej surowi w swojej ocenie.

Heath był znany z tego, że miał mnóstwo młodych saudyjskich przyjaciół - mężczyzn, którzy regularnie go odwiedzali. Mieszkał w identycznym apartamentowcu jak mój, zaledwie kilka bloków dalej. Saraway i jego żona Iman mieszkali w budynku obok i też zwrócili uwagę na te wizyty, o których wiedzieli wszyscy w sąsiedztwie. Zastanawialiśmy się, jak Heath nawiązywał znajomości i czy kiedykolwiek ci znajomi zostawali u niego na noc. Niektórzy chłopcy byli tak młodzi, sądząc po wyglądzie, że nie mogli być naszymi pracownikami. Huczało od plotek na temat orientacji Heatha, ale rozmowy o homoseksualności stanowiły w Królestwie temat tabu. O cudzołóstwie rozprawiano tak, że mogli to słyszeć pacjenci i tłumacze, nawet rozmowy o niemieszczącym się w głowie upadku monarchii saudyjskiej zdawały się łatwiejsze niż te o odmiennej orientacji seksualnej.

Jeden z pielęgniarzy pracujących na OIOM-ie także był jawnym gejem. Mark, Amerykanin irlandzko-włoskiego pochodzenia, był przyjacielski, kompetentny i świetnie wykonywał swoją robotę. Także przyjaźnił się z Heathem, często rozmawiali o swoich marzeniach, by osiąść na Sri Lance, gdzie nabyliby posiadłości za pieniądze zarobione podczas wielu lat pracy w Królestwie. Czasami zdarzało mi się wejść do małego biura Marka i przerwać im rozmowę na temat lankijskich szmaragdów czy porośniętych bujną roślinnością obszarów jakże innych od naszego surowego otoczenia. Mimo że mogłam swobodnie rozmawiać z Markiem na niemal każdy temat (łączyły nas wspólne nocne dyżury w scenerii oddziału intensywnej terapii), nigdy nie ośmieliłabym się zapytać go o styl życia gejów w Królestwie, by nie narazić go na ewentualne nieprzyjemności. Wypytywanie go o "Królestwo w szafie"^[75] wydawało mi się brutalnym wtrącaniem się w nie swoje sprawy. Są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć.

W Królestwie istniało kilka czynników, które prawdopodobnie skłaniały wielu mężczyzn do zachowań homoseksualnych. Była to usankcjonowana prawem segregacja płci, czyli pozbawienie mężczyzn możliwości swobodnego przebywania z kobietami. Były to też długie pobyty za granicą, jeśli mowa o pracownikach, którzy tłumnie przybywali z Dalekiego Wschodu i żyli tu w ciężkich warunkach (czasami spali po sześciu w jednym pokoju na potrójnym łóżku piętrowym); ich przymusowa bliskość fizyczna nieuchronnie prowadziła do zachowań homoseksualnych (czy to dobrowolnych, czy wymuszonych). W końcu była to atmosfera represji i surowego ograniczania nawet najbardziej niewinnych kontaktów między obu płciami. To wszystko rodziło zintensyfikowane i trudne do opanowania pragnienia seksualne, co w rezultacie prowadziło do tego, że niektórzy uciekali się do nabytych zachowań homoseksualnych.

Głośno było o atrakcyjnych filipińskich chłopcach do wynajęcia; niektórzy byli jawnie przegięci oraz kobiecy w sposobie poruszania się i modulacji głosu. W liberalnej Dżuddzie otwarcie afiszowano się z takimi pozami. Niektórzy saudyjscy mężczyźni bardzo uprzejmie witali innych mężczyzn kilkoma pocałunkami oraz pełnym szacunku uściskiem dłoni albo muśnięciem ustami osłoniętego ubraniem ramienia. Choć trwało to krótką chwilę, jednak wydawało się, że odrobinę za długo. Obserwowałam mężczyzn, gdy wypełniali swoje obowiązki. Potrafiłam wyczuć utajoną homoseksualność.

Doszłam do wniosku, że miłość w Królestwie jest skomplikowana, sekretna i, jak wszystko inne, zupełnie niejasna.

^[70] AOL (America OnLine) - jeden z głównych dostawców usług internetowych (przyp. tłum.).

^[71] W środowisku medycznym w Królestwie powszechnie używa się języka angielskiego, dlatego z powodu dużej ilości ekspatów Szpital Gwardii Narodowej zatrudniał tłumaczy 24 godziny na dobę, żeby lekarze mogli porozumiewać się z pacjentami (przyp. aut.).

^[72] Rajaa Al-Sanea, *My Saudi Valentine*, „The New York Times”, 13 lutego 2008.

^[73] Suzan Zawawi, *Red is Banned till Fri*, „The Saudi Gazette”, 11 lutego 2008.

^[74] Raid Qusti, *Coffee with Colleague Lands Woman in Trouble*, „Arab News”, 5 lutego 2008.

^[75] Nadya Labi, *Kingdom in the Closet*, „The Atlantic”, nr 299, maj 2007, s. 70-82.

ROZDZIAŁ 27

Świadectwo ślubu do kontroli!

Pewnego wieczoru Saraway zadzwonił do mnie, żeby przekazać mi najnowsze wieści. Obydwoje z żoną, Iman, w końcu postanowili wyjechać z Królestwa. Dobrze przemyśleli swoją decyzję; już od dłuższego czasu się nad tym zastanawiali. W ciągu zaledwie kilku tygodni miałam stracić pierwszych bliskich przyjaciół. Natychmiast jednak dostrzegłam okazję do wykorzystania: będziemy musieli pójść gdzieś razem na pożegnalną kolację. Mogłam więc zaaranżować spotkanie i zaprosić również Imada. Mój upór, by spotkać się z nim poza pracą, rozbawił Iman i Sarawaya.

- Cóż - roześmiała się Iman. - To będzie z pewnością bardzo interesująca kolacja i jestem pewna, że Sarawayowi bardzo się spodoba.

Zaczęłam obmyślać plan działania. Zadaniem numer jeden było przekonanie Imada, by się pojawił w przerwie między swoimi licznymi podróżami, zarówno krajowymi, jak i zagranicznymi. Minęło kilka tygodni, a Imad nie wyjeżdżał do Dżuddy na spotkania ani w odwiedziny do starzejących się rodziców, nie planował też podróży zagranicznej jako naukowiec, doradca, konsultant lub też kontroler z ramienia instytucji rządowych. Był niezwykle zajęтым mężczyzną. Kiedy przedstawiłam mu plan zorganizowania pożegnalnej kolacji dla Sarawaya, okazał zainteresowanie. Poczulałam dreszczyk emocji. Wyglądało na to, że uda mi się w końcu zobaczyć go poza pracą. Teraz pozostało już tylko wybranie odpowiedniego miejsca.

- Tylko bądź ostrożna, Qanta. - Imad nie powiedział nic więcej, ale to niedopowiedzenie najlepiej wyrażało jego niepokój.

Ja już jednak podjęłam decyzję. Spotkamy się w nowo otwartej restauracji, która cieszyła się znakomitą opinią.

Restauracja Cristal działała od kilku tygodni. Mieściła się w hotelu Al-Fajsalijja

wybudowanym w ciągu zaledwie paru miesięcy. Był to najwyższy budynek w Rijadzie. Choć postawiony na planie trójkąta równoramiennego drapacz chmur (świadectwo obsesji architekta Normana Fostera na punkcie tej figury geometrycznej) nie był jeszcze ukończony, już zapierał dech w piersiach. Wyróżniał się na tle saudyjskiego krajobrazu; musiałam przyznać, że nawet Manhattan nie mógł poszczycić się równie imponującą budowlą.

Wierzchołek wieżowca nie był jeszcze ukończony; trwały prace konstrukcyjne przy budowie mającej go zwieńczyć wspaniałej szklanej kuli. Plany przewidywały, że znajdzie się tam pierwszy klub cygarowy dla towarzyskiej miejscowej śmietanki. Rijad się zmieniał.

Ta zadziwiająca wieża była wizją tajemniczego księcia Al-Walida. Książę Al-Walid bin Talal to jeden z pierwszych saudyjskich książąt, którzy inwestowali swój oszałamiający majątek w Królestwie. Wiadomo było, że ma udziały w Citigroup i Four Seasons w Nowym Jorku, a także w paryskim hotelu George V, lecz budowa Al-Fajsalijji niedługo później jeszcze bardziej zadziwiającej wieży Al-Mamlaka była dla jego rodaków naocznym dowodem przekonania księcia, że warto inwestować w Rijadzie. Doskonale zaprojektowane i zrealizowane budynki stanowiły moje ulubione miejsce ucieczki od saudyjskiej rzeczywistości. Uznałam, że Cristal znakomicie nadaje się na zorganizowanie kolacji, podczas której lepiej poznam Imada.

Wreszcie nadszedł ten wieczór. Przyjechaliśmy do hotelu z Sarawayem i Iman. Imad miał do nas dołączyć. Byliśmy w odświeżonych nastrojach.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu, oślepiły nas tysiące punktowych lampek; czuliśmy się jak gwiazdy pod obstrzałem fleszy. Z olbrzymiej wysokości fontanny w kształcie kolumny spływała ściana wody; w chłodnym wieczornym powietrzu unosiła się mgiełka kropelek.

Byłam podekscytowana. Wokół nas niewielkie grupki Saudyjczyków ubranych w tajemnicze zasłony lub sauby spokojnym krokiem dyskretnie kierowały się do hotelowego lobby, po czym natychmiast znikaly. Czarne mercedesy i bmw przywoziły śmietankę saudyjskiego społeczeństwa. W tym miejscu w Rijadzie należało się pokazać, choć jak na ironię, było się tu jeszcze bardziej niezauważalnym niż gdziekolwiek indziej.

Weszliśmy do lobby. W zasięgu wzroku byli niemal sami saudyjscy mężczyźni.

Dwóch zachodnich biznesmenów rozmawiało w oczekiwaniu na transport na lotnisko. Omawiali prowadzone interesy tak głośno, że można było co nieco usłyszeć. W granatowych marynarkach i nijakich krawatach wyglądali mało elegancko i nie pasowali do tego miejsca. Po różowych policzkach i chłopięcych fryzurach zgadywałam, że są Anglikami. Tymczasem otaczający ich saudyjscy dżentelmeni mieli na sobie eleganckie sauby uszyte z najwspanialszych tkanin, przeważnie białe, choć gdzieś tam widać było również ciemny granat lub czerni - sauby w tych kolorach nosiło się w zimie. Połączenie ciemnej gabardyny z szarymi wełnami w tym średniowiecznym męskim stroju było dla mnie niezwykle atrakcyjne: stanowiło bardzo seksowną mieszankę saudyjskości z londyńską Savile Row. W czarnej saubie każdy mężczyzna bez wyjątku był przystojny. Zastanawiałam się, czy będę miała okazję zobaczyć dzisiaj Imada w takiej szacie. Miałam nadzieję, że tak.

Weszliśmy do windy, żeby wjechać kilka pięter wyżej, bo tam mieściła się restauracja. Stolik już na nas czekał; na moją prośbę kierownik sali zarezerwował dla nas najlepsze miejsce. W pomieszczeniu znajdowało się jakieś dziesięć stolików, prawie wszystkie okrągłe, jak znalazł na długie rozmowy. Usiedliśmy przy jednym z nich, dyskretnie schowani w tylnej części sali.

Wokół nas siedziały grupki Saudyjczyków. Byliśmy jedynymi gośćmi z Zachodu. Pomędzy mężczyznami dostrzegłam kilka kobiet; czasem jednej kobiecie towarzyszyło dwóch mężczyzn. Żadna z nich nie miała zasłoniętej twarzy, lecz nawet w tej świątyni saudyjskiej wytworności niektóre wolały pozostać z zakrytymi włosami.

Czas mijał. Niepokoiliłam się, czy Imad w ogóle się pojawi. Kiedy już byłam prawie pewna, że zapomniał o spotkaniu, zobaczyłam jego wysoką sylwetkę. Jak zwykle szybkim krokiem wszedł do pomieszczenia i się rozejrzył. Byłam zawiedziona: nie założył saudyjskiej sauby. Wybrał niezobowiązujący strój - spodnie i koszulę. Nie przyszedł ani pod krawatem, ani w marynarce; miał na sobie niebieską koszulę (tym razem od Diora) rozpiętą pod szyją. Przywitał się z nami i usiadł obok mnie.

- Myślałem, że to zebranie w ministerstwie nigdy się nie skończy. Już się bałem, że nie dam rady dotrzeć - wyjaśnił powód spóźnienia.

Wiedziałam, że tak zazwyczaj wyglądają jego niedzielne wieczory. Chodził na

cotygodniowe spotkania, na których dyskutowano sprawy wagi państwowej. Nie był co prawda ministrem zdrowia, ale nie miałam wątpliwości, że pewnego dnia zostanie powołany na to stanowisko. W całym Królestwie nie było osoby, która miałaby lepsze kwalifikacje.

- No i ten ruch w Rijadzie! Ostatnio to istne szaleństwo. Wszędzie korki. Robiłem, co mogłem, żeby przyjechać jak najszybciej. - Roześmiał się, rzucając mi ukradkowe spojrzenie.

Spotkanie wreszcie się zaczęło.

Koło naszego stolika przeszedł kolejny gość, pozostawiając za sobą zapach attaru. Jego *sauba* musnęła nasz obrus. Kiedy mnie mijał, dostrzegłam, że w prawej dłoni obraca paciorki pięknego srebrnego różańca. Mężczyzna był niebotycznie elegancki. Sprowokowało mnie to do pytania:

- Imadzie, dlaczego nie nosisz saudyjskich strojów? Moim zdaniem wyglądają fantastycznie!

Skrzywił się z niesmakiem, gasząc uśmiech na mojej twarzy.

- Nie znoszę ich. To nie mój styl, Qanta. Znacznie lepiej czuję się w spodniach khaki i koszulach. Nigdy się tak nie ubierałem, z wyjątkiem szczególnych okazji, na przykład wesela w rodzinie. Brrr... Na co dzień nigdy bym czegoś takiego na siebie nie włożył.

Zaskoczyła mnie jego porywczność. Nie dostrzegając, jak elegancko prezentują się jego rodacy, nawet w otoczeniu takiego przepychu. Oparł się na krzesło, położył ręce na poręczach. Od jego paska Ferragamo odbijało się światło. Był odprężony. Nasze łokcie prawie się dotykały. Powróciło znajome mrowienie. A już myślałam, że udało mi się je pokonać. Nagle onieśmielona, opuściłam głowę. Niebiesko-czarna tarcza jego kosztownego zegarka wskazywała godzinę 21.15. Czas biegł tak szybko. Imad mówił dalej; dzisiejszego wieczoru był bardzo rozmowny.

- Widzisz, ludzie nie umieją rozpoznać mojej narodowości, nigdy nie biorą mnie za Saudyjczyka. - Uśmiechnął się z satysfakcją.

- A za kogo cię biorą? - zapytałam zakłopotana.

- Za Kanadyjczyka, Amerykanina, Jordańczyka, Libańczyka... Nie chcą uwierzyć, że naprawdę jestem Saudyjczykiem.

Wyglądało tak, jakby to napawało go dumą. Byłam zbита z tropu. Zorientowałam się, że ma problem z tożsamością: niechęć do narodowych strojów, duma z faktu, że nie wygląda na Saudyjczyka... Tutaj, w jednej z najlepszych restauracji w Rijadzie, wśród swoich rodaków dumnie noszących tradycyjne ubiory, wyglądał jak odmieniec. Zastanawiałam się, czy te problemy z samoidentyfikacją dotyczą również jego przekonań religijnych i ambicji życiowych. Postanowiłam jednak spytać o to przy innej okazji.

Wiedząc, że Imad lubi owoce morza, jak każdy z nadmorskiej Dżuddy, zamówiliśmy ostrygi, które podano na wspaniałej tacy z lodu. Odrobina soku z cytryny i natychmiast je pochłonęliśmy - pycha! Dostarczono je dzisiejszego ranka z Nowej Anglii. Homary były sprowadzane dwa razy w tygodniu specjalnym transportem z Maine. Kilka razy w tygodniu przywożono warzywa z Brukseli. Nie liczone się z kosztami. Nie spodziewałam się standardów na poziomie Londynu, Nowego Jorku czy Paryża, ale bardzo się myliłam. Kuchnia dorównywała Petrusowi, Jean Georges'owi czy jakiegokolwiek innej restauracji wysoko notowanej przez przewodniki Michelin. Byliśmy zachwyceni.

Przez cały wieczór się śmiałam, a Imad mi wtórował. Wyglądało na to, że dobrze się bawi. Był rozluźniony, swobodny, otwarty. Często spoglądał w moją stronę. Miał roześmiane oczy; usta wybuchały kolejnymi kaskadami zadziwiająco zaraźliwego śmiechu. Jakby zrzucił maskę, spod której ukazał się prawdziwy Imad. Udało mi się ściągnąć z niego zasłonę. Zachowywał się tak, jakby przestał się przejmować, że można z tego wyczytać nieskrywane i żywe zainteresowanie mną. Iman i Saraway spoglądali na siebie z zakłopotaniem i radością.

- Qanta, ze śmiechu bolą mnie już mięśnie! Nie miałem pojęcia, że jesteś taka dowcipna! - powiedział.

Doszłam do tego samego wniosku na jego temat. Był trochę nieśmiały, inteligentnie złośliwy i bez wątplenia miał poczucie humoru.

- Tak się cieszę, że jednak przyszedłem. Niewiele brakowało, żebym się nie pojawił.

Zaskoczył nas.

- Od lat słyszałem najróżniejsze opowieści przyjaciół, którzy spotykali się na mieście w mieszanym towarzystwie. Teraz widzę, że wszystko tu jest możliwe. Wiesz przecież, że nigdzie nie można wykluczyć nalotu. - Konspiracyjnie ściszył głos. Najwyraźniej przyszedł czas na powagę. - W Rijadzie wszystko może się wydarzyć, prawda? *Mutawwa* może przerwać każde zgromadzenie i wypytywać zebranych, czy mają prawo razem przebywać, szczególnie jeśli trafią na mieszane spotkanie Saudyjczyków i obcokrajowców. Jak wiesz, oni nie patrzą na to przychylnym okiem.

- Ale Imadzie, przecież jesteśmy w towarzystwie pary małżeńskiej! Saraway ma ze sobą świadectwo ślubu. Prawda? - Spojrzałam na Sarawaya i Iman, którzy zgodnie przytaknęli. Moje pytanie było idiotycznie naiwne, przecież miałam do czynienia z długo przebywającymi w Królestwie cudzoziemcami. - Myślę więc, że nie ma żadnego problemu, że jesteś tutaj z nami. - Chciałam sprawić, by Imad poczuł się bezpiecznie i szczerze wierzyłam w to, co mówię.

Ponownie się roześmiał, tym razem jak żółtodziób. Wyczułam chłód w jego głosie.

- Nie, Qanta. Jeśli pojawi się tu członek *mutawwy*, zapyta cię: „A kto jest pani mężem? Gdzie wasz akt ślubu?”. Jeśli nie ma aktu ślubu, mnie zaaresztują, a ciebie prawdopodobnie deportują. Czasem wpływy Szpitala Gwardii Narodowej okazują się niewystarczające, by ochronić pracowników, nawet jeśli ci mają brytyjskie obywatelstwo. Decydując się na to spotkanie, ponosimy pewne ryzyko. - Urwał nagle, prawdopodobnie w obawie, że zepsuje miłą atmosferę kolacji. Śledził moją reakcję.

Z zakłopotaniem odpowiedziałam na jego dociekliwe, choć pełne sympatii spojrzenie. Dotarło do mnie wreszcie, że późne pojawienie się Imada najprawdopodobniej było związane z jego obawami. Nawet tak wpływowy mężczyzna jak on żył w tym społeczeństwie w ciągłym strachu. Ubrany na zachodnią modłę, wyglądający na Amerykanina Imad trwał w zawieszaniu pomiędzy dwoma światami. To rozdwojenie dotyczyło prawdopodobnie różnych sfer życia.

W tym momencie naszą uwagę przykuło drobne zamieszanie przy wejściu.

Dostrzeżliśmy kilku mężczyzn w brązowych szatach, zbitych w niespokojnie falującą grupkę. Patrol mutawwy nawiedził Al-Fajsaliję, co rzadko się zdarzało. Kierownik sali spoglądał to na nich, to na nas, gotowy do podjęcia koniecznych działań. Zauważyłam, że dyskretnie wybiera jakiś numer. Zastanawiałam się, czy przycisnął guzik alarmowy. Czyżby obawy Imada miały się właśnie spełnić? Siedzący przy pobliskich stolikach Saudyjczycy patrzyli, co się dzieje, lecz żaden z nich nie wyglądał na zaniepokojonego. Niektórzy zorientowawszy się, że źródłem zamieszania jest tylko *mutawwa*, spokojnie powrócili do jedzenia. Żadnej paniki. To było niezwykle: zazwyczaj pojawienie się policji religijnej wywoływało strach. Tym razem wyglądało na to, że jej potęga została rozbijona.

Przez chwilę *mutawwa 'in* stali w wejściu niezdecydowani, jakby nie mogli ani wejść, ani wyjść. Choć ogromne wejście nie miało drzwi, wyglądali, jakby powstrzymywała ich niewidzialna bariera: potężna siła oddziaływania Wolnego Księcia. Znajdowaliśmy się na terytorium księcia Al-Walida, w budynku Kingdom Holding Company. Tutaj *mutawwa 'in* nie mogli nas dosięgnąć.

Jak wszystko co dobre, wieczór minął szybciej, niżbyśmy chcieli. Pora była już wracać do domu. Imad wyszedł pierwszy, żeby wyprowadzić samochód z hotelowego garażu. Zaproponował, że odwiezie nas do kompleksu. Przyjęliśmy propozycję, choć wiedzieliśmy, że wspólna jazda po mieście również wiąże się z ryzykiem. Było już jednak bardzo późno, a Imad dodatkowo zapewniał, że postara się, żeby nikt po drodze nas nie zatrzymał. Ze świecącym łysiną Sarawayem o ciemnej karnacji, którego często brano za Saudyjczyka, i w towarzystwie jego żony mogliśmy uchodzić za porządne pary małżeńskie. Imad zatrzymał się przed nami swoim bmw serii 7 i zaprosił do środka.

Saraway zaproponował mi przednie siedzenie, lecz jak zwykle podziękowałam. Ruszyliśmy przy dźwiękach brytyjskiego R&B Craiga Davida; Imad pędził co najmniej sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Zaszokowała mnie zarówno jego lekkomyślność, jak i gust muzyczny! Nie zapiął pasów; dopiero po jakimś czasie uległ moim usilnym prośbom. (Często, jeżdżąc jako pasażerka w Rijadzie, martwiłam się o bezpieczeństwo wiozącego mnie kierowcy, ktokolwiek to był. Ostatnimi czasy ten niepokój zaczął przeradzać się w obsesję).

- Imadzie, proszę cię, to niebezpieczne! - Przestałam już wyglądać przez okno, przez które widać było, jak szybko się przemieszczamy w porównaniu z innymi samochodami na drodze.

Zadowolony z siebie parsknął śmiechem. Nie mogłam się doczekać, aż dojedziemy na miejsce. Trzy razy sprawdzałam, czy mam dobrze zapięte pasy.

Tym razem niedojrzałe zachowanie Imada ujawniło inną, typowo saudyjską stronę jego osobowości: samcze upodobanie do szybkiej jazdy. Okazywanie męskości poprzez swąd palonej gumy i pędzenie zatłoczoną ulicą bez zwracania uwagi na błady strach pasażerów - co za dziecinada. Niestety, było to zachowanie charakterystyczne dla młodych znudzonych mężczyzn w Rijadzie i, jak miałam okazję dzisiaj się przekonać, nie tylko tych niewykształconych.

Imad nie mógł zachowywać się inaczej pomimo długoletnich kontaktów ze światem Zachodu. Jego kultura najzwyczajniej była zbyt silna. Choć gustował w zachodnich rzeczach: niemieckich samochodach, francuskich krawatach, szwajcarskich zegarkach, włoskim obuwiu i białym kolorze skóry - wszystko to nie mogło przysłonić jego bliskowschodniej mentalności. Oficjalnie uznana męska dominacja i frustracja seksualna znajdowały ujście w niebezpiecznych zabawach. Takiego właśnie *Doktora Żywago* sobie wybrałam.

ROZDZIAŁ 28

Oko za oko

Dopiero przed dwoma dniami powróciłam do Królestwa po krótkiej wizycie w Nowym Jorku. Od razu poszłam zobaczyć niezwykłego pacjenta, o którym mówił Imran.

Juliette, jedna z moich ulubionych filipińskich pielęgniarek, właśnie go myła. Przerwała na chwilę, najwyraźniej zmęczona zajmowaniem się ciężkim bezwładnym ciałem. Delikatnie opuściła masywny pośladek, który dopiero co zdążyła opatrzyć - zaczęły się już na nim pojawiać odleżyny. Biodro opadło na łóżko zupełnie jak kawałek zamrożonego mięsa.

- *Doktora!* Dobry wieczór! Jak się cieszę, że panią widzę! - Juliette jak zwykle była bardzo serdeczna. Biła od niej pełna szczerości życzliwość.

Zastanawiałam się, w jaki sposób potrafiła zachowywać się z takim wdziękiem w najtrudniejszych nawet sytuacjach. Odpowiedziałam na jej uprzejmości i dopiero wtedy zapytałam o pacjenta.

- Co to za sprawa, Juliette?

- Chłopak ma, to znaczy miał, czternaście lat. Na OIOM-ie jest już czwarty dzień. Trafił do nas wskutek pchnięcia nożem w serce. Bezpośredni masaż przywrócił akcję serca, ale przez przynajmniej pięćdziesiąt pięć minut nie można było wyczuć pulsu. Nie wiemy, jak długo chłopak leżał nieprzytomny. Już pierwsza tomografia, jaką zrobiliśmy, pokazywała obrzęk; wiemy, że doznał niedokrwiennego udaru mózgu. Nie odzyskał odruchów mózgowych, kilka dni temu stwierdzono śmierć mózgu. Nie podawano mu środków uspokajających. Nie podjęto decyzji o przerwaniu czynności podtrzymujących życie ani o poddaniu ocenie organów pod kątem przeszczepu. Nie możemy w to uwierzyć, *doktora*.

Ja również nie mogłam. Wpatrywałam się w ciało. Jedyne niesforna błyszcząca czupryna przypominała o tym, że jeszcze przed kilkoma dniami pacjent był pełnym życia

nastolatkiem.

Otyły chłopiec pozostawał na granicy życia dzięki aparaturze, która podtrzymywała podstawowe funkcje organizmu, jednak jego istota, ośrodek jego świadomości, była już martwa. Ponownie spojrzałam na pacjenta. Miał twarz spuchniętą do rozmiarów piłki futbolowej, a oczy przykryte obrzękłymi powiekami. Środek nawilżający połyskiwał jak lzy; można by pomyśleć, że chłopiec oplakuje swój los. Respirator podłączony do świeżej tracheostomii tłoczył powietrze do martwych płuc.

- Przecież to nie ma sensu! Dlaczego to wszystko robimy, Juliette? Z medycznego punktu widzenia to jest kompletnie bezcelowe! I całkowicie nieetyczne... - Westchnęłam z irytacją i postanowiłam następnego dnia porozmawiać z doktorem Farisem: może jest coś, o czym nie wiem.

Ignorując moralny aspekt problemu, Juliette zwróciła uwagę na kwestie praktyczne:

- *Doktora*, co robimy ze stężeniem sodu we krwi Fu'ada?

Rzuciłam okiem na wyniki analiz, które mi pokazała. Mózg Fu'ada nie kontrolował już stężenia sodu ani innych elektrolitów we krwi. Nie miało to jednak najmniejszego wpływu na los pacjenta, który i tak był przesądzony; jak rozumiałam, nie wchodziło w grę również pobieranie organów do przeszczepu (bo w takim wypadku należałoby monitorować stężenie elektrolitów). Odeszłam, pozostawiając Juliette z wynikami. Nie mogłam w żaden sposób pomóc.

Następnego ranka energicznie wkroczyłam do gabinetu *doktora* Farisa.

- Jak pan w ogóle mógł dopuścić do takiej sytuacji?

Faris poruszył się niespokojnie na krześle i westchnąwszy, zaczął wyjaśniać mi zaistniałe okoliczności:

- Qanta, wiesz zapewne, że prawo szariatu obowiązujące w Arabii Saudyjskiej przewiduje karę śmierci za morderstwo?

Niecierpliwie przytaknęłam, zastanawiając się, co to ma do rzeczy. Wyjaśnienia Farisa bywały dość zawile. Zmęczona po ciężkim nocnym dyżurze nie miałam ani siły, ani ochoty słuchać jego rozwlekłych opowieści.

- No więc ten chłopiec został pchnięty nożem przez innego nastolatka, również czternastoletniego Saudyjczyka. Byli przed szkołą. Nie wiem, o co się pokłócili, lecz ten drugi chłopiec - ten, który go dźgnął - przysięga, że nie chciał go zabić. Jeżeli zaprzestaniemy podtrzymywania funkcji życiowych i Fu'ad zostanie oficjalnie uznany za zmarłego, tamtego chłopca skazają za morderstwo. W naszym kraju nastolatek odpowiada za swoje czyny tak jak dorośli.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

- Rodzina sprawcy zaoferowała rekompensatę dla rodziny zranionego chłopca. Decyzja leży teraz po stronie rodziny Fu'ada, ale na razie jej członkowie odmawiają przyjęcia odszkodowania i chcą, by sprawca poniósł śmierć. Rodzina sprawcy, rzecz jasna, w akcie desperacji odwołała się do samego króla. Teraz toczą się delikatne rozmowy na najwyższym szczeblu. Widzisz, Qanta, w takiej sytuacji nie możemy zaprzestać działań, ponieważ nie chcemy ponosić odpowiedzialności za skazanie innego nastolatka na śmierć. To leży w gestii władz i sądów szariatowych. W zeszłym tygodniu za pośrednictwem królewskiego dekretu otrzymaliśmy nakaz, zgodnie z którym mamy kontynuować leczenie. Nie wolno nam zaprzestać wysiłków. Rozumiesz, Qanta? Bardzo mi zależy na tym, żeby to było dla ciebie jasne. Nie chcę w tej kwestii żadnych nieporozumień.

Przyglądał mi się uważnie. Doskonale to zrozumiałam. Prawo szariatu odgrywało niezwykle ważną - i złowrogą - rolę we wszystkich aspektach życia i śmierci w Królestwie. W żadnej mierze nie była to kwestia etyki lekarskiej. Był to kasus prawny jurysprudencji muzułmańskiej w jej wahhabickiej interpretacji.

- Rozumiem twoje rozterki, Qanta - ciągnął Faris. - Ja także kształciłem się w Ameryce Północnej. W Hamiltonie odłączałem od aparatury pacjentów, którzy potrzebowali jej, by żyć. - Faris nawiązywał do lat, które spędził w Ontario, robiąc podspecjalizację. - Doskonale rozumiem, jakim ciężarem jest podejmowanie decyzji o czyjejs

śmierci, wiem też, co oznacza śmierć mózgu. W tym przypadku jednak sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Skutki naszych działań wykraczają daleko poza losy samego pacjenta. Jeśli uznamy Fu'ada za zmarłego, może to wpłynąć na decyzję jego rodziny i pociągnąć za sobą śmierć innego nastolatka. - Faris zamilkł i się zadumał.

Nastała kłopotliwa cisza. Tu nie chodziło już tylko o kwestie medyczne; z tą sprawą wiązały się i inne dylematy natury etycznej. Za zabójcą wstawił się król, wydając dekret, którym chciał zapobiec ogłoszeniu śmierci rannego chłopca, ponieważ liczył na to, że rodzina ofiary zdobędzie się na litość. Nawet król nie mógł okazać łaski; decyzja należała do rodziny Fu'ada. Jedyne, co król mógł to dać rodzinom trochę czasu w nadziei, że serca bliskich ofiary zmiękną.

- Mam nadzieję, że rodzina ofiary przyjmie dijję (rekompensatę) od rodziny sprawcy - zaczął Faris, odwołując się do nauczania koranicznego, zgodnie z którym pogrążona w smutku rodzina ofiary zabójstwa powinna raczej przyjąć odszkodowanie niż szukać odwetu (*kisas*) w postaci równorzędnej kary^[76]. Faris zagłębił się w wyjaśnienia. Jak zwykle zorientował się, że pogubiłam się nieco w zawiłościach muzułmańskich zasad, i postanowił rozwiązać moje wątpliwości.

- Jak zapewne wiesz, Qanta, islam uczy nas współczucia w każdej sytuacji.

Kiwnęłam głową. Głęboko w to wierzyłam.

- Zasada oko za oko rzeczywiście w islamie istnieje, ale islam to przede wszystkim sprawiedliwość. Islam to wiara w równość i nieskończoną sprawiedliwość. Przypomina nam o tym ten werset - tu Faris zaczął z pamięci cytować Koran, najpierw po arabsku, a następnie przetłumaczył mi na angielski:

Przepisaliśmy im w niej:

„Życie za życie, oko za oko,

nos za nos, ucho za ucho, ząb za ząb;

a za rany obowiązuje prawo talionu.

Ale kto z ceny krwi uczyni jałmużnę,

otrzyma przebaczenie”.

A którzy nie sądzą według tego, co zesłał Bóg,

są ludźmi niesprawiedliwymi^[77].

Dalej wyjaśnił, że islam pozwala muzułmanom szukać sprawiedliwości, ale jedynie w ściśle wyznaczonych granicach. Muzułmanin nie może ukarać za zbrodnię, dopuszczając się jeszcze większej zbrodni. Islam potępia zemstę i opowiada się jedynie za wymierzaniem sprawiedliwości. Jako muzułmanie mamy jednak prawo odstąpić od wymierzenia sprawiedliwości; w rzeczywistości kara jest lepsza niż odwet. W Królestwie zostały nawet stworzone regulacje prawne, które tego dotyczą. Na przykład - za zabójstwo saudyjskiego mężczyzny sprawca płaci odszkodowanie. Jeśli najbliższa rodzina mordercy nie ma pieniędzy, odszkodowanie może zapłacić dalsza rodzina lub nawet dowolny członek plemienia. Czasem z pomocą przychodzą członkowie rodziny królewskiej. Ale ta rekompensata jest wymagana, i to rodzina ofiary decyduje, czy zostanie ona przyjęta w formie odszkodowania. Słuchałam uważnie tych wyjaśnień, ale w dalszym ciągu niepokoiła mnie kwestia młodego wieku napastnika.

- W tym przypadku morderca jest nieletni! Czy on również podlega karze śmierci?

- Niestety, Qanta, kiedy chłopiec staje się osobą dorosłą wraz z tym, jak rozwiną się

u niego drugorzędowe cechy płciowe, w świetle prawa jest uznawany za dorosłego. Popelnienie „dorosłej” zbrodni pociąga za sobą poniesienie „dorosłej” kary. Obawiam się, że tak się właśnie stanie, choć do ostatniej chwili rodzina ofiary może mu wybaczyć i będzie ocalony. Modlimy się, by okazali litość. - Faris zamilkł.

Zrozumiałam, że nasza rozmowa dobiegła końca. Przeprosiłam i wyszłam z gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi.

Szłam przez OIOM w kierunku wyjścia. Zatrzymałam się przy sali Fu'ada. Chłopcem, czy raczej jego ciałem, przy każdym oddechu wykonywanym przez respirator wstrząsał dreszcz. Funkcje życiowe utrzymywały się mniej więcej w normie. Juliette skończyła nocną zmianę; teraz Vicky, Zuluska, Południowoafrykanka, zajmowała się zmienianiem opatrunków. Skoncentrowana na swoim zajęciu, cicho nuciła jakąś balladę. Fu'ad wyglądał jak każdy inny pacjent OIOM-u. Trzeba przyznać, że udało się stworzyć wrażenie, że wciąż żyje; pozwolenie mu na godne odejście będzie o wiele trudniejsze. Nie była to jednak decyzja ani nasza, ani najwyraźniej jego Stwórcy. O losie chłopca zadecydują sądy szariatowe, rodziny i monarcha. My musimy działać dalej, troskliwie pielęgnując zwłoki. Głęboko wzburzona opuściłam oddział.

Następnego dnia, wciąż poruszona przypadkiem pacjenta w stanie śmierci mózgowej, postanowiłam zadzwonić do mojej przyjaciółki Jane, żeby dowiedzieć się od niej czegoś więcej. Jane, Nowozelandka z Auckland, była rehabilitantką i od dawna mieszkała jako ekspatka w Królestwie, znała więc odpowiedzi na wiele pytań.

- No tak, Qanta, rekompensata dla rodziny zmarłego to tutaj bardzo ważna sprawa. Każdy kierowca, to znaczy każdy mężczyzna, który ma prawo jazdy, musi mieć też specjalne ubezpieczenie na wypadek, gdyby musiał ją wypłacić. Wyobraź sobie, że to trochę jak ubezpieczenie na życie. Co ciekawe, w przypadku śmierci obcokrajowca rekompensata nie jest wymagana, ale jeśli potracisz Saudyjczyka, lepiej, żebyś miała pieniądze na odszkodowanie.

Nie byłam pewna, czy Jane ma rację, poszłam więc znowu do Farisa.

Siedzieliśmy w jego gabinecie, gdzie przy herbacie objaśniał mi reguły związane

z odpowiedzialnością i odszkodowaniami. Jak zwykle słuchałam w milczeniu, zdumiona zarówno jego erudycją, jak i ogromem swojej niewiedzy.

Każdy wypadek w Królestwie, jeśli stwierdzono czyjąś winę, pociąga za sobą konieczność wypłacenia przez sprawcę odszkodowania niezależnie od narodowości ofiary. Zazwyczaj za śmierć dorosłego Saudyjczyka, mężczyzny, wysokość odszkodowania wynosi 100 tysięcy riali, czyli około 26 tysięcy dolarów. W przypadku śmierci kobiety odszkodowanie jest niższe, zazwyczaj wynosi połowę tej kwoty, ponieważ w Królestwie niewiele kobiet jest żywicielkami rodziny. Jeśli sprawcy wypadku nie są w stanie zapłacić odszkodowania, koszty te mogą ponieść inni.

Wiedziałam, że jest tak, jak mówi Faris. Słyszało się w Królestwie o przykładach zadziwiającej wielkoduszności, pisano o tym często w "Arab News", dzienniku o ogólnokrajowym zasięgu. Saraway i Iman opowiedzieli mi kiedyś historię, którą teraz sobie przypominałam.

- Słuchaj, Qanta, co piszą we wczorajszym „Arab News”! - Saraway zaczął mi streszczać artykuł przez telefon.

Dziennik przytaczał historię mężczyzny, który pojawił się przed sądem w Ha'il, mieście na północy kraju, by publicznie zaoferować 50 tysięcy riali (około 13 tysięcy dolarów) rodzinie hinduskiego robotnika, który zmarł w wyniku wypadku motocyklowego. Częściowo winę za jego śmierć ponosił Lankijczyk, ale jego rodziny nie stać było na odszkodowanie. Ten kierowca na szczęście przeżył, lecz sąd zasądził wypłatę odszkodowania rodzinie, która straciła jedynego żywiciela.

Do czasu wpłacenia odszkodowania kierowca uznany przez sąd za współwinnego wypadku (drugim współwinnym był ten, który zginął) pozostawał w areszcie. Według doniesień gazety jego konsulatus zaapelował do lokalnej społeczności hinduskiej o pomoc w zgromadzeniu potrzebnej kwoty, ale nie odniosło to oczekiwanego skutku. Pewien Saudyjczyk, który dowiedział się o sprawie, choć nie znał żadnego z uczestników wypadku, zaprzagnął pomóc zarówno rodzinie kierowcy, który przeżył, jak i wdowie. Nieoczekiwanie dla wszystkich wyłożył pieniądze, które zostały wpłacone na konto konsulatus, a ten z kolei przekazał odszkodowanie wdowie.

- Rany, to dopiero szczodrość! - entuzjasmował się Saraway. - Ale nie ujawnili, kto przekazał te pieniądze - dorzucił.

- Ale dlaczego on to zrobił? Napisali cokolwiek o darczyńcy?

- Czekaj, niech no zobaczę... Tak, napisali na końcu, że darczyńca, choć nie spodziewa się żadnej nagrody w życiu doczesnym, wie, że Bóg jest łaskawy i wynagrodzi jego uczynek w życiu wiecznym. I tyle. To musi być jakiś bogaty facet!

- Bogaty i szczodry.

Wieczorem opowiedziałam tę historię Jane. Już nie była taka cyniczna.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam, ale to ma sens. Zresztą arabska hojność jest słynna, i to nie bez powodu. Wiesz przecież, że chodzę do pałacu, gdzie zajmuję się rehabilitacją następcy tronu i jednej z jego żon? Obydwoje cierpią na bardzo nieprzyjemne zapalenie kostno-stawowe kolan. W każdym razie w czasie, kiedy ja klęczę przed księżną i przeprowadzam zabiegi, dworzanie krzątają się dookoła i najczęściej przedstawiają jej petycje od poddanych. I wydaje mi się, że ona traktuje te prośby bardzo poważnie. Raz na jakiś czas przerywa ćwiczenia, by podjąć decyzję. Byłam nawet świadkiem, jak komuś udało się uzyskać audiencję u samego następcy tronu.

Spojrzałam na nią, czekając na więcej szczegółów.

- To chyba jest coś w rodzaju zebrania samorządu. Książęta spotykają się co tydzień ze swoimi „zwolennikami”, nie przychodzi mi do głowy lepsze określenie, Qanta, na tak zwany *madzlis*, czyli coś w rodzaju konferencji; dosłownie oznacza to posiedzenie. Na tym spotkaniu ludzie dzielą się z księciem swoimi kłopotami, a książę próbuje im pomóc. Czasem polega to na mediacji w sporach dotyczących wysokości diji, która może osiągać astronomiczne sumy^[78]. Ludzie zwracają się do księcia jak do ostatecznej instancji z apelacją. Monarchia odgrywa tutaj niezwykle istotną rolę i jest głęboko zaangażowana w sprawy swojego ludu, pamiętaj o tym, Qanta!

Ciało nastolatka przeniesiono z OIOM-u na oddział przewlekłych chorób układu oddechowego, gdzie w dalszym ciągu sztucznie podtrzymywano czynności życiowe. Trwał tam w takim zawieszeniu do momentu, gdy nawet takie sztuczne wspomaganie nie mogło już zmusić organów do pracy. Po śmierci Fu'ada jego rodzina, w wyniku delikatnej perswazji ze strony lokalnej starszyny i otoczenia króla, zgodziła się przyjąć rekompensatę i zrezygnowała z domagania się kary śmierci dla sprawcy. Młodociany zabójca ocalał.

W ten oto sposób, podczas gdy w tym życiu Fu'ad został skazany w chwili, gdy pchnięto go nożem, jego zabójca przeżył, by ponieść karę w życiu pozagrobowym.

^[76] Khaled Abou El Fadl, *The Great Theft, Wrestling Islam from the Extremists*, Harper, San Francisco 2005.

^[77] *Koran*, sura V („Stół zastawiony”), w. 45, dz. cyt., s. 135 (przyp. tłum.).

^[78] *Abusing the Concept of Blood Money*, „Arab News”, 30 listopada 2007.

ROZDZIAŁ 29

Książęta, poligamiści i nędzarze

Rozmowa z Jane skłoniła mnie do rozmyślań na temat monarchii. Jako obywatelka brytyjska potrafiłam zrozumieć przywiązanie poddanego do monarchy, szczególnie do takiego, który rządził od ponad połowy wieku. W Arabii Saudyjskiej król i cała monarchia nie były aż tak oddalone od życia codziennego, jak miało to miejsce w przypadku innych krajów. Praca w szpitalu pozwoliła mi zauważyć, że nie było niczym niezwykłym to, że członkowie rodziny panującej angażowali się w opiekę nad chorymi bądź uczestniczyli w otwarciu nowego budynku. Czasem przebywali w szpitalu jako pacjenci, choć częściej wybierali renomowane placówki międzynarodowe, czasem pojawiali się z nagłymi, niezapowiedzianymi wizytami, których celu nie mogłam zrozumieć.

Pewnego wieczoru kończyłam obchód na OIOM-ie. Dochodziła północ. Właśnie zamknęłam opasłą dokumentację jednego z pacjentów, kiedy dyżurna pielęgniarka przypomniała mi, że któryś z wyżej postawionych członków rodziny królewskiej ma pojawić się na oddziale. Nie zrobiło to na mnie szczególnego wrażenia, ale zauważyłam, że wszyscy się starają, by łóżko ich pacjenta wyglądało jeszcze schludniej niż zwykle. Emma, uroczą Filipinka, po raz kolejny poprawiała i tak doskonale nałożoną szminkę. Przyłapałam ją, gdy przed kieszonkowym lusterkiem stroiła kokieteryjne miny, porządkując niesforne kosmyki włosów. W powietrzu wyczuwało się podekscytowanie. Nagle automatyczne stalowe drzwi OIOM-u się otworzyły i na oddział wkroczyła drobna postać osłonięta abają. Jakieś dziesięć kroków za nią szedł pracownik szpitalnej administracji. Było już późno, więc wyraźnie zmęczony oprowadzał wyczekiwanego królewskiego gościa. Pielęgniarki przerwały na chwilę pracę i wstały, pragnąc okazać szacunek dostojnemu przybyszowi, by po chwili powrócić do swoich obowiązków. Mark, kierujący OIOM-em na nocnym dyżurze, podszedł do mnie dyskretnie, by wyjaśnić, kto do nas zawitał.

- To jest jedna z żon króla Fahda - wyszeptał oniemiały z wrażenia.

Byłam zaskoczona jej młodym wiekiem. Nie mogła mieć więcej niż 32 lata,

tymczasem król, jak było powszechnie wiadomo, był człowiekiem w podeszłym wieku, po udarze mózgu; dawno przekroczył osiemdziesiątkę. Szliśmy za postacią, która rozglądała się po oddziale. Jej krokom towarzyszył delikatny stukot obcasów eleganckich pantofli. Na błyszczącej posadzce stawiała drobne ostrożne kroki. Przechadzała się między pacjentami, ale nie podchodziła do żadnego z nich. Nikt z obecnych również nie miał śmiałości, by się do niej zwrócić. Nieobyta z dworskim protokołem nie bardzo wiedziałam, jak powinnam się zachować. Zastanawiałam się, jak rozumie to, co widzi, skoro nikt jej nie wyjaśnia, w jakim stanie są pacjenci.

Nerwowo przyglądała się chorym, zerkając przez przeszklone ścianki, które ich oddzielały. Wydawało się, że, jak każdemu laikowi, także i jej obce są realia oddziału intensywnej terapii. Zadawałam sobie pytanie, czy nie przeraża jej widok ciężko chorych pacjentów. Poruszająca się w rytm jej kroków zasłona czasami odsłaniała twarz. Kobieta była blada i wymizerowana. Pracownik administracji zwolnił jeszcze bardziej, kiedy zbliżyła się do jednego z łóżek. Najwyraźniej czuł się zmieszany faktem, że młoda królowa przygląda się mężczyźnie z połamanymi kończynami, unieruchomionymi w stalowych szynach. Pacjent zapadł się w miękki materac i leżał w płataninie przewodów do dializy i kroplówek. Wyglądał, jakby leżał w trumnie. Tymczasem, ku mojemu zaskoczeniu, królowa sprawiała wrażenie nieporuszonej, co było dość niezwykle jak na nieobytego z takim widokiem gościa.

Odeszła od łóżka i ruszyła dalej, aż w końcu zwróciła się w moją stronę. Biały fartuch wyróżniał mnie spośród innych kobiet na sali; domyśliła się, że jestem lekarką. Stała, wpatrując się we mnie brązowymi oczami w kształcie migdałów. Miała delikatną skórę w kolorze bladego orzecha laskowego i lekko zakrzywiony nos. Łuk cienkich wyregulowanych brwi wznosił się nieznacznie, jakby pytająco. Na jej błyszczących ustach zagościł cień uśmiechu.

- As-salamu alejkum - powiedziałam, ku własnemu zaskoczeniu pochylając głowę i ramiona.

Odpowiedziała pięknym klasycznym arabskim.

Przyglądała mi się w milczeniu, podobnie jak ja jej. Nikt się nie poruszył. Pracownik administracji, kompletnie zbity z tropu, najwyraźniej nie wiedział, jak się zachować wobec

podobnego naruszenia osobistej przestrzeni królowej. Ja również stałam bez ruchu, urzeczona blaskiem brylantów, jakie miała na sobie. Z delikatnych płatków uszu zwieszały się ciężkie kolczyki od Graffa; ich subtelny blask rozświetlał czerń muślinowej zasłony. Gdy królowa ją poprawiała, na szczupłych palcach obu dłoni zaśniły drogocenne kamienie, których migotanie odbijał lakier na starannie pomalowanych paznokciach. Wysadzany klejnotami zegarek od Celliniego błysnął na nadgarstku niczym latarka w ciemności. Cała postać była jak podświetlona; jakby pojawiła się tu z innego świata. Onieśmiałała mnie.

- Witaj na oddziale intensywnej opieki medycznej, Wasza Wysokość. - Na nic więcej nie było mnie stać. Od razu zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam była raczej powiedzieć: Wasza Królewska Mość.

W odpowiedzi skinęła głową z uśmiechem. Nasze spojrzenia się spotkały, wiążąc nas na chwilę nicią porozumienia. Ale kiedy uczernione kuhlem powieki na moment się przymknęły, porozumienie prysło i królowa poszła dalej. W kilka sekund znikła za stalowymi drzwiami, a w ślad za nią podążył administrator. Cisza panująca wokół tajemniczej królowej zamieniła się w gwar, jaki na co dzień panował na oddziale. Zaczęłam żałować swojej powściągliwości.

Młoda królowa, która odwiedziła tamtego dnia szpital, była jedną z wielu żon sędziwego króla. Nikt dokładnie nie wiedział, ile żon ma król. Tradycyjnie monarchia wzmacniała swoją pozycję poprzez poligamię. Wielożeństwo nie było zresztą przywilejem królewskim, wielu z moich saudyjskich znajomych pochodziło z rodzin poligamicznych - choć żaden z nich takiej nie stworzył. Pracująca klasa średnia, do której zaliczali się również lekarze, stała wobec podobnych wyzwań ekonomicznych jak monogamiczne pary na Zachodzie: poligamia jest kosztowna. Jedna żona to wystarczający wydatek dla przeciętnego Saudyjszyka, który jest żywicielem rodziny.

Poligamia w Królestwie jest pozostałością przedmuzułmańskiej arabskiej kultury plemiennej, choć islam zezwala mężczyźnie na równoczesne posiadanie do czterech żon. Mówi o tym werset koraniczny, który, zezwalając na poligamię, daleki jest od jej zalecania:

A jeśli się obawiacie,

iz nie będziecie sprawiedliwi

względem sierót...

Żeńcie się zatem z kobietami,

które są dla was przyjemne

- z dwoma, trzema lub czterema.

Lecz jeśli się obawiacie,

że nie będziecie sprawiedliwi,

to żeńcie się tylko z jedną (...)^[79]

Uczeni zawsze zwracają uwagę, że werset ten został objawiony Prorokowi po bitwie, w której poległo wielu muzułmańskich ojców i mężów, pozostawiając żony i dzieci. W owym czasie ściśle zinstytucjonalizowana poligamia stanowiła system opieki społecznej, zapewniający byt pozbawionym opieki dzieciom i kobietom. Należy jednak zauważyć, że Allah zaleca poligamię jedynie tym, którzy zdolni są obdarzyć wszystkie poślubione kobiety takim samym uczuciem oraz zapewnić im równy standard życia.

Koran przyznaje także, że taką sprawiedliwość trudno osiągnąć zwykłemu śmiertelnikowi. Stronniczość jest bowiem wpisana w ludzką naturę, co w pewnym sensie

unieważnia zezwolenie na poligamię. Faworyzowanie jednej z żon, czy też dzieci jednej z nich, uważa się za niemuzułmańskie.

W historii Arabii Saudyjskiej jednakże poligamia odegrała bezprecedensową rolę w scalaniu odrębnych księstw w jedno imperium. Rodzina Saudów powstała i budowała swoją siłę wyłącznie dzięki poligamii. Nie ulega wątpliwości, że praktyki te stały w sprzeczności z naukami płynącymi z Koranu, choćby z powodu liczby poślubianych przez mężczyzn kobiet.

To zjawisko najlepiej opisał Pascal Ménoret w głośnej pracy *The Saudi Enigma* („Saudyjska zagadka”)^[80]. Mówi się, że Abd al-Aziz Al Saud, pierwszy król Arabii Saudyjskiej, poślubił 135 dziewcząt i 100 innych kobiet, miał zatem o wiele więcej żon niż dozwolone w Koranie jednemu mężczyźnie cztery. Król wybierał narzeczone z największych beduińskich plemion, a za pośrednictwem zawieranych z nimi małżeństw łączył Królestwo siecią porozumień i umów. Jego żony wywodziły się z beduińskiej arystokracji, potężnych osiadłych rodów, dzierżących władzę w Nadżdzie, choć znajdowały się wśród nich także kobiety pochodzące z mniej wpływowych klanów, a niektóre były nawet córkami niewolników.

Prowadząc tę zadziwiającą politykę matrymonialną, król Abd al-Aziz Al Saud stworzył olbrzymią sieć powiązań dynastycznych; sieć, która swoim zasięgiem obejmowała wszystkie regiony rozległego obszaru. Zawierając małżeństwa w obrębie podzielonych plemiennie rodów, klanów, a nawet klas społecznych, dał początek Królestwu. Ménoret sugeruje, że nie chodziło mu wyłącznie o przypieczętowanie małżeństwem przymierzy, gdyż, jak słusznie zauważa, nie byłby to bezpieczny sposób na tworzenie Królestwa - skoro w Królestwie dozwolony był rozwód zgodnie z zasadami islamu, gdyby król poślubił, a następnie ni z tego, ni z owego zastępował żony kolejnymi, prawdopodobnie zrażałby do siebie różne grupy, niwecząc tym samym swoje wysiłki.

Chodziło raczej o ujarznienie niespokojnych koczowniczych ludów, co udało się osiągnąć Abd al-Azizowi dzięki ogromnemu apetytowi na poligamię i determinacji, podsycanych wielkim bogactwem i niepohamowanymi ambicjami. Zgromadzony majątek wykorzystywał, podporządkowując sobie kolejne osady i podbijając rozległe tereny z pomocą swojej bitnej Armii Boga. Niedługo potem potęga monarchii została przypieczętowana

bogactwem płynącym z ropy. Bezdyskusyjna pozycja monarchy w państwie nie utrwałała podziałów plemiennych, a właśnie je znosiła, dzięki temu, że król poślubił kobiety pochodzące z najróżniejszych wpływowych plemion. Skumulowana w ten sposób władza znacznie przewyższała wpływy nawet najpotężniejszego plemienia. Jej charakter najtrafniej oddaje termin (ukuty przez Ménoreta) władzy „ponadplemiennej”. Bez poligamii Abd al-Azizowi Al Saudowi nigdy nie udało się zdobyć takiego zwierzchnictwa i obecne Królestwo najprawdopodobniej pozostałoby pełnymi napięć lennami.

W taki oto sposób Abd al-Aziz skupił pod swoimi rządami wszystkie znaczące plemiona w Królestwie, które były niczym pasy płótna podtrzymujące beduińskie namioty. Dzięki temu, że król poślubił przedstawicielki każdego z nich, przeciętny członek dowolnego plemienia mógł liczyć na przychyłność monarchy. To z kolei sprawiło, że każdy poddany (za pośrednictwem przedstawicieli wywodzących się z jego wspólnoty) mógł przedstawić nurtujące go problemy członkowi swojego plemienia będącemu jego reprezentantem i stronnikiem w Domu Saudów.

Liczebność potomków Abd al-Aziza, saudyjskiej klasy rządzącej, szacowana jest na 7-12 tysięcy osób; to rozległa sieć powiązanych ze sobą przedstawicieli najwyższej arystokracji, pełna intryg, konfliktów, sprzecznych interesów i współzawodnictwa. Młoda królowa, która zagościła tamtej nocy na OIOM-ie, była po prostu jedną z wielu osób zajmujących najwyższe pozycje w tej niezwyklej rodzinie.

Pewnego poranka, kiedy zaufany Zachariasz wiozł mnie do pracy, przez okno samochodu dostrzegłam niecodzienną scenę. Na terenie należącym do szpitala panowało niezwykle ożywienie. Z niekończącego się szeregu ciężarówek z przyczepami wyładowywano drzewa palmowe. Nagie smukłe drzewa sadzono symetrycznie po obu stronach drogi, którą zazwyczaj udawałam się do pracy. Miło było zobaczyć, że szpital w końcu zagospodarował przestrzeń, która do tej pory straszyla rozkopaną ziemią i opuszczonymi budynkami oczekującymi na dalsze prace. W ciągu zaledwie kilku miesięcy na jałowej ziemi wyrósł nowy budynek, który błyszczał teraz w porannym świetle. Wielki napis informował, że jest to Oddział Kardiochirurgii. To tutaj miał teraz operować mąż Ghady.

Moje wyobrażenia na temat saudyjskiej monarchii kształtowały się pod wpływem

saudyjskich znajomych. Zubajda i Ghada, czy nawet Jane, która miała okazję spotkać osobiście najwyżej postawionych członków rodziny królewskiej, postrzegały następcę tronu, księcia Abd Allaha, jako łaskawego i życzliwego dla swoich poddanych. Był uwielbiany szczególnie za działania na rzecz kobiet. Z opowiadań Saudyjek, które całe życie spędziły w Królestwie, wyłaniał się obraz potężnego, lecz dobrotliwego mężczyzny.

Gdy przyglądałam się, jak na budynku umieszczano olbrzymi transparent, zwróciłam uwagę, że na tle kolosalnej płachty materiału dziesiątki szczupłych, spalonych słońcem robotników wyglądają jak gromadka liliputów. Ten widok obudził we mnie skojarzenie z dyktaturą. Rozmiar transparentu, zastosowana paleta szarości i bieli, wyniesienie na wysokość i dominacja nad otoczeniem - to wszystko przywoływało na myśl czasy faraonów.

Patrzyłam na banglijskich robotników. Grubymi linami mocowali płachtę materiału do budynku; ujarzmiali trzepoczącego na wietrze Guliwera. Głęboko poruszyła mnie ta ikonografia. Władcy w Królestwie byli tak uwielbiani, że graniczyło to niemal z bałwochwalstwem. Pomyślałam o mojej niewysokiej Królowej, władczyni noszącej nudne kapelusze i torebki. W jej postaci było coś zwyczajnego, ziemskiego. W pewien sposób pozostała jedną z nas, nie kimś odległym, nawet jeśli bezdyskusyjnie była królową. Bezskutecznie szukałam w pamięci obrazu jej osoby porównywalnego z tymi, na które teraz patrzyłam. W państwie rządonym przez ikonoklastyczny wahhabizm, gdzie jego zwolennicy nie umieszczali nawet swoich zdjęć na dokumentach potwierdzających tożsamość, a jakakolwiek sztuka poza wzorami geometrycznymi była zakazana, te monumentalne postaci, które rysowały się właśnie przede mną, były zupełnie niezrozumiałe. Wydawało mi się, że muzułmańskie ideały są uniwersalne, ale po raz kolejny rzeczywistość życia codziennego w Królestwie zderzała się z nimi. Stałam, wpatrując się w szare niewidome oczy księcia. Nic mi nie mówiły.

Następnego poranka, znowu w drodze do pracy, zauważyłam, że rozwinięto rolki trawnika. Łysawe drzewa palmowe, powoli rozprostowujące wąskie długie liście, były teraz otoczone zielenią. Z dnia na dzień droga prowadząca do szpitala zamieniła się w pole golfowe Jacka Nicklause. Tu i ówdzie ogrodnicy starannie przystrzygali trawnik. Pozostał tylko jeden problem: z powodu trwającej od ponad roku suszy trawa przywieziona z innego regionu Królestwa miała brzydki brązowy odcień.

Na trawniku wiła się niezliczona ilość szlauchów, bo pracownicy wprawili w ruch cały system spryskiwaczy, które nawadniały trawę, ale mimo wszystkich tych zabiegów ona wciąż była brązowa. Brygadzista z południowych Indii bez przerwy pokrzykiwał na robotników. Kulili się, słysząc inwektywy, jakimi ich obrzucał, ale nawet najlepszy ogrodnik był bezsilny wobec wilgotności powietrza w Rijadzie, wynoszącej 4 procent, i średniej opadów, rzadko kiedy przekraczającej 100 milimetrów rocznie. Wątpiłam, czy są szanse, by księżę w eskorcie czarnych mercedesów klasy S mógł kolejnego ranka podziwiać zieleń trawnika. Nie doceniłam jednak pomysłowości ogrodników.

W środę rano Zachariasz ponownie odwoził mnie do pracy. Była 7.00. Następca tronu oczekiwany był około 11.00. Tymczasem w nocy zaszły kolejne zmiany. Osamotnieni ogrodnicy wyrównywali ostatnie fragmenty pięknego, kipiącego soczystą zielenią terenu. Nawet drzewa wyglądały, jakby od wczoraj głębiej zapuściły korzenie. Jeden z robotników, ciągnąc za sobą mokry ręcznik zatknięty w tylną kieszeń roboczych spodni, spryskiwał trawnik czymś, co wyglądało na środek owadobójczy. Wprawił mnie tym w zdumienie. Nigdy nie zauważyłam w Rijadzie komarów, a stosowanie środków owadobójczych w lutym było co najmniej niezwykle. Miasto leżało na jałowym płaskowyżu. Sięgając pamięcią wstecz, nie przypominałam sobie, żeby kiedykolwiek spryskiwano tu trawę. Rzut oka na bujną zieleń rozpościerającą się teraz wokół szpitala pozwalał jednak uznać, że obfite podlewanie przyniosło efekty. Trawniki wyglądały olśniewająco, nie było śladu po nieefektywnych brązach.

Powiedziałam do Zachariasza, że zielona trawa wygląda wspaniale. Od miesięcy nie wyjeżdżałam z Królestwa, tęskniłam więc za zielenią. Zapach świeżo koszonej trawy był nieodłącznym elementem początku lata, bliskim mi od wczesnego dzieciństwa, które spędziłam w Anglii; w jałowym Królestwie wspomnienie to zaczęło się zacierać w mojej pamięci. I nagle do mnie dotarło, że chociaż widziałam trawę, to nie czułam jej zapachu.

Mężczyźni nie podlewali trawnika; spryskiwali go intensywnie zieloną farbą. To była Irlandia w sprayu. Pracownicy malowali trupa, spiesząc się, by zdążyć, zanim pojawi się księżę i wyjrzy przez przyciemnione kuloodporne szyby swojego niemieckiego samochodu.

To tyle jeśli chodzi o saudyjską troskę o zachowanie pozorów. Fasada była równie ważna jak istota, być może nawet ważniejsza. Następca tronu wraz ze świtą wkrótce się

pojawi, wszystko musi prezentować się doskonale. Klimat nie może być wymówką. Te wysiłki, jak mi się zdawało próżne, by godnie przyjąć władcę, zaskoczyły mnie. Banglijscy robotnicy harowali przez wiele dni, aby stworzyć iluzję, a królewskie oko dostrzeże to lub nie. Jeśli otoczony luksusami książę, w milczeniu jadąc do szpitala, zechce po drodze powtórzyć sobie przygotowane na tę okazję przemówienie, przeoczy te wysiłki, odbierając tym samym sens długim dniom pracy źle opłacanych robotników.

Kilka godzin później delegacja książęca przybyła w kolumnie ponad 20 mercedesów. Pospiesznie przejechała przez bramę i zatrzymała się dopiero przed schodami budynku. Kawalkada minęła wypieszczoną aleję z szybkością 80 kilometrów na godzinę. Wątpię, czy książę choć zerknął na zieloną trawę. Starzejący się regent wysiadł z samochodu i powoli witał się z czekającymi w rzędzie zachodnimi pielęgniarkami, które starannie zostały wybrane do komitetu powitalnego.

Niecałą godzinę później kawalkada samochodów odjechała z włączonymi oślepiającymi reflektorami. Kiedy z piskiem opon skręciła w ulicę Al-Churajs, mały saudyjski żebrak, który nie miał chyba więcej niż 6 lat, popatrzył w ślad za tą pędzącą kolumną błyszczących samochodów. Jego podarta *sauba* powiewała pod wpływem podmuchu spalin z rur wydechowych niemieckich samochodów. Zakaszłał i poszedł dalej, szybko przebierając bosymi stopami po nagrzewającym się asfalcie. W Królestwie książąt nędzarze mogą tylko popatrzeć.

^[79] *Koran*, sura IV („Kobiety”), w. 3, dz. cyt., s. 92 (przyp. tłum.).

^[80] Pascal Ménoret, *The Saudi Enigma...* dz. cyt., rozdz. 3.

ROZDZIAŁ 30

Rozwód w saudyjskim stylu

O rozwodzie Farisa, który w ostatnim czasie był hospitalizowany, usłyszałam jakieś kilka tygodni wcześniej. Pewnego wieczoru wspomniałam o tym Zubajdzie.

- Tak, Qanta, słyszeliśmy. Ktoś dowiedział się w meczecie, że nie było go tam w czasie *al-dżuma* (piątkowej modlitwy). Ale oczywiście uważamy, że to jest reakcja na rozwód. - Obojętnym ruchem przeczesła włosy i spięła je z tyłu ostatnią wsuwką.

Znajdowałyśmy się w pomieszczeniu dla kobiet.

- Nie wiedziałam, że się rozwiódł. Właściwie to nie wiedziałam nawet, że był żonaty. Nigdy go o to nie pytałam.

- Och, Qanta, w Królestwie wszyscy mają mężów albo żony. Bycie singlem, tak jak my, jest dość nietypowe. - Rzuciła mi ukradkowe rozbawione spojrzenie. Nie chciała więcej mówić na ten temat.

Rozbudziła moją ciekawość.

Kilka dni później zdecydowałam się podpytać o to Imrana. Był powiernikiem pielęgniarek na OIOM-ie. Zawsze znał wszystkie najświeższe plotki.

- O rety, to żadna nowina!

Czekałam na jakieś wyjaśnienia.

- Na pewno znasz jego żonę. To znaczy jego byłą żonę, Fatimę. No wiesz, tę, która przychodzi na nasze zebrania. Była na tym ostatnim dotyczącym pacjenta, który, jak się okazało, miał układowe zapalenia naczyń.

Rzeczywiście pamiętałam.

Zacząłam tworzyć sobie w głowie obraz Fatimy. Saudyjka, która miała wyjątkowo łagodny głos i po czubek nosa była zatopiona w zasłonie. Odnosiłam wrażenie, że się do mnie uśmiecha, kiedy widywałyśmy się na tych samych spotkaniach, ale ponieważ nie byłam w stanie zobaczyć nawet jej kurzych łapek, nie miałam pewności i często odwzajemniałam jej się dość skonsternowanym i pełnym ciekawości spojrzeniem. Zazwyczaj omawiała wycinki pobrane podczas biopsji. Jej uwagi zawsze były trafne. Wszyscy uważaliśmy ją za świetną lekarkę, ale nic więcej o niej nie wiedziałam.

- Więc co się takiego stało, Imranie? Dlaczego się rozwiedli?

Imran zaczął chichotać. Najwyraźniej coś go rozbawiło.

- Biedny gość. Wygląda na to, że zakochał się w innej Saudyjce, lekarce specjalizującej się w kardiologii nuklearnej. Może wiesz, kogo mam na myśli? Tę, która chodzi w białej zasłonie. W każdym razie było chyba tak, że nagle postanowił wziąć ją za swoją drugą żonę, ponieważ zaczął ją darzyć płomienną miłością. - Imran się zaśmiał. Ewidentnie ćwiczył przy okazji tej opowieści swoją licentia poetica. - Pojechał nawet za nią do Kalifornii, gdzie robiła specjalizację na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Francisco. On jej tam pomagał i miał zamiar się z nią ożenić po powrocie. Mówi się, że towarzyszył jej podczas podróży. Nie do wiary. W każdym razie kiedy powiedział o tym swojej żonie Fatimie, ona odparła: „Zapomnij! Nie zgadzam się!”. I natychmiast poprosiła go o rozwód. Oczywiście teraz dzieci są rozdzielone. Wydaje mi się, że mieszkają w tym samym kompleksie, tylko w osobnych willach.

- A co się stało z kobietą, którą kochał, tą młodą kardiolożką? - zapytałam, usiłując sprawić, by Imran skupił się na szczegółach.

- A, z nią. No cóż, kiedy powiedziała rodzinie, że rozważa wyjście za mąż za żonatego mężczyznę, absolutnie jej tego zakazali. Okazało się, że ona jest z innego plemienia i jej rodzina nie wyraziła zgody na międzyplemienne małżeństwo. Wydaje mi się, że wciąż jest sama. - Imran wrócił do zdjęć rentgenowskich, po czym zaczął wybierać jakiś numer na

klawiaturze telefonu.

Nagle przypomniałam sobie kobietę, o której była mowa. Bezimienna, zawsze przykuwała moją uwagę, ponieważ oprócz powiek cała była szczelnie owinięta białą płócienną zasłoną. Musiała być wyjątkowo ortodoksyjna, bo na wszelki wypadek dodatkowo zabezpieczała warstwy swojego nakrycia głowy widocznymi agrafkami, które przypinała tuż przy prawym oku, jakby obawiała się, że nagły podmuch wiatru może zedrzeć z niej zasłonę.

Te agrafki naprawdę mnie niepokoiły. Nie widziałam wcześniej czegoś takiego w Królestwie. Kobieta patrzyła przez maleńką szczelinę w białym płótnie rozbieganymi oczyma, jakby stale czegoś się obawiała. Byłam ciekawa, czy teraz się martwi, że wpadnie na Fatimę, która pracowała w tym samym szpitalu, chociaż wątpiłam, czy spowite szczelnie w zasłony mogą rozpoznać jedna drugą. Jakąż to zagadkę stanowił Faris. Zastanawiałam się, w jaki sposób zabiegał o względy młodej lekarki. W Królestwie potrzeba wielu niezwykle żmudnych starań, by mężczyzna mógł zrealizować swoje pragnienia i przedrzeć się przez te wszystkie zasłony.

Podczas pobytu w Królestwie nie słyszałam o nikim, kto chciałby się rozwieść. Zastanawiałam się, jak często dochodzi do rozwodów w kraju, w którym plemienne i endogamiczne małżeństwa są powszechne, a piętno rozwodu zarówno z punktu widzenia kulturowego, jak i teologicznego jest ogromne. Zapytałam o to Zubajdę, ostrożnie pomijając przyczyny, dla których w wieku 36 lat wciąż była niezamężna.

- Och, Qanta, to staje się szalenie powszechne. Nie wiemy dlaczego. Moim zdaniem kobiety są coraz lepiej wykształcone, niezależne i rodzina dziewczyny ma coraz większe trudności ze znalezieniem dla niej odpowiedniego partnera. Wiesz, że dla muzułmanów małżeństwo jest bardzo ważne, prawda?

Przytaknęłam.

- Allah objawił w swojej księdze, że każdemu z nas ktoś jest przypisany. Pozwól, że ci przypomnę. - Otworzyła święty Koran, który trzymała na małym uporządkowanym biurku, i szukała odpowiedniego fragmentu. Po kilku chwilach przeczytała mi go po arabsku.

Czekałam na tłumaczenie.

- Przeczytam ci tłumaczenie - powiedziała, jakby czytała w moich myślach, po czym spojrzała na mnie szarobrązowymi oczyma, żeby sprawdzić, czy słucham. W późnopołudniowym świetle zdawało się, że są niemal zielone.

I z Jego znaków jest to,

iż On stworzył dla was żony

z was samych,

abyście mogli odpocząć przy nich;

i ustanowił między wami miłość i miłosierdzie^[81].

Zaprawdę, w tym są znaki dla tych,

którzy się zastanawiają!

- To brzmi wspaniale, Zubajda. W takim razie może stworzył także i dla mnie męża. Chciałabym mieć z kim odpoczywać!

Przez chwilę obie się śmiałyśmy.

- Rodziny tutaj boją się rozwodów. Saudyjskiej kobiecie trudno jest po rozwodzie ponownie wyjść za mąż, a zresztą małżeństwo dużo kosztuje. Z pewnością słyszałaś

o mahrze, cenie, którą należy zapłacić pannie młodej. Jej, a nie jej rodzinie, Qanta. Należy się ona podczas wesela. No i cóż, wielu mężczyzn nie ma tych pieniędzy albo musi pracować latami, żeby je zaoszczędzić. Sprawy się komplikują. Chcemy, żeby Saudyjczycy żenili się z Saudyjkami, bo jesteśmy niewielkim narodem, ale obecnie mężczyźni wyjeżdżają za granicę, by pojąć za żony kobiety z Jordanii i Libanu, i oczywiście czasami Amerykanki czy Europejki, ponieważ wtedy *mahr* właściwie nie jest egzekwowany. Dlatego coraz więcej Saudyjek czeka na zamążpójście. Kiedy w końcu wychodzą za mąż po tak długim oczekiwaniu, starsze odczuwają ogromną presję, by się dostosować. Myślę, że jest okej, jeśli, tak jak Ghada, wychodzisz za mąż w wieku dziewiętnastu lat. Ona dorastała wraz ze swoim mężem; w innym przypadku jest to bardzo trudne. Kobiety z lepiej wykształconych klas, czekając na męża, zaczynają karierę zawodową tak jak my. Dostosowanie się do mężczyzny, który chce jedynie, żebyś siedziała w domu, gotowała i wychowywała dzieci, wywołuje duży szok. Wiele kobiet nie chce tego zrobić.

- Więc kobiety proszą o rozwód?

- Oczywiście, Qanta! Islam zezwala na to w kilku przypadkach. - Zubajda zawsze ożywała się, kiedy mówiła o islamie. - Kobieta ma te same prawa w kwestii rozwodu co mężczyzna; ma prawo odejść, jeśli małżeństwo jest nieudane. Zapamiętaj na zawsze, islam jest przynajmniej sprawiedliwy! Na przykład jeśli mężczyzna chce wziąć sobie drugą żonę, nie może tego zrobić bez zgody pierwszej. Jeśli nalega, to jest dla niej podstawa do zażądania rozwodu. Islam pozwala mężczyźnie na dodatkowe żony, maksimum cztery, w bardzo wyjątkowych okolicznościach, powiedzmy, jeśli pierwsza żona nie może mieć dzieci albo jest umysłowo chora. Wówczas, żeby mąż jej nie porzucił, może wziąć sobie drugą żonę, zatrzymując tę pierwszą. Jednakże Koran jasno precyzuje: mężczyzna musi obu kobietom dawać po równo, zapewnić im niezależne pomieszczenia mieszkalne i jednakowy status ekonomiczny. Musi tak samo je kochać. I zaraz za tym werselem Koran nakłada kolejną restrykcję - przerwała, żeby po chwili wypowiedzieć z emfazą: - Koran mówi: A dla was jako istot ludzkich będzie to bardzo trudne, ponieważ stronniczość jest naturalną ludzką skłonnością i dlatego nie będziecie w stanie wypełniać tych zaleceń^[82]. W mojej interpretacji oznacza to, że nie jest możliwe, by mężczyzna zachowywał się tak idealnie, Qanta. Więc tak, Allah daje mu taką możliwość, ale niełatwo spełnić wiążące się z tym wymagania. Dlatego poligamia nie jest wskazana, stanowi jedynie dozwoloną możliwość, której, zgodnie z przewidywaniami Boga, większość mężczyzn nie będzie w stanie udźwignąć ani duchowo,

ani emocjonalnie, ani ekonomicznie - żony są drogie, moja kochana!

Zubajda miała dar wyjaśniania wszystkiego w prosty sposób. Poznawanie mojej religii za jej pośrednictwem było przyjemnością.

Jakie podstawy mógł mieć Faris, żeby o drugą żonę prosić swoją dotychczasową, która urodziła mu czwórkę dzieci? W dodatku po tak uroczym romansie, o którym nawet Imran wszystko wiedział?

Postanowiłam spotkać się z Fatimą i zbadać sprawę. Bez wątpienia musiała się czuć porzucona; może dociekliwa koleżanka mogłaby okazać się pomocna. Chociaż zostałam singielką z zupełnie innych powodów, byłam zdumiona wspnianiałym towarzystwem, jakie zapewniały mi dziesiątki singielek w Królestwie, te, które nie wyszły jeszcze za mąż - wiele z nich było znakomicie wykształconych. Do 2002 roku szacowano, że w Królestwie 1,5 miliona kobiet nigdy nie wyjdzie za mąż. Równocześnie liczba rozwodów rosła w astronomicznym tempie: do 2002 roku jedno małżeństwo na trzy kończyło się rozwodem. Spowodowało to naciski, by zredukować sumy mahru, o którym mówiła Zubajda, do bardziej przystępnego poziomu, co umożliwiłoby ponowne zawieranie małżeństw oraz pobieranie się w młodszym wieku^[83].

Mahr płacony jest albo w całości w chwili zawarcia małżeństwa i wówczas może to być gotówka, biżuteria, nieruchomości lub kombinacja wszystkich trzech, albo, jeśli panna młoda wyrazi na to zgodę, w ratach. Na początku małżeństwa zostaje wpłacona określona suma, a pozostała część jest wypłacana aż do śmierci męża albo do rozwodu.

Mahr, na przykład nieruchomości czy pewna suma pieniędzy, nie podlega podziałowi jako majątek małżeński w przypadku rozwodu; jest wyłącznie dla panny młodej, dla nikogo innego. Jeśli kobieta wnosi do małżeństwa jakiś inny majątek i zasoby, czy to pochodzące z jej zarobków, czy odziedziczone, islam kategorycznie wymaga, by pozostały w jej posiadaniu; nie mogą być naruszone w chwili zakończenia małżeństwa, chyba że kobieta zdecyduje się podzielić nimi ze swoim byłym małżonkiem.

Zgodnie z muzułmańskim prawem rodzinnym finansowe zobowiązania rozwiedzionej żony, *nafaka*, ponoszone są zawsze przez rozwiedzonego męża, nigdy na odwrót. W islamie

pozycja żony jest szczególnie ceniona, poważana i chroniona, a muzułmańskie prawo zgodnie z interpretacją w Królestwie jest ściśle powiązane z tymi przekonaniem i w przeciwieństwie do hipokryzji części innych praktyk kulturowych, które w pewien sposób są w Królestwie usankcjonowane.

Niektóre kobiety planują małżeństwo z dużym wyprzedzeniem i rozważają swój stosunek do poligamii. W imię muzułmańskiego feminizmu konsultują się z religijnymi szajchami ze swoich lokalnych społeczności, by w kontrakcie małżeńskim zawrzeć klauzule zabezpieczające. Zgodnie z nimi mężowie są zobowiązani do przestrzegania pewnych niekwestionowanych praw przysługujących kobietom, które zamierzają pojąć za żony. Takie dokumenty mogą być w zasadzie uznane za umowy przedślubne^[84].

Kobiety proszą więc szajchów, by załączali do kontraktu małżeńskiego klauzule, znane jako *szurut* (warunki)^[85], które są wiążące dla mężów i będą chroniły status żon po zawarciu małżeństwa. Mogą to być na przykład klauzule, które zapewnią kobiecie swobodę podróżowania, możliwość wyjazdu za granicę na studia, podjęcie pracy czy inne przywileje dające poczucie swobody. W celu wyegzekwowania swojej społecznej niezależności po zawarciu związku małżeńskiego kobiety cytują muzułmańskie źródła, które w tym ultrakonserwatywnym świecie potwierdzają ich prawa. Czasami żony mogą określić, czy wyrażają zgodę na to, by ich mąż wziął sobie drugą żonę, a jeśli się nie zgadzają, mogą ustanowić podstawy do wystąpienia o rozwód. Mogą też zapisać w klauzuli, że nie są pewne swojej ewentualnej reakcji na pojawienie się w małżeństwie nowej żony; takie zastrzeżenie umożliwi im rozwód, jeśli uznają, że jednak się na to nie godzą.

Prorok Muhammad (PzN) powiedział, że ze wszystkich dozwolonych muzułmanom rzeczy rozwód jest najbardziej ohydny. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, jak upokorzony musiał czuć się Faris. Dla wielu muzułmanów rozwód wiąże się ze wstydem i poczuciem porażki. Głęboko religijny, chociaż dość niepozbywany Faris musiał być zdruzgotany tą, jak się zdaje niespodziewaną, odpowiedzią żony, która zażądała rozwodu.

Jedno było pewne: podobnie jak wszyscy ludzie na świecie, Saudyjczycy marzyli o poważnym związku. Ich zachowania wynikały z izolacji; po prostu nie znali innych sposobów, by nawiązywać kontakty z płcią przeciwną. W tym hermetycznie zamkniętym, sterylnym środowisku, w którym wahhabici dotkliwie wtrącali się w codzienne życie, ludzie

popadali w desperację. Mężczyźni pogrążeni w depresji, nieumiejący się komunikować, szukali pociechy w romansach, po czym wracali do swoich żon w towarzystwie kolejnych. A jaki los czekał kobietę po rozwodzie? Postanowiłam spotkać się z Fatimą. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej.

^[81] *Koran*, sura XXX („Bizantyjczycy”), w. 21, dz. cyt., s. 486 (przyp. tłum.).

^[82] W surze „Kobiety” znajduje się między innymi następujący zapis: *Wy nie będziecie mogli być sprawiedliwi dla każdej z waszych kobiet, nawet gdybyście chcieli. Ale nie odsuwajcie się całkowicie, aby jednej z nich nie pozostawić jakby w zawieszaniu. A jeśli się pogodzicie i będziecie bogobojni, to, zaprawdę, Bóg jest przebaczący, litościwy!* *Koran*, sura IV („Kobiety”), w. 129, dz. cyt., s. 117 (przyp. tłum.).

^[83] Tamże, rozdz. 7, s. 173-189.

^[84] Adrian Morgan, *Women under Islam: Pakistan's „Compensation Marriages”*, <http://www.islam-watch.org/AdrianMorgan/Women-Under-Islam2.htm>

^[85] Mai Yamani, *Some Observations on Women in Saudi Arabia*, dz. cyt.

ROZDZIAŁ 31

Saudyjska rozwódka

Kilka dni później wpadłam na korytarzu na Fatimę. Przynajmniej byłam prawie pewna, że to ona. Tym razem zatrzymałam się, żeby z nią porozmawiać.

- *As-salamu alejkum*, Fatima. Jak się miewasz?

Przymrużyła oczy z zadowoleniem.

- *As-salamu alejkum*, Qanta! *Ma sha Allah*, wyglądasz świetnie. Twoje włosy są wprost wspaniałe! Obcięłaś je!

W świecie, w którym niemal każdy jest zasłonięty, taki komplement w miejscu publicznym był dość niecodzienny. Podziękowałam.

- *Al-hamdu li-(A)llah*, Qanta. U mnie wszystko dobrze, a co u ciebie? - dokończyła.

- Oczywiście wszystko dobrze, Fatima, ale martwię się o *doktora* Farisa. Nie wyglądał wczoraj dobrze. Zastanawiam się, czy to nie depresja. Namawiam go, żeby spotkał się ze swoim lekarzem.

Fatima milczała zamyślona.

- Było mi ogromnie przykro, gdy doszły mnie wieści o waszym rozwodzie - kontynuowałam. - To bardzo smutne. Nie wiedziałam. Właściwie nawet nie wiedziałam, że byliście małżeństwem.

Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z tego, że nigdy nie przyszło mi na myśl, że tych dwoje lekarzy: Fatimę i Farisa, coś łączy, mimo że z obojgiem spędziłam tyle czasu na wspólnych spotkaniach w tym samym pokoju. W miejscach publicznych nigdy nie zwracali

na siebie uwagi, nawet nie wymieniali pozdrowień. Fatima zazwyczaj dyskretnie wślizgiwała się po rozpoczęciu spotkania, które Faris często prowadził, i zawsze wychodziła chwilę przed końcem, unikając witania się z kimkolwiek. Zawsze uważałam ją za bardzo zamkniętą w sobie. Być może teraz wydawałam jej się natarczywa.

- Dziękuję ci, Qanta. Dziękuję, że tak się troszczysz o Farisa. Nam też jest bardzo przykro, że doszło do rozwodu, Qanta. Ale, *al-hamdu li-(A)llah*, z każdym dniem jestem coraz silniejsza i Allah mnie prowadzi.

- Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić, Fatima? Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie, moja droga - odpowiedziała ciepło - ale chciałabym, żebyś przyszła do mnie do domu; napijemy się razem herbaty. Dam ci swój adres i numery telefonów. Może będziesz mogła wpaść niedługo. Wiesz, gdzie jest kompleks Astra? Umówmy się w najbliższym czasie. - I wręczywszy mi swoje namiary, odeszła, ostrożnie stawiając kroki wśród falujących fałd czarnej abai.

Sprawiała wrażenie dość podekscytowanej tym, że zaprosiła mnie do domu. Ciekawe, czego się dowiem o rozwiedzionych kobietach w tym „Królestwie Obcych”.

W dniu wizyty miałam wyjątkowo dużo pracy w szpitalu. Spóźniona pospieszyłam do domu, by się przygotować. Astra znajdowała się zaledwie kilka minut drogi od kompleksu, w którym mieszkałam; miał mnie tam zawieźć Zachariasz, kierowca, z którym zwykle jeździłam. Wybrałam jego numer i szybko, chwyciwszy jedną ręką abaję, a drugą mały podarunek, zbiegłam po nieoświetlonych schodach, żeby poczekać na niego na zewnątrz. Podmuchy bryzy poruszały abaję.

Czekałam, żeby z ciemności wyłoniły się reflektory. Za sobą czułam ciepło oddawane przez budynek; każda fala gorąca wypychała mnie w chłodniejszy wieczór. Nawet ziemia pulsowała mi pod stopami. Była już prawie 21.00, a temperatura nadal przekraczała 38 stopni.

Zauważyłam Zachariasza. Wsiadłam do samochodu i przy dźwiękach jakiejś nieznanej symfonii, wydobywających się z trzeszczących głośników, ruszyliśmy. Przy bramie wjazdowej do kompleksu Astra żołnierz poprosił o dokumenty. Pokazałam swój szpitalny

identyfikator, który najwyraźniej mu wystarczył, choć na wszelki wypadek miałam przy sobie także ikamę (kartę pobytu). Szybko machnął ręką, żebyśmy wjeżdżali. Samochód podskakiwał, przejeżdżając przez progi zwalniające.

Kompleks Astra wyglądał inaczej niż nasz. Zaprojektowano tu szerokie alejki, po ich obu stronach stały duże parterowe i dwupiętrowe domy. Przed większością z nich były starannie utrzymane trawniki. Każda alejka zdawała się prowadzić do wielu kolejnych. Tysiące saudyjskich obywateli urządziło tu swoje domy. Dojechaliśmy do słabo oświetlonej ślepej uliczki. Samotna latarnia pobrzękiwała w ciemności. Zauważyłam białego cadillaca Farisa, stał kilka domów dalej. A więc potwierdziły się plotki: mąż i żona mieszkali teraz w osobnych willach, niemal vis-à-vis.

Pomachałam Zachariaszowi na do widzenia i podeszłam do uporządkowanej ścieżki. Dostrzegłam trójkołowy rowerek, zwiotczały szlauch ogrodowy leżał zwinięty na wciąż wilgotnym trawniku. W domu paliło się światło. Zadzwoeniłam do drzwi i czekałam.

Drzwi się otworzyły, a w nich, pod ścianą wyłożoną boazerią, stała drobna postać. Natychmiast wyczułam charakterystyczny zapach; Fatima przygotowywała kawę. Światło reflektorów przesunęło się po drzwiach wejściowych i znikło w ciemności. Drobna bardzo jasna dłoń wciągnęła mnie do środka, trzymając za rękaw abai. Gdy drzwi się za mną zamknęły, obróciłam się i zobaczyłam przed sobą Fatimę.

Po gęstej ciemności rijadzkiego wieczoru jaskrawe światło w jej domu oślepiało. Poczułam szczypanie oczu i zobaczyłam czarne plamki. Fatima spoglądała na mnie nieśmiało, ale po chwili na jej twarzy pojawił się szeroki jasnoczerwony łuk uśmiechu. Czerwone usta i białe zęby przywiodły mi na myśl plakat reklamujący film *Modelka (Cover Girl)*^[86]. Wyglądała nieskazitelnie i zachwycająco. Byłam zaskoczona, porównując ją z mamrocącą bezkształtną postacią, którą znałam ze szpitala. Po chwili niezręcznej ciszy przywitałyśmy się tak, jak witają się muzułmańskie kobiety, czyli kilkakrotnie się obejmując. Znad delikatnej białej szyi Fatimy unosił się lekki zapach jaśminu. Starannie ułożone włosy z każdym ruchem kołysały się z jednej strony na drugą. Fatima była szczupłą, miała wysportowaną sylwetkę. W spodniach i ładnym sweterku wyglądała jak atrakcyjna mama z sąsiedztwa. Ta dojrzała kobieta bez dwóch zdań była „gorącą laską”.

Z niecierpliwością zaprowadziła mnie do salonu znajdującego się tuż przy kuchni. Nie mogłam oderwać wzroku; jak Faris mógł chcieć czegoś więcej, mając taką kobietę? W tej odsłoniętej postaci stopniowo zaczęłam rozpoznawać zasłoniętą Fatimę. Miała na ustach ten sam tajemniczy uśmiech Mona Lizy, którym, jak podejrzewałam, zawsze odwzajemniała spod zasłony nasze spojrzenia.

Teraz, kiedy widziałam jej kurze łapki, mogłam stwierdzić, że Fatima jest kobietą, która często się uśmiecha, a nawet, co teraz także słyszałam, śmieje. Była pozytywnie nastawiona do życia i radosna. Miała idealnie równe, choć długie zęby i białą skórę o bladym odcieniu, a na dłoniach delikatne niebieskie żyłki. Była urocza. Nie nosiła żadnych pierścionków, przynajmniej nie dzisiejszego wieczoru.

- Tak bardzo się cieszę, że zgodziłaś się przyjść do mnie z wizytą, Qanta - zaczęła, wyraźnie zadowolona.

- Ja także się cieszę, Fatima! Dziękuję, że mnie zaprosiłaś. A gdzie są dzieci? - zapytałam, zwracając uwagę na ciszę, jaka panowała w domu.

- Och, dzisiaj wieczorem są u swojego taty, ale wkrótce wrócą. *In sha Allah*, chciałam, żebyś przyszła, kiedy mam akurat trochę wolnego czasu, żeby nic mnie nie rozpraszało. - Zachichotała.

Gdy siedziałam naprzeciwko niej na kanapie, mój wzrok przyciągnęły zasłonki z krzasiastej bawełny wiszące w oknie kuchni. Starannie związane tasiemką były ładnym detalem nadającym przytulności, której się nie spodziewałam. Poczułam smutek, wiedząc, że to nie wystarczało jej mężowi. Chociaż za oknem nie było widać niczego prócz betonowej ściany (co było oczywiście do przewidzenia w Królestwie, gdzie prywatność jest tak bardzo chroniona), Fatima najwyraźniej starała się stworzyć domową atmosferę w tym ponurym otoczeniu. Gumowe rękawiczki Rubbermaid suszyły się na kranie. Ktoś dopiero co skończył zmywać. Fatima była Saudyjką, która pedantycznie dbała o porządek. Robiła wszystko, by z anonimowej willi uczynić dom z prawdziwego zdarzenia. A Faris ten dom opuścił. Postawiwszy żonę w niezręcznej sytuacji, nie miał innego wyjścia, jak tylko się wyprowadzić.

- Więc co u ciebie słyszać, Fatima? - zapytałam, gdy zajęła się przygotowywaniem

kawy.

Na stole postawiła talerz moich ulubionych ciasteczek *ma'amul* (ciasteczka nazywane daktylami). Sięgnęłam po jedno.

- *Al-hamdu li-(A)llah*, jestem teraz w o wiele lepszej kondycji, ale muszę przyznać, że to były bardzo ciężkie miesiące, Qanta.

Czekając, aż usiądzie, jadłam przepyszne *ma'amul*, które rozpływało się w ustach.

Przez chwilę Fatima nie była w stanie wydusić słowa; pozwoliła sobie na okazanie bólu.

- Wiesz, byliśmy z Farisem małżeństwem przez długi czas. *Ma sha Allah*, mamy trójkę dzieci - kontynuowała, wskazując na zdjęcia, których było pełno w całym pokoju.

Patrzyłam na twarze dwóch synów i córki, i zastanawiałam się, jak wyglądało ich życie.

- Faris został dla mnie wybrany przez mojego ojca. Zналиśmy jego rodzinę. To był bardzo dobry wybór. Wiedzieliśmy, że jest z Mekki, jest Hidżazyjczykiem i może ma inne poglądy niż nasza rodzina. My jesteśmy z interioru, z Nadżdzu - wyjaśniła. - Ale myślę, że nawet po tylu latach tak naprawdę go nie znam. To trudny człowiek, zmienny, miewa humory. Twoje obawy mogą być słuszne; Faris może mieć depresję. - Zamilkła, patrząc na mnie.

W tej chwili zagwizdał czajnik, sygnalizując, że zagotowała się woda. Obserwowałam, jak para unosi się, tworząc wirujące wzory, a potem osiada na szybie w postaci mgiełki.

- Qanta, pozwól, że zrobię kawę. Dałam dzisiaj wieczorem naszej gosposi wolne. Chciałam, żebyśmy były same i mogły swobodnie porozmawiać.

Przyglądałam się, jak miesza kawę, doprowadzając ją do wrzenia i przyprawia

kardamonem, który świeżo utłukła w móżdżierzu. Na zakończenie przelała ją do specjalnego termosu, żeby była gorąca.

- Życie rodzinne Farisa, kiedy dorastał, nie było stabilne. Nie wydaje mi się, żeby między jego matką i ojcem dobrze się układało; ojciec miał więcej niż jedną żonę. - Spojrzała na mnie niemal tryumfująco. - Byłam zszokowana, kiedy Faris do mnie przyszedł, oczekując, że wyrażę zgodę, by poślubił Nurę.

Więc tak ma na imię ta kardiolożka, pomyślałam.

- Jak każde małżeństwo mieliśmy lepsze i gorsze dni, ale nigdy nie podejrzewałam, że do tego dojdzie - kontynuowała Fatima. - Wydaje mi się, że poznali się w pracy, a wiesz, jaki jest Faris. Ma bardzo dobre serce, dobre aż do przesady. Myślę, że chciał jej tylko pomóc i trochę za bardzo się zaangażował. Zresztą, sama nie wiem; nie byłam w stanie słuchać o szczegółach. Ale nie ukrywał przed nią, że ma żonę i dzieci. Ona mimo to godziła się z nim być, więc myślę, że postanowił, że ją poślubi, że Nura zostanie jego żoną numer dwa! - Cmoknęła z niedowierzaniem. - Cóż, dla mnie to było zupełnie nie do zaakceptowania. Nigdy bym się na to nie zgodziła. Powiedziałam mu, że jeśli będzie nalegał, rozwiodę się z nim. A on dalej swoje, że jako mężczyzna ma pewne prawa, że może mieć więcej niż jedną żonę. Dla mnie to nie do pomyślenia, więc natychmiast się z nim rozwiodłam. To była kwestia kilku dni. Nie przeszliśmy nawet przez etap mediacji. Sprawa była prosta: nie prosiłam go o rozwód, ja go zażądałam. Naruszył moje prawa jako żony. Na początku małżeństwa powiedziałam mu, że czegoś takiego nie zaakceptuję. Jestem wykształconą kobietą. Ukończyłam podspecjalizację w klinice w Cleveland, Qanta. Jestem jedyną Saudyjką, która zdobyła takie kwalifikacje. - Jej głos przechodził w drżące crescendo.

Obawiałam się, że zaraz zacznie płakać, ale na jej białej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi pojawiły się wypieki, a w oczach dostrzec można było raczej oznaki złości, na którą pozwalała sobie tylko sporadycznie. Była wściekła, a nie rozbita.

- Myślałam, że wychodzę za wykształconego mężczyznę, a jak wiesz, Faris jest uczony w islamie. Sam lepiej powinien wiedzieć, jakie są powody, by wziąć sobie kolejną żonę, a tu proszę, także z tym sobie nie radzi! W końcu jestem kobietą pracującą! Uczęszczał do szkoły dla duchownych tu, w Rijadzie, gdzie szczegółowo zgłębiał islam, zanim zaczął

studiować w akademii medycznej. Powinien był się czegoś nauczyć.

- Rozumiem, Fatima. To musi być bardzo trudne, rozważać możliwość dzielenia się swoim mężem - niezdarnie próbowałam ją pocieszyć. - A jak radzą sobie dzieci? - Zdecydowałam się zmienić temat; obawiałam się szczerości Fatimy, trochę bałam się tego, co jeszcze mogę usłyszeć na temat mojego szefa.

- Och, Qanta, z tym jest najgorzej. Dzieci ciągle płaczą. Tęsknią za widokiem mamy i taty razem. Jak wiesz, dwójka najstarszych musiała się wyprowadzić i zamieszkać z ojcem. Nie miałam w tej sprawie nic do powiedzenia; tak to już jest. Najmłodsze dziecko zostało teraz ze mną, ale za kilka lat i ono będzie miało prawo zdecydować, z kim chce być. Może się więc okazać, że za jakiś czas będę mieszkała sama.

Jej piękno stopniało, kiedy zapłakała nad swoją stratą. Wstała i przyniosła paczkę chusteczek, by osuszyć łzy. Po chwili, zwinąwszy chusteczkę wypielęgnowanymi palcami w rozmoczony sznurek, usiadła i mówiła dalej:

- Wiesz z pewnością, że islam dostarcza wskazówek w kwestii tego, gdzie i na jakich zasadach mają mieszkać dzieci po rozwodzie rodziców.

Dałam do zrozumienia, że nic mi o tym nie wiadomo. Nie miałam pojęcia o zasadach przyznawania opieki nad dzieckiem w islamie. Ledwie wiedziałam coś na temat samego małżeństwa w islamie, a co dopiero mówić o jego zakończeniu.

- Okej, pozwól zatem, że ci wyjaśnię. - Uśmiechnęła się.

Zawsze zdumiewało mnie, z jakim zaangażowaniem muzułmanie w Królestwie edukowali mnie w kwestiach religijnych. Świadczyło to o ich żarliwej wierze.

Przez następnych kilka godzin Fatima wyjaśniała mi, jak rodziny radzą sobie z rozwodem, zawsze na pierwszym miejscu stawiając dobro dzieci. Muzułmańskie nauki rozróżniają trzy etapy dzieciństwa. Są to: wiek odstawienia od piersi, wiek samodzielnego podejmowania decyzji oraz wiek dojrzałości seksualnej. Wiek odstawienia od piersi oznacza, że dziecko ma około dwóch lat, etap samodzielnego podejmowania decyzji to wiek

siedmiu-dziewięciu lat (dziecko jest w stanie wyrazić swoją wolną wolę i rozumie, jakich wyborów dokonuje). Następnie dziecko dorasta i osiąga wiek dojrzałości seksualnej, stając się osobą dorosłą. Te etapy wpływają na decyzję o opiece nad dzieckiem podczas rozwodu. Kwestię opieki nad swoimi dziećmi Fatima wytłumaczyła tak:

- Mój najstarszy syn ma czternaście lat, a córka - dwanaście. Najmłodsze dziecko dopiero co skończyło pięć lat. Zdecydowaliśmy z Farisem, że najstarszemu chłopcu najbardziej teraz będzie służyło towarzystwo ojca, ponieważ dorasta i staje się mężczyzną, a poza tym w przypadku dzieci w jego wieku opieka zazwyczaj i tak jest przyznawana ojcu. Moja córka wyraziła chęć zamieszkania z Farisem, więc tak też się stało. Osiągnęła wiek, w którym ma prawo samodzielnie podjąć taką decyzję, dlatego mogła wybrać, z kim chce zamieszkać. - Fatima posmutniała, ale po krótkiej przerwie mówiła dalej: - Ona jest bardzo opiekuńcza i myślę, że się martwiła, jak ojciec poradzi sobie beze mnie. Oczywiście miała moje wsparcie przy podejmowaniu decyzji o zamieszkaniu z ojcem i widuję się z nią naprawdę bardzo często. Nie mieszka daleko ode mnie. Wiesz, dom Farisa to ten tutaj - odsunęła zasłonkę i wskazała na dom stojący po drugiej stronie ślepej uliczki - więc wszystkie dzieci bawią się ze sobą przez cały dzień. Najmłodsze nie osiągnęło jeszcze wieku samodzielnego podejmowania decyzji, dlatego islam przychyliła się do tego, żeby opiekę nad nim sprawowała matka. Zostanie ze mną dopóty, dopóki, tak jak siostra i brat, nie będzie na tyle duży, by samodzielnie zdecydować.

Wiedziałam już, że Rijad rządzi się prawem szariatu zgodnie z ustaleniami rijadzkiego duchowieństwa. W Królestwie saudyjska matka może sprawować opiekę nad synami do czasu, gdy osiągną dziewięć lat, a nad córkami - do siódmego roku życia; wtedy prawa opiekuńcze ojca mają pierwszeństwo. Co najistotniejsze, sądy szariatowe zawsze nakazują, by dziecko zamieszkało w tym domu, w którym będzie wychowywane w najbardziej muzułmańskim środowisku. W przypadku Fatimy oboje, zarówno ojciec, jak i matka, byli w stanie to zapewnić, w związku z tym w oczach sądu nie stanowiło to punktu spornego.

Saudijscy ojcowie zawsze zostają prawnymi opiekunami, nawet jeśli matką jest Saudyjka. Zgodnie z prawem ojciec zachowuje więc pełną kontrolę nad tym, gdzie jego dzieci mieszkają i dokąd podróżują. Oczy mi się rozszerzyły ze zdumienia, ale Fatima mnie uspokoiła:

- Dzięki Bogu Faris i ja jesteśmy w dobrych stosunkach i wciąż potrafimy odnosić się do siebie z szacunkiem. Nigdy nie zabrałby mi dzieci i wie, że zapewniam im stabilizację i wsparcie, co dla niego jest trudne. Pewnie wiesz o jego nocnych obowiązkach w Radzie Królewskiej?

Przytaknęłam, mając w pamięci znużenie Farisa wywołane brakiem snu, które często było widoczne podczas zdawania porannego sprawozdania na OIOM-ie. Zapytałam Fatimę, co by się stało, gdyby wyszła za mąż za kogoś, kto nie wyznawałby jej religii.

- Na decyzję o przyznaniu opieki nad dziećmi wpływa także to, czy po rozwodzie postanowię poślubić niemuzułmanina, czego oczywiście nigdy nie uczynię. - Zaśmiała się na samą myśl o takiej nedorzecznosci. - Gdybym jednak to zrobiła lub gdybym postanowiła zamieszkać z osobami niespokrewnionymi, straciłabym możliwość opieki nad dziećmi. Qanta, widzisz, że nasze obyczaje usiłują ocalić rodzinę, nawet kiedy małżeństwo się rozpadnie? Nasze prawa stanowią, że religijne wychowanie dziecka nie podlega negocjacom. Nie daj Boże, żeby coś się stało Farisowi. W takim przypadku, mimo że on zna moje życzenie, by dzieci wychowywały się razem, prawo szariatu przyznaje opiekę nad nimi najbliższemu męskiemu krewnemu saudyjskiego ojca. Walka mogłaby się okazać trudna. Sama nie wiem. *In sha Allah*, mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Byłam zaszokowana. Rozwód tutaj naprawdę oznaczał rozpad rodziny. Rozdzielali się nie tylko rodzice, ale także bracia i siostry. I gdzie tu ten nacisk na macierzyństwo, o którym od najmłodszych lat tyle się nasłuchiłam od ojca? „Najpierw jest twoja matka, twoja matka, twoja matka, a następnie twój ojciec”, co było parafrazą słów Proroka^[87], wypowiedzianych kiedy go zapytano o to, które z rodziców jest najbardziej szanowane w islamie. W społeczeństwie, w którym rodzina stanowi podstawową komórkę każdej wspólnoty, rozwód rozbija atomy społeczeństwa na cząsteczki, które już nigdy nie będą w stanie w ten sam sposób się połączyć. To, co wcześniej było istotą niekwestionowanego poczucia wspólnoty - podstawowa komórka społeczna, czyli rodzina dwupokoleniowa - stawało się równie popękane i zniszczone, jak na amerykańskich przedmieściach. Saudyjczycy mierzyli się z tymi samymi problemami, z jakimi my borykaliśmy się w Stanach. Miałam kolejne pytania.

- Fatimo, opowiedz mi coś więcej o rozwodzie. Skąd wiesz, że nadeszła pora, by

zakończyć małżeństwo? Na czym polega mediacja, która ma na celu powstrzymanie rozzłoszczonej pary? Co to są za negocjacje, których tak naprawdę nie brałaś nawet pod uwagę?

Fatima utkwiała we mnie spojrzenie, milcząc przez chwilę, żeby zastanowić się nad odpowiedzią.

- Masz rację. Jest kilka etapów, przez które trzeba przejść, gdy mąż lub żona zdecydują się na rozwód. - Jej twarz przybrała poważny wyraz. Już się nie uśmiechała, lecz zacisnęła usta.

Skoncentrowałam się, żeby nadążyć za jej szczegółowymi wyjaśnieniami.

Wy tłumaczyła mi, że jeśli mężczyzna poinformuje swoją żonę o chęci rozwodu, używając słowa *talak*, i wypowie je trzykrotnie raz za razem, to małżeństwo może zostać rozwiązane po upływie trzech miesięcy, a nie natychmiast, jak to się często błędnie uważa. Muzułmanie muszą dalej mieszkać pod jednym dachem we wspólnym domu, ale w tym czasie muszą zrezygnować z utrzymywania stosunków seksualnych. W rzeczywistości ten okres oczekiwania jest wyznaczony przez trzy cykle menstruacyjne. Dzięki temu kobieta może się zorientować, czy nie jest w ciąży, a jeśli jest, rozwodzący się mąż ma obowiązek wziąć na siebie odpowiedzialność za nowe dziecko. Ale, co równie istotne, te trzy miesiące to czas, w którym strony mogą odstąpić od swojej decyzji i szukać ugody, co także jest dozwolone w islamie. Jeśli mąż i żona się pogodzą, w dowolnym momencie w tym okresie mogą ponownie się zejść bez potrzeby podpisywania nowego kontraktu, organizowania nowej ceremonii czy płacenia nowego mahru.

Spojrzałam na tykający zegar. Było późno.

- Właściwie - ciągnęła Fatima - ten trzymiesięczny okres oczekiwania można powtarzać, ale kiedy po raz trzeci pojawi się wzmianka o rozwodzie bądź żądanie rozwodu, wówczas nie da się już tego uniknąć. Rozwód następuje na stałe, nieodwołalnie. Dla mnie było jasne, że Faris i ja nie dojdziemy do porozumienia w tej kluczowej kwestii. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko zakończyć nasze piętnastoletnie małżeństwo.

Wciąż czułam niedosyt informacji.

- W Stanach pary czasami ponownie biorą ślub, nawet po rozwodzie. Czy to jest dozwolone w islamie?

- Tak, Qanta, mężczyzna może poślubić tę samą kobietę dwa razy. Potem staje się ona dla niego haram. Zabroniona.

- Więc może jeszcze kiedyś pogodzicie się z Farisem? - zapytałam z nadzieją.

Stanowczym ruchem odrzuciła głowę.

- Nie ma szans, Qanta. Rozstaliśmy się na dobre.

Zaproponowała mi jeszcze kawę, na co z ochotą przystałam. Patrzyłam, jak wąskim strumieniem nalewa złotawy płyn do malutkiej filiżanki. Sobie też naleła, zrzuciła sandaalki i podwinęła nogi na kanapie.

- Fatima, a co z tobą? Jeśli nie Faris, będziesz myśleć o ponownym wyjściu za mąż czy masz już dosyć?

Najpierw uśmiechnęła się pobłaźliwie, a potem, wybuchnąwszy salwą śmiechu, spojrzała na mnie jak nastolatka, a nie kobieta czterdziestosiedmioletnia.

- Och tak, Qanta. Tym razem wyjdę za mąż dla romansu, dla miłości, dla pożądania! Nie chcę mieć już więcej dzieci. *Al-hamdu li-(A)llah*, mam trójkę. *Ma sha Allah*, niech żyją jak najdłużej. Nie, tym razem będę absolutną egoistką. Chcę być z mężczyzną, który zabierze mnie do Paryża i Genewy. Chcę dostawać kwiaty i czekoladki, oglądać filmy. Chcę, by zabiegał o moje względy i otoczył czułą opieką! - Ściśle objęła ramionami kolana niczym młoda dziewczyna marząca o swojej sympatii ze szkoły średniej.

- *Wow*, to brzmi świetnie, Fatima. Gdzie zamierzasz go znaleźć? Co to będzie za mężczyzna? Będzie Saudyjczykiem?

- Oczywiście, że tak, Qanta. Zamierzam wyjść za mąż za mężczyznę, który ma już żonę. Nie chcę poślubić jakiegoś naiwnego kawalera. Chcę takiego mężczyzny, którego podstawowe potrzeby są już zaspokojone.

Byłam kompletnie zaskoczona. Właśnie odmówiła swojemu mężowi możliwości wzięcia sobie drugiej żony, a sama była gotowa wejść w taki układ?

- Nie jestem w stanie sobie wyobrazić niczego gorszego niż bycie z mężczyzną, który nie jest wolny, Fatima. Jaka w tym przyjemność? Zawsze będziesz tą drugą. Nie rozumiem. Proszę, czy możesz mi to wyjaśnić w bardziej przystępny sposób? Nigdy nie spotkałam kobiety, która chciałaby poślubić żonatego mężczyznę. To chyba największy koszmar senny każdej singielki w Ameryce.

- Cóż, Qanta, ja jestem zajęta karierą, mam konferencje, spotkania. Moje sprawy zawodowe zajmują dużo czasu. A oprócz tego wychowuję dzieci. Nie mam siły robić znowu tego samego dla kolejnego mężczyzny. Tak naprawdę to nawet mi się nie chce. Nie jestem już młodą dziewczyną. Jestem dojrzałą czterdziestosiedmioletnią kobietą.

Miałam poważne wątpliwości co do słowa „dojrzała”, ale nie mogłam zaprzeczyć, że miała już rodzinę i wychowywała dzieci.

Podekscytowana gadała jak najęta, nie zważając na moją reakcję.

- Większość saudyjskich mężczyzn nie zaakceptowałaby tego, że ich saudyjska żona tyle czasu poświęca swojej pracy. Czasami jestem wzywana do odczytania wyniku biopsji w nagłym wypadku o niedogodnej czy bardzo późnej porze. Sama wiesz.

Kiwnęłam głową przytakująco.

- Ale gdybym poślubiła mężczyznę, który ma już jedną żonę, a może nawet i dwie, wówczas byłyby wieczory, kiedy by mnie nie potrzebował. Noce, które należałyby tylko do mnie; mogłabym wtedy robić wszystko, na co miałabym ochotę; czy to popracować w szpitalu, czy wziąć w domu kąpiel w pianie. Cieszyłabym się wolnością!

- Poślubienie mężczyzny, który jest żonaty, oznacza dla ciebie wolność?

- Tak, Qanta, oczywiście. - Znow zachichotała.

Oniemiałam. To było coś, czego naprawdę chciała!

- Ale dlaczego się nie zgodziłaś, żeby Faris mógł się cieszyć taką samą wolnością?

- To zupełnie co innego! To nie było moje życzenie. Robił to dla własnej wygody, a nie dla mnie. - W jej głosie wyczuwało się gorz.

Zastanawiałam się, czy czuła się niedoceniana w małżeństwie z ograniczonym w pewien sposób, być może pogrążonym w depresji mężczyzną. Chociaż powszechnie uważano Farisa za wyjątkowo uprzejmego, możliwe, że rzeczywiście unikał bliskiej zażyłości.

- Nie, teraz nadszedł czas, żebym pomyślała o sobie. Po piętnastu latach małżeństwa chcę pozwolić sobie na egoizm. Chcę czegoś dla siebie; mężczyzny, który przychodzi do mnie, ponieważ mnie pożąda, ponieważ mnie chce, chce mnie rozpieszczać i sprawiać, żebym się śmiała. Nie ma obowiązku być ze mną ze względu na dzieci. Po prostu chce być ze mną. Mówię ci szczerze, właśnie tego chcę i tego będę szukać! *Chalas!* - Kończąc znajomym zwrotem w potocznym arabskim, który oznacza „dość, starczy już tego” albo „i to by było na tyle”, wyszła do kuchni, żeby przygotować jeszcze kawę. W sprawie małżeństwa powiedziała ostatnie słowo.

Sączałam kawę w kłopotliwej ciszy. W tych młodzieńczych aspiracjach Fatimy było coś smutnego, jakaś tęsknota; tak jakby chciała w końcu zrealizować swoje marzenia z czasów, gdy była nastolatką. Gdzie wpasują się jej dzieci w ten scenariusz z poligamicznym mężczyzną? Czy ona naprawdę wierzy w te beztroskie, obfitujące w liczne przyjemności schadzki z dziewczęcej wyobraźni, które miałyby stać się jej udziałem, kiedy wyjdzie za mąż za żonatego Saudyjczyka? Może się myliłam. Może to było realne. Kiedy jednak patrzyłam, jak wsuwa dłonie w gumowe rękawiczki, żeby umyć termos, poważnie w to wątpiłam. Jej życie upłynęło już w połowie na małżeństwie scementowanym obecnością dzieci, a nie żarliwym uczuciem. Te wszystkie lata stłumiły i zniszczyły w tej wybitnie inteligentnej

kobiecie namiętność, dlatego nie sądziłam, że kiedykolwiek uda jej się znaleźć mężczyznę wywodzącego się z jej społeczeństwa, z którym mogłaby utrzymywać szczere stosunki partnerskie. Wydawało mi się to mało prawdopodobne. Fatima była saudyjską rozwódką i pewnie tak już miało zostać.

Nadal nie ma partnera. Nie wyszła ponownie za mąż, chociaż Farisowi w końcu udało się założyć nową rodzinę. Jej szalony romans z saudyjskim poligamistą nigdy nie doszedł do skutku. Ale Fatima nie traci nadziei. Pomimo słabnącego wzroku swoje marzenia wciąż widzi bardzo wyraźnie.

^[86] *Modelka* - film Charlesa Vidora z 1944 roku z Ritą Hayworth w roli głównej (przyp. tłum.).

^[87] Zob. Al-Buchari, *Kitab al-Adab* (Kair, Matba'at asz-Szab). Hadis opisujący odpowiedź Proroka, kiedy został zapytany przez człowieka: „Kto spośród ludzi najbardziej zasługuje na moje dobre towarzystwo?”. Prorok odpowiedział: „Twoja matka”. „A kto zasługuje w następnej kolejności?”. „Twoja matka”. „A kto po niej?”. „Twoja matka”. „A po niej?”. „Twój ojciec” (przyp. aut.).

Rozdział 32

Gotowe na wszystko, czyli zdesperowane gospodynie domowe

Do hotelu przyjechałam sama. W pośpiechu przemierzałam w abai lobby, by dotrzeć do sali dla kobiet. Obawiałam się wszechobecnej mutawwy, której członkowie pojawiali się bez ostrzeżenia. W końcu znalazłam salę, kierując się węchem (w powietrzu unosił się słodki zapach mocnych perfum), i dołączyłam do pozostałych kobiet. Pozwoliłam sobie na zdjęcie abai; w pomieszczeniu pełnym kobiet czułam się swobodnie. Filipińskie kelnerki krążyły z arabską kawą i słodyczami. Za przykładem innych przewiesiłam abaję przez oparcie krzesła. Wybrałam sobie miejsce na tyłach sali.

Wieczór był chłodny. Spodziewałam się, że zanim wyjdę, zrobi się jeszcze chłodniej, dlatego ciepło się ubrałam. Zauważyłam, że jestem najbardziej zakrytą kobietą, ale szybko zapomniałam o drapiącym golfie i przegrzanych stopach, ponieważ obserwowałam rozpoczynające się widowisko.

Nadidza poprawiała swoją zasłonę tuż przed wkroczeniem w oślepiające światło reflektorów. Była zaledwie kilka metrów ode mnie. Przyglądałam się uważnie młodziutkiej saudyjskiej pannie młodej.

Stała sama. Za nią krzątały się dwie krewne ubrane w wieczorowe suknie ozdobione kolorową biżuterią i zachęcały ją do wyjścia na podium. Nadidza należała do niższej klasy średniej. W przeciwieństwie do swojej koleżanki Zubajdy naprawdę potrzebowała tej skromnej pensji, jaką otrzymywała. Rodzina wypruwała sobie żyły, żeby zorganizować jej wesele.

Nadidza była ubrana zupełnie jak amerykańska panna młoda. Miała na sobie ogromną białą suknię ślubną oraz koronkowy welon przykrywający twarz i sięgający niemal do kolan. Suknia wyglądała jak żywcem wyjęta z lat pięćdziesiątych w Hollywood: cała w koronkach

i na obręczach. Przypomniła mi się młoda Grace Kelly, tyle że pozbawiona elegancji. Jeśli chodzi o suknię i o samą pannę młodą, wszystko było przesadzone. Dekolt narzeczonej - głęboki, eksponujący młodą skórę i nieskazitelny rowek między piersiami. Nadidza dygotała z zimna; lodowate powietrze z klimatyzacji napływało spod wysokiego sufitu. Połyskujące rękawy z wysadzanej kamieniami koronki delikatnie opinały pokryte gęsią skórą ramiona, schodziły do połowy dłoni i okręcały się wokół środkowego palca, żeby materiał utrzymał się na miejscu. Panna młoda, zbliżając się nerwowo ku swojemu przeznaczeniu, szeleściła strojem.

Spojrzałam na twarz pokrytą mocnym makijażem i przyglądałam się jej profilowi. Miała wyraźnie podkreślone oczy, policzki przyprószone różem w odcieniu intensywnej śliwki, a wokół oczu, ponad wygiętymi w łuk długimi brwiami, lśnił brokat. Niestety, make-up nadawał nienaturalny, dość przerażający wygląd jej ładnej twarzy. Błyszczącymi brązowymi oczyma rozglądała się po pomieszczeniu; była przestraszona i zdenerwowana jak szczeniak. Mimo tej starannie wymalowanej maski wyczuwałam u niej delikatny dreszczyk podniecenia. Co jakiś czas nerwowo się uśmiechała, ukazując dołeczki w policzkach i odprysk na górnym siekaczu. Ta drobna uroczą niedoskonałość, widoczna tylko gdy Nadidza szczyrzyła zęby w uśmiechu, była jedynym przejawem naturalnego piękna, jakie ostało się mimo grubej warstwy maskującego podkładu. Patrzyłam, jak panna młoda niemal unosi się nad ziemią, cała drżąc od buzującej adrenaliny. Byłam ciekawa, czy myśli o swoim narzeczonem.

W dłoniach ścisnęła wiązanekę z kremowobiałych kolumbijskich róż. Płatki kwiatów drżały wraz z jej narastającym niepokojem. Te piękne kwiaty nie miały zapachu; został unicestwiony, kiedy przez wiele godzin leżały w chłodni samolotu cargo, który opuścił Amerykę Południową kilka dni wcześniej. Tak jak piękno, które mnie otaczało, kwiaty były sterylne i bez życia.

Nadidza, zachęcana przez towarzyszące jej kobiety, zrobiła kolejny krok, odsłaniając srebrne szpilki ze spiralnie skręcającymi się paseczkami: bardzo w stylu Vegas. Przyjaciółki się odwróciły, wydając głośne westchnienie ulgi, co pozwoliło im poluznić napięte gorsety z fiszbinami, które ledwie mieściły prężące się biusty.

Panna młoda kroczyła w stronę podium, gdzie para ślubnych tronów czekała na

moment kulminacyjny, który na zawsze zapisze się w rodzinnym albumie. Przy pierwszym kroku odsłoniła paznokcie u stóp polakierowane na kolor ciemnobordowy, taki sam jak na paznokciach u rąk. Domyśliłam się, że ma miesięczkę, ponieważ wiedziałam już, że w Królestwie kobiety tylko wtedy malują paznokcie. Ortodoksyjne Saudyjki uważają, że odpowiednie oczyszczenie przed modlitwą nie jest możliwe, jeśli paznokcie są pomalowane, dlatego nie robią manikiuru i pedikiuru przez cały miesiąc, kiedy nie krwawią i modlitwa jest dozwolona. Podczas menstruacji natomiast muzułmanki nie mogą się modlić, dlatego w tym czasie większość ortodoksyjnych, a nawet tych mniej ortodoksyjnych saudyjskich kobiet pozwala sobie na małe szaleństwo i maluje paznokcie. Nawet Zubajda tak robi. Jej przyjaciółka Nadidża zapewne też.

Przez nieuwagę wybrałam miejsce w pobliżu stojącego na podłodze głośnika wzmacniającego ryki, które miały być muzyką. Głodna, ponieważ nie jadłam niczego od lunchu, czułam, jak moja głowa zaczyna pulsować, a do poczęstunku było jeszcze daleko. Nie zdawałam sobie wcześniej z tego sprawy; wesela w Rijadzie były imprezami, które odbywały się późno w nocy.

Z miejsca, w którym siedziałam, miałam przynajmniej znakomity widok. Obserwowałam, jak panna młoda powoli kroczy naprzód. Podobnie jak wiele saudyjskich kobiet z desperacją wyczekujących, by zostać żonami, ona także czekała na tę chwilę od dzieciństwa. Już tylko kilka kroków dzieliło ją od zostania żoną.

Sala była zatłoczona; znajdowało się w niej co najmniej 600 kobiet. Było to największe zgromadzenie, w jakim dotychczas wzięłam udział w Rijadzie, i z pewnością najbardziej olśniewające. Minęło przynajmniej 40 minut, zanim zauważyłam wchodzącą do sali Zubajdę. Wypatrzyła mnie w tłumie i natychmiast do mnie zamachała, ale były inne kobiety, z którymi musiała się najpierw przywitać. Ze zniecierpliwieniem podążałam za nią wzrokiem.

Zubajda zamieniła swoje codzienne skromne jasnoniebieskie odcienie szyfonu i płótna na wysmuklający strój saudyjskiej syreny. Po królewsku odziana w rdzawoczerwoną, czarodziejską jedwabną suknię z ogromnymi zapięciami z brylantów, olśniewała kobiecością. Jej lniane włosy były kunsztownie ufryzowane w obfite fale. Nałożony make-up, choć ciężki i według mnie niemodny - oczy były niemal przesłonięte ciemnymi cieniami - przydawał jej

tajemniczości. Wyglądała niczym bejrucka śpiewaczka z lat pięćdziesiątych. Czarny eye-liner przedostawał się do jej zaczerwienionych już oczu, gdy wpatrywała się w obecnych gości, zachwycając kuszącym urokiem. Ciężkie rzęsy, oczywiście sztuczne, dodatkowo przytłaczały opadające powieki, sprawiając, że jej oczy wyglądały jak u sarenki. Obfity biust był pięknie wyeksponowany przez gustowny marszczony dekolt. Gdy wyciągnęła pulchne ramię odziane w długi rękaw w kierunku matron, które niczym przygarbione wartowniczkę ustawiły się na podium w kręgach, prezentowała się wspaniale, choć nieco konserwatywnie. Zubajda była modelową przyszłą panną młodą.

W porównaniu z nią pozostałe kobiety najwyraźniej całkiem postradały zmysły. Ich desperacja prezentowała się w pełnej krasie; albo choć na kilka godzin chciały zapomnieć o swoich nędznych małżeństwach, albo po omacku próbowały zgłębić tajemnicę, jak do małżeństwa doprowadzić, na czym tak rozpaczliwie im zależało. Ilość wyeksponowanego ciała była niewiarygodna. Nigdy w Nowym Jorku nie widziałam tylu roznegliżowanych nóg, piersi i ud. Nie mogłam uwierzyć, że jestem w Rijadzie. Nie mogłam uwierzyć, że te kobiety są muzułmankami.

Swoim nędznym strojem przyciągałam pełne dezaprobaty spojrzenia. Byłam ubrana nieodpowiednio do okoliczności. Nie miałam na sobie żadnej biżuterii. Moje ubrania nie błyszczały. Pozostałe kobiety musiały spędzić wiele godzin, a część z nich nawet dni, przygotowując się do tego wydarzenia. Niemal wszystkie wokół mnie były ubrane w suknie bez rękawów; Zubajda stanowiła wyjątek. Wszędzie pobłyskiwały olbrzymie klejnoty: Cellini, Di Grisogono, Kwiat, Damiani, że wymienię tylko kilka marek. To była biżuteria, jaką zazwyczaj widywało się jedynie w czasopismach, ale na weselu dietetyczki nie była niczym wyjątkowym.

Klejnoty zdobiły nagą kremową skórę właścicielek; może jedna czy dwie kobiety miały równie ciemną karnację jak ja. Sukienki przeważnie były za małe; podkreślały przesadnie zarówno biusty mężatek, często jeszcze karmiących, jak i te wyraźnie powiększone i podniesione. Koliste wypchnięte kontury silikonowych implantów zdradzały wizyty u chirurgów plastycznych prawdopodobnie w Jordanii czy Libanie. Być może nawet część kobiet była z wizytą u Mu'ajjada, mojego znajomego zajmującego się chirurgią plastyczną, który często ratował najgorzej zrobione biusty z całej Zatoki Perskiej.

To on wspomniał kiedyś, że w Królestwie najpowszechniejszą motywacją kobiet, które decydują się na implanty piersi, jest znudzony mąż, rozważający wzięcie sobie drugiej żony. Kobiety, desperacko chcąc tego uniknąć, tłumnie spieszą do chirurga plastycznego, by zrobić sobie operację, błagają go o korekty albo kolejne powiększanie. Mu'ajjad ze spokojem wyjaśniał, że same implanty nie uratują zagrożonego związku, i odsyłał je bez silikonowych protez, których tak pożądały w nadziei, że będą ratunkiem dla gasnącej miłości. Odsyłał z kwitkiem wiele tych gotowych na wszystko zdesperowanych gospodyń domowych, mówiąc, że jeśli chcą, mogą poszukać sobie chirurgów pozbawionych skrupułów, którzy zgodzą się w taki sposób odsunąć ich narastające obawy przed żoną numer dwa.

Dzisiejszego wieczoru jednak, czy to silikonowe, czy z naturalnego tłuszczu, wysokie kopuły biustów tworzyły rusztowania dla opierających się prawom ciężenia sukni. Zbyt wąskie kreacje brutalnie wrzynały się w szczuple niegdyś, kilka ciąż wstecz, talie. Bezlitosny atlas rozlewał się, uwydatniając warstwy paskudnego grudkowego tłuszczu, poprzątkane okrutnymi szwami. Ten widok przywodził na myśl anarchistyczną oscarową noc bez stylistek, które poskromiłyby zły gust i pełne zadęcia apetyty całej tej armii diw.

Wiele kobiet miało na sobie suknie bez pleców, a część nie zadała sobie nawet trudu, by ukryć wystające nieefektywne biustonosze. Wpatrywałam się w warstwy tłuszczu, które formowały się na plecach jednej z kobiet tańczącej już przy niemiłosiernie głośnej muzyce. Czarne ramiączka stanika wrzynały się jej w plecy, tworząc jakby dziwaczne odbicie dekoltu - fascynująco szpetnego.

Nie tylko panna młoda eksponowała rowek między piersiami. Zaproszone przez nią kobiety, o wiele bardziej bezwstydne, rywalizowały ze sobą pod względem głębokości dekoltołów i rozcięć w sukniach. Rozcięcia odsłaniały pulchne, świeżo poddane depilacji woskiem nogi, które nigdy nie miały styczności ze sprzętem do fitnessu. Ostry makijaż kojarzył się z tym, jaki nosiły aktorki grające w egipskich operach mydlanych. Nie było tu miejsca dla wyobraźni. Każdy szczegół został uwydatniony; usta, oczy, policzki - wszystko podkreślone tak, że twarz kobiety przypominała maskę faraona. Miałam wrażenie, że uczestniczę w imprezie karnawałowej - balu maskowym. Krzykliwy makijaż sprawiał, że nie byłam w stanie odczytać wyrazu twarzy żadnej z kobiet. Na swój sposób były one wciąż zasłonięte, chociaż tak rozneglizowane. A co zabawniejsze, wszystkie wyglądały, jakby odwiedziły tę samą makijażystkę.

Cienie do powiek w mocnych kolorach były nałożone aż do brwi, tak wysoko jak u japońskich odtwórczyń ról w operze *Mikado*. Miało to sprawiać wrażenie, że oczy są szerzej rozstawione, niż były faktycznie, ale kobiety wyglądały przez to karykaturalnie i przypominały raczej transseksualne gejsze. Wszystkie, nawet te, które miały jasną karnację, nałożyły na twarze niemal białe, gęste podkłady, co potęgowało jedynie nienaturalny efekt. Na tle tych wygładzonych tapet wyróżniały się pomalowane na jaskrawy rubinowy kolor usta powiększone kolagenem. Szminka zostawiała ślady na pożółkłych zębach, które kobiety odsłaniały podczas wymienianych w nieskończoność uprzejmości.

Jedynymi, które nie brały udziału w tej rywalizacji na biusty, makijaże i zastrzyki z botoksu, były kobiety należące do wąskiego grona matron. Ubrały się konserwatywnie; albo pozostały w abajach, albo miały smutne, przypominające namioty suknie, które luźno spływały z ich solidnych, nierzadko otyłych sylwetek. Te stroje niezmiennie zdobiły ciemnopomarańczowe i brązowe „tureckie” wzory; drobne, dodatkowo uwydatniające ich obfitości. Mdląco słodki zapach attaru unosił się nad wielką armią dam, tworząc tuż nad nimi gęstą chmurę różanych oparów. Matrony nie potrzebowały biżuterii, atlasów czy kosztownych dodatków, by zademonstrować swój status. Nie miały sterczących piersi; ich biusty były tylko fragmentami spłaszczonego ciała. Obwisłe, stanowiły świadectwo niekończących się cięż i dziesięcioleci nieustannego karmienia. Te kobiety cieszyły się wysoką pozycją. Status gwarantowały im pokolenia wydanych na świat synów i córek, a następnie wnuki.

Stanowiąc jakby klikę matek, brylowały w towarzystwie, powoli unosząc ciężkie głowy na grubych pomarszczonych szyjach, żeby oceniać potencjalne panny młode jak Zubajda. Bacznie przyglądały się młodszym kobietom, a ich łysiejące nad powiekami brwi zdradzały niedoczynność tarczycy. Po skórze głowy z przerzedzonymi włosami drapały się pozbawionymi biżuterii palcami zabarwionymi henną na pomarańczowo. Co jakiś czas pojedyncza złota bransoletka pobłyskiwała w świetle, ale poza tym w żaden inny sposób się nie upiększały.

Przyglądając się temu, zauważyłam, że w gorączkowym tempie rozkręcało się swatanie; pełne nadziei apodyktyczne matki wypychały swoje córki w stronę krępych matron w „tureckich” wzorach, licząc pewnie na to, że do końca wieczoru uda im się w ten sposób

upolować potencjalnego zięcia. Świdrujące spojrzenia starszych kobiet dawały nadzieję, że pełne zapału singielki staną się wziętymi gospodyniami domowymi, o czym w tym mieście tak wiele z nich desperacko marzyło.

Patrzyłam, jak Zubajda, świadoma presji, uśmiecha się czarująco. Od lat przechodziła przez to ze swoją niezwykłą matką. Dzisiejszego wieczoru matka nawet jej nie towarzyszyła, znudzona tym samym przebiegiem wydarzeń na każdym weselu. Mimo to, z szacunku, Zubajda zagadywała inne matki, z których większość ją znała, i wydawała się autentycznie uradowana ze spotkania. Byłam głęboko przekonana, że nienawidziła każdej minuty tej ceremonii, ale była zbyt uprzejma, by to przyznać nawet sama przed sobą. Zamiast spędzać kolejny wieczór w domu, zmusiła się do spełnienia społecznego obowiązku, jakim było uczestniczenie w weselu koleżanki. Obecność na tej uroczystości z pewnością przypominała jej o tym, że wiele osób uważało, że będąc w Królestwie singielką, która przekroczyła dwudziesty piąty rok życia, powinna już desperacko pragnąć stać się gospodynią domową. W jej wieku nie było wyboru; najlepsze lata miała już za sobą.

Panna młoda przeszła głównym korytarzem w stronę podium; nikt jej nie odprowadzał. Zbliżała się do niego wolnym krokiem przy akompaniamencie krzykliwej muzyki, w oślepiającym blasku lamp błyskowych i fluorescencyjnych świateł, ściskając w dłoniach wiązanek kwiatów. Gdy saudyjska fotografka uwieczniała weselne chwile, kobiety na sali w pośpiechu zaczęły zasłaniać się albo robić uniki, żeby nie dopuścić, by ich dekolty i poodślaniane plecy znalazły się na zdjęciach. Wykonując dziwaczną meksykańską falę, unosiły ramiona jak w zsynchronizowanym układzie choreograficznym, chowając je w abaje i owijając czarny materiał wokół głów, podczas gdy lampa błyskowa fotografki pojawiała się we wciąż innym miejscu na sali.

Stojące po lewej stronie podium śpiewaczki weselne rozpoczęły uroczysty występ. Kwartet grający na bębnach, który składał się wyłącznie z kobiet, smukłych Sudanek o hebanowym odcieniu skóry, wydał z siebie przenikliwe, zawodzące sopranowe okrzyki - charakterystyczny dźwięk rozbrzmiewający podczas wesel w Królestwie. Przed aparatami i kamerami jedynie panna młoda pozostała niezasłonięta; z każdym uśmiechem mrużyła skrzące się oczy i powstrzymywała łzy wzruszenia. W końcu z uniesioną wysoko głową i wciąż niezasłonięta weszła na podium i przysiadła na białym, ozdobionym wytłaczanym wzorem weselnym tronie otoczonym bukietami białych róż i szeroko rozłożonymi liśćmi

palmowymi. Z nieskrywaną dumą rejestrowała wzrokiem tę kiczowatą scenę wkraczania w życie małżeńskie. Nie miałam wątpliwości, że czuje się jak królowa. W przeciwieństwie do innych wchodzących w zaaranżowane związki panien młodych, które w dzieciństwie widywałam na weselach, ona była wyraźnie rozentuzjasmowana i nie obawiała się małżeństwa. Delektowała się perspektywą zostania żoną kogoś, kogo jeszcze nie widziała, a kto bawił się właśnie z pozostałymi mężczyznami w sąsiedniej sali.

Do północy mężczyźni się nie pojawili. Wykończona czekaniem na poczęstunek i dalsze widowisko, postanowiłam wyjść. Pomasowałam się po klatce piersiowej, żeby uspokoić szybko bijące serce, które rozszalało się po kilku godzinach picia przeze mnie arabskiej kawy przyprawionej kardamonem.

Gdy skierowałam się do wyjścia, zauważyłam, że Zubajda wciąż znajduje się w kręgu tańczących kobiet, które owinęły sobie wokół bioder szale i wirowały w rytm dudniącej muzyki. Oświetlenie nadal było niemiłosiernie jaskrawe, ale kobiety nie zrażały się tym i kołysały, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą, a w środku tego kręgu tańczyły najodważniejsze z zaproszonych, które nie miały oporów przed solowym występem. Zubajda miała teraz swoje miejsce pośród tej płataniny atlasów i szyfonów. Nie zauważyła, że wychodzę.

Kiedy przechodziłam przez lobby, słyszałam coraz głośniejszy ryk mężczyzn, którzy śpiewali jakąś piosenkę. Dźwięki dobiegały z sąsiedniej sali, gdzie prawdopodobnie bracia, wujowie i ojciec pana młodego, trzymając się pod ręce, wykonywali skomplikowany choreograficznie taniec z szablami.

Pan młody może dołączyć do panny młodej w sali dla kobiet dopiero wczesnym rankiem lub w ciągu następnego dnia. Później Zubajda przekazała mi, że przybył po drugiej w nocy. Wcześniej oczywiście uprzedzono kobiety, żeby te, które nie należały do najbliższej rodziny, zdążyły się całkowicie zakryć przed pojawieniem się mężczyzn. Dopiero kiedy pan młody wszedł i zajął miejsce na weselnym tronie obok swojej przyszłej żony (która była już wykończona z powodu przyprawiającej o zawrót głowy mieszanki podekscytowania, zdenerwowania i głodu), zaserwowano kolację. Dobrze, że zdecydowałam się wyjść wcześniej. Gdy spięty pan młody nieśmiało zerkał na swoją zdenerwowaną narzeczoną, ja już spałam kamiennym snem. Nawet głód nie był w stanie mnie obudzić.

Kilka dni później zrelacjonowałam Zubajdzie swoje wrażenia z wesela, wyjaśniając, dlaczego wyszłam, zanim pojawili się mężczyźni.

- Qanta, rozglądałam się za tobą, ale nie mogłam cię znaleźć. Zaczęłam cię szukać około pierwszej w nocy - przerwała Zubajda, oczekując dalszych wyjaśnień, zbyt uprzejma, by powiedzieć wprost, że moje zachowanie było niestosowne. Gość nie powinien opuszczać wesela przed poczęstunkiem.

- Było tak późno, Zubajda! Umierałam z głodu. Czułam, że będę czekała na tę kolację tak długo, jak na męża dla siebie!

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

- A ty, Zubajda, też będziesz miała takie wesele? Czy właśnie na czymś takim ci zależy?

- *Wa-(A)llahi*, Qanta, to trudne pytanie. - Zubajda przechyliła głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią. - Oczywiście, że chciałabym wyjść za mąż, ale modłę się do Allaha, żeby znalazł dla mnie odpowiedniego mężczyznę. Nie jestem zdesperowana. Moja rodzina jest wykształcona, ma liberalne poglądy. Chcieliby, żebym się ustatkowała, ale nikt nie wymaga ode mnie, żebym się z tym spieszyła. *Al-hamdu li-(A)llah*, mój ojciec jest bardzo wyrozumiały, matka także. - Zaczęła wyjaśniać mi, jak to się stało, że wciąż jest stanu wolnego.

Co jakiś czas jej matka i ojciec zapraszali potencjalnych kandydatów, którzy przyjeżdżali do ich eleganckiego domu rodzinnego i pili herbatę razem z nimi i Zubajdą. W czasie tych wymuszonych i starannie wyreżyserowanych spotkań Zubajda miała możliwość przeprowadzenia bardzo krótkiej rozmowy z kandydatem, podczas gdy jej rodzice dyskretnie czekali w drugim pokoju. Odbyła już wiele takich rozmów. Przyzwyczyła się do nużącego obowiązku przyjmowania gości i uprzejmego odrzucania kolejnych oświadczeń.

- *Wa-(A)llahi*, Qanta, po prostu nie znaleźliśmy jeszcze odpowiedniej osoby.

Czekałam, by powiedziała coś więcej.

- W ostatnim czasie zostałam przedstawiona pewnemu mężczyźnie z Damaszku. Był o wiele starszy - wdowiec, ale nie miał dzieci. Był okej, Qanta, ale nic do niego nie poczułam i wydawało mi się, że nie był specjalnie wykształcony. Nie był też szczególnie przystojny. Wiem, że to zamożny człowiek, ale to mi nie wystarcza. Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu nie byłam do niego przekonana. Nie miałam też pewności, czy ma równie poważny stosunek do islamu jak ja. Musisz zrozumieć, że mój ojciec i bracia, Murad i Harun, są świetnie wykształceni. Nie mogę związać się z kimś gorszym. Co do tego wszyscy się zgadzamy. Myślę, że wyjdę za mąż jedynie wówczas, gdy Allah o tym zdecyduje. Przestałam się zamartwiać.

- A nie chciałabyś zaznać trochę niezależności, Zubajda? Myślę o tym, dlaczego teraz, kiedy czekasz, nie wyjedziesz w podróż czy do pracy za granicę, po prostu żeby się uniezależnić i trochę rozerwać? Myślałaś kiedyś o tym? - Czułam się zawiedziona jej odpowiedzią. Musiała chcieć czegoś więcej niż tylko czekać.

- Nie, Qanta, ja nie mam takich pragnień jak ty, żeby mieszkać sama, mieć własne mieszkanie czy być niezależna finansowo. Nigdy nie chciałam tego co ty. Ja uwielbiam spędzać czas z moją rodziną. *Al-hamdu li-(A)llah*, świetnie się czuję w domu ojca. Widzisz, mam tutaj swój apartament. Nie zniosłabym takiej rozłąki i mieszkania tysiące kilometrów od nich, tak jak ty od swoich rodziców. Czułabym się potwornie samotna. Najzwyczajniej w świecie nie mam takiej potrzeby, żeby mieszkać z dala od rodziny, i nigdy nie będę miała.

Wpatrywałam się w Zubajdę i zastanawiałam, jak to możliwe, że jest tak inna, że zatarło się jej pragnienie niezależności, które chyba tli się głęboko w duszy każdej kobiety.

Stopniowo docierało do mnie, że ona nigdy nie miała potrzeby buntu. Akceptowała styl życia oraz oczekiwania rodziny i w pełni przyjęła je za własne. W przeciwieństwie do mnie nie czuła się rozdarta z powodu tych kulturowych oczekiwań; one ją wręcz chroniły. Nie musiała się buntować i pokonywać ograniczeń, ponieważ nawet ich nie dostrzegała; wśród tych konwenansów było jej wygodnie. W tym tkwiła różnica między nami: w mojej rodzinie byłam pewnym dziwadłem, w kulturze - wyrzutkiem. Ona w swojej spotykała się z akceptacją; była konformistką i dzięki temu mogła czuć się spełniona.

Chociaż bez wątpienia kultury Azji Środkowej i Arabii Saudyjskiej były do siebie podobne, jeśli wziąć pod uwagę pogoń za małżeństwem (które było aranżowane i często endogamiczne), to jednak podejście Zubajdy do tej kultury diametralnie różniło się od mojego. To, co mnie się nie podobało, jej sprawiało przyjemność. To, przeciwko czemu ja się buntowałam, ona przyjmowała z otwartymi ramionami. Czego ja się obawiałam, tego ona pragnęła. Spojrzałam na nią; była pochłonięta myślami, mieszając piankę w kremowym cappuccino, a przymknięte powieki z długimi rzęsami rzucały wyraźny cień w kształcie półksiężyca na jej porcelanowe policzki. Wyglądała na zadowoloną, a nie przygnębioną. Była cierpliwa, a nie zdesperowana. Zostanie żoną tylko wtedy, gdy Allah będzie tego chciał, i jest gotowa na to poczekać. Niewiele więcej potrzeba jej do szczęścia.

Wesele Nadidży skłoniło mnie do tego, by głębiej zastanowić się nad marzeniami, jakie miały moje saudyjskie koleżanki. Było kilka kobiet, o których chciałam dowiedzieć się czegoś więcej; może one też są zdesperowanymi gospodyniami domowymi? Tyle jeszcze musiałam nauczyć się na temat psychiki saudyjskich kobiet. Choć poznawałam ją coraz lepiej, czułam, że wciąż jest mi jednocześnie po części znajoma, a po części obca.

Postanowiłam porozmawiać z saudyjską sobowtórką Jackie Onassis, jak lubiałam w myślach nazywać Ghadę. Interesowało mnie, czy jej życie jako żony chirurga i matki dwóch córek jest romantyczną bajką, jak się wydawało z zewnątrz. Jednocześnie postanowiłam wymienić wrażenia z Rim, która, podobnie jak ja, wciąż była singielką tuż po trzydziestce i utalentowaną panią chirurg, zdecydowaną, by w Kanadzie zrobić podspecjalizację z chirurgii naczyniowej. Chciałam dowiedzieć się więcej na temat saudyjskich kobiet, niezależnie od tego, czy już były zdesperowanymi gospodyniami domowymi, czy były zdesperowane, by się nimi stać.

ROZDZIAŁ 33

Jak zostać saudyjską panią chirurg

Rim była powszechnie znana na oddziale. Uwielbiana przez pielęgniarki, szanowana przez kolegów, zarówno Saudyjczyków, jak i tych z Zachodu, oraz przez odzianych w sandały saudyjskich chirurgów (wielu z nich było członkami Gwardii Narodowej Arabii Saudyjskiej), których uczyła jako starsza rezydentka na chirurgii. Podczas obchodów dreptali za nią niczym kurczęta za kwoką. Czekali w nabożnym skupieniu, aż się wypowie i uchyli im rąbka swojej wiedzy. Spijali z jej ust każde słowo, skrupulatnie robiąc notatki z tego, co mówiła, czy to na sali operacyjnej, czy poza nią. Dopełniała wszystkich obowiązków, nigdy nie uchybiając muzułmańskim wartościom.

W Szpitalu Gwardii Narodowej wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić do tego, że biegała od pacjenta do pacjenta późną nocą lub tuż przed świtem. Nigdy nie pokazywała włosów, nawet przez przypadek. Jej chusta zawsze była spięta agrafkami, a końce zatknięte za dekolt w serek zielonego fartucha chirurgicznego, na który wkładała biały fartuch lekarski zapięty pod samą szyję. Poruszała się swobodnie, jakby przestrzeganie zasad islamu nie stanowiło dla niej żadnego ograniczenia.

Zawsze kiedy ją widziałam, byłam przekonana, że jest jej okropnie gorąco, nawet w klimatyzowanych marmurowych salach i korytarzach OIOM-u, oddziałów chirurgicznych czy w sterylnych salach operacyjnych. Musiała pocić się z wysiłku, gdy podłączała pacjentom kroplówki, starannie zakładała szwy czy oczyszczała ropiejącą ranę; mimo to robiła wszystko z gracją, cierpliwością i widać było, że sprawia jej to przyjemność. Czasem wyłaniała się z sali operacyjnej poplamiona krwią, lecz zawsze miała starannie zapięty fartuch i zakryte włosy. Rim była nie tylko wzorem aktywnej zawodowo muzułmanki, ale także modelową saudyjską panią chirurg.

Nawet w sytuacjach krytycznych albo kiedy ktoś ją prowokował, nie podnosiła głosu i nie okazywała niezadowolenia. A gdy uspokajała pełnych lęku członków rodziny pacjenta, czekających na wynik operacji, jej głos brzmiał ciepło. Od jakiegoś czasu miałam okazję ją

widywać, kiedy pojawiała się na OIOM-ie, żeby przekazać zalecenia dla moich pacjentów. Poruszała się szybko i cicho, czasem obdarzając mnie miłym uśmiechem.

Rim była dla mnie zagadką. Czułam się skrępowana jej nienagannym zachowaniem, które w pewien sposób uwydatniało niedostatki mojego. Podczas kiedy ja wpadałam w złość kilka razy dziennie, nie radząc sobie z dyplomatycznym rozwiązywaniem konfliktów, ona znakomicie nad sobą panowała. Moja wybuchowość w porównaniu z jej niezwykłym spokojem powodowała, że byłam zakłopotana; wstydziłam się, więc nie próbowałam bliżej jej poznać. W jaki sposób Rim udawało się tak gładko sunąć naprzód, kiedy ja nieustannie się potykałam? Chciałam się czegoś więcej o niej dowiedzieć.

Idealny muzułmanin powinien panować nad swoimi działaniami, ciałem, językiem, a wreszcie duszą. Wraz z wiekiem i doświadczeniem muzułmanie zdobywają coraz głębszą wiedzę i lepiej rozumieją swoją wiarę. Ich celem jest dorównanie prorokowi Muhammadowi (PzN) i zbliżenie się do Boga dzięki doskonaleniu charakteru i pełnym empatii czynom. Muzułmanie starają się być współczujący, tolerancyjni i wytrwali. Wydawało mi się, że Rim, w wieku trzydziestu jeden lat, już osiągnęła ten ideał. Ja zaś, z ciętymi ripostami rodem z Nowego Jorku, którymi raczyłam otoczenie przy najmniejszym rozdrażnieniu, byłam od niego dość daleko. Ja byłam zła, ona czysta. Na tle wiecznej krzątaniny i nerwowej atmosfery OIOM-u Rim była oazą spokoju, niezależnie od tego, czy musiała zająć się kilkoma pacjentami w stanie krytycznym jednocześnie, czy też rozwiązywać konflikty pomiędzy koterią lekarzy, którzy usiłowali narzucać pozostałym swoje pomysły. Zawsze umiała zachować anielską cierpliwość. Właśnie rozmyślałam nad tym kolejny raz, kiedy podeszła do mnie pewnym krokiem.

- Doktor Ahmed, jestem starszym rezydentem na chirurgii, Rim Dzumma. - Chyba nie zdawała sobie sprawy, że wiem, kim jest. - Chciałam pani powiedzieć, że wypisałam przeniesienie dla pacjenta z dziewiątego łóżka. Może zostać przetransportowany na oddział, kiedy tylko pani chce. - Spokojnie czekała na moją odpowiedź.

- Dziękuję, doktor Dzumma. - I bez zastanowienia zaczęłam wyrzucać z siebie potok słów. - Od rana prosiłam o to przeniesienie. Nie do wiary, że zajęło to tyle czasu. Do czego to podobne! - Zauważyłam, że ze spokojem przyjmuje moją irytację, i to w pewien sposób uspokajało. - Tak czy inaczej, bardzo miło z pani strony, że przyszła pani i to wypisała, ale

czy może mi pani powiedzieć, jak uniknąć takich opóźnień w przyszłości? Bez przerwy wydzwaniamy do nas z oddziału ratunkowego, chcą nam przysyłać nowe przypadki, a dopóki nie mam zlecenia, nie mogę przenieść pacjentów, żeby zrobić miejsce dla kolejnych. - Czułam, że to nie ma sensu: uskarżam się Rim na problem, który właśnie rozwiązała.

Niewzruszona odparła:

- Jest mi niezmiernie przykro, że rezydenci kazali pani czekać. Zajmę się tym osobiście; a na przyszłość - proszę dzwonić od razu do mnie. Chętnie pomogę.

Zupełnie mnie rozbroiła. Zaoferowała pomoc w stopniu znacznie wykraczającym poza jej obowiązki i nie wyglądała na rozdrażnioną moim narzekaniem. Gdy się odwróciła, żeby wyjść z OIOM-u, dotknęłam jej ramienia.

- Rim, bardzo chętnie spotkałabym się z panią poza pracą. Czy mogę dać pani telefon do siebie?

Nawet nie próbowała pohamować szerokiego uśmiechu, który pojawił się na jej twarzy. Ukazała w nim drobne równe zęby. Radość przelotnie rozświetliła tę twarz o pospolitej urodzie, zwykle wyglądającą smutno. Kiedy potwierdziła, że chętnie się ze mną spotka, wyczułam w jej głosie poruszenie; po raz pierwszy spontanicznie okazała emocje. Z radosnym błyskiem w oku zapisała na świstku papieru swój numer. Już wtedy wiedziałam, że właśnie rozpoczyna się przyjaźń, która przetrwa nawet po moim wyjeździe z Królestwa.

Spotkałyśmy się kilka tygodni później. Wieczór spędziłyśmy na oglądaniu wystaw sklepowych, po czym usiadłyśmy w kawiarni, którą, jak się okazało, obydwie lubiłyśmy.

- Powiedz mi, Rim, czemu zdecydowałaś się na chirurgię? W jaki sposób kobieta, i to saudyjska kobieta, może zostać chirurgiem w Królestwie? Jakie masz plany po ukończeniu rezydentury?

Rim zamieszała patyczkiem z kandyzowanym cukrem w swojej spienionej café latte. Siedziałyśmy w kawiarni Dżawad przy ulicy At-Tahlja, w jednym z moich ulubionych miejsc w Rijadzie. Znalazłyśmy spokojne miejsce w oddzielonej parawanem części dla

kobiet. Rim zdjęła chustę, dzięki czemu miałam okazję zobaczyć jej lśniąco, gęsto czarne włosy. Loki zmieniły ascetyczną panią chirurg w niezwykle atrakcyjną kobietę. Zastanawiałam się, czy zdaje sobie sprawę z własnej urody. Choć nigdy się nie malowała i nie regulowała brwi, wyglądała bardzo ładnie. Pospolite rysy twarzy dodawały jej tylko uroku.

- Widzisz, Qanta, wywodzę się z bardzo wykształconej rodziny. Mój ojciec jest profesorem ekonomii, wykłada na uniwersytecie w Dżuddzie. Zawsze zależało mu na tym, żebym odebrała porządne wykształcenie, i razem doszliśmy do wniosku, że medycyna będzie dobrym i szlachetnym wyborem. *Al-hamdu li-(A)llah*, dostałam się na Akademię Medyczną Króla Abd al-Aziza w Rijadzie i udało mi się uzyskać stypendium Gwardii Narodowej, które pokryło koszt rezydentury na chirurgii. Wtedy właśnie przeniosłam się do naszego szpitala. Jestem tu już od czterech lat, to mój ostatni rok.

- I co planujesz dalej, Rim?

W odpowiedzi radośnie parsknęła. Zaskoczyło mnie, że śmiała się tak głośno. Wyglądało na to, że czuła się teraz zupełnie swobodnie.

- Och, Qanta, chciałabym zostać chirurgiem naczyniowym! To moja pasja. Nie masz pojęcia, jak lubię pracować nad przywracaniem krążenia, widzieć, jak krew zaczyna znowu płynąć. To sprawia mi największą radość. Moim marzeniem jest rozpoczęcie praktyki w dziedzinie chirurgii naczyniowej. Pracuję nad tym.

Byłam pod wrażeniem. Chirurgia naczyniowa to jedna z najbardziej niewdzięcznych, wyczerpujących psychicznie i fizycznie podspecjalizacji. Trzeba mieć anielską cierpliwość, żeby być dobrym chirurgiem naczyniowym, żeby zajmować się rekonstruowaniem naczyń krwionośnych i wszczepianiem bypassów, by później widzieć, jak wszystkie te wysiłki niweczy uzależnienie od nikotyny czy bezlitosna cukrzyca. Same operacje są niezmiernie długim, wyczerpującym i upokarzającym treningiem chirurgicznego hartu ducha. Rim dokonała niezwykle interesującego wyboru. Wydawał mi się wprawdzie wyborem cierpiętnicy, ale może jednak był właściwy, jeśli wziąć pod uwagę jej usposobienie, wytrzymałość i empatię.

- Tutaj zamierzasz robić podspecjalizację, Rim? Nie miałam pojęcia, że w Rijadzie

jest program z zakresu chirurgii naczyniowej.

- No nie, Qanta, na razie nie ma tu takiej podspecjalizacji, ale *in sha Allah* niedługo będzie. Mój mentor, doktor Saud at-Turki, namawia mnie, żebym starała się dostać na podspecjalizację z chirurgii naczyniowej na uniwersytecie w Toronto.

Spontanicznie jej przerwałam:

- Toronto, Rim? To fantastyczna wiadomość! Musisz tam jechać! Koniecznie!

Uśmiechnęła się z nieskrywaną radością, była tak podekscytowana, że rozlała trochę kawy.

- Doktor At-Turki jest niesamowity. To fantastyczny mentor. Ogromnie mnie motywuje. Traktuje mnie i inne rezydentki z ogromnym szacunkiem. Jest prawdziwym saudyjskim dżentelmenem i naprawdę wierzy, że kobiety zasługują na najlepsze wykształcenie. Umożliwia mi publikowanie i wygłaszanie referatów, pomógł mi też przygotować pierwsze studium przypadku, jakie robiłam na drugim roku rezydentury. Zachęcał nawet moich rodziców, żeby pomyśleli o wysłaniu mnie do Toronto. Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego profesora. - W jej głosie wyczuwało się szacunek i sympatię dla człowieka, który faktycznie wydawał się idealnym mentorem.

- A nie jesteś czasem pod jego wpływem? To znaczy, skoro on jest takim pełnym zrozumienia, szarmanckim i inteligentnym muzułmaninem, może dlatego chcesz specjalizować się w chirurgii naczyniowej? Żeby choć trochę stać się taka jak on?

Rim najwyraźniej zastanawiała się nad odpowiedzią.

Z własnego doświadczenia wiedziałam, że relacja między profesorem a studentem może stać się odurzającą mieszanką opieki z jednej strony, idealizowania z drugiej, a jeśli przynosi satysfakcję, także głębokiej, trwałej miłości. Może to przytrafiło się także Rim.

- To prawdopodobne, Qanta. - Przechyliła głowę. - Bardzo bym chciała, żeby mi się udało. Bez wątplenia ta specjalizacja tak mnie kusi, ponieważ to właśnie on traktował mnie

z szacunkiem i zrozumieniem. Inni robili, co mogli, ale często miałam poczucie, że ich zdaniem nie powinnam przebywać na sali operacyjnej z tyloma mężczyznami. Doktor At-Turki traktował mnie po prostu jak chirurga. W ogóle nie miało dla niego znaczenia, czy jestem kobietą, czy mężczyzną. Łączył nas wspólny cel: przeprowadzić operację najlepiej jak się da. Stąd chyba naturalnie zaczęłam skłaniać się ku temu, żeby go naśladować. - Przerwała i upiła łyk kawy. - Tak, Qanta, to możliwe, że wybrałam specjalizację pod jego wpływem. Chyba muszę przyznać ci rację. - Zamilkła i zamyśliła się głęboko.

Przyznaję, że zaskoczyła mnie jej doskonała znajomość angielskiego. Podobnie jak większość moich saudyjskich kolegów, choć uczęszczała do szkoły w Królestwie, władała wzorową angielszczyzną. Posługiwała się też biegle potocznym arabskim, znała terminologię medyczną zarówno po arabsku, jak i po angielsku, a język ojczysty opanowała tak dobrze, że rozumiała wyszukany klasyczny arabski, którym spisany był Koran. Wkrótce przekonałam się, że Rim to także skarbnica wiedzy z zakresu prawa muzułmańskiego. Gdy chciałam się dowiedzieć, co islam mówi o rozwodzie, dziedziczeniu czy też zasadach obowiązujących podczas postu w ramadanie, Rim umiała odpowiedzieć na wszystkie pytania. Jej wiedza znacznie wykraczała poza zagadnienia medyczne. Zapytałam nawet, skąd u niej tak niezwykła znajomość islamu.

- Widzisz, Qanta, w Dżuddzie chodziłam do państwowej szkoły. Lekcje islamu były obowiązkowe. Przez pięć lat mieliśmy zajęcia z wielu dyscyplin: studiowaliśmy Koran, historię islamu, prawo muzułmańskie, życie Proroka, teologię muzułmańską. Każde dziecko, które uczęszcza do szkoły w Królestwie, bierze udział w takich lekcjach. A ponieważ mój ojciec jest niezwykle uczonym człowiekiem, wszelkie wątpliwości zawsze mogłam z nim wyjaśnić. Moja mama również ma dużą wiedzę, choć nigdy nie pracowała poza domem. Oboje lubią poezję i interesują się historią islamu, a ojciec zna również perski, więc dużo czytaliśmy o kulturze perskiej. Tak jak reszta rodzeństwa, wychowałam się w Królestwie. To mój kraj, mój dom. W moim przekonaniu fakt, że zostanę chirurgiem naczyniowym - jako pierwsza kobieta w Królestwie - bardzo pomoże moim rodakom, Qanta. Są kobiety, które mają niedokrwienne owróżnienie nóg i nie leczą się, bo wszyscy lekarze, w tym chirurdzy, to mężczyźni. One mnie potrzebują. - Patrzyła z powagą, jakby chcąc się upewnić, czy rozumiem jej zaangażowanie.

Wielokrotnie słyszałam te szczerze zapewnienia o chęci modernizowania Królestwa,

czy to z ust wąsatych arystokratycznych saudyjskich naukowców, czy to z ust poważnych saudyjskich lekarek. Wszyscy przepelnieni byli autentyczną troską o swój kraj. Nie miałam wątpliwości, że lekarze tacy jak Rim, At-Turki czy Mu'ajjad chcieli, by przeciętny Saudyjczyk miał lepszy dostęp do opieki medycznej. Uderzył mnie altruizm Rim i szukałam podobnej cechy w sobie. Nie pamiętam, kiedy idealizm, który kazał mi nieść pomoc potrzebującym, zastąpiło niezaspokojone pragnienie sukcesu. Na swojej drodze bez wątpienia utraciłam to, co Rim i całej rzeszy innych saudyjskich lekarzy, pionierów, których miałam okazję poznać, najwyraźniej udało się ocalić.

Dokonując pewnych wyborów i działając w służbie publicznej, pracowali nie tylko na rzecz pacjentów, którzy znajdowali się pod ich opieką, lecz także na rzecz społeczeństwa. Wiedzieli, że to, co postanowili robić w życiu, i sposób, w jaki wykorzystywali swoje umiejętności oraz przywileje, prowadzi do tego, że w ich kraju powoli dokonuje się postęp. Tak jak wielki tankowiec zmienia kierunek, tak ich ledwo dostrzegalne wysiłki pomagały sterować kolosalnym Królestwem w stronę nowoczesności. Rim, podobnie jak wielu innych Saudyjczyków, których miałam okazję poznać, była upartą idealistką; chciała tak pokierować swoją karierą, żeby odpowiedzieć na powołanie. Podobnie jak jej saudyjscy koledzy, miała odpowiednie kwalifikacje i siłę przebiccia, żeby osiągnąć sukces poza granicami Królestwa, ale pragnęła wykorzystać zdobytą wiedzę we własnej ojczyźnie.

Kończyłyśmy kawę, która zdążyła już wystygnąć. Przez okno widziałyśmy rzęsiście oświetloną ulicę At-Tahlija, pełną luksusowych sklepów, w których można było kupić drogie daktyle, wysokiej jakości kulinaria, a także wszechobecną ekskluzywną biżuterię. Zauważyłyśmy, że pojawił się kierowca i czekał, żeby odwieźć nas do domu. Rim, tak jak ja, będąc niezamężną pracownicą szpitala, mieszkała w identycznym apartamencie w kompleksie; wołała przebywać w nim, niż w roli wiecznego gościa w małżeńskim domu siostry, który także znajdował się w Rijadzie. Rodzina miała do Rim zaufanie, dlatego pozwalała na tak niezwykłą niezależność.

W bardzo wielu aspektach Rim myślała, działała i żyła podobnie jak ja. Poznałam w Królestwie bardzo wyzwolone, niezależne i silne kobiety, prawdziwe intelektualistki. Tego wieczoru zdałam sobie sprawę, że większość tych niezwykłych kobiet osiągnęła taką pozycję dzięki postępowym ojcom i opiekuńczym mentorom. To dzięki mężczyznom ze swojego otoczenia i ich niezłomnemu wsparciu Saudyjki były w stanie korzystać z nadarzających się

możliwości. W końcu dostrzegłam skomplikowaną sieć współpracy między obu płciami, sprzeczną ze skostniałymi naukami sponsorowanego przez państwo wahhabickiego kleru, który chciał, by kobiety nie miały głosu, były niewidzialne i bierne w życiu społecznym.

Po miesiącach doświadczania męskiej dominacji zaczynałam odkrywać, że najbardziej zagorzałymi zwolennikami i działaczami na rzecz emancypacji kobiet byli właśnie oświeceni mężczyźni: ojcowie, mężowie czy też mentorzy. Saudyjscy mężczyźni reprezentowali więcej, niż początkowo mi się wydawało, i Rim, nic nie ujmując jej determinacji i dążeniu do samorozwoju, została przez nich ukształtowana. Nieco cieplejszym uczuciem zaczęłam darzyć saudyjskich mężczyzn. Zdecydowanie ich nie doceniałam. Rim natomiast, jak się okazało, wciąż była zagadką. Tydzień później zadzwoniła do mnie wieczorem, żeby pogadać.

- Qanta! Mam nowinę! - Jej głos drżał z podniecenia.

- Co takiego? - zapytałam półprzytomna; telefon wyrwał mnie z drzemki. Ręką namacałam okulary, które kilka godzin wcześniej odłożyłam zmorzona snem.

Rim trajkotała tak szybko, że zajęło mi chwilę, żeby zrozumieć, o co jej chodzi.

- Przyjęli mnie! Uniwersytet w Toronto! Dostałam miejsce na podspecjalizacji! Wciąż nie mogę w to uwierzyć, Qanta! Będę chirurgiem naczyniowym!

- Gratuluję, Rim! Kiedy się dowiedziałas? *Ma sha Allah*, wspaniale! Będziesz pierwszą panią chirurg naczyniową w Królestwie! Jestem z ciebie taka dumna! Zaslugujesz na to. A przede wszystkim, mów szybko, jak zareagował doktor At-Turki, kiedy mu o tym powiedziałaś?

- Och, Qanta, to on mi o tym powiedział! Był zachwycony. Zadzwonił do mnie do domu, a potem z gratulacjami do moich rodziców. Dowiedział się od dyrektora programu w Toronto, że się dostałam. Jestem tak podekscytowana; nie masz pojęcia! Moje marzenia się spełniły! Ciągle nie mogę w to uwierzyć! - Wybuchnęła tak radosnym śmiechem, że nie mogłam się powstrzymać, żeby jej nie wtórować. Śmiałyśmy się tak obie przez chwilę, ściskając słuchawki w dłoniach.

Wciąż z telefonem przy uchu założyłam kaptcie i poszłam otworzyć okno. Dzień był wyjątkowo gorący. Minie dużo czasu, zanim mieszkanie choć trochę się przewietrzy. Rim trajkotała dalej, nie milknąc nawet, żeby złapać oddech. Słuchając jej, nalałam sobie wody. Na zewnątrz azan wzywał na modlitwę *al-maghrīb*. W powietrze poderwało się stado gołębi spłoszonych przez wałęsającego się kota.

- Kiedy jedziesz, Rim? - zapytałam, myśląc już o tym, jak bardzo będzie mi brakowało serdecznej koleżanki i współpracowniczki. W ciągu minionych miesięcy rozwiązałyśmy razem tyle problemów medycznych. Zdążyłam się już zorientować, że Rim jest wspaniałą lekarką; często pomagała mi w trudnych przypadkach naszych wspólnych pacjentów.

- Widzisz, Qanta, program zaczyna się w lipcu, jak wszystkie tamtejsze programy.

Wiedziałam o tym, ale i tak chciałam usłyszeć, jakie Rim miała plany.

- Muszę jednak najpierw uzyskać zgodę ojca. Wiesz przecież, że nie mogę wyjechać bez jego zgody, a to będzie trudne dla całej rodziny... - Zamilkła.

Wyczułam w jej głosie pierwsze oznaki niepewności.

- Ale, Rim... - Złapałam się na tym, że bronię jej przed niewypowiedzianymi jeszcze kontrargumentami. - Przecież w Rijadzie mieszkasz osobno już tyle lat. Jesteś sama. Wiedzą, jak poważnie traktujesz karierę. Oczywiście na początku będzie ciężko. Będziesz tęsknić za domem, do tego te okropne zimy w Kanadzie. Ale wierzę, że i ty, i oni dacie sobie radę. Jestem pewna, że tak będzie, a dwa lata zlecą tak szybko, że nawet nie zauważysz, że wyjechałaś, a już będziesz wracać! - Skończyłam w tryumfalnym tonie. Nad czym tu się w ogóle zastanawiać? Rim musi jechać, nie ma dyskusji.

Odpowiedziała powoli, ważąc każde słowo:

- Qanta, mój ojciec jest bardzo konserwatywnym człowiekiem.

- Ale mówiłaś też, że jest wykształcony, że jest profesorem - przerwałam, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- Owszem, Qanta, jest wykształcony, ale w dalszym ciągu bardzo martwi się o mnie, swoją jedyną niezamężną córkę. Nie zgodził się, żebym pojechała na konferencję do Marsylii podczas Europejskiego Szkolenia Chirurgicznego w zeszłym roku. Tutaj, w Królestwie, niezamężna kobieta musi mieć zgodę męskiego opiekuna na wyjazdy zagraniczne, czy to na spotkania, czy na studia. Ojciec mi jej nie dał.

- Ale dlaczego, Rim? Przecież chodziłabyś jedynie na wykłady i uczestniczyła w ćwiczeniach z anastomozy. Co z tego, że robiłabyś to w pięknej Marsylii? - Czułam, że moje wzburzenie narasta.

- Dla niego to trudne, Qanta. Saudyjskie społeczeństwo, nawet w stosunkowo liberalnej Dżuddzie, jest wciąż bardzo konserwatywne. Gdyby ludzie widzieli, że jest zbyt liberalny wobec córki, mogłaby ucierpieć na tym moja reputacja.

- Przecież to bzdura, Rim. Jesteś najbardziej honorową kobietą, jaką znam. Nigdy nie zawiodłabyś ich zaufania, a jesteś już wystarczająco dorosła, by iść własną drogą. Allah wie, jakie są twoje prawdziwe intencje. Powiedz ojcu, żeby przestał się martwić i zaufał swojej córce, którą tak dobrze wychował. - Po chwili dodałam: - Poważnie, Rim, przecież to absurd. - Nie mogłam powstrzymać się przed wyrażaniem złości. Jej słowa przywodziły mi na myśl kobiety z mojej rodziny, wychowane w zamknięciu pakistańskiej kultury na obczyźnie. Nie mieściło mi się w głowie, że to, co słyszę, słyszę z ust młodej pani chirurg.

- Tak więc - Rim ostrożnie ważyła słowa, ponieważ wyczuła moje obawy co do jej ostatecznej decyzji - mam świadomość, że jeśli naprawdę chcę skorzystać z tej możliwości, mogę to zrobić jedynie jako kobieta zamężna lub zaręczona. Bez tego nie będę mogła wyjechać.

Zamurowało mnie.

- Ojciec napomknął o tym, kiedy składałam dokumenty. Nie próbował mnie powstrzymywać, daleki był od tego, ale nie pozostawił złudzeń, że nie pozwoli mi wyjechać, jeśli nie będę po słowie.

Czyli wszystko jasne. Rim nie wyjedzie, dopóki nie wyjdzie za mąż lub się nie zaręczy. Byłam wstrząśnięta. Rim nigdy nie wyrażała pragnienia wyjścia za mąż. Wydawało mi się, że podobnie jak ja najpierw zadba o karierę, a dopiero potem pomyśli o tych sprawach. Wyglądało jednak, że nie może sobie na to pozwolić. Warunkiem kariery był ślub, czy tego chciała, czy nie. To nie był scenariusz zdesperowanej gospodyni domowej, lecz zdesperowanej pani chirurg, która mogła zdobyć kwalifikacje jedynie dzięki małżeństwu, a nie pomimo albo bez niego.

- A co na to twoja matka? Chyba nie popiera pomysłu, żeby zmuszać cię do małżeństwa tylko po to, żebyś mogła dalej studiować? Nie uwierzę, że jest inaczej.

- Moja matka się nie wypowiada. To jest sprawa, która należy do ojca; ona tylko bardzo się martwi, że będę samotna w Toronto. Myślę, że raczej wolałaby, żebym miała narzeczonego. Pewniej by się czuła.

- A więc zgodziłaś się, Rim? Czy właśnie chcesz mi powiedzieć, że zgodziłaś się wyjść za mąż, żeby wyjechać na podspecjalizację? - W moim głosie brzmiała nieskrywana złość.

Nie mieściło mi się w głowie, żeby tak inteligentna kobieta mogła być jednocześnie głupia i słaba. Dlaczego nie przeciwstawi się rodzinie jak ja? Dlaczego kobiety są tak tchórzliwe? I dlaczego nasze matki zawsze milczą? Gdzie się podziało matczyne oburzenie? Po drzeniu własnego głosu zorientowałam się, że chodzi mi o coś więcej niż tylko o Rim. Myślałam także o tym wszystkim, co musiałam w życiu wywalczyć, wciąż z determinacją odsuwając widmo zaaranżowanego małżeństwa.

- Oczywiście, że się zgodziłam. Nie mam wyjścia, Qanta. Jeśli się nie zgodzę, mój ojciec nie zatwierdzi podania o wizę wyjazdową i nie będę mogła wyjechać do Kanady. Od lat marzę o tym, żeby studiować chirurgię naczyniową, i nie zamierzam stracić okazji przez własny upór. Jeśli muszę wyjść za mąż, wyjdę za mąż. Nie widzę problemu. - Najwyraźniej była pewna tego, co mówi.

- Znaleźli już kogoś dla ciebie? - spytałam zakłopotana.

- Tak, Qanta. To Sultan, Saudyjczyk z Dżuddy. Pracuje w IT. Najstarszy syn, ma na utrzymaniu emerytowanych rodziców. Spotkaliśmy się w zeszły weekend w domu moich rodziców. Naprawdę go polubiłam, Qanta.

Ta ostatnia uwaga mnie zaszokowała. Rim planowała małżeństwo z nieznajomym, którego dopiero co poznała, i w dodatku była podekscytowana. A mnie się wydawało, że jest moim alter ego!

- Planujemy zaręczyny, Qanta! Nie mogę się doczekać, kiedy go poznasz!

- Czy Sultan będzie ci towarzyszył do Kanady po ceremonii ślubnej? - zapytałam kompletnie zbita z tropu.

Może w tym wszystkim chodzi o to, żeby mógł jej pilnować w Toronto. Jako mąż zamieszkałby z Rim, byłby jej opiekunem i chronił jej honoru przed wszystkimi zagrożeniami, jakich obawiała się jej rodzina i społeczność.

- Ach nie, Qanta, on zostanie w Dżuddzie, żeby pracować i odkładać pieniądze na ślub. Będziemy rozmawiać ze sobą przez telefon i Internet. Nie do wiary, ile godzin już teraz spędzamy na MSN Messengerze. Nie jestem pewna, ale chyba zakochuję się w Sultanie.

Nie miałam już nic więcej do powiedzenia. Z mojego punktu widzenia spokojna pani chirurg zatraciła się w szaleństwie, które często było udziałem muzułmanek pozbawionych kontaktu z płcią przeciwną, jeśli nie liczyć najbliższych krewnych. Już po kilku tygodniach wydawało im się, że to miłość. Bez zastanowienia decydowały się poświęcić życie nieznajomemu mężczyźnie. Było to tak obce wartościom, które przyswoiłam sobie na Zachodzie, wartościom, które zastąpiły zasady właściwe kulturze moich rodziców.

Jaką ochronę w mroźnym Toronto mógł zapewnić Rim jej narzeczony z Hidżazu podczas połączenia dial-up? Kogo w Toronto będzie obchodziło, czy rezydentka na chirurgii naczyniowej jest mężatką? Rim już wcześniej mówiła, że nie zamierza w Kanadzie przestać nosić chusty, trudno więc sobie wyobrazić, żeby była narażona na nadmierne zainteresowanie ze strony mężczyzn. Zasłona będzie wystarczającą ochroną, szczególnie w Kanadzie, gdzie w takich miastach jak Toronto jest duże uwrażliwienie na inne kultury. W jaki sposób

wirtualny narzeczony udobrucha mieszkańców Dżuddy i ochroni honor Rim? Miałam tysiące wątpliwości natury logicznej.

W głębi duszy znałam na nie odpowiedź. Wszystko sprowadzało się do odwiecznego wroga niezależności: tego, co ludzie pomyślą. Rodzina Rim, podobnie jak moja, bała się, co pomyślą inni, jeśli oni pozwolą samotnej córce wyjechać za granicę. Ten strach był ważniejszy niż wszystko inne, nawet niż to, że Rim jako jedyna z Królestwa dostała stypendium z chirurgii naczyniowej i że stanie się pierwszą w historii Saudyjką kształcąca się w tej dziedzinie. To nie było istotne. Dla saudyjskich córek, podobnie jak dla pakistańskich, istotne było jedynie to, co ludzie pomyślą.

Kilka tygodni później Rim się zaręczyła i zaczęła częściej niż do tej pory jeździć na weekendy do Dżuddy. Tam spotykała się z narzeczonym - w domu rodziców lub w jego domu, lecz zawsze w czyimś towarzystwie. Wiadomo było, że wkrótce się pobiorą, lecz najpierw Rim, już jako narzeczona, zacznie robić w Kanadzie podspecjalizację. Kilka tygodni przed planowanym na czerwiec wyjazdem Rim zaprosiła mnie na pożegnalne przyjęcie, które przygotowywały dla niej inne panie chirurg. Miało się odbyć w jej mieszkaniu w kompleksie. Niedawno wróciłam po kilku tygodniach pobytu poza Królestwem, więc ucieszyłam się na to spotkanie i na myśl, że będę mogła pożegnać Rim.

Kiedy zjawiłam się w jej mieszkaniu, otoczył mnie kłębiący się tłum saudyjskich kobiet. Wszystkie miały na sobie ładne codzienne ubrania, w większości długie spódnice i bluzki z długimi rękawami. Powietrze było ciężkie od zapachu perfum i lakieru do włosów. Wszystkie miały długie włosy, ale żadna, poza mną i Rim, nie miała kruczoczarnych. Większość przefarbowała je na rudo, co ładnie harmonizowało z ciepłą tonacją cery. Kobiety śmiały się, czasem wręcz pokładając się na krzesłach. Większość rozmów toczyła się po arabsku; pozostawiona sama sobie z zakłopotaniem obserwowałam przebieg spotkania.

W szklankach perlił się musujący sok jabłkowy znany w Królestwie jako „saudyjski szampan”. Rima, młodsza rezydentka na chirurgii i jedna z najbliższych przyjaciółek Rim, krzątała się, dekorując świeżymi listkami mięty wysokie kieliszki z sokiem. Inna koleżanka, Lejla, stażystka, wyjmowała z maszynki do robienia lodu kostki, które czasem wyslizgiwały się jej z rąk na marmurową posadzkę.

Obok mnie siedziała Mai, także młoda pani chirurg. Choć była w Szpitalu Gwardii Narodowej dopiero od roku, cieszyła się już opinią zabawowej dziewczyny, zdecydowanie lepiej czującej się w południowym Kensington niż w Arabii Saudyjskiej. Jej wybryki zeszłego lata w Europie zdążyły już wywołać niezłą burzę. Była zabawna.

Spojrzałam na Rim. W środku radosnego przyjęcia wyglądała na przygaszoną i jakby zakłopotaną z powodu zamieszania, jakie panowało wokół. Nie czuła się swobodnie wśród koleżanek z pracy, choć odnosiły się do niej ze szczerą serdecznością. Z talerzami pełnymi różnych pyszności zasiadłyśmy w kółku w jadalni. Mai śmiała się głośno z dowcipu, który właśnie opowiedziała. Reszta także pokładała się ze śmiechu.

Rozmawiałyśmy z Mai o klubie fitness, do którego obie lubiłyśmy chodzić, szukając wytchnienia od życia codziennego w Rijadzie. Wizyta w Al-Multace zawsze dobrze nam robiła. Klub był otwarty jedynie dla kobiet, mogłyśmy więc zrzucić abaje i przechodząc przez atria z matowego szkła, niespieszonym krokiem udać się do sal sportowych, do kawiarni na parterze, skorzystać z Internetu lub przejrzeć najnowsze żurnale z modą prosto z Paryża czy Londynu. Pomieszczenia były przestronne, zaaranżowane w stylu skandynawskim z lekką nutką przepychu rodem z Las Vegas.

Lubiłyśmy to miejsce przede wszystkim dlatego, że nie musiałyśmy się zakrywać; wszystkie zatrudnione osoby - sprzątaczkі, kelnerki, instruktorki - były kobietami. Kiedy jednak rozmawiałyśmy o naszym codziennym życiu, zdałam sobie sprawę, dlaczego tak naprawdę nigdy nie rozmawiałyśmy w klubie. Zazwyczaj kiedy przychodziłam, Mai schodziła właśnie zdyszana ze StairMastera albo rozciągała zmęczone mięśnie na macie do jogi, leżącej przed poręczami, krytycznym wzrokiem przyglądając się swoim ruchom w olbrzymim lustrze sięgającym od podłogi aż po sufit. Zarumienione z wysiłku, zazwyczaj rzucałyśmy sobie przelotne pozdrowienie i każda z nas szła w swoją stronę. Mai kończyła ćwiczenia, kiedy ja zaczynałam. Aż do dziś nie wiedziałam, że przyjaźni się z Rim.

- I jak ci się podobało w Londynie, Mai? Mówiłaś, że... - zachęcałam ją, żeby dokończyła. - Wspominałaś, że mieszkałaś w południowym Kensington?

- Tak, Qanta, albo w "saudyjskim Kensington", jak lubię go nazywać. Londyn jest cudowny. Restauracje, sklepy, kina, księgarnie; wszystko świetnie, gdyby nie to, że podobnie

jak w Genewie czy Marbelli, można tam spotkać pół Rijadu. Nawet Londyn potrafi być nieco duszny. - Zamilkła.

Ja tymczasem usiłowałam wymyślić jakąś dyplomatyczną odpowiedź. Mówiła tak szybko, że nie zdążyłam. Nie mogłyśmy znaleźć wspólnego rytmu rozmowy.

- Masz w Londynie dużo znajomych Saudyjczyków? - rzuciłam, czując, że pytanie jest tylko nieudolną próbą zatuszowania kłopotliwej przerwy w konwersacji.

- Trochę, ale przede wszystkim spędzałam czas z towarzystwem z Barts. Większość moich znajomych to Anglicy. Ale często spotykałam saudyjskie dziewczyny, raczej w wieku mojej starszej siostry niż moim.

- A co one robiły w Londynie, poza tym, że pewnie odreagowywały cały rok spędzony w zamknięciu w Rijadzie? - zapytałam z nadzieją, że Mai nie poczucie się urażona.

Teatralnie przewróciła oczyma.

- Wiem! - krzyknęła. - Nawet nic nie mów! Rijad doprowadza mnie do szału, a już zwłaszcza ta okropna zasłona! Nie jestem taka, jak wiele dziewczyn z mojego pokolenia, które potulnie godzą się na to szaleństwo. Jestem buntowniczką jak moja mama. - Odrzuciła głowę i wybuchnęła śmiechem, najwyraźniej dumna ze swojej przekory.

Lubiłam ją, miała ikrę.

- Wracając do twojego pytania, Qanta, wiele Saudyjek robi krótkie wypady do Londynu w celach medycznych.

Spojrzałam na nią uważnie. Nie żartowała.

- Masz na myśli chirurgię plastyczną? Czekaaj, niech zgadnę: powiększanie piersi? Operacje nosa? Liposukcja? Botoks?

- Jasne, Qanta, to też, chociaż mamy teraz w Rijadzie fantastycznych chirurgów,

którzy robią to na miejscu i na dodatek relatywnie taniej; można zaoszczędzić na locie do Londynu i pobycie w, powiedzmy, Dorchester. Nie, tu chodzi o coś zdecydowanie bardziej egzotycznego.

- A więc co to takiego, Mai? Co jest teraz na topie?

- A nie słyszałaś o rekonstrukcji błony dziewiczej? To jest ostatni krzyk mody. Tutejsze kobiety masowo wyjeżdżają, aby usunąć kłopotliwe usterki! - Rozejrzała się tryumfalnie; jej uśmiechnięta twarz świadczyła o ogromnej potrzebie zwracania na siebie uwagi.

Patrzyłam na nią w osłupieniu, zaczęła więc wyjaśniać:

- Qanta, w naszym społeczeństwie o honorze kobiety świadczy jej dziewictwo. Trzeba go strzec za wszelką cenę i zachować do zamążpójścia. W tej kwestii nie ma żadnej dyskusji.

Potwierdziłam skinieniem głowy; w mojej kulturze też tak jest. Mai mówiła dalej:

- W Arabii Saudyjskiej, jak wszędzie, są oczywiście dziewczyny gotowe zaryzykować, takie, które nie chcą się podporządkować. Może zostały uwiedzione, może padły ofiarą własnego pożądania. W końcu wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Nie jesteśmy idealni, nie jesteśmy z kamienia, mamy uczucia! - Rozejrzała się po twarzach zgromadzonych kobiet, czekając na reakcję.

Towarzystwo jednak odsunęło się od nas nieznacznie, najwyraźniej nie chcąc nawet słuchać o tak strasznych rzeczach. Mai nie zbiło to z tropu.

- Tak więc niektóre dziewczyny, nie tylko Saudyjki, ale też z innych krajów Zatoki, nie chcą pozwolić, by tak drobna kwestia, jak utrata dziewictwa, spowodowała na nie nieszczęście. W naszym społeczeństwie kobieta pozbawiona dziewictwa traci szansę na zamążpójście, jeśli oczywiście nie jest rozwódką - wtedy wszyscy wiedzą, że jest „z drugiej ręki” albo „przechodzona”. Dla nas, niezamężnych kobiet, wszystko jest uzależnione od błony dziewiczej. Jej budowa ma w naszym kraju znaczenie medyczno-prawne, Qanta. To bardzo poważna sprawa.

- Więc dokąd jadą te kobiety? Na czym to polega? - zapytałam z zainteresowaniem.

- Wiele operacji wykonywanych jest na Harley Street i w okolicznych ekskluzywnych klinikach londyńskich. To nie jest bardzo poważna operacja. Słyszałam, że rekonwalescencja trwa zaledwie kilka dni. Czasem usuwają problem za pomocą zaledwie kilku szwów. Z tego co wiem, teraz można to nawet robić za pomocą lasera^[88].

Zaczęłam wiercić się na krześle. Byłam zmieszana, próbując wyobrazić sobie sam zabieg, ale nie dawało mi spokoju również dość wulgarnie zachowanie Mai. Dla lekarza żaden temat nie stanowi tabu, ale otwartość i obojętność Mai, zwłaszcza w tak konserwatywnym społeczeństwie, sprawiały, że czułam się niezręcznie. Zastanawiałam się nawet, skąd zna wszystkie szczegóły, ale natychmiast odpędziłam od siebie nasuwające się przypuszczenia.

Mai ciągnęła nieubłaganie:

- Są przypadki, które wymagają bardziej kompleksowej rekonstrukcji. Niektóre kobiety mogą na przykład potrzebować biodegradowalnego implantu błony, który będzie udawał prawdziwą tak skutecznie, że nasi *habibi* nigdy niczego się nie domyślą. - Nie mogła zapanować nad śmiechem.

Byłam zdumiona. Przez wszystkie lata mojej praktyki lekarskiej nigdy nie spotkałam pacjentki, która przyznałaby się do rekonstrukcji błony dziewiczej. Byłam również oszołomiona tym, w jakim stopniu przywiązywano w Królestwie wagę do dziewictwa. Dla saudyjskich rodzin, podobnie jak w większości kultur muzułmańskich, czystość kobiety decydowała o honorze całej rodziny; było to dobro wysoko cenione. Jeśli kobieta straciła niewinność, czy za własnym przyzwoleniem, czy uległa przemocy, honor rodziny był nieodwołalnie splamiony. To straszliwy ciężar dla młodych kobiet; w obu przypadkach musiały szukać pomocy, uciekając się między innymi do opisywanych przez Mai ingerencji medycznych.

Rosnąca liczba takich operacji dokonywanych w innych krajach Zatoki jest dobrze udokumentowana i opisana w literaturze medycznej, włącznie z publikacjami w "The Lancet" i "British Medical Journal". Wiedziałam, że Mai nie wymyśliła sobie tego wszystkiego; sama

o tym czytałam. Przekonana, że jest to w Królestwie nielegalne, nie śmiałam nikogo pytać, nawet najlepszych znajomych z pracy. Po zaskakujących otwartością opowieściach Mai nigdy więcej nie słyszałam podobnych rozmów, ale przekaz był jasny. Kobiety desperacko usiłowały zachować pozory dziewictwa w atmosferze powszechnej podejrzliwości, w której oskarżenie mogło paść nawet, a może przede wszystkim, ze strony najbliższej rodziny. Doskonale zdawałam sobie sprawę z konsekwencji - rozwodu, jeśli po nocy poślubnej okazywało się, że panna młoda nie krwawiła po stosunku, co budziło natychmiast podejrzenia, że nie zachowała czystości do ślubu. Jedno słowo męża i na podstawie tej niepodważalnej opinii honor kobiety na zawsze był zbrukany.

Kobiety uczyły się jednak, jak brać odwet, i groziły swoim mężom, że wyjawią ich brak doświadczenia albo zrobią z nich wręcz impotentów. Groźba ta skłaniała niektórych mężczyzn do trwania w małżeństwie, w atmosferze ciągłej podejrzliwości i pretensji. W innych okolicznościach, gdyby udowodniono kobiecie, że nie była dziewicą w chwili zamążpójścia, ryzykowałyby nawet życie. Honorowe zabójstwo jest praktyką rozpowszechnioną wśród Pakistańczyków, Jordańczyków i w innych krajach muzułmańskich, ale podczas pobytu w Królestwie nigdy o tym nie słyszałam. Nie miałam jednak wątpliwości, że w zamkniętych społecznościach plemiennych zamach na honor rodziny mógł kosztować młodą kobietę życie.

W rezultacie kobiety, które było na to stać, wyjeżdżały z Królestwa (prawdopodobnie pod opieką męskiego krewnego), aby poddać się profesjonalnej rekonstrukcji błony dziewiczej w ramach przygotowań do ślubu. Wiele z nich udawało się w tym celu do Egiptu, inne wybierały kosztowny zachodni Londyn, o którym mówiła Mai. Statystyki pokazują, że wzrost liczby takich operacji w Egipcie wpływa na ograniczenie zabójstw honorowych dokonywanych w tym kraju, co utwierdza chirurgów w przekonaniu, że potajemnie dokonując rekonstrukcji, zapobiegają cierpieniu, a nawet mogą ocalić życie. Niektórzy chirurdzy są w stanie naprawić błonę i wprowadzić do pochwy kobiety kleisty czerwony żel, który po pęknięciu błony imituje krew. Taka metoda jest korzystna dla obojga partnerów, ponieważ zapewnia pożądaną dowód defloracji (nawet jeśli z medycznego punktu widzenia krwawienie niczego nie dowodzi). Zabieg ten pomaga również tym kobietom, które uprawiają sport i w młodości mogły naruszyć błonę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Kręciło mi się w głowie od rewelacji Mai na temat seksualnych praktyk w Królestwie.

Dołączyłam do kobiet, które znowu skręcały się ze śmiechu. W centrum uwagi znajdowała się Rim; wyglądało na to, że dobrze się bawi. Usiadłam koło niej na kanapie i zauważyłam, że Mai z ironicznym uśmiechem pozostała z boku. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że musi czuć się tu jeszcze bardziej obco niż ja. Coś powodowało, że trudno ją było tolerować. Była wyrzutkiem we własnym społeczeństwie.

Dałam spokój tym smutnym obserwacjom i zwróciłam się do Rim:

- Przetłumaczysz mi? Z czego się tak śmiejecie? Powiedz!

Musiała zaczerpnąć powietrza, żeby odpowiedzieć.

- Rany, Samira jest przekomiczna! - Wskazała jedną z kobiet, która najwyraźniej podzieliła się właśnie z resztą jakąś anegdotką i teraz płakała ze śmiechu.

W natłoku arabskich słów wylapałam znane mi imię: Sunajan. Był to niezwykle wysoki chirurg, którego widywałam czasami na OIOM-ie. Posępny facet, zupełnie nie w moim typie. Zawsze utrzymywałam dystans, może dlatego, że on zachowywał się z rezerwą, zwłaszcza jeśli porównało się jego zachowanie z zachowaniem wyluzowanego i przyjacielskiego Mu'ajjada, który był niesamowicie seksowny. O czym one rozmawiały?

- Samira mówi, że podoba jej się Sunajan. Wygląda na to, że wciąż jest kawalerem. Dopiero co wrócił z Kanady, Qanta - tłumaczyła Rim, nie przestając chichotać. - A więc Samira poważnie się w nim zadurzyła. Mówi, że kiedy razem operują, nie jest w stanie odpowiedzieć na żadne jego pytanie, więc czuje się jak kompletna idiotka, ale ma nadzieję, że jak patrzy na niego z twarzą przysłoniętą maseczką chirurgiczną, jej oczy wydają się większe. - I Rim znowu zachichotała.

Spojrzałam na Samirę; zarumieniała się. Zdradziła się ze swoim niewinnym uczuciem przed otaczającymi ją kobietami, z których większość była wciąż niezamężna, choć wszystkie miały już koło trzydziestki. Podobnie jak ja na pierwszym miejscu postawiły karierę. Nie licząc Qudsji, która wydawała się trochę starsza, Rim jako pierwsza spośród nas miała wziąć ślub.

- Mówi, że za każdym razem, kiedy widzi Sunajana, traci wątek. - Rim przerwała, znowu wpadając w głupawkę, która ogarnęła wszystkie kobiety.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Dopytując o szczegóły zadurzenia Samiry, zachowywały się jak nastolatki. Nagle poczułam się tak, jakbym była na imprezie z szesnastolatkami, a nie na pożegnalnym przyjęciu pani chirurg.

Kobiety śmiały się kokieteryjnie i infantylnie. Atmosfera była jednocześnie niewinna i przygnębiająca. Pozbawione bliższego kontaktu z płcią przeciwną popadały w skrajnie różne stany - od rozhisteryzowanej swobody seksualnej grożącej utratą honoru do infantylnych dziewczęcych fantazji, które nigdy nie przerodzą się w autentyczny związek. Uświadomiłam sobie, że zapominam o własnych fantazjach na temat Imada. I mnie się udzieliła ta nienaturalna atmosfera Rijadu, choć wydawało mi się, że jestem przesiąknięta kulturą Zachodu.

Siedziałam cicho. Rozmyślałam o błonie dziewiczej i hysterii. Otaczające mnie kobiety bez przerwy trajkotały po arabsku, więc wkrótce powróciłam do swojej zwykłej roli milczącej obserwatorki. Jedyne Mai zauważyła moją konsternację. Zastanawiałam się, jak Rim będzie sobie radziła w Toronto. Czy sprosta wymaganiom, jakie jej kultura stawia kobietom? Po raz kolejny słysząc rechoty na temat chudego chirurga, cicho przeprosiłam i opuściłam pokój.

^[88] Peter Kandela, *Egypt's Trade in Hymen Repair*, „The Lancet”, t. 347, nr 9015, 1996, s. 1615 oraz Sara Paterson-Brown, *Commentary: Education about the Hymen is Needed*. „British Medical Journal”, t. 316:1998, s. 461.

ROZDZIAŁ 34

Gorąca mamuśka

Kołysząc jedną z córek na szczupłym biodrze, Ghada roztrzepywała dla mnie jajka na śniadanie. Poczułam, że ktoś o mnie dba, i zdałam sobie sprawę, że już od bardzo dawna mi tego brakowało. Zaprosiła mnie na brunch do swojej willi przylegającej do budynku, w którym mieściło się moje mieszkanie. Po dyżurze na OIOM-ie czułam się wykończona. Przebywanie u niej w kuchni działało na mnie kojąco. Byłam zadowolona, że jednak przyszedłam. Szybko zapomniałam, że chciało mi się spać.

- Przygotuję dla ciebie coś pożywne, Qanta. Chyba schudłaś. Sama rozumiesz, że jako dietetyczka lubię, by moi goście dobrze zjedli! - Ghada zachichotała, podając jednocześnie dziecko filipińskiej niani, i zajęła się siekaniem dymki i pomidorów, które miała dodać do omleta. Z każdą minutą stawałam się coraz bardziej głodna.

Chociaż Ghada była o kilka lat ode mnie młodsza, wyraźnie spełniała się jako doskonała matka. Mężatka od ponad dekady; wyszła za mąż w wieku dziewiętnastu lat, już miała dwie małe córeczki, a teraz była w ciąży z trzecim dzieckiem.

Zjawiskowo piękna, była niczym sobowtór Jackie Onassis, z tak samo szeroko rozstawionymi urzekającymi oczyma i długimi, wygiętymi w łuk brwiami, których zazdrościła jej każda kobieta, która ją знаła. Miała prosto przycięte włosy sięgające do ramion. Tunika od Pucciego z dekoltem w łódkę przykrywała jej powiększający się brzuch. Przyglądałam się Ghadzie, gdy rozgrzewała patelnię i roztopiała na niej masło. Wygodne sprane dżinsy idealnie podkreślały długie, ładnie umięśnione nogi, smukłe nawet mimo zaawansowanej ciąży. Na stopach miała pantofle na koturnie z białej lakierowanej skóry, z wycięciem na palce. Ghada emanowała ciepłem. Choć tak piękna, nigdy nie stałaby się zakładniczką swojej urody. Nawet z włosami potarganymi przez trzymane w ramionach dziecko, śladem mąki rozmazanej na małym nosie czy z podpryskiwanym fioletowym lakierem na paznokciach wyglądała po prostu na gorącą mamuśkę.

- Masz ochotę na tosty, Qanta? I co wolisz? Kawę czy herbatę? Powiedz, chcę dla ciebie przygotować ulubione śniadanie! - Była rozpromieniona, swobodna, a jej szminka (w jasnoróżowym kolorze w stylu lat sześćdziesiątych nałożona ciut za grubo) uwydatniła dość nierówne zęby. Byłam zafascynowana. Jej uroda była tak efektowna, że mnie rozpraszała. Ghada patrzyła na mnie, czekając na odpowiedź, co wolę.

- Poproszę tosta, Ghada, i kawę. Będzie wspaniale.

Zacząła nakrywać do stołu, następnie wsypała zmieloną kawę do ekspresu i przez cały czas zwięźle instruowała filipińską służącą, która stała w pobliżu, asystując. Łagodnym głosem, choć szybko, Ghada swoim arabskim staccato zwracała się do służącej, odsuwając ją raz po raz. Chciała sama wszystko dla mnie przygotować; byłam jej gościem, a nie służącą. Ostrożnie posadziła córeczkę na krześle, przysunęła do stołu i obserwowała, jak zaczyna odrywać kawałki chlebka pita i maczać je w hummusie i gęstym kremowym jogurcie, które były na talerzu przed nią.

Starsza córka Ghady, Nada, która dopiero co skończyła siedem lat, nieśmiało podeszła do stołu. Dwie małe saudyjskie dziewczynki przyglądały mi się z taką samą ciekawością, jak ja im. Dzieci miały brzoskwiniową cerę i długie, kręcone jasnobrązowe włosy uczesane w grube końskie ogony sięgające talii. Były ubrane na różowo-biało, we włosy przewiązane wstążkami miały wpięte ładne spinki. Ghada dbała o swoje córeczki i otaczała je czułą opieką. To były kochane dzieci, które tryskały zdrowiem i energią, a Ghada wychowywała je tak, by miały poczucie własnej wartości. Jej córki wyrosną na świadome saudyjskie kobiety, takie jak ich wspaniała matka.

- No jak tam, Qanta, jak ci się podoba Rijad? - Ghada spojrzała na mnie, ścisnąwszy szerokie usta w dzióbek, żeby opanować śmiech.

Natychmiast poczułam, że mogę być szczerą.

- Nie zawsze jest kolorowo, Ghada - zaczęłam ostrożnie. - A jak tobie się podoba?

Podeszła z omletem do stołu i usiadłszy, zaczęła nam nakładać.

- Co ja ci będę mówić, Qanta. To dla mnie najcięższy rok. Słyszałaś o tym, że mieszkałam w Kanadzie przez kilka lat? Hajdar kształcił się w Ottawie i odbył tam rezydenturę na chirurgii, a później zrobił podspecjalizację z torakochirurgii. Moje dziewczynki wychowywały się w Kanadzie, a ja zdobyłam tam zawód dietetyczki. Uwielbiałam Kanadę. Było nam dobrze. Wygląda na to, że wtedy spędzałam z moim mężem o wiele więcej czasu niż teraz, mimo że często operował czy dyżurował przy telefonie. W każdy weekend mogliśmy całą rodziną robić różne rzeczy, nie zajmowali nas ciągle jacyś krewni. No i oczywiście ta niezależność! Mogłam wszędzie pojechać samochodem sama lub z córeczkami. Mogliśmy chodzić do kina, restauracji, do galerii handlowych - wszędzie. Nikt nie interesował się tym, co miałam na sobie. No wiesz, Qanta, ani śladu mutawwy w Kanadzie. - Obie głośno się roześmiałyśmy. Mówiła dalej: - Na początku Rijad był dla mnie nie do zniesienia. Muszę ci się przyznać, Qanta, że często płakałam. Hajdar naprawdę się martwił, że nie będę w stanie się przystosować. - Przerwała na chwilę, żeby schrupać tosta.

Zaskoczyło mnie to, że będąc Saudyjką urodzoną i wychowaną w Rijadzie, uważa, że w jej kraju panuje duszna atmosfera.

- Ciężko jest, kiedy ma się rodzinę, Qanta. Sytuacja się zmienia. Przez pierwsze lata po ślubie mieszkaliśmy w Kanadzie, nie mieliśmy jeszcze dzieci. Wiesz, ja byłam bardzo młoda, więc po prostu się do siebie przyzwyczajaliśmy. Moje małżeństwo z Hajdarem zostało zaaranżowane. On twierdzi, że wybrał mnie spośród swoich kuzynek, ale ja nic o tym nie wiedziałam. Moja matka i ojciec poprosili, żebym za niego wyszła, więc się zgodziłam, i byłam bardzo zadowolona, kiedy się poznaliśmy. Spotykaliśmy się i spędzaliśmy wspólnie czas, zanim się pobraliśmy - chodziliśmy w Rijadzie na kolacje, umawialiśmy się na kawę tuż po zaręczynach, więc jeszcze przed ślubem zaczęłam się w nim zakochiwać. Byliśmy bardzo nowocześni, Qanta! Choć ryzykowaliśmy, że będą nas nękać *mutawwa'in*. - Ponownie zaśmiała się z satysfakcją. - W każdym razie wspaniale było w Kanadzie rozwijać nasz związek; świetnie się bawiliśmy. I wtedy, w drugim roku jego rezydentury, zaszłam w ciążę. Zaczęły pojawiać się dzieci i teraz mamy jeszcze więcej zabawy, prawda, *habibti*^[89]? - Odwróciła się, żeby zetrzeć jogurt z buzi swojego malucha. - Teraz, kiedy znów zamieszkaliśmy w Rijadzie, każdy weekend wygląda tak samo: w czwartek spotykamy się z jego krewnymi, w piątek z moimi. Wszyscy zazwyczaj gromadzą się w naszym domu, ponieważ Hajdar i ja jesteśmy najstarszymi dziećmi w naszych rodzinach, więc nie zajmuję

się niczym innym, tylko przyjmuję gości. Nie mamy czasu dla siebie. Ani chwili! Czasami aż chce mi się krzyknąć. Oczywiście kocham swoich rodziców, rodzinę, ale przecież małżeństwo potrzebuje czasu dla siebie, prywatności. Tutaj czuję, że nie mamy jej w ogóle, że należymy do innych ludzi. W Kanadzie było tak beztrosko. Co za kontrast! W Ottawie mogłam spotkać się w szpitalu z mężem na lunch, jeśli miał akurat czas między jednym pacjentem a drugim, ale teraz oboje jesteśmy po prostu zbyt zajęci, a cały wolny czas, jakim dysponujemy, musimy poświęcać na rodzinne zobowiązania. A nasze rodziny są naprawdę duże, Qanta! W tygodniu, sama wiesz, pracuję. Prawdziwym wyczynem jest wyszykować nas do pracy, dzieci do szkoły i być w szpitalu na pełnych obrotach przez 5 dni w tygodniu z poczuciem, że angażuję się w wykonywanie swoich obowiązków tak samo jak wszystkie pozostałe saudyjskie kobiety, które nie mają ich tak dużo.

Zaczynałam rozumieć presję, jakiej była poddana Ghada. Przestała się uśmiechać. Narzekała na utratę prywatności nie z powodu opresyjnego reżimu państwa. I nie chodziło o to, że nie może prowadzić samochodu. Pragnęła uciec od kultury wielopokoleniowych rodzin charakterystycznej dla saudyjskiego społeczeństwa. Nie wiedziałam, co powiedzieć, słuchałam więc tylko, gdy mówiła dalej:

- Mój mąż to wspaniały człowiek. Bardzo go kocham i cieszę się, że jesteśmy małżeństwem. Nie chciałabym, żeby było inaczej. Mamy bardzo udane życie, *al-hamdu li-(A)llah*. Po śniadaniu pokażę ci album rodzinny, a zwłaszcza zdjęcia z podróży poślubnej. - Pochyliła głowę, uśmiechając się na wspomnienie wspólnie spędzonych chwil. - Jestem taka dumna z Hajdara. To bardzo utalentowany chirurg, Qanta. Jest pełen poświęcenia i niewiarygodnie ciężko pracuje. Codziennie przyjeżdża do szpitala przed siódmą i zagląda do swoich pacjentów, nawet kiedy nie ma dyżuru. Wiesz, to on zdecydował, że wracamy do Rijadu. Długo się nad tym zastanawiałam. Powiedziałam mu, że nie chcę, żeby moje córki wychowywały się wśród takich ograniczeń, ale on postanowił służyć naszemu państwu. W głębi duszy wiedziałam, że ma rację. Powiedział, że mogę zapewnić dziewczynkom odpowiednie warunki w domu, że oboje możemy, niezależnie od tego, jak ciężkie jest tutaj życie w sferze publicznej. Nie ma w naszym kraju nikogo, kto mógłby zająć się tym, co robi Hajdar. Gdyby nie wrócił, nie mielibyśmy tego programu kardiologicznego, który ruszył. Naprawdę go za to podziwiam, Qanta.

- A ty, Ghada? Masz podobne zdanie na temat służby na rzecz kraju?

- Nie do tego stopnia, chociaż lubię pomagać Saudyjczykom. Dla mnie, jak dla każdej matki, priorytetem jest rodzina. Nie chciałabym, żebyś mnie źle zrozumiała, kocham swoją pracę i wiem, że wiele Saudyjek nie ma możliwości podjęcia jej, choć powinny mieć. Naprawdę lubię swój zawód i pewnie słyszałaś, że staram się o posadę dietetyczki w programie kardiologicznym. Musimy wprowadzić wiele zmian w nawykach żywieniowych naszego społeczeństwa. Wiesz z pewnością, że otyłość u dzieci staje się tu poważnym problemem?

Rzeczywiście, zdążyłam się już zorientować, gdy obserwowałam saudyjskie rodziny otoczone licznym potomstwem, ciągnące ogromne wózki wypełnione napojami gazowanymi i słodyczami z pobliskiego dyskontu The Max. Ich styl robienia zakupów nie odbiegał od amerykańskiego, a przecież rodzima dieta składająca się z daktyli i oliwek, jogurtu, soczewicy i praśnego chleba była o wiele zdrowsza od snickersów i coca-coli.

- Ludziom potrzebne są informacje. Moje zadanie, podobnie jak Hajdara, polega na tym, by im je dostarczać. Uczyniłam z tego swoją misję. - Po wygłoszeniu tej uwagi uniosła nieco swój wyrazisty podbródek.

Nie miałam wątpliwości, że tak jest. Ghada była silna. Wychowana w zamożnej saudyjsko-palestyńskiej rodzinie, obracała się w tych samych kręgach co Zubajda. Ojciec Ghady dorobił się, prowadząc interesy po opuszczeniu Palestyny w 1948 roku, i postawił sobie za cel wykształcenie wszystkich dzieci, zarówno synów, jak i córek. Chciał, żeby były niezależne. Podczas gdy matka Ghady nie miała wykształcenia, wszystkie jej córki związały się zawodowo ze służbą zdrowia i każda z nich wyszła za mąż za dobrze wykształconego mężczyznę. Ghada miała takie same plany wobec swoich córeczek.

- To bardzo ważne, żeby kobieta miała wykształcenie, Qanta. Moja rodzina w to wierzy, a zwłaszcza Hajdar. Właściwie to jest wysoce cenione w islamie. Prorok powiedział, że mężczyzna, który kształci kobiety ze swojej rodziny, jest ulubieńcem Allaha. Żyjemy w zgodzie z tą zasadą. Hajdar to największy feministą spośród nas wszystkich! Mój mąż mnie zadziwia. Jest niezwykły. Kocha swoje córki. Ani razu nie zdarzyło mu się narzekać, że nie mamy synów, chociaż może to ostatnie dziecko będzie chłopcem. - Zamyślona pomasaowała brzuch. - Dla Hajdara nie ma znaczenia, jakiej płci są nasze dzieci. Jedyne, co się liczy, to

żeby jego dzieci, nasze dzieci, tak córki, jak i synowie, miały możliwość wyboru i głosu. To gwarantuje się.

Całkowicie się z nią zgadzałam, ale zanim zdążyłam się wtrącić, Ghada szybko zmieniła temat.

- Pozwól teraz, że pokażę ci dom! Musisz mi wybaczyć bałagan, Qanta. Zaledwie rok temu przeprowadziliśmy się tu z Kanady i wciąż jeszcze przyjeżdżają meble. Musimy w końcu opuścić kompleks i przenieść się do nowego domu, który buduje dla nas Hajdar. To miejsce staje się zbyt ciasne podczas naszych rodzinnych spędów. Nie ma się gdzie ruszyć. Spróbuj przygotować jedzenie dla czterdziestu osób w tej maleńkiej kuchni! To wyzwanie nawet dla specjalistki od żywienia.

Moim zdaniem było tu dużo przestrzeni, zwłaszcza w porównaniu do mojego małego mieszkania, ale wyobrażając sobie wielopokoleniowe rodziny Ghady i Hajdara, które weekend w weekend do nich zjeżdżały, blokując samochodami całą ulicę, musiałam się zgodzić, że potrzebowali więcej miejsca.

Z kuchni weszliśmy do ładnego pokoju dziennego, w którym spotykała się rodzina. Meble przytłaczały, nie pozostawiały niemal miejsca na przejście. Wpadłam na stolik kawowy.

- Przepraszam za ten stół. Nie przejmuj się, Qanta. Ja to dopiero jestem *klutz* - ciemięga. Zawsze robię to samo! - Zachichotała z powodu swojej niezdarności, a ja wtórowałam, śmiejąc się z Saudyjki, która użyła idiomu pochodzącego z jidysz. Ghada zdobyła różne doświadczenia, mieszkając w Ameryce Północnej.

Przeszliśmy przez marmurowy korytarz do salonu. Był ogromny, przypominał raczej magazyn z meblami. Stały w nim wielkie fotele w stylu Ludwika XV, obite jaskrawymi skórami konia, lamparta i zebry. Ciężkie szklane stoły z nogami z brązu, które tonęły w puszystym dywanie, zagracwały pokój. Po zapachu można było się domyślić, że dywan został świeżo rozłożony. Niewielkie okna znajdowały się dość wysoko i były przesłonięte ciężkimi zasłonami (choć na zewnątrz świeciło słońce), więc Ghada włączyła masywne kryształowe lampy na stołach. Pokój wypełniło nierówne żółte światło. Ten oficjalny wystrój

w ogóle nie pasował do codziennego stylu Ghady, ale widocznie jej się podobał.

Spojrzałam na poduszki idealnie ułożone na długiej, niskiej sofie; wyglądała na *biedermeier*. Powłóczki z białego jedwabiu były obszyte grubą czarną lamówką, która stanowiła ramy dla umieszczonego pośrodku lwa wyhaftowanego wypukłym wzorem złotą nicią. Przyjrzałam się temu bliżej.

- Ghada, to przypomina mi Versace. Wzory są bardzo podobne. Widziałam takie podczas ostatniej wizyty w Nowym Jorku.

- Bo to jest Versace, Qanta! Tak się cieszę, że poznałaś! - Promieniała radością.

- Wszystko to Versace, Ghada?

Kiwnęła głową potakująco, zaskoczona pytaniem. Byłam zdumiona. Ghada nie kupiłaby tego z pensji dietetyczki, ani nawet z pensji swojego ciężko pracującego męża, torakochirurga. To były pieniądze ich rodzin należących do kupieckiej społeczności z Palestyny, która schroniła się w Królestwie w latach pięćdziesiątych XX wieku. Oni naprawdę byli bardzo zamożni.

Zbierałam się do wyjścia, gdy z pracy wrócił Hajdar. Przywitał mnie uprzejmie uściskiem dłoni i pytaniem o samopoczucie oraz zdrowie najbliższych. Chociaż ani on, ani nikt z moich saudyjskich przyjaciół nigdy nie miał sposobności poznać mojej rodziny, powszechne było grzecznościowe dopytywanie się o jej członków, a szczególnie o rodziców. Hajdar uśmiechnął się, szczerze ucieszony na mój widok. Był bardzo przystojny, miał jaśniejszą karnację niż Ghada i elegancko przyciętą brodę o modnej linii. Stanowili z żoną wspaniałą parę.

- Qanta, proszę, zostań jeszcze! Ghada, przynieś herbaty dla naszego gościa! - Bez szemrania Ghada poszła, żeby nastawić czajnik. - Proszę, Qanta, usiądź.

Czułam się nieco zawstydzona. Przyszłam w koszulce z krótkim rękawem, a moja *abaja* wisiała oczywiście w szafie, gdzie zamknęła ją Ghada. Może Hajdar poczuje się urażony, widząc moje gołe ramiona. Zaczęłam przeproszać.

- Nie żartuj, Qanta! Te kwestie nie mają dla nas żadnego znaczenia. Jesteś świetnie ubrana. Absolutnie nie rób sobie żadnych wyrzutów. Proszę, nie krępuj się, czuj się jak u siebie w domu. - Rozwiawszy moje obawy, Hajdar zaczął ze mną swobodnie rozmawiać o pacjentach, o powrocie do Rijadu i życiu z żoną oraz córkami.

- Pani Tarfa cudem powróciła do zdrowia, Hajdarze. - Mówiłam o pewnej saudyjskiej kobiecie, która kilka miesięcy wcześniej przeżyła straszny pożar podczas uroczystości weselnych. Hajdar niedawno wymienił jej zastawki serca.

- Dziękuję, Qanta, *al-hamdu li-(A)llah*, opieka nad tą kobietą naprawdę była dla mnie poruszająca. Czuję się potrzebny, kiedy mogę pomagać takim pacjentom jak ona.

Dzięki znakomitej opiece, jaką mogliśmy tu zapewnić, i dzięki tak rzutkim chirurgom, jakimi byli Hajdar i Mu'ajjad, kobieta miała szansę na przeżycie. Może jej stan na tyle się poprawi, że będzie mogła korzystać z protez kończyn.

- A tobie, Hajdarze, nie cni się za Kanadą, czy już się tutaj zadomowiłeś? - zapytałam z ciekawością, czy jego odpowiedź pokryje się z odpowiedzią Ghady.

- *Al-hamdu li-(A)llah*, Qanta, wróciliśmy do Królestwa w bardzo dobrym momencie. Cieszymy się, że nastroje się tu trochę zmieniają i w ogóle wszystko zaczyna się powoli zmieniać. Radykalni duchowni słabną, a nasz kraj w końcu zmierza w dobrym kierunku. Szpital Gwardii Narodowej jest bardzo postępowy, Qanta. Wkrótce uruchamiamy w Królestwie znakomity program transplantologiczny. *Ma sha Allah*, sam następca tronu księżę Abd Allah bardzo, bardzo nas wspiera. Mamy szczęście, ponieważ on sporo inwestuje w prace badawczo-rozwojowe. Bez jego patronatu i pomocy nie udałoby się właściwie nic zrobić. Wpłaca olbrzymie sumy na konto naszego szpitala. To dzięki temu jesteśmy najlepszym ośrodkiem w Królestwie. Wkrótce będziemy tu szkolić własnych chirurgów, zamiast wysyłać ich do Kanady czy Stanów Zjednoczonych. Dlatego właśnie wróciłem.

- Ale nie tęsknisz za Kanadą, Hajdarze? - zapytałam, coraz swobodniej zwracając się do niego po imieniu. - Zdaje się, że Ghada bardzo.

Uśmiechnął się na widok żony, która właśnie palcem u nogi zahaczyła o kredens.

- Ostrożnie, *habibti* - powiedział, podrywając się, żeby przejąć ciężką tacę od ciężarnej. Poglaskał ją delikatnie po ramieniu i posadził obok siebie na kanapie. Widać było, że wciąż są w sobie bardzo zakochani. Hajdar nalewał mi herbatę, a my z Ghadą przyglądałyśmy mu się równie oczarowane tym wspaniałym saudyjskim mężczyzną.

- Jasne, że tęsknię za Kanadą. Miałem tam wspaniałych mentorów. Kliniczne doświadczenie było niesamowite, chociaż przyznam szczerze, że tu w większym stopniu mamy do czynienia z diagnostyką laboratoryjną. U nas jest mniej kardiochirurgów, dlatego zdobywam bardzo szerokie doświadczenie. Praca tutaj jest dla mnie korzystna. Pewnie rozmawiałaś o tym z Mu'ajjadem. Ja też mam poczucie, że muszę to zrobić dla swojego kraju. Przynajmniej tyle mogłem: wrócić i służyć współobywatelom.

Gdy przypatrywałam się przejrzystym zielonym oczom Hajdara, które wyrażały zaangażowanie, z jego przystojnej twarzy emanowało światło. Uczucia, jakimi darzył swój kraj, były szczerze. Nie miały nic wspólnego z niedojrzałym nacjonalizmem jakiegoś zbuntowanego młodego chłopaka. Hajdar należał do śmietanki intelektualnej, której naprawdę zależało na wprowadzaniu zmian. W całym Królestwie pary takie jak Ghada i Hajdar zakładały nowoczesne rodziny, jednocześnie stawiając sobie za cel rozwój kraju obezwładnionego duszącym niewiarygodnym bogactwem, które wielu najzwyczajniej paraliżowało. Hajdar i Ghada należeli do nowej generacji Saudyjczyków: idealistów, osób aktywnych społecznie, pracujących w służbie ludziom, intelektualistów o niepohamowanych apetytach, postępowców, liberałów.

- Zobacz, Qanta, to mój album! - Ghada położyła mi na kolanach ciężką oprawioną w skórę księgę i przekładała strony.

- Och, Qanta, czekają cię kolejne trzy godziny u nas! Moja żona uwielbia pokazywać zdjęcia. - Hajdar przyglądał się jej z czułością, gdy podsuwała mi fotografie z początku ich znajomości.

- A to zostało zrobione w Tajlandii, gdzie pojechaliśmy w podróż poślubną. - Ghada nieśmiało wskazała zdjęcie, na którym wraz z mężem najwyraźniej wybierali się na jakąś

wyjatkową kolację. On miał na sobie spodnie i białą koszulę, a ona koronkową sukienkę z długimi rękawami, sięgającą do zaskakująco kłocowatych kostek. Jak wielu Saudyjczyków zasłaniał się tylko w Rijadzie z powodu społecznych konwenansów, a nie ortodoksyjnego przywiązania do skrajnych przekonań. Ghada wciąż ubierała się skromnie, ale swoboda, z jaką jej mąż podchodził do tych kwestii, widoczna zarówno na zdjęciach, jak i teraz, kiedy ze mną siedzieli i oglądali je po latach, świadczyła o tym, że są postępowymi muzułmanami, bardziej przywiązanymi do czynów niż powierzchowności. Ghada była całkowicie zaabsorbowana albumem. Pokazywała mi zdjęcia uwieczniające ich małżeństwo, łącznie z archetypicznymi tronami weselnymi stanowiącymi także ozdobę trwającego do późna w nocy wesela, w którym uczestniczyłam przed tygodniem. W wielu kwestiach Ghada i Hajdar byli najzwyczajniejszymi Saudyjczykami, a w innych z kolei zupełnie niekonwencjonalnymi.

Gdy tak słuchałam, jak rozmawiali o przyszłości, gdy widziałam, z jaką uwagą Hajdar przysłuchiwał się Ghadzie, kiedy mówiła o swoich planach zapisania się na program doktorski w Londynie po urodzeniu trzeciego dziecka, a on pękał z dumy, że żona ma takie marzenia (marzenia, które rzeczywiście udało jej się kilka lat później zrealizować), zdałam sobie sprawę, że zdecydowanie nie doceniałam Saudyjczyków, z którymi współpracowałam. Oni nie pracowali po to, żeby tylko zająć czymś czas, chociaż z całą pewnością wielu z nich naprawdę nie potrzebowało pensji tak, jak ja jej potrzebowałam. Zależało im na pracy raczej dlatego, żeby doprowadzić do zmiany. W swoich bardzo postępowych i zdrowych małżeństwach działali jako drużyna, co w rezultacie wpływało na otaczające ich środowisko i na społeczeństwo.

Ghadzie daleko było do zdesperowanej gospodyni domowej, mimo że jej dom wyglądał jak żywcem wyjęty ze studia stacji ABC. Była kobietą spełnioną, stawiającą przed sobą ambitne cele i otoczoną niezachwianym wsparciem ze strony wspaniałego męża, który czerpał ogromną satysfakcję z postępów żony oraz córek, a także własnego kraju. Zdałam sobie sprawę, że gdy Hajdar poślubił Ghadę, ona miała dziewiętnaście lat, a on był jeszcze przed trzydziestką, więc miał prawdopodobnie równie duży wpływ na jej życie jak liberalny ojciec. Ghada była produktem opiekuńczych mężczyzn, czy to w domu rodzinnym, czy to w małżeństwie. Gdyby nie silni, kochający, wspierający i pełni empatii mężczyźni, którzy ją otaczali, nie byłaby taką kobietą.

Wiele mogłam się nauczyć od Ghady i Hajdara. Ich związek stanowił mikrokosmos wszelkiego dobra, jakie odsłaniało się przede mną w Królestwie, tak po prostu, w rodzinnych domach, w pełnych czułości kochających się małżeństwach, w wyrozumiałym podejściu ojców do córek i w końcu w nadziei, że pewne siebie, doceniane matki zaszczipią to swoim dzieciom. „Królestwo Straty” stawało się „Królestwem Piękną”.

^[89] *Habibti* - moja kochana (przyp. tłum.).

Rozdział 35

Saudyjska Gloria Steinem^[90]

Pewnego popołudnia zjawiłam się na OIOM-ie dla noworodków. Polecona przez *doktora* Fahada szukałam doktor MaHY al-Munif. Wcześniaki na różnym etapie rozwoju leżały w inkubatorach. Malutcy Saudyjczycy wnosili na oddział pierwotny powiew życia. Pielęgniarki troskliwie zajmowały się kruchymi pacjentami, ostrożnie dotykając delikatnych kończyn wciąż pokrytych błyszczącym meszkiem płodowym. Palce w lateksowych rękawiczkach przeciskały się przez otwory inkubatorów z pleksiglasu, z troską zaspokajając potrzeby najmłodszych pacjentów Szpitala Gwardii Narodowej. Po drugiej stronie szyby zasłonięta saudyjska mama, wyraźnie osłabiona po niedawnym porodzie, czujnym wzrokiem rozglądała się po pomieszczeniu, aż odnalazła swoje dziecko. Wpatrywała się w noworodka przez nieprzejrzystą zasłonę.

Maha prowadziła obchód. Sterylny jednorazowy fartuch z żółtego papierowego materiału zakrywający zwykły fartuch lekarski dodatkowo przytłaczał jej drobną sylwetkę. Nie miała więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. Czarna chusta na jej głowie nieustannie się zsuwała, odkrywając a to fragment włosów, a to fragment szyi. Energia, z jaką lekarka poruszała się i gestykulowała, tłumaczyła niezwykłą mobilność zasłony, co Maha znosiła bez irytacji. Brylowała pośród otaczających ją saudyjskich rezydentek i pielęgniarek z Zachodu, tłumacząc im dokładnie i cierpliwie podejmowane przez siebie decyzje.

Nie przerywając przekazywania zaleceń i swoich doświadczeń, Maha ciągle poprawiała chustę, by zakryć niesforne włosy. Z każdym utrzymywała kontakt wzrokowy, żeby mieć pewność, że dobrze ją rozumie. Kiedy była pewna, że wszystko zostało wyjaśnione, energicznym ruchem zdejmowała rękawiczki, wyrzucała je do kosza i przechodziła do następnego pacjenta. Co jakiś czas wybuchała głośnym, zadziwiająco zaraźliwym śmiechem. Jej współpracownicy śmiali się w odpowiedzi, najwyraźniej czując się swobodnie ze swoją saudyjską przełożoną. Była niezwykle naturalną, bezpośrednią i silną kobietą. Wyróżniała się pewnością siebie i szczerością, których nie tłumila nawet obowiązkowa chusta na głowie. Widać było, że ma autorytet.

Gdy zauważyła moje spojrzenie, uśmiechnęła się szeroko, ukazując piękne zęby. Szczery uśmiech spowodował, że na policzkach pojawiły się niewielkie dołeczki i rozpromieniły się jej migdałowe oczy otoczone kurczymi łapkami. Bez makijażu, w sterylnym żółtym fartuchu, wciąż była piękna. Przyglądałam się jej przez jakiś czas, zastanawiając się, skąd znam ten typ urody, który tak mi się podoba: mocno zarysowana szczęka przechodząca w podbródek z niewielkim dołeczkiem, idealnie symetryczne bruzdy mimiczne, które były widoczne, gdy się promiennie uśmiechała, szerokie usta i wreszcie nieco wystające siekacze. Po chwili już wiedziałam: była saudyjską Glorią Steinem.

Skończyła obchód i od razu podeszła do mnie, wyciągając drobną dłoń na powitanie.

- *As-salamu alejkum, doktora Qanta!* Doktor Fahad uprzedzał, że pani mnie odwiedzi.
- Zdumiewająco mocno ścisnęła moją rękę.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi na jej żywiołowość.

- *Wa-alejkum as-salam, doktora Al-Munif!* Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. Doktor Fahad mówił, że będzie pani dla mnie doskonałą przewodniczką. Chciałabym się dowiedzieć wszystkiego o pani pracy.

Wyszliśmy z oddziału i skierowałyśmy się do jej gabinetu. Maha była specjalistką w dziedzinie chorób zakaźnych u dzieci i zastępczynią ordynatora oddziału pediatrycznego. W szpitalu konsultowała przypadki chorób zakaźnych. W swoim dorobku naukowym miała wiele publikacji, kształciła się w Stanach, uczestnicząc w programach Ivy League. Poza tym aktywnie działała na rzecz praw kobiet i dzieci w Królestwie.

- Qanta, wejdz proszę, rozgość się. - Kiedy zamknęła drzwi, zdjęła z głowy chustę, bez której była jeszcze piękniejsza. Dyskretnie ufarbowane, gęste niesięgające ramion włosy układały się w delikatne fale. W świetle widać w nich było pasemka w subtelnym odcieniu bordo.

Gabinet Mahy mieścił się w podziemiach budynku administracji. Małe wysoko umieszczone okna były przysłonięte żaluzjami, przez które wpadało do środka światło i które

jednocześnie chroniły wnętrze przed ciekawskimi spojrzeniami z zewnątrz. Kontrastowało to wyraźnie z gabinetem Farisa; tam ściany z grubego szkła ukazywały pięknie utrzymane bujne trawniki. Do gabinetu *doktora* Fahada przedostawały się plamki światła słonecznego rozpraszane przez młode platany rosnące za oknem. Maha jako kobieta nie mogła mieć gabinetu z widokiem na otwartą przestrzeń, nawet jeśli nie urzędowałyby w piwnicy, ponieważ kobiety w Arabii Saudyjskiej nie powinny być widoczne. Spędzają one życie w strzeżonym odosobnieniu. Kobieta pracująca za biurkiem, widoczna przez duże okno, nie zostałaby zaakceptowana w społeczeństwie, które nie było jeszcze gotowe na dopuszczenie kobiet do sfery publicznej.

Maha usiadła na wielkim krześle obrotowym, które dodatkowo podkreślało jej drobną postać. Wciśnięte w kąt pomieszczenia biurko zajęte było głównie przez wielki komputer, przy którym człowiek zdawał się mniejszy niż był naprawdę. Żółty jedwabny dywanik modlitewny noszący wyraźne ślady zużycia leżał zwinięty na komputerze, najwidoczniej pozostawiony tam po niedawnej modlitwie południowej. Do tablicy korkowej przypięte były nieupozowane zdjęcia jej dzieci - córeczek i synów - które w codziennych ubraniach bawiły się w ogrodzie. Na oknie wisiała kserokopia jakiegoś artykułu po arabsku. Nokia Sidekick co jakiś czas wibrowała, sygnalizując nieodebrane połączenia i nowe SMS-y. Na regale stało mnóstwo książek i czasopism, a gdzieś tam można było zauważyć oprawione w ramki fotografie. Maha z dumą pokazała mi zdjęcie, które zajmowało centralne miejsce na półce: była na nim z Barbarą Walters.

- Mogłaś to zobaczyć, kiedy byłaś ostatnio w Nowym Jorku. Barbara Walters przyjechała tutaj z ekipą programu „20/20” i poprosiła mnie o udzielenie wywiadu^[91]. Ekipa towarzyszyła mi w domu i w pracy; kręcili materiał o aktywnych zawodowo saudyjskich kobietach. To było fantastyczne doświadczenie, Qanta. I wspinała kobieta. - Spojrzała na zdjęcie z sympatią, po czym odstawiła je na najwyższą półkę.

- Rany, Maha, na twoim miejscu trzymałabym to zdjęcie na biurku, żeby każdy mógł zobaczyć! - wyrzuciłam z siebie pełną uznania.

- Nie, Qanta, tutaj to tak nie działa. Na zdjęciu widać, że mam niedokładnie zawiązaną chustę, poza tym nie wszyscy tu lubią tę słynną amerykańską dziennikarkę. Lepiej, żeby zdjęcie stało w takim miejscu, by ludzie go nie widzieli, dopóki sama im nie pokażę. Niestety,

żyć w ograniczonym społeczeństwie i ludzie nie zawsze są otwarci na moje poglądy.

Spojrzałam wyczekująco, mając nadzieję, że powie coś więcej.

- Qanta, chyba zdążyłaś się już zorientować, że szczerść nie zawsze jest tu w cenie, zarówno jeśli chodzi o mężczyzn, jak i kobiety.

Natychmiast przypomniała mi się pewna rozmowa, którą odbyłam kiedyś z Imadem. Zaskoczył mnie wtedy fakt, że Imad jako mężczyzna miał dokładnie takie samo spostrzeżenie jak ja. Powoli przekonywałam się, że purytańskie zasady określające sposób życia w Królestwie ograniczały nie tylko kobiety; przeciętni mężczyźni również byli nimi spętani. Nawet ktoś tak potężny jak nasz dyrektor generalny, doktor Fahad, musiał bezustannie radzić sobie z naciskami ze strony wahhabickiego kleru, na przykład próbując uzasadnić swoją politykę kadrową. Przypomniałam sobie, jak pogniótl przesłane faksem przez mutawwę fatwy, w których mu grożono, ponieważ zatrudniał zbyt dużą liczbę kobiet. Nie byłam wówczas pewna, co bardziej mnie szokowało: treść fatw, które zabraniały kobietom zapinania pasów bezpieczeństwa z powodu odznaczającego się rowka między piersiami, czy też fakt, że przedstawiciele kleru posługiwali się faksem. Zaciekli ortodoksi okazali się znacznie bardziej nowoczesni, niż mogłam to sobie wyobrażać. Maha mówiła dalej, nie zdając sobie sprawy z natłoku myśli, jakie kłębiły mi się w głowie za sprawą jej opowieści.

- Jako Saudyjka, która zdecydowała się występować w obronie najsłabszych osób w społeczeństwie, dzieci i kobiet, muszę stawiać czoło najróżniejszym naciskom. Pracując na rzecz postępu, zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym, muszę starać się być wzorową obywatelką. To bardzo złożone społeczeństwo, w którym istnieje wiele zasad, rytuałów i kulturowych oczekiwań. Nauczyłam się, jak tutaj działać, nie przekraczając czasem bardzo restrykcyjnie wyznaczonych granic. Przekonałam się też, że w tych granicach wiele można zrobić, *al-hamdu li-(A)llah*, ale wiele jeszcze zostało do zrobienia.

Przez kilka następnych godzin opowiadała mi o swojej pracy i innej działalności w Królestwie; jej drobna postać tryskała energią. Słuchałam jak urzeczona, kiedy mówiła o swoich sukcesach w nagłaśnianiu problemów wykorzystywania dzieci i przemocy wobec kobiet. O tym, że jej praca była niezwykle potrzebna, wiedziałam od pacjentów, zarówno od tych, którymi sama się zajmowałam, jak i od tych, którymi opiekowali się moi znajomi.

W pamięci utkwiły mi przede wszystkim losy dwojga dzieci.

W Rijadzie była zima, kończył się wyjątkowo długi tydzień, podczas którego przyjęliśmy wiele trudnych przypadków. Pielęgniarki z OIOM-u i część lekarzy podupadli na duchu. Pomimo wytężonych wysiłków straciliśmy kilku młodych pacjentów. Zaczynałam nocny dyżur nieco przygnębiona.

- *Doktora Qanta!* - zawołała pełna życia Juliette. - Dzwonią ze szpitalnego oddziału ratunkowego, pytają, czy mamy łóżko dla pacjenta z ostrą niewydolnością oddechową?

Nie pytając o szczegóły, przytaknęłam. Juliette przekazała informację przez telefon.

- Mamy nowe przyjęcie - obwieściła po chwili. - *Vent.* - To oznaczało, że pacjent jest podłączony do respiratora i nie oddycha samodzielnie.

- Dobrze, zawołaj mnie, jak przywiozą chorego - odkrzyknęłam i powróciłam do pisania.

Po jakimś czasie zadzwonił telefon, więc poszłam zbadać nowego pacjenta. Zapinając fartuch i wciągając jednorazowe rękawiczki, zbliżyłam się do łóżka oddzielnego parawanem. Musiałam delikatnie odsunąć pielęgniarki tłoczące się wokół drobnego ciała.

- To jest mój pacjent? - zapytałam, zaskoczona widokiem dziecka. - Przecież to nie pediatria! Nie mam doświadczenia w intensywnej terapii pediatrycznej! Dlaczego przysłali go do nas? - Poirytowana, zapomniałam zupełnie dopytać o szczegóły dotyczące pacjenta, co było błędem.

- *Doktora*, on jest dorosły. Każde dziecko, u którego pojawił się choćby jeden włos łonowy, uważane jest tutaj za dorosłego. Musimy go przyjąć. Nie mamy wyjścia. - Zakładając pacjentowi cewnik Foleya, by opróżnić pęcherz i dokonać pomiaru diurezy, pielęgniarka Rita podciągnęła mu szpitalną koszulę, żeby pokazać mi kępkę owłosienia łonowego, które otaczało penis. Najwyraźniej dziecko wkraczało w pierwszą fazę skali Tannera, czyli pierwszy etap rozwoju płciowego.

- Ile on ma lat?

- Dziewięć, *doktora*. Za miesiąc kończy dziesięć.

- Ile waży?

- Dwadzieścia dwa kilogramy, *doktora*. Wygląda na to, że ma dużą niedowagę. Ma pewnie około stu dwudziestu centymetrów wzrostu, nie wiem dokładnie, musimy go zmierzyć.

Badając małego pacjenta, przyjrzałam się jego drobnej sylwetce. Żebra opięte ziemistą skórą wystawały, pomarszczone ręce nie wyglądały jak u dziecka. Miał zapadnięte oczy, zamknięte pod wpływem silnych środków uspokajających, jakie podano mu na oddziale ratunkowym. Długie, gęste rzęsy dotykały policzków. Bujne, potargane włosy wyglądały, jakby nie były myte od wielu dni, a może nawet tygodni. Pielęgniarki włożyły mu na głowę sterylny czepek, aby wszy, które mógł mieć, nie przedostały się na nas, kiedy się nad nim nachylałyśmy. Dopiero po badaniu mogły umyć mu głowę i wyczesać włosy.

Ośluchałam go; przez cieniutkie ściany klatki piersiowej wyraźnie słychać było szybki rytm serca pomimo odgłosów wydawanych przez respirator. Płuca miał czyste. Pusty brzuch zapadł się w wąskiej dziecięcej miednicy. Wychudzone nóżki leżały bezwładnie; były nieco koślawe, co jest częste u dzieci w tym wieku. Zauważyłam strup - pewnie chłopiec upadł podczas jakiejś zabawy. Na oblepionych błotem stopach skóra była chropowata i pojawiały się już na niej zgrubienia. Może był jednym z tych, którzy kopali zakurzoną piłkę na pustych terenach przeznaczonych pod przyszłą budowę. Paznokcie u rąk miał obgryzione do żywego, a miejsca po zerwanych skórkach krwawiły. Jego znoszona poplamiona sauba leżała zmięta na podłodze. W powietrzu unosił się zapach moczu. Wreszcie moim oczom ukazał się powód pośpiesznego przyjęcia.

Kiedy podeszłam, żeby zbadać głowę i drogi oddechowe pacjenta, z jego szyi zsunęły się podarte kawałki T-shirta, który pielęgniarki rozcięły, robiąc EKG. Na skórze widać było koliste ślady. Kiedy usunęłam resztki materiału, zobaczyłam siniaki. Skierowałam światło lampy na ścianę, żeby poniżej drobnego podbródka chłopca nie padał cień. Byłam już pewna: to ślady po linie.

Szybki telefon na oddział ratunkowy potwierdził moje przypuszczenia. Młody pacjent został znaleziony w łazience swojego domu. Rodzeństwo, widząc zasunięte zasłony prysznicza i nie słysząc szumu wody, odkryło ciało brata zwisające z mocowania prysznicza. Na szyi zaciśnięta była pętla z cienkiego plastikowego sznurka. Natychmiast został odcięty i przewieziony do szpitala samochodem, który prowadził jego czternastoletni brat. Kiedy trafił na oddział ratunkowy, ledwo oddychał. Z trudem podłączono go do respiratora; lekarz miał problem, żeby wprowadzić małą rurkę za obrzęknięte struny głosowe. Gdyby rodzina przywiozła go chwilę później, już by nie żył. Przyglądając się jego wątłemu ciału, zastanawiałam się, czy rzeczywiście miał szczęście, że przeżył.

Poruszone pielęgniarki szeptały nieprzytomnemu dziecku kojące słowa, oglądając sińce i rany na jego ciele. Na boku zobaczyłyśmy dziwne ślady; może był to odcisk kafelków. Do szpitala wciąż jeszcze nie dotarli rodzice chłopca. Zaleciłam dużą dawkę sterydów i leczenie inhalacyjne, żeby usprawnić oddychanie. Po uzgodnieniach z kolegą dostosowaliśmy parametry respiratora, żeby oddychał za to drobne dziecko.

- Mam absolutną pewność - pielęgniarka zwana Mamą Mary była bardzo wzburzona, a jej oczy płonęły - że to dziecko było wykorzystywane. Albo chłopiec sam postanowił skończyć ze sobą, żeby uciec od tego koszmaru, albo ten, kto go wykorzystywał, bał się, że ofiara zacznie się skarżyć, i chciał uciszyć go raz na zawsze. Te dzieciaki, które go przywiozły, wykazały się dużą odwagą. Ale nigdy nie poznamy prawdy. Niech pani zapamięta moje słowa. Nigdy się tego nie dowiemy. To nie jest pierwsze dziecko, które trafiło do nas w takim stanie.

Patrzyłam na nią, nie mogąc ukryć oburzenia.

- Jak popracuje pani tutaj tak długo jak ja, *doktora Qanta*, też się pani napatrzy. Hańba! - Pomrukując ze złości, wróciła do swoich zajęć.

Patrzyłam na nieprzytomne dziecko. Zdawałam sobie sprawę, że nic nie mogę zaradzić na jego cierpienia, poza tymi widocznymi. Był samotny, porzucony, cała jego postać wyrażała smutek. Nawet środki uspokajające nie były w stanie zatrzeć okropieństw, jakie przyniosło jego krótkie życie.

Kilka dni później zrobiliśmy mu badanie endoskopowe strun głosowych. Opuchlizna schodziła; sterydy najwyraźniej działały. Stopniowo zmniejszaliśmy dawki leków uspokajających, chłopiec powoli zaczynał oddychać samodzielnie. W końcu mogliśmy odłączyć go od respiratora. Był osłabiony, ale żył. Najbardziej zaskoczyło nas, że mózg chłopca nie uległ uszkodzeniu. Po przetrzymaniu pacjenta na obserwacji przenieśliśmy go na oddział pediatrii, skąd wkrótce wyszedł do domu, w którym wydarzyła się tragedia.

Nie było żadnego dochodzenia. Opieka społeczna praktycznie w tamtym czasie nie istniała, a sprawy rodzinne załatwiano się przeważnie w rodzinie. Nie było domów dziecka, brakowało podstaw prawnych do oskarżenia rodziców. Nie mogliśmy udowodnić, że ktoś go wykorzystywał. Mieliśmy jedynie świadomość, że prawdopodobnie czeka go to również w przyszłości.

Porozmawiałam z Davidem. Pracował od ponad dziesięciu lat na szpitalnym oddziale ratunkowym. Potwierdził, że ten przypadek nie był odosobniony; opowiedział mi o jednym ze swoich pacjentów.

- Qanta, to wstrząsające. Od czasu do czasu trafiają do nas takie dzieci, więc ten przypadek mnie nie zaskoczył. Tak chyba dzieje się w każdym społeczeństwie. W Ameryce Północnej są takie problemy, dlaczego więc miałyby nie być ich tutaj? Gdziekolwiek spojrzysz, rodziny trawią te same choroby. Saudyjczycy nie są w tej kwestii wyjątkiem, nie są odporni na patologie społeczne. Różnica jest tylko taka, że tutaj się o tym znacznie rzadziej mówi. Ludzie się boją i na razie nie ma odpowiednich procedur określających sposób postępowania.

- Powiedz mi zatem, czy spotkałeś się ostatnio z przypadkiem wykorzystywania dzieci? - zapytałam, jak zwykle chcąc się czegoś dowiedzieć od swoich mądrych znajomych.

- Jakiś czas temu trafiło na nasz oddział ratunkowy dziecko. To był czwartek, bardzo niespokojna noc. Ktoś przywiózł je ciężarówką i położył na noszach na oddziale. Nie mieliśmy jeszcze wtedy karettek od Czerwonego Półksiężyca, ciężko na nie zapracowaliśmy tutaj, w Gwardii Narodowej.

Wiedziałam o tym. David był jednym z głównych reformatorów pogotowia ratunkowego w Rijadzie. Stworzenie sprawnego systemu pierwszej pomocy było jego największym marzeniem.

- W każdym razie byłem akurat na miejscu i zauważyłem, że dziecko jest naprawdę w kiepskim stanie. Saudyjczyk, który twierdził, że sprawuje opiekę nad chłopcem - prawdopodobnie jego właściciel - stał nieopodal i patrzył zadziwiająco beznamiętnie. Ciągłe wydzwaniał przez komórkę. Od razu poczułem, że coś jest nie tak. - Spojrzał na mnie, żeby zaakcentować to, co przed chwilą powiedział.

Wiedziałam, co miał na myśli. Zadziałał szósty zmysł doświadczonego lekarza.

- Ten mały Saudyjczyk wyglądał jak obdartus. Powiedziano mi, że ma dwanaście lat, ale wyglądał raczej na siedem. Skóra jak u anemika, wypadające włosy. Stracił większość zębów. Dowiedziałem się, że w minionym tygodniu pracował jako jeździec. Wiesz, Qanta, mnóstwo jest takich dzieciaków, które biorą udział w wyścigach wielbłądów. Muszą być drobnej budowy, żeby ich ciężar nie spowalniał zwierząt. Tak czy siak, ponoć został znaleziony w takim stanie na posłaniu na wielbłądzim suku (targu). Pomyśl tylko, to działo się tuż przed festiwalem Al-Dżanadrija, który odbywa się co roku w okolicach marca. Dlatego się domyśliłem. Dzieciak musiał codziennie brać udział w wyścigach. Podczas festiwalu za miastem organizowane są specjalne pokazy.

Pacjent Davida musiał pracować przez wiele godzin bez zapłaty, na zmianę oporządzając zwierzęta i jeżdżąc na nich z wysoko zadartymi, chudziutkimi nóżkami. Może musiał również wypasać i zapędzać stado do zagrody. Może przywiązał się do tych zwierząt. Wielbłądy mogły być jedynym pięknem, jakie w życiu widział. Bałam się, co jeszcze usłyszę w dalszym ciągu tej opowieści.

- Tak więc miałem właśnie zacząć badać chłopca, kiedy zorientowałem się, że nie oddycha. Wyglądał, jakby właśnie zasnął, a nie minęła nawet minuta. Stwierdziłem zatrzymanie akcji serca i rozpocząłem resuscytację, ale chłopiec już nie żył. Był zimny. Najwyraźniej musiał umrzeć nieco wcześniej. - David zamilkł. - Ponoć został znaleziony w takim stanie... - powtórzył raz jeszcze.

- Ale po co mieliby go przywozić do szpitala? - zapytałam zaskoczona.

- No wiesz, Qanta, właściciel chłopca, czy kim on tam był, przestraszył się. Nie wiedział, co zrobić z ciałem. Najłatwiej było przywieźć do szpitala. Dzieciak najwyraźniej żył bez rodziny, Bóg wie od jakiego czasu. Wykończyli go. Nie mieli ochoty odpowiadać na kłopotliwe pytania ani wyjaśniać sprawy na policji - jeśli w ogóle doszłoby do przesłuchania, w co wątpię.

- I co zrobiłeś?

- Czuję się w obowiązku podjąć resuscytację, choć wiedziałem, że to bez sensu. Myślę, że to był odruch, zrobiłem to pod wpływem emocji. Biedne dziecko. Pomyśleć, że prawdopodobnie spędziło całe życie na wielbłądzim suku... - David urwał. Na chwilę zapadła cisza, po czym kontynuował: - Choć chłopiec już nie żył, dokładnie go zbadałem, robiąc przy okazji zdjęcia do dokumentacji. Pomyślałem, że jeśli sprawa trafi do sądu, mogą się przydać. Sfotografowałem rany na jego ciele. Skóra chłopca wyglądała jak papier ścierny. To dziecko było odwodnione na długo przed śmiercią. Na obu nadgarstkach zobaczyłem ślady: chłopiec musiał być związany, i to przez dłuższy czas. Ślady były dość głębokie; ewidentnie wyglądały na pozostałość po sznurze, to nie mogło być nic innego. Kiedy pokazałem je właścicielowi - a wtedy już uznałem, że taka właśnie była jego rola - wyglądał, jakby o niczym nie wiedział, ale też wcale się tym nie przejął. Nawet nie był przestraszony, że odkryłem te rany. Obojętnie przyjął wiadomość, że dziecko nie żyje. Właściwie chyba nawet poczuł ulgę.

- Uważnie przyjrzałem się także reszcie ciała chłopca - ciągnął David. Było pokryte siniakami i obrzęknięte. Zauważyłem, że miał źle zrośnięty obojczyk po złamaniu z przemieszczeniem. Wydaje mi się, że miał również złamaną nogę w kostce; widać było, że jej nie nastawiono. To było przerażające. - Nawet teraz, kiedy David opowiadał tę historię, wyglądał, jakby robiło mu się niedobrze.

- W jakim wieku byli wtedy twoi synowie? - spytałam, chcąc delikatnie pomóc mu wyrazić to, co w tej historii tak go poruszyło.

- Cóż, mój najmłodszy syn, Frank, był w tym samym wieku. Dopiero co skończył pięć lat.

- Ale mówiłeś, że pacjent miał dwanaście?

- Nie, Qanta, to ten facet tak powiedział. Szukając dowodów przemocy, celowo wykonałem serię zdjęć rentgenowskich, skupiając się na nadgarstkach, żeby określić jego wiek kostny. Technicy RTG przyjechali po tym, jak stwierdziłem śmierć pacjenta, ale i tak poprosiłem ich, żeby zrobili zdjęcia na wypadek, gdybyśmy kiedykolwiek postawili sprawcę przed sądem. Klisze pokazały, że chłopiec miał zaawansowaną osteoporozę, rezultat ubogiej diety i braku witaminy D. To tutaj dość powszechne, gdyż ludzie chronią się przed słońcem, ale ten dzieciak prawdopodobnie nie był zdrowo odżywiany.

- Co jeszcze wykazał rentgen?

- Typowe obrażenia: stare złamania żeber, które się zrosły, paskudne złamanie kości przedramienia, która wyglądała na nastawioną, ale źle - na pewno nie robił tego lekarz. No i wiek, radiolog potwierdził, że chłopiec nie mógł mieć więcej niż pięć lat. Wszystko się we mnie przewracało. Ktoś wykorzystywał to dziecko przez całe jego krótkie życie, aż skończyło martwe na szpitalnych noszach w tamtą czwartkową noc. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak chłopiec się nazywał. - David zamilkł.

Nie miałam już siły słuchać tak dramatycznych historii. Nie musiałam pytać, żeby wiedzieć, że nikt nie został za to pociągnięty do odpowiedzialności i nigdy nie zostanie^[92]. Zrozumiałam, że Maha mówiła w imieniu wszystkich pozbawionych głosu saudyjskich dzieci; była ich orędowniczką.

^[90] Gloria Steinem (ur. 1934) - amerykańska feministka, dziennikarka, od końca lat sześćdziesiątych XX wieku działająca na rzecz równouprawnienia kobiet. Autorka wielu książek i artykułów, napisała między innymi przedmowę do książki Eve Ensler *Monologi waginy* (przyp. tłum.).

^[91] Barbara Walters, Saudi Arabia, Land of Shadowy Contrasts, ABC News, 29 marca 2002.

^[92] Ed Vulliamy, *Breaking the Silence*, „The Guardian”, 5 października 2005 oraz dr Maha Al-Muneef, wystąpienie na konferencji „Gender Health from Violence to HIV: Women are Breaking the Silence”, Wiedeń, 26 czerwca 2006.

ROZDZIAŁ 36

Oređowniczka najslabszych

Opowieść Davida gęboko mną wstrząsnęła. Chciałam wiedzieć, co na ten temat myśli Maha, i posłuchać o jej działalności. Kilka dni później miałyśmy okazję porozmawiać.

- Tak, Qanta, prawdopodobnie masz rację, obaj chłopcy padli ofiarą przemocy. Bez dwóch zdań. Mieliśmy wtedy bardzo ograniczone możliwości działania, teraz zresztą też, a jak w każdym społeczeństwie, tak i u nas spotyka się prymitywnych i okrutnych ludzi. Najbardziej krzywdzone przez nich są kobiety i dzieci. Widziałam wiele podobnych przypadków. Próbuję to zmienić. Mamy sponsorów, dwie saudyjskie księżne, którym bardzo zależy, by poprawić warunki życia w naszym kraju. Naprawdę wspierają naszą działalność. - Spojrzała na mnie z powagą; chciała, żebym zrozumiała jej wysiłki.

- Mów dalej, Maha.

Upiła łyk słodkiej miętowej herbaty, poluzowała nieco abaję. Siedziałyśmy w domu na werandzie i rozmawiałyśmy. Miała na sobie stylową jedwabną koszulę z kokardą zawiązaną pod szyją i modne džinsy z rozszerzonymi nogawkami. Zawsze była na bieżąco z najnowszymi trendami. Połączenie džinsu i abai wyglądało zachwycająco.

- Musiałaś słyszeć tę historię, mówili o niej w BBC, o prezenterce telewizyjnej z Rijadu, Rani al-Baz. Prowadzi program „Królestwo o poranku” w państwowej telewizji.

Skinęłam głową. Nigdy nie oglądałam tego programu, ale słyszałam historię prezenterki. Maha zagłębiła się w bolesne szczegóły.

To była straszna opowieść. Mąż kobiety, Saudyjczyk, pobił ją tak, że wymagała interwencji chirurga plastycznego. Mówiono, że roztrzaskał jej głowę o marmurową posadzkę w ich domu i kiedy chciał pozbyć się ciała, przekonany, że kobieta nie żyje, ona nieznacznie się poruszyła. Spanikowany zawiózł ją do szpitala Bughshan. Skłamał, rzecz jasna;

powiedział, że miała wypadek samochodowy, i wybiegł „ratować resztę”.

Maha skrzywiła się z odrazą, po czym mówiła dalej:

- Lekarze nie wiedzieli, czy ona w ogóle przeżyje. Wyobraź sobie, miała chyba trzynaście złamań, okropne rany i siniaki na głowie. Jak ją przyjęli, wyglądała jak szmaciana lalka; była na wpół żywa. Nie wiem, jak to się stało, że nie miała uszkodzeń mózgu. *Al-hamdu li-(A)llah*, udało się ją uratować. Kiedy wracała do siebie na OIOM-ie, jej ojciec uwiecznił na zdjęciach obrażenia, jakich doznała, żeby jej później pokazać, w jakim była stanie. Kiedy poczuła się lepiej, przemyślała całą sytuację i postanowiła udostępnić zdjęcia prasie. To była wyłącznie jej decyzja.

Czytałam relacje na ten temat. Jej mąż, co było oczywiste, źle znosił popularność żony, która stawiała się dla kobiet w całym Królestwie symbolem. Jako prezenterka zawsze pokazywała się na wizji z zasłoniętymi włosami, ale zamiast obowiązkowej czerni nosiła bardzo kolorowe jedwabne chusty, często od Hermesa. Zawsze miała perfekcyjny makijaż. Chusta podkreślała tylko jej urodę. Zasłona służyła jedynie jako narzędzie, które pomagało jej funkcjonować w przestrzeni publicznej. Sądząc po zdjęciach, była - jak wiele saudyjskich kobiet, które poznałam - olśniewająco piękna. Ale jak przystało na ikonę, jej oddziaływanie zdecydowanie wykraczało poza urodę. Symbolizowała przyszłość, przyszłość otwierającą przed kobietami nowe możliwości w Królestwie, gdzie kobiety na wizji wciąż były rzadkością. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że przemoc, jakiej doświadczyła, miała wymiar symboliczny; ujawniła głębokie pragnienie męża, by zniszczyć żonę całkiem dosłownie - zmiażdżyć jej piękną twarz.

- W każdym razie pojawiła się w telewizji ze spuchniętą posiniaczoną twarzą i pokazała swoje zdjęcia, pozwalając, by świat zobaczył, jakich ciężkich obrażeń doznała. Widok był przerażający, ale to, na co się zdecydowała, miało duże znaczenie dla uświadomienia społeczeństwu problemu przemocy wobec kobiet i dzieci w naszym kraju. Myślę, że to był punkt zwrotny, Qanta. Oczywiście to straszne, że musiała przez to wszystko przechodzić, ale wykorzystwała własną tragedię, by pomóc milionom innych kobiet w sposób, jakiego sobie nikt wcześniej nawet nie wyobrażał. *Al-hamdu li-(A)llah*, zażądała rozwodu i wywalczyła opiekę nad dziećmi. Sądy przynajmniej raz opowiedziały się za skrzywdzoną kobietą. Jedna z naszych księżnych zapłaciła jej rachunek za szpital. Mąż został skazany na

trzysta batów, ale zmniejszono karę o połowę, kiedy Rania publicznie mu wybaczyła. Zrobiła to, by przyznano jej opiekę nad dziećmi. Udało się, chociaż w Królestwie jest to dość niespotykane. Ale nie mieli wyjścia. Opinia publiczna była oburzona.

Cała ta historia jest przerażająca, Qanta. Rania nie należy do niższych sfer, jest córką bogatego człowieka, właściciela hoteli. Pamiętaj, wiesz o tym zresztą ze swojej praktyki lekarskiej, przemoc dotyka ludzi ze wszystkich klas społecznych. Nie ma warstwy, która byłaby na nią odporna. To dzięki znajomościom ojca Rani zaproponowano prowadzenie programu w telewizji, gdzie wówczas kobiety, jeśli w ogóle się pojawiały, były zazwyczaj całkiem zasłonięte i starsze. Przełamała w ten sposób utarte schematy, a jej głos spodobał się widzom.

Młoda kobieta, pracując w świecie mediów, zakochała się w piosenkarzu, który miał na imię Fallata, i kompletnie straciła dla niego głowę. Wkrótce się pobrali. To było małżeństwo z miłości, rzecz wówczas dość niezwykła w naszym społeczeństwie. Wkrótce jednak stała się ofiarą przemocy, mimo że urodziła trójkę dzieci. Czytałam w gazecie, że skarżyła się swojej babce na męża, mówiąc, że czuje się jak jego służąca. I wiesz co? - Mahe dławiła wściekłość. Zorientowałam się, że z emocji wstrzymuję oddech. - Babka powiedziała: „I słusznie, bo jesteś jego służącą!”. Widzisz, na tym polega znaczna część problemu w naszym społeczeństwie. Całe pokolenia kobiet żyją w nieświadomości, nie znają Koranu i jego nauk. Jeśli same nie będziemy wiedziały, jakie prawa nam przysługują, nie będziemy w stanie ich egzekwować. Islam wzmacnia pozycję kobiet, to jest tak egalitarna religia, Qanta! Islam dał kobietom prawo do dziedziczenia, posiadania majątku, prawo do rozwodu i wyboru męża. Służebność nie wchodzi w rachubę. Bicie jest haram. - Maha, bardzo wzburzona, mówiła dalej: - Kiedy Rania wróciła do pracy, mimo że koledzy zachęcali, by upubliczniła całą historię, nie była mile widziana w stacji. Nakłaniano ją do odejścia. Głośne mówienie o tej sprawie kosztowało ją utratę pracy. Wydaje mi się, że pisze teraz wspomnienia, które mają być opublikowane po arabsku we Francji. Nie mogę się doczekać, żeby je przeczytać.

Ja też chciałam je przeczytać. Miałam nadzieję, że ukaże się tłumaczenie na angielski.

- To typowe: kiedy kobiety zaczynają otwarcie występować w takich sprawach, spotykają się z ostracyzmem. Dasz wiarę, że to po tym wypadku Centrum Medyczne Króla

Sauda opublikowało pierwsze badania na temat przemocy domowej? Ze zgromadzonych danych wynika, że dziewięćdziesiąt procent respondentek podało, że ich matki były ofiarami przemocy. Dziewięćdziesiąt procent! Wpojono im więc, że to jest normalne. Nie mogą zaskarżyć swoich mężów do sądów, bo boją się, że stracą dzieci, a także dom, reputację - wszystko.

Wiedziałam, że w Królestwie obowiązywała ta straszna kultura dyskrecji. Wydawało mi się, że musiała mieć związek ze wstydem. Zarówno w tym, jak i w wielu innych muzułmańskich i arabskich społeczeństwach wszystko balansuje pomiędzy pojęciem wstydu i honoru. Albo spotkał kogoś honor, albo wstyd. A w Królestwie rodziny upatrują źródła honoru w swoich kobietach. Uczucie wstydu jest zaś tak silne, że wszystko inne, nawet takie potworności, należy ukrywać.

Przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu. Maha, poruszona, sączyła miętową herbatę. Przez chwilę nerwowo mieszała napój patyczkiem z kandyzowanym cukrem, stukając w porcelanę z Limoges. Przypomniała mi się inna koleżanka, doktor Samira at-Tuwajdzri, ginekolożka położnik, specjalizująca się w zagadnieniach zdrowia publicznego, która już dawno opuściła Królestwo i pracuje dla ONZ.

- Qanta, obowiązkowa zasłona i zabranianie kobietom prowadzenia samochodu to nie choroba sama w sobie, tylko objawy bardzo poważnej dolegliwości trawiącej nasz kraj. To tylko kliniczne objawy znacznie poważniejszego syndromu.

Powoli zaczynałam rozumieć, co miała na myśli. Powiedziała też coś bardziej niepokojącego:

- Widzisz, Qanta, ja należę do elity. Nie chodzi mi o elitę finansową, choć, *al-hamdu li-(A)llah*, zawsze mieliśmy pieniędzy pod dostatkiem. Chodzi mi o elitę intelektualną. W końcu dotarło do mnie, że jestem równie stłamszona i uciskana jak te niepiśmienne kobiety, które leczę. Żyję w kraju, w którym nie istnieją prawa człowieka. Musiałam opuścić Królestwo. Mam nadzieję, że zapewnię mojej córce normalne warunki i nie doświadczy takich cierpień, jakie ja musiałam znosić. - Wyjaśniła, że będąc aktywną zawodowo Saudyjką, nie mogła wytrzymać kulturowej opresji. Nie akceptowała jej nawet własna rodzina należąca do elity.

Zakaz prowadzenia samochodu czy utrudnianie kobietom podejmowania pracy były jednym ze sposobów ciężenia tych, które się na to decydowały. Wszystko działało na niekorzyść kobiet. Pozbawione możliwości samodzielnego przemieszczania się były zdane na łaskę męskich opiekunów, zmuszone do informowania ich za każdym razem, gdzie się wybierają i kiedy zamierzają wrócić. W kraju, w którym kobietom nie wolno było podróżować bez uprzedniej zgody mężczyzn, były one zakładniczkami swoich męskich krewnych.

Rania al-Baz, poturbowana presenterka, znakomicie ujęła to w wywiadzie, jakiego udzieliła „Guardianowi” w październiku 2005 roku:

„Struktura naszego społeczeństwa, choćby fakt, że kobieta nie może prowadzić samochodu czy podróżować bez zezwolenia, daje mężczyznom wyjątkowe poczucie siły. A ta siła bezpośrednio wiąże się z przemocą. Rodzi przekonanie o nietykalności; wrażenie, że mężczyzna może robić wszystko, na co ma ochotę, nie ponosząc za to żadnych konsekwencji. Kluczową kwestią nie jest przemoc jako taka, ale to przekonanie mężczyzn, że są bezkarni. To jest społeczeństwo, które wyraża się poprzez przemoc”^[93].

Uwagi Rani al-Baz dotyczące męskiej bezkarności, przywilejów i wynikającej z tego przemocy dawały świadectwo prawdzie. Tłumaczyły niewiarygodne wypadki samochodowe, których sprawcami była znudzona, rozpieszczona saudyjska młodzież rozbijająca się luksusowymi samochodami sportowymi z prędkością przekraczającą nawet granice lekkomyślności. Porsche, lamborghini, a czasem nawet luksusowe japońskie sedany pędziły ku krwawej masakrze, w której skóra Connolly mieszała się ze skórą zabitych zwierząt. Ci, którzy przeżyli, leżeli potem u nas na OIOM-ie. Prawie każdego wieczoru mieliśmy przynajmniej jedną ofiarę wypadku w stanie krytycznym, kilku lżej rannych, a czasem człowieka, który nie żył już w momencie, kiedy go do nas przywieźli.

Jednak cały czas zastanawiałam się, jak ten zakaz prowadzenia samochodów przez kobiety miał się do historii muzułmanów; przecież w przeszłości kobiety miały tak wysoką pozycję, że były nawet prawniczkami i uczyły setki studentów w meczetach w Damaszku czy Stambule. A jeszcze wcześniej na przykład Hadrat Chadidża, pierwsza muzułmanka, kobieta niezwykle bogata, zajmowała się handlem i sama jeździła na własnych wielbłądach.

Samodzielnie zapracowała na swoje bogactwo i to ona wybrała sobie męża, właśnie Proroka, któremu zaproponowała małżeństwo. W jaki sposób znaleźliśmy się zatem w takim punkcie, że kobiety nie mogą prowadzić samochodów? Początki były obiecujące. Przypomniał mi się David, niewyczerpane źródło anegdot, który przytoczył kiedyś zabawną historię à propos fobii dotyczącej kobiet i prowadzenia przez nie pojazdów. Chichotał, zanim jeszcze zaczął opowiadać.

- Moja żona uczestniczyła kiedyś w spotkaniu w ambasadzie, na którym przemawiała pewna młoda kobieta, pełniąca służbę w US Air Force. Podczas wojny w Zatoce pilotowała jeden z tych wielkich tankowców, które uzupełniają zapasy paliwa w powietrzu. Opowiedziała o swoim pierwszym locie do Rijadu; nawet ja nie mogłem w to uwierzyć. Kiedy znalazła się nad Półwyspem Arabskim, skontaktowała się z wieżą kontrolną, prosząc o pozwolenie na lądowanie. Odpowiedzią była głucha cisza. Nikt się nie odezwał. Pomyślała, że zepsuł się nadajnik, ale dalej próbowała się połączyć. Bezskutecznie. Na szczęście drugi oficer był mężczyzną. On również spróbował połączyć się z wieżą i jako że miał odpowiedni tembr głosu - tu David znów zachichotał - otrzymał zgodną z protokołem odpowiedź i wylądowali. Skoro kobietom nie wolno tu prowadzić samochodu, pierwsze zapytanie z samolotu wydawało się nieprawdopodobne, Qanta. Kobięcy głos dochodzący z samolotu? To musiał być dzinn!



Nie miałam wątpliwości, że historia opowiadana przez Davida wydarzyła się naprawdę. Skala społecznych ograniczeń nakładanych tu na kobiety była niespotykana. Nasza religia na początku gloryfikowała silne, niezależne kobiety, a teraz usankcjonowany przez państwo wahhabicki ekstremizm zaprzeczał istnieniu silnych kobiet, nawet kiedy pilotowały samoloty odrzutowe. Feminizm jest podstawowym prawem i nadzieją wszystkich muzułmańskich kobiet. Wiedziałam już, że podobnie jak we wczesnym okresie islamu, o prawa kobiet muszą upominać się same kobiety.



Maha miała mi jeszcze wiele do powiedzenia.

- Problem okazał się znacznie poważniejszy, niż mi się wcześniej zdawało - kontynuowała. - Próbujemy zmienić tutejszą kulturę, kulturę milczenia. Nareszcie kobiety znajdują w sobie odwagę, by mówić. Pomyśl tylko o tej prezenterce: ma pozycję, pieniądze, prestiż, a milczała przez lata. Ale zmiana wymaga czasu. Nasz kraj z trudem zdobywa się na introspekcję; przychodzi to z jeszcze większym trudem, kiedy odbywa się na forum publicznym. Ale wciąż jestem optymistką, Qanta! *Ma sha Allah*, Królestwo zmienia się w niesłychanym tempie. Myślę, że stworzony przez nas Narodowy Program Bezpieczeństwa w Rodzinie wesprze wiele saudyjskich rodzin^[94]. Nasz rząd włączył się do prac nad zwalczaniem przemocy w rodzinie. Zawiazaliśmy nawet towarzystwo na rzecz praw człowieka, które koncentruje się na zagadnieniu przemocy domowej. Mamy już odpowiednie sądy i może w końcu się doczekamy, że zasiądą w nich także kobiety. *In sha Allah*, idą zmiany, idą zmiany! - Maha zaczęła wyjaśniać, że saudyjska monarchia walczyła przyczyniła się do tego, żeby ona mogła dokonywać tych potężnych zmian. - Otrzymaliśmy już oficjalną zgodę Jego Królewskiej Mości, który w swoim dekrete wsparł nasze wysiłki. Honorową przewodniczącą agencji została Jej Wysokość księżna Sita bint Abd al-Aziz Al Saud, siostra króla. Uwierz mi, Qanta, nie jest tylko figurantką, naprawdę aktywnie działa. Mamy jej wsparcie zarówno w kwestii definiowania problemów, jak i szukania rozwiązań. Program, który stworzyłam w ramach naszego szpitala będącego placówką rządową, może teraz działać jako organizacja non profit pod królewskim patronatem. A to ma kluczowe znaczenie, ponieważ zapewnia nam wpływy. Mamy wstę! Miałam dużo szczęścia. Księżna okazała się niezwykle życzliwie nastawiona do naszych pomysłów i miała odwagę pochylić się nad trudnymi i bolesnymi problemami, z jakimi borykają się rodaczki. Prawdopodobnie czytałaś o tym, że wkrótce saudyjskie kobiety zostaną w naszym kraju adwokatkami. Pionierem jest kancelaria Ahmada Zaki Jamaniego, w której niedawno postanowiono zatrudniać kobiety. To dla nas o wiele ważniejsze niż prowadzenie samochodu i abaje. Mamy znacznie większe problemy!

Po raz kolejny uderzyła mnie zbieżność z wczesnomuzułmańskim feminizmem. Najpierw kobiety musiały skorzystać ze swoich praw, zażądać wolności i przywilejów oraz częściowo uniezależnić się od mężczyzn. Z moich doświadczeń w Królestwie wynikało, że saudyjskie kobiety mogą liczyć na wsparcie ze strony życzliwych im mężczyzn, ale przede wszystkim muszą same włożyć w to dużo wysiłku. Może wreszcie kobiety zaczynały wierzyć w siebie i w to, że stanowią ważną część społeczeństwa, siłą napędową zmian na własnych warunkach, we własnym rytmie, a nie pod dyktando męskiej części społeczeństwa.

Rozumiałam dylemat Mahy. Z jednej strony chciała kontrolowanej zmiany pod patronatem potężnych królewskich sponsorów mających zapewnić sprawie powodzenie. Z drugiej strony niecierpliwiła się, ponieważ zależało jej na zagwarantowaniu sprawiedliwości dla najsłabszych w społeczeństwie. Tak wiele spraw w Arabii Saudyjskiej było objętych złą milczeniem, że w końcu nic nie wydawało się oczywiste, co w pewien sposób uwłaczało wysiłkom podejmowanym przez ludzi należących do elity intelektualnej, jak lubiłam myśleć o moich przyjaciółkach w Królestwie.

Trywializacja to najlepsze określenie, jakim można opisać zagrożenie wiążące się z oceną wydarzeń z pozycji outsidera. Zachód wolał widzieć Królestwo jako karykaturę; rzeczywistość była nieznana, a często niewiarygodna.

Maha milczała. Aż drżała z ekscytacji, a jej twarz promieniała. Zasłonięta niepozorną abają, naprawdę była wulkanem energii.

- Wiesz co, Qanta? Niedawno po raz pierwszy wsadziliśmy za kratki przestępcę. Możesz uwierzyć, że zmieniliśmy prawo? Przestępstwa związane z przemocą domową nie były dotychczas karane więzieniem. To my, grupa zasłoniętych saudyjskich kobiet, dokonaliśmy tej zmiany! Wierz mi, w końcu nadejdzie nasz dzień, dzień saudyjskich kobiet! Uczymy się, stajemy się coraz odważniejsze, znajdujemy sprzyjających nam mężczyzn, takich jak doktor Fahad, który wspiera moje działania w Gwardii Narodowej i zapewnia mi warunki do ich kontynuowania, czy też nasz król, którego wpływy są nie do przecenienia. *Al-hamdu li-(A)llah*, mamy tu wszystko, co konieczne, by rozwiązać nasze problemy. Potrzeba tylko odwagi, a Allah jej nam doda. Mówi się, że Allah pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, i że nie zmienia ludzi, dopóki sami się nie zmienią. Sprawdź to, moja droga.

To jest bardzo ważne. Islam ceni postęp i samodoskonalenie wyznawców. Na nas spoczywa odpowiedzialność za spełnienie tego oczekiwania. Zmieniamy się, Qanta, niech ci się nie wydaje, że jest inaczej!

Nie miałam cienia wątpliwości. Przecież siedziała przede mną Maha, saudyjska Gloria Steinem.

^[93] Ed Vulliamy, *Breaking the Silence*, dz. cyt.

^[94] Raid Qusti, *Cases of Child Abuse on the Rise*, „Arab News”, 19 lipca 2006.

ROZDZIAŁ 37

11 września w Arabii Saudyjskiej

O czwartej po południu we wtorek byłam w domu wcześniej. Napełniłam czajnik nagrzaną przez słońce odsoloną wodą. Pozwoliłam sobie na rzadką chwilę przyjemności. Złożyłam rezygnację. Po dwóch latach opuszczałam Królestwo; w końcu miałam wrócić do Nowego Jorku - do prawdziwego wolnego świata, gdzie znów będę doceniana jako kobieta. Cieszyłam się i odczuwałam z tego powodu satysfakcję.

Panujący na zewnątrz nieznośny popołudniowy upał wciskał się do mieszkania na ostatnim piętrze. To miał być mój ostatni saudyjski wrzesień, ostatnie miesiące gwałtownych pustynnych wiatrów, ostatnie dni pełne kurzu w spowiciu obezwładniającego czarnego poliestru.

Ściągając e-maile, delektowałam się niecierpliwym wyczekiwaniem na kontakt z prawdziwym światem. Telewizor był włączony. Głos Katie Couric działał na mnie uspokajająco. Stacja NBC zdawała się nadawać wciąż tę samą wiadomość. Zerknęłam na pojedynczą płonąca wieżę, a uporczywe staccato syren przyciągnęło mnie przed ekran.

Chwilę później moja nostalgia rozplynęła się w przerażających kłębach dymu. Rzuciłam się do telefonu i nerwowo zaczęłam wybierać numery, żeby dodzwonić się do przyjaciół w Nowym Jorku. Jeszcze chwilę wcześniej 11 września był dla mnie dniem wolności i otwarciem nowego rozdziału. Teraz moja amerykańska przyszłość ustąpiła miejsca straszliwej pustce. Tak jak strzała przeszywa cel, tak groty w postaci samolotów przecięły nasz świat na dwie części. Wszystkich ogarnęło przerażenie. Przypomniał mi się mrozący krew w żyłach hadis, który w tych okolicznościach wydawał się przepowiednią. Słowa te przypisywane są Prorokowi, który na zadane mu pytanie o to, czego najbardziej się obawia, jeśli chodzi o swoich zwolenników, odpowiedział:

Recytują Koran i odczytują go na własną korzyść,

ale jest przeciw nim.

Przestawiają wersety Koranu mające odnosić się do niewiernych

i sprawiają, że odnoszą się do wierzących.

To, czego najbardziej obawiam się, jeśli chodzi o moją ummę,

to człowiek, który interpretuje wersety Koranu,

wyjmując je z kontekstu^[95].

Przenikną przez islam tak, jak strzała przenika

przez swoją zdobycz.

Gdziekolwiek ich spotkacie, zabijcie ich!

Ten, kto ich zabije lub przez nich zabity zostanie,

jest błogosławiony.

To są psy mieszkańców Piekła.

Sceny śmiertelnych ataków powtarzano bez końca. Oglądałam cyfrowy przekaz: wałące się wieże i tumany pyłu omiatającego ekran i gwałtownie przemierzającego Dolny Manhattan; przekaz rozsyłający echa zniszczenia, dające się słyszeć na całym świecie. Odczuwałam je już tutaj. Natychmiast zadzwoniłam do Imada.

- Wiem, Qanta, właśnie oglądamy to w biurze administracyjnym. To niewiarygodne. -
Wydawał się poruszony. Mimo to jego głos był jakiś chłodny.

A przecież dopiero mieliśmy poznać narodowość sprawców. Stwierdziłam, że nie mam ochoty zgłębiać jego reakcji, dlatego postanowiliśmy porozmawiać później.

Nie mogłam zasnąć. W ciągu tych bezsennych godzin na zmianę nerwowo wybierałam numery telefonów i oglądałam telewizję satelitarną, dlatego następnego poranka przyjechałam do pracy wykończona. Wokół mnie na oddziale intensywnej opieki medycznej, pełnym hojnych śladów amerykańskich dolarów pochodzących z podatków, panowała atmosfera stonowanego uniesienia. Przypomniałam sobie podobne podekscytowanie, kiedy gubernator George W. Bush został w 2000 roku ogłoszony prezydentem. Arabia Saudyjska odetchnęła wówczas z ulgą. W swojej naiwności dość głupio się wtedy temu dziwiłam. Czyżbym nie wiedziała, że gdyby Al Gore został wybrany, amerykańska prezydentura byłaby „zaledwie o krok od Żydów”, jak wyjaśnili mi z irytacją koledzy, odnosząc się do senatora Liebermana? Zaszokowana, wzdrygnęłam się z powodu tego wrodzonego antysemityzmu powszechnego wśród moich wykształconych kolegów po fachu.

Kilka miesięcy później po raz kolejny poczułam się zagubiona. Poddana ciężkiej próbie ciszy, przerywanej jedynie zmechanizowanymi oddechami otaczających mnie pacjentów, czułam, jak coraz bardziej nawarstwiają się moje liczne zmartwienia. Nieobecny wzrokiem przyglądałam się przez szybę zarówno swoim kolegom, jak i pacjentom.

Nikt nie podszedł do mnie, żeby wyrazić zaniepokojenie sytuacją w Nowym Jorku, mimo że było to miejsce, które wciąż nazywałam domem. Gdy ośmieliłam się wykroczyć poza rozmyślania, coraz bardziej uświadamiałam sobie atmosferę podekscytowania.

W hermetycznym świecie OIOM-u wyczuwałam niepozostawiający wątpliwości fetor - wyraźne zadowolenie.

Patrzyłam przez szybę. Madzid studiował zdjęcie rentgenowskie; jego czoło w kolorze kości słoniowej zmarszczyło się w skupieniu. Jasna, naznaczona żyłkami skóra świeciła na tle negatoskopu na niebiesko-biało. Był obywatelem Omanu i wspaniałym, wykształconym w Stanach lekarzem, którego prace publikowano w najlepszych amerykańskich czasopismach medycznych. Cieszył się opinią nieocenionego, doświadczonego współpracownika.

Tego poranka jego chłodne niebieskie oczy błyszczały. Zwykle nie okazywał emocji, a dziś był wyraźnie podekscytowany. Nie śmiałam zapytać o powód, mając w pamięci jego zdumiewający wybuch złości na moich polskich kolegów kilka miesięcy wcześniej, kiedy kwestionował rzeczywistość Holocaustu. Radek i Jan patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Zwłaszcza Radek był zdziwiony, ponieważ jego przyjaciel organizował wycieczki historyczne dla Izraelczyków odwiedzających Kraków. Madzid był zadeklarowanym rewizjonistą. Na własne oczy widziałam jego pełną oburzenia nihilistyczną postawę wobec 6 milionów ludzi skazanych na całkowite wymazanie z pamięci w niezliczonej ilości ciasnych umysłów takich jak jego. Mimo że był inteligentny, posiadał również takie zdolności, z jakimi nigdy wcześniej się nie zetknęłam.

Byłam osamotniona w swojej naiwności. W przeciwieństwie do mnie Jan i Radek poznali już zajadły antysemityzm panujący w Królestwie. Jeden incydent szczególnie zapisał się w ich pamięci. Jan i jego żona Jola zwiedzali stadion na wycieczce z przewodnikiem, zorganizowanej przez Szpital Gwardii Narodowej. Palestyński przewodnik, podekscytowany, że rozpoznał na koszulce Jana godło Polski, traktował tę parę szczególnie po przyjacielsku. Otoczył ich troskliwą opieką; sprawił, że wycieczka bardzo się udała. Na zakończenie Jan powiedział mi, że jest zaskoczony, że Palestyńczyk rozpoznał polskie godło.

- Och, doktorze Adamski, Palestyńczycy kochają Polaków! Nie wiedział pan o tym? To dzięki temu, że tak skutecznie poradziście sobie z Żydami. Uwielbiamy was!

Jan i Jola byli załamani. Pobledli; zrobiło im się niedobrze.

Serdeczny Palestyńczyk patrzył na nich rozpromieniony - szczerze podziwiał parę

Polaków.

Od dawna boleśnie odczuwałam swoją inność w tych wytwornych medycznych kręgach Rijadu. Moje relacje z żydowskimi przyjaciółmi, szczególnie w Ameryce, w najlepszym razie budziły zdziwienie (zachęciły jedną Saudyjkę do zapytania: „A co jedzą Żydzi?”), a w najgorszym (w oczach ortodoksów) sprawiały wrażenie niemoralnej dewiacji potwierdzającej jedynie moją herezję. Wielu kolegów i saudyjskich przyjaciół z powodu tych znajomości uznało, że nie należę do ich kręgu - byłam inna, byłam wyrzutkiem.

Zwróciłam się do pakistańskich przyjaciół w nadziei, że znajdę wśród nich schronienie. Imran, wspaniały, wyszkolony na Manhattanie lekarz medycyny ratunkowej, który przyjął mnie w swoim domu, był przystojnym mężczyzną, sobowtórem Dylana McDermotta. Zawsze mogłam liczyć na jego poczucie humoru, które pomagało przetrwać najbardziej monotonne dni. Dzisiaj nie miał nastroju do żartów, chociaż był osobliwie pobudzony, jakby wstąpiła w niego nowa energia. Mobin, bardziej ortodoksyjny muzułmanin, życzliwy Pakistańczyk, nawet się śmiał, zafascynowany najnowszymi doniesieniami. Jedynie Imtijaz, który z trudem odrywał się od ukochanej poezji perskiej, żeby zajmować się pacjentami, wyglądał na odrobinę zaniepokojonego. Powiedział:

- Ameryka przeżywa teraz ciężkie chwile. Nastają dla niej czarne dni.

Analizowałam jego wyraz twarzy, niepewna, czy mówi ze współczuciem. Zanim zdążyłam to rozstrzygnąć, Imran rozwiał wszelkie wątpliwości co do tych powszechnie panujących nastrojów.

- Cóż, tysiące Amerykanów straciło życie. Obecnie mówi się, że około trzech tysięcy. Qanta, czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile osób ginie każdego dnia w Palestynie? Śmierć tamtych ludzi to prawie nic w porównaniu z tym, ilu od lat codziennie traci życie w świecie muzułmańskim. Czyżbyś nie wiedziała, z jaką masakrą mieliśmy do czynienia, pracując w Karaczi w naszych szpitalach Alma Mater?

Imtijaz przytaknął skinieniem głowy.

- Boże, te bomby, które tak często wybuchały w Karaczi, były straszne. Pamiętam to

jeszcze z czasów studenckich, gdy byłem na medycynie. Ranni w tych wybuchach byli jednymi z pierwszych pacjentów, jakimi się zajmowałem - odezwał się, nawiązując do lat przemocy, która nękała miasto przez tak długi czas.

Spojrzałam na Imrana. Byliśmy właśnie u pacjenta z poważnym zakażeniem kończyny. Zaskoczył mnie gniewny wzrok kolegi. Był zły z powodu mojego smutku. Wpatrywałam się w cuchnącą ranę, którą kontrolowaliśmy. Od tygodni zajmowaliśmy się tym pacjentem. W oczach znajdujących się wokół mnie lekarzy wysiłek, jaki wkładaliśmy w leczenie pojedynczego muzułmanina, był na swój sposób więcej wart niż te trzy tysiące dusz, które zginęły piętnaście tysięcy kilometrów na zachód stąd. Wprawiło mnie to w osłupienie.

- Co się stało, Qanta? Wyglądasz okropnie! - wyrwało się koledze z Bejrutu, który rzadko zaczynał rozmowę. - Jesteś chora? Co się dzieje? - Wyraz jego twarzy zdradzał konsternację.

- O co ci chodzi? - odwarknęłam. - Nie widziałeś wiadomości? Nie wiesz, ilu Amerykanów wczoraj zginęło? Oczywiście, że wyglądam okropnie. Przez całą noc usiłowałam dodzwonić się do swoich przyjaciół. To po prostu niewiarygodne - wyrzucałam z siebie narastającą złość.

Imran zaśmiał się głucho.

- Qanta, na jakim ty świecie żyjesz? Jesteś taka naiwna. Zawsze tak sądziliśmy. Myśleliśmy jednak: „Ona nie może o tym wiedzieć, bo nie śledzi, co się dzieje w polityce”, dlatego cię usprawiedliwialiśmy. Nadszedł czas, żebyś zdała sobie sprawę z tego, że Ameryka to samo robi z ludźmi na całym świecie. Morduje. Teraz przyszła kolej na nią. Amerykanie zasłużyli na to...

Wycofywałam się, więc nie słyszałam dalszego ciągu. Nie mogłam dłużej stać wśród kolegów, mężczyzn, których uważałam za przyjaciół. To, że odstawałam od reszty mojego otoczenia, stało się teraz oczywiste. Nie byłam z tych muzułmanów. Byłam kimś innym.

Wszystko się we mnie gotowało z powodu tego ich obłędu i przekonania o własnej

nieomyślności. Leczyli pacjentów w najbogatszym arabskim kraju na świecie tylko dzięki zdobytym w Ameryce kwalifikacjom, swoje umiejętności zawdzięczali wieloletniej opiece mentorskiej, jaką otrzymali od Amerykanów, częstokroć od amerykańskich Żydów. Tym mężczyznom udało się to wszystko osiągnąć, mimo że ukończyli ubogie szkoły w innych krajach. Wyjechali do Ameryki tylko dlatego, że amerykański rząd wspaniałomyślnie wydał im wizy. Było mi niedobrze. Kto jak kto, ale ci wykształceni w Ameryce Pakistańczycy, którzy mieszkali w Nowym Jorku i byli lekarzami, nie powinni tak się zachowywać; powinno być im wstyd, że tak reagują.

Niepewnym krokiem oddaliłam się od tych mężczyzn, których przestałam rozumieć, nie wiedząc, gdzie się podziąć ze swoim smutkiem. Nikt nie był zainteresowany moim niemądrym poczuciem straty. Sensem życia nas, lekarzy, jest ratowanie ludzkiego życia. Wyrachowana matematyka nienawiści, żądza krwi, jaką przejawiali koledzy lekarze, którzy utrzymywali, że są muzułmanami, zaszokowała mnie. Nie bacząc na to, że pełnili funkcję uzdrowicieli przysięgających po pierwsze, nie szkodzić, po drugie, ratować życie, po trzecie, przynosić ulgę w cierpieniu, otwarcie i z dumą afiszowali się z nienawiścią. Byli niemal gotowi mnie wychłostać za to, że nie podzielałam ich odczuć. Na szczęście było we mnie coś, co ich powstrzymywało. Nastąpił między nami podział.

Później, w czasie wieczornego obchodu, pielęgniarki zbite w grupkę w ciemnym korytarzu OIOM-u pośród bipejących monitorów i wyciszonych telefonów poprosiły mnie o rozmowę.

- O co chodzi? - zapytałam zmęczona. Chciałam zakończyć rundę po oddziale. Dawno minęła północ.

- Nie tutaj, *doktora*, nie tutaj. - Mama Mary miała poważną minę.

Vicky, Zuluska, która niedawno owdowiała, wyglądała na zaleknioną.

- Tu powinno być okej. Tutaj nikt nas nie usłyszy. Wciągnęły mnie do pustej izolatki zarezerwowanej dla osób po przeszczepach. Podwójna para drzwi szczelnie się za nami zamknęła. Rolety były opuszczone. Z wentylatora wydobywał się cichy szum. Tej nocy cisza nie działała kojąco.

Pielęgniarki mnie otoczyły. Stojąc tak ze mną w kręgu, tworzyły przekrój narodowości; każda była z innego kraju: ze Szwecji, z Południowej Afryki, Indii, Filipin, Kanady. Mama Mary z wahaniem opowiedziała mi o wydarzeniach z 11 września, jakie miały miejsce w ciągu dnia. Kiedy ja siedziałam przyklejona do telewizora, one miały dyżur. Skandynawka już zaczynała płakać.

- *Doktora*, na oddziale położniczym, a także na oddziałach ogólnym i chirurgicznym, pacjenci oglądali telewizję, kiedy runęły wieże. Saudyjczycy zaczęli nawet klaskać.

Zazwyczaj nieśmiała Juliette wtrąciła się z przejęciem:

- Jedna z moich koleżanek pielęgniarek, Amerykanka, była wtedy na oddziale i podawała lekarstwa. Kiedy pacjenci zaczęli klaskać, powiedziała: „Jestem Amerykanką”, a oni się zaśmiali. Dalej bili brawo. Rozpłakała się, jednocześnie usiłując podawać im leki.

- Ale to jeszcze nic! - rzuciła Mama Mary łamiącym się z oburzenia głosem, w którym pobrzmiwał akcent języka afrikaans. - Te cholerne położne, dwie saudyjskie kobiety - kobiety, na litość boską - zamówiły ciasta! To dopiero hańba!

- Ciasta? To chyba jakieś żarty! - przerwałam jej, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Ciasta, *doktora* Qanta! Ciasta! Tak, tak. Nie przesadzam. Natychmiast zaczęły wybierać numer, gdy zobaczyły, jak wałą się wieże. Zamówiły nie jedno, a dwa ciasta. Dowieziono je z cukierni *Diplomat*. Podzieliły ciasto na kawałki i częstowały nim resztę personelu, traktując to jako formę *mabruk* (gratulacji). Posłały ciasto nawet cieszącym się pacjentom na tych samych oddziałach, na których dyżurowały wówczas amerykańskie pielęgniarki i te z innych krajów zachodnich.

- Skąd pani wie? Widziała pani? - naciskałam, ponieważ nie mogłam uwierzyć, że to może być prawda.

- To nie widziała pani tej notatki służbowej? Doktor Fahad rozesłał ją po szpitalu natychmiast, gdy się o tym dowiedział, potępiając ich zachowanie. Nie wydaje mi się, żeby

zostały ukarane. Nie wiemy tego. Ale ją napisał i kazał wywiesić na każdym oddziale w szpitalu. Przypominał w niej, że w szeregach naszej instytucji pracują przedstawiciele pięćdziesięciu trzech narodowości, z czego wielu ma rodziny i domy w Ameryce, oraz wyraził ubolewanie z powodu wydarzeń w Nowym Jorku. Dodał również: „Jakakolwiek inna reakcja ze strony członków instytucji jest niedopuszczalna”.

Wiedziałam już, że nie był to wytwór bujnej wyobraźni kobiet czy złośliwa plotka. To naprawdę miało miejsce. Kilka metrów od nas saudyjskie kobiety, położne, które każdego dnia ogromnie zręcznymi rękami przyjmowały na świat nowe życie, uczyły morderstwo, zjadając się lekkim ciastem biszkoptowym z maślaną polewą.

Przez jakiś czas szeptem wyrażaliśmy oburzenie pośród bipezujących monitorów kardiologicznych i syczących respiratorów. Poczulałam ulgę, że moi pacjenci znajdowali się w stanie śpiączki i nie mogli mnie zranić. Po chwili zamilkłyśmy oszołomione, nie mając ochoty opuszczać miejsca, w którym znalazłyśmy odrobinę prywatności. Dobrze się czułam w towarzystwie tych kobiet z Zachodu, Afrykanek i Filipinek. Każda z nich była chrześcijanką zmuszoną, by ukrywać swoje wyznanie. Mimo to tutaj, w epicentrum islamu, byłam samotna pośród muzułmanów, którzy swoją nienawiścią sprawili, że czułam się wyobcowana. Nie widziałam dla siebie miejsca wśród nich. Już tutaj nie przynależałam.

W ciągu kilku dni ustalono, że terroryści byli Saudyjczykami. Świat obracał się teraz wokół nowej osi. Z dnia na dzień znalazłam się na niewłaściwym biegunie. Byłam sparaliżowana tymi zatrważającymi doniesieniami, podobnie jak wielu innych ekspertów.

- Pochłaniam ogromne ilości czekolady, Qanta - powiedziała Jane, kiedy kilka dni później rozmawiałyśmy przez telefon. Omawiałyśmy moje wrażenia z minionych dni. Słyszała te same opowieści. Przerwała na chwilę, przegryzając chipsa. - Właściwie nie rozmawiałam z żadnym Saudyjczykiem ze swojego oddziału. To nie jest temat, który można z nimi poruszać. Trzymam się z brytyjskimi i nowozelandzkimi znajomymi. Bardzo się zbliżyliśmy.

- U mnie jest podobnie, Jane - powiedziałam, zdając sobie sprawę z tego, jak szybko zostałyśmy oddzielone od Saudyjczyków, których znałyśmy. Za bardzo bałyśmy się dyskusji z nimi, mimo że obracałyśmy się w kręgu osób wykształconych.

Wizyta w sklepie spożywczym na terenie kompleksu potwierdziła jedynie powszechnie panującą nienawiść.

Kasjer z południowych Indii skanował ceny produktów, które kupowałam. Zawsze gadatliwy, chciał porozmawiać. On mówił w swoim ojczystym hindi, a ja odpowiadałam w urdu. Z przejściem zaczął komentować ostatnie wydarzenia:

- Cóż za dobre wieści z Nowego Jorku, *doktora!* Amerykanie sobie na to zasłużyli.

Zdegustowana spojrzałam znad portfela. Ten mężczyzna, może co najwyżej dwudziestodwuletni, dotychczas zawsze ujmował mnie życzliwością i ciepłem. Była w nim swojego rodzaju ciekawość, która dawała nadzieję. Okazało się jednak, że był prymitywny i przepełniony nienawiścią.

- Nowy Jork jest moim domem! - krzyknęłam. - Tam mieszka moja rodzina i przyjaciele. Nie waż się nigdy więcej tak mówić! Nazywasz siebie muzułmaninem i świętujesz śmierć? Nie wiesz, że życie jest najświętszą rzeczą w islamie? Że prawo do życia jest ważniejsze nawet od praw boskich?

Młody człowiek aż się skulił, tak ostro go zaatakowałam. Zawstydzony natychmiast zaczął przeproszać. Wyrwałam mu zakupy, rzuciłam garść banknotów i precyzyjnie przesunęłam się obok pozostałych kupujących. Chciałam wyjść stamtąd jak najszybciej.

Dni po 11 września uświadomiły mi istnienie wyjątkowego spoiwa, które we wspólnej nienawiści jednoczyło najlepiej wykształconych muzułmanów, elitę, z najslabszymi i niewykształconymi jednostkami. Gdy przypadkiem zetknęłam się z obrzydliwymi animozjami i prostacką żądzą, przypominałam sobie o tym, o czym chciałam zapomnieć: o głęboko zakorzenionym nurcie antyamerykanizmu i antysemityzmu, które często zdawały się iść tu ze sobą w parze. Od razu przyszedł mi na myśl pewien przykład.

Kilka miesięcy wcześniej, gdy wychodziłam z wypożyczalni wideo, która znajdowała się na terenie kompleksu, zauważyłam saudyjską parę. Kobieta była ubrana w hidżab, miała odsłoniętą twarz i stała obok ubranego w saubę męża. Wypożyczali właśnie film, planując

czwartkowy rodzinny wieczór. Ich córka, co najwyżej dziesięcioletnia, stała pomiędzy nimi. Nie była zasłonięta. Jej kręcone włosy spływały kaskadą. Szczupłutkimi palcami ozdobionymi plastikową biżuterią kurczowo trzymała rękę matki i w ciszy czekała. Związane tasiemką włosy świadczyły o tym, że była zadbana i kochana. Pokrzepiona widokiem córeczki, byłam zaskoczona, gdy zauważyłam, że matka ściska w dłoni film *Adwokat diabła* z Alem Pacino. Widziałam ten film i wiedziałam, że nie jest odpowiedni dla dziesięcioletki. Musiałam zareagować.

- Przepraszam, ale niektóre sceny w tym filmie są dość jednoznaczne. To nie jest coś, co powinni państwo pozwolić obejrzeć swojej córce. Ja widziałam ten film. Myślę, że nie chcieliby państwo, żeby córeczka to zobaczyła.

- Doskonale wiemy, co to za film. Znamy jego notowania - powiedziała rozpromieniona matka tak, jakbym jej nie doceniła. - Właśnie dlatego chcemy, żeby nasza córka go zobaczyła!

Byłam w szoku. Film przedstawiał świat, w którym Al Pacino jest szatanem. Obraz jest naszpikowany scenami seksu grupowego, będącymi wyrazem szatańskiego zła, a przemoc jest doprowadzona do skrajności. Jak na ironię, wszystko rozgrywa się na tle luksusowej interpretacji współczesnego Nowego Jorku.

- Czy jest pani pewna, że chce pokazać to dziecku? - Spojrzałam na matkę, nie bardzo wiedząc, w jaki sposób powiedzieć, że narazi córkę na oglądanie scen erotycznych, a jednocześnie jej nie zawstydzić w tej malutkiej wypożyczalni.

- Tak, chcemy, żeby nasza córka poznała wszystko, co jest złe na Zachodzie, a zwłaszcza w Ameryce. Chcemy, żeby była świadoma wszystkich złych rzeczy, jakie stamtąd pochodzą. To dla jej dobra. Nie wierzę w sens chronienia mojego dziecka. Uważamy, że powinniśmy pokazać jej prawdziwe oblicze tego zepsutego i zdewaluowanego świata! Chcę uświadamiać córkę. Ona musi być przygotowana.

Byłam zdumiona zarówno jej ignorancją, jak również świetną angielszczyzną, jaką się posługiwała. Nie mogłam tego tak zostawić.

- Bzdury! Bardzo się pani myli. Ja jestem produktem Nowego Jorku. Ten film nie jest jego obrazem. To fantazja. Wcale nie powie pani prawdy swojej córce; to będzie kłamstwo. A ja jako brytyjska muzułmanka czuję się osobiście urażona tym, co pani powiedziała. Mieszkałam w Nowym Jorku i mogę panią zapewnić, że moim zasadom moralnym niczego nie brakuje; podobnie jest w przypadku wielu nowojorczyków i Amerykanów. Utrwała pani jedynie w córce ignorancję.

Surowym wzrokiem obrzuciłam najpierw kobietę, która zabarykadowała się w swoich uprzedzeniach, a następnie jej delikatną córkę, wciąż wolną od dyskryminujących przekonań. Tchórzliwy ojciec z zażenowaniem przestępował z nogi na nogę, nie chcąc uczestniczyć w tym zamieszaniu. Nie wiedział, jak zareagować. Opuściłam wypożyczalnię, nie wiedząc, czy zmienili zdanie w kwestii filmu. Zdałam sobie sprawę z tego, że niektóre matki wpajały swoim dzieciom nienawiść w taki sam sposób, w jaki inne uczyły miłości. Wysoka pozycja społeczna, zdobyte za granicą wykształcenie, świetna znajomość angielskiego i możliwości wciąż nie stanowiły wystarczającego panaceum na nienawiść.

W efekcie, nawet jeśli z upływem czasu temu zaprzeczałam, byłam dobrze zaznajomiona z nienawiścią w Królestwie. W ciągu kolejnych dni po 11 września zatroskani przyjaciele namawiali mnie, żebym wracała. Moi przyjaciele Żydzi sami z siebie jako pierwsi wychodzili z propozycją pomocy.

- Wyjeżdżaj jak najszybciej! - nakłaniał mnie Stuart, bliski przyjaciel i mentor, wspierający mnie w badaniach, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. - Mamy tu teraz do czynienia z niewiarygodnym pragnieniem zemsty. To jest groźne. Krążą plotki o planowanych zamachach. Nie wiem, czy jesteś tam bezpieczna. Potrzebujesz pieniędzy? Powiedz tylko!

„Pomożemy ci się wydostać! Wyjeżdżaj jak najszybciej! - czytałam wiadomość od Alana. - Powiedz, czego ci potrzeba! Czekamy!”. - Wyczuwałam głęboką troskę w jego licznych e-mailach, które zazwyczaj były rzadkością, a teraz napływały jeden za drugim.

„Wracaj do domu, martwimy się o Ciebie” - pisała Ronna, żona mojego mentora.

Na tym wzburzonym muzułmańskim morzu koło ratunkowe rzucali mi Żydzi. Byłam

im ogromnie wdzięczna za wsparcie i cieszyłam się, że Allah pobłogosławił mnie dobrocią tych ludzi. Nie wstydziłam się zażyłych kontaktów z Żydami w przeciwieństwie do wielu muzułmanów na świecie, którzy dorastają w przekonaniu, że jest w tym coś złego, a już szczególnie po 11 września. Było mi jedynie ogromnie wstyd z powodu ignorancji i nienawiści muzułmanów.

W ciągu kolejnych ciężkich tygodni zorientowałam się, że wiele osób z kręgu moich muzułmańskich znajomych trawi antysemityzm. Zarówno saudyjscy, jak i niesaudyjscy muzułmanie nie mieli oporów, żeby dzielić się ze mną swoimi pełnymi nienawiści poglądami, mimo że niektórzy wybierali się wkrótce do swoich domów w Wirginii z granatowymi paszportami w dłoniach. W pewien sposób (w ich przekonaniu) mój identyfikator z muzułmańskim nazwiskiem miał świadczyć o tym, że przyzwałam na mowę nienawiści, niekiedy wyjątkowo napastliwą. Najgorsza sytuacja, z jaką miałam do czynienia, okazała się jednocześnie najbardziej druzgocącym rozczarowaniem.

Mu'ajjad w końcu zaprosił mnie na kolację. Był świeżo po ślubie i chciał przedstawić mnie swojej młodej żonie, Nadźwie. Przez lata był playboyem, ścigał się łodziami motorowymi na jeziorze Como podczas długich letnich wakacji, nosił długie włosy i opierał się swojej kulturze. Teraz wszedł w tradycyjną rolę przeznaczoną mu jako saudyjskiemu mężczyźnie. Ożenił się z saudyjską muzułmanką; taką, która była wyjątkowo piękna.

- Zobaczyłem ją na weselu w Akabie i od razu wiedziałem, że ją poślubię. Nienawidziła mnie. Uważała, że jestem arogancki. - Mu'ajjad zaczerwienił się na wspomnienie początkowej żarliwości swoich uczuć, a jego czarująca żona przyglądała mu się z uwielbieniem.

Siedzieliśmy u nich w salonie umeblowanym francuskimi antykami. Ciężkie adamaszkowe zasłony sprawiały, że pokój tonął w zatęchłej od perfum ciszy. Żona Mu'ajjada wręczyła mi świeżo wyciśnięty sok w kieliszku Baccarat na długiej nóżce. Jej szczupłe kremowe ramiona wystawały z szyfonowych rękawów stylowej tuniki, prawdopodobnie od Gucciego, która idealnie współgrała z džinsami marki Earl.

- Tak uważałam! - Zaśmiała się. - Był taki pewny siebie, taki zarozumiały!

- A później się w sobie zakochaliśmy! Musiałem się z nią ożenić, prawda, *habibti?* - zwrócił się do niej z czułością Mu'ajjad, obejmując ją w tali. Był wciąż wyraźnie urzeczony młodą żoną, dziewięć miesięcy po przyjściu na świat ich pierwszego dziecka, syna, któremu dali na imię Muhammad.

Zaczęli opisywać mi swój szalony międzynarodowy romans, który, jak w przypadku wielu innych Saudyjczyków, rozwijał się poza granicami kraju w ramach szeroko rozpowszechnionego fenomenu transnarodowego randkowania^[96]. W odpowiedzi na restrykcyjną sytuację społeczną panującą w Królestwie wielu Saudyjczyków spotykało się za granicą, często podróżując w towarzystwie członków swoich rodzin, żeby w czasie długich letnich wakacji nawiązywać tak ważne kontakty towarzyskie. Niejednokrotnie podczas takich wyjazdów poznawały się późniejsze pary i dwoje ludzi zakochiwało się w sobie.

Przyglądałam się tej rodzinie. Cieszyłam się szczęściem Mu'ajjada. Nałogowy palacz, żyjący w ciągłym stresie, nadciśnieniowiec i jednocześnie wybitny chirurg - miał problem, żeby się odprężyć. Nadżwa najwyraźniej działała na niego uspokajająco. Mimo to wciąż był pracoholikiem. Nawet mnie, z moim neurotycznym podejściem do pracy i opieki nad ciężko chorymi pacjentami, daleko było do jego wytężonych wysiłków i obsesyjnego zajmowania się swoimi podopiecznymi. Często pracował kilka dni bez przerwy, operując dwadzieścia cztery godziny na dobę przy ograniczonym wsparciu ze strony zmiennika. Jako chirurg z ukończoną podspecjalizacją należał do nielicznej grupy tego rodzaju specjalistów w swoim kraju. Nikt inny nie miał jego umiejętności i pacjenci przyjeżdżali do niego z całego regionu. Wielu z nich to byli ludzie ubodzy, niektórzy z bardzo poważnymi wadami wrodzonymi, będącymi rezultatem małżeństw zawiązywanych w obrębie rodziny. Operował każdego, komu mógł pomóc. Niezależnie od tego, czy miał się zająć rzadkim defektem, czy dokonywał po prostu rutynowego usuwania oszpecających blizn, Mu'ajjad, jako wytrawny lekarz, zawsze był niestrudzoną, szczerze oddaną perfekcjonistą.

Bardzo lubiłam go za uznanie, jakim darzył kobiety. Był jednym z niewielu saudyjskich mężczyzn, z którymi współpracowałam, traktujących mnie jak równą sobie. Często zdawał się na moją wiedzę. Zawsze gdy naradzałam się z nim, natychmiast odnosiłam wrażenie, jakbym z powrotem przeniosła się na Zachód. Miał także gruntowną wiedzę na temat Koranu i był w stanie z pamięci cytować całe fragmenty, a następnie przeprowadzać ich krytyczną analizę. Widać było, że zna się na islamie. Ogromnie go podziwiałam.

Bezkrytycznie.

Elegancka para zaserwowała mi kolację pełną libańskich przysmaków, włączając w to moją ulubioną potrawę, sajadiję, libańskie danie rybne, które Nadżwa przygotowała osobiście. Rozmawialiśmy o religii i polityce. W Rijadzie nie sposób było zjeść kolacji, nie dyskutując na jeden albo drugi temat.

- A więc, Mu'ajjadzie, zdaje się, że nadeszła pora na gratulacje. Słyszałam od Salima, że ofiarowałeś ogromną sumę, setki tysięcy dolarów, na program podspecjalizacyjny swojej Alma Mater w Ohio. *Ma sha Allah*, jesteś taki hojny. Cóż za wspaniały gest.

Mu'ajjad się zaczerwienił; widać było, że sprawiłam mu przyjemność, choć jednocześnie wydawał się zakłopotany, że wieść o jego dobrym uczynku się rozeszła.

- Och, a więc słyszałaś? - zaczął. - *Al-hamdu li-(A)llah*, Allah wiele mi ofiarował. Chciałem się odwdziżyć. Dzięki tym pieniądzom stworzyłem fundusz, który pozwoli każdego roku jednemu rezydentowi ze szpitala Gwardii Narodowej szkolić się w Stanach bez ponoszenia kosztów, a następnie wrócić i służyć naszym obywatelom. Zależy mi na rozwinięciu chirurgii w naszym kraju.

- Musisz być bardzo zamożnym człowiekiem, Mu'ajjadzie, *ma sha Allah*.

Z wrażenia aż się wyprostował.

- To nie są pieniądze mojej rodziny, Qanta - zastrzegł, chcąc oddzielić swój majątek od majątku ojca, który był niegdyś wysoko postawionym doradcą w ministerstwie finansów i bardzo bogatym człowiekiem. - To pieniądze, które zarobiłem na marży handlowej; jestem w tym naprawdę dobry. Postanowiłem przeznaczyć je na szczytny cel. Cieszę się, że przynajmniej to mogłem uczynić. *In sha Allah*, może będę w stanie zrobić jeszcze więcej. W ubiegłym miesiącu polecałem wręczyć czek. Urządzili wspaniałą uroczystość. Mogłem ponownie spotkać się ze swoimi wykładowcami. Uwielbiam mojego mentora. Jemu wszystko zawdzięczam, Qanta, wszystko: kwalifikacje, umiejętności. Nigdy tego nie zapomnę - ciągnął, wyjaśniając szczegóły wspólnego programu naukowego, łączącego obie instytucje, nad którym pracował.

Po jakimś czasie rozmowa zeszła na Palestynę.

- Qanta, problem z Ameryką polega na jej związkach z Izraelem. To bezkrytyczny zwolennik Izraela. Nigdy nie broni praw Palestyńczyków. Nikt tego nie robi. Warunki, jakie tam panują, są przerażające. Widziałaś, jak ludzie żyją w Gazie?

Słuchałam pełna niepokoju. Jeśli dowiedziałam się czegoś podczas pobytu w Królestwie, to tego, jak niewiele wiem na temat konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Zanim jednak zdążyłam odpowiedzieć, Mu'ajjad kontynuował buńczucznie:

- Wiesz, Qanta, muszę ci się przyznać - nienawidzę Żydów. Nienawidzę.

Spojrzałam na mojego przystojnego znajomego siedzącego w eleganckim domu i nagle stwierdziłam, że widzę wykrzywioną twarz zupełnie obcej osoby.

- Cóż, nie podzielałam twojego zdania, Mu'ajjadzie - zaczęłam łagodnie, zastanawiając się, w jaki sposób odpowiedzieć gospodarzowi w jego domu, żeby nie okazać niegrzeczności.
- Wszystko, czego się nauczyłam - kontynuowałam - całą wiedzę, jaką wyniosłam ze studiów, zawdzięczam żydowskim lekarzom, znakomitym wykładowcom, którzy uczyli mnie z ogromną życzliwością. Prawdę mówiąc, utrzymuję kontakty z tymi żydowskimi lekarzami. I w żadnym razie nie ma we mnie przyzwolenia na nienawiść.

- Och, Qanta, nie zrozum mnie źle. Uwielbiam mojego mentora. On też jest Żydem. Tak go wielbię, że ofiarowałam na jego program ćwierć miliona dolarów. Ale to co innego, mieliśmy osobiste relacje. Nie interesuje mnie to, że jest Żydem. Ale zawsze będę nienawidził Żydów jako narodu.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Mu'ajjad bujał swojego uroczego synka na kolanach, zupełnie nieświadomy, jak niewiele logiki było w tym, co mówił. Wpatrywałam się w dziecko. Po chwili Nadzwa wzięła je na ręce.

- Nie wydaje mi się, że powinieneś to mówić w obecności dziecka - zaczęłam, zorientowawszy się, jak głupio musiało to zabrzmieć. Dziecko ledwo zaczynało wypowiadać

pierwsze słowa po arabsku, jak więc mogłoby rozumieć angielski, ale jad wydobywający się z ust Mu'ajjada zdawał się toksyczny.

- Nic nie szkodzi - zaczęła go bronić Nadżwa, utkwivszy we mnie podkreślone kulem oczy.

- A ty, Nadżwa? - zapytałam. - Ty też nienawidzisz Żydów?

- Tak - odpowiedziała bez chwili wahania dwudziestoczteroletnia absolwentka college'u w Bostonie. - Oczywiście, że nienawidzę Żydów. Nienawidzę tego, co robią w Palestynie.

- Ale w takim razie, skoro oboje nienawidzicie Żydów, jak macie zamiar uniknąć wpływania na Muhammada? On jest teraz czysty. Nie ma w sobie tej nienawiści. W jaki sposób będzie mógł bezstronnie wybrać, jak traktować Żydów? - Nie byłam w stanie ukryć przygnębienia. Mówiłam nieco zbyt piskliwym głosem.

- Och, Qanta - odpowiedziała Nadżwa jak gdyby nigdy nic, podrzucając na kolanach dziecko, które próbowało coś mówić. - Nasz syn, jak dorośnie, także będzie nienawidził Żydów.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czułam się zdruzgotana. Człowiek, którego uważałam za liberalnego, związanego z Zachodem, znakomicie wykształconego akolitę, a do tego jeszcze filantropa, jawił mi się teraz jako zaciekły antysemita. Pomyślałam, że jego znajomość Koranu nie wykracza chyba poza umiejętność czytania. Treść nie poruszała serca. Islam zaleca muzułmanom, aby współpracowali ze wszystkimi ludźmi Księgi^[97], włączając w to Żydów, by osiągać wspólne cele w dążeniu do cnoty. Dla niego, kiedy było to wygodne, islam stanowił gołosłowną deklarację.

Tygodniami usiłowałam otrząsnąć się z tego rozczarowania. Tak bardzo chciałam mieć dobre zdanie o moich znajomych należących do elity, ale ostatecznie okazało się, że nie byli lepsi od tamtych kobiet, które uczciły morderstwo, zamawiając ciasta na oddział. Chociaż Mu'ajjad dniami i nocami harował, usuwając martwe tkanki nieszczęsnym pacjentom, by przywrócić im zdrowie, zdałam sobie sprawę, że nigdy nie będzie w stanie pozbyć się tej

nienawiści, która wypełniała jego pełen luksusów świat. Nie da się jej wyleczyć; ona mogła się jedynie rozprzestrzeniać. Wcale nie miał zamiaru wydostać się z tej skorupy antysemityzmu, której ani nie mogła pokonać sympatia do żydowskiego wykładowcy i mentora, ani nie potrafiło stłumić poczucie odpowiedzialności za ocalenie niewinności jego dziecka. Poddałam się.

To były dla mnie najcięższe tygodnie w Królestwie. Kurtyna się uniosła. Cała wytworność i uprzejmość poszła w ką, a pielęgnowana skrycie nienawiść nieoczekiwanie ujrzała światło dzienne. Czy to jeśli chodzi o dopuszczanie się przemocy, czy dawanie na nią przyzwolenia, hadis sprawdził się tak, jak przewidywał to Prorok ponad tysiąc czterysta lat wcześniej: najgorsi wrogowie islamu wyłonią się z jego wnętrza. Znaleźli się nagle w naszym gronie niczym strzały utkwione w zdobyczy. Niektórzy z nich ubierali się u Gucciego i palili dunhille.

^[95] Prorok odnosi się do oszustów, którzy w imię islamu będą dokonywać aktów zniszczenia. Wspomina, że najpoważniejsi wrogowie islamu wyłonią się z jego wnętrza (przyp. aut.).

^[96] L.L. Wynn, *Pyramids & Nightclubs...* dz. cyt.

^[97] Ludzie Księgi (arab. *Ahl al-Kitab*) - wyznawcy religii Abrahamowych: muzułmanie, chrześcijanie, żydzi, a także sabejczycy (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 38

To już koniec

Wyjeżdżałam za trzy dni. Stałam w swoim salonie. Chłodną listopadową nocą przez otwarte okna wdzierał się do pokoju zapach pustyni. Moja kotka Suha z tłuściutkim pełnym brzuszkiem drzemała, cicho pochrapując. Skromne mieszkanie, początkowo zwyczajnie brzydkie, z upływem czasu zmieniło się w ładny, błyszczący saudyjski dom.

Wszyscy, którzy pracowali w Arabii Saudyjskiej, byli tu przejściowo. W moim przypadku nie było inaczej, jeśli chodzi o to Królestwo, w którym dla nie-Saudyjczyków jedynym pewnikiem jest tymczasowość. Spojrzałam na kontenery, które stały w salonie. Były tak duże, że swobodnie bym się w nich zmieściła. To w nich pojedą do Nowego Jorku rzeczy z mojego domu. Dwa lata przemknęły niczym błyskawica. Jak przy każdym wyjeździe z jakiegoś miejsca, miałam mieszane uczucia: zarówno ulgi, jak i straty. Nie mogłam się doczekać, kiedy to zamieszanie związane ze zmianą się zakończy.

- Qanta, chciałbym zorganizować dla ciebie kolację pożegnalną - wspomniał Imad kilka dni wcześniej podczas naszej rozmowy telefonicznej. - Chciałbym się z tobą serdecznie pożegnać.

Rozpromieniłam się zaskoczona.

- Zaproś, kogo tylko chcesz. Wszyscy będą moimi gośćmi. - O niczym innym nie chciał nawet słyszeć.

Zdecydowaliśmy się na restaurację w Al-Ulajji, miejsce znane z najświeższych owoców Morza Czerwonego. Szczególnym specjałem były tam homary. Imad po prostu za nimi przepadał.

Zastanawiałam się, kogo zaprosić. Chociaż Mu'ajjad bardzo mnie rozczarował, nie mogłam wyjechać, nie pożegnawszy się z nim. Chciałam go dobrze wspominać. Oczywiście

koniecznie musiał być przyjacielski Hamid i Ahmad, najlepszy przyjaciel Imada. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że moim saudyjskim przyjaciółkom nawet przez myśl by nie przeszło, by przyjść na pożegnalną kolację, na którą było zaproszone mieszane towarzystwo, nawet jeśli spotkanie miało się odbyć w prywatnej sali w restauracji w Królestwie. To nadszarpnęłoby ich reputację, a ponadto zadawanie się z mężczyznami z pracy oznaczało, że wszyscy dowiedzieliby się o tej skandalicznej imprezie. Nawet nie próbowałam ich zapraszać. Miałyśmy się spotkać osobno i zorganizować nasze pożegnanie. W rezultacie okazało się, że idę na kolację z czterema mężczyznami.

Od czasu złożenia rezygnacji moje stosunki z Farisem się popsuły i tak się jakoś stało, że moi pakistańscy koledzy odmówili dołączenia do mnie w charakterze gości Imada. Niektóre moje przyjaźnie okazały się nietrwałe. Pod względem statusu towarzyskiego mężczyźni dzielili się na pracowników przyjezdnych oraz obywateli saudyjskich. Ja byłam jedynym łącznikiem pomiędzy tymi frakcjami. Część zaproszonych, uprzejmie odmawiając, proponowała zorganizowanie osobnych spotkań, żebyśmy się mogli pożegnać, ale to podczas tej kolacji (na kilka dni przed moim wyjazdem) po raz ostatni przed powrotem do Nowego Jorku miałam zobaczyć się z Imadem. Natychmiast po niej wyjeżdżał na spotkanie do Dżuddy.

Wieczorem ubrałam się w piękny kostium Escady tylko po to, by chwilę później zakryć go wstrętną czarną abają. Odliczałam już dni do chwili, kiedy na zawsze będę mogła pozbyć się tego poliestrowego więzienia. Mój oddany kierowca, Zachariasz, przyjechał na czas. Wyczekiwałam pory kolacji i byłam podekscytowana perspektywą spotkania z tymi mężczyznami. W drodze do centrum Rijadu zdałam sobie sprawę, jaką część mojego świata, chociaż sporadycznie miałam też kontakty z saudyjskimi kobietami, zamieszkiwali saudyjscy mężczyźni.

Było już po wieczornej modlitwie. Policja religijna miała zaraz patrolować restauracje i centra handlowe, uprzykrzając życie ich klientom. Jak zawsze istniało ryzyko zatrzymania, ale Imad oczywiście wierzył, że sobie poradzimy i że gra jest warta świeczki. Pochlebiali mi to, choć byłam dość zaskoczona jego śmiałością.

Chociaż wciąż nie omówiliśmy kwestii pogłębiającego się uczucia, jakim wzajemnie się darzyliśmy, kontynuowaliśmy nasze codzienne rozmowy. Dzwoniąc do siebie, często

późno w nocy, czuliśmy, że jesteśmy ze sobą związani. Zdążyłam zdać już sobie sprawę z tego, że ogromnie będzie mi go brakowało i w głębi duszy zastanawiałam się, czy znajdę w sobie odwagę, żeby powiedzieć mu, co do niego czuję, zanim na dobre wyjadę z tego kraju.

Zachariasz zatrzymał się na parkingu przed restauracją. Szybko przemknęłam do wejścia.

Podczas tych lat spędzonych w Królestwie nie pozbyłam się poczucia dyskomfortu związanego z przebywaniem w miejscach publicznych, szczególnie kiedy nikt mi nie towarzyszył. Lęk, jaki odczuwałam, sprawiał, że ścisnęło mnie w żołądku; zawsze w Rijadzie tak było, kiedy opuszczałam dom i wychodziłam na zewnątrz. Dla samotnej kobiety przebywanie poza bezpiecznym ogrodzonym terenem kompleksu, szklanymi ścianami OIOM-u czy zaciszem wysokich betonowych murów, oznaczało niepokój. Czula się wtedy bezbronna i obnażona. Właściwie miałam swojego rodzaju poczucie winy. Dopiero teraz rozumiałam saudyjskie kobiety, które widywałam, gdy biegały po Rijadzie, czy to przesłonięte hidżabami w centrach handlowych, czy to fartuchami na szpitalnych korytarzach. Rozumiałam ich niechęć do przestrzeni publicznej, gdzie wszystko mogło się zdarzyć. Właśnie czułam się tak samo.

Restauracja była słabo oświetlona. Ściany, wyłożone drewnem tekowym, połyskiwały, a poświata sprawiała, że to miejsce miało przyjazny charakter. Natychmiast poczułam ulgę, że mogę się tu zaszyć. Gdy zbliżyłam się do biura rezerwacji, otoczyło mnie czterech mężczyzn: Mu'ajjad, Hamid, Ahmad i Imad. Przywitaliśmy się ciepło uściskiem dłoni; już samo to jest zabronione saudyjskiemu mężczyźnie, który wita się z muzułmanką, ale każdy z obecnych czuł się swobodnie w towarzystwie kobiety z Zachodu. Wszyscy bez wyjątku wyglądali na podekscytowanych.

Jako grupa nie wywoływaliśmy konsternacji; pozostali goście restauracji, schowani za ściankami działowymi, byli zajęci swoimi posiłkami. Szybko przeszliśmy obok wydzielonej dla mężczyzn sali i minęliśmy część dla kobiet. Kelner z południowych Indii prowadził nas do prywatnej sali w obrębie części dla rodzin, gdzie każdy stół znajdował się w osobnym pomieszczeniu. Za drewnianymi płycinami i matowym szkłem byliśmy stosunkowo bezpieczni. *Mutawwa* miałyby utrudnione zadanie, ponieważ nie byłoby jak stwierdzić, czy nagabuje saudyjską rodzinę, która cieszy się kolacją we wspólnym gronie, czy ukrywających

się znajomych lekceważących prawo.

Płyciny miały około dwóch metrów wysokości; pomieszczenie wyglądało jak olbrzymia przestrzeń biurowa podzielona na małe salki. Części jadalnej nie ograniczały sufity. Stonowany gwar rozmów prowadzonych w nadżdyskim arabskim, brzęk sztucców oraz dźwięk wydawany przez pękający lód napływały do nas z góry.

Usiedliśmy. Pomysłowy Imad zaprosił również swoją najwyższą rangą pielęgniarkę, Lynn, która już była przy stole. zaproponował jej, by do nas dołączyła, żebym nie czuła się skępowana, siedząc w towarzystwie samych mężczyzn. Jej obecność była dla mnie zaskoczeniem. To niezręczne posunięcie Imada poruszyło mnie, ponieważ natychmiast się zorientowałam, że Lynn miała być nie tyle lekarstwem na moje ewentualne złe samopoczucie, ile na jego. W Arabii Saudyjskiej wspólna kolacja w miejscu publicznym z niespokrewnioną, pozostającą bez opieki kobietą była wciąż czymś bezwstydnym i nielegalnym.

Wiedziałam, jak dalece Imad, człowiek wywodzący się z konserwatywnie tradycyjnej, należącej do elity, saudyjskiej rodziny, sprzeniewierzał się swoim zwyczajom. Jako syn wysoko postawionego saudyjskiego urzędnika przesiąknięty był zasadami etykiety związanej z religią i kulturą. Chociaż mógł się czuć bardzo swobodnie podczas spotkań w mieszanym towarzystwie na Zachodzie, w Królestwie naruszał społeczne tabu, czym uraziłby członków najbliższej rodziny. Byłam zaskoczona, że mimo to wyszedł z propozycją publicznego spotkania w obecności kolegów. Jak zwykle wysyłał sprzeczne komunikaty. Nie mogłam dociec, co do mnie czuł i jakich uczuć oczekiwał.

Wszyscy mężczyźni poza Imadem mieli na sobie długie powłóczyste saudyjskie sauby, przesiąknięte ciężkim zapachem wody kolońskiej. Napawałam się ich męskością, uświadamiając sobie, jak bardzo brakowało mi przebywania w mieszanym towarzystwie. Imad jak zwykle wybrał spodnie khaki i koszulę, którą rozpiął pod szyją.

Z nich wszystkich tylko Mu'ajjad wyglądał naprawdę uroczyście. Miejsce fartucha lekarskiego zajęła wyjątkowo wytworna *sauba*; idealnie wykrochmalone, wyprasowane i podświetlone na niebiesko-biało halogenowymi reflektorami płótno pięknie połyskiwało. Pod szyją mieniły się srebrne guziki. Wysoki, wykrochmalony, niemal wiktoriański kołnierzyk przyciągał uwagę do twarzy o bardzo jasnej cerze. Mu'ajjad przed wyjściem

musiał się ogolić i skropić płynem po goleniu. Miał subtelnie eleganckie nakrycie głowy; jak wielu szykownych rozpustników w Rijadzie zawinął z przodu materiał, tworząc niski daszek. Całość przypominała kształtem kowbojski kapelusz. Dzisiejszego wieczoru naprawdę wyglądał jak wytrawny saudyjski kowboj. Długą udrapowaną ghutrę zarzucił na szerokie ramiona. Na brzegu chusty udało mi się wypatrzyć maleńkie logo - Dunhill - co świadczyło o wybornym guście mężczyzny, który ją nosił. Szczupłymi, pokrytymi niebieskimi żyłkami palcami z chirurgiczną precyzją obracał kosztowny różaniec w kolorach srebrnym i lazurowym. Przebarwione od nikotyny paznokcie zdradzały jego nałóg. Pogratulowałam mężczyznom narodowych strojów. Sprawiali wrażenie zakłopotanych, tylko Mu'ajjad przyjął to bardzo dobrze.

- Dziękuję, Qanta. Lubię dobrze się ubrać, kiedy gdzieś wychodzę. Nasz narodowy strój jest taki wygodny. Wolę go od zachodnich ubrań. - Uśmiechnął się, kładąc kosztowny różaniec na stole.

Wyglądał bardzo szykownie. Żałowałam, że nie poznałam go wcześniej. Teraz, kiedy już wyjeżdżałam, wiedziałam, że będę za nim bardzo tęsknić.

Imad, który miał na sobie zachodni strój, wił się zakłopotany, kiedy Mu'ajjad odpowiadał na mój komplement.

Gdy tamtego wieczoru przyglądałam się Imadowi siedzącemu w towarzystwie rodaków, dotarło do mnie, że był takim samym wyrzutkiem w swoim środowisku jak ja. Jego nonkonformizm, uwięziony na szczeblach władzy, był jeszcze bardziej uderzający i obezwładniający. W ubraniach od Tommy'ego Hilfigera kontrastował z otaczającymi go eleganckimi saudyjskimi mężczyznami.

Pojawiło się jedzenie. Ledwo tknęłam za słoną zupę, przez cały czas zajęta rozmową. Moi koledzy zamawiali jak cesarze, tak że stół wkrótce zapełnił się potrawami, które wystarczyłyby dla dziesięciu osób. Ahmad opowiadał zabawne historie, prezentując specyficzne szkockie poczucie humoru. Śmiałyśmy się przez cały czas. W końcu nastrój stał się poważniejszy.

- Szkoda, że wyjeżdżasz - zaczął Mu'ajjad, uśmiechając się szczerze. - Jesteś pewna,

że nie chciałabyś zmienić zdania? Doktor Fahad bez problemu by to załatwił.

- Och, to miłe z twojej strony, Mu'ajjadzie, ale ja już się pakuję. Ludzie z cargo mają się zjawić pojutrze. No i sam rozumiesz, lepiej dla mnie, że się zdecydowałam na przeprowadzkę. Zrobiłam tu wszystko, co mogłam.

Imad przyglądał mi się uważnie. Zastanawiałam się, czy miał ochotę zgłosić jakieś zastrzeżenia do mojego wyjazdu.

- Imad nawet zaproponował, żebym zastanowiła się nad zmianą i w mniejszym stopniu zajmowała się intensywną opieką medyczną. Prawda, Imadzie? Myśleliśmy nawet o tym, że może powinnam zmienić oddział, ale żadna z tych opcji nie przybliżyłaby mnie do mojego marzenia o powrocie do Nowego Jorku. Nie, Mu'ajjadzie, definitywnie przyszedł na mnie czas. Muszę wrócić tam, gdzie będę czuła się wolna. Wiesz, kobiecie nie jest tu łatwo, a już zwłaszcza niezamężnej.

Żaden z nich nie patrzył mi w oczy. Pielęgniarka zajęła się koszykiem na chleb. Prawdopodobnie znieważyla moich gospodarzy, zwracając uwagę na niedogodności i podłe realia życia w Królestwie, czyli na coś, czego oni jako mężczyźni nie doświadczali. W wielu kwestiach mężczyźni tutaj cieszyli się podobną swobodą jak ci na Zachodzie, a szczególnie tacy zamożni mężczyźni, wśród których właśnie siedziałam.

Kiedy brak kin i restauracji, które nie byłyby zagrożone nalotami mutawwy, stawał się zbyt denerwujący, mogli wskoczyć do samochodu, wyjechać za granicę i po kilku godzinach dotrzeć do Dubaju, Omanu czy Bahrajnu. Jako mężczyźni mogli ubiegać się o wizy wielokrotnego przekraczania granicy i otrzymawszy je, jeździć na zagraniczne wycieczki ile dusza zapagnie, bez potrzeby pytania kogokolwiek o zgodę. Tego wieczoru dowiedziałam się, że saudyjscy pracownicy nie musieli przekazywać swoich paszportów pracodawcom, do czego ja byłam zobligowana przez te dwa lata. Nie, ich doświadczenia z Królestwem znacząco różniły się od moich. Jakiegokolwiek były trudności, z którymi w swoim mniemaniu musieli się mierzyć, wypadały blado na tle sytuacji kobiety, nawet tak uprzywilejowanej jak ja.

- Cóż, Ameryka może już nie być tym samym miejscem, z jakiego wyjechałaś, Qanta.

Nie po jedenastym września - ostrzegął Ahmad - zwłaszcza jeśli będzie szła w tym kierunku, jaki obrała po jedenastym września. Spójrz na to, co oni robią z paczkami żywnościowymi i bombami w Afganistanie. To hańba.

- Wykurzimy ich! - zadrwił ktoś, przypominając pierwsze przemówienie prezydenta Busha po zamachach.

Mężczyźni przy stole zaśmiali się z pogardą.

- Spójrz tylko na Palestynę - mówił Mu'ajjad. - Ameryka zawsze sprzymierza się z Izraelem niezależnie od tego, jak trudne są okoliczności związane z okupacją. Jak możesz chcieć żyć w Ameryce, która jest sojusznikiem Izraela? - pytał. Puknął w zmiętą paczkę marlboro i wyciągnął z niej jednego papierosa. Po podpaleniu zatrasnął ciężką kosztowną zapalniczkę z głośnym kliknięciem.

Patrzyłam, jak się zaciągał, robiąc długi seksowny wdech, i usiłowałam zebrać myśli. Zdenerwowana postanowiłam na chwilę zapomnieć o jego antysemityzmie. Nie chciałam, by to obrzydlistwo ponownie wysunęło się na pierwszy plan.

- No wiesz, Mu'ajjadzie - zaczęłam ostrożnie - myślę, że Ameryka to wspaniały kraj. - Miałam nadzieję, że mój głos nie brzmi płaczliwie. - To kraj, w którym mogę czuć się bardziej wolna niż tutaj, kraj, któremu najbliższej do merytokracji w czystej postaci. Dzięki niemu zdobyłam wykształcenie i możliwości. Nie jestem ekspertką w kwestii konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Nie poznałam nawet żadnego Palestyńczyka, dopóki nie przeprowadziłam się do Rijadu. Bóg ofiarował światu arabsko-muzułmańskiemu niezrównane bogactwa i co się z nimi dzieje? Czasami mam wrażenie, że tutejsze bogactwo pochodzące z ropy naftowej zostało po prostu podpalone. Tak jak wiele szybów naftowych staje w płomieniach, tak ono najzwyczajniej idzie z dymem. Książę Al-Walid jest liderem w dziedzinie reinwestowania w swoim kraju, jednym z bardzo niewielu ludzi, którzy to robią. Jeśli chodzi o nas, to cały PKB, który wypracowujemy, wyjeżdża z Królestwa. Nic nie zwracamy naszym państwom. Ale dla mnie najważniejsze jest to, że w Ameryce mogę być muzułmanką na własnych zasadach, a nie na zasadach ustalanych przez niepiśmiennych gości z mutawwy! Jeśli o to chodzi, to nikt mi tam nie mówi, jaką mam być muzułmanką czy jaką mam być kobietą! - Przerwałam, z trudem oddychając. Byłam zdenerwowana.

Wszyscy milczeli. Głęboko ich uraziłam. Tym razem Mu'ajjad nie miał przygotowanej celnej odpowiedzi. Wypuszczał kółka z dymu i obgryzał nierówne paznokcie. Lynn uniosła wzrok, zatroskana, ale nie śmiała włączyć się do dyskusji. Niewygodną ciszę przerwał nerwowy śmiech spoglądającego w górę Imada.

- Cóż, Qanta, jeśli pojawią się tu *mutawwa'in*, powiemy im, że to ty mówiłaś to wszystko! I będziemy się przyglądać, jak cię wyprowadzają.

Przy stole rozległ się wymuszony śmiech. Ja śmiałam się najgłośniej i napięcie ustąpiło. Imad uśmiechnął się do mnie ciepło, odwzajemniając moje spojrzenie.

Podobnie jak w przypadku czasopisma „People”, które docierało do Królestwa ocenzurowane, z powydzieranymi stronami i zdjęciami zaczernionymi grubymi markerami, było wiele tematów, których nie należało poruszać poza zabarykadowanym, otoczonym wysokimi murami domem. Zakłopotany Imad, podobnie jak pozostali siedzący tu mężczyźni, po części czuł się równie bezbronny jak ja. Mężczyźni też się bali. Jednak w przeciwieństwie do mnie, osoby dorastającej w Anglii i Ameryce, Imad i jego koledzy nigdy nie poznali prawdziwej wolności słowa, do której przyzwyczajają niczym nieskrępowane życie na Zachodzie. Ci mężczyźni bardziej bali się stanąć we własnej obronie niż wyzywające kobiety, z którymi zetknęłam się w Królestwie. Sami dla siebie stali się cenzorami, więc siły rządzące właściwie nie musiały już specjalnie nakładać na nich restrykcji. Oni cenzurowali własne poglądy i postrzegali różne kwestie, czy to dotyczące praw kobiet, ustawodawstwa związanego z prowadzeniem samochodów, czy gorącego tematu polityki bliskowschodniej, przez pryzmat opresyjnego społeczeństwa. Mężczyźni, z którymi właśnie jadłam kolację, choć cieszyli się pewną wolnością, nie mieli dużo więcej swobody niż szczelnie pozakrywane kobiety wokół nich.

Czas upłynął zbyt szybko i wkrótce kolacja dobiegła końca. Imad zaproponował, że odwiezie mnie do domu, znowu dla niepoznaki w towarzystwie pielęgniarki przyzwoitki. Ale na mnie już czekał kierowca, więc Imad, zawiedziony, odprowadził nas do samochodu. Pielęgniarka dyskretnie usadowiła się w środku, mieliśmy więc chwilę dla siebie. Pod naznaczonym zanieczyszczeniem świetlnym niebem Rijadu w końcu spojrzałam na Imada. Staliśmy twarzą w twarz. Lekko pochylił się w moją stronę, a jego głowa znalazła się na

wysokości idealnej do pocałunku. Nigdy nie wydawał mi się bardziej pociągający, ale pomiędzy nami znajdował się świat tradycji, *mutawwa'in*, ograniczeń i kultur, które ostatecznie na zawsze miały nas rozdzielić. Tego wieczoru wciąż jeszcze wierzyliśmy w siebie i w to, że wspólna przyszłość jest możliwa. Imad zrobił wszystko co w jego mocy, żeby mnie w tym utwierdzić.

- Wiesz, Qanta, dużo podróżuję. Jestem bardzo często w Londynie i Paryżu. Wkrótce się zobaczymy. - Wciąż się do mnie uśmiechał i cała nieśmiałość nagle zniknęła.

Staliśmy tak przez chwilę w ciszy, po czym powściągliwie uścisnęliśmy sobie dłonie i wsiadłam do samochodu. Patrzyłam na jego wysoką postać. Ostatni obraz, jaki mam przed oczyma, to smukła sylwetka i ręce schowane w kieszeniach w snopie ulicznego światła. Niczym aktor na scenie stał w świetle reflektorów, obserwując, jak odjeżdżam, aż w końcu zniknął w ciemności.

Pielęgniarka wyczuła mój posępny nastrój i zapewniła mnie:

- Qanta, nie martw się, zobaczysz go jeszcze. On ciągle podróżuje. Właściwie to nie jest pożegnanie, tylko zwykłe „do zobaczenia”. - Uśmiechnęła się do mnie.

Zaczęłam się zastanawiać, czy była wtajemniczona w uczucia Imada.

Następnego dnia wznowiłam pakowanie. Zwinęłam maty do modlitwy, które kupiłam na targu przed meczetem w Mekce podczas hadżdżu. Bardzo chciałam jeszcze raz przed wyjazdem zobaczyć Al-Kabę. Poglądziłam jedwabny dywanik, przyglądając się, jak zmieniał kolor wraz z ułożeniem włosków. Nagle zadzwonił telefon.

- Qanta, jak ci idzie pakowanie? Kiedy wyjeżdżasz? - To była Randa, moja koleżanka, która zabrała mnie na pierwsze okrążenia wokół Al-Kaby podczas hadżdżu.

- Hej Randa! Wyjeżdżam w czwartek w nocy, o drugiej. Kontenery już przyjechały, ale wiesz co? Chciałabym znów pojechać do Mekki. Wspaniale byłoby odbyć umrę w tym momencie życia, przed tą zmianą. Szkoda, że nie zaplanowałam tego wcześniej.

- To czemu nie zadzwonisz do Saudii? - Miała na myśli państwowe linie lotnicze Królestwa. - Chociaż czekaj, pozwól, że skontaktuję się z mężem. On pewnie będzie mógł ci pomóc w zorganizowaniu wycieczki do Dżuddy. Mogłabyś wyjechać dzisiejszej nocy i wrócić nad ranem. Ludzie tak robią!

Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. I w to, że Randa miała takie wycucie czasu. Paplała bez końca, przypominając mi, że jej mąż często odbywał takie podróże w weekendy.

W jednej chwili, co było zupełnie nie w moim stylu, przestałam się pakować i odpowiadałam na potężne pragnienie powrotu do Mekki.

O północy miałam samolot do Dżuddy, a powrotny o ósmej rano następnego dnia, tak że pozostawał jeszcze czas na pakowanie. Wciąż musiałam jakoś się dostać z Dżuddy do Mekki. Przypomniałam sobie o nadal aktualnym zaproszeniu Rim, żeby ją odwiedzić w Dżuddzie.

- Rim, przyjeżdżam dziś w nocy do Dżuddy. Chcę dzisiaj odbyć umrę! Może wybrałybyśmy się razem? Zawsze o tym rozmawiałyśmy!

- To wspaniale, Qanta! Spotkajmy się zatem na lotnisku w Dżuddzie. Mój kierowca zawiezie nas do meczetu Al-Haram. *Ma sha Allah*, Qanta, to cudowna okazja. Dzisiaj jest wigilia ramadanu. Przyniesie ci to wiele pomyślności u progu nowego życia. Nie mogę się doczekać! Tak się cieszę, że zaproponowałaś, żebym ci towarzyszyła. - Była uszczęśliwiona.

Pojechałam na lotnisko, czując się osobiście wolna. Miałam ze sobą jedynie torebkę, ponieważ do Domu Boga nie potrzebowałam niczego. Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście ani w to, że tak spontanicznie podjęłam decyzję. Znow czułam, że płynę z prądem do epicentrum islamu. W taki właśnie sposób miałam rozstać się z Królestwem, obdarzona Boskim błogosławieństwem.

Moje wspomnienia z hadżdżu wciąż były świeże i zastanawiałam się, jakie wrażenie wywrze na mnie krótka umra. Tym razem niczym się nie przejmowałam, wiedziałam, że Rim pokaże mi, co mam robić. Czułam, jak moje obawy i wahania związane ze złożeniem

rezygnacji, wyjazdem, Imadem odpływają. Czułam, że znajduję się na trajektorii, jaką wyznaczył mi los.

Po krótkim locie przybyłam do Dżuddy. Nawet pod koniec listopada powietrze było przesiąknięte wilgocią znad Morza Czerwonego. Rim czekała na mnie, stojąc przed bordowym cadillakiem, który miał nas zabrać do Al-Kaby. Amerykański samochód okazałych rozmiarów sunął po autostradzie, skręcając w zjazdy przeznaczone wyłącznie dla muzułmanów.

Przez całą drogę rozmawialiśmy, aż w końcu gdy wypatrzyłyśmy góry otaczające święte miasto, zauroczone ich widokiem zamilkłyśmy. Noc była piękna, nad Świętym Meczetem unosiła się poświata. Z niecierpliwością czekałam, żeby ponownie zobaczyć Al-Kabę.

Kierowca zaparkował samochód na wielopoziomowym parkingu, a my razem z Rim wolnym krokiem przeszłyśmy do Świętego Meczetu. Przepelniała mnie radość, gdy zbliżałam się do ogromnego marmurowego placu. Była prawie 2.30, ale meczet został tak podświetlony, że było w nim równie jasno jak za dnia. Inni wierni także podążali w stronę wejścia. Wokół meczetu panowała atmosfera spokoju i radości. Nie czułam tego napięcia, jakie wiązało się z hadżdżem, nie miałam wrażenia, że podlegam ciągłej ocenie, co wtedy tak mnie męczyło. To było zupełnie inne doświadczenie.

Przeszłyśmy przez olbrzymi plac. Przekroczyłyśmy jedną z większych bram meczetu; do środka wpuściła nas zakryta wartowniczką. Za bramą roztaczał się niczym nieprzesłonięty widok na Al-Kabę.

Stała tam dokładnie tak, jak ją widziałam kilka miesięcy wcześniej, wciąż emanując niewidzialną wieczną energią. Teraz wydała mi się większa, niż ją zapamiętałam, i wzywała mnie, żebym się zbliżyła. Odpowiedziałam na jej wezwanie, nie będąc w stanie oderwać wzroku od czarno-złotej kiswy, która mieniła się w nocnej poświacie. Na mojej twarzy zagościł szeroki uśmiech. Rozpierała mnie radość, więc pospieszyłam ku sercu islamu.

Znów byłam w domu.

Razem z Rim udałyśmy się do stacji Abrahama i rozpoczęłyśmy siedmiokrotne okrążanie Al-Kaby w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Tym razem, inaczej niż podczas hadżdżu, mogłyśmy to robić na poziomie parteru, a nie na otwartym dachu. Przy tak niewielkiej liczbie osób w meczecie mogłyśmy podejść do Al-Kaby i krążyć blisko niej. Mogłyśmy nawet dotknąć ścian Domu Boga, spacerować wokół przez nikogo niezasłonięte. Chciałam oglądać Al-Kabę z takiej odległości, żeby objąć wzrokiem całość. Nie byłam w stanie skoncentrować się na książeczce z modlitwami, tej samej, którą dał mi Nadir, saudyjski chirurg, kiedy wybierałam się na hadżdż.

Rim modliła się na głos za nas obie, korzystając ze znajomości Koranu, który recytowała z pamięci. Ja upajałam się jedynie atmosferą, schowana w cieniu Stwórcy, nie będąc w stanie oderwać oczu od miejsca, które symbolizowało moją wiarę w Niego. Podobnie jak w czasie hadżdżu, czułam, jak pędzi do mnie z wyciągniętymi ramionami. W odległości kilku kroków od Al-Haram siedziałam w objęciach Boga. Byłam przepełniona radością i światłem.

Rim koniecznie chciała mi pokazać Czarny Kamień, ślady Abrahama i szczegóły kiswy. Nie byłam w stanie jej słuchać. Nie mogłam przestać porównywać swoich doświadczeń z hadżdżu do tego, co teraz odczuwałam.

Wówczas byłam przestraszona i przytłoczona, odczuwałam respekt przed Domem Boga w czasie pielgrzymkowego zamieszania i ścisku, a teraz wszystko wydawało się przejrzyste.

Wówczas czułam się ograniczona, zduszona i bezwolna - niesiona przez tłum odbywający pielgrzymkę, a teraz miałam wrażenie, że nic mnie nie krępuje, że jestem wyzwolona, lekka i że mogę sama decydować o tym, w jakim kierunku powinnam się udać.

Wówczas, w obliczu wstydu, który odczuwałam, byłam zdumiona akceptacją mojego Stwórcy, a teraz miejsce wstydu zajęło przekonanie o zaszczycie.

Wówczas byłam niepewna, teraz czułam się bezpieczna.

Wówczas czułam się obco, teraz miałam poczucie przynależności.

Umra stanowiła metaforę ostatnich zmian, jakie zaszły w moim życiu. Przyjechałam do Królestwa jako osoba nieznająca dobrze islamu, a wyjeżdżałam stąd jako obywatelka swojej wiary. W tym Królestwie skrajności, w cieniu nietolerancyjnej ortodoksji, wydobyłam pokłady wiary i odkryłam poczucie przynależności. Chociaż wkrótce miałam opuścić to wyjątkowe Królestwo, a w jego sercu błyszczącą perłę islamu, zabierałam ze sobą coś, co pozostanie we mnie na zawsze, coś, od czego już nigdy nie zostanę oddzielona.

Zabierałam swoje miejsce w wierze, swoje miejsce jako muzułmanki.

Rim zaproponowała, żebyśmy modliły się naprzeciwko Al-Kaby. Gdy uklęknęłam i leżałam twarzą do ziemi, zorientowałam się, że nie jestem w stanie opuścić wzroku. Hipnotyzująca Al-Kaba za bardzo mnie absorbowwała, była zbyt fascynująca i oszalamiająca. Ciągłe myślałam się przy powtórzeniach. W końcu zarzuciłam próby konwencjonalnej modlitwy.

Mój wzrok kierował się w górę, ku niebu, gdzie anioły okręgały Tron Boga. Ptaki krążyły wokół Al-Kaby w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Obserwowałam je z zapartym tchem. Były wolne, szczęśliwe nawet o trzeciej nad ranem. Nigdy dotąd nie widziałam ani jednego ptaka latającego nad Al-Kabą czy przycupniętego u jej szczytu. Wyglądały, jakby były zajęte odprawianiem swoich maleńkich czystych obrzędów religijnych. Podobnie jak ja one także były Jego stworzeniami.

Po jakimś czasie powróciłam do modlitwy. Wraz z każdym pokłonem krew napływała mi do głowy i szumiała w uszach. Czułam się odurzona Boską miłością, niemal całkiem zapomniałam o mantrze modlitw. Zamiast tego miałam wrażenie, że rozmawiam ze Stwórcą w języku znanym jedynie mojej szamoczącej się duszy. To ona uparcie forsowała granice ciała, usiłując ponownie połączyć się z esencją, z której wcześniej się wzięła i do której z pewnością pewnego dnia wróci.

Później siedziałam i wpatrywałam się w Al-Kabę. Oglądałam piękną czerń. Zdawała się powiększać i kurczyć, tak jakby łagodnie oddychała albo jakby pulsowało w niej serce. Islam zmienił się dla mnie z abstrakcyjnej przynależności w żywy organizm, a ja doświadczyłam tej zmiany na tle wyjałowionego, pustynnego Królestwa. W Królestwie,

w którym przez stulecia kultura została wydestylowana, stając się surową i nieugiętą, moje zmysły się wyostrzyły, a smak islamu zrobił się słodszy w porównaniu z gorzkim posmakiem skrajnej ortodoksji. Delektując się słodyczą Boskiego objawienia na piaskach zakrwawionych wahhabizmem, miałam poczucie, że moje wysiłki zostały docenione i wynagrodzone. Nigdy bym tego nie zrozumiała, gdybym nie doświadczyła trudności życia w Królestwie i własnoręcznie nie zadała sobie ran poprzez oddalenie się od islamu, ale to już miałam za sobą.

Myślałam o wszystkich ludziach, dzięki którym znalazłam się w tym miejscu. O rodzicach, którym zawdzięczałam wiarę i wykształcenie. O mentorach, Amerykanach, którzy wyszkolili mnie tak, że mogłam służyć wiedzą mieszkańcom Królestwa. Wielu moich nauczycieli było Żydami. Podczas tej zbyt krótkiej nocy zdałam sobie sprawę, że przybyłam spotkać Allaha dzięki wysiłkom pełnych poświęcenia Żydów, którzy dzielili się ze mną wiedzą i miłością. Modliłam się za nich wszystkich i za każdego muzułmanina, do którego mnie doprowadzili.

Przed oczyma stanął mi promienny uśmiech Zubajdy, który płynnie przeszedł w szelmowską minę Ghady à la Onassis. Zobaczyłam przejrzyste oczy Imada i jego piękną twarz. Przypomniałam sobie zawadiacki uśmieszek Mu'ajjada i sama się uśmiechnęłam. Powrócił do mnie widok *doktora* Fahada, który odważnie zgniatał faksy z fatwami, i po raz kolejny ujął mnie smutek Farisa i jego niezręczna wspaniałomyślność. Oczyma duszy widziałam ciepło i elegancję Mahy; jej niesamowitą odwagę, rzadko spotykaną u osób, które przez całe życie podlegają opresji; lśniła z cichym smutkiem i odwagą Rim, lojalnie wspierająca mnie w tej szczególnej chwili.

Dziękowałam za pokorę i zaufanie moich bezimiennych niezliczonych pacjentów, z którymi nigdy nie mogłam porozmawiać, i modliłam się, by pewnego dnia mieć choćby ułamek tej godności co Hanifa, służąca z Mekki, która na pamięć znała Koran. Gdy tak siedziałam i wpatrywałam się w Al-Kabę, Samha i Sabha, arabskie konie, które trzymały moją samotność na dystans, trąciły nosami moje serce, napelniając je ciepłem. Wyciskające łzy współczucie dla Hiszama, pogrążonego w żałobie ojca, niewinna śmierć jego syna, którego nigdy nie poznałam, poczucie humoru i życzliwość Fatimy, rozwódki pełnej nadziei na lepsze jutro, nieposłuszeństwo i odwaga Manal w obliczu złowrogiego mutawwy, zwykła serdeczność Nadira, chirurga... Obrazy przenikały się i przechodziły jeden w drugi.

„Królestwo Obcych” powoli znikało. Zamiast niego kraj ten zaczął przede mną otwierać prywatne sanktuaria, wchłaniając mnie do swojego wnętrza, aż czułam się w obowiązku spijać jego tajemnice i ostatecznie odkryć sekrety islamu do tej pory mi umykające. Podróż, która zaczęła się jako wykluczająca i odrzucająca, stała się włączająca i akceptująca. Podniosła mnie na duchu i sprawiła, że stałam się lepszym człowiekiem. Tych wszystkich mieszkańców Królestwa opuszczałam odmieniona jako kobieta, jako lekarka, a przede wszystkim jako muzułmanka.

Rozmyślałam nad tym wszystkim i widziałam jeszcze wiele, wiele więcej, gdy spoglądałam na Al-Kabę z nadzieją, że będzie mi jeszcze dane kiedyś tu powrócić. W końcu musiałyśmy się zbierać i ostatecznie żegnać, jakby z ukochanym. Niechętnie skierowałam się w stronę wyjścia. Nawet odwrócona czułam, jak Al-Kaba oddycha, pulsuje, żyje. Chęć powrotu była olbrzymia, ale ta wizyta dobiegła końca. Wyszłam z głową uniesioną wysoko, sercem pełnym otuchy i z nowymi nadziejami.

Gdy zakończyłyśmy wszystkie rytuały, Rim zaproponowała, żebyśmy coś zjadły. Kupiłyśmy szawarmę od ulicznego sprzedawcy i urządziłyśmy sobie piknik przed wejściem do meczetu. Kończyłyśmy ostatnie kęsy, gdy dało się słyszeć huk armaty sygnalizujący rozpoczęcie postu. Obie z Rim doświadczyłyśmy szczególnie pomyślnej umry w tę wigilię ramadanu. Czułyśmy się szczęśliwe, zaszczycone i w wyjątkowy sposób obdarzone błogosławieństwem. Wróciłyśmy do samochodu i w pośpiechu odjechałyśmy. Niebo było rozjaśnione. Po bardzo długim uścisku, który mówił o wiele więcej, niż mogłyby to wyrazić jakiegokolwiek słowa, opuściłam Rim i odleciałam do Rijadu. Nadszedł czas wyjazdu.

Spakowane kontenery czekały na filipińskich mężczyzn, którzy mieli je zabrać. Sudański weterynarz przyjechał po Suhę, żeby przetransportować ją do mojego kolejnego domu. W mieszkaniu panowała cisza. Ze wszystkimi się już pożegnałam. Wyrzałam na podświetlone korty tenisowe; gdy tu przyjechałam, był to pierwszy widok, jaki ujrzałam, widok jałowej ziemi, która zdążyła do tego czasu wydać tak olbrzymi plon. Włożyłam francuski kostium i szybko ukryłam go pod dożywającą końca swoich dni abają. Zadzwoiłam po raz ostatni do Imrana, żeby potwierdzić, że jestem gotowa.

- Tak żałuję, że nie zobaczę już dzisiaj Imada - powiedziałam w końcu żalonym

tonem.

- Zadzwoń do niego, Qanta. Po prostu wybierz numer. On przecież do ciebie nie zadzwoni, bo nie masz komórki. Może już wrócił ze spotkania?

Spojrzałam na zegarek. Były trzy godziny do odlotu.

- Okej, rzeczywiście spróbuję. - Wybrawszy znany mi numer, czekałam, spodziewając się, że za chwilę włączy się automatyczna sekretarka.

- Halo? - usłyszałam głos Imada.

- To ja. Nie sądziłam, że odbierzesz - zaczęłam.

- Właśnie za chwilę wylatuję z Dżuddy i lecę do Rijadu.

- Ooo! O której lądujesz?

- O pierwszej.

- A ja wylatuję o drugiej. Spotkajmy się zatem na lotnisku króla Chalida - powiedziałałam podekscytowana.

- Tak, Qanta, tak się umawiamy. Będę niedługo. Znajdę cię i będziemy mogli porozmawiać. Muszę teraz kończyć. - Rozłączył się.

Podniecona perspektywą romantycznego pożegnania na lotnisku zadzwoniłam po samochód, który miał mnie zabrać z kompleksu i zawieźć w stronę nowego życia.

Gdy dotarłam na lotnisko cała w marmurach, rozpierała mnie radość. Owszem, było mi żal, że zostawiam tutejszą egzotykę. Zastanawiałam się, kiedy znów będę mogła wdychać tę mieszankę gorąca i kurzu, kiedy znów usłyszę to codzienne staccato nadżdyjskiej arabszczyzny, kiedy ponownie będę pomykać w abai, pić herbatę z miętą na werandzie schowanej za wysokimi murami czy jeździć konno pod tym samym rozgwieżdżonym niebem,

które tak oczarowało Lawrence'a niemal sto lat wcześniej. Tak, zastanawiałam się, kiedy znów będę miała w kieszeni bilety do mojego Stwórcy. Wiedziałam jednak, że tu wrócę i że następnym razem będę się czuła jak u siebie.

Szłam spokojnie, niczego się nie obawiając. Nigdzie jednak nie widziałam Imada. Czekałam, ale w końcu musiałam udać się w stronę kontroli paszportowej. Przeszukałam wzrokiem lotnisko z wyżej położonego poziomu, na którym znajdowała się hala odlotów, ale nigdzie nie wypatrzyłam samotnego Saudyjczyka w spodniach khaki. Czułam się zawiedziona. Kilka godzin później, kiedy przesiadałam się w Londynie, dowiedziałam się z e-maila, że on także mnie szukał.

Weszłam na pokład samolotu i usiadłam na swoim miejscu. Podobnie jak inne kobiety zrzuciłam abaję i bezceremonialnie wepchnęłam ją do schowka nad głową. W końcu kilka godzin później i kilka kontynentów dalej wylądowałam na lotnisku Kennedy'ego. Zebrałam rzeczy i przygotowałam się, by wysiąść w swoim ukochanym mieście, które było moim kulturowym domem. Postanowiłam zostawić abaję w samolocie. Nigdy więcej już jej nie założę.

Gdy tylko przekroczyłam podniesiony próg, usłyszałam komunikat płynący z głośników:

- Pasażerka z miejsca trzydzieści dwa zostawiła abaję. Proszę się po nią zgłosić. Czekaj na panią na pokładzie.

Rozprostowałam rękawy granatowej kurtki i ukradkiem rozejrzałam się, żeby sprawdzić, czy ktoś zauważył, że to ja dopuściłam się tego wykroczenia. Po chwili wystawiłam przez próg stopę w pończosze i bucie na wysokim obcasie po czym ruszyłam przed siebie zamaszystym krokiem. Stewardesa wciąż ponawiała komunikat skierowany do właścicielki abai. Nie mogłam się powstrzymać - głośno się zaśmiałam.

W końcu byłam wolna.

POSŁOWIE

Surowa chwała

Jane właśnie obudziła się po poważnej operacji, kiedy zabrzmiał alarm sygnalizujący jakieś nieszczęście. W ciągu kolejnych godzin ci sami mężczyźni, którzy dawali mi reprimendy z powodu smutku, jaki odczuwałam w związku z wydarzeniami z 11 września, zajmowali się 178 rannymi osobami, które pojawiły się w Szpitalu Gwardii Narodowej. Na tym samym oddziale intensywnej opieki medycznej teraz i oni byli załamani, spokorniali i skuleni z przerażenia. Nie musiałam nic mówić. Wszyscy to pamiętaliśmy. W końcu i ich dopadł smutek.

To Mu'ajjad musiał zidentyfikować zwłoki swoich znajomych, w tym syna gubernatora Rijadu, zabitych w zamachach bombowych dokonanych w Rijadzie w maju 2003 roku. Sam mi o tym powiedział, chrapliwie wydobywając z siebie zdania, pomiędzy którymi robił dłuższe przerwy, żeby zaciągnąć się dunhillami. Rozmawialiśmy, kiedy jechał do domu potężnym mercedesem. Od czasu do czasu przerywał, starając się opanować kaszel. Głos Mu'ajjada przeszedł w szept, gdy mężczyzna opowiadał, jak rozpinął worki z ciałami i szukał w nich skrawków przyjaźni z dzieciństwa. Chwilę później wciskał gaz do dechy w swoim gigantycznym sedanie, spiesząc się na operacje, podczas których miał się zająć jedną z najgorszych ran oka i oparzeniami. Większość pacjentów była zagranicznymi pracownikami; wielu z nich - Amerykanami. Trzeba przyznać, że Mu'ajjad przez kilka dni pracował bez wytchnienia i wiedziałam, że go to przygniotło; nie miał jak się na to przygotować. Wierzę, że zrozumiał, na czym polega siła nienawiści, i że dzięki tej wiedzy w końcu i jemu uda się zapanować nad tym uczuciem. W jego głosie wydobywającym się z trzeszczącego zestawu głośnomówiącego wyczuwałam pewien nowy rodzaj bezbronności, tak dobrze znany nam wszystkim, którzy doświadczyliśmy wydarzeń z Nowego Jorku, Londynu, Bali czy Madrytu.

Podczas mojej niedawnej podróży do Królestwa, którą odbyłam pod koniec tamtej dekady, zatrzymałam się w pięciogwiazdkowym hotelu i zameldowałam pod własnym, kobiecym nazwiskiem. Jadłam w pojedynkę w The Globe, na szczycie wieży Al-Fajsalijja.

W dole roztaczał się płaski miejski pejzaż; wyjątkiem była wieża Al-Mamlaka, która wyglądała, jakby ktoś ją tu przestawił z Vegas. Wpatrywałam się w rozświetlone nocne saudyjskie niebo i rozmyślałam nad nieuchwytnym księciem Al-Walidem. Bez wątpienia podróżował po tym samym niebie, przemieszczając się prywatnym odrzutowcem pilotowanym przez pierwszą Saudyjkę pilota, kapitan Hanadi Hindi.

Potem, gdy czekałam, żeby zjechać na dół, otworzyły się drzwi windy. Jakiś Saudyjczyk przepuścił mnie przodem. Na chwilę znieruchomiałam, ale w końcu zorientowałam się, że czeka, aż wejdę. Staliśmy w tej samej wąskiej windzie, aż każde z nas dojechało na odpowiednie piętro. Nie było między nami cienia pogardy, tylko zwykła uprzejmość. Później, kiedy weszłam do lobby, inny Saudyjczyk otworzył mi drzwi, znów po raz pierwszy w Rijadzie. Miałam wrażenie, że jako kobieta nie jestem już tak niewidzialna, jak to odczuwałam kilka lat wcześniej.

Innym razem, gdy wracałam w biznes class z Mekki w niedzielny poranek, pewien saudyjski pasażer podał mi poduszkę. Chwilę później wsunęłam jego wizytówkę do torebki. Ten czarujący mężczyzna pracował w Rijadzie; rozpracowywał tych, którzy zajmowali się praniem brudnych pieniędzy. Jeden z miliona Saudyjczyków „po naszej stronie”. Uwielbiał Amerykę, niedawno przeprowadził się z Bostonu. Nawiazaliśmy kontakt jako muzułmanie, amerykańscy imigranci, jako ludzie.

Niewątpliwie w Rijadzie wyczuwa się obecnie więcej swobody niż w latach poprzedzających wydarzenia z 11 września. Dzieje się tak częściowo za sprawą coraz większego dostępu do nowoczesnych środków komunikacji, nowego monarchy i procesu dojrzewania elit intelektualnych. Atmosfera powoli się rozluźnia. Ludzie są bardziej pewni siebie, optymistyczni i postępowi. Ich głosy są coraz silniejsze, *mutawwa'in* być może ciut słabną, a kobiety czują się coraz mniej onieśmielone. Od czasu do czasu dawne przyzwyczajenia dają o sobie znać; zdarzają się zbiorowe gwałty czy kary chłosty, ale teraz to saudyjscy obywatele natychmiast powołują się na prawa człowieka, a nie tylko międzynarodowe organizacje stojące na straży swobód obywatelskich. Coraz popularniejsze staje się pisanie blogów po arabsku i po angielsku, nie do pomyślenia w czasie, gdy mieszkałam w Królestwie, co daje możliwość wspólnej publicznej introspekcji.

Dzisiaj moi znajomi, którzy nadal pracują w Królestwie, często dzielą się efektami

swojej pracy na forum międzynarodowym. Widujemy saudyjskie flagi na konferencjach medycznych w Stanach Zjednoczonych. Zacieśnia się współpraca międzynarodowa, powstają nowe publikacje naukowe, a usługi medyczne się rozwijają. Co dla mnie ważne, rewizjonista współpracuje teraz z żydowskim pracownikiem naukowo-dydaktycznym - w końcu jego ciasny umysł otworzył się za sprawą doświadczenia, którym hojnie się dzielił cierpliwy Amerykanin.

Po mojej saudyjskiej miłości pozostały jedynie wspomnienia. Nigdy się już z Imadem nie widzieliśmy po tamtym nieudanym spotkaniu na lotnisku króla Chalida. Poślubił swoją endogamiczną narzeczoną i został ojcem dwójki dzieci. Jestem z niego dumna i jednocześnie wzruszona faktem, że wszedł w rolę saudyjskiego ojca, wiążącą się z ogromną presją. Udało mu się odnaleźć swego rodzaju szczęście w tym kraju, choć się buntował i skrywał rozterki pod maską Bossa i Brioniego.

Ghada wkrótce broni rozprawę doktorską. Notka na jej temat pojawiła się w lokalnej gazecie w Anglii; dziennikarz napisał (załączając zdjęcie) o pięknej, zamężnej saudyjskiej kobiecie, która dojeżdżała na studia z Rijadu. Podczas naszego ponownego spotkania w Rijadzie, kiedy popijałyśmy kawę w jej barokowym salonie, wyciągnęła postrzępiony wycinek z gazety, żebym mogła przeczytać. Widać było, że rozpierała ją duma, i chichotała, opowiadając o swoim cudownym mężu chirurgu, który zajmował się dziećmi w Rijadzie, kiedy ona co trzy tygodnie wyjeżdżała na dwa tygodnie do miejsca oddalonego osiem tysięcy kilometrów od domu. Kardiochirurgia jest mniej męcząca niż odgrywanie Pana Mamy, żartował jej mąż. Dziewczynki z pięknymi dużymi oczyma jeszcze bardziej podziwiają swoją mamę. Realizując własne marzenia, przeciera im szlaki.

Ghada jest także lokalną siłą feminizmu. Kiedy widziałyśmy się ostatnim razem, właśnie skończyła budować dom, w którym teraz wiedzie aktywne życie pośród luksusowych marek: Lalique, Versace, Daum. W każdy weekend organizuje lunche dla kręgu swoich młodych saudyjskich koleżanek mężatek, dla których stała się symboliczną liderką. Wciąż jest najpiękniejszą kobietą, jaką znam. To krzepiące, że mają siebie i mogą wymieniać się spostrzeżeniami, rozmawiać o polityce, a nawet wspólnie oglądać piłkę nożną, co jest narodową obsesją.

Doktor Fahad jest obecnie doradcą monarchy. Zajmuje się też produkcją miodu we

własnej pasiece i podaje go swoim gościom na śniadanie. Mogę potwierdzić, że miód jest znakomity. Oprócz tego wychowuje ukochaną wnuczkę, Lulu, która już w wieku trzech lat dysponuje większą liczbą pojazdów wyposażonych w silnik niż jej dziadek. Uczy ją też pływać. Lulu odważnie pluska się w przydomowym baseniku i objawia talent do jazdy na trójkołowym rowerku. Wyrośnie na zadziorną czarującą kobietę, dowcipną jak jej uroczy dziadek, ale z pewnością już sama poprowadzi samochód, co otworzy przed nią więcej możliwości niż pokolenie jej matki jest w stanie sobie wyobrazić.

Zubajda, podobnie jak ja, wciąż jest niezamężna. W tym miesiącu odbyła hadżdż. Nie czekała na ślub, żeby spotkać się ze Stwórcą. Robi wszystko w swoim tempie i nie podporządkowuje życia ewentualnemu późnemu małżeństwu. Jest doskonałą muzułmanką i wygadana, wyperfumowaną feministką. Ogromnie za nią tęsknię.

Fatima wciąż jest rozwódką, ale nie traci nadziei na miłość.

Faris wysłał mi zdjęcia swojej nowej żony. Uśmiechają się w słońcu i patrzą spod przymrużonych powiek, stojąc na wzgórzu w Bejrucie. Po raz pierwszy od lat naprawdę wyglądał na szczęśliwego. Okazało się, że ślub został zawarty w samą porę. Kilka miesięcy później żona Farisa musiała się nim zaopiekować, ponieważ ciężko zachorował. Rozmawiałam z nią łamaną arabszczyzną, aż w końcu zaniósła słuchawkę mężowi. Przez kilka minut słuchałam, jak jego biegły angielski zastąpiła walka z poważnymi zaburzeniami mowy, nad którymi usiłował zapanować. Osłabiony, bardzo powoli wraca do zdrowia i martwi się, jak sprostą obowiązkom, jakie na nim - ojcu czwórki niepełnoletnich dzieci - spoczywają.

Rim nigdy już nie operowała, urodziła natomiast trzy córki. Kupiła dom, w którym mieszka z mężem i teściami. Gdy rozmawialiśmy o medycynie, wyczuwałam w jej głosie tęsknotę. Nie wierzę, że jeszcze kiedyś powróci do chirurgii naczyniowej. Mam nadzieję, że czuje się spełniona. Nie powiedziała tego, ale obie wiemy, że zaprzepaściła marzenia, i obie nas to smuci.

A co z saudyjską Glorią Steinem? Właśnie dzisiaj o poranku Maha przysłała mi e-mail na temat zniesienia w Królestwie zakazu prowadzenia samochodów przez kobiety. Ten dzień się zbliża, a my natychmiast zaczęłyśmy się zastanawiać, kto będzie uczył jeździć te

wszystkie kobiety? Często myślę, że nie byłoby nic piękniejszego, niż gdybym sama mogła podjechać samochodem pod Dom Boga. Może kiedyś mi się to uda; Maha pewnie liczy na to samo. Wciąż jest siłą napędową zmian. Jak wszystkie kobiety, które wykonują tę robotę wszędzie na świecie, nie zawsze jest lubiana i często bywa osamotniona. Ja noszę ją w pamięci i wiem, że podobnie będzie w przypadku każdego czytelnika.

I tak oto te historie toczą się dalej. Być może nie udało mi się sprawiedliwie wykonać swojego zadania. Niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, Saudyjczycy wciąż stanowią dla mnie zagadkę; bardzo trudno było się przebić przez ich zasłony, by mieć wgląd do środka. Muszę przyznać, że wciąż mogę mnożyć przykłady dychotomii: rozgniewanych rozwódek, które marzą, by zostać drugimi żonami; rozdartych saudyjskich mężczyzn, którzy nie umieją odciąć się od oczekiwań potężnych matek rodów; kobiecości, która pod zasłoną jest zarówno uciskana, jak i wyzwolona; saudyjskich mężczyzn, którzy są feministami, i starszych Saudyjek, które wspierają proces tłumienia kobiet; i te kobiety... te kobiety!

To właśnie kobiety tak naprawdę otworzyły przede mną drzwi do tego społeczeństwa. Kobiety, które mi się zwierzały; kobiety, które mnie prowadziły; kobiety, które ze mną rywalizowały; kobiety, które mnie lekcewały; kobiety, które usiłowałam leczyć i które starały się uleczyć mnie; kobiety, które były niepiśmienne, a mimo to nauczyły się na pamięć Koranu; kobiety, które potrafiły zoperować tętniaka, a nie mogły wykonać zawracania na trzy; kobiety, które były obiektami zainteresowania nawet wówczas, gdy pozostawały zamknięte w swoich zasłonach.

To te same kobiety dzierżą klucz do zmian, których starają się dokonać za pośrednictwem swoich córek i synów, ale też przede wszystkim robią to same. To głosów tych matek, żon, sióstr, ciotek i córek tak pragniemy i to ich głosy łagodzą strach mężczyzn. To właśnie głosy kobiet stają się słyszalne, ich działania - widzialne, a dzięki temu widzialne stają się również same Saudyjki, które z dnia na dzień zyskują coraz więcej wpływów. Nie ma nic równie groźnego, a jednocześnie przepelnionego dobrocią, jak uciemienieni ludzie, którzy pokonali tchórzliwego ciemność. To te niewielkiej postury kobiety przemycające w abajach wywalczą dla siebie sprawiedliwość, wyszarpując ją ze szponów ekstremistów, i zagarną dla siebie miejsce z dala od apartheidu płciowego, jaki wciąż panuje w Królestwie. Apartheid płciowy dokonywany w imię islamu powoli umiera, wydaje ostatnie tchnienia.

Są i inne obserwacje, które nawet teraz odbijają się echem i na swój sposób wiele mówią o Królestwie. Nieprzeniknione uprzedzenia, które z upodobaniem są podtrzymywane wbrew jakiegokolwiek logice; nieustępliwa głęboka podejrzliwość wobec Zachodu i jednoczesny zachwyty; nabożne przywiązanie do wszystkiego co zachodnie oraz co należy do beduińskiego ekwipunku - czy mowa o ghutrze od Diora, czy o samym Beduinie za kierownicą SUV-a; sztywna muzułmańska teokracja, która nie jest w stanie przyćmić prawdziwego piękna islamu bez względu na skalę ucisku. I co najbardziej poruszające: olbrzymia siła i wrażliwość, która objawia się w najmniej spodziewanych miejscach.

To, że Królestwo równocześnie doprowadzało mnie do szału i uczyło pokory, cenię sobie najbardziej. Potrzebowałam tego, żeby w końcu dostrzec to, co zawsze miałam: swoje miejsce w islamie niezależnie od tego, jak bardzo zdarzało mi się czuć wyobcowaną. W swojej surowości Królestwo zawsze stanowiło piękno, które po dziś dzień pozostało w mojej pamięci. Żadna ilość petrodolarów, ekskluzywnych dekoracji czy innych błyskotek nie jest w stanie przesłonić jego surowej chwały. I właśnie za to dziękuję Królestwu, za to dziękuję temu Obcemu, którym kiedyś w nim byłam, i za to dziękuję tym mieszkańcom Królestwa, którzy tak serdecznie mnie przyjęli. To oni sprawili, że wciąż czuję się tam jak u siebie.

Charleston, Karolina Południowa,
Stany Zjednoczone Ameryki

29 stycznia 2008 roku



Bibliografia

Bianchi Robert R., *Guests of God: Pilgrimage and Politics in the Islamic World*, Oxford University Press, New York 2004.

El Fadl Khaled Abou, *The Great Theft: Wrestling Islam from the Extremists*, Harper, San Francisco 2005.

Labi Nadya, *Kingdom in the Closet*, „The Atlantic”, nr 299, maj 2007, s. 70-82.

Ménoret Pascal, *The Saudi Enigma: A History*, Zed Books - World Book Publishing - David Philip, London - New York - Beirut - Kenilworth 2005.

Schulze Reinhard, *A Modern History of the Islamic World*, przeł. z niem. Azizeh Azodi, I.B. Tauris & Co Ltd, London - New York 2000.

Stephen Schwartz, *The Two Faces of Islam: Saudi Fundamentalism and Its Role in Terrorism*, Anchor Books, New York 2003.

Veil: Veiling, Representation and Contemporary Art, pod red. Davida A. Bailey i Gilane Tawadros, Institute of International Visual Arts, London 2003.

Wynn L.L., *Pyramids & Nightclubs: A Travel Ethnography of Arab and Western Imaginations of Egypt, from King Tut and a Colony of Atlantis to Rumors of Sex Orgies, Urban Legends about a Marauding Prince, and Blonde Belly Dancers*, University of Texas Press, Austin 2007.

Podziękowania

Zawsze dużo czytałam, jednak do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, ile pracy wymaga ciągle wspieranie pisarza. Jako pisarka musiałam się tylko pokazywać, czy to w Królestwie, czy to przed laptopem. Dla wszystkich innych były to: krew, pot i łzy. Tym wszystkim bezinteresownym optymistom podtrzymującym mnie na duchu i wspierającym w trudnych chwilach, tym, którzy nie szczędzili mi mądrych, dojrzałych rad, mistrzom słowa, każdemu z Was - składam najgłębsze podziękowania. Bez Was nie powstałaby ta książka.

Wendy Lipkind, moja cudowna agentko literacka! Zachwyciłaś mnie przy pierwszym spotkaniu, naprawdę byliśmy dla siebie wsparciem. Od samego początku, słysząc Twój ciepły, stłumiony, pełen dobroci głos, czułam, że rozpoczyna się w moim życiu nowy rozdział, który trwać będzie jeszcze długo po tym, jak przebrzmiały te słowa. Twoja serdeczność uwolniła rzekę wspomnień i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki burzliwe wydarzenia zaczęły układać się w logiczny ciąg. Dziękuję Ci za cierpliwość, wyrozumiałość, godziny spędzone przy telefonie i wszystkie te kolacje, które jadłaś zimne, wysłuchując moich monologów. Dziękuję Ci, Wendy, za Twoją dobroć, życzliwość i przede wszystkim za matczyną opiekę, jaką mnie otoczyłaś, chroniąc przed nękającymi mnie upiorami!

Hillelu Black - redaktorze naczelny działu literackiego w Sourcebooks, najbardziej życzliwy, serdeczny i wspaiały Mistrzu Pióra - nie znam słów, jakimi mogłabym wyrazić swoją wdzięczność. Twój głos jest kwintesencją Nowego Jorku, dowcipne uwagi bywają bezwzględne, ale muszę przyznać, że skrupulatna resekcja moich pierwszych marnych propozycji, choć nieco krwawa, zakończyła się sukcesem. Czego pisarz może chcieć więcej niż współpracy z tak szczerym i zdroworozsądkowym redaktorem? Okazało się również, że przeszedłeś samego siebie, zagrzebując się w archeologicznych poszukiwaniach, usiłując wskrzesić moje wspomnienia i ubrać je w słowa. Najbardziej sobie cenię te odkrycia, które udało Ci się zebrać w najbardziej zaskakujące akapity. Dziękuję, Hillelu, za Twoją mądrość i zaangażowanie. A przede wszystkim dziękuję za bezgraniczną, niezwykłą ciekawość.

Dominique Raccah z Sourcebooks, wydawniczej torpedzie, bardzo dziękuję za szansę, jaką mi dała, i wiarę, kiedy mi jej brakowało. Usłyszałaś głos wygnanki i pozwoliłaś mi

wybrzmieć. Gdy tylko zaczęłaś mówić w żywiolowy, prostoliniowy sposób, od razu wiedziałam, że moja książka jest w dobrych rękach. Stworzyłaś wspaniałą atmosferę w zespole i zaskoczyłaś mnie, kiedy podczas mojej pierwszej wizyty każdy wstawał i się ze mną witał, podając mi rękę i rozmawiając ze mną o książce, która jeszcze wówczas była w powijakach. Entuzjazm i zaangażowanie, którymi przesycone jest niemal każde pomieszczenie w Sourcebooks, to Twoja zasługa. Dziękuję, że tchnęłaś życie w tę książkę.

Podziękowania należą się także: Sarah Riley, Heather Moore, Tony'emu Viardowi, Christiaanowi Simmonsowi i Whitney Lehman z Sourcebooks. Bardzo Wam dziękuję, że byliście dla mnie takim wsparciem. Nadaliście moim marzeniom pierwsze realne kształty. W tamten chłodny październikowy dzień w Naperville to Wasza serdeczność i energia sprawiły, że ta książka zaczęła naprawdę istnieć. Udzielił mi się Wasz nastrój i w ciągu tych kilku krótkich, pełnych życzliwości chwil z lekarki szamoczącej się ze opowieściami stałam się pisarką, która ma czytelników. Dziękuję za wtedy, dziękuję za dziś i dziękuję za wszystko, co jeszcze przed nami.

Tedowi Carmichaelowi z Sourcebooks dziękuję za wszystkie e-maile i poprawki, uprzejme i cierpliwe pytania oraz niestrudzone korekty. Dziękuję Ci za pomoc przy bibliografii i przypisach - czy przy następnym spotkaniu możesz mi pokazać, jak to się robi? Prawdziwie bohaterskim czynem było to, że potrafiłeś odczytać moje niezliczone komentarze i ten straszny charakter pisma Hillela, jakby żywcem wyjęty z dziewiętnastowiecznego manuskryptu. Mogę tylko powiedzieć: „Święty Boże”, Ted, dzięki!

I Stephenowi O'Rearowi, którego nie sposób wyprowadzić z równowagi: ogromne dzięki za drobiazgową, pedantyczną wręcz i niestrudzoną rewizję, rady i pełne zaangażowanie przy tworzeniu tej książki. Byłeś niezwykle opanowany i stanowczy i świetnie poradziłeś sobie z moimi ostatnimi poprawkami i wstawkami last minute. Gdybyś chciał rzucić pracę w wydawnictwie, zastanów się nad neurochirurgią! Dziękuję Ci za to, Stephenie, szczególnie za ten ostatni dzień pisania.

I na zakończenie powrócę do początków.

Dziękuję mojej nauczycielce, Pani Connolly (albo Bernadecie, od kiedy skończyłam trzydziestkę). Wszystko zaczęło się, gdy pożyczyłaś mi *The Borrowers Afloat* („Pożyczalscy

na morzu”). Miałam sześć lat, może siedem, gdy postanowiłam napisać opowiadanie zainspirowane tą książką. Dwadzieścia kilka lat temu starannie schowałam na swoim poddaszu moje dziecinne, pisane ołówkiem wypracowanie. Wciąż mam przed oczyma ten obraz: kartka papieru w linie, o długości większej niż mój ówczesny wzrost, przyczepiona do fioletowej podkładki pasującej kolorystycznie do mojej aksamitnej opaski na głowie. Tę podkładkę umieścił tam ktoś o długich ramionach. Myślę, że byłaś to Ty. To dzięki tym mosiężnym pinezkom mała szczerbata dziewczynka została zwyciężczynią, pisarką - kimś, kto był czytany.

Dziękuję, Bernadetto, za pierwsze litery, których się nauczyłam. Dziękuję Ci za pierwszą książkę, którą przeczytałam, a przede wszystkim dziękuję za zachętę, by pisać. Jesteś moją pierwszą agentką, redaktorką, wydawczynią i czytelniczką. Droga nauczycielko, jesteś moim bohaterem, to znaczy - bohaterką, jak z pewnością zamasyście poprawiłabyś czerwonym atramentem.

